

Artur

BANIEWICZ

POGRZEB
CZAROWNICY



Przełęcz

supernOWA

Artur
BANIEWICZ

POGRZEB
CZAROWNICY

czyli sagi o czarokraźcy księga piąta i szósta,
recz o tym, jak biedą przyciśnięty
Debren z Dumayki na grabarza się najął,
a potem z misją ratowniczą wyruszył
i wśród śniegów ze złem walczył

supernOWA
WARSZAWA 2016

Opracowanie graficzne:
Tomasz Piorunowski

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA Sp. z o.o.
Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny:
Mirosław Kowalski

ISBN 978-83-7578-136-6

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Księga piąta](#)

[Księga szósta](#)

Księga piąta

Pogrzeb czarownicy

Kamieniółom był stary, miejscami nawet porośnięty lasem, ale rzadkim. Jadąc między rachitycznymi drzewkami, Debren czuł na sobie spojrzenia. Pół tuzina ludzkich, jedno końskie. Koń nie obsługiwał żadnego z kieratów czy cebrociągów – po prostu stał przy dyszlu chłopskiej furmanki, na którą załadowano sporych rozmiarów beczkę. Budynek, przed którym zatrzymał się wóz, jako jedyny spośród kilkunastu baraków, szop oraz bud sprawiał wrażenie mieszkalnego i przez jakiś czas Debren zastanawiał się, dlaczego gospodarza nie razi fakt, że wychudzona chłopska szkapa obgryza mu podokienny, najprzyzwoitszy w okolicy – bo też jedyny – trawnik. Po woźnicy, zabiedzonym, posiwiął jak jego koń, widać było z daleka, że nie jest stąd i prawo wypasu żadną miarą mu się nie należy. Zgarbiony, wyraźnie nieswój, stał z boku z czapką w rękę, żegnając się dyskretnie znakiem koła.

Dopiero ten gest otworzył Debrenowi oczy.

Budynek z oknami i gankiem nie był zaniedbanym zajazdem. Koło wsparte o sterczący ze środka trawnika głaz nie było zerwaną z łańcucha reklamą tegoż zajazdu. A trawy nie zasiała znużona monotonią skalnego otoczenia żona oberżysty.

Obok koła, prawie niewidoczna w wysokiej trawie płonęła samotna świeca. Wąty płomyk niknął w blasku czerwcowego słońca.

Koń ogryzał ziele z mogiły. Dużej. Zbiorowej. Debren

zatrzymał się w pół kroku. Potrzebował dłuższej chwili, by wypchnąć z umysłu natrętne skojarzenia, zmusić się do racjonalnego myślenia.

Tamten kamieniołom pod Oszwicą wyglądał całkiem inaczej. Nie było kołowrotów, za baraki służyły kryte sosnowymi gałęziami wiaty, a na ciągnących się bez końca mogiłach nikt nie stawiał drogocennych kół. Była wojna i koła, wszystkie koła Rzeszy Wehrleńskiej, musiały toczyć się dla zwycięstwa.

No i strażnicy nie byli aż tak zwyrodniali, by jeszcze po śmierci pastwić się nad Pazrelitami, grzebiąc ich pod znakiem machrusańskiego koła. Na swój sposób strzegli nawet spokoju tych w dołach: pilnując, by nikt nie zjadał porastającej mogiłę trawy. Ani konie, ani więźniowie. Zwłaszcza więźniowie, prawdę powiedziawszy.

Więc weź się w garść. To inna epoka, inni ludzie. Trafił do tej zagubionej wśród wzgórz kopalni tylko dlatego, że drogę wskazał mu zagadnięty na odludnych rozstajach Pazrelita. Tłusty, rumiany, ani trochę nie strwożony, podróżujący samotnie dobrze wyładowanym wozem kupieckim. Cały, zdrowy, bez jednego sińca na twarzy. Mruczący pod nosem coś o cholernych cudzoziemcach, zjeżdżających z Zachodu czy innej Yougonii i odbierających pracę porządnym poddanym księcia Unirherii.

Wyglądało na to, że i tu, w kamieniołomie, obcy nie są mile widziani. Czterech smagłych, ciemnowłosych wyrostków, obsługujących kołowrót, przerwało pracę, gdy tylko Debren się pojawił, i stało teraz, mierząc go mało radosnymi spojrzzeniami. Pocący się przed gankiem pyzaty mnich w burym habicie spoglądał na czarokrążcę z jawną niechęcią. Twarzy skrytego w cieniu gospodarza nie było widać pod słońce, ale pewnie i on...

– Hej, ty! – Człowiek w cizmach ze srebrnymi klamrami powiedział znacznie więcej, Debren zrozumiał jednak tylko

wstęp. Potem było coś o bydłętach i chyba strzelaniu. Pytanie zabrzmiało jednak zaskakująco przyjaźnie na tle ponurych min pozostałych, więc dłoń czarodzieja nie powędrowała do pasa, poprzestając na lekkim drgnięciu. Na ganku, oprócz klamer przy cizmach, połyskiwały w słońcu okucia kuszy, lecz nie było powodu, by już teraz sięgać po różdżkę. Trzeźwy Wehrleńczyk, chcąc nawiązać do tradycji osławionego zarządcy oszwickich kamieniołomów i postrzelać trochę do podludzi, nie przemawiałby takim tonem. Podпиты, mogący łatwo łączyć serdeczność z szyciem bełtami, nie stanowił zagrożenia. Po burzliwej służbie u rycerza Kipancho i mając w perspektywie podróż przez Cesarstwo, Debren odświeżył nieco zaniedbaną sztukę samoobrony. Wiedział, że na dystansie kilkunastu kroków oparta o słup kusza nie może się równać z różdżką. W dodatku grot na bełcie lśnił dokładnie tak jak klamry przy cizmach. Srebrny, drogi, kuty na specjalne zamówienie. Zbyt cenny, by szyc nim w ludzi.

– Pochwalony Machrus Zbawiciel. – Tyle w staromowie każdy powinien zrozumieć. Nawet tu, na dekadencjnym Wschodzie, gdzie do kościoła chadzało się rzadko, zaś ateistów leczono na koszt państwa, zamiast więzić w lochu.

– Po kres wieków – rzucił odruchowo mnich. By od razu, znajomo brzmiącą, zmiękczoną zachodnim akcentem staromową, dopowiedzieć: – I z Bogiem, dobry człowieku. Nic tu po was. Spóźniliście się, jeśli wiecie, o czym mówię. A jak nie wiecie, to tym bardziej żegnajcie. To kopalnia, niebezpieczne miejsce; tu postronnym przebywać nie wolno. O wypadek łatwo.

Któryś ze zgromadzonych przy kołowrocie chłopców drgnął nagle jak wyrwany z transu, podskoczył, usiadł na masywnej belce ramienia. Trzej pozostali natychmiast wzięli z niego przykład i po chwili cała czwórka kiwała się chaotycznie, balansując na chudych zadkach, machając nogami i usiłując nie pospadać z solidnych, lecz nie pomyślanych jako siedziska

dragów.

– Przeklęte głupki! – Właściciel cizem z klamrami znów posłużył się gardłową wehrleńszczyzną i znów Debren zrozumiał tylko początek. Dalej było coś o urzędzie i robocie, ale raczej nie chodziło o to – jak to sobie magun w pierwszym odruchu przetłumaczył – że w niedziele urzędy nie pracują.

Był czwartek.

Smagli młodzieńcy, znów w pośpiechu, poślazili na ziemię i zabrali się do obracania kieratu.

Dopiero teraz uwagę Debrena zwrócił brak upręży zamocowanej do belek czy choćby klamer do mocowania takowej. W dobrze zorganizowanym, nowoczesnym zakładzie na porządku dziennym było elastyczne manewrowanie mocą, więc często widywało się wyrobników, którzy z braku pilniejszych zajęć zastępowali karmione woły, podkuwane konie czy konserwowane koło wodne. W naprawdę wzorcowych manufakturach organizacja pracy poszła nawet tak daleko, że chwilę przed pchaczami zjawiał się przeszkolony fachowiec, który odgarniał z kolistej ścieżki zwierzęce łajno, mocował specjalne poduszki pod pierś i posypywał talkiem ramiona kołowrotu. Przewodzący technicznie Wehrleńscy dawno odkryli, iż ślizgający się na końskich odchodach i walący łbem w belkę robotnik w końcowym rozrachunku zaniża dochody. Niektórzy z feudałów – bo to do nich ostatecznie trafiały podatki z kopalń i manufaktur – wzięli to sobie do serca tak bardzo, że ustawowo nakazali pracę w hełmach i na bosaka.

Tu nie było ani hełmów, ani łopaty do usuwania nieczystości, ani nawet widocznych śladów po nieczystościach. Lina, którą napędzał kierat, sama powiązana była w całość kawałkami cieńszych linek, konstrukcja skrzypiała przenikliwie, zdradzając podeszły wiek, a z braku smaru zapiaszczone łożysko raz i drugi mrugnęło iskrą. Inna sprawa, że tylko na początku, gdy spłoszeni krzykiem

pryncypała młodzieńcy wykonali kilka pierwszych okrążeń biegiem. Debren pomyślał z goryczą, że ze sławnej wehrleńskiej organizacji pracy pozostały tylko bosa nogi pchaczy. Nawiasem mówiąc: dziwnie smarkatych.

To nie wróżyło najlepiej. O ile dobrze trafił.

– Nie wiem, czym dobrze trafił – posłał mnichowi zakłopotany uśmiech. Po czym, już bardziej poufałym tonem i po lełońsku, dodał: – Za cholere nie szło odczytać tego na tablicy. Jedno słowo, ale run w nim bez mała trzy tuziny, to ostrogrockich, równie zdobnych, co nieczytelnych.

Mnich, chyba trochę zaskoczony, pokiwał ze zrozumieniem głową. Dopiero potem przywołał na twarz poprzednią, demonstracyjnie naburmuszoną minę. – Styl ostrogrocki mnogością sławnych katedr zaowocował – rzucił wyniośle płynną lełońszczyzną. – A wy, panie rodak, jak nie potraficie jednego prostego słowa po tutejszemu sklecić, lepiej muła rzycią ku nam zwróćcie i wracajcie do domu. Przez takich jak wy Wschód się z nas śmieje.

– Słowo „gbaraneberblindschfatwrenken” należy waszym zdaniem do prostych? – Debren bez trudu podtrzymał uśmiech. Miło było, nawet w takich okolicznościach, posłuchać mowy ojczystej.

– Tak, tak – uprzedził zakonnika ten w okutych srebrem cizmach. Wysunął się z cienia, posyłając przybyszowi nieoczekiwane szeroki uśmiech. Miał bardzo jasne włosy i niewiele od nich ciemniejsze owłosienie wokół oczu. Tak właśnie w czasach Oszwicy wyobrażano sobie idealnego Wehrleńczyka. W niektórych innych krajach od niepamiętnych lat, nie wiedzieć czemu, ów typ urody nazywano świńskim blondynem. – To gbaraneberblindschfatwrenken braci Rimel. Dobrze...

Mówił dłużej, ale tyle tylko zdołał Debren zrozumieć. Chyba nie był pijany i raczej nie groził strzelaniem, choć jedno z użytych przez niego słów chyba ocierało się o szeroko pojęte

łuczniactwo.

Magun zaklął w duchu. Nadal nie wiedział, co znaczy to cholerne gbaren-cośtam. I czy faktycznie nie zrobiłby lepiej, mrużąc „pomyłka” i ukazując tubylcom zadek swego muła. Chcąc nie chcąc, musiał spędzić parę dni w okolicy, a mułowi właśnie skończył się obrok. Żeby zarobić na nowy, czarokrążca obcokrajowiec musiał legitymować się jaką taką opinią. A tej sobie nie wyrobi, wychodząc na głupka, który szukał złota, zaś trafił do bankrutującego kamieniołomu.

Bo to jedno nie ulegało wątpliwości: kopalnia marnie przedła. Oko bez trudu wyławiało oznaki upadku: dziurawe dachy, połamane maszyny, sklejony w jedną rdzawą bryłę łańcuch na wrotach stajni, kępki traw w szczelinach głównej pochylni, którą dzień i noc powinny wędrować w górę potężne bryły urobku. Obsługiwany przez wyrostków kierat skrzypiał wprawdzie, a z czerniejącego nieopodał szybu ktoś sypał klątwami, ale te żalosne namiastki ożywienia podkreślały tylko panującą wokół martwość.

To nie mogło być to miejsce. Chyba że...

– Potworów zasadniczo nie ubijam – powiedział, znów zwracając twarz ku mnichowi. – Ale pogadać zawsze można.

– Nie ubijacie potworów? – Pызata twarz zakonnika rozjaśniła się na moment, by niemal od razu spochmurnieć. – No więc tym bardziej...

– Znacie staromowę? – wszedł mu w słowo czerwono nosy właściciel cizem z klamrami. Był znacznie młodszy od zakonnika, bliższy wiekowo tym przy kołowrocie, nosił dwubarwne rajtuzy, modne ledwie sezon wcześniej w kręgach ocierających się o pałace, a jego kaftan dumnie połyskiwał złotem guzików. – Bo wehrleńskiego, jak wnioskuję, chyba nie? Debren odetchnął z ulgą. Wyraźnie zaskoczony mnich posłał pełne urazy spojrzenie na ganek.

– A wy znacie, panie Rimel? – rzucił oskarżycielsko.

– Nowoczesny człowiek nie obejdzie się dziś bez staromowy

– wzruszył ramionami elegant. – A jeszcze w interesach... To jak z tą staromową, panie...?

– Jestem Debren z Dumayki. – Debren, czując okazję, zręcznie połączył ukłon z zeskokiem z muła. – Magun z uprawnieniami, chwilowo w podróży, więc trochę jakby...

– Czarokrażca – dokończył mnich, nie kryjąc lekceważenia. – Któraś, jak się domyślam, uprawnienia akurat do niewłaściwej sakwy spakował i w domu zostawił. – Obrócił się, już przymilnie uśmiechnięty, do młodego eleganta. – Z miejsca widać, kto zacz, panie Udebold.

– Nie sądźmy po pozorach, bo i nas osądzą. – Młodzieniec też się uśmiechał, tyle że życzliwie i do Debrena. – Gdyby się powierzchownością kierować, to w tym zielonym stroju chadzałby kłusownik albo zbój leśny. Może nawet sam sławny Bobin Czapa, którego dokładnie takim w kronikach malują. A ciebie, bracie, trza by konsekwentnie wziąć za tego mnicha opoja, co z nim po gościńcach łupi. Jak mu tam...? Braciszek Tryk czy coś takiego. Zwłaszcza żeś się z beczką zjawił – zaśmiał się, wskazując furmankę. – Oczywiście żartowałem – zwrócił się do czarodzieja – z tym pytaniem, czyś kłusować tu przybył. Z daleka było widać, że łuku nie masz.

– Nie ma – przyznał mnich. – Ale to nie żmutawilska puszcza. Tu się nie na niedźwiedzia czy łosia chadza, a na zająca. Do czego wnyki starczą. Ciekawość, czy gdyby tak mu w jukach pogrzebać, nie znalazłby człek czegoś do sideł dziwnie podobnego. Możecie tego nie wiedzieć, bo i skąd, ale w Lelonii dumayecki rynek słynie z największego w całym królestwie wyboru sprzętu wnykarskiego. Pokresiacy, sami w stepach żyjący, zwożą tam całe cetnary tego paskudztwa i naszym rdzennym Lelończykom na czarno sprzedają. Ponoć do tego doszło, że mobilny wilczy dół oferują.

Debren bez słowa ściągnął zawieszoną przy siodle sakwę, jednym szarpnięciem rozwiązał węzeł. W czerwcowym słońcu błysnęło złoceniami kilka grubaśnych, w skórę oprawnych

ksiąg. Żadnej nie opisano runami ostrogrockimi, ale Udebold i tak zagwizdał z cicha.

– To mi za rekomendację wystarczy – stwierdził. – Macie tę robotę, panie Debren.

– Pewnie nawet nie wie, o co chodzi – rzucił niemal płaczkliwie mnich. – Założę się, że nie ma o tym zielonego pojęcia.

– Z osobami stanu duchownego nie godzi się zakładów czynić. – Lekko zaniepokojony Debren miał na końcu języka pytanie o rodzaj roboty, ale nie chciał sprawiać braciszкови satysfakcji. Pozory najwyraźniej myliły, a Udebold Rimel chyba płacił złotem. – Ale, nie chwałąc się, muszę powiedzieć, że o niejedno zlecenie się otarłem. Wszechstronność to moja dewiza.

– Ale o co chodzi, tego nie wiesz! – oznajmił triumfalnie zakonnik. – Obwieszczenie było po wehrleńsku i wezyracku! Nie powiesz mi, że znasz się na tych pogańskich robaczkach, które oni pismem nazywają? – I po dolnogadacku – odpowiedział spokojnie Debren. – Który to język wystarczająco lełoński przypomina, bym co nieco zrozumiał.

– Ciekawe jak, skoro cały dół mam tutaj?! – Rozsierdzony mnich machnął mu przed nosem wyszarpniętym z kieszeni habitu kawałkiem czegoś jasnego.

– Niecały. Trochę zostało.

– Hejże, bracie Zecheniaszu! – Udebold zmarszczył jasne brwi. – Zdarliście moje obwieszczenie?

– Jedno aby – wzruszył ramionami mnich. – I nie całe, jak widać i słyhać. Adres chciałem wziąć, to dlatego.

– A myślicie, że ile ich rozkleiłem? Znaczy – poprawił się szybko – kazałem rozkleić? To nie wasza zakichana Lelonia, gdzie po białych brzozowych lasach białe niedźwiedzie hasają! My tu mamy porządne viplańskie drzewa, do których się brzoza nijak nie zalicza. Stąd – dokończył z lekkim zakłopotaniem – wygórowane ceny kory i problemy z jej

zakupem.

– Z Sovro nas mylicie – sprostował delikatnie Debren. Zignorowano go.

– To po coś na korze się ogłaszał? – przeszedł do kontraktaku Zecheniasz. – Papierni macie od cholery! – Ofertę tak się składa, by najłatwiej do adresata dotarła – pouczył go jasnowłosy. – To elementarz nowoczesnego przedsiębiorcy. A wiadomo, że na zachód od Rody, gdzie o manufakturę papierniczą niełatwo, po dziś dzień obwieszczenia na korze brzozowej się spisuje i na drzwiach karczemnych wieszają. Na widok papieru jakiś prostak z Zachodu gotów słoninę weń owinać. Albo na podpałkę wziąć zamiast hubki.

– Na zachód od Rody mało kto dolnogadackie bukwy złoży w słowo – zauważył Debren. – Mylicie nas z...

– Służba źle polecenia zrozumiała – wzruszył ramionami Udebold. – Ale po prawdzie tom nie w lełońskich zleceniobiorców mierzył. Wiadomo, że wasz kraj płaski jest i z drewna cały pobudowany.

Nawiasem mówiąc, pewnie dlatego tak was najeżdżają, boć to jawne prowokowanie spokojnych sąsiadów.

A mnie by się bardziej przydał ktoś oswojony z górami i kamiennym budownictwem. Dolnogadacze zaś w srogich górach żyją i na kamieniach się znajdują. Inna rzecz – skrzywił się – że architekci to z nich żadni. Mój dziadunio jak raz o tamtejszy dom kołem zahaczył, to mu, wystawcie sobie, pół ściany na łeb runęło. Dobrze, że w szturmaku był.

– Tych dzikusów chcieliście najmować?! – oburzył się zakonnik. – Lewokolców?! A tak w ogóle to Lelonia murowana od czasów króla Połokietnika. Słusznie Wielkim zwanego, bo się faktycznie po łokcie urobił, zastając kraj drewnianym, a ostawiając nie dość że murowanym, to jeszcze mało zadłużonym. Więc nie obrażajcie nas.

– To i do prowadzenia fury hełm u was trzeba zakładać? – Debren zerknął na stojący obok zaprzęg z mieszaniną słabo

skrywanej kpiny i dobrze skrywanej zazdrości. Niby wiadomo, że Wschód od zawsze był pół wieku do przodu, ale choć magun starał się brać na to poprawkę, nadal dawał się zaskakiwać nowatorstwem tutejszych rozwiązań. – Myślałem, że jeno jeźdźców rasowych rumaków ów przepis dotyczy. Ale do muła – zaniepokoił się nagle – chyba hełmu nie trzeba?

– Do muła nie – uśmiechnął się łaskawie Udebold. – Od prowadzącego furę też zresztą nikt nie wymaga, by w szyszaku jeździł. Choć owszem, był projekt wprowadzenia pasów, by w razie czego pijany woźnica z ławki na wyboju nie zleciał. Aleśmy, o naszym cechu mówię, oprotestowali, i póki co w życie nie wszedł.

– Cechu... wozackim? – Debren trochę się pogubił.

– No co też wy... Macie mnie za wążacza końskiego smrodu? Żaden Rimel nie żył nigdy z gapienia się na kobyłą rzyć! O kamieniarskim mówię. – Widząc, że czarodziej nadal nie rozumie, wyjaśnił spokojniej: – Projekt furostrad dotyczył, czyli, o czym pewnie w drewnianej Lelonii nie wiecie, dróg kamieniem moszczonych. I w nasz cechowy honor pośrednio uderzał, że niby materiał dostarczamy marny. Choć po prawdzie całkiem nie o to posłom szło, a o uniknięcie strat, które powoduje wypadnięcie furmana na furostradzie. Bo, jeszcze raz podkreślan, jeno traktów bitych dekret miał dotyczyć.

– A, rozumiem. Że niby na zwykłym gościńcu, w błoto i piach spadając, woźnica wielkiej krzywdy nie dozna?

– Woźnica? – zdziwił się kamieniarz. – A kogo obchodzi jakiś tuman, co z własnej fury zlatuje? O wozie mówię i ładunku. Oraz o budowlach, co nieopodal stoją. Pewnie się to w waszej lelońskiej głowie nie mieści, ale na furostradzie, dzięki twardej nawierzchni i resorom, prędkość pojazdów do prędkości szarzy rycerskiej niemal się zbliża. To sobie wystawcie, czym mogłoby się skończyć pozostawienie koni samopas.

– Tym, co u dziadka – pokiwał głową Zecheniasz. – Ale jako potomek furmana... bo rozumiem, że nie turystycznie po Dolnogadacji dziadek podróżował... no, nie powinieneś się chwalić, żeś projekt utracił. Woźnicy upadek na kamienną jezdnię też na zdrowie nie wyjdzie. Z szacunku dla pamięci przodka mógłbyś...

– Ile razy mam powtarzać, żeśmy kamieniarze i gwarki z dziada pradziada, a nie jakieś zaogonniki? Dziadek nie furą, a taranem o tę zasraną chałupę zahaczył! Bo w porządnej, zmechanizowanej rocie służył, a nie jakichś tam taborach! Debren odnotował w pamięci, że po raz pierwszy okazali się z Zecheniaszem zgodni: w oczach mnicha wyłowił taki sam chłodny błysk, jaki obejrzałby w zwierciadle.

Obaj też, równie zgodnie, szybko skryli emocje pod drętymi uśmiezkami.

– W Lelonii dziadek nie walczył. – Chyba nie byli dostatecznie szybcy, względnie Udebold należał do uważnych obserwatorów. – A tak w ogóle to z poboru go wzięli i krótko wojował, bo go szybko babka wyreklamowała. Raz, że bez gospodarza wydobyć w kopalni okrutnie spadło, gdyż stryjek, smarkacz natenczas, okrutnie... no, nieudolnie siłą roboczą gospodarował. Zaś dwa, że dziadek przy tej pacyfikacji srogiej kontuzji doznał i...

– Pacyfikacji? – Debren wcale nie chciał pytać, samo tak jakoś wyszło.

– Bezkrwawej – zapewnił skwapliwie Wehrleńczyk. – Bandy... partyzanci, chciałem rzec... no, zamordowali paru naszych. Nie wiadomo którzy dokładnie, więc wojsko... no, zburzyło parę lokali konspiracyjnych we wsi, gdzie rota dziadka stacjonowała. Chałup należących do terrorystów, znaczy.

I zważcie – podkreślił – że o paleniu mowy nie było. Wiele się mówi o niegodziwościach, co to je niby nasza armia w czasie Wojny Globalnej popełniała, ale zdaniem dziadka to

przesada. Pazrelicka propaganda. Której ofiarą i wy padacie, bo i was ci pogańscy niewdzięcznicy gorliwie o antypazrelizm obmawiają. Że to niby Oszwica w Lelonii, że nie przypadkiem tam właśnie... A co sami u siebie, na Bliskim Zachodzie czynią, i to dziś, z górą pół wieku po tamtej nieszczęsnej wojnie? To, co mój dziadek, dokładnie. Biorą taran i rozpieprzają komuś chałupę. Dziś, w piętnastym wieku!

– Dajmy spokój polityce – zaproponował Debren. – A po prawdzie to historii. Lepiej powiedzcie, panie Udebold, co miałbym dla was zrobić.

– No tak, prawda... – Udebold westchnął ciężko, choć chyba nie do końca szczerze. W głębi jasnych oczu zalśniło coś zbliżonego do satysfakcji. Obrócił się i wskazał trawnik, ozdobiony głazem, kołem i świecą. – Jak widzicie, religijności mi nie brak. Wiem, co się zmarłym należy. Ale mam pewien problem z...

– Upiorami? – zapytał cicho Debren. – Wyłazą z grobu i straszą? To dlatego kopalnia stoi? Młodzieniec uśmiechnął się smętnie.

– Nie owijajmy w bawełnę, mistrzu: to wehrleński kamieniołom. A dookoła wehrleński las. W czasie wojny też mocno eksploatowany dostawca materiałów strategicznych. Rozumiem, do czego pijesz. I masz rację: pełno tu mogił tych, co z przepracowania padli. – Wskazał trawnik. – Niewolników z całego Viplanu. Owszem, przy takiej koncentracji nienawiści i śmierci musiał się pojawić problem upiorów.

Ale właśnie dlatego już parę lat po wojnie skutecznie się z nim uporano. Nie my, nie patrz tak.

Władze okupacyjne. Bo widzisz, upiory z wielkiego rozumu nie słyną, i tak się składało, że najmocniej się wojakom dostawało. A w kolczugach i przy mieczu chadzali tu wtenczas Anvashe i Marimalczycy.

– Egzorcystami się posłużono? – zainteresował się zakonnik.

– Wapnem, kołkami, walcami do utwardzania traktów, traktorami znaczy, a jak inaczej nie szło, to młynami. – Zecheniasz skrzywił się, splunął z pogardą. – Macie rację, nie godzi się tak ludzkich zwłok traktoro... traktować, znaczy. Choćby i w połowie pogańskie były. Właśnie opowieści rodziców o tych koszmarnych praktykach taką mnie wrażliwością napełniły. Niby ekshumacje zakończono dawno temu, nim się urodziłem, ale... No, trudno zapomnieć, zwłaszcza tu i w naszej branży. Pewnie wiecie, że wzdłuż Nirhy na gwałt budowano łańcuch fortyfikacji: Wał Wschodni. Na ogół my, Wehrleńczycy, z porządku słyniemy, ale to była końcówka najgorszej z wojen, chaos. Bywało, zwłaszcza gdy już front podchodził, że jeden z drugim dowódca polowy, nie chcąc ludzi przemęczać, trupy miast do ziemi, w podziemia niedokończonych fortyfikacji pakował, i to tak, że drzwi trza było kolanem dopychać. Raz dostaliśmy zlecenie na rozbiórkę takiego cholerstwa. Wystawcie to sobie: otwiera człek zardzewiałe wrota, a tu mu się wali na łeb... No i – dokończył trochę bardziej pogodnie – nabawiłem się urazu nieodpartego.

– Do prac rozbiórkowych? – Debren pozwolił sobie na delikatną kpinę. Czuł, że może sobie na to pozwolić. Chłopak najwyraźniej go potrzebował.

– Do mogił i pogrzebów. – Jasnowłosy westchnął z przesadną ostentacją. – Sprawy zaszły tak daleko, że pogrzeb własnych rodziców opuścił. Serce się rwało, a uraz psychiczny nie puszczał. Mój duszysta mówi, że to się kompres nazywa.

– Kompleks – poprawił odruchowo Debren. – Dobrze zrozumiałem: o jednym pogrzebie mówisz?

– Jednej nocy zginęli. – Udebold przeszedł kilka kroków, wskazał skrytą za jedną z wiat kupę kamienia i belek, które rozglądający się po kopalni czarodziej wziął uprzednio za stos odpadów. – To był kiedyś nasz dom. Skromny, bo dziadek

wszystko pierworodnemu zapisał: stryjowi Ludfredowi.

– Tąpięcie? – pokiwał głową mnich. – Znam to. U nas w Małodobrowicach, któren to gród cały na kopalniach drewna ziemnego stoi, co i rusz budynek jakiś...

– Fura – przerwał mu cicho jasnowłosy. – Pijany woźnica zasnął za lejcami. A widzicie: dom pod samym urwiskiem stał. Górą las, więc nikomu do głowy nie przyszło... Ale los chciał, że i koń był z Lelonii. Przy wyrębie pracował od źrebaka. Stryj okazji kupił. Właśnie dlatego, że w lesie chowany. Bo z marimalskiej strony akurat wilkołak się tu zapuścił i choć niby szkód nie czynił, nasze konie bały się na nocnej szychcie chodzić. A ten nic, nawet grzywy nie zjeżył. No, ale cholernik wyćwiczony był, by się z zaprzęgiem między drzewami jako piskorz prześlizgiwać i skrótami chadzać. Jakoś nad urwisko dotarł i stamtąd całą trójką runęli: on, furgon i woźnica.

– Woźnica też był z Lelonii? – upewnił się Debren. I westchnął. – To u nas istne przekleństwo. Nie dość, że drogi podłe, jeszcze i...

– Właśnie dlatego, że drogi podłe – ujął się za rodakami Zecheniasz. – I klimat nie taki jak w Unirherii. Łatwo krytykować, gdy się wozem w ciepłe jeździ, po równych traktach i winem popijając.

A u nas mróz czasem taki, że jak grzanego piwa nie wypijesz, to po tobie. Bo droga podła i podróż okrutnie się ciągnie. Zaś piwo, wiadomo: od wstrząsów na wybojach pieni się. I co robi? Ano do głowy ową pianą woźnicy uderza. Szlachta to co innego, tę na wino stać, więc rzadko się słyszy, by jakowyś rycerz ciężką krakę na gościńcu spowodował. Ale prosty lud sam wina nie wyprodukuje, bo u nas za zimno. To i co pozostaje? A najgorsze, że wyjścia nie widać.

Pomilczeli przez chwilę.

– Król, chwalić Boga, pijaństwo zwalcza – mruknął w końcu Debren. – Ponoć rozwój gorzelnictwa mocno propaguje. Na razie gorzałka droga, ale może kiedyś piwo

wyprze, od czego i alkoholizm spadnie, i kultura wzrośnie, i zdrowie narodu.

– Kultura jazdy? – upewnił się Udebold.

– Ta też, alem myślał o szerszej pojętej. Bo to, nie ukrywajmy, żeby się piwem dobrze upić, trzeba wcześniej ze trzy razy za karczmę biegać. Zgorszenia od tego w grodzie więcej i chamstwa. Oraz nieczystości, a z nich chorób. Jak się grzańcem, więc na mrozie sika, też można sobie co nieco przeziębic. Albo taki furman, skoro już o nich mowa... Niby co ma robić, gdy go na szlaku potrzeba przycisnąć? Wiadomo: złązi z fury i w krzaki bieży. A na stojący po ciemku czy za zakrętem wóz łatwo wpaść i krzywdę sobie zrobić. Gorzałka, jak się rozpowszechni, powinna większość owych bolączek zlikwidować. Bo to i mniej moczopędna, i lepiej grzeje, i zarazki swą mocą wypala, i nie pieni się... Miejmy nadzieję, że królowi się powiedzie. I z gorzałką, a nie piwem, Lelonia się będzie ludziom kojarzyć.

– Daj Boże – zakończył uprzejmie Udebold, zerkając na stary i zaniedbany, ale chyba sprawny zegar słoneczny, spoczywający wielką granitową płytą przed gankiem.

– No, ale my tu gadu-gadu, a wam pewnie do roboty pilno. Za wielu Lelończyków tośmy tu nie zatrudniali, ale paru się trafiło i wiem, że z was pracowite chłopcy. – Błysnął zębami w żartobliwym uśmiechu. – Zwłaszcza gdy nie w marnych grublach płacą.

– Grublami się w Sovro... – zaczął Debren, ale sam z siebie urwał w pół zdania. Brat Zecheniasz nie zostawił wiele z dolnogadackiej części obwieszczenia, na samej górze nakreślono jednak kilka powszechnie zrozumiałych ikonek z myślą o niepiśmiennych. Nie było tam żadnej, która by sugerowała, że ogłoszeniodawca poszukuje nauczyciela geografii. Była za to moneta, dwakroć przekreślona, czyli złota, a wiadomo, że płacący złotem nie lubią być pouczeni.

– Nie za marności tego świata, a ku chwale Machrusa –

wymamrotał Zecheniasz, pobożnie wznosząc wzrok ku niebu.
– Uszanujmy jej pamięć i nie mówmy o pieniądzach. Mnie w każdym razie one nie interesują. Co zapewne – uśmiechnął się chytrze pod nosem – imć Debrena na przegranej pozycji stawia.

Debren, faktycznie przegrany, ograniczył się do soczystej klątwy. W duchu.

– I tak, i nie. – Udebold dokładnie skopiował uśmiech zakonnika. – Bo choć skromność nad wyraz sobie cenila, co mi budżet przedsięwzięcia drastycznie ogranicza, to skoro ty chcesz gratis posługę czynić...

– Gratis? – Braciszкови wyraźnie wydłużyła się twarz.

– ...mogę ci do pomocy mistrza Debrena nająć. Widać, żeście sobie do serca przypadli, jak to ziomkowie w krajach dalekich. Gdzieżbym miał serce rozdzielać was, a jeszcze jednego z kwitkiem odprawiać.

– Ale on... on się na tym nie zna! – podjął ostatnią, desperacką próbę Zecheniasz.

– Skąd możesz wiedzieć? – rzucił magun przez zęby.

– A ty skąd możesz wiedzieć, jak się z honorami grzebie istoty, o których nie wiadomo nawet, czy na pewno martwe?! I czy całkiem ludzkie?! No, skąd?! Czarodziej gwałtownie przerzucił spojrzenie na Udebolda. Po którego twarzy błąkał się już tylko żalony cień poprzedniego uśmiechu. Za mało, by przykryć... Nie. Chyba nie aż tak. Nie strach. Ale obawę, głęboką troskę – niemal na pewno.

Ciekawe. Ciekawość, nawet wspomagana niemą presją głodnego muła, to oczywiście trochę za mało. Ale tam, pod Berhem, wybrał chyba, mimo wszystko, mniejsze zło. Choć oferta nijak nie mieściła się w katalogu ofert, jakie otrzymują i na jakie się godzą jeżdżący bocznymi traktami czarokrądcy. Choć powinien ją z miejsca odrzucić.

Nie odrzucił. Dzięki czemu dorobił się muła, a teraz płynął barką do nowego, mądrzejszego życia.

Może... do niej? Nie wiedział jeszcze, ale przynajmniej dojrzał do postawienia sobie tego pytania.

A wszystko dlatego, że wziął robotę, jakiej zdrowy na umyśle magun żadną miarą by nie brał.

Niczego głupszego nikt mu nigdy nie zaproponuje. A muł musi jeść, nawet tutaj, w kraju, gdzie na każdej mili kwadratowej tłoczą się całe tuziny ludzi – przynajmniej statystycznie biorąc – i gdzie każdy kawałek jadalnej łąki ma przypisaną sobie krowę oraz właściciela.

Więc dobrze. Niech będzie.

– Stąd – powiedział spokojnie i bez cienia dumy w głosie – żem półtorej niedzieli temu właśnie w czymś takim uczestniczył. W Depholu, pod grodem Berhem. Na zlecenie sławnego rycerza Kipancha z Lamanxeny.

– Dom odnawiam – wyjaśnił Udebold, szerokim gestem wskazując puste klepisko i nagie ściany. Twarz Debrena chyba nadal zdradzała zaskoczenie, więc szybko dopowiedział: – Wiem, jak to wygląda, ale to nie to, co myślicie. Od lat tu mieszkam, nie dopiero teraz... Choć nie kryję: jedno się z drugim wiąże. W tym domu na świat przyszła, tu rosła, tuśmy się bawili jako pacholęta. Mówiąc krótko: każdy mebel mi ją przypominał, każdy kołek w ścianie.

– Kołek? – powtórzył lekko roztargniony magun. Intrygował go stan domu. Z kamiennych ścian powyrywano drzwi i okna. Podobnie jak kołki.

Jasnowłosa wyraźnie się zmieszał.

– Wiecie, jakie są dzieciaki... No, owszem: raz i drugi nieładnieśmy się z kuzyneczką zabawili.

Znaczy ja i brat mój starszy, Kawbert. W trójkącie, znaczy. Ale nie myślcie, że wiele gwałtu w tym było! Niby piszczala, nogami wierzgała, prawda, lecz prawdą też jest, że w skrytości ducha i ją owe igraszki radowały.

– Z kołkiem? – Zecheniasz, chyba nie mający jeszcze pewności, złożył palce, lecz nie kreślił póki co znaku koła. Udebold uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Ciut przesadziliśmy raz czy dwa, nie ukrywam. Sukienkę podarliśmy, cerować musiała. Ale krew nigdy więcej się nie poląła, jak Boga Kocham. Jeno za pierwszym razem. Bośmy, żółtodzioby, kołkiem mało ostrożnie...

Przerwał, trochę wystraszony nagłym machnięciem ręką tuż przed nosem. Mnich po trzykroć zakreślił koło, po czym, bez słowa, podsunął mu dłoń do ucałowania. Udebold, nie bardzo rozumiejąc, lecz idąc za wpojonym każdemu machrusaninowi odruchem, podziękował za dobry uczynek, cmokając kapłana w palce.

– Grzech to okrutny – rzucił surowym tonem zakonnik – ale ponieważ, jak widzę, żałujesz szczerze, nieletni wtenczas byłeś, pod opieką starszego brata, no i tylko ten jeden raz krwi z niej utoczyście, to cię mocą...

– A ile razy można krwi pannie upuścić? – warknął Debren.

– ...przez Boga i Kościół daną z grzechu oczyszczam. A ty, Debren, nie pakuj się między Pana a skruszone dzieci jego, bo cię co przykrego spotka. U nas, w grodzie Gorszawie, baba jedna na oczach tłumu własnym językiem się udusiła, bo się bez kolejki próbowała wepchnąć do spowiedzi. Zważ dobrze: najczystsze intencje mając, bo cóż może być szlachetniejszego od chęci obmycia skalanej duszy. I co? I trupem padła, bo ta przed nią już mówić zaczęła, przez co w niebie incydent pod zamach na sakrament podciągnięto.

Debren, oglądając czubki własnych cizem, pokornie wysłuchał pouczenia. Potem jednak podniósł wzrok.

Chłodny, mało przyjazny.

– Dalekie chociaż to kuzynostwo? – Udebold nie zdążył odpowiedzieć. – I ile lat miała, jakieście ją...? – Pierwszy raz to chyba... Zaraz, niech pomyślę... Kawbert musiał mieć ze dwanaście, bo wcześniej to za krótki był, by podołać... –

Debren poczuł ciepło na policzkach, a przede wszystkim złość, jako że nikt więcej nie zamierzał się rumienić. – Znaczy, ja miałem osiem, a ona szesnaście.

– No i widzisz? – rzucił triumfalnie Zecheniasz. – Dorosła kobieta, a ty się dwakroć młodszego pacholęcia czepiasz! Uwiodła go, uraz na całe życie zostawiła! Tak, tak: uraz, wiem, co mówię! Spójrz na owe dziury w ścianach! – Spojrzeli obaj, Udebold z równie niepewną, zdradzającą niezrozumienie miną. – Kamień, lita skała! Wiesz, jak silnej motywacji trzeba, by z takowego odwiertu kołek wyrwać? I po co? Drewno tanie! Nie widzisz, że nieszczęśnik koszarne wspomnienia tą metodą zabija? – Po prawdzie – wtrącił się nieśmiało Udebold – to kołki żelazne były. Z nadzartych rdzą klinów porobione, co to już do rozwalania skał za słabe, ale jeszcze całkiem grubaśne. Stryj Ludfred narzędzia na nich zwykł wieszać, młoty głównie. A co się kuzynostwa tyczy – zwrócił się do maguna – to bliskie było, bo ze stryja i naszego tatki bracia byli, jak ja i Kawbert. Nie myślicie chyba, że dokazywalibyśmy tak z jaką daleką krewniaczką.

– Nie myślimy – zapewnił w imieniu obu mnich. – W zaciszu domu, wśród swoich, łatwiej takowe niecne uczynki ukryć. Jakby tak, nierządnicą, po dalszych krewnych się rozjeżdżała i namawiała niewinne pacholęta do kołkowego procederu, to rychło...

– Zaraz... – zamrugał białymi rzęsami Udebold.

– Zaraz – rzucił przez zęby Debren. – Zardzewiały przecinak skalny pchaliście rodzonej kuzynce do...? Dżuma i syfilis!

– Zaraz! – wrzasnął gospodarz. Chyba jednakowo rozgniewany, co i wystraszony. – Co wy mi tu...?! W kaptur żeśmy pchali! Albo pętelkę, co to się na niej suknię wiesz! Co wy mi tu sugerujecie, zem dewiant jaki?! Kuzynkę na kołku za kołnierz wieszaliśmy, bo mała była, uciesznie jak lalka nogami machała! To wszystko! Nieładna zabawa, prawda, ale

przecie zabawa, a nie to, co wam po łbach łązi! Może u was, w Lelonii, takowe zwyczaje panują, ale tu się kuzynek kołkami nie chędoży! Debren znów poczuł pieczenie w uszach i policzkach, ale tym razem nie przejął się nim. Zecheniasz też przez chwilę umykał ze wzrokiem, no i z takiego rumieńca łatwo się było wytłumaczyć.

Udebold nie oczekiwał na szczęście przeprosin. Znikł na chwilę w sąsiedniej izbie, skąd wrócił z parą zydli. Marnych, ale innych trudno było oczekiwać w remontowanym domu.

– Siadajcie – mruknął. – I wybaczcie, że nie częstuję. Ale całe dobro do Kolbancu wyjechało.

– Piwniczka też? – zapytał rozczarowany mnich.

– Wszystko – uciął surowo gospodarz. Zaraz jednak przywołał na twarz melancholijny uśmiech. – I owe beczki umiłowaną kuzynkę mi przypominały. Bom ją – rzucił stanowcze spojrzenie Debrenowi – okrutnie miłował. Choć duszą, nie kołkiem żadnym. A że i beczek w zabawach używaliśmy, tom...

– Do staczania dziewczki z góry, pewnikiem – mruknął pod nosem czarodziej. O dziwo, jasnowłosy nie obraził się. Na odwrót, błysnął zębami w porozumiewawczym uśmiechu.

– Co, też to znacie? Ucieszna zabawa, prawda? Alem nie wiedział, że w Lelonii praktykowana. Bo to i gór u was nie ma, i z beczkami ponoć krucho. Wiem że w bukłakach z owczej skóry napoje przechowujecie.

– Mylisz nas z Kummonami. – Mimo to Debren odpowiedział uśmiechem na uśmiech. – A u nas, pod Dumayką, akurat trochę gór mamy. Pamiętam, jak mnie siostry do takiej beczkowej jazdy namówiły.

Omal się w Jelczu nie utopiłem, bom za cholere nie mógł w żaden brzeg wcelować, tak mi we łbie wirowało. Ale smarkaci wszyscy byliśmy, fakt, a ja najbardziej.

– Nie rozmawiajmy o beczkach – rzucił ponuro Zecheniasz. – Bo mnie, cholera, suszy.

– No tak, pomówmy o zleceniu. – Udebold spoważniał, wręcz sposepniał. – W obwieszczeniu szczegółów nie podawałem, bo zbyt bolesna to sprawa. Rzecz w tym, że Curdelia zmarła tragicznie.

– To ta kuzynka? – odgadł Debren.

– Właśnie. A że trzy miesiące już mijają, to i czas najwyższy, by jej przyzwoity pochówek zgotować. Godny hrabiny i pani na zamku z kamienia.

– Hrabiny? – Zerknął na rząd pustych otworów po kołkach na młoty. – Myślałem, że...

– Udanie za mąż wyszła – wyjaśnił Udebold. – We krwi to chyba miała, bo i jej matkę stryj Ludfred chudą i bosą przygarnął. No i proszę: ciotka kamieniarzową została, a Kurdzia... tak ją wołaliśmy... zamku i tytułu się dorobiła. Aż się serce kraje, że potomstwa Bóg jej odmówił, bo pewnie bym jakiej księżniczce wujował.

– Słyszysz, Debren? – pokiwał palcem mnich. – Oto jak opatrność nagradza uczciwe i bogobojne panny, co śladami babek kroczą i tradycyjne wartości kultywują. Plwać na te durne gadki o wyzwoleniu niewiast, babach na uniwersytetach czy takich tam. Masz tu, czarno na białym, receptę na samorealizację i prawdziwe szczęście niewieście. Pokora, mąż, dzieci, awans społeczny. W logiczny ciąg się wszystko układa.

– Nie wiem, dlaczego mi to mówisz.

– Bo to twój cech pierwszy zaczął przyjmować baby i o równouprawnieniu przebąkiwać.

– Curdelia nie miała dzieci – zauważył Debren. – A i w kwestii szczęścia... Osiem lat starsza od ciebie, Udebold, dobrze pamiętam? Czyli trzydziestki jeszcze nie miała. Jak na Wschód i hrabinę, to niewiele. Młodo biedaczka zmarła. Więc nie rozpoczynajmy jałowej dysputy, opierając się na jej przykładzie. Zwłaszcza że nietypowy.

– Nietypowy okrutnie – uprzedził zakonnika kuzyn

nietypowej hrabiny. – Śmierć zwłaszcza. I dlatego właśnie do was się zwracam, mężów światłych, subtelnych i pełnych zrozumienia dla ludzkich ułomności. A i dyskretnych z racji uprawianego zawodu.

Światli mężowie popatrzyli po sobie. Udebold wyraźnie akcentował liczbę mnogą, więc Debren po raz pierwszy nie doszukał się niechęci w spojrzeniu duchownego.

– W czym problem? – zapytał w imieniu obu magun. – I dlaczego sam się pochówkiem nie zająłeś? – Toć mówiłem: kompres mam na tle pogrzebów. A poza tym... no, mam podstawy sądzić, że biedna Kurdzia trochę... nieskromnie wygląda. Nie pytajcie; samo myślenie o tym boli. A ja ją chcę taką jak za życia pamiętać.

– I dlatego trzy miesiące się zbierałeś? – Ba. Trudno fachowca znaleźć. A i formalności długo trwają. To nie Lelonia, gdzie wystarczy sakiewkę urzędnikowi dyskretnie pod stół upuścić. Wy też będziecie musieli się do ratusza w Kolbancu zgłosić i uzyskać zgodę na wykonanie usługi.

– Tyle zachodu u was z pogrzebami?

– Nasz naród ze skrupulatności słynie, a i przestrzegania prawa. To chyba dobrze?

– Może i dobrze. Ale u nas, w Lelonii, kuzyn wziąłby łopatę i biedaczkę pochował, nie oglądając się na urzędy z ich pieczętkami i pergaminami. Bo pergamin, wiadomo, cierpliwy jest, a zwłoki nie bardzo. Zwłaszcza latem.

– Ta sprawa – powiedział z naciskiem i spoglądając mu w oczy Udebold – musi być załatwiona w idealnej zgodzie z przepisami. Idealnej, powtarzani. Wystarczy, że śmierć Curdelia miała nietypową. Nie chcę żadnych więcej komplikacji.

– A właściwie – Debren dojrzał wreszcie do tego pytania – to co jej się stało?

– Temmozańska magia – rzucił ponuro jasnowłosy. Debren jęknął w duchu, choć najgorszego ani jeszcze nie usłyszał, ani,

prawdę mówiąc, zupełnie się nie spodziewał. Wydawało mu się, że po wypędzeniu Czwororękiego z wiatraka nic gorszego go w branży pochówkowej nie spotka. No i pomylił się. – Jakiś sukinsyn najmita, pogańskie ścierwo, w kamień ją zamienił. Prawie całkiem.

– I w tym problem, że prawie – wzruszył ramionami mistrz Morbuger, nalewając piwa do srebrnych kufli. Miał gęstą, siwą brodę, granatowy kaftan z gwiazdą na piersi i wielki połączony medalion z herbem miasta Kolbanc. Właśnie tak Debren wyobrażał sobie grodzkiego czarodzieja. – Wynikł spór kompetencyjny, któremu z referatów sprawę powierzyć.

– Zieleni miejskiej? – na poły podpowiedział, na poły zapytał Debren. – Nie oni się cmentarzami zajmują?

– Plebejskimi. – Gospodarz podsunął mu kubek. – A tu szlachciankę mamy. I czarownicę.

Debren, szczęśliwie, nie zdążył zanurzyć ust w piwie, więc uniknął zakrztuszenia. Zecheniasz, który wcześniej trafił do kopalni braci Rimel i najwyraźniej zdążył usłyszeć więcej, jak gdyby nigdy nic wlewał w siebie frycfurdzkiego krzepkosza.

– Czyli albo straż pożarowa – ciągnął Morbuger – albo departament sukiennictwa i włókniarstwa.

– Hę? – zdziwił się Debren. Na wszelki wypadek po krzepkosza nie sięgał. – Sukiennictwa? Że straż do czarownicy, tom zrozumiał. Wiadomo: stos. Ale co mogą mieć sukiennicy do rycerskich pogrzebów?

– Żartujesz, konfratrze? – Gospodarz uśmiechnął się niepewnie. – To u was się czarownicami strażacy zajmują? No, owszem – przyznał po namyśle – jakiś sens to ma. Lelonia z drewna, a i, nie obraż się, zacofana nieco. Pewnie dalej, jak we wczesnowieczu, raz w miesiącu na rynku akuszerkę jakąś z dymem puszczacie, co? Więc jak się przypadkiem faktycznie wiedźma trafi, która telekinezy

liznęła, istotnie lepiej paru zuchów z cebrami i sikawką mieć pod bokiem. Ale my tu, widzisz, nowoczesnie i humanitarnie czarownice likwidujemy, jeśli już.

– Prawda – przyznał Zecheniasz, podsuwając gospodarzowi opróżniony kufel. – W piecu, dyskretnie. Ale wam powiem, panie Morbuger, że nasza metoda, choć niby konserwatywna i mniej ekonomiczna, swe zalety posiada. Od różnych głupot ludzi odciąga chociażby. Młodzież zwłaszcza. Miast podłe piwo po bramach chlać i za dziewczkami się uganiać, taki młodzianek przyjdzie, popatrzy, modlitwy wysłucha, domoralni się, a jak zimną porą i bezdomny, to i na koszt gminy ogrzeje...

– Domoralni? – wzruszył ramionami czarodziej grodzki. – Ładne mi domoralnianie, bracie. Nasi eksperci przebadali rzecz gruntownie i niezbiecie im wyszło, że metoda tradycyjna więcej zła niż dobra niesie. Bo to i kradzieże w tłumie rosną, i w ścisku poronienia się trafiają, gdy ciżba niedoszlą matkę przydusi, co, przyznasz, całkiem sens imprezy wypacza. A co do młodych, to owszem, przychodzą, tyle że po to, by gołą babę obejrzyć, w dodatku z bólu skaczącą, co widowisko jeszcze bezpieczniejszym czyni. Niby w koszuli się taką na stos prowadzi, ale wiadomo: już po pacierzu z koszuli nic nie zostaje, a baba jeszcze przez parę pacierzy, choć coraz bardziej rumiana, apetyczny kąsek sobą przedstawia. Odnotowano też przypadki splugawienia niewiast, które tłum unieruchomił tak, że się bronić nie mogły, a których wołanie o pomoc wycia skazanej i okrzyki gawiedzi zagłuszyły. Nie, bracie Zecheniaszu. Kto jak kto, ale tyś wiedzieć powinien, że eksponowaniem golizny nikogo od grzeszenia nie odwiedzisz.

– Kto jak kto? – powtórzył Debren, posyłając zakonnikowi badawcze i schłodzone nagle spojrzenie.

– Nie wiedziałeś? – uśmiechnął się pod nosem gospodarz.
– Twój partner za eksperta tu uchodzi od owych spraw.

Oczywiście o łożkowych mówię, nie zwalczaniu niekoncesjonowanego czarnoksięstwa. Naprawdę nie słyszałeś o sławnym Zecheniaszu Baryłeczce? – zdziwił się.

– Nie reklamuję swej misji w kraju – wyjaśnił zakonnik. – Skromność to moja dewiza. Ale też, po prawdzie, lelońskie kroniki, te co większe, Pazrelici w rękach dzierżą. A małych, patriotycznych, które mej kołomyi nie przemilczają, jakoś ludzie kupować nie chcą.

– Jeśli o naszych kronikach mowa – zauważył pogodniejszy już Debren – to raczej wehrleński kapitał za nimi stoi, nie...

– Tak? A „Gazeta Elekcyjna”? A „Takiego Wała!”?

Debren, z braku argumentów, zajął się piwem.

– O sporze kompetencyjnym zaczęliście mówić, mistrzu – przypomniał, ocierając pianę z ust.

– A, tak. Widzę, że lelońskie unormowania od naszych się różnią, więc wyjaśniam, że w Unirherii właśnie z ogniem się szlacheckie pochówki wiążą. Tradycja taka. Wzdłuż Nirhy się nasze księstwo ciągnie, z nią się jego losy spletały od zawsze, to i nie dziwota, że nasi przodkowie sporo żeglowali. Gdy zulijskie legiony Marimal podbiły, to rzeką główna linia obrony przebiegała.

Mniejsza z tym, kto się akurat bronił; ważne, że od forsowania Nirhy wojnę zaczynano. No i utarło się, by sławnym wodzom, drakleńską modą, pogrzeb czynić poprzez spuszczenie ich na rzekę w płonącej łodzi.

– Tfu, pogański zabobon – skomentował mnich.

– Prawda – zgodził się Morbuger. – Za to widowisko budujące. Owe płomienie zwłaszcza. Taka już Wehrleńczyków natura, że lubią ceremonie z udziałem światła. Osobliwie: nocne marsze zbiorowe z pochodniami. Interpretuje się to jako potrzebę niesienia w świat płomienia wiary, miłości i postępu, dzielenia się nimi z upośledzonymi narodami Zachodu. Więc potem, jak łaska na naszych przodków spadła i ochrzcili się, zwyczaj łączenia pochówku i efektów

świetlnych pozostał. Zwłaszcza że kapłani ze świątyni ognia zagrozili misjonarzom rewoltą pogańską, jak ich w jaki szanowany zakon nie obróca i ognie tak do końca z obrzędów skreśla. Stąd, jak mówią, wzięła się moda na świece w kościołach. Bo raz, że wśród pogan kult ognia wszędy był popularny, a dwa, że akurat ku północy Viplanu ewangelizacja z Żuli szła. Czyli do krain w lasy zasobnych, gdzie bartnictwo kwitło, drewna na łuczywa nie brakowało, a wytwórcy wosku nie mieli co z nadprodukcją począć. I oto pojawił się potencjalny odbiorca, gotów wziąć każdą praktycznie liczbę świec. Kościół znaczy. A że bartnicy także rynkiem miodu rządzą, czyli i nastrojami, gładko przeforsowali zmianę religii i bez wielkich wojen kolejne narody koło przyjmowały.

– Wasza wizja machrusyzacji kontynentu – oznajmił chłodno Zecheniasz – wydaje mi się ciut cyniczna. Od razu widać, żeście czarodziej.

– A strażacy pożarowi? – upomniał się Debren.

– Z odłamu czcicieli ognia się ów cech wywodzi – wyjaśnił niezrażony krytyką gospodarz. – Na zakonników się nie załapali, ale im pozostawiono wraz z innymi przywilej nadzorowania możnowładczych pogrzebów.

– Rozumiem. Zaś sukiennicy...

– Czarownicami się zajmują. Z przyczyn oczywistych chyba.

– Mina maguna zdradziła czarodziejowi, że oczywistość bywa względna, więc Morbuger westchnął i wyjaśnił: – Podejrzaną goli się na wstępie, by ustalić, czy się diabeł w kudłach nie ukrył. To robota balwierza. Nadażasz? – Debren kiwnął głową.

– A cech balwierzy za mały jest i, póki co, za mało ważny, by mu osobny referat w ratuszu fundować. Więc się go pod branżę urody i zbytku podciąga, razem z perfumiarzami, złotnikami artystycznymi, pacykarzami no i, ma się rozumieć, sukiennikami. Ci ostatni, jako najpotężniejsi, całą gałęzią rządzą. Choć chodzą słuchy, że się mają balwierze usamodzielnąć. To przez tych cholernych Marimalczyków zza

miedzy. Nie dość, że ich baby cuda z włosami wyczyniają, na kołki je nawijając, to jeszcze jakowegoś... jak mu tam?... szampana wymyślili czy inne paskudztwo, którym łby, także męskie, myją. No i doszli balwierze do takiego znaczenia, że się na samodzielną branżę wybili.

– Tfu, wstyd słuchać – przeżegnał się lewą ręką Zecheniasz. W prawej trzymał świeżo napełniony kufel.

– Świat na psy schodzi – zgodził się z nim gospodarz. Łyknął z kufla, zaczął grzebać pośród rozrzuconych po stole papierzysek. – Mam tu gdzieś to wasze zezwolenie.

– Dzięki, konfratrze – uśmiechnął się Debren. – Miło u was sprawy urzędowe załatwiać. Już się bałem, że ów spór kompetencyjny...

– Nie mów hop, póki fosy nie przeskoczysz – odpowiedział uśmiechem Morbuger. – Moje zezwolenie wam daję i straży. Znaczy się, możesz jako magun ekspertyzę odnośnie stanu zwłok wystawić, ale od strony magicznej, nie medycznej. Bo na to, byś akt zgonu wypisał, trza jeszcze miejskiego epidemiologa uprosić. Jak rozumiem, tym się brat Zecheniasz zajmie, lecz to jeszcze...

– Zecheniasz? – Debren uniósł brwi. Morbuger odwzajemnił mu się ironicznym uniesieniem kącika ust.

– Domyślam się, czym się Udebold kierował, duchownego najmując. Wiadomo: gdy kto szuka epidemiologa albo braciszka Baryłeczki, to pierwsze kroki kieruje do zamtuza. Jednego najlepiej, bo zwykle razem przesiadują, piwo żłopiać.

Ku zaskoczeniu Debrena, mnich ograniczył się do niedbałego wzruszenia ramionami.

– Czymś trza czas zabijać, jak się na dziewczkę czeka.

– Na dziewczkę? – Nie gap się tak głupio. Z wodą, nie tym, co myślisz. Widzę, żeś faktycznie o mnie nie słyszał.

Cholerne pismaki manipulatory... A ja list pochwalny od samego Ojca Ojców dostałem. Za propagowanie nowoczesnych, nieinwazyjnych metod planowania rodziny.

– Brat Zecheniasz – wyjaśnił Morbuger, nie gubiąc jakoś swego uśmiešku – szklankę zimnej wody nadmiernie rozochoconym podaje. Która to szklanka, jak ustalił, płomień grzesznej chuci skutecznie gasi.

– W ladacznicach? – zamrugął Debren.

– Wiem, co powiesz – rzucił mu kwaśne spojrzenie specjalista od metod nieinwazyjnych. – Ale, jak mawiał święty Sekatoryk, patron ogrodników: „Przez łąno ku różom”. Nie moja wina, że władze nie wykazują należytego zrozumienia dla problemów podtrzymania moralności i jeno zamtuźnice stosownym podatkiem obciążęły.

– A kto niby ma podatek od chędożenia płacić? – wzruszył ramionami gospodarz.

– Szarą strefę trza opodatkować! – błysnął oczami Zecheniasz. – Pozamałżeńskie dudkanie! Akcyzę przywalić! – Ba, łatwo rzec. Raz, że cudzołóstwo skrywane silnie bywa, a dwa, że, wybacz wyrażenie, przepływy dóbr miewają tam zwykle charakter bezgotówkowy. Ty sam całymi dniami jeno po zamtuzach przesiadujesz, bo jeno tam ci się srebro samo pcha do kiesy.

– Jakie srebro?! Miedź marna! Tyle odpisu z podatku uciesznego Kościołowi przypada, co kot napłakał! Gdybym się rozdawnictwem wody nie posiłkował, a i to głównie pośród klientów, z torbami bym chyba...

– Zarabiasz, rozdając szklanki zimnej wody klientom zamtuzów? – zapytał z niedowierzaniem Debren. – I to... funkcjonuje?

– Rzucają na tacę – mruknął Zecheniasz. – Nie powiem: w tej grupie pacjentów skuteczność nie jest wielka, ale bywa i tak, że co niektórzy zawróci.

– Bo mu do rachunku zabraknie – skomentował Morbuger. – Albo by drugimi drzwiami wleźć.

– Nawet jeśli, to nie z myślą o tych grzesznikach metodę opracowałem. Nie po skutkach trza bić, a po przyczynach.

A przyczyna jest taka, że nikt w porę młodziankom zagubionym z pomocą nie bieży.

Bo to parafie duże, kupa roboty ze ściąganiem dziesięciny, remontu dzwonnicy trza przypilnować... A ja, za te marne denary w zamtuzie zebrane, mogę swą beczkę wodą źródlaną napęlnić, wyświęcić i setkom potrzebujących podać.

Debren dopił piwo, odstawił kufel.

– O skakaniu przez fosę wspomnieliście...

– Ano tak – westchnął gospodarz. – Zecheniasz z medykem osuszył niejedną beczkę piwa, więc tu pewnie kłopotów nie będzie, byle doktora znaleźć.

– O tej porze – zerknął na klepsydrę mnich – powinien być pod „Jedwabną Onucką”. Przy takim upale to pewnie w loszku, ze Skórzaną Ammą.

– Więc w czym problem? – Debren uparcie wpatrywał się w Morbugera. Zamtużne loszki kojarzyły mu się z Lendą Branggo, a skojarzenie niemal bolało. Chciał jak najszybciej zmienić temat.

– Strażacy mają umowę z tutejszymi kamieniarzami. Chcecie szlachcica chować, proszę bardzo. Ale musicie majstra stąd, z Kolbancu, do roboty najać. Materiał, jak zgaduję, dostarczy Udebold. A przy okazji: dalej się z ową karuzelą wygłupia?

– Karuzelą?

– Najał, krętacz, paru chłopców, Dolnogadaczy i Wezyratczyków, bo najtańsi. Udaje, że kopalnia stoi, a oni jeno dla szczeniackiej zabawy na kieracie się kręcą.

– Chcecie powiedzieć...? – poruszył się niespokojnie Zecheniasz.

– A co, nie wiedziałeś? – roześmiał się czarodziej grodzki. – Splajtował, utracysz jeden. I to tak, że mu ponoć komornik drzwi z chałupy zasekwestrował, kołki ze ścian, wszyściutko, co się wywieźć dało.

– A łajdak! – Kufel braciszka, na szczęście pusty, trzasnął

gniewnie o stół. – Pazrelita pewnikiem! Chłopakowi łza się w oku kręci, kiedy na dziury po owych kołkach patrzy! Tak mu się z kuzynką kojarzą!

– Nie przesadzaj, fach taki. Sam bym ruchomości zabrał, bo wiadomo, jaki z Udebolda przedsiębiorca: ostatni zaprzęg w kości przerznął, a potem jeszcze wstydu sobie narobił, wyklócając się o piąte koło, że niby wcale nie zapasowe i się temu, co wygrał, nie należy. Ciekaw jestem, jak je przed komornikiem zamierza zabezpieczyć.

– Chyba wiem – mruknął Debren, przypominając sobie trawiastą mogiłę. Od symboli religijnych nawet najzjadlejsi komornicy woleli trzymać się z dala.

– Na te bujdy o karuzeli – ciągnął Morbuger – też długo nie da rady wierzycieli nabierać. Urzędników może, ale nie konfratrów. Kto jak kto, ale kamieniarze szybko się poznają, że kopalnia czynna. I na zyski z wydobycia wsiądą. Co z kolei oznacza, że nikt z cechu łatwo mu nie skredytuje. I tu problem mamy, bo wam jak nie sam majster, to choć zaświadczenie od majstra potrzebne.

– Powiedział, że ogromny spadek dziedziczny. Jakaś fabrykę zamków, posiadłość ziemską, dwór... Za medalik się trzymał, jak to mówił. I w oczy patrzył.

– Ale gotówki nie wysupłał, prawda? – Debren nie odpowiedział. – No cóż, zełgać to wam nie zełgał.

Niby wszystko się zgadza. Kopalnia Rimelów ma certyfikat na kucie wielkowymiarowych elementów fortyfikacyjnych, czyli formalnie można ją pod fabrykę zamków podciągnąć. Tyle że z wielkiej płyty to się twierdze jeszcze jeno u was, na Zachodzie, stawia. Praktyka udowodniła, że technologia gówniana jest. Węzły puszczają, ściany się rysują, izolacja marna... Nikt już dziś tak nie buduje.

Zaś co się posiadłości tyczy i dworu, to pewnie Dopschpiek miał na myśli forteczkę dochodową niegdyś, ale obecnie z jedną tylko wsią i gwałtownie tracącą na wartości.

– Umówiliśmy się na trzy dukaty plus wikt dworski dla mnie i muła – powiedział spokojnie Debren. – Nie mówcie, konfratrze, że się tyle z zamku, wsi i kamieniołomu nie wyciągnie.

– Nie mówię, uprzedzam jeno, że możecie trochę na zapłatę poczekać, a robota niekoniecznie będzie lekka i przyjemna. Bezpieczeństwa też nie gwarantuję.

– Ale... wiedźma nie żyje? – zaniepokoił się Zecheniasz. – Skoro strażacy grzebać zezwolili, to, jak rozumiem, urzędowo stwierdzono...

Gospodarz nie zdążył odpowiedzieć. Nie poprzedzany pukaniem, do gabinetu wkroczył zwalisty, ostrzyżony na jeża drab w czarnym skórzanym kaftanie. Na piersi nosił medalion w kształcie zębatego pyska, wilkołaczego chyba, a na plecach dwa spore miecze. Miał około trzydziestki i ze trzydzieści różnej wielkości blizn na odsłoniętych fragmentach ciała. Głównie na twarzy, więc trudno było ocenić jej wyraz.

– Rimelównę ponoć chowają. – Ochrypły głos też niewiele Debrenowi powiedział. Ale i tak więcej, niż magun oczekiwał, jako że przybysz posługiwał się staromową.

– Hrabinę ode Dopschpick – sprostował dość delikatnie grodzki czarodziej. – Trochę szacunku, Boebbels. Ode Dopschpickowie w ośmiu kołomyjach uczestniczyli, a znów przodkowie hrabiny połowę z nich sponsorowali.

– Bo im przed pierwszą wierni spalili kantor i parę bab porządnie wychędożyli. Nie wciskaj mi, że choć jeden Apelbluk z dobroci serca jakiegoś machrusanina wspomógł. To złodzieje i zdierycy.

– Bankierzy, mistrzu. Jest pewna subtelna różnica. Nie mówiąc o tym, że świętej pamięci Curdelię niewiele z Apelblukami łączy. Już jej babkę z rodu spektakularnie i na wieki wieków wykreślono. Obie też chrzest przyjęły.

– Dla pozorów. Ale nie przyszedł ci prawd oczywistych do łba wbijać. To są te sovrojskie głupki?

– Lelońskie – sprostował Morbuger. – I miarkuj słowa, Boebbels. Mistrz Debren znakomicie staromową włada, a brat Zecheniasz jeszcze i wehrleńskim. Powiedz lepiej, co cię sprowadza.

Krótkowłosy nie przejął się popełnioną niezręcznością. Posłał Debrenowi spojrzenie, żadną miarą nie przypominające skruszonego.

– Nie lubię Lelończyków – wyznał szczerze. – Dziad mój w Lelonii poległ. Ale że z was mimo wszystko Machrusa poddani, po dobroci wam doradzę, byście dali sobie spokój z tą robotą dla młodego Rimela. To mięczak. Zgniłek co młota nie udźwignie, a kamieniarzem się mieni. Elegancik. Ale na złoto łasy jak mało kto. Myślicie, że czemu sam nie pognął na Dopschpick, by schedę po wiedzimie brać? He?

– Bo mięczak – odpowiedział chłodno Debren. – I nie zniósłby widoku zwłok ukochanej kuzynki.

– Łajno prawda. Wiem z doświadczenia, że karły i insze poczwary dużo lepiej się prezentują, jak im kto litościwie bezsensowny żywot skróci. Choćby skracał tnąc po żywocie i prując flaki. To jak z robalem: rozdeptany mimo wszystko mniej wstrętnym się widzi.

– Karły? – Debren zerknął na gospodarza.

– Toś nie wiedział? – uśmiechnął się niewesoło Morbuger.

– Dziw, że Rimel tego argumentu w negocjacjach nie wykorzystał. Mniejsze zwłoki, mniej roboty.

– Bo niegłupi – wzruszył rozłożystymi barami Boebbels. – Na rękawice musiałby dorzucić, a może i widły, bo normalny człek brzydzi się czegoś takiego tykać. Że z baby wiedzma była i Pazrelitka, też pewnie zapomniał powiedzieć? Świński pies... Przez takich właśnie Wehrlen ku zgubie się chyli. Oni tu cudzorobów sprowadzają. Gdzie nie spojrzysz, czarna wezyracka morda. Robotę nam, cholerni imigranci, odbierają.

– Trudno Wehrleńczyka do kamieniołomów nająć – zauważył gospodarz.

– Do kamieniołomów? – parsknął z goryczą krótko obcięty.
– Na jakim ty świecie żyjesz, Morbuger? Tym brudasom już nie młot i widły do gówna się teraz marzą, a różdżki i miecze! U nas, mały jedne, chcą czarować i porządku pilnować! Niby kto tę sukę ubił? Jakiś temmozański partacz! Co nawet dobrze klątwy rzucić nie potrafił, bo się jeszcze babsko ruszało, choć niby skamieniałe!

– Boebbels, mam robotę. Mów krótko, czego chcesz.

– Krótko? Niech będzie. – Dryblas pochylił się nad Debrenem, wspierając sękatę łapska o podłokietniki jego krzesła. – Krótko to wam powiem, panie Lelończyk, byście się z dala od zamku Dopschpick trzymali. Bo korzyść wam z tego wielka nie przyjdzie, a coś złego może nader łatwo spotkać. Bo wiedźma zasłużyła na to, by ją kruki i szczury w brzuchach pochowały, zaś to, co w kamień zmienione, gołębiom za wychodek służyło. Bo suka to, która już jako gówniara w porządnych gwarków wehrleńskich kamieniami ciskała, przez co teraz cudzoziemców zatrudniać trzeba.

– No, teraz toś przesadził. Gdybyś ekonomii liznął...

– Zamknij się, Morbuger. Łajno wiesz. – Pocięta bliznami gęba niemal wbiła się nosem w nos Debrena. – Myślisz, że się nad tobą ulituje, magiku? Bo jej chcesz przysługę wyświadczyć? Po machrusańsku pogrzebać? To ci powiem, że właśnie takich, co jej dobro świadczyli, owa suka z największą ochotą mordowała. Każde dziecko tu wie, że ojca rodzzonego jak psa udusiła, i to już po tym, jak ją za najlepszą partię w okolicy wydał. A matka? Nie miłuję ja Pazrelitów, ale nawet mnie się nieswojo zrobiło, kiedy jej wycia słuchał. W takowej męce umierała, że na koniec rozum jej odjęło i się nożem pchnęła. A czemu? Bo jej jedyna córeczka w brzuchu naczarowała. Przy okazji nienarodzonego braciszka utrupiając.

– Dziecko poczęte zabiła? – Zecheniasz po raz pierwszy poruszył się niespokojnie na swym krześle.

– Dziwi cię to, ojczy? – Boebbels, ku skrywanej, ale głębokiej uldze Debrena, cofnął się, stanął obok stołu, krzyżując ręce na piersi. Słońce błysnęło na rękojeściach mieczy. Tej stalowej i tej posrebrzanej. – Takie bezpłodne potworzyce wszystkich dzieci nienawidzą. Niby dlaczego, może mi wyjaśnisz, Morbuger, w jedynej wsi ode Dopschpicków tak dietność spadła w ostatnich latach?

– Czarodziej jestem, nie demograf. Niby skąd mam wiedzieć? Wszędzie spada, to pewnie i tam...

– Bo mleka, suka, niemowlęta pozbawiła! I pół bab marimalską francą pozarażała, zbiorowe dudkanie uprawiając! – Zecheniasz, mocno wstrząśnięty, przeżegnał się, zapominając o trzymanym w dłoni kuflu. Paru dokumentom Morbugera dostało się, na szczęście tylko pianą. – Wszystkie dziewice ze wsi pouciekały, a połowa kawalerów za nimi. Taka ta wasza klientka, panie czarodziej.

– Moim klientem – mruknął Debren – jest Udebold.

– Bankrut i gołodupiec. Którego prawa do spadku po Curdelii, czytaj: hrabi, nader ławo mogą być podważone. Bo i męża czarownica zamordowała, co prawo do dziedziczenia przekreśla.

– Nie bądź naiwny, Boebbels – wzruszył ramionami gospodarz. – Jakby tak uśmiercenie współmałżonka do wydziedziczenia wiodło, pół koronowanych głów Viplanu żebrakami by dziś było. A śledztwo, jak wiesz, hrabinę oczyściło z zarzutów.

– Ja tam wiem swoje. Zabiła i jego, i tę biedną służącą, a potem jeszcze wmówiła śledczemu, że to wypadek przy chędożeniu. Ładny mi wypadek: połowa kości połamana, hrabia do łoża przywiązany, a dziewczka ze śladami po pejczu. Gówniane prawo mamy, i tyle. Na podstawie takich dowodów normalny sąd sto razy by babę skazał.

– Ale, póki co, Udebold dziedziczy? – upewnił się brat Zecheniasz. Wyraz twarzy Boebbelsa wystarczył mu za

odpowieź. – No cóż, to niestety sprawę przesądza. Nie powiem, że z ochotą, ale chyba muszę swą misję kontynuować. Rozumiem was, panie Boebbels. Sam jestem i patriotą, i miłośnikiem tradycji, i człkiem rozumnym, który zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakie pazrelicka dominacja stwarza. Ale w pierwszym rządzie jestem sługą Kościoła i Boga. A oni nakazują, by zmarłego pochować. Zwłaszcza gdy za życia nagrzeszył i istnieje realne zagrożenie, że się po śmierci w coś paskudnego zmieni.

– Prawda – poparł go Debren. – Zbrodniarka, zamek, śmierć z ręki pogańskiego czarownika. Przepis jak z ostrogrockiego romansu grozy. Założę się, że paskudny bies z takiej mieszanki powstanie. To tylko kwestia czasu – A że już ponoć trzy miesiące minęły, odkąd hrabina zmarła, lepiej nie zwlekać. Trochę się dziwię, panie Morbuger, że władze tak sprawę zaniedbały. Toć każdy wie, że nieumarli i insze potwory potrzebują trochę czasu, by się w nową formę bytu przedzierznąć i że to wtenczas na etapie przepoczwarzania, najlepiej je likwidować.

– Nie ucz ojca, jak dzieci płodzić – warknął właściciel wilkołaczego medalionu i pary mieczy. – Myślisz, że od czego tu jestem? Gdyby nie te cholerne przepisy, już dawno...

– Nie pyskuj na przepisy, Boebbels – upomniał go Morbuger. – Na nich się siła naszego narodu opiera. Na porządku i dyscyplinie. Sam to na okrągło powtarzasz, A przepis wyraźnie mówi, że bez nakazu nie wolno ci nawet na drogę włączyć, bo sobie tego właściciel nie życzy. Zaś inaczej niż drogą do zamku nie dojdiesz.

– To i oni nie wleżą – wskazał Lelończyków dryblas.

– Wleżą, bo duchownych, medyków i służb grzebalnych ów zakaz nie dotyczy.

– Nadpodludnik jestem – warknął. – I to na urzędzie.

– Owszem – zgodził się spokojnie czarodziej. – Znam przepisy. Możesz, a z urzędu nawet musisz wleźć wszędzie,

gdzie się potwór uaktywni i ludziom zagraża. Tyle że to nie ten przypadek, przyjacielu. Rada po konsultacji uznała oficjalnie Curdeię ode Dopschpick za warunkowo nieżywą. Co pozwala wszcząć procedurę naliczania podatku spadkowego. Przykro mi, Boebbels, ale burmistrz na gwałt gotówki potrzebuje i mu ta śmierć dziedziczki jak z nieba spadła. Więc choćby coś wieśniaków całymi tuzinami wokół Dopschpicka ubijało, nikt cię bez poważnych dowodów na górę nie puści.

– Były wypadki zabójstw? – zmarszczył brwi Debren.

– Ludzie znikają – zgrzytnął zębami nadpodludnik. A wy, urzędasy, w zydle pierdzicie.

Morbuger zmierzył go chłodnym spojrzeniem, uprzejmie, ale też jednoznacznie wskazując drzwi.

Nadpodludnik, co specjalnie Debrena nie zdziwiło, poprawił gniewnym ruchem ułożenie mieczy, ale sięgnął po klamkę, nie rękojeść. Nie otwierając jeszcze, posłał magunowi mroczne spojrzenie.

– Z karczmy wieżę bramną widać. Jak się okaże, że dziewczka nie do końca martwa, wleiesz na pomost i dasz znak. Resztą ja się zajmę. – Debren, nie poruszając żadnym mięśniem, spoglądał mu w oczy. – A jak się okaże, że żyje, a tyś znaku nie dał, to zajmę się tobą. Rozumiemy się.

To nie było pytanie i pewnie dlatego wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Mur był porządny, wysoki, z koroną nabijaną żelaznymi kolcami. Istna forteca z zarośniętym pokrzywami rowem odwadniającym w roli fosy. Spojrzenia oczywiście nie przepuszczał, ale dźwięki już tak.

– Miłego śniadania! – zawołał Debren, klnąc w duchu dobiegający z cmentarza łomot i błogosławiąc go zarazem. Nieopodal, pod chruścianym płotkiem plebejskiej części

nekropolii, siedzieli żebracy, którym nie rzucił ani denara. O czwartej klepsydrze popołudnia mogliby uznać tego typu pozdrowienie za okrutną kpinę. A innych powitalnych formułek, póki co, nie znał. Na barce pasażerów karmiono raz dziennie i tylko wtedy roznoszący kaszę kucharz raczył się do niego odzywać. Personel barki, podobnie jak żebracy, nie lubił takich, co skąpią napiwków.

Błędne koło, dzuma i syfilis. By kupić najtańszy słownik i wyjaśnić, że nie ma ani miedziaka, potrzebował choć paru miedziaków właśnie. Prawdę mówiąc jego samotny objazd kolbanckich zakładów kamieniarskich nie miał wielkiego sensu: trzy czwarte zagadywanych w staromowie majstrów odpowiadało wzruszeniem ramion i wracało bez słowa do kucia. Jakiś litościwy przedstawiciel rozumiejącej go ćwiartki wyjaśnił magunowi, że klienta, którego nie stać nawet na tłumacza, nikt nie potraktuje poważnie. Debren sam wiedział, że wyruszanie bez Zecheniasza nie rokuje powodzenia, ale nie mógł wysiedzieć pod „Jedwabną Onucką”, czekając, aż Skórzana Amma skończy seans.

Uśmiechająca się zza szynkwasu blondyneczka za bardzo przypominała mu Ksemi, zamtuzmama była ruda jak Dunne, a kiedy w zacienionej sieni mignęła sylwetka jakiejś wyrosniętej, czarnowłosej pannicy, serce dosłownie podeszło mu do gardła. Do tego stopnia, że Zecheniasz sam z siebie, o nic nie pytając, podsunął mu pełną szklankę swej sławetnej zimnej wody. Trochę pomogło, ale wołał stamtąd uciec.

– Mistrza kamieniarskiego szukam! – krzyknął w staromowie, nie doczekawszy się odzewu. Nie robił sobie nadziei: o tej porze, na cmentarzu, mógł trafić co najwyżej na kończących robotę czeladników.

Łomot młota, o dziwo, ucichł.

– Którego? – zapytał w staromowie młody, męski głos.

– Obojętne. – Debren próbował skłonić muła, by podszedł bliżej muru, ale trącane piętą zwierzę tylko zerknęło

wymownie na porastające rów pokrzywy. – Jestem Debren z Dumayki, czarodziej, i fachowca chcę nająć do pomocy. Jest grób do zrobienia.

– Masz różdżkę?

– He? No... mam. A dlaczego...?

– To se ją w rzyć wetknij! Niski jestem, alem tak nisko nie upadł, by mogiły okradać. Choćby i te zasobne, magią zabezpieczone. Won, hieno, bo jak wyjadę...

– Źle mnie zrozumieliście, panie...

– Wilband, Niskim zwany. Artysta, mistrz kamieniarski i przedsiębiorca grzebalny, do usług. Jak chcesz sobie popiersie zamówić, dom postawić albo dać się pochować, to zapraszam. Ale z innymi propozycjami to nie do mnie.

– Znasz się na budowaniu? – zapytał Debren, kryjąc radosne zaskoczenie. Wschód postawił na specjalizację i cech kamieniarzy z dawien dawna nie składał domów, dróg czy mostów z tego, co pozyskał w kopalniach. Od tego byli mularze i w ramach zlecenia Debren miał wystarać się także o budowlańca. – Musimy pogadać. Jak tam do ciebie wjechać? Wilband milczał przez chwilę. Kiedy przemówił, w jego głosie nie było już domieszki poprzedniej arogancji. Zastąpiło ją coś zbliżonego do skrywanej rezygnacji.

– Bramą. Ale to z drugiej strony, szmat drogi. Lepiej powiedzcie, w czym rzecz. Bo może szkoda jechać.

Debren zawahał się. Pertraktacje w ciemno, bez szansy zajrzenia kontrahentowi w oczy? A nuż dobieje targu z czerwono nosym obibokiem, zionącym tanim winem. W branży murarskiej nietrudno o takich. Z drugiej strony: pewnie i tak łajno z tego wyjdzie. Cmentarz był ekskluzywny i ktoś, kto dostawał zlecenia na tutejsze nagrobki, pewnie go po prostu wyśmieje. A śmiechu łatwiej słuchać zza muru.

– Mamy pochować Curdelię ode Dopschpick, hrabinę. Robotę zleca Udebold Rimel, jedyny spadko...

– Ten bankrut? – Debren westchnął w duchu i trącił piętą

bok muła. Nie mieli tu czego szukać. – Co oferuje? Zaskoczony magun ściągnął wodze.

– Podwójną średnią stawkę po przejęciu spadku. A teraz zaliczkę, po dukacie dla kamieniarza, mularza i architekta oraz, na czas robót, zakwaterowanie i wikt na zamku. W dowolnie wybranej komnacie, z prawem korzystania z pościeli, słomy i opału w rozsądnej ilości. Aha, i z łaźni. Raz w tygodniu.

– Zaliczka płatna gotówką?

– Asygnatą – westchnął Debren. Gdyby wiedział, jak jest po wehrleńsku „To do widzenia”, powiedziałby to już teraz. Przewidywał reakcję tamtego.

– Gdzie miałyby stanąć grób? – zaskoczył go ponownie Wilband Niski. Ani rozbawiony, ani oburzony bezczelnością propozycji. Raczej... podniecony? – No... co prawda na zamku... – Dżuma i zimnica, czuł się jak sprzedawca dziurawych butów, które w dodatku były nie do pary. – Ale nijakiego zagrożenia nie ma, słowo! Przodem pójdą fachowcy, a was byśmy wezwali, jak na sto procent się upewnimy, że wszystko...

– Stoi – przerwał mu głos zza muru. – Ale mam warunek. Narzędzia, jakby co, wasze konie na ową górę zawiozą. Okrutnie stroma ponoć, a ja...

– Stoi! – rzucił pospiesznie Debren. – Poczekacie tu, mistrzu Wilband? Jeno po towarzysza skoczę i możemy w drogę ruszać. Furą jeździ, będzie jak znalazł pod sprzęt.

– Nie ma fury – rzucił ponuro Zecheniasz. – Durny, krótkowzroczny lajdak! Wziął i odjechał!

– Ten kmieć? – upewnił się Debren.

– Dureń, nie kmieć! – Zakonnik dźwignął się ze schodów zamtużnego ganku, otrzepał habit. – Kmieć rozum ma, kalkulować umie! A ten co? Trzy dorastające dziewczuchy w chałupie, a on dłoń kasa, co mu je ratować próbuje! Inaczej egoista zaśpiewa, jak mu zaczną bękarty znosić! Nie poraża

cię czasem ludzka głupota, Debren? – No, czasem. Załatwiliście z medykiem, bracie? – Zecheniasz bez słowa machnął papierowym rulonem.

– Więc się nie martwicie. Znalazłem fachowca, prawdziwa złota rączka. Kamieniarz, mularz i artysta w dodatku. Za jednym zamachem całą ekipę... Co on robi? Wskazany palcem stajenny podtaczał właśnie beczkę pod zad jego muła. Beczka, ozdobiona małymi znaczkami koła popłatnego, wyglądała znajomo, ale Debren nie od razu rozpoznał porzuconą przez bezmyślnego kmiecia własność zakonnika. Typowa, wysoka na trzy stopy sześćdziesięciopięciogarncówka wyglądała dość dziwnie. To, co brał za umieszczony pośrodku wieka wlew, okazało się wylotem biegnącej po osi tulei. Podczas jego nieobecności ktoś – sądząc po upaprzanych mazidłem rękach: stajenny – przełożył przez nią oś, też chyba typową, od fury, i zamocował dwa koła. Trzecia, umieszczona centralnie obejmą okazała się nie tylko wzmocnieniem, ale i zaczepem dla ucha, przez które przeciągnięto uprząż. Stajenny, o nic nie pytając, podszedł od przodu do muła i zaczął mu ją zakładać. Muł, równie zaskoczony jak jego pan, chwilowo ani go nie gryzł, ani nie kopał.

– Po drodze mamy dwie karczmy, z którymi zawarłem umowę o współpracy. Dostarczam im wodę, obniżającą poziom chutliwości, za co moją kołomyję sponsorują.

– Mam ciągnąć beczkę?! Oszalałeś?!

– Nie ty, a muł. Jak w znoju, na chwałę Machrusa, po wielekroć sam ją toczyłem, to i muł da radę. I nie beczkę, a beczkomobilę. Tak się ów patent fachowo zwie. No już, złaź, bo przeszkadzasz.

Stajenny nie był niczemu winien. Debren wziął to pod uwagę i zeskoczył z siodła. Złapał mnicha pod łokieć, pociągnął w kąt podwórza, gdzie suszyło się pranie pracownic „Jedwabnej Onucki”. – Cyrk chcesz urządzać? – syknął. – Jak nas tak Udebold zobaczy, to łajno z premii! Bo raz, że prywatę

na boku kręcimy, a dwa, że go śmiesznością okrywamy. To pogrzeb, cholera, a nie jakieś...

– Ojciec Ojców – rzucił chłodno Zecheniasz – mają metodę raczył pochwalić. Więc uważaj, co mówisz. I nie pleć o prywacie. Grosza z tego nie mam. Toczę tę beczkę, jak Machrus swe koło, w pocie, znoju i bólu. Nie dla siebie, a dla tych nieszczęsnych dusz, które diabeł i młodość do grzechu pchają. A premii tak czy siak nie ujrzysz. Znam ja takich jak Udebold. Poczciwy chłopiec, ale...

– Założysz się? – warknął rozżłoszczony czarodziej.

– O talara – wyciągnął rękę zakonnik. Debren uścisnął ją, ale humoru mu to zbyt nie poprawiło.

– Odlóż to – zaproponował ponurym tonem. – Teraz jeno rekonesans przeprowadzimy, potem i tak trzeba będzie wozami sprowadzić na zamek sprzęt, jakiś żurawik, wapno... Przywiozą ci i beczkę... mobile, znaczy.

– Już teraz spóźniony jestem.

– Jeden dzień w tę, jeden w tamtą...

Zecheniasz przerwał mu, unosząc dłoń i celując palcem w wiszące obok ubrania.

– Widzisz tę sukienczynę? Tak, tę szarą, łataną. Len, domowa robotą, niebarwiony nawet. Z niczym ci się nie kojarzy? Tu, pośród tych bezecnych łaszków? – Debren, lekko pobladły, wpatrywał się w wyświechtaną sukienkę, faktycznie wybijającą się spośród kolorowej, wyzywającej garderoby ladacznicy. – Wypisz, wymaluj, szata gęsiareczki, co pasła bosą trzódkę na grodzkich błoniach.

Szczerej, prostodusznej, przyzwoitej dziewicy, która obcując z przyrodą, raz po raz to motylki chędożące się ogląda, to gąsiora, co na gąskę wskoczył. Nie ma nic złego, iż w takiej atmosferze pracując, dziewczuszka zerknie z tęsknotą na światowca, który obok gościńcem przemknie w haftowanym kaftanie. Bez takowego zerkania ród ludzki by dawno wygasł. Ale jak kto nieboraczce w porę szklanki zimnej wody nie

podsunie, nie pouczy, to gotowa sama do niego na stację poleźć, w swej naiwności z własną poduszką jeszcze, i... Hej, dobrze się czujesz?

– N... nic mi nie jest. To... z upału. Gorąco dziś.

– Ano prawda – Zecheniasz przetarł czoło. – Wystaw sobie, że twej siostrze mogło się takowe zauroczenie przytrafić. Gęsi macie? – Debren odruchowo kiwnął głową. – No, sam widzisz. Odłóż na chwilę czarodziejski cynizm, zamknij oczy i wyobraź sobie tę ukochaną twarz, taką niewinną, okoloną puklami... blondynka jest?

– Czarna jak kruk. – Nie opuścił powiek, ale i tak nie pomogło. Widział ją jak żywą, wbitą w tę myśnię szarość starannie pocerowanej sukienki. Tej ze sznura co gorsze, nie tamtej z przystani nad Pirrendem. Więc za małej na wyrosniętą jak depholska rzepa Lendę, trzeszczącej w szwach, opinającej się na biodrach i piersiach tak, że aż...

– Czarna? – zdziwił się zakonnik. – Toście niepodobni. No, ale zdarza się i wśród rodzzonego rodzeństwa, przy najuczciwszej matce. Choć muszę ci rzec, zem się już zetknął z rodzinnymi tragediami, kiedy to mąż żonę o najokropniejsze podejrzewał, bo mu, ruda i blondynowi, dajmy na to, czarnowłose dziecię powiła. Pół roku po ślubie, powiedzmy. I cóż z tego, że sam mąż jej przedwcześnie popróbował? Że dziadkowie czarni? Nieufność, jak raz w duszę wlezie... To dlatego tak ważne jest, by panna wianek do samego wesela donosiła. Ale wracając do tej – wskazał szarą sukienkę. – Widzisz, jak skończyła. Chwila zapomnienia i już do końca życia... A gdyby dzień wcześniej ktoś rozumny szklanekę zimnej wody podał, młodzieńcze chuci ostudził...

Stajenny, wyczuwając, w czym rzecz, czekał z rzemieniami w ręku. Debren westchnął i machnięciem ręki pokazał, by robił swoje.

– Te dziewczyny... Znasz się na tym... To tak do profesji trafiają? Z podmiejskich łąk? – Rozmaicie, trzeba przyznać.

Skórzana Amma, przykładowo, z wojska. Tu, na Wschodzie, sporo bab się zaciąga. Do rot pomocniczych głównie, ale zawsze to armia, Wozem taborowym powoziła, a potem koń ją w kolano kopnął, okulała, nogi jej mało nie urznęli i... Hej, Debren, tobie naprawdę słońce szkodzi. Jak owa sukienka wyglądasz: całyś szary na gębie. Lepiej w cieniu stańmy.

Stanęli w cieniu. Gdzieś na piętorku kłóciły się ochrypłymi głosami dwie niemłode ładacznice. W bramie inna, młodziutka jeszcze i śliczna, ścisnęła oburącz dłoń bosonogiego parobka o ponurej, pryszczatej gębie. Parobek, wciąż oblepiony sianem ze stajni, w której obsługiwano uboższych klientów, krzywił się niecierpliwie i raz po raz wskazywał na stojący pośrodku podwórza słup z wielką, cechowaną w kwadransach klepsydrą. Zamtuz do drogich nie należał i w izbach klepsydr nie było.

– A ta, dajmy na to – Zecheniasz skinął głową w stronę szepczącej w bramie pary – jako praczka się tu zatrudniła. I nie powiem, trzy lata wytrzymała. Po dwóch nieszczęście się stało, bo się w jednym ślusarzu zakochała, co go do Ammy wezwali, by zamek przy dybach naprawił. Więc niby dobrze uczucie ulokowała: w rozumnym fachowcu, a nie jednym z tych nicponi, co tu grzeszyć przyłazą. Ale ślusarz nie był z Kolbancu, przejeżdżał jeno, a jak raz przejechał, to ani nie wrócił, ani nie napisał, choć niby oboje ku sobie się mieli. Rok na list czekała, po nocach becząc. Nawet się specjalnie czytać nauczyła. No a potem wzięła i tak się z owej tłumionej żądz puściła, że za jednym zamachem i choroba marimalaska, i ciąża jej się przytrafiły. Teraz zaś sam widzisz: byle łachudra za nic ją ma.

– Płakała po nocach? Skąd wiesz?

– Bom sprawę badał po fakcie. Widzisz, ciut mnie zaniepokoiło, iż tak się rzecz skończyła, choć zem się przezornością wykazał i profilaktycznie po dwie szklanki dziennie nieszczęsnej aplikował. Ale okazało się, że sama

sobie zawiniła. Bo pół owej wody święconej ze łzami wylała, a drugie pół w łaźni wypociła. Kolejny to dowód na to, że nadmierna dbałość o czystość i urodę cielesną duszę bruka i ku grzechowi wiedzie. Dobrze ci radzę, Debren: jak się kiedyś żenił będziesz, nie bierz takiej, co mydłem i miętą zanadto trąci.

– Miętą? – zapytał Debren słabym głosem.

– Wiem, co powiesz: że to diabelskie zielsko schładza oddech, to pewnikiem i krew zbyt gorącą schłodzi, z czego same korzyści. Otóż nie. Badałem rzecz gruntownie, bom też taką miał nadzieję: że jak owo tanie zioło z tanią wodą połączyć, to się cudowny lek na rozwiązłość pozyska. Ale nic z tego. Jedynym cudownym lekiem jest modlitwa. A mięta, o czym, mam nadzieję, nie wiesz z doświadczenia, to ulubiony napój niewiast upadłych. Ladacznic, dziewczek rozpustnych i żon, co w garze mieszając, o niczym innym nie myślą, jeno o tym, jak im wieczorem mąż zamieszka w... O, widzisz? – przerwał, wskazując bramę. Zniecierpliwiony parobek pchnął dziewczynę, aż się zatoczyła, i odszedł brukowaną uliczką, chłodząc boscie stopy w rynsztoku. – Taki łachudra, a nią pomiata. A wszystko przez to, że denara na dodatkową szklankę wody pożalowała.

Dziewczyna, blada, z oczami podkrążonymi trochę bardziej niż przed chwilą, powlokła się przez podwórze.

– Denara? To ty tę wodę... sprzedajesz?

– Po kosztach własnych. Znaczą się: darmo rozdają.

– Zecheniasz, woda ze studni miejskiej kosztuje denara za pięć łokci kubicznych! A wiesz, ile szklanic można z jednego takiego łokcia napełnić? Tyle dokładnie, ile dni ma rok! Czyli przebicie masz... niech policzę...

– Jak Pazrelita gadasz. W dodatku głupio, bo woda studzienna dotowana zwykle bywa. A spróbuj owymi pięcioma łokciami kubicznymi dziewczkę napić, to zobaczysz, że cnotę straci, nim do połowy dojdzie.

Pamiętasz, jakeśmy o piwie i woźnicach gadali? Otóż dziewczęta to nie woźnice, nie na odludnym szlaku w krzaki będą biegać od chronicznego parcia na pęcherz, jeno za chałupę. A taka, co wiecznie z gołym zadkiem za chałupą wysiaduje, to i okolicznych kawalerów kusi, i sama może się od owej ciągłej golizny niezdrowych myśli nabawić. I tak oto taka, nieprofesjonalna kuracja odwrotny od zamierzonego skutek przynosi. Dziwię ci się, Debren, naprawdę. Byłe denara mi wytykasz, ty, przedstawiciel cechu, co to zmielone żaby i insze paskudztwa za szczere złoto sprzedaje.

Stajenny uporał się z beczką, poszedł do studni umyć ręce, najwyraźniej nieświadom faktu, jakie zagrożenie twarzą przez to dla swej duszy. Debren, nie wsiadając, jął muła za uzdę, ruszył ku bramie. Było gorąco, ale nie dlatego kusilo go, by wciągnąć mnicha w dyskusję, zanegować wartość pochłupującej w beczce wody i – niby to pod pretekstem badania – załapać się na dwie, trzy darmowe szklanki. Lepiej trzy niż dwie. Lenda Branggo była dużą dziewczyną i dwiema pewnie nie wypłukałby jej teraz z głowy.

Rusałka nie była duża. Lendzie sięgałaby pod pierś i pewnie dlatego jej smukłą szyję zakuto w żelazną obręcz, połączoną łańcuchem z dziwną, niską budką z rozbiórkowych desek. Kamień, z którego ją wykuto, był odmianą ciężkiego marmuru, a sama rzeźba, ukończona dopiero w trzech czwartych, wyrastała ze sporej bryły nie tkniętego dłutem surowca, ale całość nie mogła wiele ważyć i pracowity złodziej łatwo uporałby się z robotą.

– Tfu, paskuda – splunął z odrazą Zecheniasz. – Tak się picie w pracy kończy. Widzisz, Debren? Pochlał mistrz, zapomniał się i pierś babie odsłonił. No i teraz przy psiej budzie porządny marmur się marnuje. Swoją drogą dziwaczny to pomysł.

Debren nie zdążył skomentować. Z drewnianej budki, przypominającej raczej ogrodowy domek dziecięcy, jakie spotykało się w wiejskich rezydencjach bogatego kupiectwa, wytoczył się dziwaczny wehikuł na staroświeckich, tarczowych kołach. To przez te koła, mało efektywne, ciężkie ale tanie, skojarzył się Debrenowi z podwoziem maszyny obłęźniczej – bo drąg z przodu mimo wszystko nie przypominał ramienia trebuka czy onagra. Zamiast łyżki na pociski miał długą poprzeczkę, co go upodabniało do runy „T” na niewysokiej nóżce. W dodatku nóżka wyrastała z dużej, zbitej z desek i uszczelnionej płótnem skrzyni, usytuowanej nad przednią osią pojazdu. W miejscu, gdzie maszyny mają kołowrót, czyli z tyłu platformy, owo cudactwo posiadało dziwną ni to skrzynię, ni rusztowanie niewiadomego przeznaczenia.

Pośrodku siedział młody mężczyzna o miłej, choć przedwcześnie postarzałej twarzy. Wózek był krótki i z przodu brakowało przeszło dwóch stóp, by pomieścić męskie nogi. Pasażer wehikułu mieścił się jednak, jako że i jemu brakowało dwóch stóp – tych prawdziwych, nie przeliczeniowych – a także łydek, kolan i połowy ud. To, co zostało, kaleka wepchnął w skórzane pętle, dzięki którym nawet przy energicznych manewrach wózka nie groziło mu wypadnięcie. Osobna kwestia, czy tak rozbudowanym wehikułem dało się energicznie manewrować.

– Rzuć mu jakiego miedziaka, Debren, bom drobnych nie wziął. – Zecheniasz przecisnął się między wózkiem a najbliższą kryptą, zerknął za zakręt cmentarnej alejki. – To tutaj, pewien jesteś? Nie widać nijakiego warsztatu.

Magun odruchowo sięgnął do pasa, zmiął w dłoni pustą sakiewkę. Psiakrew. Głupio. Żebrak wytoczył się na środek wąskiej ścieżki; obejść się go jeszcze dało, ale objechać tą przerobioną na wóz beczką już nie.

– Z Zachodu jesteście? – przemówił beznogi w poprawnej

staromowie. – Pewnie szukacie cmentarza niewolników wojennych? To nie tu. Nie powiem: jakieśmy przegrali, przywoity pochówek im urządzono. Ale bez przesady. Tu bogaczy chowają.

– Nie przyjechaliśmy na groby dziadków – wyjaśnił Debren, próbując przypomnieć sobie, czyj głos przypomina mu głos kaleki. – Szukamy Wilbanda, który tu...

– Jam jest Wilband – przerwał mu zawalidroga.

– To rozpowszechnione imię – wyjaśnił magunowi Zecheniasz. Po czym zwrócił się do kaleki: – Naszego Małym wołają.

– A nie Niskim? Jestem Wilband Niski.

Debren, lekko zaniepokojony, ale wciąż nie poddający się złym przecuciom, uśmiechnął się przepraszająco.

– Nasz to mistrz kamieniarski.

– Mistrzem kamieniarskim też jestem. – Wilband Niski klepnął miejsce, gdzie przykuta do budy rusalka miałyby tyłek, gdyby artysta nie chlał w pracy, nie zmarnował cennego surowca i dokończył rzeźbę. – Widać chyba.

Debrenowi przemknęła myśl, że nawet taka, bez tyłka i dumnie wyprostowanego karku, rusalka wygląda ślicznie. Myśl była głupia i bezproduktywna, ale chwilowo chroniła przed wpadaniem w popłoch.

– To powinienes młot nad drzwiami powiesić – pouczył Wilbanda Zecheniasz. – A nie taką paskudę stawiać przy ścieżce. Tędy pogrążone w żalu i modlitwie rodziny zmarłych chadzają. Widzę, żeś ubogi, a ten odpad pewnie marne miedziaki kosztował, ale to jeszcze nie powód...

– To różdżka? – Kaleka, którego głodne spojrzenie uwierało Debrena w sflaczałą sakiewkę, jak się okazało, patrzył trochę bardziej w lewo. – Jesteś czarodziejem? To z tobą przez mur rozmawiałem?

Więc jednak... Dżuma i syfilis. Trzy w jednym, złota rączka... Ależ kretyn. Dobrze, że to nie wieczór, boby go jako

wilkołaka cmentarny stróż z kuszy ostrzelał – tak by ze wstydu oczami w półmroku świecił. Na szczęście słońce stało wysoko i zdrowo prażyło. Czerwone policzki nie kłuły zbyt w oczy.

– O, to wy? – Debren próbował udać radosne zaskoczenie, ale wyszedł mu jęk. Zecheniasz, kręcąc z dezaprobatą głową i mrucząc coś o łażeniu po słońcu bez czapki, pchnął go do tyłu, w cień drzewa.

Po czym zmarszczył brwi i posłał w dół gniewne spojrzenie.

– Kpiny sobie robisz, obdartusie? – Możecie się z umowy wycofać. – Beznogi zignorował go. Patrzył wyzywająco, z jakąś ponurą desperacją, wyłącznie na Debrena. – Ale prawo handlowe mówi, że się za to cztery miedziaki od jednego srebrnika ustalonej sumy należą. Z trzech dukatów będzie tego dwieście czterdzieści denarów.

– Ćwierć tysiąca?! – Zakonnikiem aż zatrzęsło. – Czyś ty rozum postradał?!

– Poważna suma – zgodził się Wilband. – Zwłaszcza jak ją w błoto wyrzucać. Na waszym miejscu...

– Nic nie masz na piśmie! – rzucił triumfalnie Zecheniasz. – Idziemy, Debren. W rzyć nas może ten krętacz cmoknąć. Co, mikrusie? Rzyci chyba sięgniesz, co? Dłoń kaleki zacisnęła się na jednym z bazaltowych ciężarków, do których dorobiono uchwyty i które umożliwiały pasażerowi wózka poruszanie się gdzieś, gdzie nie rosło i nie stało nic, czego mógłby się złapać. Kamienne bloczki były spore: jeśli dodać długość ręki, Zecheniasz mógł poczuć nie usta na tyłku, a bazalt na czole. Teoretycznie. Debren od początku wiedział, że tamten nie uderzy. I nie dlatego interweniował.

– Nie potrzeba pergaminów. – Dwa zdziwione spojrzenia zdeprymowały go nieco i pewnie dlatego to powiedział: – Moje słowo nie dym.

– He? – zdziwił się jeszcze bardziej zakonnik.

– Też żem nie zrozumiał – wyznał Wilband. – Coście

chcieli przez to rzec? Że smok nie jesteście?

Debren, uśmiechnięty niepewnie, wzruszył ramionami.

– Że ludzi do wiatru nie wystawiam. To... taka przenośnia. Jeden klasyk kiedyś jej użył.

– Zgaduję, że nie w kupiectwie albo palestrze do grona klasyków się przebił – rzucił ironicznie Zecheniasz. – A opinie klasyków spoza danych branży łąjno są warte. No, dość głupot. Czas to srebro, Debren. Wynosimy się stąd. A wy, panie Wilband, lepiej za nami pozwów nie ślijcie, dobrze radzę. Znacie przysłowie: „Zakonnika sąd nie tyka”? No. A jak się będziecie przy swoich bezrozumanych żądaniach upierać, to wrócę i wam w naturze owe dwieście czterdzieści denarów oddam. – Trącił czubkiem sandała ściankę wysokiego na trzy łokcie domku. – Mówiąc inaczej: wleję ci do tej budy całą beczkę wody. Od razu zmądrzejesz. Jedna szklanka rozsądek przywraca, a cóż dopiero beczka.

– Widzę – rzucił przez zęby kaleka – że ktoś tu na gwałt świętości szuka. Śmierci męczeńskiej, konkretnie.

– Hej, spokojnie. – Debren na wszelki wypadek wkroczył między nich. Zaraz potem cofnął się, odpychając plecami zakonnika. Wilband miał oczy niewiele wyżej niż on klamrę pasa; z kimś takim lepiej było rozmawiać na odległość. – Ta rusalka, mistrzu... Ty ją wykułeś? Kamieniarz, chyba podobnie zapatrujący się na kwestię dyskusowania z kimś, kto akurat nie siedzi, szarpnął dźwignię w kształcie runy „T”. Wózek, zaskakująco chyżo, odskoczył aż pod próg domku.

– Nie – warknął. – Sama z kamienia wylazła.

– Piękna – powiedział ciszej Debren. Wytrzymał przez chwilę zdziwione, łagodniejące z momentu na moment spojrzenie tamtego, po czym dodał: – Masz boski dar w rękach. A my potrzebujemy po prostu rzemieślnika.

– Aha, rozumiem. – Spojrzenie znów zaczęło twardnieć, choć bez szans na odrobienie strat. – „Szkoda twego talentu, wielki Wilbandzie. Toć nie będziesz go trwonął na jakoweś

chałtury! Twórz tu dla potomności, a te trzy dukaty zostaw dla szarych zjadaczy chleba, co to im Bóg poskąpił swej iskry”. To chciałeś rzec?

– No... z grubsza – przyznał się Debren. – Ale nie bierz tego za krętackie wybiegi. Naprawdę podoba mi się ta rusalka. Taka prosta, niemal gęsiareczka z grodzkiej łąki, a zarazem... Trudno to nazwać. Ale jest taki illeński mit. O artyście, co posąg kobiecy wykuł i się w nim zakochał, tak mu znakomicie wyszło. A potem ów posąg...

– ...ożywił – dokończył cicho Wilband. – Swą beznadziejną, zdawać się mogło, miłością. – Milczeli przez chwilę, jednakowo zapatrzeni na drobną, wykutą w różowawym marmurze twarzyczkę. – Też klasyka. A że autor z pisania żył i łajno się na naturze skały wyznawał, jego bajania także niewiele warte. Jak tego od słów nie z dymu. Bo słowa to dym właśnie, Debren. Nawet, jak słyszę, te, które z ust czarodzieja padają. Jedyne słowa, o których się powiada, że czynem się stają. Żegnaj – skłonił się, sięgając do dzwigni. – I za naukę dziękuję.

Debren westchnął w duchu. Cios był mocny i celny. Jak przystało na rzeźbiarza.

– Zdziwiłbyś się, ile zaklęć nie czynem, ale klątwami się kończy, bo czarodziejowi nie wyszły. Ale dzięki za podpowiedź. – Przeniósł trochę posępne, a trochę rozbawione spojrzenie na Zecheniasza. – Sam widzisz, bracie. W moim fachu trzeba szanować to, co się mówi.

– Ale nie chcesz przez to rzec, że tego krasnoluda najmujesz? – upewnił się zakonnik.

– Chcę. I dzięki za kolejną podpowiedź, bracie. Jakby się Udebold czepiał, to mu właśnie owym krasnoludztwem gębę zatkamy. Tylko spójrz: mały, krzepki, mocno niedogolony, co się od biedy pod brodę podciąga, hardy...

– Chcesz rzec, że mnie najmujesz? – Akurat w tej chwili głos Wilbanda wcale nie brzmiał hardo.

Bardziej przypominał głos skrzata niż gruboskórnego krasnoluda.

– Nie – wyznał szczerze Debren. – Mam nadzieję, że sam zrezygnujesz. Pogadam z Udeboldem. Hrabinie sarkofag się należy, najlepiej z figurą zmarłej na wieku. Do tego by cię mógł najać. A że figura powinna jak najlepiej o nieboszcze świadczyć, lepiej byś z fantazji kuł. Wrażliwy z ciebie człowiek – zerknął na rusalkę. – W dzieło serce pewnie musisz włożyć, a kiedy obiekt wstrętnym się widzi... A Curdelia, założę się, i za życia do urodziwych nie należała. Karlica, z garbem pewnie, podła, więc i wdziękiem nie nadrabiała... Nie, piękna nie była.

– O ile ten zakład? – zainteresował się Zecheniasz. Debren zawahał się. A potem dostrzegł bardzo dyskretny, ale właśnie przez to czytelny ruch głowy kamieniarza.

– No... o talara. – Zakonnik bez słowa podał mu dłoń, ale przeciąć nie zdążył. Wilband był szybszy, choć jeszcze przed chwilą jego wózek stał tam, gdzie zostały bazaltowe ciężarki, dobre dwa kroki z boku.

– Dodatkowy powód – wyjaśnił zaskoczonemu Debrenowi. – Ktoś was musi rozsądzić, a któż to lepiej od artysty zrobi? Czarodziej nie próbował dyskutować. Masował dłoń, zastanawiając się, czy obejdzie się bez sińca.

Wilband napał oburącz na dźwignię. Ku zaskoczeniu obecnych, przednie koła wózka obróciły się o parę rumbów i kolejny ruch ramion, które tym razem szarpnęły poprzeczkę, pchnął wehikuł prościutko w drzwi. Zaskoczony Zecheniasz przeżegnał się odruchowo.

Po chwili wózek wyjechał na środek alejki i Debren zapoznał się z jeszcze jedną jego cechą: za oparciem, gdzie na pozór nie było wiele miejsca, mieścił się komplet narzędzi.

– Drabiny nie biorę – powiedział kamieniarz, układając wśród dłut i młotów coś czerwonego, przypominającego niewieści czepek. – Na zamku powinni mieć.

Debren nie zapytał, do czego drabina. Zecheniasz nie był tak dyskretny. Wyjął spośród dłut i młotów coś czerwonego.

– Krasnoluda chcesz udawać? – zakpił.

– To maska – wyjaśnił spokojnie kaleka. – Od pyłu chroni i pylicy, ale teraz ją biorę, by smrodu nie wachać. Warn też doradzam. Trzy miesiące, ciepło w dodatku... Założę się, że zdrowo hrabina cuchnie.

– O ile? – wyciągnął dłoń Debren. Trochę żartobliwie, ale kiedy tamten pchnął lewą ręką dźwignię, podjechał i uniósł prawicę, on swojej nie cofnął.

– Niech będzie następny talar.

Tym razem zdążył złapać opadającą na ich splecione palce dłoń.

– Czekaj... Słowo nie dym, ale talar... – Zastanawiał się, jak to delikatnie ująć i, jak większość ludzi w takich wypadkach, wybrał lekkie kręctwo. – Nie mam tyle.

– To tak jak ja. Nie przejmuj się. Obaj kontrakt podłapaliśmy, wypłacalni będziemy.

– No tak, ale...

– Ze mną się założyłeś – przypomniał Zecheniasz, wahający się między podejrzliwością a satysfakcją. Wilband zorientował się błyskawicznie. I też skrzyżował z Debrenem spojrzenie pełne mieszanych uczuć.

– Litujesz się – mruknął.

– Nnnie, skąd... Tylko że... no, to ciut nieuczciwy zakład. Boś nie czarodziej. Skąd masz się na kamieniach znać i... To znaczy, chciałem rzec: na ludziach w kamień zaklętych. Rzadki to przypadek, nawet czarodziej mało który się zetknął, choćby teoretycznie... No, krótko mówiąc, trup, o ile to trupem nazwać można, nie cuchnie.

– Litujesz się – powtórzył Wilband. Już gniewnie, bez wyczuwalnej poprzednio odrobiny zrozumienia dla owej litości. Nawet jeśli był wdzięczny, duma całkowicie przytłoczyła tę wdzięczność. – W rzyć sobie wsadź tego talara.

Zwłaszcza jak się okaże, że na zamku śmierdzi.

Próbował cofnąć dłoń, ale tym razem Debren popisał się refleksem, przytrzymał ją w swojej prawej i przeciął lewą.

– No to pomóżcie mi jeszcze z tym – burknął Wilband, wyciągając szczypcę i zaczynając prostować gwóźdź, utrzymujący obejmę na szyi rusalki. – Muszę zabrać, bo zginie, a szkoda by było. Nie gap się tak, czarodzieju. Sam powiozę, jeno przy mocowaniu pomóż.

– Mówi, że to karczma, nie zajazd – przełożył słowa gospodarza Zecheniasz. – Że tak w nadaniu stoi i on nie może przejezdnych obsługiwać, a jeno przechodniów.

Debren, trochę zdziwiony, zerknął ponuremu chudzielcowi przez ramię. Karczma była faktycznie mała jak na zajazd i pozbawiona stajni, ale właśnie to łatwo pozwalało stwierdzić, iż świeci pustkami.

Może dlatego, że leżała już na przełęczy i dowlekli się do niej po zmroku. Wilband uparł się i nie pozwolił doczepić swego wózka do beczkomobili, więc choć dotrzymywał tempa mułowi, Debren nie silił się na kopanie wierzchowca po bokach i straszenie iskrami, bez których to zabiegów rozleniwiony irbijczyk zwykł wlec się kopyto za kopytem. W dodatku musieli zahaczyć o dwie oberże, którym Zecheniasz dostarczał wodę. W drugiej nie zmitrężyli wiele czasu, jako że drzwi zastali zabite gwoździami i opieczętowane pergaminem głoszącym: "Zamknięte, gospodarz aresztowań za lanie wód do trunków", lecz wizyta w pierwszej kosztowała ich dobrą klepsydrę. Właściciel przyskoczył do zakonnika z pretensjami o dziewczkę szynkwaśną, którą jakiś pijany klient pohańbił za stajnią, choć wcześniej chlał na umór i, jak dobrze policzyć, wypił całe trzy dawki Zecheniaszowej wody.

Ostatecznie, ku satysfakcji obu stron, stanęło na tym, że karczmarz zgodził się brać więcej wody po nieco niższej cenie i mocniej rozcieńczać piwo, zaś Zecheniasz wymógł od niego obietnicę, że – w razie czego – chrzest dzieciątka szynkwaśnej

zamówiony będzie u niego. Wszystko to jednak musiało potrwać i szansę nocowania na zamku szybko diabli wzięli.

– Powiedz mu, że w takiej głuszy nikt... – Debren nie dokończył, widząc sceptyczną minę tłumacza.

– Co? – To Wehrlen – wzruszył ramionami Zecheniasz. – Oni tu mają dziwaczny stosunek do prawa. Nie patrzą, wystaw sobie, czy życiowe, czy nie, jeno biorą i przestrzegają. Nie to, co u nas.

– Nie to – zgodził się Debren. – Ale coś bym zjadł. Powiedz mu, że przepisów nie złamie, bo z nas trzech ja jeden konno się zjawiłem. Wam może wieczerzę śmiało podać. Zamówisz podwójną porcję, połowę wyniesiesz i zjem na dworze.

– Mówi – przetłumaczył odpowiedź karczmarza Zecheniasz – że Wilband też pod jadącego podpada.

– To zamów potrójną porcję – rzucił beztrąsko Debren. Wieczór był piękny, jak zawsze po upalnym dniu, a on już niemal czuł przyjemny ciężar dziewięciu talarów w pustej od dawna sakiewce. Tego dziewiątego trzeba będzie jakoś zręcznie zwrócić Wilbandowi, ale i tak było się z czego cieszyć.

Dopiero kolejna odpowiedź karczmarza sprowadziła go na ziemię.

– Nie sprzedają na wynos. Mówi, że mogę jeść, ile chcę, ale jeno w środku. Przepis taki. – Gospodarz ocenił wyraz twarzy czarodzieja i dopowiedział parę zdań tonem na poły ostrzegawczym, na poły przypoehlebnym. – Mówi, żebyś nie liczył, że ci coś ukradkiem przez okno rzucę. To porządna karczma i szybki mają, nie błony, więc cichaczem nie przetniesz. A okna się nie otwierają. Czyli głodni pójdziecie spać i pod gołym niebem, a tu góry, choć niewysokie, i nocami od ziemi ciągnie.

Wiec lepiej by było, gdybyśmy do wsi zjechali i tam na nocleg stanęli.

– To ma być karczmarz?! – zdenerwował się Debren. Zrobił dwa kroki i zrobiłby trzeci, za próg, gdyby właściciel nie stanął

mu szybko na drodze. Niemal zderzyli się nosami. Zecheniasz, choć raczej spokojny, cofnął się przezornie na bok. Z tyłu skrzytnął mechanizm, przekładający machanie dźwigni na obracanie się kół wózka. Wilband, czując awanturę, podjechał bliżej.

– Ostrzega cię – przetłumaczył gniewny warkot Zecheniasz.

– Ma kuszę. Mówi, że naciągnięta, ale pewnie łąze.

– Tak? – uśmiechnął się nieładnie czarodziej. – A to się świetnie składa. Bo mi właśnie amulet magiczny zaczął drgać. Zbójów leśnych i inszych zbrodniarzy wykrywający. – Wyjął spod kaftana lekko spłaszczoną srebrną kulkę. – Powiedz mu, że mam podstawy podejrzewać, że żaden z niego karczmarz. A opryszek właśnie, który gospodarza napadł i się teraz nieudolnie pod niego podszywa. Założę się, że karczmarza, a może i ciało, w spizarni łajdak ukrył.

Zecheniasz przetłumaczył. Chudzielec pobladł. Chyba mocno, skoro mimo półmroku było widać. Z progu jednak nie ustąpił, ograniczając się do cofnięcia o krok.

– Przypomniawszy sobie, że jedno okienko miał wyjąć i szybką błoną podkleić, bo pęknięta – przełożył mnich pospiesznie rzucone zdanie. Po czym uśmiechnął się i dodał, już od siebie: – Więcej nie utargujesz, ale to i lepiej. Zdziwiłbyś się, jak drogo tu biorą za noclegi. A noc piękna; po cholere się dusić w śmierdzącej izbie.

Niebo nad górą Dopschpick było prawdziwie górskie, pełne gwiazd lśniących w przejrzystym jak kryształ powietrzu. Debren leżał pod derką, wpatrywał się w nie i nie mógł zasnąć. Nie rozpalili ognia – wehrleńskie przepisy nie zezwalały spać i palić równocześnie – Zecheniasz podał im przez okno najwyżej połowę i tak oszukanej potrójnej porcji, a od ziemi ciągnęło wiosennym jeszcze chłodem. Był głodny, trochę zmarznięty i trochę nieszczęśliwy. Gdyby wtedy, na

vijuckiej przystani, zachował się inaczej, powiedział uczciwie, co czuje... Może i nie zełgała z tą wojacką i tylko wojacką przeszłością. Właściwie prawie jej wierzył. Ale dziewczyna z bramy „Jedwabnej Onucki” też zaczynała niewinnie, od prania, a teraz...

Dureń. Nic by z tego nie wyszło; pewnie dostałby w łeb, dobrze, jak poduszką, nie pięścią. Albo... prawdą. Na opuszczanie tarczy niektórzy reagują opuszczeniem własnej.”Płyn ze mną, Lenda. Tak bardzo chciałbym cię mieć przy sobie...”, „Aż tak, by wziąć ladacznice? Widzisz, Debren, z posady wykidajły ciężko wyżyć. Dorabiam trochę na boku. Więc co, dalej mnie chcesz?” Bał się takich słów, już chyba wtedy. Mnóstwa rzeczy się bał. Ale tak czy inaczej należało spróbować. Bo może nie marzyłby teraz sam pod wytartą derką. Dureń. I być może łajdak. Cóż z tego, że nie była praczką, a on ślusarzem? Reszta mogła się zgadzać. Może należało napisać. Może odkładając pióro – a odkładał z tuzin razy – niszczył coś, co było do uratowania. Może tylko dziewczęcą uczciwość, jej dumę z samej siebie. Ale może coś więcej.

Po drugiej stronie wózka Wilband mamrotał przez sen. Pierś rusalki lśniła prowokująco w blasku księżyca. Zecheniasz chrapał smacznie, może dzięki szklaneczce swej cudownej wody, wychylonej dyskretnie na dobranoc. Ciekawe, czy zakonnikom potrzebne takie lekarstwo, by nie marnowali nocy, gapiąc się bez pożytku w gwiazdy. Albo na kamienne rusalki – bo po prawdzie i o nią Debren raz po raz zahaczał wzrokiem. Gdzieś w lesie zahukał puszczyk. Chyba. Właściwie to na pewno puszczyk, ale Debren próbował nie myśleć, czy w tej samej chwili Lenda nie wsłuchuje się w czyjeś chrapanie obok, więc skoncentrował się i podostrzył słuch, wmawiając sobie, że w górskim lesie taki odgłos niekoniecznie musi oznaczać puszczyka.

Oczywiście to był puszczyk: odezwał się jeszcze raz, a potem

poderwał do lotu, łopocąc skrzydłami.

Jednak zaklęcie nie poszło na marne.

Po drugiej stronie, w karczmie, szeptali jacyś ludzie. Ludzie często rozmawiają szeptem, nawet we własnym domu i we własnych łózkach, tyle że nie sami ze sobą i nie na kilka różnych głosów. A karczmarz, jeśli wierzyć relacji Zecheniasza, gości nie miał, zaś rodzinę wyprawił akurat do teściowej. Z winy Lendy Debren natychmiast pomyślał o skrywanej w sypialni kochance, tyle że głosy nie były żeńskie i nie z sypialni dobiegały.

Dochodziły jakby... ze spiżarni. Co tłumaczyło towarzyszące im odgłosy: mlaskania, pobrzękiwania szkłem i cyną, bulgotania.

Przemknęła mu myśl o ukrywającej się za podwójną ścianką pazrelickiej rodzinie. Oczywisty idiotyzm.

Ale na naradę szykujących się na nich zbójów też to nie wyglądało, więc Debren pozostał pod swą derką, ograniczając się do odnawiania czaru i liczenia szeptów.

Doliczył się trzech męskich i jednego kobiecego. Piąty należał do karczmarza. Kiedy wychodzili przed karczmę, niewidoczni z miejsca, gdzie leżał, na wszelki wypadek Wyjął różdżkę. Niepotrzebnie.

Czworo odeszło w stronę zamku. Ostrożnie, w milczeniu, nie próbując oświetlać sobie drogi. Karczmarz zawrócił, starannie zarygłował drzwi i poszedł spać. Debren schował różdżkę i też zasnął.

Obudził się z mieczem przy nosie. Bez wielkich wyrzutów sumienia jednak: miecz nie był tani, zbójceki, a jego właściciel, choć też potrafił poruszać się cicho, nie miał nic wspólnego z tymi ze spiżarni.

– Istna brzytwa – przyznał, zezując na lśniące w porannym blasku ostrze. – Ale dzięki: golić się nie będę. Możecie to

schować, panie Boebbels.

– Panie nadpodludniku – poprawił go rozkraczony nad legowiskiem dryblas. Tym razem znad ramienia nie sterczała mu rękojeść drugiego miecza, ale bardziej pokojowo przez to nie wyglądał. Połowiczne rozbrojenie zrekompensował sobie nakładając nowoczesną kompozytową kolczugę z przeplatanego jedwabiem i nabijanego srebrnymi ćwiekami drutu stalowego. Hełmu i tarczy nie miał, ani przy sobie, ani przy siodle pozostawionego obok karczmy konia. Miał za to medalion z wilkołaczym pyskiem, co poniekąd tłumaczyło ich brak.

– A tak. – Debren najpierw usiadł, a potem wstał, udając, że nie dostrzega asekurowanego go przez cały czas miecza. – Wybaczcie. Nie bardzo wiem, co ów tytuł oznacza, więc wolę go nie używać.

Znałem jednego kata, który bardzo się obrażał, gdy w prywatnej rozmowie ktoś mu mówił „drogi kacie”. Choć ze swej profesji skądinąd był dumny. I do dziś nie wiem, czy o „kata” mu szło, czy o „drogiego” może, bo się jako fachowiec po przystępnych cenach reklamował. A znów pewna ladacznica... – Zerknął w ciemniejące oblicze Boebbelsa i skończył szybciej, niż zamierzał: – No, krótko mówiąc, kontekst rozmowy może z tytułami figla spletać, toteż lepiej...

– Lepiej się zamknij – poradził mu właściciel wilkołaczego medalionu. Rada była dobra, więc Debren usłuchał. – I nie udawaj głupka. Lelończycy do mądrych nie należą, ale ty jako czarodziej ponad ichnią miarę wyrastasz. Umiesz dwa do dwóch dodać.

– Na palcach jeno – na pół powiedział, na pół ziewną dźwigający się do siadu Wilband. Przetarł oko zwilżonym w rosie kułakiem i dorzucił pogodnie: – Jak dziecko dał się podejść i proszę: mnie wynajął. To chyba o czymś świadczy, prawda?

– Ty też się zamknij, półludku – rzucił chłodno Boebbels. –

Nie przyjechałem na pogawędki.

Kontekst ci, Lelończyku, żadnego figla nie splota, bo nie rozmawiamy prywatnie. Więc możesz śmiało „panie nadpodludniku” do mnie mówić. Kiedy o coś zapytam, ma się rozumieć.

Debren skinął głową i zaczął zwijać posłanie. Zecheniasz swoje zdążył już uprzątnąć i pewnie jadł śniadanie: zza brakującego okna karczmy dochodziły odgłosy rozmowy i zapach zasmażki do kaszy.

– Przyjechaliście pomóc, panie Boebbels? – zainteresował się Wilband. Stanął na kikutach, przeszedł dwa krótkie, chwiejne kroki i szybko wśliznął się na swe miejsce na wózku. – Rychło w czas. Żywą trza było dopaść.

Boebbels splunął. Dość niefortunnie, bo na róg zwijanej przez maguna derki. Debren pomyślał o sześciu talarach wypłaty oraz trzech wygranych w zakładach i po prostu zwinął derkę razem ze śliną.

– Powinienem – mruknął nadpodludnik. – Ale z roboty by mnie wywalili. A ważne, by urząd właściwa osoba pełniła. Dla takich jak ty zwłaszcza – uśmiechnął się w dość paskudny sposób. – Starczy, że nam się na grodzkiego czarodzieja liberał trafił. Jakby jeszcze podludnik...

– Nadpodludnik – poprawił Wilband. Wyraźnie bledszy. Boebbels schował miecz, wzruszył ramionami.

– Gniesz na tym twoim cmentarzu i nawet nie wiesz, co się na świecie dzieje. Cesarz już jesienią dekret wydał. Koniec z nadpodludnictwem. Ci, co patent mają, zachowują uprawnienia, ale nowych mianowań nie będzie. – Splunął ponownie, tym razem chybiając siodła. Debren, by nie kusić losu, poderwał je z ziemi i przerzucił mułowi przez grzbiet. – Na psy wszystko schodzi.

– Waszym zdaniem – mruknął kamieniarz.

– Nie pyskuj. – Boebbels też nie wysilił gardła. – Bo cię co złego spotka. Trakt niedaleko, zamiejski, więc ograniczeń

szybkości tu nie ma. Ktoś może nie zauważyć, że mu jakieś gówno wózkiem pod kopytami jeździ. Wpadnie cwałem, rozdepcze... Uważaj.

Debren dociągnął popręg, zaczął zaprzęgać muła do beczkomobili.

– Co was właściwie sprowadza? – zapytał spokojnie.

– Nie twój interes. Ale na to akurat odpowiem, bo i tobie się może ostrzeżenie przyda. Tutejszy gajowy mi doniósł... no, teraz to już były gajowy, bo go czarownica z roboty zredukowała... mniejsza o to, w każdym razie wiarygodna osoba... Poinformował otóż, że się wokół zamku szabrowniki kręcą.

– Za wsiowego draba teraz robisz, Boebbels? – Wilband uporał się już z bladością; w jego głosie zabrzmiały nawet wyzywające, podszyte bezczelnością nutki. Debren, udając, że poprawia coś przy zaczepie, kucnął za beczkomobilą, przesunął dłoń bliżej różdżki. Nie zełgał Boebbelsowi w kwestii nieznamości słowa „nadpodludnik”. Ale dwa do dwóch dodawał bez palcowania i domyślał się, w czym rzecz. Jeśli domysły były słuszne, przy tej odległości tylko parawan w postaci beczki dawał mu szansę dostatecznie szybkiego zareagowania.

O ile Boebbels użyje miecza. Bo jeśli wybierze pięść lub but, to nawet połączenie beczki z różdżką...

Nadpodludnik wybrał ślinę. Dużo śliny, która, fachowo strzyknięta, trafiła prościutko w prawy uchwyt napędzającej wózek dźwigni.

– Uważaj, półludku – mruknął spec od płucia precyzyjnego.

– Twój dziadek był z moim w jego ostatnim boju, a tyś zgrabny nagrobek memu ojcu wykuł. Ale uważaj. Bo w ratuszowej piwnicy ciągle stoją na półce „Rozważania o istocie podludztwa i inszego kameleonizmu”, wydanie z roku 1380. Mocno przedwojenne znaczy, choć już pod redakcją Hita Dolflera. A w nim jak wół stoi, po czym

w warunkach polowych obcą formę życia poznać. Po rozmiarach otóż. W przypadku wybitnie człekokształtnych autorzy zalecają regułę szóstej stopy.

– Nogi chyba – sprostował Debren. – Bo i kopytnych po tym rozpoznawano. Słyszałem o tej definicji.

Wczesnowieczny przeżytek, choć fakt: nadal poręczny w większości przypadków. Bo z potworów i nieludzi istotnie mało który konia dosiada. Ale już elf, przykładowo...

– Stopy szóstej, nie nogi – przerwał mu Boebbels. – O jednostce miary mówię. No, ale wam, leśnej dziczy lelońskiej, to pewnie obce pojęcie. Krokami wszystko mierzycie, a jak którego spytać, ile stóp wchodzi na taki leloński krok, już o palcach czy liniach nie wspominając, to gębę tuman rozdziawia i się w kroku drapie.

Debren wzruszył ramionami i wrócił do zaprzęgnięcia muła. Opinia była jawnie krzywdząca, ale nie da się ukryć, że technika i magia wehrleńska nie miały sobie równych. W każdym razie na zachód od Nirhy.

– Reguła szóstej stopy – dokończył usatysfakcjonowany Boebbels – powiada, że kto się w szóstej stopie mieści wzrostem, prawnie na pewno człowiekiem jest. O dorosłych mowa, rzecz jasna. Wyższym Dolfier radzi na uszy patrzeć, czy aby nie trójkątne, elfie. Wzrost niepełnych pięciu pod znakiem zapytania stawia człowieczeństwo, ale w przypadku niewiast i osobników zniewieściałych ów znak nieduży jest jeszcze, i nawet w przypadku pogromu autorzy Rozważań zalecają rozwagę i wstrzeźliwość. A ty, jako artysta, pod kategorię zniewieściałych podpasz.

– On? – zdziwił się Debren. – Rzeźbiarz? Niejeden rycerz mógłby mu muskulatury pozazdrościć!

– Wielka mi rzecz: rycerz – wzruszył ramionami Boebbels. – Połowa to spalone nieruchawce. Daleko nie szukając: Krutz, świętej pamięci hrabia na Dopschpicku. Wiecie, jak tę sukę, swoją żonę czarownicę poznał? Do kopalni Rimelów się

wybrał. Po kołowrót. Bo jak zbroję założył, to za cholerę nie mógł na konia wleźć, choć gołodupiec już wtenczas był i blachy cieniutkie nosił, na pokaz bardziej niż do bitwy. No, ale o tobie mieliśmy mówić, półludku. – Popchnął lekko nogą wózek Wilbanda. – Jak z tej śmiesznej furki zleziesz, to choćbyś na kikutach stawał, czterech stóp nie przekroczysz. A to już pod taką nieładzkość podpada, że autorzy Rozważań wręcz zabraniają dalszego sprawdzania.”Poczwarę”, piszą,”co rychlej z dala poraż, wszelako z łuku lepiej lub procą, albowiem zapadkę kuszy magią zagwoździć łatwo. Dopiero potem podłaż, białą bronią dzieło kończ, a ścierwo dobrze wodą święconą podlej albo okołuj osiną”. Nie powiem, że się takowe metody nadal praktykuje, w Wolnym Świecie przynajmniej, ale wiem przypadkiem, że Rozważań oficjalnie nie skreślono z katalogu literatury fachowej. Uchowały się jakoś, pewnie dlatego, że je za Drugiego Cesarstwa wydano. Więc cię po starej znajomości ostrzegam: uważaj, co i do kogo mówisz. Bo jak się ciętym jęzorem jeszcze bardziej do krasnoluda upodobnisz, to cię jaki tradycjonalista z dala porazi i okołuje, a wszystko w zgodzie z przepisami.

Wilband milczał jakiś czas.

– To, com ci wtedy mówił – odezwał się w końcu – na aktualności wiele nie straciło. Więc daruj sobie straszenie. I trzymaj nogi z dala od mego samopycha. Narzędzia wożę. Jeszcze ci który młot ciźmę zdefasonuje.

Boebbels, ku lekkiemu zaskoczeniu Debrena, i tym razem nie zarąbał kaleki. Uśmiechnął się nawet. Inna sprawa, że niejedynemu wołałby obejrzeć jego miecz.

– Znajdę tych, co się wokół zamku kręcą – obiecał. – Wiem już, którzy to. Indorami ich wołają, bo od kradzieży drobiu szlachetnego zaczynali. Dużo dalej po prawdzie nie zaszli, ale nie dlatego, że strachliwi. I trupy na koncie mają, nawet baba.

– Baba? – uniósł brwi Debren.

– Rodzinna firma. Dwaj bracia, siostra i szwagier. Ten

ostatni na zamku służył, więc bez trudu wlaźby do środka. A ponoć nie włązi. Interesujące, prawda? – Co macie na myśli, panie nadpodludniku? – Że to niezła gratka, taki porzucony zamek. A porzucano go, musisz wiedzieć, w popłochu. Wiedźma waliła czarami, gdzie popadnie, nie oglądając się na własną czeladź. Po kobietach i dzieciach takoz. Nie dziwota, że służba pierzchała tak jak stała, cały dobytek, nawet ten własny, porzucając.

A Indory co robią? Kręcą się jeno, węszą. A ze wsi, tej pod górą, wyrostek jeden zniknął. Sławny z tego, że plebanowi przez mur do sadu wlaził i jabłka z najwyższych jabłoni kradł. Wiewiórka go wołali, bo nie dość, że po gałęziach jak one śmigał, to rudzielec w dodatku.

– Myślicie...?

– Ja nie myślę, Lelończyku. Ja wiem. Gówniarz polazł na zamek i coś go tam ubiło. Więc nie próbuj kręcić. Znajdę świadka, wypytam jak trza... i przyjadę. Jak albo wiedźmy, albo jej trupa nie znajdę... – I tym razem wielkie łapsko nie powędrowało za plecy, ku rękojeści miecza, ale ruch kciuka pocierającego wilkołaczy pysk był może nawet wymowniejszy. – Tyle ci chciałem rzec. Byś nie wpadł na jaki głupi pomysł, gdyby się okazało, że babsko przeżyło. W tej czy innej formie bytu. Nie oczekuję, że ją uśmiercać zaczniesz, ale jak spróbujesz pomagać...

Boebbels odwrócił się, zagwizdał z cicha. Jego koń, bułanek w skórzanym półkropierzu, przykłusował ochoczo. Nadpodludnik, nie używając strzemienia, wskoczył w siodło i odjechał bez słowa pożegnania.

– U nas – powiedział cicho Debren – rzucali kiedyś w takich kamieniami. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego.

– Macie w Lelonii podludników?

– Trochę innych. I inaczej ich nazywamy.

– A jak ich nazywacie?

– Biesiarzami.

- Znaczy... pobiesiadować lubią? No tak, toć Lelończycy.
- Nie, to od biesów. Zabijają je, rozumiesz.

Najpierw była tabliczka na słupie:”Gościniec prywatny. Nie wchodzić. W rogi dać i czekać zgody”.

Minęli ją bez słowa. Następnego słupa nie zignorowali tak gładko. Raz, że wkopano go w miejscu, gdzie droga biegła względnie poziomo i gdzie po sforsowaniu stromego odcinka konie przyjezdnych – w ich przypadku ramiona Wilbanda – mogły odpocząć. Dwa, że zamiast tabliczki słup dźwigał wisielca.

Deska z napisem:”Wuaziuem i nie douem” wisiała dopiero na szyi mocno objedzonych zwłok. Męskich i plebejskich, sądząc po ubraniu.

– Ciekawe – mruknął Debren po dłuższej chwili posępnego milczenia. – W staromowie pisane. – To nie... staromowa – wydyszał Wilband. – To marimalski. Jak się tu... cudzoziemiec trafi, to... zwykle Marimalczyk. A że języki podobne... to i władający staromową przesłanie... odczyta.

– Na dole po wehrleńsku stało.

– Bośmy naród kulturalny... i cywilizowany. Wehrleńczyk zakazów... przestrzega. – Kamieniarz otarł twarz rękawem przełożonego przez uda kubraka. Rękaw przesiąkł w mgnieniu oka, ale twarz nie zrobiła się przez to mniej mokra. – Tu dotrze jeno... obcy. Albo osoba urzędowa. A ta języki... zna. Uff, ależ upał.

Zecheniasz wyjął szklanę, podstawił pod kurek. Bulgot zabrzmiał w uszach Debrena jak przyjemna muzyka. Wspinaczka nie zmęczyła go nawet w połowie tak jak Wilbanda, ale i jemu dała się we znaki.

Muł, w którym ośla część natury coraz częściej dochodziła do głosu, ciągnął beczkomobilę tylko wtedy, gdy czarodziej ciągnął jego.

– Też bym się... napił – uprzedził go kamieniarz.

– Na zamku bije źródło – poinformował obecnych Zecheniasz. – Choć po prawdzie nie polecam, bo ponoć chutliwość wzmacnia. Jeden z przodków ode Dopschpicka tym się przed sądem książęcym tłumaczył, gdy go na gwałcie przyłapano. Co prawda, do wieży ostatecznie trafił, ale akurat nie za gwałt, jeno za to, że przedtem rodzinę pohańbionej panny usieknął, zdobycz sprzedał, a podatku od niej nie zapłacił. Więc skoro sąd argumenty uznał, coś musi być na rzeczy. Zwłaszcza że i hrabia Krutz nie był od tego, by zdrową dziewczynę...

– Pić mi się chce – przerwał mu Wilband. – Już teraz.

– Współczuję. Wiem, co znaczy toczyć ciężar w upalny dzień po źle utrzymanym trakcie. Toż to mój chleb powszedni. A gorzej od ciebie mam, bo mi nie wypada choćby rękawa w habicie podwinąć.

Wilband już pod karczmą pozbył się koszuli i zastąpił ją nałożoną na nagi tors kamizelką. Debren zastanawiał się, czy tak daleko posunięta golizna nie razi osoby duchownej, ale widocznie lata spędzone na Wschodzie stępiły machrusańską wrażliwość Zecheniasza. Poza tym byli sami, w lesie, a cech kamieniarzy nawet w mocno konserwatywnej Lelonii wywalczył sobie przywilej pracy w samych tylko portkach. Nie bez znaczenia mógł być też fakt, że odłożona za plecy koszula przykryła rusałkę i jej obnażoną pierś.

– Też bym się napił – poparł Wilbanda. – Jak już ciągniemy to cholerstwo na górę, to mógłbyś...

– Cholerstwo?! Wiesz, ile pozyskanie tej wody kosztowało?! A to do źródła beczkę dotoczyć, ręcznie, bo takie śluby złożyłem, a to poświęcić w możliwie wielu kościołach, a to odstać swoje u biskupa w kolejce po błogosławieństwo, a to opłacić proszek magiczny, co wodę schładza... Jużem ci mówił: same czyste koszty, bez denara zysku, to równy denar za szklanekę! – Wybacz, nie o zawartości mówiłem, a o tej

cho... o beczce.

– To jeszcze gorzej, bo beczkę sam Ojciec Ojców raczył korespondencyjnie pobłogosławić. – Debren zasznurował usta. Zecheniasz, udobruchany, rozłożył dłonie w geście bezradności. – Nie zrozumcie mnie źle. Miłość ludziom niosę i z potrzebującym ostatnim kęsem się podzielę. Ale wam tego świętego napoju podać nie mogę. Choćbyście nawet po denarze za szklankę płacili, nie...

– A jak po dwa? – przerwał mu Wilband. Mnich zawahał się.

– No... bo ja wiem? W zasadzie... Za dwa mógłbym...

– Zaraz. – Debren miewał w swej karierze okresy, gdy musiał przeżyć za denara dziennie i choć oznaczało to pół funta chleba, czyli pogranicze głodu, właśnie dlatego nauczył się cenić wartość najmniejszej z miedzianych monet. – Czegoś nie pojmuję. Skoro obcym ludziom rozdajesz trunek darmo, czyli po denarze szklanka, to dlaczego my, twoi towarzysze, mielibyśmy...? – Widzę, żeś nic nie pojął – westchnął ciężko Zecheniasz. – Gratis to rozdaję potrzebującym. Czyli tym, co nie powinni miłowania cielesnego uprawiać w danym momencie. Dziewicom znaczy, kawalerom, ladacznicom i tak dalej. Przeciwną kategorię stanowią poszukujący uciech. Tu się małżonków zalicza, co owszem: we własnym łóżu, po sakramencie i z kim trzeba, ale bez myśli o poczęciu sobie z poślubioną osobą poczynają. Ci nawet kropli ode mnie nie dostaną, choćby brylantami płacili.

– Nie mam żony – zauważył Debren. – Czyli kawaler jestem. Wilband... – zająknął się, ale zaczął w taki sposób, że lepiej już było dokończyć – Wilband chyba też. Z tego wynika, że nam się zwykła stawka należy. Prawda? – Nieprawda – wyprowadził go z błędu zakonnik. – W mojej misji o planowanie rodziny idzie. Znaczy się, by najsamprzód sama rodzina się zawiązała, a potem szczęśliwie i obficie mnożyła. Wiadomo zaś, że takie panny, co się przed ślubem chędożą,

samotnymi matkami zostają i zwykle z jednym, no, góra trojgiem bękarciat kończą.

O ile w ogóle, bo te całkiem zdemoralizowane, w grzechu po uszy grzęznąc, antykoncepcję uprawiają i aborcję. Marnotrawstwo to okrutne. Niewiasta powinna rodzić z tuzin razy, choć lepiej dwa tuziny.

Owszem, większość dzieciarni poumiera, nim wieku rozrodczego sama dożyje i na coś się społeczeństwu przyda, ale nawet tych, co zostaną, dużo bywa. I dlatego Bóg wymyślił rodzinę, znaczy się męża, który całą tę gromadkę karmi. Taki był zamysł Stwórcy i ci, co mu w poprzek stają, nie mogą liczyć na wsparcie Kościoła. A konkretnie – dokończył – na wodę za denara.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – zełgał Debren.

– Rozumiesz, rozumiesz. Widziałem, jak na te dziewczki pod „Jedwabną Onucką” spoglądałeś. Tylko dlatego na górę nie pognałeś, żeś chwilowo golec i...

– Nie tylko – mruknął czarodziej.

– A co, zakochałeś się? – Odpowiedzi nie było; Debren, zły na siebie i innych, odczepił od siodła kawałek linki, zaczął wiązać do ucha w beczce. – No proszę... Znaczy się, trafiłem. Ha, teraz to już o wodę nawet nie proś. Jest dziewczka, jest taki, co do niej aż nogami przebiera, a rodzina i dzieci gdzie? Nie ma. Bo panu magikowi wygodniej po egzotycznych królestwach jeździć, kawalerskich uciech zaznawać. A jak tęsknota i męska potrzeba przypilą, to się w zamtuzie leczyć. Gdy zaś grosza zabraknie, to Zecheniaszową wodą. – Debren, nie komentując, sprawdził węzeł i podszedł do wózka z drugim końcem linki. – Co, może powiesz, że to ona nie chciała takiego świszczypały? Marny wykręt.

Trza się było ustatkować. Masz niezły fach w ręku, mógłbyś gdzieś osiąść na stałe, pracownię otworzyć, dom zacząć stawiać... Jak cię ciągnie do bardziej niekonwencjonalnego miłowania, do uciech takich jak u Skórzanej Ammy –

zakonnik uśmiechnął się ukradkiem – czy do gęsiareczek... – Czarodziej posłał mu mroczne jak noc spojrzenie, lecz i tym razem nie otworzył ust. – Co, trafiłem? No, mniejsza... W każdym razie zamtuzów nie brak. Jak miścina ma własnego czarodzieja, to i dom uciech się znajdzie. Więc nie dziel włosa na czworo, jeno rób jak wszyscy. Żeń się, rodzinę pomnażaj, żonę kochaj, a jak się nudzisz, to dyskretnie do Ammy idź i proś, by skóry na szarą sukienkę zmieniła, a pejczyk na leszczynową...

– Co mi do samopycha wiążesz? – wszedł mu w słowo Wilband. Debren, kucający przed nim z linką w dłoni, znieruchomiał. – Obejdzie się. Powiedz lepiej temu krętaczowi, by napić się dał.

– Krętaczowi? – obruszył się mnich. – Chodzi ci o to, że sam piję, a wam nie daję? – Do kija znaczy? – Debren cofnął ręce z drąga w kształcie runy „T”, rozejrział się bezradnie. – Ale tu nie ma nic innego, o co by można...

– Piję, bo muszę argument mieć, jak mnie pytają, czy aby nie szkodzi – tłumaczył gniewnie Zecheniasz. – Nie moja wina, że uczone wyjaśnienia do tępych łbów nie trafiają i co drugi chytrze zagaduje, czy sam próbowałem. No więc owszem, do każdego posiłku to paskudztwo pijam, choć piwo i wino wolę, bom człek cywilizowany.

– Nie kij, a silnik – ofuknął maguna Wilband. – Kijem to się wilka od gęsi odgania, gdy miły w świecie hula. A to jest silnik. Dźwignia napędowa, co siłę ramion zamienia...

– Odchędożcie się od tych gęsi! – nie wytrzymał Debren. Poderwał się na równe nogi, ciskając w beznogiego końcem linki. – Że się raz w pożyczoną sukienkę przebrała... Taka z niej gęsiarka jak ze mnie...

Nie potrafił dokończyć. Trochę dlatego, że wszyscy trzej, z mułem włącznie, wpatrywali się w niego z zainteresowaniem, najwyraźniej bardzo owego końca ciekawi. Ale głównie z winy Lendy. Która wymykała się

wszelkim porównaniom, z dnia na dzień i z nocy na noc stawała w jego umyśle coraz bardziej niepowtarzalna.

– Taaak – przerwał milczenie wyraźnie usatysfakcjonowany Zecheniasz. – Wody to ty ode mnie nie dostaniesz, przyjacielu. Bo widzę, że niewiele ci już trzeba. Jeszcze z tydzień postu, z dala od szklanek i zamtuzów, a łuski ci z oczu spadną. I jak od razu do niej nie pognasz, to przynajmniej napiszesz.

Wilband, może dlatego, że patrzył z dołu i nie dał się zwieść unikowi polegającemu na oglądaniu własnych cizem, nagle sam sięgnął po porzuconą linkę.

– A niech tam, baby nie patrzą – zażartował, szybko i sprawnie zaciągając węzeł na runokształtnym drażu zwanym silnikiem. – Wstydu się nie najem, a szybciej zajedziemy. Ale napić to bym się napił.

Debren wychwycił jego ukradkowe spojrzenie. Ciut rozbawione, odrobinę zawistne, ale chyba głównie współczujące. Chłopak miał ramiona jak Zbrhl i woził co najmniej jeden młot, na widok którego rozmiłowanemu w broni ciężkiej rotmistrzowi załśniłyby oczy. Ale był artystą, rzeźbił rusalki śliczniejsze od prawdziwych i potrafił dostrzegać to, czego nie dostrzegali zwykli śmiertelnicy.

Byli podobni: Debren też nie lubił, gdy się nad nim litowano. Więc choć powinien podziękować choćby namiastką uśmiechu, szybko odwrócił się, poszedł tłumaczyć mułowi, że zaraz za zakretem będzie stajnia, a samopych Wilbanda właściwie nic nie waży. I już nie miał jak zawrócić, kiedy Zecheniasz to powiedział: – Daruj, chłopcze, ale w twoim przypadku to by było wylewanie wody w błoto, że się tak wyrażę. Ty już żadnej panny w kłopoty nie wpędzisz.

– Miał ze trzy miesiące.

Debren nie zareagował. Dzielił uwagę między stromą

skalną ścianę z lewej a las z prawej. Ściana przechodziła niepostrzeżenie w całkiem już pionowy mur zamku. Stok porośnięty lasem daleki był od pionowego, ale gdyby ktoś nagle zaczął spuszczać z za blanków kamienie na przechodzących dołem, połowa z nich przeleciałaby ze ćwierć mili. Połowa z przechodzących także.

Niedobrze: w razie ataku z całej ich czwórki – włączając muła – chyba on jeden miałby jakieś szansę.

– No, może dwa z kawałkiem. – Wilband nie dawał za wygraną. – Wiem, bom oglądał pewnego temmozanina, co sobie miejsce na naszym cmentarzu wykupił. Bogacz był, to jakoś załatwił, ale w północnym rogu go mieli chować, gdzie jeszcze grobów nie ma. To dlatego tyle przeleżał. Bo krzaków tam pełno, zasłaniają.

– Nacjonaści nie od razu, ale w końcu znaleźli, wykopali i zbezczescili? – domyślił się Zecheniasz. – Nie powiem, przykry to obyczaj. Z drugiej strony trudno młodzieży wytłumaczyć, że czasy się zmieniły i jak taki poganin do swej psiej wiary nie agituje, spokojnie żyje, podatki płaci i ogólnie nikomu w drogę nie wchodzi, to mu się, jako i psu, pochówek należy oraz spokój po śmierci. Ale też polityka sułtana najspokojniejszego nawet...

– To nie nacjonaści – przerwał mu Wilband. – Choć owszem, religia miała co nieco do rzeczy. Otóż u temmozan obyczaj panuje, by z pogrzebu, gdy już ciało w dół złożą, wszyscy obecni czym prędzej umykali. Niby że ten, co ostatni czmychnie, pierwszy do zmarłego dołączy.

– Tfu, obraza boska...

Coś mignęło między nadkruszonymi blankami. Debren sięgnął po różdżkę. Ptak. Kruk chyba, w każdym razie jakiś czarny. I paskudny. Nie wiedzieć czemu, kojarzący się z cmentarzem. No, powiedzmy, że wiedzieć czemu.

– Grabarz, jak uciekających zobaczył, pomyślał, że w upiora się poganin przedzierzgnął. I z tego strachu najpierw się upił,

bo to cholerne nieszczęście, taki bies na cmentarzu, a potem, jak w końcu otrzeźwiał, zapomniał, że miał iść i grób zasypać. Bo tak się to między temmozanami załatwia: gdy rodzina umknie, przychodzą postronni i zwłoki zakopują. No, a on nie zakopał i właśnie po trzech miesiącach dopiero...

Ptaków było więcej: gdzieś zza narożnej baszty przyniosło wroni okrzyk. Potem drugi. Niby niewiele, ale latem jednak sporo. Debren zwolnił, już nie ciągnął muła za uzdę. Szedł obok, od czasu do czasu skanując otoczenie. Nie wyczuwał magii, ale to niczego nie dowodziło. Jeśli doszło do metamorfozy, to, co w jej wyniku powstało, pewnie ukrywa się teraz w lochach. Zamkowych – to też nie bez znaczenia. Zamek był stary, wzniesiony w czasach, kiedy katapulty były drogie, a czarodzieje tani. Dobrano więc odpowiedni, odporny na magiczny atak budulec. No i, na koniec, Curdelia była czarownicą. Czarownice potrafią się maskować.

– Ale my tu o bzdurach, a sprawa jest poważna. Debren, do ciebie to mówiłem. – Magun zatrzymał się, odwrócił, popatrzył na Wilbanda. – Trzymiesięczny wisielec. To ci nie daje do myślenia?

– Wehrleńscy z okrucieństwa słyną – wrzucił ramionami Zecheniasz. – A że wojny teraz nie ma, a i o przestępcę niełatwo, to choć tak zaspokajają wrodzoną potrzebę...

– Jemu nie chodzi o to, że nie ściągają – mruknął Debren. – A o to, dlaczego wieszali. I kto.

– Toć napisane: przeszedł się po drodze. Cudzej, no to go ubili. We wojnę naszych chłopów ubijali za to tylko, że ci własną świnie zjedli.

– Z napisu wynikało – zignorował przytyki Wilband – że go za łażenie po drodze tak ukarali. I tu mi się coś nie zgadza. Wehrlen to praworządny kraj. Jak się kogo karze, to zawsze z właściwego paragrafu. A za łażenie po cudzej drodze nie wieszają. Nawet po tej płatnej.

– U nas nikogo nawet nie batożą – wzruszył ramionami Zecheniasz. – Jaka ta nasza Lelonia jest, taka jest, ale tolerancja zawsze u nas mocno stała.

– No i furostrad macie trzy mile – zakpił kamieniarz. – A wasze drogi słyną z tego, że same, bez pomocy wojsk, wrogie najazdy zatrzymują. Nie licytujmy się, co lepsze.

– Właśnie – poparł go Debren. – O tym nieszczęśniku mówiliśmy. Wygląda na to, że go tuż po śmierci hrabiny powieszono. I to mnie dziwi. Jeśli dobrze zrozumiałem Boebbelsa, kto żyw z zamku umknął i chyba już tam nie wrócił. Jeśli dobrze zrozumiałem Udebolda, on jeden dziedziczy i nikt inny się wokół spadku nie kręci. Jeśli dobrze zrozumiałem Morbugera, osoby urzędowe trzymają się z dala od Dopschpicka. Więc za cholereę nie rozumiem, kto i jak biedaka powiesił. I to tak.

– Że niby nogami w dół? – Zecheniasz rzucił raczej chłodne spojrzenie kalece. – Prawda, nie po wehrleńsku to. Za okupacji odwrotnie wieszali. Żeby się ofiara dłużej męczyła.

– Miałem na myśli: na odludziu – wyjaśnił Debren.

– Gdzie egzekucja resocjalizacji u innych nie czyni? – domyślił się mnich. – Toż właśnie mówię: wrodzony sadyzm się u jakiegoś tubylca objawił.

– To nie z okrucieństwa – mruknął Wilband. Był czerwony na twarzy, ale trudno powiedzieć, czy ze wstydu za rodaków. Odkąd zza drzew wyłoniły się mury zamku, muł nerwowo strzygł uszami i siedł bardzo niechętnie, więc, by jakoś pomóc ciągnącemu uzdę Debrenowi, kamieniarz znów pracował drągiem-silnikiem. Chwilami nawet bardziej popychał beczkę, niż był przez nią holowany.

– Żadnego z nas na świecie jeszcze nie było – powiedział szybko Debren. – Nie ma sensu...

– Pamięć, obyczaje i mowa naród czynią – przerwał mu zakonnik. – Więc nie mów, że zapomnieć czas.

Bo to jakby w jednej trzeciej do zdrady namawiać.

Zwłaszcza dziś, gdy się Lelonia na świat otwiera. Takich jak ty coraz to więcej: każdy jeno języków się uczy i patrzy, jakby tu dobrą robotę gdzieś za Rodą podłapać. Więc sobie porachuj: jeśli mowa trzecią część tego stanowi, co cię przy ojczyźnie trzyma, to jedną obcą dobrze władając, w jednej szóstej obcy się stajesz. To jeszcze nic, ale pamiętaj, że połowę tradycji też już na wschodnie wymieniliśmy. Co już dwie szóste daje. Więc jeśli choć połowę pamięci w kąć odstawisz...

– To z pragmatyzmu – odezwał się cicho Wilband. Posłali mu obaj zdziwione spojrzenia. – Owo wieszanie za nogę. Raz, że drutu mniej wychodziło, bo noga w kostce cieńsza niż szyja. A drut, wiadomo: surowiec strategiczny. Na kolczugi potrzebny, do czarowodów, machin obłączniczych... Zaś dwa, że jeno przy traktach tak wieszali i jeno partyzantów, co transport niszczyli. Zamiar był taki, by towarzyszy powieszonych do ratowania wisielców zachęcić i w pułapkę schwytać. Wiadomo: po powieszzonego za gardło nikt nie przyjdzie, bo po paru momentach to już trup. A taki z głową w dole... Masz rację, bracie Zecheniaszu: pamiętać trzeba i warto. Ale nie po to jeno, by wnukom dziadkowe winy wytykać. Czasem się taka historyczna wiedza w praktyce przydaje. Boebbels, przykładowo, z dziadkowych listów metodę drutową zaczerpnął. Dziadek w SiS służył, znaczy Strzeżem i Sieczem, w domyśle cesarza i wrogów jego, a drutu przeciw leśnym bandom używał. Wnuk też po lasach ściga, tyle że potwory. A że niektóre gromadnie żyją i lojalnością stadną się cechują, jak partyzanci...

– Tfii – splunął zakonnik. – Nigdy do owych rębajłów, biesiarzy, podludników czy jak ich zwał, wielkiego sentymentu nie miał. Ale nasi, lełońscy, przynajmniej się drutem nie wspomagają.

– Może dlatego tyle u was dziwadeł po borach. No, ale co się Boebbelsa tyczy... Otóż jedno jest pewne: ten wisielec to

nie jego robota. Chwalił się onegdaj w szynku, że drucziana pętla to już jego znak firmowy. I żalił zarazem, że przepłaca przez ową tradycję. Bo nawet gdy wystarczyłby zwykły sznurek, ot, choćby do opakowania truchła, które się wiezie, by nagrodę odebrać, to musi drogi drut marnować. Bo jak raz sznurkiem wysysa powiązał, to konkurencja zaczęła gadać, że stary Boebbels zmiękł, że sentymentalny się robi, że pewnie jaką nimfę ma na boku i stąd jego współczucie dla nie ludzi... No, krótko mówiąc, w krew mu te druty weszły. Więc to nie on wieszal.

– A dlaczego miałyby...? Debren nie dokończył. Muł włókł się skandalicznie, ale w końcu minęli narożną basztę i wyszli na ostatnią prostą, zakończoną niedużym tarasem przed bramą. Miejsca było tu trochę więcej, pewnie z myślą o wykręcających zaprzęgach, więc jedno stało się oczywiste już na wstępie: człowiek zawieszony w koronie karłowatego buka nie spadł tam z muru. Ale skądś spadł. Raczej z wysoka, sądząc po stanie drzewa. Nim opór dewastowanej korony zatrzymał rozpędzone ciało, mężczyzna ściał górną część głównego pnia, rozłupał na długości dwóch łokci część dolną i utknął w utworzonych w ten sposób kleszczach wraz z taką liczbą połamanych gałęzi, że starczyło na solidne jak dla bociana gniazdo. Leżał w nim teraz na wznak, najeżony kijami i listowiem niczym ukrywający się jeź, a fakt, że tak bardzo rzucał się w oczy, zawdzięczał wyłącznie wronom. W nielicznej gromadce, ale ochoczo obdziobującym z drzazg i kości świeże, czerwone mięso.

– Zawracamy! – Zecheniasz przeżegnał się wielkim kołem, od pępka po czoło. – Siła nieczysta! Silna cholernie!

Wilband, z lewą dłonią na silniku, prawą sięgnął za siebie, do stojaka z młotami. Debren szybko przeskanował otoczenie.

– Raczej onager – mruknął.

– Wracamy – upierał się zakonnik. – Patrz, jak rozszczepił drzewo. To czary. Mocne. Boebbelsa nam trza.

– Z maszyny go wystrzelono. Właśnie po rozszczepionym drzewie widać. Czarodziej zrobiłby to inaczej. Nie zabija się muchy toporem. Niby można, ale po co? Nie, bracie. To onager, jak nic.

Pewnie ktoś chciał się trupa łatwo i dyskretnie pozbyć, ale źle maszynę ustawił.

– Założysz się? – Zecheniasz nie był przekonany, ale chyba do tego chciał właśnie użyć zakładu: do pokonania wątpliwości. Debren wywnioskował to z proponowanej stawki. – O... trzy grosze.

Debren podał mu rękę, przeciął. Potem podał uzdę.

Ruszył niespiesznie szeroką na dwa wozy drogą. Próbował ocenić kąt między wieżą bramną a bukiem. Szukał wyjaśnienia. Zaabsorbowało go to tak bardzo, że wyczuł obecność Wilbanda dopiero po uderzeniu w udo. Mało delikatnym, ale trudno o subtelność, gdy ktoś jedzie samociągiem, czy jak mu tam, i próbuje klepać towarzysza ręką obciążoną potężnym młotem.

– Brona – mruknął Wilband. – Patrz.

Dżuma i syfilis. Cały czas nic innego nie robił. Szukał złej, bladej twarzy martwej karlicy między zębami blanków i nawet nie pomyślał, że brama może być otwarta, a ta, której wypatrywał, może bez trudu przemknąć na swych krótkich nóżkach te kilkanaście kroków i nie schylając się, jednym kłapnięciem paszczy odgryźć mu...

Wzdrygnął się. Bzdury jakieś. To nie strzyga z paszczą jak stalowy potrzask na niedźwiedzie. A i strzyga wybrałaby raczej gardło.

– Lepiej cofnij się do Zecheniasza – powiedział cicho, zbliżając się do zewnętrznej krawędzi drogi.

Chodzenie tędy i gapienie się gdzie indziej niż pod nogi było mało rozsądne – w razie potknięcia przeturlałby się po skałach najmniej z pięć sążni – ale za to, maksymalnie oddalony od muru, mógł głębiej zajrzeć w mroczną czeluść

bramy. Gdyby co, miałby też odrobinę więcej czasu na reakcję.

Na szczęście nie musiał reagować. Nawet gdy dotarli dokładnie naprzeciw wylotu ciasnego wjazdu i znad jasnej czupryny Wilbanda ujrzał fragment dziedzińca.

Pusto. Żadnego ruchu. Sporo porozrzucanej po ziemi słomy, ale słoma nie raziła w wiejskim zameczku. Niepokoił tylko jakiś brudny niewieści chodak. W zamkach, nawet tych lepszych, nie przesadzano ze sprzątaniami, ale śmieci, choć niekiedy zalegały po kątach całymi hałdami, były naprawdę śmieciami. Ten tutaj, importowany z Depholu drewniak, nijak nie mieścił się w tej kategorii: nadal połyskiwał dużą, a więc cenną klamerką.

– Miałeś zawrócić – przypomniał sobie.

– Z tuzina sążni w pień trafiam – Wilband podrzucił w dłoni któryś z mniejszych młotków. – Zadka ci popilnuję.

Debren nie protestował. Obok muła wcale nie było bezpieczniej. Odwrócił się i, przesuwając to w lewo, to w prawo, zaczął oglądać widoczne zza listowia fragmenty zwłok. Nie musiał zadzierać głowy, ale i tak nie było łatwo. To, czego nie przesłaniały połamane gałęzie, raz po raz znikало pod czernią wronich grzbietów. Musiał przejść na sam koniec placyku manewrowego, na skraj bardzo nieprzyjemnego, wysokiego na kilka pięter urwiska. Dopiero tam zakończył składanie mozaiki.

– Wygląda na to, że...

Połączył diagnozę z obrotem i dlatego nie dokończył. Wilband, bardzo rozsądnie, ustawił się naprzeciw bramy, skąd mógł obrzucać młotkami i szarżującą z dziedzińca upiorzycę, i – od biedy – kogoś, kto miotałby pociski zza blanków. Droga była jednak wąska i nawet teraz, maksymalnie oddalony od murów, nie ogarniał wzrokiem całego południowego odcinka. Wieża stojąca okrakiem na bramie wysunięta była o kilka kroków przed lico fortyfikacji i ani Debren przedtem, ani Wilband teraz nie mieli okazji zajrzeć w załom ściany przy jej

zachodnim boku.

A właśnie tam, w samiutkim narożniku, było to, czego czarodziej wypatrywał od samego początku: wychylona spomiędzy blanków ludzka głowa. Oraz barki i zwisające na zewnątrz ręce, które sprawiały, że przewieszony przez ściankę mężczyzna nie opadł do środka, pociągnięty ciężarem reszty ciała.

Nogi nie miały nic wspólnego z jego na poły stojącą pozycją, choć oglądany z dziedzińca wyglądał pewnie jak typowa ofiara zbyt wesołej wieczerzy, wymiotująca jej resztkami do fosy.

Pewnie był tu dostatecznie długo, by rzygać wieczerzą – barwa zacieku na murze sugerowała właśnie kilkanaście klepsydr – ale to, co z wypłynęło z jego głowy, nie było mieszanką kaszy, mięsiwa i wina.

Z nieszczęśnika wylało się – ustami, ale też nosem i przez uszy – dobrych kilka kuflów krwi. Może nawet cała krew, jaką w sobie miał, a już na pewno więcej niż połowa. Rudy zaciek na murze sięgał niemal do samej ziemi. Równie daleko, też prawie do ziemi, opadała przygnieciona ciałem lina z węzłami.

– Trucizna? – Dookoła było bardzo cicho, więc Debren doskonale słyszał i skrzyp wózka, i dziwnie spokojny głos jego pasażera. – Widziałem raz aptekarza, co to go młoda żona z kochankiem pospołu struła. Oddychać to miała czym, ale myśleć już nie za bardzo, no i przesadziła. Takiego krwotoku biedak dostał, że jeszcze na cmentarzu z niego ciekło. Inna sprawa, że go nie całkiem martwego do nas przywieźli, bo się epidemiolog wystraszył, czy nie jaka zaraza krwotoczna. – Podjechał bliżej Debrena. – Jak myślisz, co tu się stało?

– Nie wiem. Coś dziwnego – mruknął magun. Podeszedł do muru, uniósł dłoń, sięgnął końca zacieku. – A ja chyba wiem – pochwalił się kamieniarz. – Wystarczy fakty poskładać. Cóż tu mamy? Zamek. Każdy zamek ma lochy, a w nich składzik win. Więc i nie dziwota, że się różni wykolejeńcy tu schodzą.

Gospodarzy nie ma, nikt nie pilnuje, nic tylko brać i chlać.

No i pochłali tak, że jednemu się uwidziało, że ptakiem jest i, kretyn, z baszty chciał startować.

– A ten? – Debren roztarł w palcach krwawy skrzep.

– Może wątroba mu pękła? Widziałeś kiedy wątrobę alkoholika, Debren? A ja tak. Jak się ma warsztat na cmentarzu, to niejedno człek... Hej, nie liź tego! Czarodziej uśmiechnął się z zakłopotaniem, wytarł rękę o spodnie.

– Odczynników nie mam i czasu też nie – wyjaśnił. – A to na smak najlepiej...

– Krew lubisz? – zapytał, trochę zbyt obojętnie, Wilband. – Nie powiem, ja też dobrą kiszkę, osobliwie zasmażaną, z cebulką... A ta twoja Dumayka gdzie konkretnie leży? Przypadkiem nie w tych górach, co to z drugiej strony Ośmiogród mają?

– Owszem. Ale bez obaw: wampirem nie jestem. Tyle że to – zerknął na długą krwawą plamę, zakończoną bladą twarzą o wytrzeszczonych, szklistych oczach – to nie wina wątroby. Myślałem, że coś faktycznie w winie było. Czarownice lubią magię drogą pokarmową aplikować. Po prawdzie, to najbardziej ekonomiczna metoda. I dyskretna, jak się ktoś trochę zna na rzeczy. Odrobina neutralizatora smaku i nawet kiper... No, ale neutralizatory na magii się opiera, więc łatwo je wykryć, gdy ktoś sam czaruje. A tu – uniósł palec – nie ma magii.

– Po cóż magia? – wzruszył ramionami Wilband. – Tad nałogowy wykołajeniec wypije wszystko, co w beczce najdzie, choćby na beczce napisali: „Smar do osi”.

– Może – zgodził się magun. – Ale nawet jeśli masz rację i to zwyczajni pijacy, korzystający z darmochoy, to coś go dziwnie ubiło. To – wskazał do góry – na pewno nie wątroba. A znów tamten nie mógł tak daleko z wieży zoczyć. Z rozbiegu... owszem. Tylko że on nie miał jak nabrać rozbiegu.

Raz, że galeryjka dla łuczników nie w tym kierunku idzie,

dwa, że blanki wysokie, a trzy, że nie da się biegać, mając portki spuszczone.

– Hę? – I kalesony – dodał Debren. – Głowy nie dam, bo źle widać i go tam wrony nadjadły, ale miał chyba diabelskie jelito na... no wiesz, na przyrodzeniu.

Trochę się bał, że kamieniarz nie zrozumie. Wschód nie Wschód, o pewnych rzeczach nie pisało się nawet tutaj. Oczywiście bywalcy zamtuzów i podłych szynków nie musieli sięgać po brukowe kroniki, by dowiedzieć się, czym jest diabelskie jelito, ale akurat Wilband nie sprawiał wrażenia bywalca.

Był młody. Jeśli wcześniej stracił nogi, to może nawet nigdy... Na szczęście Wilband zrozumiał. I zarumienił się.

– Chcesz powiedzieć... – przełknął z wysiłkiem ślinę.

– Że Ojciec Ojców jak zawsze miał rację. – Głos Zecheniasza dopadł ich zza narożnika wieży tak niespodziewanie, że obaj niemal podskoczyli. – Ostrzegając, że jedyne bezpieczne miłowanie to to z małżonką i ku poczęciu wymierzone. – Zakonnik wyszedł zza węgła, uzbrojony w medalion koła popłatnego i szklankę z poświęconą wodą. Z braku trzeciej ręki, muła ze sobą nie zabrał. – Ha, wiedziałem, że warto leżać na tę górę. Już dla samego artykułu, który w „Listach Misjonarskich” wydrukuję. Jak nic mi wydadzą, i to w najbliższym numerze. Rzadko się człek spotyka z tak jawnym odciskiem bożego palca. A tu proszę: jeno założył to paskudztwo i tak mu cosik przypieprzyło, że drzewo sobą pogruchotał. Uwodziciel Cassamnoga zeżre teraz swoje plugawe pamiętniki, jeśli ma choć krztę honoru. „Najbezpieczniejsze miłowanie”, dobre sobie! Oto – wskazał drzewo – jak kończą durnie, co męskość z kielbasą mylą i w barani flak, miast w niewiastę, pakują. Jak kielbasa właśnie. Przez wrony zjadana.

Debren, nie komentując, minął go, stanął u wylotu bramy. Głównych wrót brakowało: ktoś zdjął je z zawiasów i wywiózł.

Brony, opuszczanej z brzucha wieży, jakoś nie wyszabrowano. Trochę dziwne, bo była droga, całkowicie żelazna, a przy tym względnie nieduża i łatwa do spieniężenia nawet w mieście, gdzie po drobnej przeróbce mogłaby chronić podwórze zamożnej kamienicy. Ukucnął, upewniwszy się, że nie kuca pod wystającymi ze sklepienia, rdzawymi grotami. Bronę uniesiono ledwie w dwóch trzecich, musiała więc wisieć na linach i tym samym nie zagrażała nagłym opadnięciem jak typowa, ukryta w izbie strażniczej krata – ale ostrożności nigdy za wiele.

To, że do otworu po żelaznym grocie sięgnął jakąś gałązką, nie dłonią, nie wynikało już z ostrożności. Po prostu nie cierpiał robactwa.

– Wilgoć pewnie lubią? – na poły zapytał, na poły stwierdził. Wilband, poruszający się trochę hałaśliwie, ale zaskakująco sprawnie na swym wózku, pokiwał mu głową znad ramienia. – I pewnie pod kamieniami żyją?

– Chcesz nas stopniowo do oglądania paskudności przyzwyczaić? – zainteresował się Zecheniasz. – Że niby tam, w zamku...? No to chyba tracisz czas. Wilband z trupami za pan brat żyje, przez ścianę, że tak powiem, a ja, nim na tę misję trafiłem, z niejednego pieca chleb jadłem. Po prawdzie to i z vougońskiego, w którym nie chleb, a ludzi pieczono z zamiarem kulinarnym. Więc byle co nas nie...

– Misja? – zdziwił się nieprzyjemnie Wilband. – Tu, w Unirherii? Czyś ty rozum postradał? Czy my tu goli i czarni biegamy, z kością w nosie i w spódniczce z trawy?

– Masz wczesnowieczne poglądy na kwestię misjonarstwa – rzucił z pogardą mnich. – Od pogaństwa skrywane neopogaństwo bywa gorsze. Ateizm. Filozofowanie próżne i relatywizm. Oraz uchylanie się od płacenia dziesięciny. A z tego wszystkiego nie dzika Yougonia słynie, a właśnie wasz machrusański od tysiąclecia Wschód.

– Oferujący wino i chleb, a nie wodę z amebą i pieczyste

z człeka? – dopowiedział złośliwie kamieniarz. – Chyba rozumiem, czemuś kierunek kołomyi zmienił. Nas przyjemniej nawracać.

– Cicho – warknął Debren, ucinając w zarodku coś, co mogło skończyć się awanturą. – Nie oswajam nikogo z paskudnościami, jeno pokazuję, że w tej dziurze robaki w najlepsze mieszkają. Te podkamienne. We wszystkich dziurach po tych tam ostrzach – wskazał broneę. – Wiecie, co to znaczy? – Nawet jeśli zgadli, żaden nie odpowiedział. – Ktoś tę kratę podniósł. Całkiem niedawno. Wstał i dopiero teraz wyjął różdżkę.

– Pewnie chcieli coś cięższego ukraść – zbagatelizował Zecheniasz. – To i podnieśli broneę. Z dołu i tak nie widać, więc po co się męczyć, łupy przez mur... i Debren zawrócił, podszedł do końca liny, szarpnął bez przekonania.

I? – Hak chcesz urwać? – zakpił zakonnik. – Jak utrzyma złodzieja z łupem, to niby czemu...? Debren, prawdę mówiąc, widział to dokładnie tak samo. Zastanawiał się jedynie, czy tam, na górze, lina trzyma się na haku, czy na węźle, a jeśli na haku, to jakim zakłębciem najłatwiej byłoby go podbić i wyciągnąć spod piersi trupa. No i zaniedbał ostrożności.

Lina zwiotczała mu nagle przed oczami, coś świsnęło cichutko, a potem zza pleców dobiegły dwa odgłosy miękkich uderzeń: najpierw lżejszego, potem cięższego.

– O żeż ty... – Wilband zakończył soczystą wehrleńską wiązanką. Lekko sparaliżowany Debren stał w bezruchu i z niedowierzaniem patrzył na leżącego u jego stóp zakonnika. I na owiniętą w szmaty, żelazną kotwicę, spoczywającą obok zakrwawionej głowy Zecheniasza.

Dżuma i syfilis... Jeszcze przed chwilą...

Otępienie ustąpiło, kiedy czerwona strużka przedarła się za ucho i pierwsza kropla kapnęła na ziemię. Runął na kolana, złapał za nadgarstek, druga ręka sięgnęła powieki.

Badał Zecheniasza ze dwadzieścia pacierzy. Całą wieczność.

Ale wolał się upewnić. Serce miał gdzieś w połowie drogi do gardła.

– Dobrze, że owinięta. – Wilband znów popisał się subtelnością i milczał, póki nie znalazł w jego twarzy jednoznacznych oznak ulgi. Pogładził przerdzewiały hak kotwiczki. – Od barki rzecznej, z tych średniego tonażu.

– Mało go nie zabiłem. – Magun opadł na pośladki, wytarł spocone czoło. – Bożycu... Ależ kretyn ze mnie.

– Wyglądało, że zaczepiona – trącił linę kamieniarz. – Ale po coś szarpał, tego nie rozumiem.

– Chciałem sprawdzić, czy to hak, czy pętla. Bo jak hak, to znaczy, że górą chcieli wchodzić. Czyli krata miała być opuszczona, a zamek zamknięty.

– A jak pętla? – Wilband zmarszczył czoło, zastanowił się. – Myślisz, że zamierzali opuścić bronę i zejść po linie? Dla zatarcia śladów? To czemu brona nadal...?

– Nie o tym myślałem. – Debren posłał mu najpierw zdziwione spojrzenie, a zaraz potem uśmiech. – A wiesz, to pewnie to. Dureń ze mnie. Ubzdurało mi się, że może próbował uciec tędy, bo przez bramę nie mógł. Bo ktoś tam się z kuszą czai. – Uniósł głowę, przesunął wzrokiem po wąskich, czarnych otworach w ścianach wieży. – To przez te strzelnice. Nieprzyjemne miejsce. Forteczka cała, wojną nie tknięta, a taka pusta...

– Cmentarz, wypisz wymaluj – odwzajemnił uśmiech Wilband. – No i te trupy... Wiesz co? Zostań tu z nim, a ja się rozejrzę. Cmentarna atmosfera to coś w sam raz dla mnie.

Sięgnął do dźwigni. Debren złapał ją z drugiej strony.

– Chcesz sam...? Ty? – Od razu pożałował. Oczy Wilbanda, bardzo niebieskie i bardzo wehrleńskie, pociemniały. I to wszystko. Na twarz, zamiast gniewu, jawnego upokorzenia, wypełził trochę tylko krzywy uśmieszek.

– Przynajmniej mnie za drugiego takiego nie wezmą – wskazał kciukiem za siebie, na drzewo z obnażonym trupem,

znów objadany przez wrony. – Słyszałeś eksperta: niegroźny jestem dla pańienek. Więc jeśli to jakaś pańienka, to lepszy od ciebie zwiadowca.

Debren rozpaczliwie szukał dobrego argumentu. Nie znalazł. Te dobre musiały boleć.

Dał sobie spokój z argumentami i postanowił użyć podstęp.

– Jeśli to pułapka, w co wątpię – zaczął związać linę – to ten ktoś będzie czekał na wchodzących bramą.

– Nie boję się – rzucił wyzywająco kamieniarz.

– To dobrze, że się nie boisz. Bo to ty wjedziesz przez bramę. – Zaskoczony Wilband zamrugnął. – Ale dopiero jak zawołam. Słyszysz? Dopiero jak...

– Uszu mi nie zgmiotło – mruknął kaleka. – Nogi jeno. Jaj też nie sięgnęło. Dalej chłop jestem. Szklanki cudownej wody może i na mnie szkoda, ale strzały to jeszcze nie. Więc nie kręć. Wejdziemy tam razem. Jak cię litość nad połamańcem bierze, to niewiele ryzykujesz. Każdy rozumny i tak w ciebie mierzyć będzie. Ale jak dwóch zobaczy, to się może zawaha, ręka mu drgnie. Więc lepiej mnie weź. Sobie nie zaszkodzę, a tobie może pomogę.

– Wejdziemy razem – zgodził się Debren, ujmując kotwiczkę i poprawiając otulające metal szmaty. – Jeno nie tak głupio. Wehrleńczyk jesteś, toś pewnie słyszał o wojowaniu na dwa fronty...

Ciche stuknięcie dobrze opatulonego żelaza nie wywołało żadnej reakcji. Debren podostrzył słuch, sprawdził skrupulatnie, czy jakiś zaalarmowany hałasem obrońca zamku Dopschpick nie przemyka się chyłkiem na pomost bojowy zachodniego muru. Nie skrzypi deskami stropu w którejś z narożnych wieżyczek, niskich i wąskich, ale mogących ukryć po kilku łuczników.

Wyglądało na to, że nikogo nie zaalarmował. Powtórzył sobie w duchu to, co już tuzin razy powtarzał: że po prostu nie ma kogo alarmować. Potem splunął w garście i zaczął się wspinać.

Praktyka morska bardzo się przydała. Lina była za cienka, mur w połączeniu ze skałą za wysoki, a konieczność zachowania ciszy podwajała wysiłek. Kiedy w końcu przecisnął się między blankami, zaległ na deskach pomostu nie tyle z wyrachowania, ile z faktycznej potrzeby.

Psiakrew. Nie te lata, nie ta kondycja... Ma rację Zecheniasz: czas się ustatkować, osiąść gdzieś.

Wycieranie sobą murów w jakichś zapyziałych zameczkach to nie najlepszy sposób na życie.

A zamek Dopschpick w pełni zasługiwał na miano zapyziałego. Mur, sprawiający z zewnątrz wrażenie solidnego jak skała, na której go wzniesiono, okazał się tanią konstrukcją drugiej klasy, czyli zwykłym jednowarstwowcem z przyporami. Górskie zamki, które sama natura chroniła przed taranami i ostrzałem ciężkich machin, nie potrzebowały wprawdzie dużo więcej, ale już na pomosty bojowe ich właściciele wydawali więcej niż feudałowie z nizin. Hrabiowie ode Dopschpick stanowili pod tym względem niechlubny wyjątek: na pół prowizoryczna konstrukcja z nadgniłych desek ani nie zabezpieczała przed nagminnym w górach obludzeniem, ani nie gwarantowała odprowadzania wody z obfitych opadów, a z powodu braku co niektórych przęsł wręcz uniemożliwiała błyskawiczny przerzut sił z jednego odcinka murów na inny. Obrońcy zostali z góry skazani na łamanie nóg i rąk – a nawet karków, bo wewnętrznych barierek też nie było – moknięcie, brodzenie po kostki w błocie oraz to najgorsze: głód i pragnienie. Źle zaprojektowana lub niedoinwestowana forteca wymaga liczniejszej załogi, a w warunkach górskich, gdzie zamki bierze się niemal wyłącznie metodą długotrwałego,

wyczerpującego oblężenia, liczna załoga to murowana recepta na klęskę. W czasie pokoju – także tę finansową. Utrzymanie knechta, nie mówiąc o konnym, kosztowało w górach znacznie drożej.

Załodze zamku Dopschpick – o ile w ogóle stacjonowała tu jakaś załoga z prawdziwego zdarzenia, a nie gromadka uzbrajanych naprędce stajennych i kucharzy – raczej nie groziła śmierć głodowa.

Pierwszy ostrzał płonącymi strzałami wypłoszyłby wszystkich za mury: ciasna przestrzeń między nimi pełna była przytulonych do obwałowań, drewnianych przybudówek, z których większość przykryto równie łatwopalnymi dachami z desek i pozyskiwanego w starorzeczach Nirhy sitowia. Pod stajnią piętrzył się ni mniej, ni więcej, tylko potężny stóg siana, a cały dziedziniec usłany był, nie wiedzieć czemu, wiązkami słomy. W dodatku niemal pośrodku, tam, gdzie można by było uciekać względnie skąd można by próbować gasić, budowniczywie pozostawili sporą skałkę, pewnie w charakterze fundamentu na stołp, którego nigdy nie wybudowano.

Niejeden doświadczony zdun miałby problemy z zaprojektowaniem równie obiecującego pieca. W dodatku nigdzie nie było widać studni. Zapewne kryła się w podziemiach pałacu, ostatecznie niwecząc szansę na udaną akcję ratunkową. Budynek, wczesnowieczny jeszcze, drzwi miał maleńkie, ciasne i niskie.

Każdy strażak pożarowy, wybiegający z cebrem, waliłby łbem o nadproże i zderzał się nieuchronnie z wracającym po wodę kompanem. Z tym ostatnim coś by się może dało zrobić, bo z trzypiętrowego domu dało się też wyjść wprost na mury, ale na rozbite głowy nie było mocnych. A wiadomo: strażak nie furman, nie pracuje w hełmie.

Gówniany ten zamek, prawdę mówiąc.

Umieszczona pośrodku dziedzińca fontanna zakrawała na

ponurą kpinę architekta. Właściwie bardziej sadzawka niż fontanna – tyle że bez kropli wody, z błotem jedynie. Centralnie ulokowany postument był ledwie trochę grubszą płytą, a spoczywający na nim głaz nadal bardziej przypominał głaz niż wieśniaczkę lejącą wodę z przechylonego dzbanu. W dodatku ktoś wieśniaczkę wyrócił, czy może nie zdążył postawić, i nawet wypatrujący czegoś innego Debren zauważył, że artysta zapomniał o konieczności doprowadzenia wody. Nogi, w dodatku anemiczne, były już wykute, kiedy rzeźbiarz przypominał sobie o tym drobiazgu. Inwestycja utknęła, ale sądząc po klamrach, artysta próbował poprowadzić rurę po wierzchu i wetknąć wieśniaczkę w... hmm.

Partactwo. Za inną nieudaną próbę artystyczną jakiegoś amatora wziął początkowo walające się pod wschodnim murem ludzkie popiersie. Był ostrożny, leżał z policzkiem przytulonym do desek, więc z początku przegapił to jaśniejsze, skryte w cieniu podpartej kołkiem fury.

Dopiero kiedy dotarł do sadzawki i zobaczył tę drugą rzeźbę, poraziła go różnica klas. Baba z dzbanem była jak postać z wczesnowiecznych malowideł: bardziej symbolizująca człowieka, niż siląca się na jego udawanie. A tu proporcje zgadzały się idealnie, jak w starożytnych posągach wykopywanych w Hienie czy Bootalyi. Tylko to w dole, za nadłamanym kołem fury...

Przełknął z wysiłkiem ślinę. Popiersie nie było popiersiem. Było górnym końcem zamienionego w kamień człowieka. Którego dolny koniec, z grubsza od połowy mostka Poczynając, połyskiwał bielą kości. Debren nagle przejrzał na oczy. I zaczął odnajdować drobiazgi, które uprzednio przegapił.

Coś okrągłego, zbyt białego jak na garnek, za rogiem drewutni. Samotną ludzką piszczel w zagłębieniu przy bramie. Psi szkielet wtłoczony w kupę śmieci obok południowo-

wschodniej wieżyczki.

Coś przesłoniętego obmurówką fontanny, co wyglądało jak kij z zatknietą nań cizmą, ale co niekoniecznie musiało być kijem. Parę ciemnych plam w miejscach, gdzie kamiennogliniastego podłoża nie zasłaniała rozrzucona słoma.

Dziedziniec pachniał śmiercią. Debren nagle poczuł ten zapach. Mocno zwietrzały, lecz nadal obecny.

Drgnął, słysząc stukot kopyt po zewnętrznej stronie muru. Muł. Najwyraźniej znudził się, stojąc tam, gdzie stał. Ale raczej wyzarł wszystkie kępi traw w okolicy i poszedł poszukać następnych bliżej bramy. Nie ma problemu, Debrenowi nie podobało się jednak, że słyszy go tak dobrze. Ktoś ukryty na dziedzińcu też mógł...

Tyle że dziedziniec był pusty. Obejrzał go łokieć po łokciu, stopniowo wychylając się zza krawędzi pomostu, by na koniec spojrzeć aż pod własny brzuch, na skryty w cieniu platformy bojowej daszek jakiejś koślawej budy. Była przykryta łupkowym gontem i może dlatego, z powodu ciężkiego zadaszania, więźba puściła, a kamienne dachówki zapadły się do środka. Ten widok uzmysłowił mu, że parę innych przybudówek też wygląda jak dolnogadacka wieś po pacyfikacji, którą jej zafundował swym taranem dziadek Udebolda. Wyłamane drzwi, okienka z których powydzierano nie tylko błony, ale i ramki do mocowania tychże, wykoślawione dachy... Kawał pomostu przy wschodnim murze zwyczajnie się zawalił. Wcześniej Debren uznał, że zaniehbany zamek popadł w ruinę lata temu, ale teraz przyjrzał się uważniej i od razu poznał, że najwyżej miesiące.

Trzy miesiące? Spod rumowiska wystawała jakby rękawiczka. Podostrzył wzrok i stwierdził, że to ludzka dłoń, tyle że skamieniała. Widok był dziwaczny, ale nie szokujący. Skamieniałych zwłok, bądź co bądź, oczekiwał, choć nie w takiej liczbie. Tak naprawdę martwiła go reszta, te ślady jak po przejściu huraganu. Nijak nie pasowały do znanej mu

magii, stosowanej przy petryfikacji. Inna sprawa, że huragan też nie pasował: nie przy takich ilościach walającej się wszędzie słomy.

Co tu się stało, dzuma i syfilis? Pewne było jedno: że coś, co zabiło w nocy tych dwóch, nie siedziało teraz w pałacu i nie mierzyło mu w plecy z kuszy albo różdżki. Kusza dawno wypluła by bełt, a różdżkę by wyskanował.

Pozostawały lochy. No i ewentualnie...

Nie brał na serio ewentualności, że zabójca mógłby się ukrywać w którejś z przyklejonych do murów budek. Nawet te mocno zdemolowane były z reguły zamknięte na głucho, a niemal żadna nie posiadała okien. W magazynach okna są nie tylko zbędne, lecz wręcz szkodliwe: kotom, szczurom i źle opłacanej służbie nie należy ułatwiać życia. Kryjówek więc nie brakowało, ale nie były to dobre, ułatwiające nagły atak kryjówek.

Debren nie przejął się więc tak, jak powinien, gdy zza bramy dobiegła go stłumiona klątwa, odgłosy szarpaniny i wreszcie łomot zaprzęgu, złożonego z muła oraz beczkomobili. Nie zareagował też, kiedy sprawca hałasu przekłusował przez tunel pod wieżą bramną i wpadł na dziedziniec. Sam zaklął dopiero na widok tego, co wtoczyło się za beczką.

Samojazdu, czy jak mu tam. Z Wilbandem uwieszonym jedną ręką pętli na beczce, a drugą drąga-silnika.

– Czekać miałeś! – krzyknął gniewnie, podnosząc się na kolana. Dalsze ukrywanie się nie miało sensu. Klęczenie też, ale to przecież nie klękać próbował, a całkiem wstawać. Po prostu atak dopadł go ciut za wcześniej.

Zza czegoś, co brał za stertę zgromadzonych z myślą o stołpie materiałów budowlanych, wychylił się mały, połyskujący przedmiot i zaraz potem niewidzialna, za to potężna łapa zdzieliła go w ciało.

Nie w głowę, pierś czy którąś z kończyn – w ciało jako takie.

To było jak pchnięcie wiatrem, tyle że żaden wiatr nie uderza tak znieńcka, wąskim jęzorem, który ciska klęczącym mężczyzną jak szmacianą lalką, nie poruszając kurzu zalegającego dwa łokcie dalej.

Projektant zamku zaoszczędził i na blankach, więc Debren nie wyfrunął za ciut przyniski murek tylko dlatego, że akurat klęczał.

– Ten parszywiec na chama tu...! – Wilband dostrzegł nagle, co się dzieje, i ugryzł się w język.

Może dosłownie. Debren, zanim zanurkował ku deskom pomostu, rozplaszczając się i schodząc z drogi nadlatującej cegle, zdążył dostrzec, że wózek podskakuje na jakimś wyboju, a jego pasażer, zdzielony w czoło poprzeczką silnika, zatacza się na skrzynkę z narzędziami. Na bruku i gruzie do zasypywania dziur najwyraźniej też tu oszczędzano.

Na magii, przynajmniej w tej chwili, nie. Trzy sążnie na południe od Debrena trafiony niewidzialnym i bezgłośnym wiatrem blank pękł z hukiem i runął najpierw na skarpe, potem na prowadzącą do zamku drogę. Piętnaście sążni na północ mniej potężny, za to bardziej spektakularny czar rykoszet przemknął w poprzek fasady głównego budynku, z upiornym trzaskiem pokruszył pół tuzina oszklonych okien. Z dachu poleciały dachówki: te stare, łupkowe, i nowoczesne, gliniane, użyte tu i ówdzie do łatania dziur. Zadudniły jakieś zatrzaśnięte potężnym przeciągiem drzwi.

– Kryj się! – wrzasnął przytulony do desek magun.

– To golem! – odwrzasnął Wilband, zagłuszany przez łomot kół beczkomobili. – Skrył się pod...! Debren, który zdążył wyszarpać różdżkę spod brzucha i unieść głowę, z niedowierzaniem patrzył na mknący ku bramie... samolot? Bo tak by chyba trzeba ochrzcić szybujący trzy łokcie nad ziemią wózek. Inna sprawa, czy można to było nazwać szybowaniem. Wehikułem i pasażerem obróciło chyba tylko raz, ale za to wokół wszelkich możliwych osi i Wilband miał

ogromne szczęście, że przodek hrabiego Krutza zbudował taki właśnie, nie większy i nie mniejszy zamek. Tylko dlatego wózek zderzył się z wartownią już po wykonaniu pierwszego piruetu, a jeszcze przed wejściem w drugi.

Zamiast czaszką o kamienie bądź kręgosłupem o belki, Wilband grzmotnął stojakiem narzędziowym wózka o brzeg dachu z sitowia, wybił krokiew, dostał nią lekko po głowie i wraz z wózkiem runął na ziemię.

Podarował magunowi bezcenną chwilę. Która okazała się bezużyteczna. Za sprawą ciężko wystraszonego muła i cholernej beczkomobili, którą galopujące wokół dziedzińca zwierzę wlokło za sobą, przewracając wszystko, co się dało przewrócić, krzesząc iskry spod okutych kół i wypełniając ciasną przestrzeń taką ilością ruchu, rżenia i paniki, że Debren nie był w stanie wypatrzeć przyczajonego pod czymś napastnika.

Inna sprawa, że sam też aż spocił się ze strachu. Golem? Na akademickich zajęciach z samoobrony nie uczyli o golemach! Dżuma i syfilis, miał być upiór czarownicy, a nie jakieś kamienne czy gliniane cholerstwo! Następna cegła oderwała się od sterty budulca, poleciała w jego stronę. Ale napędzający ją czar był szybszy i pchnięty obrzeżem wiązki Debren nie tylko poszorował brzuchem pod deskach, zjeżdżając mimowolnie z linii ciosu, lecz i zrozumiał.

Obok bramy Wilband szarpał się z sitowiem, stojącym na sztorc wózkiem i jakąś deską. Krzyczał coś o zabijaniu i łajnie, a może o zabijaniu łajnem. Debren nie był pewien, czy chodzi o same tylko klątwy: w pewnym momencie od strony skały-fundamentu faktycznie nadleciało coś podłużnego jak kielbaska, ciemnego i wyraźnie lepkiego, co pokryło ścianę wartowni wielkim, gwiazdkształtnym rozbryzgiem. Był to jednak tylko efekt uboczny, podobnie jak chmura kurzu i słomy, która w chwilę potem dopadła rzeźbiarza. Czynnikiem rażenia miało być uderzenie mocą. Wózek raz

jeszcze stanął dęba, rąbnął o budę z tyłu i zastygł jak zastrzał między jej ścianą a podłożem. Napierająca na brzuch pojazdu siła bynajmniej nie ustała: po chwili rozległ się trzask pękającej ramy narzędziowej i wózek-zastrzał wskoczył głębiej w kąt. Zmiażdżyłby pewnie uwiecznionego głową w dół pasażera, ale Wilband w ostatniej chwili wepchnął największy ze swych młotów między ścianę a ramę i zastopował sunący po ziemi koniec podwozia. – Jaja ci urwę!!! – ryknął Debren, podrywając się na czworaki i mknąc ku najbliższej drabinie. – Kalekę bijesz, tchórze?! Pomysł z drabiną nie był mądry: napastnik trzasnął czarodziejem o mur, potem poprawił cegłą, chybiając wprawdzie, ale kalecząc w czoło odłamkiem, zaś na koniec omal nie zmiażdżył Debrenowi dłoni, Metry wystający nad pomost fragment drabiny przeważył nagle dwudziestokrotnie dłuższą część dolną i masywna konstrukcja zatoczyła łuk z chyżością ramienia balisty. Magun w ostatniej chwili szarpnął rękę w tył, runął na plecy i bezradnie pożegnał wzrokiem odlatującą za mur drabinę.

Musiał zawrócić, zmarnować następne bezcenne momenty na dotarcie do najbliższego całego dachu. Skok wprost na dziedziniec był zbyt ryzykowny: niby niewysoko, ale gdyby tamten go wyczuł i pchnął w locie, obracając głową w dół... Na wszelki wypadek, skoro i tak przebiegał obok, chwycił zaczepioną o przedpiersie kotwiczkę, przerzucił hak na zewnętrzną stronę, wpił się palcami w linę. Pod bramą Wilband stukał, dość anemicznie, którymś z mniejszych młotków. Przednie, zadarte ku górze kółka wózka wirowały jak szalone, najwyraźniej od ponawianych raz za razem ataków. Słomą nosiło po całym dziedzińcu: ciskane to tu, to tam zakłęcia wytworzyły lokalne wyże atmosferyczne między murami i na dole całkiem zdrowo wiało. Kurz przemieszany z plewami i wyschniętym kurzym łajnem wirował wszędzie, oślepiał, ale i rozjaśniał sytuację. Dzięki niemu Debren widział, którędy idą uderzenia mocy, i zyskał ostateczną

pewność co do kryjówki napastnika.

Coś, co próbowało ich zabić, przyczaiło się za skałką, obok której składowano cegły, deski i inne materiały budowlane. Miejsce było dziwacznie dobrane, wzięwszy pod uwagę, że kryjówka znajdowała się po tej samej stronie skałki co wylot bramy, ale Debren nie miał czasu roztrząsać tej kwestii.

Wózek kamieniarza trzeszczał w szwach i lada chwila mógł pęknąć.

Coś błysnęło w kurzawie. Hełm? Golem w hełmie? Debren zsunął się z dachu przybudówki na ziemię, szarpnął linę, odskoczył za drewniany składzik, by nie oberwać kotwiczką. I pomyślał, że właściwie czemu nie. W tym cholernym Wehrlenie hełmów potrzebowali woźnice, a jak przekonał się dzisiaj – także mnisi i czarodzieje, narażeni na ciosy kotwicami floty rzecznej. Więc niby czemu nie golemy? Albo nawet, idąc za ciosem, strażacy pożarowi? Kotwica omal nie wywichnęła mu barku, bo ten zza skałki zorientował się i posłał spóźnione pchnięcie na zachód. Debren z czystej przekory, jeszcze bez załóżka pomysłu, ściągnął całą linę do swej kryjówki za składzikiem. Potem wyjrzał zza węgła, sprawdził, co na froncie południowym, u Wilbanda. Nie było najgorzej: w prześwicie między tumanami kurzu i słomy mignęło młotkiem i ułomkiem deski, wbijanej między podwozie wózka a ścianę. Kamieniarz okopywał się pod ogniem jak rasowy żołnierz, choć Debrenowi trudno byłoby wskazać formację wyspecjalizowaną w takich sztuczkach.

Tylko że to nie wojna. Jasny gwint, przyjechali tu, by w spokoju...

– Hej ty! – krzyknął, nie myśląc o tym, że obrońca zamku może nie rozumieć staromowy. – Odchędoż się, dobrze?! Nic do ciebie nie mamy! – Golem, czy cokolwiek to było, przestał czarować i chyba wyjrzał zza skały, bo znów błysnęło. Debren wymierzył nawet różdżką, natchnięty pomysłem posłania precyzyjnego pioruna i zakończenia walki, ale zanim

skoncentrował moc, muł przekłusował mu tuż przed nosem, a beczkomobilaomal nie rozjechała stopy. Kurzu zrobiło się więcej i stracił hełm z oczu. – Możesz tu sobie mieszkać czy co tam robisz! Jeno nam w drogę nie włącz, jak będziemy Curdelię grzebać! Nie było odpowiedzi. Ale też nikt nie miał czarami.

– Debren! – Głos kamieniarza był trochę stłumiony, ale trudno wymagać normalnego od kogoś spoczywającego głową w dół pod własnym wózkiem. – Zagaduj go!

– A co? Masz jakiś plan?

– Ten otruty miał łuk! Chyba zleciał gdzieś tutaj! Zaraz przebiję się przez ściankę i jak znajdę, to ustrzelę cholernika! Więc nie ryzykuj!

To wyglądało zbyt pięknie. Buda dla wartownika przy bramie była wyjątkowo marnie sklecona, fakt, i już wcześniej straciła dach, a niewidoczny z perspektywy Debrena trup znajdował się faktycznie gdzieś nad nią i mógł śmiało upuścić cały dobytek prosto do środka – ale coś zgrzytało w planie Wilbanda.

Na szczęście nie był to głośny zgrzyt. Debren szybko zlokalizował go i nazwał.

– Mam nadzieję, że nie rozumie, co mó...! Nie dokończył. Szczęknęła zapadka, zagwizdało i krótki bełt przebił podwozie wózka. Dość wysoko, ale przestrzeni pod wózkiem było tyle co kot napłakał i żaden normalny człowiek...

– O żeż ty łachudro! – W okrzyku był i strach, i gniew, ale bólu nie było. Tam, blisko przedniej osi, Wilband miał tylko wspomnienie po nogach. – Debren, on ma kuszę! Cudnie. Czarujący golem w hełmie, a teraz jeszcze z kuszą. Dobrze że chociaż durny. A durny musiał być: mając taką przewagę, każdy rozumny golem wylazłby z za tej górki i po prostu ich zabił.

– Dobrze, wynosimy się! – zawołał, próbując połączyć pośpiech z możliwie godnym i pewnym siebie brzmieniem

głosu. – Widzę, że rycerski z was przeciwnik! Inny to by kuszy z miejsca użył, a wy jeno w odpowiedzi na nasz łuk! To zmienia postać rzeczy! Słyszycie, panie golem?! Po co mamy walczyć, skoro z was porządny... no... stwór.

Nie było odpowiedzi, jeśli nie liczyć szelestu opadającej słomy. I cichego szczęknięcia zapadki.

Golem dysponował albo godną kamiennej istoty krzepą, albo kusza była z tych lekkich, napinanych bez kołowrotu. Rycerz czy tarczownik znalazłby w tym niejaką pociechę, ale oni nie byli opancerzeni i lekka, za to bardziej szybkostrzelna kusza wcale nie radowała Debrena.

– Ostrzegam! – rzucił, klękając i wyglądając ostrożnie zza narożnika budki. – Jak jeszcze raz do niego strzelisz, to inaczej pogadamy! Magię znam! W poprzek dziedzińca pomknął stożkowy, rozszerzający się stopniowo czar. Nie bardzo celny: górna część wartowni zadygotała wprawdzie, sypnęła szczapami drewna, ale wehikuł Wilbanda nawet nie drgnął. Pewnie dlatego golem poprawił pociskiem z kuszy. Bełt trafił lepiej, tuż przy przedniej osi, w okrzyku właściciela wózka nie było jednak bólu, a czysty gniew.

– Skrzynię biegową mi rozwali! Nie gadaj tyle, Debren, tylko zaczaruj bydlaka! Debren już biegł. Bez cienia pomysłu w głowie, ale z wyciągniętą przed siebie różdżką. Linę zabrał tylko dlatego, że akurat trzymał ją w drugiej ręce. Dopiero jedno i drugie uderzenie udem o któreś z masywnych ramion kotwicy uzmysłowiło mu, że to przecież niezgorszy pocisk, w dodatku wielorazowego użytku.

Muł zaczepił w końcu beczkomobilą o jakiś słup, zatrzymał się. Jak na złość. W ciszy, która nagle zaległa dziedzińiec, uderzenia stóp słyhać było doskonale i Debren szybko doczekał się reakcji golema. Nad skałą, dokładnie tam, gdzie przedtem, błysnęło metalem.

Posłał gangarina. Głupio, bo nie miał pojęcia, czy golemy w ogóle mają coś zbliżonego do błędniaka – ale w zapale bitwy

głupie reakcje są ponoć normą. Tamten też nie zachował przytomności umysłu, bo zamiast wysunąć coś więcej niż hełm i precyzyjnie przywalić nadbiegającemu, najpierw grzmotnął czarem po opartych o skałę belkach, a potem całkiem się schował.

Belki rozsypały się na wszystkie strony, efektownie może, ale bezużytecznie, bo całkiem nie tam, gdzie Debren zamierzał biec. Czarodziej dopadł skały, przywarł do niej ramieniem. Kątem oka dostrzegł przód wózka, opadający jak most zwodzony.

– Kupą go! – wrzasnął Wilband, odpychając się od szopy i błyskawicznie napierając całym ciężarem na dźwignię napędu. – Idę, Debren! Wytrzymaj! Debrena lekko zemdliło. Wszystko szło nie tak, nie zrozumieli się. Skała chroniła go przed skrytym po drugiej stronie stworem, ale dokładnie tak samo działało to w przeciwnym kierunku. Miał nadzieję, że coś wymyśli, teraz jednak nie pozostawiono mu czasu na planowanie. Golem wydał wprawdzie jakiś paskudny, żołądkowy odgłos, dość typowy dla ofiar mocnego gangarina, ale diabli wiedzą, co to oznacza u istot z gliny i kamienia. Może, przykładowo, szyderczy śmiech.

Bardziej w przypiływie rozpaczy niż intuicji wepchnął różdżkę w zęby, złapał oburącz linę i machnąwszy nią jak dziewczynka monstrialnie długą skakanką, przerzucił za skałę. Zanim jeszcze opadła, skrzyżował końce w załączku węzła. Kątem oka dostrzegł cofające się w potężnym zamachu prawe ramię kamieniarza. Wózek mknął w tempie biegnącego człowieka, był już wystarczająco blisko na celny rzut.

Wilband jednak nie rzucił. W momencie, gdy Debren wbijał kotwiczkę między skałę a węzeł, znieruchomiało wszystko powyżej rozpedzonej platformy: i silnik, obsługiwany przez Wilbanda lewą ręką, i wzniesiona do ciosu prawa ręką, i bazaltowy ciężarek, mający posłużyć jako pocisk.

Czarodziej zakręcił ramionami kotwicy jak sterem okrętu,

obrócił głowę, próbując zrozumieć, co się stało. Nie zdążył. Wilband niczego nie próbował: nadal gapił się na swą niedoszłą ofiarę jak zahipnotyzowany, kiedy lewe przednie koło trafiło w jakąś dziurę zamaskowaną słomą, wózkiem obróciło o dobre dziesięć rumbów, a sam kamieniarz wyleciał z niego niczym pocisk z marnej katapulty. Włosy pochylonego maguna przecesał znajomy już podmuch. Silny: poderwane z grzbietu skały ziarenka piasku uderzyły w czoło niczym gromada uzbrojonych w igły pszczoł. Gdyby oberwał po oczach... Ale sam w sobie cios był mało groźny, impuls trwał zbyt krótko. To znaczy: ta część impulsu, która trafiła. Bo większość poszła bezsensownie po bokach, zupełnie jakby czarujący oślepl i miotał mocą na chybił trafił.

– Zabiję...

Głos był dziwny. Właściwie szept, nie głos. Skała, która ich rozdzielała, miała obwód równy obwodowi małej komnaty i szorstką powierzchnię, więc po stopniu napięcia miny Debren nie umiał ocenić, czy to silny ucisk na płuca czy umiarkowany na gardło – ale w tej chrapliwej groźbie strachu i desperacji dobrze przyduszonej ofiary było chyba trochę więcej niż gniewu. Lina najwyraźniej trafiła we właściwe miejsce, a on okazał się szybszy od próbującego ją strząsnąć...

No właśnie – od kogo? Duszące się, charczące z wysiłkiem istoty trudno zidentyfikować po głosie.

Ale Debren, boć w życiu nie zamienił jednego słowa z golemem, miał całkiem inne wyobrażenie o ewentualnym głosie ewentualnego stwora z gliny czy kamienia. Coś było nie tak.

– Rzuć kuszę! – Wątpliwości wątpliwościami, ale tego jednego był pewien: że potwora należy w pierwszym rzędzie rozbroić. – Bo ją zacisnę! Słyszysz?! Zacisnę linę! Kotwicą bardziej już nie mógł: i tak omal nie powyłamywał sobie stawów przy ostatnim ćwierćobrocie.

To mu ułatwiło decyzję. Skoczył w prawo, bliżej

przewróconego wózka i leżącego obok Wilbanda.

Dzieliło ich teraz raptem z tuzin kroków.

Dalej już iść się nie dało. Skutecznie zastopował go błysk słońca na stalowym łączysku. Kusza wymierzona była w Wilbanda – i napięta.

– Strzelę... – wycharczał ktoś, kto ją trzymał. Trzymanie wychodziło mu niewiele lepiej od mówienia, broń kiwała się przez chwilę na wszelkie możliwe strony, ale odległość była naprawdę mała i Debren błyskawicznie ocenił, że tylko w jednym przypadku na dwa bełt rozminie się z ciałem kamieniarza. Decyzja przyszła sama.

– Wtedy ja cię uduszę – warknął, mocniej przylegając plecami do nagrzonej słońcem ściany. Stracił z oczu koniec kuszy, ale zyskał znacznie większą szansę wyjścia bez szwanku spod jakiegoś podkręconego zaklęcia.

– Nie!

W pierwszej chwili pomyślał, że tamten złożył się do strzału: zmyliła go panika w okrzyku Wilbanda.

Dopiero spojrzenie kaleki, jawnie ignorującego wschodnią stronę skały i przyklejone do jego twarzy, uświadomiło mu, jak dalece się pomylił.

– Mamy za sobą prawo – rzucił niepewnie. – I rację moralną. A ja służyłem w cesarskiej flocie i znam kupę zaklęć związanych z linami i węzłami. Dawno cię mogłem zabić, gdybym chciał.

– Chędoż... się. – Głos był chyba słabszy, golemowi najwyraźniej brakowało tchu.

Golemowi? Psiamać, znów odniósł wrażenie, że to bardziej przypomina szept jakiejś... – To dziewczyna! – Wilband też krzyczał ciszej, lecz nadal był to krzyk i nadal brzmiał w nim protest. – Puść ją, Debren! Dusi się!

Nie był ani trochę wiarygodny. Z czoła płynęła mu krew, jasne oczy zrobiły się wyraźne maślane, jak u pijanego albo solidnie udzielonego po łbie, no i, przede wszystkim, nikt tu

nie używał zaklęć transformacyjnych. Golem nie miał prawa ni z tego, ni z owego zmienić się w dziewczynę. Za dużo ciosów w artystyczną, z natury niewydarzoną głowę – to wszystko. Ale ten głos...

Debren zachował się jak kretyn, nie czarodziej, i poprostu wylazł zza skały. Dobrze chociaż, że z różdżką w dłoni. Inna sprawa, że z miejsca o niej zapomniał i gdyby dziewczyna strzeliła, dałby się zabić jak cielę.

Bo za skałą, klejąc się do niej plecami, faktycznie siedziała dziewczyna. Najdziwniejsza, jaką widział.

Wszystko, pomijając oczy barwy orzecha, miała w kolorze ziemi i skały – to pewnie dlatego Wilband przegapił szczegóły, w pierwszym odruchu biorąc ją za golema. Było gorąco i była spocona, ale to nie na pocie, jak w przypadku pracujących w kamieniołomach robotników, trzymała się pokrywająca skórę warstwa szarego pyłu. A już na pewno nie ta jej część, która oblepiała koszulę. Bo dziewczyna, choć w pierwszym odruchu Debren uznał ją za nagą, miała na sobie jednak kuszą koszulę bez rękawów z płytkim, szerokim dekoltem. Coś podobnego nosiły boginki ze starożytnych illeńskich płaskorzeźb.

Koszuli było tyle, co kot napłakał – i to wcale nie dla – tego, że szara istota, mimo ewidentnie dojrzałych rysów twarzy, rozmiarami ciała przypominała kilkuletnie dziecko. Wrażenie niedostatku brało się z kształtów owego, dziecięcego na pozór, ciała.

Kształtów bliskich ideałowi z męskich snów.

Nogi, odsłonięte nieomal od ich styku, były najdłuższymi jakie Debren oglądał – w proporcji do reszty, ma się rozumieć. Ręce i dłonie zachwyciły połączeniem smukłości z krągłościami, delikatnością, za którą kryła się subtelna siła tancerki. Piersi, dobrze okryte ale i rozpychające się pod płótnem, przywodziły na myśl jabłka, tak świeże i nabrzmiące sokiem, że niemal gotowe eksplodować pod naciskiem zębów.

Pośladków przywierających do skały nie było oczywiście widać, ale, sądząc po kształcie bioder, i one ocierały się o doskonałość.

Zza kuszy przyglądał im się żywy posążek kobiecości.

Debren w mgnieniu oka rozgrzeszył Wilbanda ze wszystkiego. Z ewidentnego ogłupienia, strachu przed tym, co sznur mógłby zrobić ze smukłą szyją, no i z braku strachu o towarzysza.

Dziewczyna, mimo grubych, nieco topornych rysów twarzy – a może, paradoksalnie, właśnie dzięki nim – była piękna. Dziwną, egzotyczną urodą, nad którą jedni mogliby dyskutować całymi klepsydrami, a która innych – w tym Debrena – waliła jak obuchem przez łeb.

Prawie nie przyjmował do wiadomości, że to ona tak strasznie cuchnie. Ona i to, co leżało wokół.

Gangarin zadziałał i przy biodrze siedzącej połyskiwała wilgotna plama z bryłkami nadtrawionego mięsa – ale to był tylko nieistotny dodatek, jeśli mierzyć mocą odoru. Znacznie mocniejszy smród dochodził spod sztywnej, psiej chyba skóry, leżącej obok i przemyślnie zamaskowanej słomą. Skała obok jej bioder miała chyba inny, ciemniejszy odcień niż gdzie indziej. Już bez żadnego „chyba” dotyczyło to skały sąsiadującej z miejscem, gdzie zbiegały się jej nogi. Wywołany czarami huragan wywiał z dziedzińca wszystkie muchy, ale pierwsze zaczynały już wracać. Właśnie tutaj.

– Ciebie ustrzelę – wychrypiała szaroskóra – a jego... o mur roztrzaskam. Już nie... żyjecie, ścierwojady.

Teraz, gdy się ją widziało, zduszony liną szept brzmiał niemal melodyjnie. Debren stał, gapił się na nią i próbował zrozumieć, dlaczego ktoś tak bardzo odmienny tak bardzo przypomina Lendę Branggo.

Pod warstwą brudu związaną po piracku chustą – a konkretnie kawałkiem zastępującej ją szmaty – kryły się wprawdzie czarne włosy, ale nic więcej nie łączyło obu

dziewczyn. Nawet te włosy je różniły: tu falowały, próbowały się skręcać mimo ściągającego je z tyłu głowy węzła, u Lendy były proste i grube jak włosy rdzennych, żółtoskórych mieszkańców Zapadniki.

– Nie jestem ścierwojadem – uśmiechnął się mimowolnie, pewnie przez to skojarzenie z Lendą. A potem zrobił coś jeszcze głupszego: trącił cizmą leżące obok resztki obdartej ze skóry, wypatroszonej i obgryzionej na surowo wrony. – W przeciwieństwie do ciebie, panienko.

Kuszę już przedtem wymierzyła w jego brzuch, teraz jedynie zrobiła to porządnie, oburącz.

Najwyraźniej zrozumiała, że używanie lewej dłoni do szarpania opasującej gardło liny niewiele jej da. Ale zadartego do góry kolana, używanego wcześniej jako podpora dla łoża, nie opuściła. Może była zbyt słaba. Może bała się, że krawędź koszulki nie opadnie dostatecznie nisko i nie zakryje tego, co w tej chwili osłaniało sobą smukłe, lecz zarazem pełne udo.

– Tylko nie... panienka – wycharczała ze złością. – Do hrabiny mówisz... kmiecie.

Nie poraziła Debrena tą nowiną. Widział ją nieco z boku, no i potrafił dodawać dwa do dwóch bez posiłkowania się palcami. Sam się domyślił.

– Mamy zaszczyt z Curdelią ode Dopschpick? – Skłonił się lekko, akurat na tyle, by nie wzięła gestu za jawnie szyderczy. – To masz na myśli, pani?

– Zabierz linę. I nie... ruszaj się.

Była zła i chyba przestraszona pod maską pozornego opanowania, ale to nie emocje rwały na strzępy jej wypowiedzi.

– Debren, ona się dusi! – przypomniał o sobie Wilband. Zaczął chyba wstawać, bo kusza drgnęła.

– Leż... żebraku.

– Mamy problem – powiedział spokojnie Debren. – Węzeł jest z tyłu. Jak pójdę go luzować, pomyślisz pewnie, że

dociągnę linę i cię do końca zduszę. Jak nie pójdę, to zaraz zemdlejesz z niedotlenienia. Widzę, że harda i ciebie sztuka, więc pewnie strzelisz, gdy ci zacznie ciemnieć w oczach. A wtedy temu z nas, który przeżyje, wypadnie pomścić druha. Nie wiem, jak Wilband, ale ja robiłbym to mocno wbrew sobie.

– Ja też – zapewnił rzeźbiarz, skwapliwie, lecz zarazem dziwnie słabym głosem. – Serca bym nie miał.

– Sprytnie... kombinujesz – pochwaliła go Curdelia. – Ale nie... niepotrzebnie. I tak do niego... strzelę. Kaleka mi... niestraszny. Indorom radę dałam, choć... dwakroć tylu ich... było.

– Nie chcę być źle rozumiany. – Debren ostrożnie wepchnął różdżkę do pochwy, powoli zgiął kolana, przysiadł na piętach. Kusza znów obróciła się w jego stronę, na szczęście bez nerwowego pośpiechu. – Ale jak mnie ubijesz, to raz, że ci Wilband młotem przywali...

– Oszalałeś? – oburzył się kamieniarz.

– ...a dwa – dokończył z lekką urazą – że się bez pomocy udusisz. Noża, widzę, nie masz. Nie uwolnisz się w porę. I oboje bez nijakiego sensu zginiemy.

– Lepiej... w walce niż...

– Najął nas Udebold Rimel. Do pogrzebania z honorami swej ukochanej kuzynki. Nie do zabijania czy krzywdzenia kogokolwiek.

– Łiesz. Tacy z was... grabarze, jak z koziej rzyci...

– Nie łzę. A Wilband naprawdę dorabia grabarstwem, choć żyje głównie z rzeźbienia.

– Łiesz. Nóg... nie ma – zaprotestowała.

– Dlatego rzeźbiarzem jest, nie gońcem. Nie sądź po pozorach, hrabino. Bo jeszcze ciebie ktoś tak osądzi. – Nie skomentowała. – Posłuchaj, jestem czarodziejem. Nie mordercą. Nie skrzywdzę cię. Wstanę teraz i przejdę...

– Nie! – Przerzuciła bardziej w lewo i kuszę, i podpierające

broń kolano. Tułowiem nie poruszyła, więc choć Debren został pozbawiony szans na skuteczny odskok poza skałę, sytuacja Wilbanda poprawiła się. To znaczy: z punktu widzenia Wilbanda.

Kamieniarz od samego początku nie zajmował się niczym innym, tylko pożeraniem Curdelii wzrokiem.

Teraz najwyraźniej dostał mu się nowy kąsek. O ile Debren prawidłowo ocenił kąty – najsmakowitszy z możliwych.

Pięknie. Dziewczyna zastrzeli Debrena, spokojnie napnie kuszę, wpakuje bełt Wilbandowi, a ten kretyn nawet nie zauważy, że umarł. Szlag by to trafił. Że też kotwiczka musiała trafić akurat Zecheniasza. Nawiasem mówiąc: też kretyna. Kto jak kto, ale specjalista od spraw męsko-niewieścich powinien przewidzieć możliwe komplikacje. Wilband był młody i pewnie beznadziejnie samotny. A Udebold wyraźnie wspominał o nieskromnym wyglądzie kuzynki. Warto było odżałować choć szklankę cudownej wody, podmuchać na zimne. Zwłaszcza po tym, jak łajdak założył się z Debrenem, że nie szpetnego potwora tu znajdą.

Może znał hrabinę, może słyszał o jej urodzie, a może po prostu, w przeciwieństwie do maguna, użył głowy i dodał dwa do dwóch. Hrabiowie nie żenią się z byle kim. Wielkiego posagu, sądząc po kamieniołomie Rimelów, Krutz za dziewczynę nie dostał. Czyli musiała mieć inne atuty.

– Ponoć czarujecie, pani. – Cholera, marny wstęp. Jeszcze się obrazi. Blank odłupany od muru, niechby i zanedbanego, te latające cegły, trąba powietrzna, po której do tej pory z nieba sypało co lżejszymi plewami. A on, kretyn, wyskakuje z tym „ponoć”. – Czarownice z rozsądku słyną. I zimnej krwi.

– Nie... wszystkie. Krócej gadaj. Duszę... się.

– Odejdź, Debren – dobiegł z tyłu stanowczy głos Wilbanda. I trzask przewracanego wózka. – Wyjdź z zamku. Nie widzisz, że się ciebie boi? Ja zostanę i ją uwolnię. Mnie się nie lękacie, prawda, piękna pani? Pólludek jeno jestem, kaleka do niczego

nie...

– Obaj... precz idźcie. – Patrzyła, jak beznogi mężczyzna gramoli się na wózek, wpycha kikuty nóg w skórzane obejmy. Debren próbował wychwycić błysk odrazy w orzechowych oczach, ale znalazł już tylko cierpienie i upór. Umierała. Gdyby nie szara maź, skrywająca naturalną barwę skóry, wyglądałaby upiornie.

– W co nie wierzysz? – Zaczął mówić szybciej, bo czasu naprawdę nie zostało wiele. – Że od Udebolda jesteśmy? Umowy na piśmie nie mam, ale potrafię to udowodnić. On... powiedział nam o kołkach. O tym, jak się z tobą zbawiali. Obcemu by przecie...

– Mój kuzyn – przerwała mu – po karczmach się... im przechwała. Też mi... dowód. – Próbowała parsknąć, ile z braku tchu wypadło żałości.

– O kołkach? – Wilband znieruchomiał na wózku. – No to co? – zignorował go Debren. – W co nie wierzysz? Jak mam cię przekonać? – Pokaż, że mogłeś... udusić. Udowodnij.

– Niby jak?! – zdenerwował się. – Mam cię zabić? Psiakrew, gdybym wiedział, że to ty... Nie wojuję z niewiastami! Nawet z mężczyznami nie mam zwyczaju! Wilband, nóż u ciebie widziałem! Rzuć tej kretynce! Kamieniarz sięgnął do pasa. I zastygł. Większość narzędzi została przy wartowni. Widocznie nóż też.

Debren zaklął w duchu. Większy ze swoich noży miał przy siodle. Mały, składany, nosił w pustej sakiewce, bardziej dla zadawania szyku niż dla wygody i bezpieczeństwa. A sakiewkę zostawił Zecheniaszowi w charakterze poduszki.

– Do tuzina liczę – rzuciła Curdelia słabym głosem. – Kto za bramę nie... zdąży, bełtem... dostanie. Jeszcze was, hieny... widzę.

Jeszcze? Debren zrozumiał nagle, skąd się bierze wrażenie, że jej spojrzenie złagodniało. To nie wątpliwości. Po prostu świat mroczniał jej przed oczami, tracił na wyrazistości. Jeśli

całkiem pociemnieje albo zacznie wirować, jeśli dziewczyna uwierzy, że to już koniec...

Strzeli. Czuł to wyraźnie.

– Poluzuję linę – rzucił błagalnie. – Masz Wilbanda za zakładnika, nic ci nie...

– Takiego... kurdupła? – wycharczała. – Komu potrzebny... czterostopowy kurdupel? Też mi...zakładnik.

Debren prawie się ucieszył, że ma tamtego za plecami. Choćby dlatego, że nie musiał udawać wstrząśniętego takim postawieniem sprawy. Miała rację. Nie w tym przypadku, ale niestety miała.

– To ja pojedę. – Wilband próbował skrywać gorycz i upokorzenie, ale czegoś ogromnego nie da się do końca ukryć w czterostopowym kurduplu. – Czarodziej to chyba dobry zakładnik, prawda? Całą czapkę miedziaków mi sypnie, jak się dobrze spiszę. Który żebrak zaryzykuje czapką miedziaków? Pchnął silnik, przechylając go na prawo. Debren zauważył, że przednie kółka wózka dawały się skręcać właśnie przy takim, niesymetrycznym ustawieniu dźwigni, ale teraz coś nie zadziało i wózek, zamiast w bok, potoczył się prosto. W dodatku zgrzytając rozpaczliwie i zatrzymując niemal od razu. Wilband, pąsowy pod kilkunastodniowym zarostem, spróbował raz jeszcze. I ugrzązł w jakiejś dziurze.

– Ani się waż... podchodzić. – Curdelia chyba prawidłowo odczytała ruch Debrena. Usłuchał. Trochę dlatego, że Wilband mimo wszystko nie spasował.

Oboje patrzyli z niedowierzaniem, jak po momencie wahania przetacza się przez ramię, wyrywa kikuty ze skórzanych obejm i zaczyna pełznąć w stronę skały. Szaroskóra oprzytomniała odrobinę wcześniej.

Kusza znów wykonała lekki obrót na łożysku z gołego, prześwitującego bladym różem kolana.

– Ani się waż... kurduplu – rzuciła ostrzegawczo. Wilband, choć zerknął w jej twarz, nie zwolnił ani trochę. – Zastrzełę,

przysięgam!

– Nic ci nie zrobi! – Debren nie potrafił wybrać między zrywaniem się na nogi a padaniem na kolana.

– Bo mały? – Mimo braku powietrza w płucach jakoś, udało jej się roześmiać. Wyjątkowo gorzko. – Mali są... najbardziej nikczemni. Coś... o tym wiem.

Wilband nie tyle pełzł, co śmigał po kamienistej ziemi. Która tam, z tyłu, już teraz robiła się brunatna od krwi ze zdartych łokci. Curdelia podjęła decyzję, kiedy dotarł do dziwnego, czerwonego sznura, wijącego się po ziemi między bosymi stopami hrabiny a obmurówką fontanny.

– Dureń – zachrypiała z pogardą. I pokazała, co potrafi. Nawet nie poruszając kuszą.

Większość czarów wykonuje się przy pomocy rąk. Jej wystarczyło spojrzenie. Długie co prawda, ale Debren nie był pewien, czy dowodzi to słabości dziewczyny. Pchnięty niewidzialnym ramieniem Wilband próbował się przeciwstawić, z całych sił czepiał nierówności podłoża, więc niełatwo było wycierać nim dziedziniec, ale po chwili Curdelii udało się przewrócić go na plecy i od tej pory powinien sunąć ku bramie ze trzy razy szybciej. Tymczasem sunął jak przedtem, a nawet jakby zwolnił.

Cóż, może po prostu oszczędnie gospodarowała mocą.

Czarownice są rozsądne. I zimnokrwiste. To dlatego nie użyła kuszy. Kusza była jej potrzebna na Debrena.

Wmówił sobie, że wkrótce jej użyje. Musiał wmawiać, bo była maleńka, dziecięca mimo doskonale kobiecych proporcji, i zupełnie nie kojarzyła się z wyrachowaną zabójczynią.

Sprawę trochę ułatwił układ dziedzińca. Sadržawka z fontanną znajdowała się bliżej bramy niż Curdelii, więc kiedy wstał, mógł na początek ukazać jej kawałek pleców. Widok pleców nie uruchamia odruchu obronnego.

– Co...? Nie dokończyła. Chyba uznała, że zmądrzał i odchodzi. Albo po prostu nie miała sił mówić.

Debren podniósł bliższy sadzawce koniec czerwonego sznura. Spleciono go z kawałków podartego na wąskie pasma jedwabiu. Końcówka była z czarnej włóczki, tą samą włóczką zamocowano – nader solidnie, bo na całej długości drzewca – bełt od kuszy. Mimo oplotu Debren zauważył, że drzewce jest popękane, a stożkowy grot mocno stępiony i bardziej podobny do cylindra, zapewne na skutek wielokrotnego ostrzenia.

Coś mu świtało, ale nie miał czasu i ochoty zastanawiać się nad znaleziskiem – zamiast tego podniósł bełt, zważył w dłoni i, nie kryjąc się ze swymi zamiarami, posłał wysokim łukiem w niebo.

Po czym uniósł dłoń i przy pomocy lekkiej telekinezy skorygował trajektorię pocisku.

Nie wpakowała mu w brzuch tego drugiego, opartego o cięciwę bełtu. Drgnęła tylko nieznacznie, gdy końcówka czerwonej szmacianki przemknęła między skałą a duszącą ją linką, zaś tępy grot musnął jej nagie ramię.

– Odrzuć – uprzedził otwierając usta dziewczynę. Przykucnął i zaczął powoli wybierać swobodny koniec plecionki. – Odciągnę linę. Tobie ulży, a ja ręce będę miał zajęte. Wiedźma jesteś, to wiesz, że mało kto bez rąk poczaruje.

– Ja... akurat tak.

Przytrzymała kuszę, korzystając z lewej dłoni i kolana. Prawą ręką podniosła bełt, okręciła czerwonym sznurem linę z kotwicą. Podrzuciła bełt i magicznym pchnięciem posłała Debrenowi. Mało zręcznie: pocisk nie doleciał, a zaskoczony metodą magun, trafiony większą częścią wiązki, klapnął tyłkiem o ziemię.

– Ty... kretynie. – Nawet z tej odległości dostrzegł błysk mściwego triumfu w orzechowych oczach.

– Właśnie mi... życie zwróciłeś.

Debrenowi zaświtało, że powinien jednak przemyśleć kwestię czerwonej plecionki. Czarownica ujęła kuszę oburącz,

uniósła do ramienia, wymierzyła.

– Kretynie? – Zepchnięty niemal pod bramę Wilband pozbierał się jakoś, usiadł. – To tego szukasz? Śmierci? Osadzony w korytku bełt drgnął. Debren, przekonany, że to początek ruchu wywołanego naciskiem na dźwignię spustową, runął na bok, wyciągając różdżkę. I od razu znieruchomiał, porażony brakiem świstu nad głową.

Za szybko. Pospieszył się. I przegrał, bo drugi raz jej nie zaskoczy, nie mówiąc o skutecznym uniku wykonanym z pozycji leżącej.

– To to samo! – krzyknął Wilband, chyba nie mniej wystraszony od niego. – Boga nie oszukasz! Jeszcze grzech mataczenia dodasz do samobójczego! Kusza obróciła się o pół rumba, co w zupełności wystarczyło, by kandydatem do uśmiercenia stał się kamieniarz. Ale i Wilbanda nie poczęstowano bełtem.

– Coś... powiedział?

– Masz wszystko, kretynko! – Szarpnął się w jej stronę, stanął na kikutach nóg, wsparty oburącz o ziemię dziwnie podobny do yougońskiego stwora nadrzewnego, zwanego goryludem, którego rycinę oglądał Debren w jakiejś kronice. – Własny zamek, srebro, pełną miskę! We łbie ci się z tego dobrobytu pomieszało?

– Ona nie w tym kontekście... – zaczął magun.

– Milcz, kurdupłu! – Jakimś cudem Curdelii udało się to niemal wykrzyczeć. Jednak nawet cuda mają swoją cenę. Ten kosztował potężny wydatek powietrza, którego zaraz potem zabrakło już nie tylko w płucach. Dziewczyną wyraźnie zakolebało. Korpus za dobrze trzymał się skały, ale już stopy rozjechały jej się na boki, a szeroki nos omal nie pacnął o łożo kuszy. Debren poderwał się od razu na nogi. Łatwo poszło, bo miał po jednym końcu czerwonego sznura w każdej z rąk. Potem nic już jednak nie było łatwe.

Kusza plunęła bełtem. Najwyraźniej nieoczekiwanie dla

samej użytkownicy, która wypuściła ją z rąk. Kolba wyrznięta w bosą stopę, stopa odruchowo umknęła przed bólem, zanurkowała pod lewe udo.

Dziewczyna oprzytomniała, poderwała głowę. Debren obejrzał się, próbował dogonić belt jeśli nie telekinezą, to choć spojrzeniem, ale zobaczył jedynie walącego się na brzuch Wilbanda. A potem, od razu, niebo.

Niewidzialny wichur poderwał go z ziemi, wyszarpnął koniec sznura z lewej dłoni. Prawego końca nie wypuścił i to go prawdopodobnie ocaliło: wzajemne tarcie dwóch lin okazało się dostatecznie silne, by obrócić nim w locie. Wyrznął o zamkowy mur stopami i kolanami, nie karkiem.

Spadł na ziemię i w tym samym momencie dopadła go piaskowo-słomiana burza, wymuszająca błyskawiczne zaciśnięcie powiek.

– Wilband! Łap linę! – Pył wdarł się do gardła, więc Debren bardziej kaszłał, niż krzyczał.

W gruncie rzeczy nie liczył na kamieniarza. Łokcie Wilbanda już teraz były kawałkami krwawiącego mięsa.

Odbił się od muru, spróbował wstać. I wstał – tylko po to, by kolejne pchnięcie cisnęło nim między resztki jakiejś budy, wybiło dech z płuc. Stłukł łokieć o nie do końca obgryzioną czaszkę kogoś, kto pewnie zaliczył podobny lot trzy miesiące wcześniej. Dżuma i trąd. Niedobrze. Nie żartowała, dawała z siebie wszystko, na co było ją stać. A to znaczy, że kiedy przyjdzie kryzys...

Rzucił się szczupakiem w środek piaskowego wiru, zaczął pełznąć. Kiedy napór słabł, otwierał oczy i podrywał się na czworaki, ale ani patrzeć w jej stronę, ani wstawać już nie próbował. Wystarczył mu widok lewej stopy, ślizgającej się po łożu kuszy i próbującej trafić w blaszane strzemię. Diabli wzięli koordynację ruchów, a sądząc po wiatrach, hulających po całym dziedzińcu, i z precyzyjnym lokowaniem czarów zupełnie już sobie nie radziła. Dostał w ucho wyschniętą

bryłką kału. Mignęła mu potem przez chwilę, zamajaczyła strzępkami niestrawionych ptasich piór. Rozsądek podpowiadał, by dać sobie spokój, przeturlać parę razy przez ramię, pozwolić, by kolejne pchnięcie posłało go w przyjazną czeluść bramy. Żarła wrony razem z piórami, ktoś taki będzie do upadłego... Ale Wilband już go wyprzedzał, już był bliżej tego cholernego potwora, który skrył się przed światem w najdelikatniejszym z kobiecych ciał.

Złapał koniec liny w zęby, uwolnił dłoń – i przyspieszył.

Mimo to przegrał wyścig. Na szczęście ten mniej ważny: z beznogim kaleką o zakrwawionych rękach.

Małeńka stopa Curdelii trafiła wprawdzie w strzemię, ale kuszy daleko było jeszcze do napięcia, gdy Wilband z triumfalnym okrzykiem dopadł obciążonego bełtem końca czerwonego sznura.

– Ciągnij, Debren! Mam ją! Debren zdążył skrócić linkę. Porządnie szarpnąć już nie zdołał. Curdelia, drżąc z wysiłku, zgięta w podkowę oporem naciąganej oburącz i chyba obunóż kuszy, jakoś zdołała sięgnąć go spojrzeniem.

Tym razem nie odfrunął: wyraźnie brakowało jej sił. Ale na sznurze tak czy inaczej zawisł, tyle że przypominało to klejenie się brzuchem do stromego stoku, a nie pionowej ściany. Biodra i nogi przylegały do ziemi, tylko piersią raz po raz podrzucało na parę cali.

– Ciągnij, Debren! Nie musiał.

Wystarczyło trzymać się liny. No i modlić, by samej linie nic się nie stało. Jak na prowizorkę była wyjątkowo zręcznie spleciona, ale z braku materiału zbyt cienka.

A poddawano ją coraz surowszej próbie. Dość szybko zdał sobie sprawę, że nacisk czaru wzrasta. Na szczęście poprzednie ataki wymiotły z ziemi wszystko, co mogło latać, i zyskał szansę spojrzenia na Curdelię.

Czarownica najwyraźniej złapała oddech. Jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy, ale Debren wyraźnie wyczuł

moment, gdy oprzytomniała. Łatwo było: właśnie wtedy przestała czarować. Wilband, choć leżał nieco z boku, musiał znajdować się w tym samym co on strumieniu mocy i podobnie jak on klapnął teraz piersią o ziemię. Lina z kotwicą skorzystała z okazji i natychmiast wpila się ponownie w kobiece gardło.

Curdelia, nie tracąc czasu na czarowanie, wepchnęła bełt w korytko. Debren poderwał się na kolana, wyrzucił prawą nogę do przodu, zaparł obcasem o jakiś wystający kamień.

– Trzymaj, Wilband! Z całych sił! Tamten nie miał pięt, którymi mógłby się zapierać. Ale miał szczęście: tuż obok walał się jeden z młotków, rozsypanych po wywrotce wózka. Wilband chwycił go, wbił w kamienisty grunt ostrzejszym z końców. Skrócił linę, zaległ krzyżem między jednym a drugim. Debren szarpnął, zawisł wygięty w łuk, niemal dotykając potylicą ziemi. Zza kolan widział, jak rozciąga się tamta, druga lina. I jak nieruchomieje unoszona do szarego ramienia kusza.

Na szczęście nie widział, gdzie celuje. Mógł się łudzić, że w Wilbanda. A jeśli w niego, to przynajmniej nie tam, między nogi, w miejsce, które najlepiej widziała i którym najwyraźniej ostatnio myślał.

Psiakrew... Tak głupio...

Czekał na szcęk zapadki. Na wyrok. Nadal zbyt głupi, by przestać ciągnąć.

I doczekał się.

Lina zwiotczała, a on zwałił się plecami na ziemię. Leżał i z niedowierzaniem patrzył na drobny, mknący ku chmurom przedmiot. Dopiero gdy wąska kreseczka zwolniła, zatrzymała się na moment i zaczęła opadać, zrozumiał, że ogląda bełt, który miał go zabić.

Poleżał jeszcze chwilę, a potem usiadł i popatrzył na małą, kobiecą sylwetkę z kuszą na kolanach.

– Co wy, do cholery, wyprawiacie? – zachrypiała Curdelia

ode Dopschpick. – Co to miało być?

– Pokaz głupoty – powiedział, patrząc na postrzępione, rozszarpane grotem końce liny. – Konopna, szlag by ją, smołowana... Wystarczył jeden mały piorun.

– Na szczęście jest mądrzejsza od nas. – Wilband też usiadł, posłał mu zmęczony uśmiech. – No, ale już po wszystkim. Możecie wstać, pani. Oparła głowę o skałę, przyglądała mu się przez chwilę spojrzeniem pozbawionym blasku. A potem wyprowadziła go z błędu.

– Nie kpij, Wilband. Dobrze wiesz, że nie mogę.

– Jeszcze.

Debren bez słowa wyjął szklanę z drobnych, w połowie różowych teraz palców. Piła zachłannie, więc rozchlapywania woda zmyła szary kamuflaż także w paru innych miejscach. W niektórych, zwłaszcza tych mocniej eksponowanych i mniej podatnych na pocenie, spod szarości zamiast różu wyrzało coś burego, nieładnie połyskującego w blasku słońca.

Podstawiając szklanę pod kurek beczkomobili, pomyślał, że to dlatego Wilband gapi się głównie na twarz. Twarzy nie musiała niczym smarować, potu było wystarczająco dużo. I dobrze. Smród czuło się dokładnie tak samo, niezależnie od miejsca patrzenia, a twarz Curdelia miała akurat najmniej atrakcyjną.

Napełnił naczynie, wrócił pod skałę i westchnął w duchu. Guzik prawda. Może kiedy nie patrzyła. Ale teraz napotkał spojrzenie pochmurnych, orzechowych oczu i załączki optymizmu diabli wzięli. Bo akurat atrakcyjności tej twarzyczce nie brakowało. Płaski nos, ciut yougoński lub zapadnicki w zarysie, zbyt mocno zarysowane łuki brwiowe, jakaś kanciastość podbródka... Wszystko z osobna: do rzyci, bez szans na złożenie cieszącej oko całości. A efekt? Jak w przypadku niewieściej rzyci właśnie: nie wiedzieć czemu,

człowiekowi zasycha w gardle, a gdzie indziej wilgotnieje. Nie, piękna nie była i nigdy nie będzie. Ale jest spora różnica między byciem piękną a byciem atrakcyjną i w przypadku Curdelii ode Dopschpick natura w pełni to wykorzystała.

– Dzięki. – Szklanka, którą mu oddała, była brudna, a w ciemnym różu uśmiechających się z wysiłkiem ust dopatrzył się barwy surowego mięsa. Mimo to odpowiedział uśmiechem. Głos miała miły.

Zakatarzony, jak głos Lendy. I jak tamten podszyty skrywanym smutkiem, za którym stała życiowa mądrość i to coś, co różni kobietę od głupawego podlotka.

Czuł, że mogliby siedzieć obok siebie i rozmawiać całymi klepsydrami. Czasem spotykał takie kobiety. Rzadko. I dlatego był tu, nosił wodę i uśmiechał się beztrudnie jak rycerz do damy w czasie przyjemnej uczyty.

Wilband nie był tak delikatny.

– Jak knecht żłopiecie, pani – mruknął. – A małeńka z was niewiasta. Nie pomieści się i kłopot będzie.

– Większa od ciebie – coś załśniło nieprzyjemnie w jej oczach. – Trzy stopy, jednaście i pół palca. Na bosaka. Ty trzech pewnie nie masz.

– Jak stanę – odważnie poklepał opięty zaślepioną nogawką kikut – to mam trzy i osiem. A stanąć, w przeciwieństwie do was, nadal mogę.

Palce hrabiny zacisnęły się gniewnie na okrywającym kolana suknie. Tak się składa, że stanowiącym tył wilbandowego kaftana. Jej koszula do długich nie należała i kiedy siedziała po wezyracku, ze skrzyżowanymi nogami, mogły być problemy. Debren zaczął więc rozmowę od kretyńsko sztucznego pytania, czy aby nie zmarzła, hrabina drewnianym głosem odparła, że owszem, a Wilband, zaskakując wszystkich, rzucił w nią kaftanem i podjechał do skały dopiero, gdy gołe nogi znikły pod połataną kurtką.

Potem Debren, nie pytając o zgodę, przysunął policzek do

skąły, zerknął za plecy Curdelii, pomacał kamień obok sztywniejącego karku. Wymamrotał coś niezrozumiale, poszedł po wodę. Nie rozmawiali.

Piła szklankę za szklanką. Aż do teraz.

– Zostałam hrabiną – oznajmiła wyniośle – między innymi po to, by byle prostak nie wyzywał mnie od karlic.

– A nie z miłości? – Kamieniarz wykrzywił usta w nieładnym uśmiechu. – Biedny hrabia Krutz.

– Lepiej... – Debren przez chwilę biedził się nad sensownym pretekstem – sprawdź, co z Zecheniaszem.

– Dopiero co stamtąd wróciłeś. Szkoda, żeś przy okazji rusalki nie przyniósł.

– Rusalki? – Curdelia zmarszczyła swe wydatne brwi. – Chyba nie...?

– Nie – uspokoił ją Debren. – Kłusownicy też nie jesteśmy, o ile to pod kłusownictwo podpada. O rzeźbie mowa. Wilband, jak wspomniałem, jest artystą.

– Bruk artystycznie układa? – zakpiła.

– Zdarzało się – uprzedził Debrena Wilband. – Trudno z talentu wyżyć. Świat pełen jest głupców, co łokciami go mierzą. – Czarownica chyba pociemniała odrobinę pod warstwą skalnego pyłu. – No, ale mniejsza z rzeźbieniem. Żywa jesteście, pani, to i zlecenie diabli wzięli.

– Miał wykuć twój sarkofag – wyjaśnił Debren. Był pewien, że za chwilę hrabina powie Wilbandowi coś, po czym ten zacznie się pakować, zmuszając jego, Debrena, do wybierania między jednym z tych dwojga. A nie chciał wybierać. Obojgu buzowała jeszcze krew po walce, nie myśleli logicznie, ale on powoli zaczynał. I coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że problemy bynajmniej się nie skończyły. Tak naprawdę dopiero się zaczynały.

– I myślicie, że w to uwierzę? – uśmiechnęła się nieładnie Curdelia.

– Myślałem – powiedział z lekkim wyrzutem – że to już

mamy za sobą.

– Niby co? Brak zaufania? – Roześmiała się, teraz już na głos. – Po żniwach stuknie mi trzydziestka, Debren. Może nie urosłam, ale durna gówniara już nie jestem.

– Mogliśmy cię zabić, pani – przypomniał.

– To tak jak ja was. – Podtrzymywała nieładny grymas. – I co z tego wynika? Żeśmy wszyscy tacy szlachetni? A może po prostu przezorni? Może Wilbandowi nie po myśli trup hrabiny ze śladami młotka na łbie? A tobie ciało promieniujące magią bojową w śmiertelnej dawce? Ten zamek nadal jest co nieco wart, a i kopalnia...

– Kopalnia? – Co, Udebold zapomniał powiedzieć? Byłam tak durna, że mu pełnomocnictw do zarządzania udzieliłam. Ale kamieniołomy nadal należą do mnie. W sumie jest tego wystarczająco dużo, by się władze okolicznościom śmierci przyjrzały. Burmistrz Kolbancu już raz próbował majątek przejmować. Założą się, że i Udeboldowi chętnie go wyrwie pod byle pretekstem.

– Zaraz... Podejrzewasz, że chcemy cię...

– Nie obrażaj mnie, Debren. Głowę mam niedorozwiniętą, jak pęcherz i całą resztę, ale durna nie jestem. Pewnie, że podejrzewam. Tylko na niego popatrz – wskazała Wilbanda palcem o owalnym, ładnie obgryzionym paznokciu. Dopiero teraz Debrena uderzył brak biżuterii na jej dłoniach. – Łapy ma, nie powiem, jak zapaśnik, ale nóg prawie wcale. I cóż robi ten biedny kaleka? Ochoczo wspina się swoim wózkiem na najwyższą w okolicy górę. Żeby rzeźbić sarkofag żywej babie, w dodatku niewypłacalnej. Kto w to uwierzy?

– To Udebold miał... – Debren nie dokończył. Coś go zastanowiło. A potem było już za późno, by kończyć i udawać, że wszystko jest w idealnym porządku. Nie podejrzewał Wilbanda, nie chciał go podejrzewać, ale...

– Kamieniarz jesteś? – wyczuła okazję Curdelia. – Z Kolbancu? I tak po prostu wzięłaś zlecenie od mojego

kuzyna? Bez zaliczki, na słowo? – Parsknęła gniewnie. – Za idiotkę mnie macie?! Debren próbował protestować. Nie zdążył.

– Nie – powiedział spokojnie Wilband. Sięgnął za plecy, do mocno pokierszowanej skrzynki na drobne narzędzia, odchylił jakieś wieczko, wyciągnął złożony w czworo pergamin ze zwisającą na tasiemce pieczęcią. – Macie rację, pani Dopschpick. A właściwie: panienko Rimel. – Curdelia posłała mu niepewne spojrzenie. – Bo to bardziej Rimelówny dotyczy niż was, szlachcianki.

– O czym mówisz? – zapytała ostrożnie.

– Lata trwało, alem w końcu uzyskał wyrok sądowy. Co, nie pamiętacie? – Po bezradnym spojrzeniu widać było aż za dobrze, że nie. – Siny granit, trzy łokcie, na dwa i pół, na siedem. Z tego wąwozu za stawem.

– Z Popękańca? – Wyobraźnią była przez chwilę daleko stąd. I chyba w dość odległych czasach.

Debren widywał podobną mgiełkę zasnuwającą oczy starców, wspominających lata młodości. Tyle że tam mgiełkę rozświetlał tęskny bo tęskny, ale pogodny blask. Jej oczy pomrocniały.

– Wtedyście go tak nie nazywali. No, chyba że między sobą. Ale przy klientach nie. Ojciec nigdy by... Ostrożny był: jak rano do roboty wychodził, to zawsze trzonek w młocie obejrzał, czy aby nie nadpęknięty. A tu skała na ważny pomnik, nie dość że wielka, to jeszcze droga jak...

– Jesteś... to był twój...? – Chyba pobladła.

– Ano, był. Był. Pókiście go ze swoim ojcem nie spolił i nie wmówił biedakowi, że blok jest w idealnym stanie, trzy razy opukany i raz magią prześwietlony. Ładowany przez sławną pannę Curdelię, co to sama na barkach pół kamieniolomu dźwiga, staremu ojczulkowi ciężar z jego pleców zdejmując i chlubnie kontynuując rodzinną tradycję. – Wilband splunął pod koło wózka. – Sławna wtenczas byłaś.

Pierwsza czarownica, co kopalnią zawiaduje. Herod dziewczka, która z windą szła w zawody i dwunastu dźwigowych pokonała, choć jej się pod koniec wyścigu krew z nosa połała. Cuda o was w Kolbancu opowiadali, Niektórzy i nieładne cuda, ale mój ojciec, może dlatego, że sam córki nie miał, zawsze was bronił. „Pracowitą dziewczuszką”, powiadał, „a że ciut szorstka dla wyrobników, to i lepiej. Bo dla miękkiej szacunku by nie mieli, a w kopalni brak szacunku na czyjąś śmierć czy kalectwo łatwo się przekłada. No i rodzicom pomaga, a to pierwszy dziecka obowiązek”. – Przerwał na chwilę. Debren zauważył, że oboje jednakowo unikają się wzrokiem. – Śmiać się będziecie, ale jak słuchałem tych bająn... Chłopaki z was kpili, że niby taka maleńka, a znów ze mnie, że młot z trudem unoszę... bo, po prawdzie, to chudzielec wtedy byłem, słabeusz...

Ale wyście siłę mieli, czarowali, a ja... Wolno bo wolno, za to jak już co wykułem, to się starzy majstrowie schodzili, żeby popatrzeć. No i tak jakoś... no, myślałem. O was. Że niby trochę podobni jesteśmy. I że miło byłoby poznać czarodziejkę, co skałę myślą podnosi. Omal wtedy z ojcem po ów granit nie pojechałem. Ale mi śmiałości zabrakło.

Próbowała coś powiedzieć. Nie znalazła słów.

– Nawet kuć nie zaczęliśmy – ciągnął Wilband. – Przy przesuwaniu... Ojca na miejscu, jeno krzyknąć zdążył, a mnie obie nogi... Matka rok mnie kurowała. Jak pierwszy raz na ulicę wyjeżdżałem – pogładził z dziwnym uśmiechem bok wózka – powiedziała, że jest ze mnie dumna. A jak wróciłem, już nie oddychała. Serce bólu nie zniosło.

Było cicho, więc wszyscy usłyszeli odgłos kroków. Z cienia bramy wyłoniła się poruszająca się chwiejnym krokiem postać w habicie, zignorowała obecnych, podeszła do beczkomobili, uklękła przy kurku i puściła na głowę strumień wody.

– Brat Zecheniasz – przedstawił go Debren, kiedy pierwsza

kopa denarów pod postacią wody wsiąkła między kamienie dziedzińca. – Baryłeczką zwany.

Curdelia zerknęła na przybysza, to wszystko. Jej spojrzenie natychmiast powróciło do twarzy Wilbanda.

– Gdzie pękł blok? – zapytała cicho. Jej szara twarz mimo wypłukanych wodą prześwitów jak nigdy przedtem kojarzyła się z kamienną maską. – Pamiętasz?

– W szerszym końcu, z dołu.

– Był podobny do klepsydry. – Nad głosem też dobrze panowała. – Poziomo go transportowali, więc i naprężenia właśnie tam... Pewien jesteś, że nie w środku? – Gdyby pękł w środku – uśmiechnął się krzywo Wilband – ja miałbym nogi, a święty Sekatoryk nie dorobiłby się pomnika. A widzieliście: stoi nad winnicami, spogląda dumnie na Kolbanc, błogosławi.

Mniejszy niż miał być, ale skuteczny: od tamtej pory cena kolbanckiego czerwonego o jedną trzecią w górę poszła, a wytrawnego nawet o pięć tuzinnych.

– O winach ktoś gada? – zabulgotał spod beczki Zecheniasz. – Co tam z wami... to człek?

– Hrabina ode Dopschpick. – Debren przesunął się, odsłonił przytuloną do skały sylwetkę.

– Hę? – Zakonnik skrzywił się, po części od spływającej do oczu wody. – Cóż to, nekromancją się zabawiasz? Kamień nie kamień, kiedyś człowiekiem z grubsza była, a nakłanianie szczątków ludzkich do wykonywania czynności zbliżonych do życiowych, to grzech ciężki i...

– Pewien jesteś? – Curdelia kompletnie go zignorowała, świdrując wzrokiem twarz Wilbanda.

Kamieniarz bez słowa wzruszył ramionami. Po czym położył dokument na jej okrytych kaftanem nogach.

– Oszukaliście ojca – powiedział spokojnie. – Sądowi tuzin lat zeszło, ale w końcu nawet sąd rzecz ustalił. Pierwszy z brzegu czeladnik mógł to stwierdzić na pierwszy rzut oka:

pęknięcie zaklajstrowane rozczyłem lepiszcza i pyłu skalnego. Coś w tym rodzaju – pociągnął palcem po nagim ramieniu czarownicy. Drgnęła, ale nie poruszyła się. Słusznie, bo zaraz cofnął dłoń. – Może nawet dokładnie to samo, bom się zetknął z opinią, że robota była gówniana.

– Wilband...

– Wybacz, Debren. I wy, pani. Opiniodawcy faktycznie szło o jakość, a nie zastosowane materiały. A was oceniać za to – znów musnął palcami jej rękę, ale przynajmniej niżej, nad nadgarstkiem – nie zamierzam. Wiem, jak to jest, gdy człek pełną sprawność utraci. Dziwacznych metod musi się nieraz chwytać. Upokarzających zwykle.

– Brudzisz się – zwróciła mu uwagę.

– Ale po prawdzie – Zecheniasz podszedł bliżej, masując obolałą głowę – to dobry jesteś, Debren.

Zetknąłem się z ożywaczami trupów, ale to tutaj... Jak żywe gada.

– Bo jest żywa – mruknął magun.

– Sprawdzasz, czy mi nie zaszkodziło? – domyślił się zakonnik, obmacując świeży skrzep między rzadkimi włosami. – Bez obaw, chłopcze. Misjonarz jestem, a do misji nie biorą tych ze słabą głową. Bo to z dzikimi i wypić czasem trzeba, i w łeb się niekiedy bierze ichnią maczugą... Nawracani w ciepłych krajach żyją, więc i od udaru cieplnego solidna czaszka chroni. Nie, Debren. Taki, co to od ciosu pałąką na egzaminie bez ducha pada czy głupieje, nijak się na misjonarza nie załapie. Kościół za wiele w nas inwestuje.

– Kto to jest? – zapytała chłodno Curdelia.

– Kapelan ekipy – wyjaśnił Debren. – Miał ci ostatnią posługę oddać. Ale teraz – dodał szybko – to oczywiście nieaktualne.

– Toż ci mówię – zaprotestował mnich – zem pełnosprawny! Nie musisz mnie sprawdzać. Sakrament będzie ważny, bez obaw. Jeno to tam... – skrzywił się,

wskazując czarownicę – rozłącz.

– „To tam”? – wycedziła hrabina.

– Łatwo powiedzieć – mruknął Debren.

– Jak to? – zaniepokoił się Zecheniasz. – Chcesz powiedzieć, że zaklęcie znasz tylko w jedną stronę? Łączysz duszę z truchłem, ale rozłączać już cię nie nauczyli? Jasna cholera, co wy, magicy, sobie wyobrażacie?! To skrajna nieodpowiedzialność!

– A, nie... Myślałem, że o fizycznej stronie mówisz. Posłuchaj: ona żyje. Nie było potrzeby...

– Za durnia mnie masz? – Mnich powiódł po zebranych nieufnym spojrzeniem. – Baba skamieniała, padliną cuchnie, aż nos wykręca... A przy okazji: talara jesteś Wilbandowi winny; miał rację z tą maską.

– Nie zatrzymuję – warknęła Curdelia. – Komu w moim zamku śmierdzi, może się śmiało za bramę wynosić.

– Przestań, Debren – rzucił gniewnie zakonnik. – Była z niej grzesznica, wiedźma i po prawdzie utajniona poganka, ale nie godzi się kpin nad trupem urządzać. Pożartowałeś i wystarczy.

Posprzątajcie tu trochę, a ja pójde, piwniczkę sprawdzę. Do mszy polowej ciut wina by się przydało.

Oddalił się, nim ktokolwiek zdołał otworzyć usta.

– Dzięki za diagnozę – mruknęła Curdelia, tym razem nie patrząc na nikogo. – Skoro już padła, to i ciebie nie zatrzymuję. Pewnie cenisz swój czas.

– Moja barka – wzruszył ramionami Debren – ma tydzień przymusowego postoju w Kolbancu. Wywlekli na brzeg, obrócili i dno smołują. Nie da się na pokładzie nocować. A na zajazd mnie chwilowo nie stać.

Po prawdzie to zgłosiłem się do Udebolda, bo obiecywał wikt i kwaterę na czas roboty. Więc jeśli nie wyganiaasz...

– Dlaczego miałabym cię gościć? – uśmiechnęła się nieładnie. – Wszak mam serce z kamienia. Widać przecie –

dotknęła wierzchem dłoni skały za plecami.

– Serce z kamienia? – Wilband zerknął pytająco na Debrena. Nie wyglądał na zdziwionego. Magun wzruszył ramionami.

– Przesąd – mruknął. – I niezrozumienie procesów towarzyszących petryfikacji. Choć owszem: można wykazać luźny związek. Choćby taki, że tylko niezłych sukinsynów skazywano na podobną śmierć. To drogi czar. Trzeba kogoś naprawdę mocno nienawidzić, by mu zafundować tego typu egzekucję.

Najlepiej zbiorowo, bo się wtedy koszt na większą gromadę mścicieli rozkłada. No a wiadomo: wielu ludzi mocno krzywdzą nie przypadkowi poczciwcy, a zwykle skończeni łajdacy.

– Dzięki, Debren – uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nie słyszałem, by ktoś dobrze o was mówił – powiedział cicho Wilband. Zabrzmiało, jakby się tłumaczył.

– Jest też faktem – ciągnął Debren – że u ofiar udanego czaru stwierdzono specyficzne zmiany w mięśniu sercowym. Bo na tym to polega: na mineralizacji tkanek i osadzaniu się owych minerałów, w mięśniach głównie i skórze. U tych z większym szczęściem wytwarza się warstwa nabłonka, chroniąca ścianki naczyń przed pokaleczeniem niesionymi z krwią minerałami. Pechowi, czyli ci, co żyli dłużej, wyhodowali sobie mocno stwardniałą powłoczkę, coś w rodzaju ślimaczej skorupki, choć zwykle z elastycznymi spoinami. W jednym i drugim przypadku zaczarowany musiał mieć serce jak dzwon by w ogóle przeżyć pierwszą fazę. Pewnie stąd się wzięło to gadanie o kamiennym sercu. Niby że mocne, czyli twarde, a jak twarde, to pewnie...

– Nie kręć – przerwała mu spokojnie. – Oboje wiemy, że poczciwiec gryzłby ziemię od trzech miesięcy. Przeżyłam, bo mam serce jak diament. O właściwościach fizycznych mówię, nie jubilersko-finansowych. Twarde, znaczy. Zabiłam męża,

ojca, matkę i brata. Każde w paskudny sposób i bynajmniej nie w afekcie. Jestem potworem, Debren. Spójrz prawdzie w oczy i wynoś się stąd.

– To twój dom, pani – skłonił się sztywno, ale jeszcze nie wstawał. Chyba słusznie.

– A to akurat kwestia dyskusyjna – warknął Wilband.

I dodał, widząc zdziwione spojrzenie czarownicy: – Może będzie w końcu raczyli zerknąć na wyrok? Górą starczy.

Zerknęła. Pergamin zapisano maczkiem, więc trochę to trwało.

– Straty moralne? – Zmarszczyła brwi, nie odrywając oczu od tekstu. Straciła okazję obejrzenia wyraźnie czerwieńszego Wilbanda.

– O te mniejsza – powiedział cicho i szybko. – Dołu czytać nie musicie. I tak nic się nie da...

Ale te inne...

Dokończyła i uniosła wzrok. Zupełnie nijaki.

– Przykro mi. – Głos też brzmiał nijako. – Większość zasądzonych odszkodowania jest w gotówce. Nie powiem, by słono policzyli za twe nogi, ale nawet tyle ci nie oddam. Nie mogę – dodała ciut szybciej, choć nie próbował protestować. – Żywego srebra tom tu właściwie nigdy nie widziała, odkąd hrabiną jestem. Krutz, świećcie mu tam, gdzie jest, do Udebolda był podobny. Co w sakiewce, to z miejsca wydawał. Wino, dziewczki, turnieje...

– Potykał się? – Po rozmowie z Boebbelsem Debren trochę inaczej wyobrażał sobie hrabiego.

– Obstawiał wyniki. Ale i na tym się nie znał, więc zwykle błędnie. Krótko mówiąc: marnie przędliśmy. Gdyby nie ja, to dawno...

– Posagiem go uratowałaś? Pani – poprawił się.

– Daruj sobie tę panią. Ty też, Wilband, jeśli ci to odrobinę satysfakcji sprawi. Bo też i na tę drugą, finansową, nie masz co liczyć.

– Mam wyrok sądowy – przypomniał. I, podobnie jak Debren, tyle że z naciskiem, dokończył: – Pani.

– Widzę. – Złożyła dokument, wyciągnęła w jego stronę. Debren zauważył, że obchodzi się z pergaminem ostrożnie, starając się go nie pobrudzić. Wilband odebrał wyrok, machnął nim, odpędzając jakąś natrętną muchę. Kilka innych krążyło nad psią skórą i głową hrabiny.

– Miałem dobrego jurystę – powiedział powoli. – Pazrelitę. Z miejsca mi wyłożył, że na srebro nie mam co liczyć. Trzeźwo ocenił sytuację i doradził, bym w pozwie mocniej drugorzędne straty zaakcentowałem. Głód, chłód, pragnienie, reumatyzm i insze dolegliwości spowodowane biedą. Bo utracone zarobki i tak przepadły. Miał rację, jak widzę. Pewnie tego nie doczytaliście, bo i sąd wielkiej wagi do końcówki nie przywiązał, ale poza gotówką przyznano mi także prawo wyrównania inszych krzywd. W naturze.

– Reumatyzmu, o dziwo, jeszcze nie mam – wzruszyła ramionami. – Ale reszty zakosztowałam aż w nadmiarze. Widzisz tego kundla? – wskazała psią skórę. – Marzec na nim przeżyłam. A ciepłą wiosnę mieliśmy tego roku. Niby dobrze, bom z zimna nie zmarła, ale za to mało brakło, by od sraczki. No, co się tak gapisz? Myślisz, że jak długo można gnijącego psa jeść i zdrowe kiszki zachować? Teraz to już się trochę zahartowałam, ale na początku...

– Dom też straciliśmy – przerwał jej Wilband. – Na medyków poszedł i kary umowne, bo ojciec poważny kontrakt na tego Sekatoryka podpisał. Więc, w pierwszym rzędzie, kwatery mi się na zamku należy. – Powiódł wzrokiem po fasadzie budynku. – Możecie polecić jakąś wygodną izbę? Na parterze, jeśli łaska?

– Chcesz...? – nie dokończyła.

– Nie bójcie się, pani: mściwy nie jestem. No i smarkaci jeszcze byliśmy, więc trudno was na równi z Ludfredem winić. Nie będę żarł w oknie, patrząc, jak się tu psem czy wroną

trujecie. Podzielę się uczciwie. Nawet winem z piwnicy, choć to na jego sprzedaż głównie liczę.

– Chcesz się wprowadzić do mojego zamku?! – Na razie była równie zdumiona, co zła. Debren przeczuwał jednak kłopoty. – Oszalałeś?!

– Bo chcę pomieszkać w prawdziwym domu pod prawdziwym dachem? Jeść codziennie i może nawet winem popijać? Toś i ty pewnie szalona. Założę się, że też dałabyś wiele...

– Nie masz domu? – upewniła się. – I głodujesz?

– Dobrze rzeźbię – powiedział ciszej. – Nieskromnie mówiąc: najlepiej w Kolbancu. Ale właśnie dlatego cech się wystarał, by mi połowiczne uprawnienia załatwić. Podwykonawcy jeno, który nędzne miedziaki zarabia. Majstersztyk zaliczyłem, to wyciągnęli stary przepis mówiący, że cechowy musi być zdolny do obrony powierzonego nam odcinka murów. Znaczy: dobiec w sensownym czasie, gdy w dzwony zabiją, a potem z łuku szyć i włócznią robić, bo te w etacie mamy. Tom na ośmiu startujących spod ratusza kandydatów trzecie miejsce zajął. Samopych podrasowałem – wyjaśnił, klepiąc wózek. – Skrzynię skrętową na isticie biegową przerobiłem. No to łajdacy łuk na kuszę zamienili, niby że zapis wczesnowieczny jeszcze i łuk to przeżytek, a po prawdzie w nadziei, że sam nie napnę, bo kusza, rozumie się, ma być szybkostrzelna, nogą napinana, jak ta wasza.

– I odpadłeś? – Debren odniósł wrażenie, że w głosie zasłuchanej hrabiny zadźwięczało współczucie.

– Zaczepkę pod strzemień zrobiłem – uśmiechnął się Wilband, pokazując stalowy boleć sterczący z przodu ramy.

– Tu się zaczepia i... Mogę? Wyciągnął rękę w stronę opartej o skałę kuszy. Curdelia zawahała się, ale podała broń. Wilband zamocował na bolcu blaszany uchwyt i błyskawicznie dokończył pokaz. Debren dopatrzył się błysku uznania w oczach hrabiny.

– Zagięli cię na włożeniu na mur? – domyślił się.

– Na mur włożyłem. Z wózkiem – uprzedził otwierając usta czarownicę. Uśmiechnął się blado, poklepał potężny biceps. – Dbam o ręce, dużo ćwiczę. Ale księciu akurat córka zmarła i szykowało się zamówienie na wielkie mauzoleum z płaskorzeźbami. Cholernie dochodowy kontrakt, bo książę dziewczuszkę miłował i z kosztami się nie liczył. No to i oni przestali się liczyć. Zrobili zrzutkę, przekupili paru rajców, rada miejska przegłosowała rozpoczęcie robót drogowych, akurat na naszym odcinku murów. Doły takie pokopali, że się jeden pijany chłop zabił, a dwoje prosiąt i dziecko utopiło. Kładki takie oczywiście porobili, że się samopych nie mieścił. I oblałem sprawdzian szybkościowy.

Curdelia przyglądała mu się przez chwilę. Potem wyciągnęła rękę. Bez słowa oddał kuszę. Odstawiła ją pod skałę, też bez słowa.

– Zwolnij cięciwę – poradził Debren. – Jak się długo trzyma napiętą, to...

– Z blachy wycięte – wskazała strzemionko. – Spróbowałbyś boso napinać... Dobrze, zem do tej skały przyrosła i chodzić nie muszę. Więc pochopnie nie...

Urwała gwałtownie, kiedy dłoń Wilbanda bezceremonialnie odgarnęła brzeg kaftana, wyłowiła drobniutką stopę. Od dołu Curdelia nie próbowała jej niczym maskować, wychodząc ze słusznego założenia, że naturalny brud wystarczy. Szarość skóry była tu jednak umiarkowana i ciemna pręga biegnąca w poprzek śródstopia wyraźnie rzucała się w oczy.

– Trzeba było coś podłożyć – rzucił sucho kamieniarz.

– Trzeba było nie gnać na mnie z młotami – odparła równie szorstko. Debren odnotował jednak w pamięci, że nie próbowała uwalniać uwięzionej w męskich palcach kostki. Może uznała próbę za beznadziejną. Dopiero na tle silnych, dużych jak bochenki dłoni Wilbanda w pełni wyczuwało się kruchość jej małego ciała. Z grubsza biorąc, byli

rówieśnikami, ale teraz znacznie bardziej przypominali ojca i małą córeczkę. A te, jak wiadomo, nie wyszarpują tatusiowi obolałych nówek.

– Trzeba się było nie czaić. – Wilband splunął na kciuk, którym ostrożnie potarł okolice wybroczyny. – I nie udawać golema.

– Nie udawałam – burknęła, nadal cierpliwie znosząc obecność męskich palców na nodze. – Na czasie tak zyskuje. Gdybyś z kuszą tu wlaźł, prędzej ja ciebie bym wypatrzyła, niż ty mnie. I pierwsza bym strzeliła.

– Skąd wiedziałaś, że ktoś nadchodzi? – zainteresował się Debren. – Nie da się raz dwa tak... no...

– Nie wiedziałam. Ale to – dotknęła szarego policzka – nie na waszą cześć. Większość czasu tak...

Słońce silniej ciemne nagrzewa. No i zwierzyna bliżej podłazi, łatwiej upolować. A ludzie... – urwała, posyłając Wilbandowi dziwne, długie spojrzenie – ludzie łatwiej trzeźwieją, – Ludzie? – Nie zrozumiał. – Trzeźwieją? Chcesz... chcecie powiedzieć, że się tu jacyś pijacy schodzą? – Pijacy? – zastanowiła się. – No, owszem. To też. I do piwnicy każdy lezie. Ale nie o tym mówię.

Dopiero teraz, korzystając z faktu, iż patrzy jej w twarz, wymownie zerknęła na swą uwięzioną kostkę. Wilband, nieco zmieszany, cofnął dłoń.

– Pewnie widzieliście trupy – ruchem brody wskazała tego przewieszzonego przez mur, widocznego pod postacią nóg i pośladków. – To dlatego wlaźłeś od tyłu, Debren? – Czarodziej kiwnął głową. – Cholera. Nie spodziewałam się, że ktoś jeszcze przyjdzie. Trzy miesiące, a poza Indorami tylko raz... Tom nie zamknęła bramy.

– Bramy? Wzruszyła ramionami, pokazała, by się przesunął. Potem, marszcząc czoło, popatrzyła na wieżę bramną. Konkretnie: na duży, drewniany kołowrót przy jej ścianie. Coś stuknęło, pod kołowrotem mignęła żelazna

zapadka i bęben zaczął się kręcić, ciągnięty siłą napiętej liny. Niewidoczna z ich miejsca brona uderzyła o kamienie progu i urządzenie znieruchomiało.

– Podnosić ciężej – uśmiechnęła się smętnie. – Kiedyś to i z okna sypialni – wskazała kciukiem za siebie, gdzieś na pałac. – Ale wtedy kurę zjadałam na samo śniadanie, a nie wronę raz na trzy dni. Więc wybaczcie, jeśliście naprawdę uczciwi i niesłusznie wam się dostało. Pomyślałam, że baba może wrócić, no to nie zamykałam. Ostatnio zemdlałam z wysiłku przy podnoszeniu brony i mnie mało jeden wilk nie zeżarł.

– O jakiej babie mówisz?

– Tej od Indorów. We czwórkę przyszli. Nocą. Całe szczęście, że nocą, bo ten – wskazała trupa na murze – dwa razy zdążył strzelić. Brata ubezpieczał i za dnia jak nic by trafił. Rzuciłam najstarszym w niebo, to młodszy szyć począł, a siostrzyczka do zamku wskoczyła i z toporkiem na mnie. Wepchnęłam ją z powrotem w bramę, aż się spódnicą nakryła. Potem tamci dwaj już nie żyli, więc nie wróciła, alem sobie pomyślała, że jak ochłonie i jeszcze swego gacha do strat dorachuje, to pewnie wróci. No to nie zamykałam bramy. Lepiej, by w złości bramą wpadła, niż ochłoneła i na zimno, tak jak Debren.

– Trzeba było i ją... – Wilband pokazał do góry.

– Łatwo powiedzieć. Odpychająca jestem.

– Łajno prawda – mruknął, odwracając wzrok, ale kończąc konsekwentnie. – Brudna trochę, ciut przyniska, no i wychudzona, ale żeby zaraz odpychająca...

– O czarowaniu mówię – przerwała mu, zdziwiona i zmieszana. – Właściwie to nawet nie czarowanie, ot, wrodzony talent. Nie wiem, jak działa. Po prostu pchnąć potrafię. Od siebie i po prostej jeno. – Uśmiechnęła się zakłopotana. – Baba Indorów musiałaby na trzy sąźnie podskoczyć, bym ją za mury górą wyprawiła, jak brata.

– A jego jak...?

– Tu stał – oburącz klepnęła ziemię tuż obok swych ud. Debren pomyślał, że nawet bardziej bioder niż ud. Wilband, zdziwiony, zaczął otwierać usta, ale na szczęście zrozumiał szybciej niż zapytał.

Przez chwilę panowało mało zręczne milczenie.

– Szykuj trzy grosze – mruknął w końcu Wilband.

Debren schylił się, podniósł leżące obok psiej skóry, posrebrzane zwierciadelko. Rączkę miało długą, ale nie dość długą, by po przedłużeniu ramieniem siedzącej, czterostopowej kobiety sięgnęło powyżej czubka skały, pozwalało rzucać czary na podchodzących od tyłu. Kobieta dodała więc mało kobiecego element przedłużający w postaci przywiązanej rzemieniem piszczeli.

– To przez to we mnie mierzyłaś? A co z odrzutem? – Nauczyłam się minimalizować. A czar był słaby. Nie mam sił. Na twoje szczęście.

– Ale wcześniej miałaś? – zapytał spowolnionym głosem. – Ta kość... Jest ludzka, prawda?

– Tak. – Curdelia już się nie uśmiechała. Choć do jej lekko wyzywającego tonu uśmiech, krzywy i pogardliwy, akurat by pasował. – Słusznie się domyślasz. Indory nie były pierwsze. To z człowieka.

Na Wilbanda nie patrzyła.

– Przypadkowa ofiara? – Debren wskazał skryte w cieniu połamanej fury zwłoki tego, którego początkowo wziął za popiersie. – Jak tamten? Jakiś zabłąkany czar?

– Nie – śmiało popatrzyła mu w oczy. – Tydzień po walce się zjawił. Chudy, rudy gówniarz. Z psem.

Tym – trąciła skórę. – Psina się między prętami precisnęła, a on jakoś wlaźł po murze. Nie miał liny.

– Dlaczego...? – Wilband nie dokończył.

– Bo sumienia też nie miał. Pół dnia się po zamku kręcił. Trudno mnie było nie zauważyć – podniosła koniec

czerwonego sznura. – Wtedy to jeszcze była suknia i pończochy, a ja byłam czysta.

O wyglądzie mówię – dodała ciszej. – Bo to drugie... Ale już wtedy od dawna nic ani w kiszkach nie miała, ani w pęcherzu. Honoru po tygodniu też mało zostało. Błagałam, by choć kubek wody...

Najpierw głuchego udawał, a potem, jak się do wina dorwał i śmiałości nabrał, powiedział, że wiedźmie to i kubka szczyń nie poda. Bo mu, powiada, małą siostrzyczkę głodem i pragnieniem zamorzyłam. Powiedziałam, że jeśli tak, to już lepiej, by mnie dobił. „Czemu nie” powiada. I patrzę: z kuszą wraca. No to go zabiłam. Psa też musiałam, bo panu z pomocą skoczył. Po prawdzie życie mi tym uratował, bo to na jego krwi doczekałam pierwszego deszczu, a na mięsie pierwszego upolowanego szczura. Chłopaka... no, chyba bym nie jadła. Ta kość to dopiero jak ptactwo goły szkielet ostawiło. Właściwie to i chłopak życie mi ocalił. Bo gdy tak kombinowałam, jak by tu jego resztki przyciągnąć i w charakterze przynęty użyć, to wpadła na pomysł, by z sukni linę spleść, a z pończoch knoty na jej końcu. Suknia była z jedwabiu – wyjaśniła. – Nie za dobrze wodę ssała. Ale na szczęście na porządne pończochy już Krutz pożałował i jak popadało, miałam co pić. Rzucam do sadzawki. Woda to tam nawet po deszczach za bardzo nie dochodzi, ale błoto nią nasiąka, a knot, jak poleży, to też trochę.

– To prawda? Z tą siostrą? – zapytał cicho Wilband. Debren przysunął się bliżej skały, nie kryjąc się, ale i nie afiszując, zaczął wodzić palcami po kamieniu jakies ćwierć stopy od pleców Curdelii.

Nie zareagowała.

– Prawda – powiedziała spokojnie. – Pośrednia, ale prawda. Mówiłam wam: potworna jestem. Serce mam kamienne. Co nie powinno dziwić: po babce Pazrelitka, z bankierów w dodatku, po dziadku krasnoludka... – Debren drgnął,

zaskoczony. – A tak. Co, nie widać? – Przesunęła dłonią po twarzy.

– Gęba prostacka, rumiana, wzrost nikczemny, serce jak dzwon... Wypisz, wymaluj: krasnoludzka baba. To pewnie dlatego jeszcze żyję. Krasnoludom zimny kamień pod zadkiem niestraszny. No, a po ojcu, gwarku z dziada pradziada, pylicę wzięłam, która też serce utwardza. Nie dziwota, że z takiej mieszanki potworzyca się wykluła.

– O siostrę rudego pytałem – przypomniał sucho Wilband.
– Co jej zrobiłaś? – Jej nic. Karczmie. Tej na przełęczy, musieliście obok przejeżdżać. Była mleczna, a ja dotację cofnęłam.

– Mleczna? – zdziwił się Debren. – Karczma?

– Mieliśmy niegdyś w Unirherii księcia demokrate, kretyna jak się patrzy. To jego pomysł. Niby że jak w karczmach mleko tańsze podawać będą, to biednych się wspomocze. Paru podskarbach majątek na tym zbiło, bo system rozliczania dotacji do nadużyć prowokował. Wielu biednych z głodu zdechło, bo podatki trzeba było podnieść, by urzędnicy mieli z czego kraść i jeszcze coś na dotację zostało.

Potem, jak się ludzie przyzwyczaili, że państwo takie opiekuńcze, to następcom księcia niezręcznie było dekret zmieniać. Zwłaszcza że też zarabiali na nim.

– Zarabiali? – No, nie wprost. Ale szynkarz, chcąc się od obowiązku wykręcić i pozbyć bab z wrzaskliwymi bachorami, co mu poważnych klientów płoszyły, musiał lokal zamknąć i o nową koncesję wystąpić. Bo nowych podmiotów dekret nie tykał. No, a koncesję nie kto inny podpisuje, jeno ksiązę. On też opłaty pobiera.

– Ale i dotuje – zauważył Debren. – Ciekawa koncepcja: tanie mleko w karczmie... Że też inni nie...

– Tanie wino – poprawiła. – Dotacja szła na karczmę, ta zaś zobowiązana była mleko w jadłospisie umieszczać i bez zysku sprzedawać. Tudzież inszy nabiał. No i na odkwaszanie

trunków. O mleko szło, by od księcia chronić, ale ustawa nie precyzowała, no i głównie winne piwnice z tej puli modernizowano. Co sprytniejsi karczmarze z kiełbas szybko przeszli na sery. Ale te jeno z trunkami podawali, jako zakąskę. Tanio, więc klienci chętnie brali. A jak uboga niewiasta z dziećmi przychodziła, to jej tłumaczono, że cała dotacja właśnie wyszła i żeby w przyszłym miesiącu pytała.

Zresztą i tam, gdzie mleka nigdy nie brakowało, ci naprawdę biedni po nie nie szli. Tylko oderwany od realiów głąb z pałacu mógł wymyślić, że się biedni po karczmach stołują. W domu zawsze taniej.

Właściciel dolicza koszty, podatek...

– To czemu cię chłopak o śmierć siostry oskarżał? – Bo jak zniosłam dotację, trunki w karczmie podrożały i jego ojciec więcej przepijał. Matka głodna chodziła, pokarm jej w piersi wysechł, no i... Co robisz? Debren nie cofnął ręki, choć jej wierzch ocierał się już o koszulę opinającą łopatki dziewczyny.

– Chciałbym cię zbadać – mruknął po chwili wahania.

– Po co? – zapytała spokojnie. I nie dała odpowiedzi: – O ludziach zaklętych w kamień słyszałam. Ale nigdy o czarach w drugą stronę. Skały w mięso nie zmienisz. Nawet Machrus jeno wino w wodę...

– Na odwrót – poprawił Wilband.

– Wybaczcie. Nasza kopalnia wśród lasów, z dala od kościoła, a ojciec nigdy się zbyt religijnie... Tom i niedouczona w tej kwestii.

– Jest taki illeński mit – puścił mimo uszu jej wyjaśnienia.

– O rzeźbiarzu i niewieścim posągu, który...

Uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

– Znam go – powiedziała. – Mama lubiła miłosne historie. Wierzyła, że...

Czekali chwilę, lecz nie dokończyła. Debren chrząknął, wyciągnął różdżkę.

– Bajki bajkami, ale wszyscy tu dorośli jesteśmy. I, że się tak wyrażę, twardo po ziemi stąpający.

– Choć jeno kołami – uśmiechnął się Wilband.

– Choć jeno zadkiem – błysnęła drobnymi, niebrzydkiemi ząbkami Curdelia. – Rozumiem, Debren. I oburącz się podpisuję. Mów prosto z mostu. Prawdę mówiąc, stęskniłam się już za szczerą rozmową. Krutz, łajdak, na dworze za młodu paziował i takiej krętackiej manieri nabrał, że nawet jak lał, to bez przerwy wyjaśniając, iż to z miłości.

I rozwodząc się nad cierpieniami, jakie jego duszy zadają.

– Bił cię?! – poczerwieniał na twarzy Wilband.

– A coś ty myślał? – Też lekko pociemniała. – Żoną mu byłam! Może i małą, może i podłą, ale coś przecie do mnie czuł! To i lał, jak trzeba było – wzruszyła ramionami. – Mam swój honor. Odeszłabym, gdyby tak całkiem... Ale lał – dokończyła cicho. – Zależało mu.

– Nie rozumiem – wyznał Debren. – To w czym się w końcu u Unirherczyków miłowanie przejawia? W biciu żon czy niebiciu?

– Też za sadystów nas masz? – zapytał urażony Wilband. – Owszem, okropne rzeczy się w czasie wojny...

– Głupie pytanie – potrząsnęła ramionami Curdelia. Ale gdzieś w głębi jej oczu, starannie skrywana, czaiła się niepewność. – Wiadomo: w biciu. Ale szczerem, z serca płynącym. A Krutz... Nie powiem, czasem i pejcza użył. Ale bywało, że znudzony w okno się gapił.

– Mój ojciec – oznajmił uroczyście Wilband – nigdy mamy nie uderzył. Nigdy. A jej wcześniej by serce z żalu pękło i jeno dlatego o rok go przeżyła, że musiała mnie doglądać. Tak się u nas miłuje, Debren. Nie pejczem.

Czarownica rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Głupisz. Moja mama tysiąc razy mi tłumaczyła, że u mężczyzn tak się szczerza namiętność przejawia. Jak szczerą miłość matczyna u niewiast. Wyrodna matka, przykładowo,

powie jeno: „Nie łaż więcej nad fosę, synku” i dalej spokojnie plotki czyni. A kochająca to tak smarkaczowi rzyć skroi, że tydzień na niej... No, co się tak gapisz? Może nie?

– Wybacz – mruknął Debren. – Nie mam żony ni dzieci. Jak rozumiem... ojciec matkę czasami...

– Często. Porywczy był – mruknęła, umykając ze spojrzeniem. – Praca nerwowa, ciągle kłopoty... A mama go nie kochała. Nietrudno o złość, gdy własna żona...

– Skąd wiesz, że nie kochała? – Wciąż jej to wypominał. „Czternaście denarów”, mawiał, „i stara pierzyna? To ma być posag? Ile zrobiłaś, bym cię miłował? No: ile?”

– Miłość posagiem mierzył? – oburzył się Wilband. – Darujcie, pani, ale kretyn was spółdził!

– Sam jesteś kretyn! – odcięła się. – A niby czym ją mierzyć? Słowami? Żona ma mężowi podporą być, nie kulą u nogi! Bóg po to niewiastę stworzył, by mężczyźnie pomagała! Ja od maleńkości tak czyniłam, w przeciwieństwie do matki! Ojciec łał, alem zęby zaciskała i pomagała! I co? Proszę bardzo: zamek mam i kopalnię! Wdowieństwo po sławnym rycerzu! Tytuł! A dlaczego? Bom od zawsze postępowała jak trzeba! Sześć lat mając, pierwszemu działaczowi ze związku wyrobników łeb kamieniem rozwaliłam! Do strajku namawiał, pewien bezkarności, bo ustawa weszła, że właściciel nie może takiego kijem z kopalni czy manufaktury pogonić. Tom się w lesie przyczaiła i...

– To... powód do chwały? – upewnił się Debren.

– Z torbami nas chcieli puścić, w nędzę wpędzić, żeby się tatko powiesił z rozpacy, a mama na zdziry zeszła. Nie wiedziałam, co to takiego te zdziry, ale jak mi ojciec wytłumaczył, że bruk nią będą wycierać i różne paskudztwa z siusiaka na nią wypuszczają, to przyrznęłam związkowcowi ze stu kroków takim głazem, że go bliscy po ubraniu musieli identyfikować. I widmo bankructwa od kopalni odsunęłam. Sześciolatka! Tak miłować trzeba! Porzygałam się z wysiłku,

coś mi w grzbiecie łupnęło, krew z nosa poszła, ale zrobiłam, o co tatko poprosił. Po głowie mnie pogłaskał, pierwszy raz w życiu! Przez chwilę panowała cisza.

– Mała byłaś, pani – przerwał milczenie Wilband.

– I nie bardzo wiedziałam, co czynię? – uśmiechnęła się krzywo. – Łajno prawda. Wiedziałam. Wcześniej, bywało, znęcali się nade mną. Szydzili, żem taka mała. Kamykami rzucali. Jeden omal mnie głazem nie rozgniótł, choć widział, że się w dole lalką bawię. Inny namawiał, bym do szybu zaglądała. Nie ogrodzonego. Na ojcu pomsty brać nie mogli, to na mnie próbowali. A jak związkowca ubiłam, skończyło się.

– Ty też skończyłaś?

– Ja nie. Ale już nikogo nie próbowałam zabić. Bo w naszych gwarków głównie rzucałam. Przepisy zabraniały bić pracowników, to mi ojciec kazał myśłą za pośrednictwem kamienia jednemu z drugim nierobowi przyłożyć. Czasem pożyczal mnie kamratom z cechu, bym i tam porządek zaprowadzała. Nie dało się inaczej: do kopalń trafiają głównie chłopkowie, do pańszczyzny nawykli i tego, że jak batem nie leją, to znaczy, że pracy nie oczekują. A im związek do łbów wbił, że łać nie można.

Skarżyli nas, ale prokurator słuchać nie chciał, bo to wszak nie wczesnowieczce, za myślenie nie każą. Staralam się nikomu krzywdy nie zrobić, ale zdarzały się pęknięte żebra i piszczele, i jeden wypadek śmiertelny. Trudno. Mama mnie nauczyła, że miłość w życiu najważniejsza. A ja nie pyskaczy miłowałam, co to chcieli mniej pracować a więcej zarabiać, jeno swoją rodzinę. Tę, która już była, i tę, która miała być. Męża przyszłego, dzieci. Kopalnia musiała dobrze prosperować, bo od tego mój posag zależał, a od posagu, wiadomo: szczęście małżeńskie. Tysiąc razy to od rodziców słyszałam: że bez srebra łajno z miłości, Oboje mi to powtarzali. Pytałam, czemu mama płacze, a tata krzyczy i nas tak okropnie bije. No i wytłumaczyli mi, że to właśnie

z niedostatku miłości. Bo mama jakieś obesrane czternaście miedziaków do małżeństwa wniosła, i się w ciąży nie starała, kurdupła mu urodziła, nie córkę jak się patrzy. A tata jest tak ową nieczułością rozgoryczony, że go ponosi.

Więc postanowiłam, że mojej rodziny tak nie unieszczęśliwię. Choćbym miała ukamienować wszystkich wyrobników w kopalni.

– Jesteś potworem – mruknął Wilband.

– Toć właśnie ci tłumaczę – wzruszyła niecierpliwie ramionami. – Stworzenia dzielą się na potwory i ofiary. Lew i wilk, przykładowo, do tych pierwszych należą. Tak jak rycerz, bankier albo właściciel kamieniołomów. Taki Bóg porządek ustanowił. Więc jak mała lwica ojcu w polowaniu nie pomoże, mała szlachcianka w ściąganiu pańszczyzny, a bankierka długów, to nie prawości dowiodą, a zwyrodnienia. I głupoty. Bo szans na normalne życie, na szczęście rodzinne, same się pozbawiają. Kto taką weźmie? I po co? By mu młode zagłodziła?

– Można żyć, nie krzywdząc innych – mruknął Debren.

– Może można – zgodziła się. – Ale my kochliwe jesteśmy. Bez miłowania żyć nie umiemy. Mama mówiła, że to pewnie przez to serce z kamienia. Fizjologia taka. Że niby trzeba je czymś ogrzać, by jak to zwykle, z mięsa, krew pompowało. Może żartowała, nie wiem... Ale faktem jest, że babka z krasnoludem uciekła, na biedę i poniewierkę, choć nie tylko Pazrelitą i bankierem nie był, ale nawet człowiekiem. Mama za tatę wyszła i nigdy go nie porzuciła. A mogła. Apelblukowie ją namawiali. Jedna sławna czarownica przyjeżdżała, do terminu chciała brać, bo ponoć mama okrutnie utalentowana była, jeśli chodzi o czary. A nigdy nawet samouczka nie kupiła. Ojciec się nie zgadzał, więc się czarów nie nauczyła.

– Nie dziwi mnie, że się nie zgadzał – warknął Wilband. – Mógłby, łajdak, jak Indory skończyć.

– Głupi jesteś. Nigdy by go nie skrzywdziła. A i on by nigdy

jej tak... Dom mieliśmy mały, bo tatko do oszczędnych należał, więc wiem, że nawet jak do krwi pobił i skopał, a akurat dobre dni miała, to małżeńskiego obowiązku dopełniał. – Debren zauważył, że kamieniarz ciemniej na twarzy.

Sam, też zmieszany, wetknął różdżkę w pierwsze z brzegu miejsce między dziewczyną a skałą. – Żadnej okazji ni kropli nie zmarnował, nie to co ów paskudnik, starszy Indor. Okrutnie do syna tęsknił.

– Ktoś tu o drobiu mówi? – Zecheniasz podszedł z okazałą stągiewką w garści, zerknął zaciekawiony na Curdelię. – Debren nie żartował? Naprawdę żywa jesteście, hrabino?

– Żywa – wyręczył ją magun. – I nie o drobiu, a o tych łajdakach, co próbowali... – zawahał się, przesunął koniec różdżki pod styk bioder z kamieniem. – A właściwie... Wybacz, że o takie rzeczy pytam, ale jak on to chciał...? Tam w dole nie jesteś...?

– Przyrośnięta? Jestem. – Głos miała spokojny, najwyraźniej to, co mówiła o szczyrych rozmowach, mówiła serio. – Jak pierwszy raz przyszli, to próbowali normalnie. Jednemu to aż coś w biodrze strzeliło, kulawy odchodził. Oczywiście nie poradzili, bo niby gdzie nogi podziać? – Pokazała dłonią, jak niewiele miejsca jest między nią a skałami, na których siedzi i o które się opiera. – Ale ich już ochota przypiliła, więc ten starszy wymyślił, że może marimalską metodą.

– Mówicie o...? – Zecheniasz chyba sam wiedział, bo przeżegnał się zamasyście wolną ręką. – A łajdaki! – Słaba byłam, wiele dni nie padało – wskazała sadzawkę z fontanną. – Zaskoczyli mnie. Gdy się obudziłam, cała trójka stała nade mną, nie było jak się bronić. A jeszcze tak mnie pragnienie dręczyło, że prawie bez wstępu o tym myślałam.

– Coś powiedziała, kobieto nieszczęsna?! – Zecheniasz chwycił się za głowę, tym razem oburącz. – Pół roku postu!

I po sto pacierzy przed każdym posiłkiem!

– Nie przesadzaj – ujął się za Curdelią Debren. – Toć powiedziała, że prawie. I niby co miała zrobić? Jedna mała, na pół skamieniała niewiasta, głodna, słaba, odwodniona, a tu trzech drabów. Co miała zrobić? – powtórzył.

– Pomyśleć – uśmiechnęła się krzywo czarownica, chyba najmniej ze wszystkich zmartwiona rozmiarem nałożonej pokuty. – I z opinii skorzystać, którą mi nieżyczliwi dorobili. Nim ze mnie koszulę zdarli, wykrzyczałam, że mam ciężką, cholernie zakaźną francę z przerzutami.

– A... masz? – zapytał niepewnie Debren. – Wybacz, że pytam, ale od stanu organizmu wiele może zależeć i...

– Nie mam. – Tak się jakoś złożyło, że odpowiadając, patrzyła na Wilbanda. – Krutz owszem, pół wsi zaraził, ale na mnie jakoś nie przeszła. Nic jakoś nie przechodziło – westchnęła. – Ani dobre, ani złe.

– Czyli skłamałaś – stwierdził surowo zakonnik. – Nie powiem: z dobrą intencją, bo cudzołóstwo by to było. Ale z drugiej strony... Nieszczęśnik żyłby pewnie, a żywy albo grzech odpokutował, albo przynajmniej na spowiedzi wyznał. A tak to umarł, ów diabelski wynalazek na ciele mając. Do piekła ludzką duszę wyprawiłaś. Diabłu na uciechę. Znaczący się: kolaboracja ze Złym. – Westchnął. – I co ja mam z tobą począć, córko? Do Inkwizycji rzecz zgłosić? Powinienem: toż wiedźmą jesteś.

– Napij się lepiej – poradził Debren. – I rozejrzyj w kuchni. Pani hrabina pewnie głodna.

– Za wino, po prawdzie, też duszę oddam – zażartowała. – Odleście trochę, braciszku.

– Zależy ci? – upewnił się. – Ha, dobrze. Więc niech taka będzie pokuta: żadnego wina. Wody się lepiej napij, z tej oto beczki. Coś mi się widzi, że ci potrzebna. Debren, przypilnuj, by dwie... nie: trzy szklanki wypić. Jak dla was, hrabino, to będzie... no, symboliczny tuzin denarów. Bogata jest –

uprzedził sprzeciw czarodzieja. – A myśmy musieli na wielką wysokość beczkę wtaczać.

– Od trzech miesięcy o niczym tak nie marzę... – nie dokończyła, widząc, że Zecheniasz odchodzi.

Orzechowe oczy błysnęły gniewnie, ręka sama wyciągnęła się po piszczel z uwiązany zwierciadłem.

Debren złapał ją za nadgarstek.

– To dziwak – warknął. – Ale przyszedł tu, srebra nie żądając. Dla ciebie.

– Akurat! – prychnęła. – Następny po Wilbandzie amator moich win! A ich tam tyle zostało, co kot napłakał! Chcę przed śmiercią jeszcze chociaż raz...

– Przyniosę ci. I coś ciepłego, jeśli w spizarni jakieś zdatne jadło znajdziemy. Ale mam warunek.

– Debren – uśmiechnęła się gorzko – może przesadziłam z tą duszą. Ale każdej nocy mi się śni miska gorącej zupy i kwaterka czerwonego słodkiego. Wszystko bym dała za jeden taki posiłek. Wszystko.

– Ja pojadę – zadeklarował nieoczekiwanie Wilband.

I widząc zdziwione spojrzenia, wyjaśnił: – Po trzech miesiącach pewnie mało co jadalnego w spizarni zostało, a ja z byle czego polewkę uwarzę.

Spojrzenie hrabiny ochłodziło nagle.

– Do wina chcesz się dorwać? Jeno mi tu nie łyj. Loch głęboki, schody strome, a ty nóg nie masz. Nie mów mi, że bezinteresownie chcesz...

Przez chwilę patrzył jej w oczy. Mało pokornie.

– Nie darmo – skrzywił na koniec usta w niezbyt ładnym uśmiechu. – Ale skoro wszystko gotowicie oddać...

– Masz wyrok – wzruszyła ramionami.

– Nie na to.

– A co ci się jeszcze zamarzyło, kmiotku? Poza zamieszkiwaniem w mym zamku, wyżeraniem mi resztek ze spizarni i osuszaniem ostatniej beczki wina? He?

– Milsza atmosfera przy posiłkach. Umyjcie się, pani. Nie ma powodu tak cuchnąć.

Poczerwieniała. Mocno. Wilband, nie czekając na odpowiedź, pchnął silnik, ruszył w stronę domu.

Marnie mu szło, wózek uparcie skręcał w prawo, coś zgrzytało w przekładni, w którymś momencie trzeba było się wspomóc bazaltowymi ciężarkami. Ale i tak kaleka znalazł się poza zasięgiem głosu czarownicy, nim ta go odzyskała.

– Słyszałeś?! Co za cham! – Debren uśmiechnął się niewyraźnie. – Tobie też mój smród przeszkadza?

– Mnie nie – zapewnił. Nie uwierzyła, więc wyjaśnił: – Małe zakłęcie na blokadę węchu.

– Miło z twojej strony – warknęła.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu. Debren sondował przez różdżkę skałę. Tę obok hrabiny i tę, która była hrabiną. Curdelia gapiła się na zamkowy mur.

– Miał rację – powiedziała w pewnym momencie. – Z tym samobójstwem. Właściwie to dobrze, żeście przyszli. Oczy mi się na parę spraw otworzyły. No i okazja się nadarza, niepowtarzalna chyba. Nie mógłbyś tak...?

– Nie.

– Czekaj, nie wiesz, co chcę powiedzieć.

– I niech tak pozostanie. To kamień – stuknął różdżką w jej lewy pośladek. – Nerka, pół skóry na plecach, udo. Drobne grudki w różnych organach... Krasnoludy mają wrodzoną odporność na pylicę, więc przeżyłaś. Ale z ludzkiego punktu widzenia... Więc milcz. Czuję, że prawnicy będą ustalać, czyś żywa, czy już nie. A ci każde słowo mogą przeciw tobie wykorzystać.

– Okrutnie się boję – zakpiła. – Nie rozumiesz? Proszę, byś mnie dobił. Niby co gorszego mogą mi...?

– Nie dobijać – przerwał sucho. – I taką pochować. Tym razem pobladła. Debren bez słowa ujął jej nadgarstek, zaczął badać puls.

– Po co tak naprawdę przyszlście?
– Nie kłaniałem: pogrzeb mieliśmy ci urządzić.
– Bez względu na to, jaką znajdziecie? Nie odpowiedział od razu.

– Nawet nie pomyślałem, że możesz żyć.
– Ty nie – skinęła głową. – Założmy, że wierzę. A inni? Co o nich wiesz?

– Wilband ma powód tu być – mruknął. – Jedyna okazja, by swoje wyegzekwować. A Zecheniasz...

Nie umiał dokończyć. Zmrużyła oczy, popatrzyła kpiąco na niego, potem, już z powagą, na beczkomobilę.

– Ile, powiedział? Trzy szklanki? – Debren zeszytniał lekko. – Nie piliście ostatnio z tej beczki, prawda? – O... oszalałaś?! Myślisz, że chce cię...? – Nie piliście – orzekła. – No, no. Niegłupio. I nawet mógłby się na koło zaklinać, że nic wspólnego z podawaniem trucizny nie miał. W ogóle go na zamku nie było.

– Bzdury opowiadasz. – Zdążył ochłonąć. – To sławny misjonarz. Niby po co miałby...? – A po co tu przyszedł? No, po co? Debren wstał, podszedł do beczkomobili, odkręcił kurek, zwilżył palce. Polizał.

– Daj spokój – wzruszyła ramionami. – Przysługę mi wyświadczy. Jak naprawdę porządny jesteś, to zapytaj tylko, czy to za bardzo nie boli. I ile trzeba wypić, by szybko, bez zbędnych cierpień... – Debren, nie słuchając, ruszył energicznym krokiem w stronę domu. – Co, Debren? Zapytasz? Trup był świeży, najwyżej wczorajszy. Debren znalazł go przy końcu schodów na drugie piętro. Bose stopy mężczyzny właśnie na schodach spoczywały i nietrudno było dopowiedzieć sobie resztę.

Zwłaszcza że szczury dobrały się do mięsa, przynajmniej chwilowo ignorując różową kostkę mydła opartą o piętę nieboszczyka. Debren odczekał, aż ogoniaści biesiadnicy odejdą, schylił się, obejrzał podbicie stopy, a potem stopień.

Mydło było suche, kamień i noga też. To akurat nie dziwiło – lato. Dziwił brak białego nalotu na skórze i stopniu.

Obmacał szyję leżącego. Kość była zgruchotana dokładnie tam, gdzie trzeba: na styku z potylicą.

Niby dobrze, w najślabszym miejscu. Gorzej, że z przodu, na czole, spod krwi i pękniętej skóry bieląca czaszka, a drewniany kołek, spinający kaftan na piersi, nie tyle pękł, co uległ zmiżdżeniu. Debren przewlókł go przez pętelkę, rozchylił koszulę, obejrzał wgłębienie pośrodku piersi. Sińca prawie nie było, krwi też, widocznie bosonogi umarł zaraz po tym, jak coś niewielkiego i tępego zgruchotało mu mostek. Ciekawe. Rana przy złamanym kręgu też trochę krwawiła, a obie wyglądały na śmiertelne. Jeśli to nie mydło i schody, ktoś się musiał bardzo spieszyć. Jeśli schody – wszystko było w porządku. Strome, nic dziwnego, że spadał szybko.

Debren rozejrzał się po korytarzu. I na wszelki wypadek wyjął różdżkę.

Sprawdzał komnatę po komnacie. Nie było ich tak dużo: zamek do wielkich nie należał. Mebli też nie było wiele, a dobytek, jak we wczesnowieczu, trzymano głównie w kufrach, więc trudno było orzec, czy budynek mocno splądrowano. Pobieźnie na pewno: gdzieniegdzie wały się po podłodze porzucone przedmioty. Ale przypadkowe, niekiedy całkiem bezwartościowe, typowe dla szlaków, którymi uciekają zaskoczeni pożarem czy najazdem ludzie. Jakieś stare ciżmy, sukienka, pudełko z przyborami do szycia, miedziany kufel... Było co prawda i wyłamane wieko w zamkniętej na kłódkę skrzyni, lecz i tutaj pachniało przypadkowym przestępstwem: jako młotka włamywacz użył ciężkiego lichtarza, którym, sądząc po rudych śladach, nieźle się w dodatku pokaleczył.

Więcej zwłok Debren nie znalazł. Pomijając parę kocich, rozkładających się w jednej z zamkniętych izb. Na pół zmumifikowane resztki cuchnęły tak okropnie, że Debren

cofnął się błyskawicznie, nie próbując sprawdzać, czy w łożu, pod baldachimem, nie mumifikuje się ktoś jeszcze. Usprawiedliwił się zresztą dość szybko, bo było to jedyne takie łoże w całym budynku. Bez wątplenia należało do gospodyni, a ona w nim nie leżała.

Dopiero mijając trupa z przetrąconym karkiem, pomyślał, że czegoś nie uwzględnił. Gachów mogło być więcej niż ten od siostry Indorów. Curdelia miała na sumieniu dużo grubsze grzechy; cóż stało na przeszkodzie, by umiłała sobie wdowieństwo...? Odepchnął tę myśl. Jeśli nawet, to jej sprawa.

Zecheniasza znalazł tam, gdzie należało zacząć szukać: w kuchni. Mnich siedział obok pieca i krzywiąc się, gryzł gruby plaster sera.

– Sam nie wiem – pokręcił głową na widok czarodzieja. – Niby nie śmierdzi, ale coś mi w nim... Jak u ciebie ze smakiem, Debren?

– Marnie. Z wędchem też. – Debren stanął w progu, po – słał mu pochmurne spojrzenie. – Dlatego musisz mi wybaczyć głupie być może pytanie. Co jest w tej wodzie?

– Hę? W wodzie? – Twojej. Tej z beczki.

Zecheniasz odłożył ser i odwzajemnił mu się spojrzeniem niewiele mniej ufnym od tego w wydaniu Debrena.

– Niby dlaczego miałbym ci powiedzieć?

– Niby dlaczego miałbyś nie mówić? Z korytarza dobiegł terkot drewnianych kół. Albo zapas wina w piwnicy był naprawdę skromny, albo Wilbandowi spieszyło się do czegoś. Szybko się uwinął.

– Receptura jest tajna – oświadczył chłodno mnich. – Nie czerpię z tego zysku, ale nie myśl, że innym pozwolę czerpać. Znam ja takich. Marnych podróbek narobią, za pół ceny naiwnym sprzedadzą, a potem nie wiadomo gdzie takiego szukać, jak do reklamacji dziewczka z brzuchem przybiega. Nic z tego.

– Rozumiem – mruknął Debren. – Logiczne wyjaśnienie. Przyjmę je, o ile mi równie logicznie wyjaśnisz, czego tu naprawdę szukasz.

– Żarcia – błysnął zębami Wilband, wjeżdżając do kuchni. – Jak to mnich. Cóż im z przyjemności pozostało?

– Błóżniesz – ofuknął go Zecheniasz. – A ty, Debren, pleciesz. Już zapomniałeś? Grzebać tu mieliśmy...

– Wiedźmę i poganę, co Machrusa z szynkarzem myli, trunki na wodę podmieniającym. Martwą w dodatku, jak to przy pogrzebie. Nie mów mi, że ktoś tak jak ty zapracowany poświęci dwa dni albo i więcej, by takiej posługę oddawać. Przed zgonem... rozumiem. Ale po? Nic już dla niej zrobić nie mogłeś.

– Każdemu się modlitwa nad grobem należy.

– Ale nie twoja. – Przez chwilę mierzyli się chmurnymi spojrzeniami. Wilband, tuląc do piersi zakurzony gąsiorek, przyglądał im się zaniepokojony z dołu. – Nie łżyj, bracie. Muszę wiedzieć, o co ci naprawdę chodzi.

– Grozisz mi? – Zecheniasz prawidłowo odczytał ton.

– Coś jest w tej wodzie – powiedział spokojnie Debren. – Nie umiem szybko stwierdzić, co. Może i nie trucizna, ale muszę założyć, że jednak trucizna. I opróżnić dziewczynie żołądek. Tudzież dokonać paru innych zabiegów, jeszcze mniej przyjemnych. Jest słaba, to ją może nawet... Więc nie przeciągaj struny.

– Co?! – Gąsior stuknął o posadzkę, ale Wilband chyba nawet tego nie zauważył. – Otruł ją?!

– Podurnieliście?! – zdenerwował się zakonnik. – Na stos ją mogę bez trudu posłać! Po co miałbym...?!

– Teraz możesz, gdy za dużo wygadała. Ale nie, kiedy się tu wybieraliśmy. A poza tym... Na spaleniu czarownicy Kościół nic by nie zyskał. Ani Udebold. Za wiele nadużyć przy polowaniach na czarownice popełniono, więc już nawet u nas,

na Zachodzie, nic władzy duchownej nie może z majątku skazanej skapnąć. Krewny też miałby problem, gdyby Curdelia z dymem poszła. Musiałby przed sądem dowieść, że majątek nie był diabelskiego pochodzenia, a to trwa, kosztuje... Więc owszem, znalazłby się motyw, by właśnie skrycie, trucią.

– Łeb rozwałę. – Warkot dobiegł z dołu, ale chyba nie tylko dlatego skojarzył się Debrenowi z psim. Także wściekłość Wilbanda była psia, szczerą i spontaniczną.

Na wszelki wypadek wszedł szybko między nich.

– Biorę ją na klientkę – powiedział. – Wiesz, co to znaczy. Odtąd wszystko, co zlecenia tyczy, tajne jest i do grobu zabrane będzie. Wiedzy przy robocie uzyskanej nie wolno mi wykorzystać. Więc możesz śmiało...

– Komercyjnie nie wolno – popisał się znajomością niuansów Zecheniasz. – Ale dla dobra inszego klienta, bez własnej korzyści wprost uzyskanej, to owszem. I tu haczyk tkwi. Ja ci recepturę zdradzę, a ty ją potem darmo stosować będziesz, i jeno swoje usługi drożej policzysz, tak? Znamy się na takowych...

– Odsuń się, Debren! – Wilband błysnął zębami i obuchem młota. – Już ja z niego prawdę...

– Jest moją klientką – uprzedził mnicha Debren. – To mnie stawia w sytuacji bez wyjścia. Muszę teraz wyjść, inaczej mówiąc. I poczekać na nowiny, które Wilband dostarczy. Tego chcesz? – Zecheniasz pobladł. Miał oczy i znał się na ludziach.

– Zostawiłbyś mnie z tym szaleńcem? Sam chyba szalony jesteś! – Debren cofnął się o pół kroku w stronę drzwi. – No dobrze, niech wam będzie, nieszczęsne ofiary cielesnej chuci... Widzę, że obu ta nierządnicą wokół palca sobie opłotła. Psiakrew, powinienem z wami... Cholerna kotwica. Diabeł ją, ani chybi, tak przemyślnie zamocował. No, nic. Beczka prawie pełna, zneutralizuje się. Nie takie przypadki leczyłem.

– Rąbnę go – zaproponował Wilband. – W paluch.

– To woda – powiedział szybko Zecheniasz. – Mówiłem: chutliwość okrutnie wzmagą. Umówiłem się z Udeboldem, że Kościołowi źródło zapisze, a sam się studnią zadowoli. Bo to ze studni wodę czerpią, źródło, co fontannę zasila, jeno po większych deszczach ożywa.

– Po co ci to źródło? – zmarszczył brwi Debren.

– Kleryków chcecie testom poddawać? – zainteresował się Wilband. – Ostateczny sprawdzian? Coś jak walenie misjonarza pałą? Zecheniasz rzucił im ponure spojrzenie.

– Ale przypominam: to tajemnica zawodowa. Jak który słowo piśnie... Potrzebuję tej wody, by na obu kierunkach działać. Moje dotychczasowe zabiegi wielce są skuteczne, wszelako, gdyby to do wojskowości porównać, jeno tarczę stanowią. Zapobiegają mianowicie stratom. Ale by ród ludzki maksymalnie rozmnożyć, trzeba i mieczem się posłużyć. Nie starczy odstręczać od miłowania tych, co w danym momencie miłować nie powinni. Jest mnóstwo takich, co powinni, a tego nie czynią.

Milczeli przez chwilę. Debren skinął w końcu głową na znak akceptacji, podszedł do pieca, nie sięgając po krzesiwo, przypalił hubkę.

– Ta woda... – Wilband podniósł gąsior, nie patrząc postawił w skrzynce narzędziowej. – Naprawdę działa?

– Widzisz ten szczyt? – wskazał okno Zecheniasz. – Ten za przełęczą, drugi czubek góry Dopschpick, co się w staromowie na Dwuczubek przekłada? Wyższy jest ciut od tego, ale nie dlatego taki goły. Las rósł tam jak i wokół zamku. Jeno go wycięto.

– Na czubku? – uśmiechnął się sceptycznie Debren. – Dołem dziką puszcę pozostawiając? – Mało ekonomiczne – przyznał mnich – ale nie o zysk szło, a o moralność. Ojciec Krutza, pobożny wielce, tak się przeraził wpływem źródlanej wody na zamkową czeladź tudzież syna, że kazał las wyrąbać. Majątek poszedł z dymem, bo górą tylko cięli i zwozić nie było

jak. Ale poziom wód gruntowych udało mu się obniżyć i źródło, co było tak, iż fontannę poczęto budować, potem już jeno słabo ciurkało, a i to po większych deszczach.

– Czyli albo to kretyń – podsumował Debren – albo woda faktycznie mocno... hmm... lecznicza.

– To drugie, zaręczam ci. Ode Dopschpickowie zawsze z zamku żyli, bo wiosek nigdy więcej niż trzy nie mieli, a i to marnych, jak to w górach. Więc postawili na usługi obronne i brali dotacje cesarskie za utrzymywanie fortalicji na marimalskiej granicy. Łatwy grosz, jak kto już zamkiem w dobrym miejscu dysponuje. Ale trzeba było się wykazywać odpowiednim poziomem ufortyfikowania, a do tego i zaopatrzenie w wodę się zalicza. Więc gdy hrabia zaczął las rąbać, wojsko komisję przysłało, by zasadność decyzji sprawdzić. I co? I najlepsi w Rzeszy eksperci, w tym podskarbi dusigrosz, co tylko patrzył pretekstu, dotacji nie obniżyli, a nawet hrabiego pochwalili.

– Nie sprezentował im przypadkiem, starym przykom paru baryłek cudownej wody? – uśmiechnął się Debren.

– Nie kpij. Nawet jeśli, to za poważna była sprawa, żeby... Czytałem uzasadnienie. Logiczne jest jak cholera. Otóż, powiada komisja, przy oblężeniu załoga pić będzie to, co pod ręką, by od murów za daleko nie odchodzić. Znaczą: wodę z sadzawki. Zwłaszcza że studnia w lochu, loch w budynku, a budynek można zapalić, machinami tu i tam zburzyć. Czyli od zdrowej wody załogę odciąć. I co wtedy? Załoga miast o wojowaniu, o babskich zadkach zaczyna myśleć. Wyobraź sobie konsekwencje. Nieliczne niewiasty, w tym rodzina hrabiego, niechybnie splugawione. Walki o kolejność plugawienia, trupy, animozje. Dowódca, co rodziny bronił, usieczon. A zza murów Marimalczycy, którzy w czym jak w czym, ale w sztuce miłosnej wszystkie inne nacje na głowę biją, swymi wyuzdanymi dziewczkami kuszą. W pół dnia oblężenie by się skończyło. Z braku obleganych.

– O tym nie pomyślałem – przyznał Debren. I westchnął. – Psiakrew, ile to człek musi wiedzieć, by skutecznie wojnę prowadzić. Nic dziwnego... a ty dokąd?

– Zupy miałem nagotować – rzucił przez ramię Wilband. – A tu woda stęchlizną jedzie. Świeżej nabiorę.

Debren skończył rozpalanie ognia pod kuchnią, pomyślał chwilę i sięgnął po pokrywę beczki. Ciepła woda przyda się hrabinie nie tylko pod postacią zupy. Do mycia także.

Zakłęcie nadal działało, więc niewiele mógł orzec na temat stęchlizny. Ale beczka, o dziwo, okazała się sucha. Wzruszył ramionami i poszedł obejrzeć spiżarnię.

– Nie wiem – przyznała Curdelia. – Może i posłałam za nim pchnięcie. Nie pamiętam. Spałam, obudzili mnie znienacka... I marnie się czułam. Indory głupie nie były: jak padało i w sadzawce błoto stało, nie przyłazili. Ale teraz susza. Osłabłam. Ponoć bez picia człowiek więcej jak trzy dni nie przetrzyma. A ja w dużej mierze człowiek jestem – dodała nieco ciszej.

– Nie całkiem jednak – pokiwał głową Zecheniasz. – I mnie się widzi, że się w tobie, córko, nieludzka natura odezwała i odruchowość go, jako pchłę, dajmy na to, ubiła.

– Z pchłami – westchnęła, drapiąc się po głowie – tak łatwo mi nie idzie. Co ja bym dała, by to cholerstwo...

– Przez okno mogłaś trafić – zastanawiał się Debren, oceniając kąty. – Tylko późno jakoś. Dobiegł aż na piętro. No i nie wiem, po co pchał się na drugie.

– Okna – wzruszyła ramionami. I, dyskretniej nieco, podrapała się pod pachą. Włosów, gdy je rozpuściła spod chusty, okazało się zadziwiająco wiele, insekty miały gdzie się ukrywać i skąd urządzać wypady. – Z tyłu ściana domu to zarazem zamkowy mur. Dołem okienka są maleńkie, człek nie

przelezie. Jak chciał przez dom uciekać, to właśnie górą.

– To ma sens – przyznał Debren. – Jeno mnie to mydło martwi.

– Mydło też ma sens – mruknął Wilband. – Pamiętaj, co jej chcieli zrobić. Curdelia uniosła szklanke, wypła resztkę wina, uśmiechnęła się błogo. Z rozpuszczonymi włosami jeszcze bardziej przypominała dziecko, względnie dziecięcą lalkę, i pewnie dlatego Debren nie miał serca odbierać jej gąsiora. Choć akurat dziecku powinien.

– Przeceniasz Indorów – wzruszyła ramionami. – Tacy subtelni to nie byli, by się podmywać, nim niewiastę...

– Nie pij może, pani – bąknął nieśmiało Debren. Wilband nic nie powiedział: pochylił się niżej nad otwartą pokrywę przekładni swego samojazdu. Czy jak mu tam.

– Bez obaw. – Curdelia napełniła kolejną szklanke. – Mój dziadek był krasnolud, w dodatku lełoński. To i głowę mam mocną.

– Leloński? – Babkę w czasie wojny do Oszwicy wywieźli. Z całą rodziną. – Mówiła spokojnie; wino, mimo mocnej głowy, chyba działało. – Rodzina zginęła, ale jej się udało zbiec. Uciekała przez góry, na południe, bo młodziutka jeszcze była, głupiutka, a zapamiętała z opowieści, że Ziemia Przyrzeczona, bo tak Pazrel wtenczas zwali, gdzieś na południu leży. No i ją zamierzającą w tych górach krasnoludy znalazły. Po północnej stronie jeszcze, więc można rzec, że lełońskie. I tak dziadka poznała.

– Miała szczęście – zauważył Debren. – Gór u nas niewiele, to i krasnoludów mało. A już z Oszwicy zbiec... no, no. Mało komu się udało.

– Wieżyczka strażnicza runęła, kawałek częstokołu łamiąc. Zamieszanie się zrobiło, no i babcia jakoś...

– Wieżyczka? – Wilband drgnął, syknął z bólu, trafiony w palec własnym dłutem. – Drewniana taka? Zimą? – Pewnie, że nie murowana. – Łyknęła wina. – Kto by tam

murował? Kwestia pazrelicka miała być w rok czy dwa rozwiązana.

– Ale lelońską i insze – Zecheniasz rzucił kosę spojrzenie kamieniarzowi – dłużej byście rozwiązywali. Kupę ludu do wymordowania ten wasz Dolfler przeznaczył.

Wilband zignorował zaczepkę. Wpatrywał się w dziewczynę szeroko rozwartymi oczami.

– SiS-man z wieżyczki resztkami jadła rzucał? Z więźniów szydził? – Popatrzyła na niego zdziwiona znad uniesionego naczynia. – Sikał na skórki słoniny i je w dół...? – Skąd wiesz? – opuściła powoli szklanekę.

– Dwóch ich na górze siedziało? Tych z SiS? A głodny tłum nie wytrzymał, po skórki skoczył? – Skąd...? – Chyba lekko zbladła.

– W książce wyczytał – wzruszył ramionami Zecheniasz. – Wehrleńskiej, ani chybi, skoro tak moich rodaków szkalującej. Bo to głównie Lelończycy wtenczas w Oszwicy siedzieli. Ależ z was podła nacja, Wilband. Niby to od przeszłości i Dolflera się odcinacie, niby to młodzież prawdy uczycie, a tu w podtekście proszę, jakie treści się przemyca: że ci z Zachodu to tępe bydło, co nie w patriotycznym porywie, a dla jakichś obeszczanych skórek świńskich...

– Rzucali skórki – przerwała mu Curdelia. – Babcia też po nie skoczyła, nie po wolność. Nawet nie wiedziała, jak i kiedy ją tłum zepchnął, akurat w wyrwę po wyłamany palu. Wcale nie chciała uciekać. Jeść chciała.

– Nie rzucali. – Wilband siedział bez ruchu, nie zwracając uwagi na krew lejącą się z palca na drewniane zębaki rozbebeszonej skrzyni przekładniowej.

– Wiem, co mówię. Babcia mamie sto razy...

– A dziadek mnie – wszedł jej w słowo. – Osobiście. Bo przeżył wtedy. Nie zdeptali go. Stąd wiem, że nie rzucał. Boebbels się tak zabawiał. Dziad podludnika Kolbancu. I to Boebbelsa tłum stratował, jak wieżyczka pod naporem runęła.

– Łzesz! – poczerwieniał na twarzy Zecheniasz. – To próba powstania była, zaplanowany zryw, a nie jakieś... Są pamiętniki sławnych kombatantów, co akcją dowodzili! Nikt tam słoniny nie żarł!

– Może i nie – zgodził się obojętnie Wilband. Nie odrywał spojrzenia od nieruchomego oblicza dziewczyny. – Ciemno było, a skórki małe. Ale że Boebbelsa w połowie do kości obgryziono, nim wpadł SiS i więźniów w pień wyciął, to wiem na pewno. Dziadek mi nogę pokazywał.

– Boe... Boebbelsa? – Debren przełknął z wysiłkiem ślinę. Cała trójka popatrzyła na niego jak na szaleńca, więc dodał pospiesznie: – Koszmarne rzeczy w Oszwicy wyprawiano. Groty z ludzkich zębów próbowali eksperymentatorzy z SiS produkować, onuce z włosów...

– Dziadek z poboru do SiS trafił – powiedział po chwili milczenia Wilband. – Kawał chłopca był, i blondyn, a takich chętnie tam widzieli. Sam się nie pchał. Co się zaś nogi tyczy, to swoją pokazywał. Jak wieżyczka runęła na częstokół, uczepił się go i odsieczki doczekał. Cizmy mu jeno zdarli i zjedli, a ktoś kawałek pięty odgryzł.

– Z twego dziadka łgarz był i fantasta – rzucił chłodno Zecheniasz. – Pewnie, dekownik jeden, sam sobie piętę okroił, by na front zachodni nie trafić. Cizmy zjedli, dobre sobie. Słyszał to kto, by cizmy jeść? – Ja swoje zjadłam – powiedziała cicho Curdelia. – Co prawda nie tak szybko. Na pół kwietnia mi musiały starczyć. – Przez jakiś czas nikt się nie odzywał.

– Wygląda; na to, Wilband, że istnienie twemu dziadkowi zawdzięczam. Gdyby przypomniał kamratowi o trudnej sytuacji; na froncie zachodnim i odwiódł od czynienia żartów...

Jakiś czas panowało ciężkie milczenie. Wózek miał spory prześwit, a Debren siedział przy Curdelii.

Widział więc skapującą z trybów krew.

– Skaleczyłeś się – powiedział w końcu. – W kuchni czyste szmaty widziałem. Jedź, opatrz rękę. I zobacz, co z polewką. Na zasmażce, więc pewnie już doszła.

Wilband skinął apatycznie głową, pchnął silnik. Nic się nie stało. Wózek ani drgnął.

– Ja pójdę – zaoferował się Zecheniasz.

Kamieniarz bez przekonania pociągnął dźwignię, potem pchnął. Nic. Szarpnął jeszcze raz. I znów, teraz już mocno.

– Czekaaj – mruknęła Curdelia. Podniosła zwierciadelko na ludzkiej pieszczeli, wysunęła, próbowała zajrzeć za jego pośrednictwem do wnętrza skrzynki przekładniowej. Kąt był niedobry, uniosła więc ramiona. Błysnęła białą pach, szarym nalotem włosów. Wychwyciła spojrzenie Wilbanda i szybko opuściła ręce. Za szybko: oberwał lustrem najpierw w nos, potem między nogi. Między nogi dużo lżej i przez solidne, skórzane spodnie. Ale to ten cios wywołał grymas bólu. – Co chcesz zrobić? – zapytał pospiesznie Debren. Zapachniało czymś, czym nie powinno, zwłaszcza że nadal nad dobrą ćwiartką ciasnego dziedzińca unosił się odór hrabiny i jej ofiar. Czuł go nawet przez blokadę powonienia. Przy oczach nie czarował. I martwiło go to, co widzi.

– Może ja...? – Znam się na maszynach. – Wręczyła mu lustro. – W kopalni połowę zmodernizowałam, a naprawiałam wszystkie. Ojciec skąpił na majstrów. Potrzymaj. A ty, Wilband, jak możesz, to podjedź bliżej.

– Nic mi... nie jest. – Unikał jej wzroku.

– Tobie może nie, ale twoim nowym nogom... No, już. Łapska masz jak niedźwiedź, nie udawaj, że nie poradzisz. Rusz się. Ponoć wodę dla mnie gotujecie. Chcę się umyć, a jak sam stąd wcześniej nie odjedziesz, to cię będę musiała... – zagwizdała cicho, pokazując palcem, jak poszybuje ku bramie.

Debren pomyślał, że jak na wnuczkę lełońskiego krasnoluda mocno reaguje na wino. Nie była jeszcze pijana, ale trzeźwa też nie była.

Pomógł Wilbandowi. Nieskładnie im poszło, omal nie najechali dziewczynie, na stopę. W ostatniej chwili umknęła z nią, z braku miejsca zadarła. Noga dziecięca w rozmiarach i bardzo kobieca w kształcie wylądowała na wózku. Wózek utknął w jakiejś skalnej szczelinie. Wilband poczerwieniał, próbował cofnąć choć samego siebie. Skrzynka i stojak na narzędzia nie puściły. Lewa kostka dziewczyny oparła się o jego prawy kikut. I pozostała tam, choć istniały chyba wygodniejsze pozycje.

– Debren, czarodziej jesteś, zrób coś z tym palcem. Patrz, cały mechanizm zakrwawił. To dąb? Czemuś nie zamówił żelaznych? Widzisz? Pękła i zaklinowała.

Debren wyjął różdżkę, zaczął zasklepiac ranę. Wilband, wyraźnie zmieszany, tłumaczył, że niczego nie zamawiał, strugał sam i że tak zaprojektował przekroje, by zębaki wytrzymały. Curdelia, pochyłona nad skrzynią, obmacywała drobnymi palcami wszystko, czego nie sięgała wzrokiem, wydłubywała odłamki, słuchała, kiwała głową, od czasu do czasu, komentowała. Fachowo chyba, bo Debren niewiele z tego rozumiał.

– Nie na góry ta twoja skrzynia – orzekła w końcu. – Biegowa, nie wspinaczkowa. Dziw, żeś tu dojechał. Musisz tu trzecią zębatkę dać, dwupalcówkę najwyżej.

– Miejsca nie ma.

– To się skrzynkę poszerzy. Patrz, ile podwozia zostało. Wyciąć jeno i bez problemu... Nie, czekaj. Ta poprzeczka na wpust idzie? No, to lepiej całkiem wywalić i dać deskę mocowaną na blachy.

Mam w kuźni akurat takie kawałki. Cienkie, ale na zbroję Krutz kupował, więc śpiewająco wytrzymają.

– Jak na zbroję, to pewnie drogie. Nie stać mnie...

– Krutzowi już zbroja niepotrzebna. A ty wyrok masz. Bierz co chcesz, należy ci się. Umiesz toczyć?

– Znaczy... beczkę? Wino też mi chcesz oddać, pani?

– Curdelio. Nie nazywaj mnie panią, z łaski swojej. Wiem, że nie kpisz, ale co tchu nabieram i swój aromat czuję, to mi takie podejrzenia same przychodzą do głowy. Nie, nie beczkę. Ostatnia została, po dobroci ci nie dam. O tokarkę pytam.

– No co też wy, pa... to znaczy: Curdelio. Ja domu nie mam, a cóż dopiero maszyn. Ale beczkę to wam... to ci mogę przytoczyć. Jak wyjedziemy – dodał ciszej – będzie pod ręką.

Uniosła głowę. Za szybko: znów dostał w nos.

– To nie zostaniesz? – Zapytała też szybko. Zaskoczył ją. Taką przynajmniej miał Debren nadzieję: że to tylko zaskoczenie. – Mówiłeś...

– Bogaty nie jestem – mruknął. – Ale jakoś tam sobie radzę. Nie muszę się ludziom na siłę pod dach i do miski pchać.

Milczała chwilę. Z jej twarzy, nadal bardziej szarej niż jasnoróżowej, trudno było wyczytać myśli.

– To mały zamek – powiedziała w końcu. – Ale i tak pusty stoi. Żadna dla mnie szkoda sublokatora wziąć.

– Nie wypada. – Debren nie miał wielkiej ochoty się wtrącać, ale zrobił to. Druga Zasada wpajana magunom w Akademii: „Czyń mniejsze zło”. Formuła była oczywiście dłuższa, pokrętna, ale do tego się sprowadzała. – Samotna niewiasta pod jednym dachem z obcym mężczyzną...

– Wszyscy Lelończycy to tacy zacofańcy? – warknęła nieoczekiwanie. Ale też od razu skryła emocje pod kpiącym uśmiechem. – Gdzie ty tu dach widzisz? Nawet jak Udebold zadek z kopalni ruszy, przyjedzie tu w końcu i zobaczy, że przeżyła, to wątpię, by zamek aż dotąd ku wygodzie kuzynki rozbudował. Dobrze będzie, jak na wiatę uezbiera. Więc nam nie grozi wspólny dach.

– Debren praw – poparł czarodzieja wracający z kociołkiem Zecheniasz. – We wzmiankowanym kontekście definicję domu na całą posesję się rozciąga, czyli, w danym przypadku, zamek. Sobór to któryś już we wczesnowieczu uzgodnił, nie

pomnę dokładnie, który.

– Sama widzisz, pa... Curdelio – uśmiechnął się nijako Wilband. – Opinię bym ci popsuł.

– Bardziej się już nie da. – Rzuciła zakonnikowi mało przyjazne spojrzenie. – Ale dzięki za troskę, bracie.

Wszyscy wyczuli gorzki sarkazm. Zecheniasz też. O dziwo, skwitował go pogodnym uśmiechem.

– Kiedy ja się naprawdę o ciebie martwię, córko. Tak dalece, że cię wciągnę na listę odbiorców mej wody. Niewiasta z ciebie jak... no, może nie rzepa – zreflektował się – ale jak rzodkiewka to na pewno. A że ćwierć krwi masz krasnoludzkiej, to ci pewnie kontakt z owymi zimnymi głazami do końca krwi nie ostudził. Zwłaszcza że... daruj bezpośredniość, aleśmy tu sami doświadczeni fachowcy, co dyskrecję w kodeksach mają... No, krótko mówiąc, twe wyczyny łózkowe sławne są w okolicy.

– Nie moja wina – mruknęła – że przy takim wietrze Krutza fantazja naszła. I że tym razem także łoże kazał mi dźwigać.

– Łoże? – Debren niewiele zrozumiał.

– Nie powiem: lekkie. Nasze po schodach na dach nie weszło. A to w połowie z wikliny, poręczne.

Ale za to jak podmuch złapało... Wpadłam w panikę, zgłupiałam. Trzeba było puścić, jak nad wiatą z sianem przelatywali. Dach stary, nadgniły; może by się trochę połamali, ale pewnie by przeżyli oboje. Ale po czasie to łatwo mówić. Spanikowałam i popchnęłam hen, wysoko, by nie opadli, nim na dziedziniec zbiegnę. Ale jak zbiegłam, to byli już nad lasem, więc pchnęłam i aż pod wieś ich rzuciło. Ponoć na sążeń w łąkę się wbili.

– Twój mąż... latał łóżkiem? – zapytał ostrożnie.

– Romantyk, psiamać. Do nieba ją chciał, na skrzydłach rozkoszy... Barda cytuję – wyjaśniła zdziwionemu zakonnikowi. – Z grubsza. I żeby to jeszcze jakąś

sentymtalną dziewicę... Ale nie: podkuchenną dudkał.

– W tym łóżku? – wychrypiał Wilband. – A ty ich...?

– Ja im pomagałam. Na swoją kolej czekając. Nie żegnaj się tak, bracie. A ty, Debren, nie czerwień. Doświadczeni fachowcy wszak jesteście. – Łyknęła wina wprost z gąsiora. – Pewnie nie takie dziwy...

– Wybacz – zaskoczył obecnych Zecheniasz. – To nie z myślą o tobie, a o nieszczęsnym Krutzu. Ty, jak rozumiem, nie cudzołożyłaś. Ba, w ogóle nie łożyłaś.

– Nie zadasz jej pokuty? – upewnił się Debren.

– A za co? Że mężowi posłuszeństwo okazywała? Że pokornie czekała na swą kolej, gdy ten się z ladacznicą zabawiał? Połowa żon tak czyni.

– Z daleka. A ona ich na oku miała. Dosłownie.

– Fakt. Ale winy nie mierzy się na sądzie, a na grzechy. Curdelia nie zgrzeszyła. Sąd też ją uniewinnił.

– O co ci idzie, braciszku? – Bezgrzeszna hrabina zmrużyła oczy. – Bo o coś idzie, widzę. Mów szybko i dawaj tę polewkę, skoro już przyniosłeś.

Zecheniasz zdjął służącą za pokrywkę miskę z kociołka, wyjął łyżkę. Zapachniało cebulą, warzywnym suszem, ziołami.

– Serce mi się kraje, gdy twą udrękę widzę – wyjaśnił rzeczowo. – I pomyślałem, że moglibyśmy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Bo i na cmentarzu, przy owej psiej budzie, w której się Wilband gnieździ, płakać mi się chciało.

– Psia buda? – zmarszczyła brwi. Wilband udał, że poprawia coś między trybami. – Na cmentarzu?

– I oto Bóg mnie natchnął – ciągnął Zecheniasz. – Myślą, by Wilbanda studziennym na zamku Dopschpick ustanowić. Źródło – wskazał wyschniętą sadzawkę – jak powiadasz, po deszczach bije. Czyli lustro wody nie może być głęboko. A z Wilbanda i grabarz jest, i kamieniarz, i kaleka na dodatek. Do ciasnych dziur jakby stworzony.

– Do ciasnych dziur? – zamrugła rzęsami. Były długie i raczej nie przez ostatnią klepsydrę tak urosły, ale Debren dopiero teraz je zauważył. Może dlatego, że jakoś dziwnie ich użyła. Albo po prostu wybiegające spod rzęs spojrzenie miało w sobie coś niezwykłego.

– Studnia będzie skromna – westchnął zakonnik. – Nie stać mnie na wielkie inwestycje. Ot, byle wiadro spuścić, napełnić. Do kopania takich nie ma to jak ktoś nieduży, obrotny a silny.

– Ach tak – mruknęła, jak gdyby rozczarowana.

– Studnię chcesz zamówić? – W głosie Wilbanda zabrzmiała z kolei nieśmiała nadzieja. – To... sporo roboty.

– A bo to ci się spieszy? – zbagatelizował Zecheniasz. – Nie mów, że się pod tą twoją budą klienci w kolejce tłoczą. I tak chcesz tu siedzieć, długi w noclegach i wyżywieniu egzekwować. To przy okazji mógłbyś ciut pokopać. Ot tak, by mięśnie w kondycji utrzymać. U beznogiego to ważne. A i Kościołowi się przysłużysz. Założę się, że za wykopanie takiej studni to i największy grzesznik do nieba trafi. Okrutnie zbożny cel będzie ci przyświecał.

– Nie będzie – mruknął kamieniarz. – Bo się pani... bo się Curdelia nie zgadza.

– Tegom nie powiedziała! Debren patrzył na parującą polewkę, w której pośród złotych oczek tłuszczu pływały skwarki i włókna cebuli. Sam by chętnie spróbował. Ktoś, kto od trzech miesięcy nie zakosztował ludzkiej strawy...

Dżuma i syfilis. Tylko nie to.

– Widzisz! – zatriumfował Zecheniasz. – I jej wizja służenia Bogu miłą się widzi. Co mnie nie dziwi. Życie doczesne to marność jeno, więc ci wprost powiem, córko: długo to tak nie pociągniesz.

Przez lato aby. Jak przyjdą chłody, nawet nie mróz, ale po prostu jesień... Więc rozumnie czynisz, o protekcję na lepszym ze światów zabiegając. Przyda ci się, i to rychło.

– Wiem – powiedziała spokojnie.

– Przecież cię tak nie zostawimy. – Zaniepokojony Wilband potoczył spojrzeniem po twarzach. – Na początek parę tych bud się rozbierze, domek nad tobą postawi, jakąś służebną ze wsi sprowadzi... Nie pleć głupstw. Młoda jesteś, jeszcze ci daleko do... Debren?

Nie zapytał wprost. Nie ma nic gorszego od takiego niepytania. Chyba że kogoś stać na uniki.

– Dorośli jesteście. – Debren nie zastanawiał się długo. Już wcześniej sporo przemyślał. – Nie ma co się oszukiwać. Sprawdzę jeszcze w księgach, ale...

– Rozumiem – skinęła głową. – Dzięki za szczerość. To mi mocno decyzję ułatwia. – Przeniosła spojrzenie, już podszyte uśmiechem, na stężałą twarz kamieniarza. – Zostań, Wilband, i kop tę studnię. Albo zostań i nie kop.

– Powinien kopać – zaniepokoił się Zecheniasz. – Weź pod uwagę swą opinię. Co ludzie powiedzą, gdy tu bez nijakiego powodu sami zostanieiecie?

– To zostań z nami – zakpiła. – Ciekawe swoją drogą: kopiący Wilband mej cnocie nie zagraża, a niekopiący aż tak okrutnie? Czyżby perwers z niego był, co ziemne dziury nad insze przedkłada i jeno z braku ziemnych...?

– Córko!

– Wybaczcie – zreflektowała się. Po tym, jak zahaczyła spojrzeniem o Wilbanda. – Bzdury jakieś... wybaczcie.

– O ludziach mówiłem, nie o sobie – wyjaśnił urażony zakonnik. – Ja go znam, widzę, że żaden z niego uwodziciel i dla niewiast nijakiego zagrożenia nie stanowi. Ale plotka to plotka. W pierwszej wsi z beznogiego jednonogiego zrobią, w drugiej kulawego jeno, a w trzeciej na koło kłąć się będą, że tu zdrowego byka gościsz, co w przerwach między orgiami zabawia kochankę tańcem.

– Bez obawy – powiedział cicho Wilband. – Wyjadę, jak tylko ten domek... No i jak wodę doprowadzę, bo nie może być tak, by od deszczu zależało... Aha, jeszcze jakieś małe

palenisko. Liny w lochu widziałem, to się opału natnie, uwiąże i sobie Curdelia po trochu... Ziarna też trzeba ze spichrza nawieźć i żarna ustawić, no i...

– Nie daliście mi dokończyć – upomniał się o swoje Debren. Trzeba przyznać, że przyciągnął uwagę.

Chyba wyczuli, że chętniej siedziałby cicho z boku. – Ale może to i dobrze. Kwestie medyczne z pacjentem się omawia i nikim więcej.

– Aż tak źle? – Czarownica pobladła, zdołała się jednak uśmiechnąć. – Nawet nie jesień? No, to faktycznie powinniśmy pogadać na osobności. Bądźcie tak dobrzy...

– Nie.

Wilband zastygł z ręką wyciągającą się ku silnikowi. Curdelia uniosła i lekko zmarszczyła brwi.

Debren zakrył kociołek. Bez wielkiej nadziei. Czuł, że zupa wystygnie.

– Bez urazy – wyjaśnił Zecheniasz. – To zbyt ważna sprawa, bym ją mógł własnemu biegowi pozostawić. Niż demograficzny może całą naszą cywilizację zniszczyć. Poganie się mnożą, a my... Społeczeństwo Viplanu się starzeje. Niedługo, już to policzono, połowa populacji trzydziestkę przekroczy. Połowa! Kto nas obroni, kto wykarmi, jak młodych zabraknie? Chrzcin coraz mniej, pogrzebów coraz mniej, dochody Kościoła spadają... Nie, moi mili. W dzwony trzeba bić, a nie po kątach szeptać.

– Już idę – powiedział cicho Wilband. – Jeno... noga. Curdelia zabrała nogę z wózka. Powinna z ulgą: stał za blisko i był za wysoki. Jednak w jej twarzy nie było ulgi. Debren próbował pocieszać się myślą, iż niczego to nie dowodzi. Nadal była kobietą i po prostu mogło jej być przyjemnie, gdy patrzyła, jak spojrzenia obecnych, wcześniej czy później, świadomie czy nie, zjeżdżają na owe cudne krągłości.

– To jeszcze mój zamek – przypomniała mnichowi.

– To nie takie pewne. – Nie ruszył się z miejsca. –

W świetle prawa nie żyjesz. Mój druh, epidemiolog miejski, był ciut rozkojarzony po... no, gdy go o podpis prosiłem. Zanim się połapałem, podpisał się i pod „upoważniam” i pod „z upoważnienia”. Dziwnie trochę akt zgonu przez to wygląda, ale bynajmniej mu to mocy nie odbiera.

– Grozisz mi? – zmrużyła oczy.

Wilband przechylił dźwignię, wcelował trybem w którąś z nie połamanych zębatek. Obejrzał się, sprawdził teren. Debren na wszelki wypadek przestawił kociołek. Kamieniarz ocenił kąty, przechylił mocniej silnik.

– Bynajmniej. Pokazuję tylko, do jakich komplikacji może w tej sprawie dochodzić. Udebold ma długi. Czort wie, kto rękę na zamku położy. A Viplan czeka na dzieci. Wilband szarpnął dźwignię.

Wózek skoczył, pomknął po zaskakująco ciasnym łuku. Debren w ostatniej chwili zdołał wyrwać kociołek spod kół. Część zupy trafiła na jego kolana. Miska rozpadła się na kawałki.

– A co będzie? – zapytała spokojnie Curdelia – jak się uprę i jeszcze raz o odejście poproszę?

– Musiałabyś przemoc zastosować – odparł również spokojnie. – I zostałabyś uznana za wroga Kościoła.

Pokiwała głową. Debren postawił kociołek na ziemi. Tylko po to, by moment później poderwać go szybciej niż uprzednio: wehikuł Wilbanda znów potoczył się po dziwnie zakręconym torze i choć nie dopadł polewki, ozdobił plamą drugą nogawkę spodni Debrena oraz złamał łyżkę.

– Skoro tak – uśmiechnęła się krzywo Curdelia – to proszę, byś i ty pozostał, Wilband. Zwłaszcza że, jak widzę, i ty dyskretnie mi się odgrażasz. Pozbawieniem zupy, mianowicie.

– Wybacz. – Zabrzmiało nieszczerze. Debren na wszelki wypadek ukucnął z kociołkiem w bezpiecznym miejscu.

– Chciałam się obmyć i także węch ową polewką nacieszyć, co bez mycia raczej nie wchodzi w rachubę, ale skoro tak

nalegacie... A może jednak? Doświadczeni fachowcy jesteście. Pewnieście i widoku myjącej się baby doświadczyli, żaden nie omdleje. Zwłaszcza żem mała, to i golizny mniej będzie.

– Czymże jest ciało? – zapytał filozoficznie Zecheniasz. – Marnością jeno. Więc proszę, myj się, skoro...

– Idziemy – podniósł się Debren.

– Mów za siebie – poradził mu zakonnik, siadając dla odmiany. – Mam zasadę: załatw co ważne, a potem przyjemnościom się oddawaj. Znaczy – dodał pospiesznie – modlitwie regułą zakonną nie objętej, ponadplanowej. Bo inszych przyjemności w tym fachu... No, ale nie o tym... Podpisz, córko, akt darowizny źródła.

– Ja też mam parę zasad – rzucił ostrzegawczo Debren. Zecheniasz zignorował go, wyjął z przepastnej kieszeni habitu rulonik pergaminu, kałamarz i pióro. – Ręce mam brudne – uśmiechnęła się uroczo Curdelia. – Nie godzi się takimi Kościoła dokarmiać.

– Nie dla Kościoła chcę źródła. Takie jak ty ma ratować. Biedne, zgorzkniałe niewiasty, co nie z własnej winy żywot zmarnowały. I jak jałowe, puste skorupy...

Próbowała podtrzymać uśmiech. Bez powodzenia. Wilbandowi poszło znacznie lepiej. Nie tylko nie rozjechał kociołka z polewką, ale nawet kolan mnicha. Sztuka była niełatwa, bo wózek zatrzymał się na brzegu habitu, zgrabnie przygważdżając Zecheniasza do ziemi. Chwył wielkiej łapy formalnie za brzeg kaptura, a faktycznie za gardło, był już mało potrzebnym uzupełnieniem.

– Jedno słowo – wywarczał kamieniarz prosto w blednący nos zakonnika. – Jedno jeszcze powiedz, a świętym cię zrobię. Ty lełoński wieprzu...

– Wilband... – zaprotestowała anemicznie czarownica. Zupełnie nie wyglądająca w tej chwili na czarownicę, choćby i bardzo początkującą. Nawet te nie pokazują się ludziom z załzawionymi oczyma.

– Może po prostu: „wieprzu” – zaproponował chłodnym tonem Debren. – Nie mieszajmy do tego waśni narodowych. Sytuacja i tak jest trudna. Więc puść go, Wilband. Niepotrzebny nam kolejny męczennik.

– Obraził ją! Hrabinę! Za ćwierć tego, co powiedział, łeb się odrąbuje wraz z jęzorem plugawym!

– Na udeptanej ziemi. – Debren zerwał z tradycją prowadzonych obok Curdelii rozmów, wstał, popatrzył na całą trójkę, nie próbując kryć, że patrzy z góry. – A i też jeno wtedy, gdy hrabina młodziutka, śliczna i świeżo poślubiona, względnie do poślubienia przeznaczona. Bo o honor starych żon mało kto się potyka. – Cała trójka spojrzała na niego ze zdziwieniem. – W dodatku nijakich rycerzy tu nie ma. Rzemieślnicy są. Ludzie rozsądni, jak mniemałem.

Zecheniasz, nie bez trudu, pokiwał skwapliwie głową. Curdelia schyliła się, szybko osuszyła oczy, wykorzystując kaftan Wilbanda w charakterze chusteczki.

– Zostało jeszcze coś? – Patrząc na kociołek, dziewczyna pociągnęła nosem, ale chyba nie o łowienie zapachów szło. – To może zjem? O zaspokojenie głodu też nie szło. Próbowała załagodzić spór. Debren schylił się, podniósł naczynie.

– Za mało, by jeść byle jak – oświadczył sucho. – Woda powinna być już ciepła. Przyniesiemy, umyjesz się porządnie, zmienisz szaty, zawołasz. Wrócimy z gorącą zupą, zjesz, i dopiero wtedy pogadamy. Jasne? – popatrzył spode łba na obu mężczyzn.

– Ja jeno... – zachrypiał Zecheniasz – jeno z przezorności... U nas, w Gorszawie, jak jedną żebraczkę siłą umyli i kołtun ścięli, to wzięła i zmarła. Tom chciał...

– Nie mam kołtuna! – poskarżyła się Curdelia, znów niegodnym więdźmy, prawie płacziwym głosem.

Odrząciła psią skórę. Błysnęło srebrem. – Widzisz? Grzebyk! Mały, to może i fryzura trochę... Ale się czeszę! Grzebyk był faktycznie niewielki i pewnie dlatego Debren

lepiej zapamiętał drugą połowę ukrytego pod psią skórą skarbczyka. Na swój sposób jeszcze skromniejszą.

Nie chodziło o wielkość ani użyty materiał. Koło było całkiem spore, wyraźnie większe od przeciętnego medalionu przeciętnego machrusanina, noszącego pod koszulą symbol męki pańskiej – no i srebrne. Ale połamane. Złotnik spaprał robotę, szprychy wyszły mu grubsze w środku a cieniutkie przy obręczy, bardziej podobne do ramion gwiazdy niż porządnych szprych. Pewnie dlatego części brakowało.

Pozostały tylko trzy.

– To po babce – raczej zakryła dłonią dekolt, niż dotknęła medalionu. – Ponoć szczęście przynosi.

Dekolt aż się prosił o podobne zabiegi. Suknia, którą przyniósł Curdelii, była prześliczna. Beżowa ze złotym poblaskiem i eleganckimi, brunatnymi lamówkami, znakomicie komponowała się z orzechowymi tęczówkami dziewczyny. Ale jedno magun ewidentnie przegapił: że nie był to model przeznaczony do noszenia na gołe ciało. Depholscy krawcy przycięli wprawdzie damską szatę z obu stron, wzorem frywolnych Marimalczyków, lecz ich intencja była bardziej praktyczna. Chodziło o wyeksponowanie sławnych białych koszul z bufiastymi rękawami i równie sławnych białych pończoch, którymi prawdziwe elegantki błyskały między skrajem sukni a drewniakami. Najśmieszniejsze, że Debren parę niedziel wcześniej omal nie połknął paru sławnych depholskich komarów, łażąc po czystych uliczkach Gagi i gapiąc się z rozdziawioną gębą na ślicznotki w takich właśnie strojach. Psiakrew. Górę zapamiętał, dół zapamiętał, a środek...

– Dziadek specjalnie dla niej wykuł. – Cisza zaczynała brzęczeć w uszach i pewnie dlatego Curdelia brnęła dalej w wyjaśnienia, których nikt chyba nie oczekiwał. –

Krasnoludka starszyzna chciała wyprawić babcię jak najszybciej w dalszą drogę, bo jakby kto doniósł, że skrywają Pazrelitkę, winnych czekałyby wielkie nieprzyjemności. A wśród chłopów tamtejszych kwitło donosicielstwo.

– Nieprzyjemności – ocknął się jako pierwszy Zecheniasz – to czekały winnych na Wschodzie. W Lelonii, za pomaganie Pazrelitom, z miejsca się gardło dawało. Jak kto niewinny był, znaczy się żona, dziecko czy sąsiad. Bo winny to już nie z miejsca, a po męczarniach. Wilbanda rozumiem, ale ty, mając takowych przodków, powinnaś trochę ucziwiej o historii gadać. A i nasi chłopci wcale...

– Jesteś... jeszcze od niej ładniejsza.

Trudno powiedzieć, dlaczego wszyscy tak zgodnie popatrzyli na Wilbanda. Na pewno nie sprawiła tego siła głosu: raczej mamrotał sam do siebie pod nosem, niż zwracał się do dziewczyny. Debren uznał ostatecznie, że to efekt pobrzmiewającego w mamrotaniu zdumienia.

– Od babki? – Okolona kędzierzawą czernią twarzą zaróżowiła się trochę bardziej, co zdawało się graniczyć z cudem. Już przedtem Debren miał ochotę podejść bliżej, poślinić palec i sprawdzić, czy ten róż, jak z najdroższej lalki cesarskiej córki, jest prawdziwy.

– Głupstwa pleciesz. Ona była wysoka, urodziwa, a ja...

Mimo wszystko było jej miło. Na pewno nie doszukała się kpiny w oczach Wilbanda. Trudno podejrzewać oszołomione ciele o zdolność dyskretnego szydzenia.

Debren, chyba po raz pierwszy, pomyślał o Lendzie Branggo jak o desce. Nie tej płaskiej – tej ratunkowej. Której można się chwycić, by nie zatonać. Myśl była krótka, ustąpiła po momencie czy dwóch, ale sam fakt, iż się pojawiła, przyprawiał o dreszcz.

– Włosy jeno mamy podobne. – Mała rączka przesunęła się po wilgotnych puklach.

– Ja... o rusałce... – Wilband wskazał bramę. Dziewczyna

uśmiechnęła się z widocznym przymusem.

– No, tak. Pośród ludzi być może faktycznie... Ale nie traćmy czasu na głupstwa. Daj tę zupę, Debren.

Myśla się i przebierała dobrą klepsydrę, więc Debren zdążył wystarać się o miedzianą tacę – sreber w zamku raczej nie było – a Wilband o ziarno i żarna, w efekcie czego oprócz polewki na obiad miały być placki. Curdelia też nie zmarnowała czasu: przy pomocy zamówionych u Debrena szczotek, w tym jednej drucianej, do czyszczenia zbroi, doprowadziła do porządku nie tylko siebie, lecz i całe swoje otoczenie. Psia skóra wylądowała daleko pod murem. Ze smrodu nie pozostało prawie nic, a to, co zostało, przegrywało zdecydowanie z zapachem mydła. Z mydła, całutkiej kostki, tej, która być może zabiła szwagra Indorów, nie zostało nic.

– Może nie powinna jeść, nim darowizny nie podpisze? – Zecheniasz zmarszczył nagle brwi. – Raz, pamiętam, łój nam się w klasztornej spizarni psuć począł. To przeor posłał mnie z jednym starszym bratem, byśmy nadmiarem z głodnymi się podzielili, jako Pan nakazuje. Ale dureń złą miarkę z kuchni wyfasował, zakonną, potem nie chciało mu się furi zawracać, no i od razu dwudniową porcję kmieć na jeden posiłek dostawał. Poszło szybko, ale połowa dokarmianych od skrętu kiszek zmarła. Jeden pożytek z tego, że jak potem przeor dziesięcinę do dziesięciny podnosił, to nikt nie pyskował, bo już chłopstwo wiedziało, że mu nadmiar jadła szkodzi.

– Bez obaw – uspokoił go Debren. – Wilband pół polewki zdążył wylać, a i Curdelia to nie chłop z zakonnych dóbr: ciut lepiej się odżywia.

Mnich zerknął na wystającą spod sukni łydkę, zamknął usta. Curdelia ustawiła tacę na kolanach, westchnęła z lubością, podniosła łyżkę.

– Po... poczekaj. – Wilband miał mocno nieszczęśliwą minę, ale wytrzymał jej zdziwione spojrzenie.

– Może lepiej... nie jedz zupy. Proszę.

– Szczura niedawno upolowałam – uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Tłustego. Teraz wrona się nawinęła. I widzisz: żyję. To miłe, że się martwisz, ale moje kiszki...

– Ja... nie o kiszki. Bardziej... no... o serce.

– Serce mam z kamienia. – Uśmiech przygasł. – Nawet jak mamę... Nic. Nawet nie zakłuło. Ryczałam tylko. Człowiek to z rozpaczy by umarł albo choć zachorzał.

– Ja nie w tym sensie. O duszy raczej myślałem.

– Krasnoludy nie mają – zauważył Zecheniasz. – Co się Pazrelitów tyczy i innych niewiernych, zdania są podzielone, ale Żuła znacząco w tej kwestii milczy. Więc nawet jeśli trochę duszy w poganach tkwi, to na pewno dużo mniej niż w machrusanach. Stąd wniosek, że od tej strony nic hrabinie nie grozi.

– No i widzisz – mruknęła. I napełniła łyżkę. Wilband zdecydował się dopiero, gdy ta dotarła do ust.

– Poczekaj! – Usłuchała, ale jej spojrzenie stwardniało i zażądało wyjaśnień. – Ja... Woda na polewkę jest z sadzawki.

– Przecież wyschła – zdziwił się Debren.

– To znaczy: spod sadzawki – sprecyzował Wilband. – Dwa łokcie pod dnem już stoi woda. Wziąłem rurę, tę do nabierania win, zassałem...

Przyglądała mu się przez chwilę z uwagą. On oglądał koła swego wózka.

– Niech cię szlag – powiedziała w końcu. – Nie przyjechałeś samojazdem, prawda?

– Samolazem – poprawił Debren.

– Samopychem – poprawił Wilband.

– Niech cię szlag – powtórzyła. – Słyszałam jakieś szelesty. Myślałam, że któryś chce ukradkiem podejść i...

– Zabić? – domyślił się Debren. Westchnął.

– Nadal nam nie ufasz? – Mężczyznom nie można – powiedziała spokojnie. – Dużym zwłaszcza. A wyście wszyscy wysocy.

– Uczciwość łokciami mierzysz? – Krutz jak szafa wyrósł. I nie miłował mnie, choć mówił, że tak. Ojciec był wielki i nawet nie mówił, tylko lał i od karlic wyzywał. Z gwarków, co w kopalni u nas pracowali, też same duże, silne chłopcy, a żaden mi nigdy dobrego słowa... Kuzyni, postawne chłopaki, za kołnierz mnie wieszali, w beczce toczyli, póki całej nie zarzygałam. Nie wiem, może i wśród niskich o łajdaka równie łatwo, alem się z niskimi nie stykała. Najpierw ojciec mnie przed ludźmi w kopalni krył, a potem mąż w zamku. Gdzie do służby też samych postawnych brano. To i nie dziw, że wyrośniętym nie ufam. Raz o porządnym mężczyźnie słyszałam, a ten akurat krasnoludem był.

– Dziadek? – uśmiechnął się.

Trochę zaskoczona, odpowiedziała niepewnym uśmiechem.

– Nigdy koła popiątne nie widział – dotknęła medalionu.

– Myślał, że to takie jak od fury. No i kuł całą noc w pośpiechu, bo starszyzna babkę prawie od razu... Baby same i dzieci w jaskiniach ostały, chłopcy w lełońskich partyzantach wojowali. Nie byłoby komu bronić, gdyby pościg... No i wygnali dziewczuszkę, jak tylko trochę odtajała. Jedzenia dali, kożuch, ciżmy, ale musiała iść. Baby krasnoludzkie między ludzi nie chodzą, więc dziadek, sam szczeniak świata nieznający, nie miał kogo o koło święte wypytać. A koniecznie chciał babce koło dać na drogę. Z medalikiem od biedy za Lelonkę mogła uchodzić, zawsze to jakaś szansa, że patrol przepuści. Sześć szprych wykuł. Jak już z jaskini wybiegał, by babkę gonić, to mu jeden druh powiedział, że chyba coś tych szprych za dużo i że on o nieparzystej liczbie słyszał. Dziadek, wiele nie myśląc, połowę wyciął. Najpierw chciał jedną, ale mu się koło z pięcioma dziwaczny wydało, mało poważnym...

– A to poganin! – oburzył się Zecheniasz.

– Daj spokój – wzruszył ramionami Debren. – Jak od sześcioszprychówki zaczynał, to faktycznie głupio medalion

musiał wyglądać. Nijakiej symetrii.

– Kiedyś herezja taka była – poparł go Wilband. – Nie pamiętam kiedy i gdzie, ale wiem, że bezbożnicy takowe właśnie znaki nosili: koło poszóstne z jedną szprychą wyłamaną. I ich Ojciec Ojców mocno wyklął, a rycerstwo w kołomyi wysiekło. – No... niby tak. Ale trzy szprychy? – skrzywił się zakonnik. – Jakaś... mizerota z takowego znaku przebija. Wstyd się z czymś takim ludziom pokazać.

– Pewnie tak – zgodziła się Curdelia. – Ale faktem jest, że to brzydactwo babce życie ocaliło. Bo jak ją dziadek dogonił, to akurat biedaczkę patrol zgarniał. Z dziadka smarkacz był i kowal do rzyci jeszcze, ale kowalowi przy miechu od dawna asystował i krzepę już miał. Skoczył, Wehrleńczyków młotem zatłukł, dziewczynę za rękę i hajda w góry. No i pokochali się. Rodziny ich wyklęły, obie, ale do śmierci razem...

Przez chwilę była myślami gdzieś daleko. Nie dość daleko jednak. Debrenowi nie udało się dyskretnie zabrać polewki.

– Wilband ma rację – powiedział cicho, gdy drobna rączka chwyciła z drugiej strony za talerz. – Lepiej nie ryzykować. Sadržawka brudna, woda pewnie też.

Nie puściła talerza.

– Brudna? – popatrzyła uważnie na kamieniarza. – To dlatego, Wilband? Jednak o moje kiszki się martwisz? Debren wyczuł, że nie wierzy w to i po prostu daje tamtemu szansę. Ale Wilband też to zrozumiał.

– Mówiłem: o serce – uśmiechnął się z wysiłkiem. – Wybacz. Egoistycznie postąpiłem. Alem pomyślał, że jak się tej lubczykopodobnej wody opijesz, to ci się męskie towarzystwo miłszym zda.

– To nie na serce działa – powiedziała wolno. – Niżej uderza, choć w tułów jeszcze. Krutz potrafił dziewczki miesiąc z łoża nie wypuszczać, a potem, jak jej brzuch urósł, to kopniakiem na pole gonił, do roboty.

– Nie pojmuję – wzruszył ramionami zakonnik – czemu

o egoizmie mówisz. Nie powiem: grzeszny to był zamysł. Ale samolubny? Toć Debrenowi byś, że tak rzeknę, drogę otworzył. My dwaj się nie liczymy, inszych chłopów tu nie ma... Właściwie to nawet ładnie, żeś o druhu pomyślał.

– Wilbandowi – wyjaśnił szybko Debren – szło o to, by nas pani hrabina z zamku nie wywaląca za szybko. Nie o... Od życzliwości ku mężczyznom do... no, tego... droga jeszcze daleka.

– Jak u której – Zecheniasz znów wzruszył ramionami.

– Oddaj łyżkę, Debren – uśmiechnęła się krzywo czarownica. – Mnie, jak słyszysz, nic już nie zaszkodzi.

– To dlatego tak na kociołek wpadałeś? – zapytał kamieniarza magun. – Pranie portek jesteś mi winien. Subtelny się, psiamać, znalazł. Ile razy mam do waszej dorosłości apelować? O nazywanie rzeczy po imieniu prosić? To wszystko jest zbyt poważne, byśmy... Hej! – Zecheniasz skorzystał z nieuwagi zebranych i zręcznie zabrał zupę. Po czym wylał jednym chluśnięciem.

– Oszalałeś?! – Curdelia szarpnęła się, jakby chciała wstać. – Moja polewka!

– Twoja dusza – poprawił. – O nią się martw. A skoro dorośle mamy się zachowywać i rzeczy po imieniu zwać, to wam powiem, że nic by dobrego z jedzenia tej zupy nie wyszło. Teraz, jakieś się z owego paskudztwa obmyła, widzę, żeś niebrzydka. A Debren wyposzczony i czarodziej. Jeszcze jakowś magiczną sztuczkę wymyśli i ci tu resztki honoru niewieściego odbierze.

– Ja?! – oburzył się Debren. Tym głośniej, że sugestia nie była całkowicie absurdalna.

– A przypominam, żeś formalnie nieżywa – kontynuował niezrażony Zecheniasz. – Nekrofilia by to była. Ciała takich, co ją biernie uprawiają, niewiast znaczy, pali się niezwłocznie. Spalone ciało nijak się do sekcji nie nadaje. A bez sekcji nader łatwo byłoby naturalny charakter zgonu podważyć.

A wraz z nim i prawa spadkowe.

– W tym twoje do źródła? – domyśliła się. – Nie zapomniałeś o czymś? Jako trup nie mogę ci go zapisać.

– Po pierwsze nie mnie, a Kościołowi, co niemożność przekreśla. Był, pamiętam, precedens u nas w Gorszawie, że kupiec się jeden w Stulwi utopił. Po dwóch dniach go wyłowili, a on wziął, ożył na chwilę i podpisał akt, w którym cały swój majątek tamtejszemu biskupstwu ofiarował. Taka jest moc Pana naszego.

– A po drugie? – Po drugie, to palenie nierządnic i dziedziczenie dwa różne kodeksy regulują. Cywiliści karnistom w werdykty nie patrzą, i na odwrót.

Zupa się rozlała, więc Curdelia posłała jej pożegnalne spojrzenie i sięgnęła po placek.

Jadła z apetytem, którego nie popsowała nawet świadomość, że trzech obcych mężczyzn siedzi, stoi lub kuca tuż obok, niczego nie jedząc i przyglądając jej się mniej lub bardziej otwarcie.

– U mamy lepszych nie jadłam – pochwaliła.

– Przesadzasz – zaczerwienił się Wilband. – Mama na jajach smażyła, no i niewieścią ręką...

– Dla siebie jeno i dla ojca. Mnie ojciec zabronił dawać. Mówił, że i tak mnie pewnie żaden normalny chłop nie zechce, to po co jeszcze jajkami brak kobiecości pogłębiać. Bo ponoć od jajczanej diety męskości przybywa. Jak mama ciężarna chadzała, to owszem, tyle jej jaj kupował, że mu się rachunki myliły i czasem się na placek jajeczny załapałam, ale normalnie to nie.

– Mlekiem i kaszanką karmili? – pokiwał głową Debren. Uniosła brwi, zdziwiona, więc, ciut zmieszany, wyjaśnił: – Cerę masz jak krew z mlekiem, aż spojrzeć miło. A wiem, że u nas takowej diety rodzice używają, by panna właściwej barwy nabrała.

– Kaszanki nie jadłam. Krew mi za często z nosa leciała.

Od dźwigania głazów, ale ojciec powiedział, że od nadmiaru krwi w organizmie, i zabronił dawać. Mięsa zresztą też.

– A... mleko? – Wilband chyba bał się pytać.

– Mleka tyle kupował, co dla mamy. Na okrągło w ciąży chodziła, tom nawet nie prosiła. Wiadomo: trzeba zapasy zgromadzić, by było dla niemowlęcia.

– Ale rodzeństwa nie masz? – zaniepokoił się Zecheniasz. – Nikt nie podważy darowizny?

– Nie mam. – Debren dopatrywał się żalu w jej oczach, choć starała się kryć emocje za żartobliwym uśmiechem. – Zdaniem ojca: też z mojej winy. Bom się taka mała urodziła, że potem z hormonami przesadzał. Całą baryłkę gdzieś tanio kupił. Krasnoludzkich. Mama mu doradziła, bo choć w porównaniu ze mną była duża, ale przy ludziach to już nie. Dziadka geny górę wzięły. A on synów chciał mieć jak najwięcej, by ludzie nie gadali, że w rodzie Rimelów stagnacja nastąpiła.

– Krasnoludzkimi hormonami się wspomagał? – Debren zmarszczył brwi. – Mam nadzieję, że pod okiem medyka?

– Nie sądzę. On... no, skąpy był. A neutralizator karłowacenia dużo kosztuje.

– Mieszał hormony z neutralizatorem? Dżuma i syfilis, tego prawo nawet czarodziejom zabrania! Wojsko jeno...

– A co miał robić? Synów potrzebował, bo się ekonomia zmieniła i o solidnych a tanich gwarków było coraz trudniej. Chłopaków miało być dużo, mieli być wyrośnięci, ale i silni przy tym, co niekoniecznie w parze idzie. Starczy na krasnoludów spojrzeć: mali są, ale jak który przyłoży, to Boże chroń. Właśnie tacy, nabici w sobie i żywotni się ojcu marzyli. No to lał w mamę bez umiaru hormony na przemian z neutralizatorem, a jak miejsce w kubku zostało, to lubczykiem uzupełniał, by się nie zbuntowała przeciw nadmiernej eksploatacji.

– W ciąży na okrągło? – Zecheniasz pokiwał z uznaniem

głową. – Widzę, że dobry był machrusanin z twego rodziciela. Żal, że takowy ród bezpotomnie wygasł.

– Mnie też przykro – mruknęła.

– Głupota – zauważył Debren – niejeden ród już unicestwiła. Jak można...? Ech, szkoda gadać.

– Prawda – przyznała jeszcze ciszej. – Głupota i niewiedza zabijają. Wiem coś o tym. Mama... – Nikt o nic nie zapytał, nawet spojrzeniem nie zachęcił do mówienia, ale widocznie uznała, że zabrnęła za daleko, by tak to pozostawić: – Nie mogłam patrzeć, jak ją po każdym poronieniu traktuje. Nieraz to nawet nie bił, ale to, co mówił... No i mnie się tak obrywało, że kopalnia na tydzień stawała. Bo na woły do kołowrotu nie było – wyjaśniła. – Cały transport urobku na górę na moim pchaniu się zasadzał.

– Bił cię, bo matka...? – Wilband nie zdołał dokończyć. Uśmiechnęła się do niego smutno.

– W życiu nic nie jest czarne albo białe. Ja też zawiniłam. Głupia byłam, pyskata, nieposłuszna. Zamiast pracować, księgi ukradkiem czytałam. I żeby to jakie użyteczne, o kamieniach albo religii. Ale nie: romanse. Zamiast poważnie o zameściu myśleć, wyrobników poganiać i srebro na posag zbierać, tom nocami o rycerzach niewieściami szarfami przepasanych... A potem zaspana łąziłam po kamieniołomie. Nie do życia całkiem.

– Znam to – uśmiechnął się Debren. – Moje siostry...

– One nie miały w ręku ludzkiego życia. – Głos jej stwardniał, choć nadal mówiła cicho. – A ja... Pamiętam tamten dzień, Wilband. – Nie powiedziała, który, ale wszyscy zrozumieli. – Niewiastą od niedawna byłam, jeśli wiesz, o czym mówię. Bolało mnie, roboty huk, wyrobnicy chyba coś wypatrzyli, bo co rusz któryś durnym żartem rzucał. Zła łąziłam i z tej złości zrobiłam ojcu awanturę, że się czepia mamy o za grubo krojone skwarki. Po pysku mi dał. Tom wrzasnęła, by łapy przy sobie trzymał, bo kobieta już jestem

i czarować pewnie umiem.

– Tegom nie zrozumiał – wyznał Zecheniasz.

– Toć mówię: głupia smarkula byłam. I mi się krew comiesięczna z dziewiczą pomyliła. A wiecie: „Poty wiedźma nie czaruje, póki wianek ją krępuje”. Ale ojciec mądrzejszy był i drugie oko mi podbił. Matka skoczyła nas rozdzielać, jakoś tak zamieszanie się zrobiło i jej też krew poszła po nogach. Poroniła. A tego dnia akurat wasz blok, ten na świętego Sekatoryka, ładowaliśmy. Oczy mi spuchły, prawie na ślepo pchałam, no i spadł. – Przerwała, siedziała jakiś czas, unikając wzroku Wilbanda. – Ale przysięgam, zem szczeliny nie wypatrzyła. Serce mam z kamienia, alem nigdy klientowi... Ojciec oglądał, powiedział, że w porządku.

– Nie o tym chyba chciałaś mówić – powiedział Wilband, nie patrząc w jej stronę. – O matce zaczęłaś.

Wahała się. Ale była odważna i tęskniła do szczerzej rozmowy. Debren wiedział, że powie.

– Po tym nieszczęściu z wami – zwróciła się do kamieniarza – ojciec się wystraszył procesu. Zaczął rozpowiadać, że magicznie skałę badałam i że była w porządku, a winę za wypadek ponosi zły transport. Ale ja o czarowaniu nie miałam zielonego pojęcia i w śledztwie łatwo to mogło wyjść.

Więc mi ksiąg parę kupił. Tanich, za to grubych, by się poważnie na półce prezentowały. No i kota czarnego, bo sowa za drogo wychodziła, a jeszcze i klatkę by trzeba... Mądrzejsza to się od tego nie zrobiłam, bo księgi były po anvasku, ale nieszczęście chciało, że jedna, taka z obrazkami, o niewieściach przypadłościach mówiła. W tym o pielęgnowaniu ciąży. Oboje się strasznie zapaliliśmy, bo był tam jeden czar, na pchaniu i uciskaniu się zasadzający, a na tym tom się trochę...

– O, psiakrew – mruknął Debren.

– Tak – skinęła głową. – Masz rację. Poćwiczyłam na kocie, co się kotką okazał. Donosiła małe, nic się złego nie stało. A że

mama znów była przy nadziei... Zakłęcie trzeba było drogimi eliksirami wspomagać, więc ojciec, by srebra w błoto nie wyrzucać, nim jeszcze jej ową nadzieję podarował, wystarał się o płyn na bliźniaki, a jak dobrze pójdzie, to i trojaczki. No i ani hormonów, ani neutralizatora karłowacenia nie żałował. Potem się okazało, że płynu na bliźniaki było za mało i chłopak jeden się tylko począł, ale za to duży i ciężki. Wszyscy zawsze byli ciężcy i stąd te poronienia, ale tym razem... Zamknęłam ją – dopowiedziała po chwili. – Miało być miejscowo, alem nijakiej praktyki nie miała i biedaczka jak za chałupę szła, to i przez klepsydrę potrafiła nie wracać. Osłabła, schudła... Wystraszyłam się, chciałam czar cofnąć. Oboje się sprzeciwili, ona nawet mocniej, bo wierzyła, że jak syna urodzi, to ją ojciec w końcu... Dobrą minę robiła, mówiła, że dobrze się czuje. A potem... Brat umarł, a ona nie mogła... W żywocie jej gnił. Tak krzyczała, że któryś z wyrobników donos do podludnika uczynił, że niby czarujemy po nocach. Boebbels przyjechał, odgonił mnie od mamy. Już jej żywej nie zobaczyłam. Nie wiem nawet... może mnie nawet...

– Nie – powiedział Debren, patrząc jej w oczy. – Jednego złego słowa o tobie nie powiedziała. Z miłości to zrobiłaś, a ona była twoją matką. Może siebie winiła. Ale ciebie na pewno nie.

– Skąd możesz wiedzieć? – parsknęła gorzko.

– Wiem. Od Boebbelsa. Nie przepada za tobą. Gdyby cokolwiek złego o tobie mówiła, nie omieszkałaby...

– Nie przeklęła cię – poparł Debrena Zecheniasz. – A nawet gdyby, to nie frasuj się. Klątwa grzesznicy nieważna, a ona ciężko zgrzeszyła. Nożem się pchnęła.

Curdelia zbladła. Debren poczerwieniał, rzucił mnichowi wściekle spojrzenie. Ale nic się już nie dało zrobić.

– Nie musisz Boebbelsowi wierzyć – powiedział szybko Wilband. – Okrutnie Pazrelitów nienawidzi. Dziadka mu zabili w Oszwicy. Ojciec też z winy Pazrelity zginął.

Podludnikiem był, jak i syn, ale marnie mu się wiodło, bo tu u nas potworów mało. Zadłużył się. Na trzy talary ledwie, ale jednak.

Akurat zlecenie na wysysa zdobył, a tu mu lichwiarz Pazrelita komornika nasyła, żąda jakichś ekstra procentów, weksli, w sumie następnych czterech talarów od owych trzech. Albo miecza srebrnego na dodatkowy zastaw. Bo, argumentuje, podludnik polec może i kto mu wtenczas kredyt spłaci? Tak jakby wcześniej, złodziej obesrany, nie wiedział, z czego podludnicy żyją. Ale że dobrze wiedział, to wyczekał okazji i właśnie miecza zażądał. Wiadomo: na wysysa nie ma jak srebrna klinga. No, ale przesadził, bo wychodziło na to, że Boebbels oddałby wszystko, co na potworze zarobił, i został z takim samym długiem jak wcześniej, ciut większą sławą i czort wie iloma sińcami. Więc się Boebbels zawziął, miecz oddał, ze zwykłym poszedł, no i dał się wyssać. Co gorsze, pomsty nie było jak wziąć, bo nim syn z terminu wrócił, lichwiarz wziął i zmarł bezpotomnie.

– Myślisz, że mógł kłamać? – popatrzyła na niego z nieśmiałą nadzieją.

– Na pewno kłamał. Specjalnie po to nadpodludnikiem został, by was zabijać. Choć dziś już...

– Co to właściwie znaczy: nadpodludnik? – zapytał Debren.

– Ważniejszy podludnik? Taki na urzędzie?

– Podludnik w prawie jest, by samodzielnie, bez pytania kogokolwiek, potwory likwidować – wyjaśnił Wilband. – Rzadko to czyni, bo za usiezonego bez zamówienia nikt nie zapłaci, ale formalnie prawo ma. Nazwa stąd się bierze, że kiedyś w jednym szeregu z potworami stawiano Podludzi, znaczy się elfów, krasnoludy i różne insze humanoidy. Potem już nie, ale nazwa się przyjęła i została. A z kolei nadpodludnik te same prawa osądzania i eliminowania miał w stosunku do nadpodludzi. Czyli istot, co wprawdzie wyżej stoją od elfów albo rusalek, ale tak całkiem to ludźmi nie są.

Wiedźm, chłopofilów, Pazrelitów, heretyków, mutantów i tak dalej. Lista była długa. Jak się domyślasz, za czasów Hita Dolflera ją ułożono i instytucję nadpodludnika ustanowiono. Po wojnie jakoś się uchowała, choć z uprawnieniami okrojonymi. Władze okupacyjne utrzymywały, że to dla walki z kanibalizmem i nieludzką spekulacją, jakie wtenczas kwitły, ale tak naprawdę chodziło o to, by się przeszkolone kadry SiS-manów i nadpodludników nie marnowały, jeno się przerzuciły z Pazrelitów na demokratów. Bo nam, jak to po wojnie, zagrażała demokracja.

– A teraz? Czym się dziś nadpodludnicy zajmują?

– Tym co i podludnicy: potworami. To ich różni, że w wątpliwych przypadkach na więcej sobie mogą pozwolić. Weźmy Curdelię, przykładowo. – Uśmiechnął się do dziewczyny. – Niby wiedźma, ale nie całkiem. Krasnoludzka krew w niej płynie, ale mało. Zwykły podludnik nie mógłby z własnej inicjatywy jej ubić, gdyby, dajmy na to, przyłapał ją na rąbaniu poddanego toporem. Choćby krew ssała. A nadpodludnik ma prawo interweniować. Musi potem interwencję uzasadnić, wytłumaczyć, gdzie się dopatrył elementu potworności, no ale z tym kłopot zwykle już niewielki. Wiadomo: rację zawsze ma zwycięzca.

– O najważniejszym zapomniałeś – wytknął mu Zecheniasz. – Że nadpodludnik i za współudział może karać.

– To najważniejsze? – Debren zmrużył oczy.

– A tak. – Zakonnik przeniósł spojrzenie na dziewczynę. – Nie zrozum mnie źle, córko, ale jeśli spełniasz kryteria potworności, a wiele na to wskazuje, to ten zapalenie może nas wszystkich... Nie brak mi odwagi, ale żalosne by było zginąć w taki sposób. No i akt darowizny mógłby przepaść. Zbyt wiele od tego źródła zależy, by ryzykować. Podpisz więc i wynosimy się stąd.

– Za siebie gadaj – warknął Wilband.

– Przykro mi, ale i ciebie muszę zabrać. Wyglądasz, jakbyś

tej polewki przy gotowaniu próbował.

– Wilband lekko pociemniał na twarzy.

– Co, trafiłem? No, to tym bardziej. Nie myślisz logicznie, nie można cię tu sam na sam z hrabiną zostawić.

– Ja... ja się nie boję – rzuciła odważnie. Choć też kosztem rumieńca.

– O to – wzruszył ramionami Zecheniasz – to ja też nie. O Boebbelsie mówię. Nie mogąc inaczej wywołanego wodą popędu spożytkować, Wilband gotów się na podludnika rzucić. Ten go oczywiście ubije...

– Skąd wiesz, że nie mogąc?! – pociemniał jeszcze bardziej kamieniarz. I szybko umknął spojrzeniem przed równie szybkim spojrzeniem Curdelii.

– ...po czym nas o wspomaganie potworzycy oskarży. Bo moja to beczkomobila wciągnęła na Dopschpick samociąg Wilbanda.

– Samolaz – poprawił Debren.

– Samokręt – sprostowała Curdelia. – Kręcenie trybów w ruch go...

– Jak tu przylezie i krzywdzić będzie chciał, to go ubiję – przerwał jej Wilband. – Z bardziej błahych powodów rycerze inszych rycerzy dla pani Curdelii na turniejach dziurawili kopiami. A on nawet nie...

– Dla mnie? – uśmiechnęła się gorzko. – Nie żartuj. Kto by się ośmieszał, od karlicy wstążkę biorąc i do kopii wiążąc? Choćby i tępej, choć na treningu. Krutz kiedyś po pijanemu obiecał i nawet sprzęt odpowiedni kupił, ale noc przed turniejem o miejsce w łożu się pokłóciliśmy, obraził się i nie pojechał.

– Miejsce w łożu? – zdziwił się Debren. – Widziałem je chyba. Spore jest jak na dwoje.

– Jak na dwoje spore – zgodziła się. – Na troje też starczało: jak nie szaleli, tom nawet zasnąć potrafiła. Ale wtedy wody się źródlanej opił, by bardziej męskim się damom

na turnieju widzieć, no i go wieczorem tak wzięło, że od razu trzech bab zażądał. Jako czwarta już się nie mieściłam.

– Na... troje? – Wilbanda ogłuszyło już przy drugim zdaniu.

– Mała jestem – wzruszyła ramionami. – A on był wielki. Wszędzie. Narzekał, że miłowanie ze mną.. I że w dodatku swym chłodem, a konkretnie oschłością... No, krótko mówiąc zaraz po nocy poślubnej powiedział, że co prawda mnie miłuje jak mąż żonę, ale właśnie z tej miłości będzie musiał od dziewczek służebnych zaczynać. A ze mną jeno finalizować. By nam obojgu bólu niepotrzebnie nie sprawiać.

– We troje żeście...?

– Wielkie mi rzeczy. A niby jak kmiecie to robią? Jedno duże legowisko, z boku babka, z drugiego czworo dzieciak, a pośrodku mąż żonie piąte robi. W przeliczeniu na stopy kwadratowe łożnicy tośmy nawet porządniejsi byli. A jam im wcale nie pomagała. Na początku to nawet głowę poduszką zakrywałam, by nie słyszeć; na samiuśki brzeg się kładłam. Trudno to trójkątem miłosnym nazywać.

Chciałam nawet na korytarzu czekać, ale Krutz mi to przez zadek z głowy wybił. Że niby co sobie ludzie pomyślą. I że jemu jeno o rozochoconie z dziewczką chodzi, a jak już dojdzie, to całą miłość we mnie jeno przelewa.

– To nie nasze sprawy – wymruczał mocno zakłopotany Debren. – Zresztą... było, minęło...

– Wszystko, co się z Curdelią wiąże, naszą jest sprawą – wyprowadził go z błędu Zecheniasz. – Mów dalej, córko. Stawka jest zbyt wielka, o przyszłość całego kontynentu być może chodzi. Niczego w bawełnę nie owijaj. Musimy wiedzieć, na czym stoimy.

– Chcesz wiedzieć, czym cudzołożyła? – domyśliła się Curdelią. – Czy spadku nie da się od tej strony podważyć? – Skinął głową. Westchnęła lekko, nie próbując jednak omijać wzrokiem Wilbanda. – Sama nie wiem. Bo w łożu to nie, ale parę razy na dachu... Jak Krutz nabierał ochoty, by z dziewczką

w locie dokazywać, tom ich przecie podnosiła, więc jakby i dotykała. Myślisz, że to...?

– Psiakrew. – Zakonnik rzucił towarzyszom mroczne spojrzenie. – Nikomu o tym ani słowa. Przypominam: kodeksy was do milczenia zobowiązują. A ty, Wilband, wybij sobie ze łba, że tu zostaniesz. Nie zamierzam ryzykować, że cię Boebbels na męki weźmie i prawdę wyciągnie.

– Złego słowa na nią nie powiem – uroczyście zadeklarował Wilband. – A dla mnie to nie było nijakie cudzołóstwo. Mąż ją zmuszał. Co miała robić?

– Nie bądź dziecko: a choćby mniej oschłości okazywać. Jakbyś go kochała – ofuknął dziewczynę Zecheniasz – nie byłoby problemu. Dziedzic by był. Współczesna medycyna nie takie problemy... Nasza królowa, Luwiga, dla dobra dynastii zabiegowi poszerzenia się poddała.

– Bioder – zwrócił mu uwagę Debren. – I z opłakanym skutkiem.

– Opłakanym?! Świętą została!

– Ale najpierw kaleką, przykutą do łoża, a potem młodą nieboszczką. Bezdzielną w dodatku. Daj spokój, nie tędy droga, jeśli małżeństwo ma problem z... no, technicznej natury. Są prostsze sposoby. Mazidla... I w zwykłej kuchni można znaleźć coś...

– Nawet słuchać o tym nie chcę. Lepiej powiedz, Curdelio, co jeszcze kandydaci do spadku mogą wywlec, by cię pogrążyć. Wiemy już, żeś ubiła matkę, brata nienarodzonego i męża z kochanką. Oschlą żoną byłaś. Zwalczałaś ruch związkowy w kopalni.

– To chyba okoliczność łagodząca – ujął się za czarownicą Wilband. – Nikt tych pyskaczy nie lubi.

– Niby tak – zgodził się Zecheniasz. – Ale skutki są opłakane: cudzorozy teraz w kopalni pracują. Jak nie temmozanie, to lewokolcy. A ona nie jest rodowitą Wehrlenką. To ją w złym świetle stawia. Zwłaszcza że sama

bezpłodna, a w jej włościach niż demograficzny jak cholera. Jak to do kupy zebrać, to zręczny jurysta gotów i oskarżenie o zbrodnicze knowania przeciw narodowi sklecić. Więc mów lepiej wszystko jak na spowiedzi. Muszę wiedzieć, skąd ciosy mogą paść. Pamiętaj: od tego twa przyszłość zależy. Nadal możesz zbawienia dostąpić, jak się za tobą ktoś wysoko postawiony ujmie. A ja mam wielkie poważanie i u biskupa tutejszego, i w Żuli nawet.

Zmarszczyła brwi, zastanawiała się jakiś czas.

– Ludzi nie chciałam leczyć – mruknęła. – Choć na początku, jak się wieść rozeszła, że hrabia wiedźmę poślubił, to się pod bramą kolejka ustawiała. To wtedy mnie znienawidzili. Parę osób przed progiem mi zmarło, a ja nawet do nich nie wyszłam.

– Dlaczego?

– Nie mogłam. – Umknęła ze spojrzeniem. – Po tym z mamą... Mało nie umarłam. Jakiś paraliż mnie naszedł magiczny, nawet świecy nie miałam siły zgasić. Więc ojciec lał, bo kopalnia stała, pił z rozpaczy, jeszcze bardziej lał, ja tym bardziej nie mogłam czarować... Cud, że mnie całkiem nie zatłukł. Jakoś potem stanęliśmy oboje na nogi, ale kopalnia to już nie. W długi popadła. Nawet licytować nas zaczęli. To wtedy się Krutz zjawił: kołowrót chciał po okazyjnej cenie kupić.

– Zobaczył cię i się zakochał? – Debren uśmiechnął się do podsuwanej przez wyobraźnię sceny.

– Zawsze tak mówił. – Nie odpowiedziała uśmiechem na uśmiech. – Że od pierwszego wejrzenia. Nie wiem, może. Robotnicy mało fachowo maszyny przestawiali, żuraw się przewrócił, parę osób przygniotło. Skoczyłam ratować, dwóch chyba uratowałam, alem się potem tak porzygała, że nic więcej nie pamiętam. Więc może tak, może nie. Na pewno to wiem tylko, że jak się drugi raz spotkaliśmy, to Krutz najpierw z daleka spytał, czy po posiłku jestem, a potem jeno

o moście gadał. Most mamy – wyjaśniła. – Nad przepaścią, zaraz za przełęczą. Więcej dochodów daje, niż wioska i karczma, ale wtedy uginać się zaczął i bez szybkiego remontu pewnie by runął. A na normalny remont nie było Krutza stać.

– Więc znalazł silną żonę? – parsknął Wilband.

– Ożenił się, a ja mu przesłałam dzwignęłam, na ziemię przesunęłam i tanio naprawiłam – popatrzyła na niego spokojnie. – Cóż w tym złego?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz.

– Wiem, o co ci chodzi – zgodziła się. – Że niby całe to gadanie o miłości od pierwszego wejrzenia to łgarstwo. Może masz rację. Ale chyba się takie miłości zdarzają? Wilband zawahał się, zmieszał lekko. Ale głową kiwnął już energicznie.

– Tak – powiedział trochę wbrew sobie Debren. – Bywa. Choć nieraz potrwa, nim człek zrozumie, że to...

– Kocha się zawsze za coś – powiedziała po chwili, nie doczekawszy się końcówki. – Widzisz młodego, silnego chłopca i zakochujesz się, bo choć wcale o tym nie myślisz, gdzieś w głębi ducha coś ci podpowiada, że zdrowe dzieci ci da, a wcześniej i rozkosz. Bogatego widzisz i też się zakochujesz, bo to bezpieczeństwo, dostatek. W wesołym, bo do zabawy podświadomie tęsknisz. W głupim... bo chciałabyś w domu rządzić. I tak dalej, i tak dalej. Są różne powody, ale zawsze jakieś są. Tyle że jedni potrafią je u siebie dostrzec, a inni nie.

– A ty? – zapytał Zecheniasz. – Z miłości choć za niego wysłaś? Czy jeno po to, by ojciec więcej nie bił?

– Ja? – Zastanawiała się chwilę. – Chyba... Był duży, a miły. Myślę... Chyba chciałam mieć z nim dzieci. Bez nijakich hormonów, tak zwyczajnie. Zawsze wiedziałam, że nie pokocham niskiego, bo dochowałibyśmy się gromadki karlików, niewiele ode mnie wyższych. Wiecznie wystraszonych, wyśmiewanych i bitych. A z wielkiego ojca,

choćby i matka nikczemnego wzrostu, średniaki powinny być. Tych zaś nikt za wzrost nie prześladuje. No i pewnie o bogactwo też mi trochę szło. Czytałam, że ci, co lepiej jedzą, wyżsi rosną. A z Krutza hrabia był, nie najbogatszy może, ale przecie nigdy głodny. No i na uboczu mieszkał, z dala od ludzi. Nie to co w mieście, gdzie wciąż nowi się zjawiają i wciąż nowi pośmiewisko z karlicy robią. To chyba też brałam pod uwagę. Ale nie dam głowy. Nie myślałam wtedy. Zadurzyłam się i już.

– I tego się trzymaj, gdyby kto pytał – pouczył ją zakonnik.
– Co tam jeszcze z grzechów mamy...

A, karczma. Czemuś niemowlęta głodziła? – Cała dotacja na pijaków szła. Pańszczyznę musiałam podwyższyć, by dopłaty utrzymać. Srebra brakowało. Krutz co miał, to przehulał, znów głodna chodziłam jak w dzieciństwie. Chłopi się rozleniwili, każdy się hrabiowskim szwagrem czuł, bo mu hrabia jak nie siostrę czy córkę, to żonę... A potem, jak w ciążę nie zachodziłam, Krutz profesjonalistkami zaczął się posiłkować i podłapał gdzieś tę cholerną francę. Na dziewczki się wykosztowaliśmy, na leki, kupa poddanych pomarła, pochorowała się... Niewesoło było, krótko mówiąc. Więc gdy nam się ostatni kowal w karczmie w sztok zapił, polazł na most i łażąc po balustradzie, w przepaść runął, tom nie zdzierzyła i dotację cofnęła. Wydajność trochę od tego wzrosła, śmiertelność spadła, nawet pośród niemowląt, ale ludzie do reszty mnie znienawidzili.

– To oni...? – Debren wymownie wskazał skałę.

– Nie wiem – powiedziała bezradnie. – Ciągłe sobie zadaje to pytanie. Tamten – skinęła w stronę skamieniałego popiersia przy furze – był bratem sołtysa. Gdyby sołtys wiedział, powinien był go ostrzec. A widzisz: w sam środek bitwy wlaź. Teraz nie widać, bom szczątki po kątach poupychała, ale pięcioro ich tu legło. Wszystko nasi poddani, krewni tych ze wsi. Jak tu wlaź ten w kapaku...

– Miał kapak?

– Nie zauważyłeś? – wskazała wzrokiem szczątki pogruchotanych przybudówek, te same, między które cisnęła go czar. – No tak. Nabałaganiliśmy tu nieźle. Rykoszety po całym dziedzińcu latały. I po domu chyba, bo zdaje się, że kogoś tam ubiło. Czasem po nocy jakieś dziwne odgłosy... Duch ani chybi. A przedtem nie było.

– Może kot? – zmarszczył brwi. – Pewna jesteś? Więcej zwłok nie ma.

– Co to jest kapak? – przerwał im Wilband.

– Zbroja wodna – wyjaśnił lekko roztargniony Debren, wstając i przeciągając wzrokiem po fasadzie pałacu. – Z kummońskich pancerzy baranich się wywodzi. Zwykle trochę przecieka, stąd nazwa. Dwie skóry zszywa się razem, trochę jak bukłak, tyle że skóry grubsze, odporne. Całość mało waży, a daje się wypełniać różnymi wkładami. Wełny napchasz i żaden mróz ci niestraszny. Jak przez suchy step jedziesz, wody możesz nalać. Przed bitwą... co tam masz pod ręką, by osłonę zapewnić. Głównie jednak z myślą o przeprawach przez rzeki koczownicy go stosują. Bo na lepsze zbroje ich stać, odkąd pół Zapadniki podbili. Powietrze ukryte w kapaku utrzyma na wodzie i człeka, i pancerz, i jeszcze koniowi pomoże.

– Pływać tu łajdak zamierzał? – zdziwił się mnich.

– Kapak siłę ciężkości osłabia. Niby jeno w wodzie, więc go od Kummonów niektórzy żeglarze przejęli, ale słyszałem, że i na lądzie, jak zastosować dobry wkład.

– Prawda to – potwierdziła Curdelia. – Akurat na lądzie jest na odwrót: w środek nie powietrze dają, a coś do wody zbliżonego. Jak nim – wskazała porozbijane szopy – w końcu o mur cisnęłam, to mu zbroja pękła i coś się z niej wylało. Ale przedtem, to szkoda gadać: waliłam czar za czarem, a ten nic, lezie na mnie i po wezyracku formuły wykrzykuje. Całkiem się go odwrócona grawitacja nie ima.

Ocalałam, bom go kurzem oślepiła i parę razy biegającą

w panice czeladź ze mną pomylił. A pod koniec mocy mu brakło. Pierwszą kucharkę, jak trafił, to w taki kamień zamienił, że się potem całkiem rozsypała. Ze mną marnie mu poszło. No, chyba że takie zamówienie dostał: by okaleczyć, a nie zabijać.

– Nie sądzę. – Debren dał spokój budynkowi, usiadł. – Musiał cię własny czar na skałę rzucić. Jego czarem dostałaś, rezonans poszedł, no i... Nie znam się na tym, ale chyba cię ta skała ocaliła.

Zaglądałem do ksiąg, gdy Wilband gotował. Piszą w nich, że petryfikacja po linii najmniejszego oporu idzie. Co ma plusy, ale ma i minusy.

– To znaczy?

– Większość mocy w kamień poszła i to w nim strukturę przebudowała. Tobie dostało się tylko na styku ze skałą. To dobra strona. A zła... – zawahał się – no cóż, zła jest taka, że z was jakby jeden organizm zrobiono.

Przyglądała mu się spokojnie. To Wilbanda poniosło.

– Bzdury jakieś...! – grzmotnął pustym kociołkiem o ziemię. – Organizm?! To kamień, a tu masz niewiastę! Jak różnicy nie dostrzegasz, to idź za bramę i sobie moją rusałkę podudkaj! Też wymyślił! Kamień!

– On ma rację, Wilband – powiedziała dziwnie łagodnie. – To w obie strony działa. Czuję te kryształki pod skórą, w mięśniach, i nawet mnie to zbytnio nie boli, ale to teraz – wskazała kociołek – też poczułam. Słabo, ale jednak. A gdybyś gdzieś obok mnie skałę uderzył... Nie umiem ocenić, jak daleko to sięga, ale tu – dotknęła kamienia za sobą – próbowałam bełty ostrzyć. Nawet jak czarem o mur zwierza rozgniotę, to i tak muszę potem na bełt nadziać i linką przyciągnąć.

Nieraz po dwa tuziny razy szyję, bo linka okropnie celność niszczy. To i bełty się tępią. Ale ostrzyć nie mogę. Bo za bardzo boli.

Wilband, przyglądając jej się z niedowierzaniem, podjechał bliżej, dotknął skały o pół stopy ledwie od jej biodra. Przeciągnął dłonią po szorstkim kamieniu.

– Spocona – uśmiechnęła się dość żałośnie. – Widzisz? Nawet to już potrafię wyczuć.

– Unerwiło – mruknął Debren. – Dżuma i syfilis. Fachowiec musiał być. Czar z elementami nieusuwalności.

– Co to znaczy? – Wilbandowi zadrżał i głos, i ręka. Ale ręki nie cofnął. Drugą skrył między udami. Ta została.

– Niełatwo człowieka w kamień zmienić, więc...

– Chyba że ma kamienne serce – przerwała mu Curdelia. – Jak ja.

– Masz twarde zadek, mocne nerwy i wypaczone pojęcie tego, co dobre. To nie to samo, co serce z kamienia.

– Skąd wiesz? Nie masz pojęcia, jaka potrafię być podła.

– Zamknij się, Curdelio – rzucił przez zęby Wilband. – Gdybyś tam miała choć okruszek kamienia... Ojciec cię mało nie zatłukł, matka nie próbowała bronić, mąż z własnego łóżka gonił, by ładacznice chedożyć... Normalna niewiasta to by ich... Więc nie pleć bzdur.

– Łajno wiesz. Zabiłam wszystkich. Z premedytacją, na trzeźwo. Zła jestem do samego szpiku...

– Akurat o ojcu wiem. A o nim jednym nie powiesz, żeś go miłowała. Że cię rozpacz dusiła, gdy zmarł.

– Łajno wiesz. Udusiłam go. Powiesiłam na jego własnym sznurze, w jego własnej kopalni.

– Na jego własne żądanie. Gdy zbankrutował i kochanka go rzuciła. W szybie, cholera. – Twarz dziewczyny zeszywniała.

– Dlaczego tego nie dodasz? Że już martwego na powierzchnię wyciągnęłaś? Że ci z dołu krzyknął, by powolutku i ostrożnie ciągnąć, bo się ładunek sypie? Że się, sukinsyn, jeszcze ten raz tobą wysłużył, bo nie miał odwagi sam ze sobą skończyć?

– Skąd...?

– Nie pamiętasz? Na cmentarzu mieszkam. Plotki do mnie docierają, a tu plotek nie brakowało. I nie dziwota: teść ze śladami pętli na szyi, córka nieprzytomna chodzi, sama do siebie gada, zięć klnie się, że z zamku nosa nie wystawiła, a teść na łowach we wnyki się wplątał i jeno dlatego jeszcze nocą go do kopalni powieźli, że troszeczkę dychał i chcieli, by u siebie, na ojcowiznie ducha wyzionął. Sprawa śmierdziała na milę, nawet ciche dochodzenie przeprowadzono, ale że Krutz hrabia był, nikt nie śmiał jego słów kwestionować i na plotkach się skończyło. Ale jak było naprawdę, to mi wasz dozorca osobiście opowiedział. Słyszał, że mam do was złość, myślał, że coś mu skapnie, to przylazł i opowiedział, co się tamtej nocy działo.

– W nocy pracowaliście? – Debren posłał jej pytające spojrzenie. – We dwoje tylko? I już po ślubie z Krutzem?

Nie odpowiedziała. Zaciśnięte usta ułożyły się w bladą podkówkę. Nie patrzyła na nikogo.

– Stary łajdak popił przedtem – wyręczył ją Wilband – i zapomniał stróża zwolnić. O mówieniu szeptem też zapomniał. Więc wiem, co jej wmówił. Jeszcze na koniec swą złość dziewczynie na głowę wylał. Pokrzykiwał na biedaczkę, że to przez nią, że zbankrutował, bo za gołodupca wyszła. Że żony go pozbawiła, szans na potomstwo, a na koniec jeszcze i kopalni. Że się kurwi, zamiast o wnuka wystarać. A potem przeszedł do konkretów i powiedział, że musiał sam się z pyskaczami związkowcami użerać, bo ona go zostawiła, a że stary jest i nie czarodziej, to jednego z drugim, w nerwach, cichaczem z kuszy ustrzelił. W tym szybie mieli jakoby leżeć, ale szyb płytki, smród powoli w górę idzie i jak mu córka wyrodna nie pomoże, to znajdą szczątki, a jego powieszą. Potem zlazł na dół, niby to uwiązał do liny gnijącego związkowca i kazał powoli ciągnąć.

Przez jakiś czas było cicho. Debren, nie za mądrze, ale w pełni świadomie, pogładził lekko skalę.

Siedział dalej niż Wilband, ale chyba wyczuła. Drgnęła wyraźnie.

– Dozorca się nie liczy – stwierdził rzeczowo Zecheniasz. – Wiadomo: każdy stróż to pijak, nikt takiemu nie da wiary. Więc tym się nie musimy przejmować.

Posłała mu rozżalone spojrzenie. Wilband posłał złe.

– Niech cię szlag, Zecheniasz. O jednym tylko...

– To prawda – uśmiechnął się skromnie mnich. – Jedna mi tylko myśl przyświeca: Bogu i ludowi bożemu służyć. Cieszę się, żeś to w końcu spostrzegł.

– Wynoś się stąd – warknął rzeźbiarz. – Curdelio, podpisz mu tę cholerną darowiznę i otwieraj bramę. Mam go dość. A bez źródła też się obejdziemy.

Zecheniasz, ciut urażony, ale przede wszystkim radośnie zaskoczony, już wyciągał kałamarz.

Dziewczyna zawahała się, popatrzyła na Debrena. Magun też się wahał.

Ułatwiono mu decyzję.

– Hej, wy tam! – zahuczał donośny, choć stłumiony w tunelu bramy głos. – Podnosić bronę! Ale już!

Stali na wprost bramy: nadpodłudnik przodem, w rozkroku, ze wspartymi o biodra dłońmi, koń bokiem.

Dwie nieruchome sylwetki i dwa centralne elementy owych sylwetek, niewielkie na tle masywnych ciał, lecz zbyt dobrze widoczne, by dało się to uznać za przypadek. Debren natychmiast zrozumiał, w czym rzecz.

Wilband chyba też: skrzyp wózka urwał się tuż za narożnikiem mrocznego tunelu, wiodącego ku opuszczonej kracie. Debren podszedł dalej, pod samą bronę.

– Otwórz – powiedział spokojnie Boebbels, nie ruszając się z miejsca. – Urzędowo tu jestem.

Zawieszona obok wilkołaczego pyska mosiężne koło zdołał

herb miasta Kolbanc. Pas wzbogacił się o tubę na dokumenty, nieodłączny atrybut urzędnika na służbie. Debren przeniósł spojrzenie na konia. I to coś, przytroczone do siodła, a konkretnie – do pochwy na kuszę.

– To też... z urzędu?

Boebbels nie marnował czasu na oglądanie się. Nic dziwnego: kobieta do urodziwych nie należała. Nawet w lepszych czasach które, według pobieżnej oceny Debrena, skończyły się nie dalej niż klepsydrę temu. Bułanek był spocony, ale pokonał drogę na zamkowy szczyt w imponującym tempie: strzępy skóry zwisające z szyi były nadal bliższe barwą czerwieni niż brązom starych skrzepów. Z tyłu zwisało ich więcej. Czyli cios z przodu. Trudniejszy, ale dający większą satysfakcję – jeśli ktoś lubi zaglądać w oczy umierającym.

– A niby jak? – wzruszył szerokimi barami nadpodludnik. – Myślisz, że dla uciechy wożę ten łeb? Debren pokręcił głową. Nie myślał tak. Wyszczерzone, mocno popsute zęby, szkliste oczy, włosy wycięte nożem w pośpiechu, razem z kawałkami skóry. No i ten rzemień. Najstraszniejszy, bo przewleczony od ucha do ucha, przez środek odrąbanej głowy. Nie, nic uciechowego w tym widoku nie było.

– Dlaczego ją ogoliłeś? – zapytał cicho.

– Ze śledztwa mi wyszło, że Rimelówna parała się magią. Białą i bez zezwolenia. Mordowała też czarami. A ta – kciuk Boebbelsa wskazał konia – udzieliła jej pomocy. Daleko idącej. Za daleko idącą samemu się pod zbrodnicze czarownictwo podpada. Tom wiedźmie, jak się należy, kudły obciął. Oczami ze wstydu nie poświeci, to niech choć łysiną.

– Kto to jest? Był – poprawił się.

– Baba Indorów. A myślałeś, że kto? To cywilizowany kraj, Lelończyku, tu uczciwemu włos z głowy nie spada. A i głowa rzadko.

– Co innego pomocnikom czarownic? Można wiedzieć, na

czym owo pomaganie polegało?

– Wody jej trochę dali poprzednim razem. Otwórz bramę. Zakończmy to. Po co marnować czas? Z tyłu znów zaskrzypiał samojazd. Czy jak mu tam.

– Nie otwieraj! – W głosie Wilbanda pobrzmiwał słabo skrywany lęk. Bezrozumny: stojąc przy żelaznej kratownicy Debren miał na jej podnoszenie dokładnie taki sam wpływ jak nadpodludnik.

Dopiero kiedy wózek zatrzymał się u jego stóp, magun pomyślał, że okrzyk mógł być adresowany do kogoś, kto trochę wpływu na to ma.

– Widzisz, Lelończyku? – uśmiechnął się Boebbels. – Na tym polega problem z podludkami, półludkami i całą resztą tej bandy. Dasz palec, chwycą za rękę, a zaraz potem za gardło. Cóż to, Wilband? Magowi chcesz rozkazywać? Sprawdziłem go – przeniósł wzrok na Debrena. – Fachowiec musi być, nie byle wędrowny wydrwigrosz, skoro go do Frycfurdu na teleportnisko najęli.

– W teleportach pracujesz? – Wilband posłał w górę pełne szacunku i zdziwienia spojrzenie. – To co tu...? – Jeszcze jeden cudziorób, co naszym pracę odbiera – wzruszył ramionami nadpodludnik. – Ale co mi tam. Uczciwy Wehrleńczyk po niebie nie lata, bo go nie stać. A jak jakiś bankier-Pazrelita o ziemię wyrznie, bo nim niedouczony Lelończyk teleportował, to i dobrze. Więc nie mam nic przeciw temu, byś we Frycfurdzie majątku się dorabiał. Ale uważaj: nasz ksiązę z tamtejszym dobrze żyją i jak tu podpadniesz... Nie mówię o łamaniu prawa, bo na takich miecz mi wystarczy, ale o zwykłym okazywaniu nieżyczliwości. Która się, przykładowo, w nie dość szybkim otwieraniu bram przejawia. Więc uważaj.

Jeden list do Frycfurdu i nie masz roboty. Życiowa okazja ci przepada.

– Nie wejdiesz tu – rzucił głucho Wilband. – Niby na

jakiej podstawie?

– Jej zeznań. – Nadpodludnik wskazał przytroczoną do siodła głowę. – Niepodważalnych, bo dobrowolnych.

– Dobrowolnych? – parsknął szyderczo kamieniarz.

– A żebyś wiedział. Sama do mnie z lasu przykuśtykała. I zaczęła skamleć, bym na zamek jechał, wiedźmę ubił, co jej rodzinę wymordowała i splugawiła.

– Splugawiła? – Indorowa zeznała, że Rimelówna chciała cieleśnie spółkować z jej braćmi. I widzę – zerknął na drzewo z zaklinowanym w pniu trupem – że nie łągała.

– Chciała?! – oburzył się Wilband. Debren, korzystając; z faktu, że nadpodludnik nie patrzy, trącił go stopą w biodro, uciszył.

– To faktycznie przesada – powiedział szybko. – Hrabinie nie w głowie były takowe uciechy.

Umierała.

Boebbels przyjrzał mu się uważnie zza kraty.

– Czyli żyła – mruknął. – A teraz...

– Teraz nie żyje. – Debren wytrzymał spojrzenie, ale w głębi ducha cieszył się i z panującego pod wieżą cienia, i z żelaznych prętów, które ich odgradzały. – Dziwne, że ci Indorowa nie powiedziała: rozkład się już zaczął, kiedy ją naszli.

– Nie żyje? – Boebbels zmrużył oczy, choć słońce miał za plecami. – Na pewno? A mógłbym trupa...?

– Nie na pewno – przerwał mu łagodnie Debren. – W tym cały problem. Ten z broną – trącił pręt. I dopiero wtedy, wyjątkowo późno, powoli przeniósł spojrzenie na coś, co stało daleko za prawym ramieniem Wehrleńczyka. Boebbels odwracał się równie wolno. Sporo czasu poświęcił także na przyglądanie się wysokiemu na trzy łokcie przedmiotowi okrytemu koszulą. Debren miał czas opuścić dłoń, ścisnąć ramię Wilbanda. Mocno.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, Lelończyku...

– Martwi mnie – czarodziej znów wszedł mu spokojnie w słowo – że przekształcaniu odkształcanie towarzyszyło. Próbowwała petryfikację powstrzymać, nie wyszło. Tkanę ostatecznie zdegenerowała, zaśmierdła się i zmarła, to normalne. Ale zerknij na jej twarz. Albo piersi chociażby. – Boebbels nie skorzystał z rady: marszcząc brwi wpatrywał się podejrzliwie w inną twarz. Tę zza kraty. – Jak u podlotka. Istna rusalka. Z rysów też. Aż ślinka kapie. A hrabina musiała mieć krasnoluda wśród przodków i aż za dobrze było to widać. Nochal płaski, szeroki, masywne kości, piersi jak dynie...

– O czym ty gadasz? – warknął nadpodludnik. Wilband nie warczał tylko dlatego, że zatkało go z oburzenia.

– Że metamorfozę przeszła. Niby niewielki problem, gdy się już ktoś z człowieka w kamień zmienia. Struktura kostna początkowo mięknie. Jak się wychwyci moment i trochę czarów zna, można łatwo przefasonować i twarz, i co dusza zapragnie. Baba była, z natury swej próżna, więc i w samych motywach nic złego nie musi się kryć. Pstro w głowach wszystkie mają, nawet po śmierci chcą za piękne uchodzić. Ale ja tam nie zamierzam ryzykować. Znasz baśń o Śpiącej Królewnie?

– Znam – rzucił mu mroczne spojrzenie Boebbels. – I co z tego? Nic tam nie ma o...

– Pewnie w waszej wersji, wehrleńskiej. U nas, w Lelonii Mniejszej, trochę inna krąży. Pesymistyczna bardziej, życiu bliższa. Królewna, mianowicie, nie w sen, a w letarg zapada, i to po dobroci. Bo chora była, jej dni policzone, a współczesne lekarstwa, póki co, nie działały. To ją rodzina uśpiła. W nadziei, że doczeka lepszych czasów i ją postęp magiczny uratuje. Ożyć miała, gdy się w pocałunku wybawcy stosowne wapory ujawnią. A że urodą zanadto nie grzeszyła i nawet nekrofile za bardzo by na nią nie lecieli, dwie trzecie kosztów zabiegu na upiększenia poszło.

– Fakt – mruknął Wilband. – To nie nasza wersja.

– Za to ponoć na faktach oparta. Dziećmi nie jesteśmy, więc rzecz skrócę, by nie nudzić. Książę z waporami w końcu się znalazł i panna ożyła, ale nikt na tym dobrze nie wyszedł. Bo pochorowali się oboje: on ją zaraził nową mutacją choroby, ona jego starą odmianą. A nim zmarli, dziewczynie sztucznie podrasowana uroda całkiem się sypnęła i nieszczęsny ratownik nie mógł na nią patrzeć, o całowaniu nie mówiąc. Wesela nie było, zaś żyli krótko i nieszczęśliwie.

– Po co mi te bzdury opowiadasz? – zapytał ponuro Boebbels.

– By ci wyjaśnić, dlaczego my jesteśmy tu, a ona po tamtej stronie bramy. Porachuj sobie: czarownica, Pazrelitka i krasnoludka w dodatku. Jeśli ktoś miałby wykreślić jakiś paskudny numer ze wsteczną petryfikacją i zmartwychwstaniem, to właśnie taka baba. Nie zmożła klątwy, ale chyba niewiele jej brakowało, skoro trzy miesiące przeżyła. Całkiem możliwe, że nie dała za wygraną. Że gdzieś tam, pod tym marmurem kołacze się jakaś iskierka życia i jeno czeka na durnia, co się do całowania zabierze. Mówiłeś, że Indorów na chędożenie namawiała.

– A ty, że to bzdura – przypomniał przytomnie Boebbels. Debren wzruszył spokojnie ramionami.

– Bom się umieraniem zasugerował. Mało komu uciechy w głowie, gdy mu ciało żywcem gnije. Bo gniło.

– Wskazał kobiecą głowę przy siodle. – Słyszałeś chyba, jak okrutnie cuchnęła? – Nadpodludnik przytaknął odruchowo. – No właśnie. Ale teraz, gdy o zeznaniach Indorowej powiedziałaś, tom w innym świetle rzecz ujrzał. Bo owszem, nie w głowie jej było dudkanie. Ale ratowanie życia? Popatrz na nią, Boebbels. Czy tak, twoim zdaniem, wygląda po śmierci rozwiązła krasnoludzka baba? Nadpodludnik zawahał się. A potem sięgnął nad ramię, wyjął miecz. Debren nadał nie miał pewności.

Tamten stał za daleko, ale przy odrobinie szczęścia

i przysłowiowej biesiarskiej szybkości... No i nie on musiał być celem. Wózki beznogich nie potrafią odskakiwać.

Boebbels nie zaatakował. Podszedł do owiniętego workiem przedmiotu, uniósł ostrzem koszulę. Opadła, ukazując różową sylwetkę rusałki.

Było tak cicho, że Debren wyraźnie słyszał, jak trudno przychodzi Wilbandowi przełykanie śliny.

– Może to jeno niewieścia próżność – westchnął. – Ale wcale się nie zdziwię, jak się okaże, że coś więcej. Do czarów dziwnych rzeczy niekiedy potrzeba. Może być tak, że zmarła, bo jej paru kropel ludzkiej śliny zabrakło. Albo nasienia. Albo krwi czy, dajmy na to, oddechu. To typowe katalizatory biologicznych przemian. Pocałujesz taką, po cycku pogładszisz... a zauważ, że celowo jeden obnażyła... i czort wie, co się stanie.

Boebbels obszedł rusałkę dookoła. Powoli, co nie wróżyło dobrze. I ostrożnie, co z kolei nastrajało optymistycznie. Nie dotykał jej, nawet klingą. Wieńczące oględziny splunięcie też wymierzone było w odległy kawałek drogi, nie w posązek.

– Nie słyszałem, by ktoś tak... – mruknął.

– Ja też – wyznał bez oporu Debren. – Alem na własne oczy widział, jak z niej to szare łajno złazi i się w ów cudny róż zmienia. Jak po trochu pięknieje i się z potworzycy w śliczną, ponętą dziewczynę zmienia. Z suki nieomal w aniołka. I jedno wam powiem, panie nadpodludniku: za cholere bym jej teraz nie pocałował czy po zadku nie pomacał, choć i usta, i tyłek ma takie, że daj Boże każdej żonie. A wiecie, czemu się powstrzymuję?

– Czemu? – zapytał za Boebbelsa Wilband. Debren spojrzął w dół, uśmiechnął się niewesoło.

– Bo święcie wierzę, że ktoś, kto to zrobi, wpakuje się w cholerne kłopoty. Naprawdę cholerne.

Sam czuł, jaka głębia przekonania pobrzmiwa w jego głosie. Szczerłość bazowała w dużej mierze na goryczy, ale

właśnie dlatego nadpodludnik uwierzył.

– Co może zrobić? – Boebbels schował miecz, podszedł do konia, wyciągnął okute rękawice. – Ożyć? – Sama z siebie raczej nie – powiedział Debren lekko spowolnionym głosem. Zafascynowany przyglądał się, jak tamten naciąga rękawice, podchodzi do rzeźby, ostrożnie owija ją koszulą. – Ale uważać trzeba. Ja zwłaszcza. Czarownica co poniekądora moc potrafi wyssać. Zwykłemu śmiertelnikowi tym nie zaszkodzi, ale jak na magika trafi... Dlatego wołałem za bramę ją wystawić. Warn też nie radzę... co właściwie robicie?

– Zabieram ciało.

– Co? – Wilband drgnął. – Przecież... to my...

– Nie zarobicie na pochówku – rzucił mu krzywy uśmiech nadpodludnik. – Ścierwa czarownic paleniu podlegają. I skupowi – dodał z krzywym uśmiechem. – Tak mówi prawo.

Wyciągnął kawałek linki spod półkropierza, zręcznie związał pętlę, zarzucił rusałce na szyję.

Zaciśnięte na kracie palce Wilbanda pobieleły. Debren, znacznie dyskretniej choć niewiele lżej, ścisnął jego ramię.

– Robicie błąd, panie Boebbels – oznajmił. – Kamienia się nie pali. Wlec ją chcecie? A jak nie śliny czy krwi jej brakuje do czarowania, a po prostu odrobiny substancji organicznej? Mało to koni paskudzi na trakt? Albo i podróźnych, zbyt leniwych albo pijanych, by w krzaki chodzić? Nie wiemy, czego potrzeba, by ożyła. Nie wolno ryzykować. To nietypowy przypadek i najlepiej będzie, jak zgodnie ze zleceniem pochowamy zwłoki tu, z dala od ludzi i w porządnym kamiennym grobowcu.

Nadpodludnik nie słuchał. Wiązał sznur do siodła.

– I on w to uwierzył? – Curdelia przyglądała im się nieufnie. – Że jakiś głupi kamień...? – Bo sam niewiele mądrzejszy – wzruszył ramionami Zecheniasz. – Trzy stopy

miała. Ślepy by się poznał.

– Prawie trzy łokcie – mruknął wyraźnie przygaszony Wilband. – Z podstawą wprawdzie, ale jakby samą mierzyć, to prawie cztery stopy będzie. Może palca braknie.

– Mnie pół brakuje do czterech – przypomniała czarownica.
– Więc prawie idealnie utrafiłeś. Ale...

– Przypadkiem! – przerwał jej z zaskakującą gwałtownością. Zaczerwienił się pod wpływem trojga zdziwionych spojrzeń i równie szybko dopowiedział: – Toć nigdy cię na oczy nie widziałem.

Osiągnął jedną trzecią sukcesu: Zecheniasz przestał się w niego wpatrywać. Nie zamilkł jednak.

– Widać, żeś nie widział. Bo jedna do drugiej całkiem niepodobna. Z tamtej aniołek istny, dziewczica panieneczka jak z obrazka. Nosek maleńki, biuścik...

Urwał, może pod wpływem dziwnie beznamiętnego spojrzenia hrabiny.

– Typ urody jest nieco inny – wtrącił się pospiesznie Debren. – Mniej... dojrzały. Ale...

– Boebbels pamięta mnie z młodych lat? – weszła mu w słowo. – Na to bym nie liczyła. Owszem, smarkata byłam, ale właśnie przez tę smarkatość... Jak przyjechał zbadać, czy przy okazji ratowania płodu do potworności nie doszło, to mama już umierała, a ja bez przerwy ryczałam. Z nosa też mi na okrągło ciekło, choć głównie z oczu. Pamiętam, że do muchomora go przyrównał.

– Głupio – wyraził opinię Zecheniasz. – Jak czerwone i cieknie, to raczej pomidor. Rozdeptany. No, chyba że o pryszczę mu szło, bo skoroś młodziutka była...

– Rozdeptany pomidor – wywarczał Wilband – to ja tobie zaraz...

– Nie roztrząsajmy tej kwestii – zaproponowała lekko smętna Curdelia – bo zbyt łatwo się z niej na natrząsanie ześliznąć. Ustalmy po prostu, czy była do mnie podobna.

– Tak – powiedział Wilband.

– Nie – stwierdził równie stanowczo Debren.

Przez chwilę było cicho. Różne osoby przyglądały się innym ze zdziwieniem.

– Zdecydujcie się – mruknęła dziewczyna.

– No... właściwie to tak – zmienił zdanie Debren.

– Nie – westchnął Wilband.

– Jeszcze raz się zdecydujcie – zasugerowała.

– Jak się dobrze przyjrzeć... W układzie ust, spojrzeniu... I tak dumnie głowę trzyma... Z ducha jesteście podobne – argumentował nie bardzo składnie, choć z przekonaniem magun.

– Nie oszukujmy się – wzruszył ramionami kamieniarz. – Jest piękna i tylko to je łączy.

Znów było cicho przez chwilę. Ale tym razem wyłącznie z powodu Curdelii. Ona jedna wyglądała na zdziwioną. I sądząc po barwie twarzy – speszoną.

– Łączy? – wyszeptła. Wilband nie odpowiedział. Barwa spłynęła niżej, głęboko w dekolot.

– To bez znaczenia. – Debren postanowił interweniować. Wyjaśnił pokrótce, jaką to bajeczką uraczył Boebbelsa, po czym podsumował: – Ale i tak mamy mało czasu. Nie więcej niż dzień.

– Dlaczego? – zaniepokoił się Zecheniasz.

– Bo ciała czarownic podlegają skupowi. A tym samym dokładnym oględzinom.

– Mało czasu na co? – zapytał cicho Wilband.

– Ty na szybką przeprowadzkę – powiedział bez ogródek Debren. – Doradzam Marimal: blisko, a artystów cenią wyżej niż tu. Zwłaszcza zaś takich.

– Jakich? – zmarszczyła brwi Curdelia. – Że niby nóg nie ma? Nie łokciami się mierzy...

– Znających się na kobietach – przerwał jej. – Żałuj, że rusalki nie widziałaś. Była naprawdę cudna.

– Była? Debren wzruszył ramionami, popatrzył ze smutkiem na kamieniarza.

– Znam ten typ człowieka. Wścieknie się i pierwszą złość na niej wyładuje. Przykro mi, Wilband, ale nie miałem wyboru: albo ona, albo my. Boebbels nie odjechałby bez trupa czarownicy.

Wilband nie patrzył na nikogo.

– Zostanę – oznajmił.

– Dlaczego miałby cię ścigać? – zaniepokoila się trochę bardziej już i tak niespokojna Curdelia. – To Debren mu nakłamał. A posążka najwyraźniej nie widział wcześniej. Nie wie, że jest twój.

– To się dowie. Na podstawie, od dołu... Napis jest po illeńsku, ale Kolbanc to duże miasto.

Znajdzie się ktoś, kto mu bukwy na runy przełoży. Nie musi nawet znać illeńskiego: podpis wystarczy, treść i tak bez znaczenia. – Na zamówienie kuleś?

– zainteresował się Zecheniasz. I zmarszczył brwi. – Czekać: po illeńsku? Mam nadzieję... Jak to do lewokołecznej świątyni, toś cholernie nagrzeszył. Goły cycek jeszcze ci Bóg daruje, ale...

– Nie na zamówienie – powiedział Debren.

Wilband posłał mu szybkie, trochę zalęknione spojrzenie.

Odpowiedział cieniem uśmiechu. – Dla siebie.

– A napis? – upomniała się Curdelia. – Coś tam napisał, poza imieniem? I dlaczego zachodnimi runami?

– Żart taki – jeszcze raz wyręczył kamieniarza Debren. – Z jednego mitu wzięty. Mniejsza o to. Ważne, że z żartu jeden więcej pogrzeb może się zrobić. Więc spakuj co się da na samojazd i jedź na wschód tak szybko, jak potrafisz. Bo czort wie, kiedy się Boebbels podstawie przyjrzy. Na poliglotę mi nie wygląda, ale sam fakt, że zamieniona w kamień baba ma bukwy pod stopami, może mu się mocno nie spodobać. A konia ma dobrego.

– Nie zostawię jej – powiedział spokojnie Wilband, patrząc mu ponuro w twarz. – Mam sądowy wyrok na rekompensatę w naturze i na krok się z tego zamku nie ruszę. Nic nie mów – rzucił gospodyni ostrzegawcze spojrzenie. – Jak się od tej skały odkleisz i będziesz mnie mogła za bramę wykopać, to proszę bardzo.

– On cię zabije. – W jej głosie brzmiało przede wszystkim niezrozumienie.

– O Debrena się martw i Zecheniasza. Po sześć stóp prawie mają, to i dwa razy więcej do stracenia.

– Ja wyjeżdżam – oznajmił mnich. – Skoro Debren zostaje, to proponuję, by na jego mule. Szybciej odsiecz wam zorganizuję, a jakby co, to mszę i pogrzeb.

– Skoro Debren zostaje? – powtórzyła. Czarodziej uśmiechnął się, lekko zakłopotany.

– Nie jest tak, jak ci się wydaje – powiedział. – Bezrozumne ryzykanctwo to domena rycerza, nie maga. Nie zakochuj się we mnie z wdzięczności, że ci życie ratuję. Bo też prawdopodobnie nie tyle uratuję, co skrócę.

– O czym mówisz? – Ręka Wilbanda sama sięgnęła po młot. Ten największy.

– Znalazłem w jednej z mych ksiąg opis kuracji podobnego przypadku. Tyle że stary, z pogranicza starożytności i wczesnego wczesnowiecza. Czyli marny. Ogólny regres wtenczas nastąpił, i w medycynie, i w magii, a i z pisaniem nie bardzo niektórym szło, więc mało fachowo rzecz relacjonują. Ale księga jest nowoczesna i redagowana przez niebyle kogo, bo samego Berklana. Wiarygodna, znaczy, jak artykuł w „Róždźce”.

– No i? – Curdelia czekała na haczyk.

– Nic tam nie ma o znieczuleniu. Żadnego opisu użytych eliksirów, zaklęć... Anestezjologia i w starożytnej Żuli ledwie raczkowała, a gdy barbarzyńcy Cesarstwo obalili, to całkiem jej się zdechło.

– I dobrze, bo z pogańskich praktyk się wywodziła. Modlitwa dużo skuteczniej...

– Nic lepiej nie mów, bracie – poradził zakonnikowi Debren. – Bo akurat opis owego przypadku... No, ogłędnie mówiąc, czegoś odwrotnego dowodzi.

– Niby czego? – Zecheniasz nie skorzystał z rady.

– To bez znaczenia. Nie traćmy czasu. Jeśli zgodzisz się zaryzykować i zostać trochę dłużej, bądź tak dobry i poszukaj dla mnie w lesie paru ziół. Dam ci zielnik z dobrymi rycinami. A ty, Wilband, skoro zostajesz, przejrzyj kuchnię i zobacz, czy nie da się części na alembik uzbierać. Wiesz, co to...?

– Z grabarzem – przerwał mu Wilband – koniakówkę z jeżyn pędzimy, co wokół cmentarza rosną. Wielce udana, choć niektórzy mówią, że trupem zajeżdża. Wiem, co to alembik. Jeno nie wiem, z czego ty chcesz pędzić. I po co, skoro w piwnicy jeszcze ćwierć beczki wina zostało.

– Chcesz ją nalewką na ziołach znieczulać? – domyślił się Zecheniasz. – No, toś mi decyzję ułatwił. Do żadnego lasu nie idę. Nie dość, że las na stoku i kark można skręcić bez nijakiej dla Kościoła korzyści, to jeszcze cel bezbożny. Nawet najgłupszy kleryk ci powie, że do ostatniej spowiedzi trzeba na trzeźwo przystępować.

– Mogę się teraz wyspowiadać – zaproponowała Curdelia. – Będzie z głowy.

– Nie zalecam. Przy innej oczu bym przymknął, ale ty sama przyznajesz, że serce masz z kamienia. Czynem już nie bardzo możesz, ale myślą i słowem, jak widzę, potrafisz w pół pacierza na rok czyśćca nagrzeszyć. A jak popijesz, to i na więcej. Może się nawet na piekło uzbierać.

– Nie będę jej tym poił – uspokoił go Debren. – To znaczy ziołami owszem, ale nie destylatem.

Destylat w szpary pójdzie. W kamieniu – dodał szybko, widząc ze dwie pary uniesionych brwi i co najmniej jeden załazek rumieńca. Nie niewieściego bynajmniej. – Jeśli

Curdelia się zgodzi, chcę zabiegu spróbować. A właściwie zbadać, jak pacjentka na ewentualny zabieg zareaguje. Bo całego to oczywiście... Z tych dwanaściorga opisanych w księdze jedno tylko przeżyło. Także dlatego, że tylko jedno odpowiednio długo i powoli ratowano.

– Chcesz ją... – Wilband zbladł równie szybko, jak się zaczerwienił – powoli... kroić? Dziewczyna przełknęła ślinę. To wszystko.

– Jak powoli? – zapytał rzeczowo Zecheniasz.

– Tamten złodziej dopiero po czternastu miesiącach... Ale przeżył. Chodził później, żył normalnie.

Mógłbym... spróbować.

– Złodziej? Marnowali takie drogie czary na byle rabusia? – Zakłęcie było jedno, hurtowe, więc go pewnie przy okazji dorzucili, w wolne miejsce przy miejskiej bramie. Bo głównymi skazanymi duchowni byli. – Zecheniasz przeżegnał się zamasyście. – Mówiłem przecież: początek wczesnowiecza. W Żuli rzecz się dzieła, a plemię Gburrów, które ją aktualnie łupiło, nie nawróciło się jeszcze i miało uzasadnione pretensje do Kościoła, że wiernych do oporu wzywał. Więc urządzili pokazówkę. Oficer cesarski poszedł pod ścianę, ten złodziej, że niby pod władzą barbarzyńców w końcu porządek nastanie, jakiś polityk, ale przede wszystkim osoby duchowne. Mniszki, księża... Nikt wysoko w hierarchii ustawiony, więc do kronik kościelnych incydent nie trafił. Ale do medycznych owszem. Bo się udało jednego skazańca uratować.

– Jak? – zapytał krótko Wilband. Debren zawahał się, popatrzył niepewnie na dziewczynę. Wyglądała na dużo spokojniejszą. Cóż: serce z kamienia. Dżuma i syfilis. Gdyby tak naprawdę z kamienia...

Tyle że wtedy nie byłoby go już tutaj. Wciąż miał przed oczyma zawieszoną przy siodle kobiecą głowę.

– Spróbuj przedestylować wino – powiedział cicho. – A ty,

Zecheniasz, idź po zioła albo zabieraj się stąd. Muszę porozmawiać z pacjentką.

– Najpierw podpis – przypomniał zakonnik. – A i wtedy... Ile razy mam przypominać, jaka to ważna sprawa? Jeden drobiazg przeoczę i Viplan się wyludni. Ani historia, ani Kościół nie wybaczyliby mi, gdybym wyjechał, nie upewniwszy się, że wszystko pójdzie dobrze.

– Jedziemy na jednej furze – oznajmił równie twardo Wilband. – Jak Boebbels wcześniej zawróci, wszystkich nas jednako wysiecie.

Debren poszukał wsparcia u dziewczyny. Nie znalazł.

– No dobrze – westchnął ciężko. – Zwłaszcza... No, po prawdzie, to i tak musiałbym was o pomoc poprosić, gdyby się Curdelia jakimś cudem zgodziła. Bo ja... To znaczy niby teoretycznie mógłbym... w pewnym sensie...

– Mamy mało czasu – przypomniała. – Nie kręć.

– To aż tak boli? – Zaciśnięte na dźwigni silnika palce Wilbanda pobielały. – Aż cudu trzeba, by...?

– Wytrzymam – zapewniła Curdelia wyraźnie drżącym głosem. – Od dziecka mnie leją, ból mi niestraszny.

Ale właśnie dlatego, że od dziecka, tam, pod maską opanowania, była przerażona. Maską trzymała dobrze, tyle że miała otwory na oczy.

– Wódz Gburrów nie bronił Zulijczykom ratowania swoich – powiedział cicho Debren. – Im dłużej żyli, tym większa korzyść dla karzącego. Więc choć straż stała obok, dopuszczano każdego chętnego, nawet czarodzieja. Pierwszą szóstkę właśnie czarodzieje wykończyli, bez powodzenia antyzaklęć próbując. Dopiero wtedy Gburrowie cenzurę zaprowadzili, znaczy przymusową konsultację leczącego z ich najwyższym szamanem, by deficytowych skazańców głupio i niepotrzebnie nie marnować. Do dzieła przystąpili medycy. I kowale.

– Ko... – Curdelia musiała przełknąć ślinę. – Kowale? –

Medyk wkładał deskę między zęby i pokazywał, gdzie walić, a kowal walił. Że o duchownych głównie szło, asystowało jeszcze paru mocnych w modlitwie braci, kaznodzieja i spowiednik. Mieli podnosić na duchu operowanego i redukować mu cierpienia modlitwą do znośnego poziomu. Ale jakoś nie pomagało. Wszyscy poddawani zabiegom umierali. Od wstrząsu właśnie.

– Partaczy widać do modlitw wzięli – wzruszył ramionami Zecheniasz.

– Widać tak – zgodził się Debren.

– A złodziej? – upomniał się Wilband. – Jak przeżył? – Wolisz wersję romantyczną czy życiową?

– Zaczniemy od romantycznej – odpowiedziała za kamieniarza Curdelia. – Co, nawrócił się na cnotę? – Romantyczna jest taka, że miłość go ocaliła. Uśmiechnęła się blado.

– No, to ten wariant mamy z głowy. Mnie nikt nie miłuje. Wątpię, czy jest ktoś, kto choćby lubił.

– Fizyczna miłość – dopowiedział Debren, oblekając twarz w beznamiętną maskę fachowca.

– Fizyczna? – Zecheniasz poruszył się niespokojnie.

– Całowała go przy tej bramie? – zdziwiła się Curdelia. – Na oczach ludzi? We wczesnowieczu? – Żuła padła, więc formalnie wczesnowiecz nastąpił, ale w umysłach gapiów... No, krótko mówiąc, miał chłop szczęście w nieszczęściu. Pokolenie później nie przeżyłby kuracji. Na baby mógłby sobie najwyżej popatrzeć.

– Jak komuś pocałunek ukochanej za znieczulenie wystarcza – powiedział cicho Wilband – to może i sam widok by starczył. Nie taka wielka już różnica.

Debren odniósł wrażenie, że próbuje kogoś przekonać. Chyba samego siebie. I chyba bezskutecznie.

– Durnyś – skomentował zakonnik. – Z patrzenia nie trzeba się spowiadać, chyba że ubiór niekompletny

i o podglądactwo rzecz zahacza. A z całowania...

– Ten wariant też mamy z głowy – rzuciła cierpko Curdelia.

– Patrzenie czy całowanie... Jedno i drugie tak naprawdę ducha dotyczy, nie cielesności. Samemu trzeba się mocno w pocieszycielu kochać, by choć trochę bólu takowe duchowe obcowanie odjęło. A ja nikogo nie kocham. Serce mam z kamienia, przypominam. Nie wiem, po co nam zawracasz...

– To była starożytna Żuła – przerwał jej spokojnie Debren.

– Złodziej nie miał żony. Ale miał dużo srebra, bo dobrze kradł. Więc najmował najlepsze w mieście kurtyzany. Nie wiem, może go i całowały. Ale nie za to im płacił. I nie dlatego kolejne zabiegi tłumi gapiów gromadziły. W chwili najwyższego uniesienia kowal walił młotem. Złodziejowi zdarzało się zemdleć, jednak kurację przeżył.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Zecheniasz nawet nie próbował się zegnać. Wyglądał jak rażony obuchem.

– Wiem, jak to brzmi – mruknął magun. – Ale to jedyny opisany przypadek. Nawet wśród temmozan ledwie paru takich żyje, którzy potrafią kogoś tak jak ciebie, nie zabijając... A o usuwającym zakłęcie tom w ogóle nie słyszał. Rzadki przypadek, żaden poważny mistrz nie poświęci lat, by coś takiego badać. Z braku obiektów choćby. Więc tak sobie pomyślałem... Gdybyś próbę przeżyła, to potem bez trudu znajdzie się czarodziej, gotów przy paru zabiegach asystować. Za darmo, ze zwykłej ciekawości.

– Co konkretnie proponujesz? – pozbierała się w końcu. – Mów bez ogródek. Wdowa jestem. Chleb, można rzec, z jednego tylko pieca jadłam, ale za to ten piec...

Zecheniasz i Wilband nadal milczeli.

– Ta skała – Debren musnął szorstki kamień – to teraz po części ty. Jeśli ją zdrowo grzmotnąć i pęknie na dużej powierzchni, impuls pójdzie po nerwach i wstrząs cię zabije. Jeśli drążyć powoli, efekt będzie podobny. To jak dłubanie na

okrągło w ranie; nikt na dłuższą metę nie wytrzyma. Niewiadomych jest mnóstwo, ale gdyby to o moją... no, kogoś ważnego dla mnie chodziło, zastosowałbym ową złodziejską kurację.

– Chybaś rozum postradał – wykrztusił Zecheniasz.

– Można oczywiście próbować klasycznych środków. Dlatego prosiłem o zioła. Ale akurat tamte komórki czuciowe, o które się boję, są na bazie kamienia. Może jakiś fachowiec od golemów potrafi znieczulać kamień. Tyle że eksperymentowanie z goleniami prawie wszędzie zdelegalizowano i ze świecą takiego fachowca szukać. Lata miną, nim się stosowną kurację obmyśli i przetestuje. A ty nie masz lat, Curdelio. Z tamtej dwunastki jednej mniszki nie ratowano, bo zgody nie wyraziła. Stąd wiadomo, że i u żywego nie leczona petryfikacja postępuje. Ofiara stopniowo coraz mocniej kamienieje, aż w końcu... No, krótko mówiąc, mimo troskliwej opieki nie dożyła nawet uwolnienia złodzieja.

– Co to znaczy? – zapytał cicho Wilband.

– Ludzie są różni, ale biorąc pod uwagę, ile tamten wycierpiał... Wygląda na to, że kuracja, nawet jeśli nie doprowadziła jeszcze do rozłączenia pacjenta i skały, hamuje rozwój choroby. Co się da racjonalnie wytłumaczyć. Każde rąbnięcie młotem narusza strukturę kamienia, niszczy część sieci nerwowej. Jeśli nie zabije, to system przystępuje do regeneracji. A ta jest zawsze bardzo energochłonna. O energii magicznej mówię, tej czerpanej z klątwy. Moc zaklęcia, zamiast, przykładowo, zmieniać w kamień wątrobę czy kolejne mięśnie, zużywa się na naprawy tego, co zniszczono.

– Jeśli chodzi o przegnanie z organizmu złych mocy – rzucił gniewnie Zecheniasz – to starczy wodą święconą lać. Owszem: dużymi ilościami. Mogą być problemy z zakupem takowych. Ale nie pozwolę...

– To moja wątroba – warknęła Curdelia.

– Ciało ludzkie – poparł ją Wilband – do właściciela należy

i nikogo więcej.

– Łajno prawda! – sprzeciwił się zakonnik. – Były precedensy! Ojciec Ojców z paroma władcami poufne konkordaty zawarł o objęciu państwowo-kościelną kontrolą niewieścich organów rodnych.

– W czasie Wojny Globalnej – zwrócił mu uwagę Debren. – Gdy o rekruta wszystkim szło, a antykoncepcja pod sabotaż podpadała. I lepiej nie powołuj się na ów precedens, bo owi władcy... Akurat najwięksi, najbardziej agresywni łajdacy z Zulą się wtedy dogadali. A potem ci, co przeżyli, szybko się wycofali z umów. Bo jeden z powrotem przeszedł na ateizm naukowy, drugi wystraszył się demokracji, za którą mogły optować oburzone baby, a inny znów perspektywy wprowadzenia dziewięciny pod pretekstem, że dotychczasowe finanse Kościoła nie zniosą takowej masowej kontroli.

– Niech wam będzie – zmienił front Zecheniasz. – Z ciałem Curdelia może robić, co chce. Ale już nie z jego otoczeniem, choćby i ekstremalnie bezpośrednim.

– Co masz na myśli? – zmarszczyła brwi.

– Że ci się tu chędożyć nie zezwolę! – wrzasnął. – Po moim trupie! Pierwszy z brzegu jurysta mi akt darowizny czy testament podważy, jak go byle zdzira podpisze! Wilband chwycił za młot. Debren – Wilbanda za rękę. Oburącz, ale chyba podzieliliby los młota, gdyby nie interwencja Curdelii.

– Dość! – warknęła. Cała trójka znieruchomiała. – To mój zamek, póki co! A tam jest brama! Podziała. Siedzieli grzecznie, czekając, aż znikną bruzdy przecinające jej czoło.

– Jak sobie wyobrażasz kurację, Debren? Co miałabym robić? – zapytała po chwili.

Czarodziej uśmiechnął się blado.

– Ty? Niewiele. Wytrzymać ból.

– Zaiste niewiele. – Odpowiedziała podobnym uśmiechem.

– Tylko jak? – A tu akurat wymagania są ogromne. Złodziejowi łatwiej było. Raz, że starożytny Zulijczyk, więc

moralność miał całkiem inną. Dwa, że mężczyzna. W kwestiach miłowania... no, też inni jesteśmy od was. To znaczy... tak sędzę. – Poczul ciepło na twarzy, ale dokończył odważnie: – Nie mam wielkiej praktyki w tej dziedzinie.

– Ale dobrze mówisz – poparł go nieoczekiwanie Zecheniasz. – Niewiastę Bóg później stworzył, więc choć z natury gorsza, to pod tym względem akurat ulepszona. Rzadko zdarza jej się zwierzęcym instynktom ulegać i bez miłowania duchowego cielesnemu się oddawać.

– Chyba że w zamtuzie – mruknęła Curdelia.

– Miałem na myśli miłowanie rozkosz dające – wyjaśnił spokojnie. – Bo to, jak rozumiem, Debren próbuje ci zaordynować. Nic z tego nie będzie, chłopcze. Ożeń się i z żoną porozmawiaj, nim zaczniesz głupich rad zdezorientowanym wdowom udzielać. Może ci żona wyjaśni, że niezbędnym warunkiem, by niewiasta spełnienia doznała, jest wcześniejsze zakochanie się.

– Pewien jesteś? – uśmiechnęła się kpiąco. Ale chyba nie tylko Debren dostrzegł skryte pod kpiną wątpliwości. Za dużo ich było. – Jak tak szczerze rozmawiamy, to ci powiem, że pod koniec już ani trochę Krutza nie kochałam. I parę razy prawie... a raz to już właściwie pewna jestem, że chyba... no, doznałam.

– Chyba? – powtórzył lekko zaszokowany Debren.

– Raz? – Wilband z wysiłkiem przełknął ślinę. Dopiero teraz dziewczyna zrobiła się tak czerwona, jak wypadało.

– Nie o moim małżeństwie tu... To poważna rozmowa o medycynie, więc bez głupich... Debren, na czym skończyłeś?

– No... po prawdzie to na tym, od czego Zecheniasz zaczął. Magunowie głównie czarną magią się parają, tą na konkretach opartą, ale duchowości bynajmniej nie lekceważymy. Więc muszę przyznać, że bez zakochania niewieście faktycznie może być trudno...

– Myślisz o oschłości? – pokiwała domyślnie głową.

– He? No... w pewnym sensie.

– Poradziliśmy sobie z tym w końcu. – Umknęła skromnie ze spojrzeniem. – Pewnie dlatego, choć miłości już nie było, to miłowanie zaczęło nam lepiej wychodzić, odkąd pewna pomocnica, no wiecie, z tych, co to je Krutz z zamtuza sprowadzał...

– Nie chcę tego słuchać – oświadczył Zecheniasz.

– Nikt nie chce – warknął Wilband. – Ale tu o jej życie chodzi.

– A konkretnie: o przyjemność – nazwał rzeczy po imieniu Debren. – Idź lepiej po zioła, Zecheniasz, bo muszę parę naprawdę drastycznych pytań zadać.

– Zdzierzę jakoś.

– Jak chcesz. Curdelio... Dobrze zrozumiałem, że ci trzecia osoba... no, nie przeszkadzała w trakcie...?

– Za zбочoną mnie masz? – zapytała raczej z wyrzutem niż oburzeniem. – Pewnie, że przeszkadzała. Ale co miałam robić?

– Pogonić dzirę – oświecił ją Zecheniasz.

– Bądź konsekwentny. Bez pomocnicy Krutz nie dotarłby dostatecznie daleko, a bez tego nie mogłam nawet zamarzyć o dzieciach. A chcę mieć dzieci. Bardzo.

Argument był celny i mnich zasznurował usta. Debren niestety nie mógł.

– To znaczy... – ostrożnie dobierał słowa – mam rozumieć, że większą... eee... satysfakcję byś odczuła, gdyby zabiegowi towarzyszyła myśl, że ubocznym efektem owego zabiegu może być... no, macierzyństwo?

– O co ci chodzi? – nie rozumiała.

– No... pewne uwarunkowania natury geometrycznej...

Chyba wszyscy zrozumieli, bo wszyscy zgodnie popatrzyli gdzie trzeba. W rejon styku skały pionowej, skały poziomej i dziewczęcych bioder.

– Znam uwarunkowania – mruknęła. – I dlatego właśnie

nie rozumiem, czemu o macierzyństwie mówisz.

Przecież... Gdybyś miał mi... no, pomagać... Czarodzieje ręce mają zręczne i prawdziwe cuda nimi wyczyniają, alem nie słyszała... Chyba że inseminatora chcesz dla mnie sprowadzić, jak dla jakiejś rasowej...

– Tfu, ohyda – skrzywił się Zecheniasz. – I ty chciałaś się na zapas spowiadać? Nieszczęsna, twoje myśli są tak plugawe, że...

– Zamknij się – rzucił sucho Debren. – Masz rację, Curdelio. Też nie słyszałem, by jakiś czarodziej wpadł na pomysł, by rąk do tego używać. Po jaką cholere, skoro jest sposób sprawdzony i dużo przyjemniejszy. I o takim właśnie sposobie myślałem. Klasycznym.

Zerknęła na niego spod długich rzęs. Potem, lekkim zezem, na Zecheniasza. Na Wilbanda nie.

Debren nagle zrozumiał. I poczuł ulgę, choć niby nie powinno się odczuwać ulgi, gdy człowiek odkrywa, jak długo robił z siebie głupca. Dżuma i syfilis. Chodziło jej to po głowie, zanim jeszcze wspomniał o Gburrach, Żuli i metodzie „na złodzieja”.

– Czyli – powiedziała z leciutkim uśmiechem, ciut kpiącym, trochę nerwowym – to nie siebie widziałeś w roli kojącego ból?

– Dlaczego nie? – mruknął Wilband, który też starał się nie patrzeć nikomu w oczy. – Czarodzieje cuda nie tylko z rękoma wyczyniają. Słyszałem o jednym, co się do siedmiu stóp potrafił rozciągać, choć sam ledwie pięć liczył. A znowuż akrobaci, całkiem zwyczajni, wcale się magią nie wspomagający, nogi na karku potrafią spleść i tak parę pacierzy wytrzymać.

– Proporcja siedem z pięciu tu nie wystarczy. – Debren wziął przykład z obecnych i też zaczął gapić się to na skałę, to na koła wilbandowego wózka. – Ani, jak sądzę, wytrzymywanie paru pacierzy.

– Ani życzliwość i dobre serce – dopowiedziała Curdelia. Obaj zmienili zdanie, unieśli wzrok.

Uśmiechała się nadal, choć z kpiny nic nie zostało. – Nie patrz tak, Debren. Tyle możesz mi dać, nie więcej. Jak studiowałeś te gburrskie paskudztwa, pogawędziliśmy trochę z Zecheniaszem.

Powiedział mi o tej twojej gęsiareczce.

– Co? – Poczul, że czerwienieje.

– Dla dobra was obojga – wyjaśnił spokojnie zakonnik. – Albo i trojga, bo nie wolno zapominać i o owej hodowczynie drobiu. Już ci tłumaczyłem, Debren: jedź i się z niążeń. A póki co, ciężkie zakochanie deklaruje, by niewiasty złudzeń nie miały, a ty pokus. Słabość hrabiny ode Dopschpick do uciech cielesnych powszechnie jest znana, więc pozwoliłem sobie wyjaśnić jej, że względem naszej trójki nie powinna nijakich planów czynić. A konkretnie dwójki – dodał, rzucając wymowne spojrzenie na miejsce, gdzie ten trzeci miał powietrze zamiast nóg. Przez dłuższy czas panowało milczenie.

Wilband gapił się ponuro w ziemię.

– Nic by z tego nie wyszło – powiedziała Curdelia tonem pocieszenia. – Żeby taki wielki ból pokonać... Moc leku musi być proporcjonalna do bólu. Zapomnieć bym się musiała. Jak to w romansach piszą: świat musiałby się pode mną zatrzęść. A tego mi nie dasz. – Zamilkła na chwilę. – No i ktoś musi zabieg przeprowadzać.

– To nie tak. Asysta czarodzieja nie jest potrzebna bez przerwy. Lepiej, by był obok, ale nie musi koniecznie. Tylko na początku, by stosownym zaklęciem obszar oddziaływania ciosu ograniczyć. W kamieniarstwie oboje pracowaliście, to pewnie wiecie, że są sposoby, by energia od młota za głęboko w skałę nie szła. Kumulacja się to nazywa. Z oszczędności formułę opracowano, nie z myślą o takich przypadkach, ale tu będzie jak znalazł.

– Kumulacja podmiotowa? – Coś zalśniło w oczach Wilbanda. – To przecież... z samokleпки można.

– Niby tak – zgodził się Debren. – Niby można i bez magicznych zdolności, jeno formułę z karteluszką odczytując. Ale mało ekonomiczne by to... – urwał, grzotnął się kułakiem w czoło. – Ależ kretyn ze mnie! Toż to nie kamieniołom! Jak jedno uderzenie na dobę się wykona, to już dobrze... Ale czekaj – nachmurzył się. – To też trzeba umieć. Amator, bywa, tak sprawę spieprzy, że...

– Myślisz, że dopuszczę do niej amatora?! – prychnął Wilband. – Rzeźbiarz, cholera, jestem! Kto jak kto, ale ja się na tym znam! Od ośmiu lat mi się nie zdarzyło, bym materiał popsuł zbyt mocnym uderzeniem. Chociaż miedziakami jeno płacę i jeno na jakieś gówniane samokleпки mnie stać, z tych, co to amatorowi rękę razem z młotem potrafią wyrwać, a nie skałę...

Umilkł nagle. W przeciwieństwie do Debrena nie walił się jednak w głowę. Zabrakło mu energii na takie gesty. Zgasł niczym zanurzona w wiadrze pochodnia.

– Wybacz – wymamrotał, znów umykając wzrokiem od dziewczyny. – Zapomniałem się.

– To przez babranie się w takich paskudztwach jak owa rusalka – pouczył go mnich surowym tonem. – Wrażliwość i moralność sobie nadwerzężyłeś. Curdelia zdesperowana jest, machrusanka w połowie może i po dziadku nie całkiem człowiek, a patrz: też się zmieszała. Pomyśl, jak na takową uwagę zareagowałaby normalna kobieta.

– Wcale się nie zmieszałam – zaprotestowała dość słabo. – Niby czemu? O asyście Debrena mówiliśmy, nawet czymś więcej niż asyście, i nic...

– Debren czarodziej jest i w danej chwili medyk, więc się nie liczy. Ja Boga reprezentuję, więc też nic, co ludzkie, nie jest mi obce. Fachowcy jesteśmy i niewiasty nie mają powodu się nas krępować. Ale on? Milczała przez chwilę, być może

w nadziei, że rumieńce opuszczą jej twarz. Zabrakło jednak cierpliwości.

– Wilband też jest fachowiec! – wypaliła nagle.

– Od czego? – zaśmiał się lekceważąco Zecheniasz. – Od półnagich dziewczek z kamienia? I młota?

– On ma rację, Curdelio. – Poblądły Wilband sięgnął po dźwignię, zaczął obracać przednie kółka wózka, szykować się do cofania. – Nie mam prawa tu z wami... Wybacz, żem się takim chamem okazał. Jak się na cmentarzu mieszka, to człek mimo woli... Poczekam w...

– Tutaj poczekasz! – Nie pofatygowała się, by na tę krótką chwilę łagodzić ton. Bo następne słowa znów skierowane były do zakonnika. – Tak, braciszku! Właśnie od tego! Od gołych, karłowatych dziewczek z kamienia i od i młota, którym je trzeba okładać! Dokładnie! I dokładnie takiego fachowca mi potrzeba! Bo to mój przypadek!

– O półnagich mówiłem – zauważył przytomnie Zecheniasz. – A ty, choć nieskromnie, ubrana jesteś. I nie kamienna. Nie pleć bzdur. Potrzebujesz...

– Potrzebuję Wilbanda. A ty, cholera, powrotu do klasztoru i porządnych korepetycji. – Posłał jej zdumione spojrzenie. – Tak, dobrze słyszałeś. Bo jak zakonnik nie potrafi ewidentnych znaków od Boga odczytać...

– O czym ty bredzisz, kobieto? – Albo od szatana – dokończyła. – Sama nie wiem. Obojętne. W każdym razie powinieneś pierwszy się zorientować. – Przeniosła spojrzenie na równie zaskoczony Wilbanda; śmiało, ale i dość ponuro zajrzała mu w oczy. – Nie gap się jak ciele. A jeśli udajesz, to przestań. I tak niczego to nie zmieni. Wierzę w przypadki, ale nie jestem kretynką: nie w tyle naraz. Coś cię tu zesłało, a ja nie zamierzam walczyć z tym czymś. Od początku byłam bez szans. Jak tylko przez bramę wjechałeś. Mogłam cię bez trudu o mur... Rycerzowi w pełnej zbroi bym poradziła, jeszcze moment wcześniej. Przesło naszego mostu podniosłam, zaraz

jak ślub wzięliśmy. Też słaba byłam, chuda, ale to most, nie jakiś półludek bez nóg i koszuli nawet. I co? Łajno! Dobrze, że siedziałam, bo mi tak kolana zmiękły. Myślałam potem: to od tego postu. Krutza dawno robaki zżarły, a ja z nikim innym... A tu urodziwy młodzianek z torsem jak bożek w mojej księdze z illeńskimi mitami...

– Te z obrazkami czytujesz?! – oburzył się Zecheniasz. – Na indeksy wpisane?!

– Ale to nie to – zignorowała go. – Mam Debrena, mogę porównać. – Czarodziej zastygł z głupim wyrazem twarzy. – Zepsuta jestem aż do szpiku, więc nie powiem: miło mi było, gdy się gapił, gdzie mógł i kiedy przy okazji macania skały pomacał mnie po tyłku.

– Ja...

– Milcz, Debren. Mimo wszystko aż tak zepsuta nie jestem; daj dokończyć, póki odwagi starcza. Gdybyśmy sami tu byli, a ty eksperymentalną kurację byś zaproponował, tę bez szans na macierzyństwo, to nie powiem, jeszcze bym zręczną rękę z wdzięczności ucałowała. Ale na ból wiele by mi to nie pomogło, gdybyś od znieczulania do walenia młotem przeszedł. A Wilband... Boję się, wiem, że mogę umrzeć. Ale chcę tego. Chcę spróbować. Bo czuję, że z nim jednym mam jakąś szansę.

Wilband przetarł ociekającą potem twarz. Było ciepło, ale nie aż tak. A jemu drżały dłonie.

– Wybrałaś mnie, bo nie mam nóg? – ni to zapytał, ni stwierdził. – I ja jeden się zmieszczę? Z wyrachowania, znaczy? Przyglądała mu się przez chwilę. Po kącikach ust błąkał jej się cień uśmiechu. Debren pomyślał, że ostatnie pytanie było głupie. Wyrachowana kobieta nie pozwoliłaby sobie na gorzką kpinę w takim momencie.

I na takie słowa.

– Nie bądź dzieckiem, Wilband. Nic nie jest za darmo, a już na pewno nie to najcenniejsze. Już ci to raz tłumaczyłam:

kocha się zawsze za coś.

Wilband nie był dzieckiem, ale Debrena nie zaskoczyło zbyt nagle szarpnięcie za silnik ani gniewny terkot drewnianych kół, toczących się w poprzek dziedzińca.

Znalazł go w ciemnym kącie pod schodami, gdzie, sądząc po hakach i uchwytach, szlachetnie urodzeni goście zostawiali tarcze, cięższą broń i sprzęt łowiecki. Teraz wisiała tu jedynie jakaś rdzawa misiura, pachnąca głębokim wczesnowieczem, róg myśliwski i kopia, zakurzona, ale chyba nie używana.

Wilband siedział oparty ramieniem o mur i gapił się ponuro właśnie na częściowo rozwinięty proporczyk, zwisający spod grotu. Na proporczyku widać było połowę góry Dopschpick. Tę gorszą, bez zamku.

– O co chodzi? – Debren, któremu podobne gesty zaczynały wchodzić w krew, ukucnął pod przeciwległą ścianą, zrównał się poziomem wzroku z oczami kamieniarza.

– Zostaw mnie.

– Powiedziałem, żeś się pewnie obmyć pojechał. I po wino. Ale, widzę, jesteś brudny i trzeźwy.

– Debren... – tamten odczekał chwilę, dając magunowi szansę, by wyciągnął stosowne wnioski z brzmienia głosu, i dopiero widząc brak efektu, dokończył: – Odchędoż się.

– Jak planujesz mieszkać na zamku – powiedział spokojnie Debren – powinieneś się wystrzegać takiego słownictwa. Nie, żeby szlachta nie klęła. Ale po takich propozycjach nader często miecze idą w ruch.

– Za stary jestem, by nawyki zmieniać. W rynsztoku się chowałem, nie wiesz? To Wehrlen, nie jakaś zakichana Lelonia. Porządek mamy. Chodniki są dla pieszych, a dla tych, co jadą: jezdnia. Po której też się nie jeździ jak komu wola. Środek dla szybkich i ważnych, a tacy jak ja bokiem muszą, przy samym krawężniku. Prawe koła to na okrągło mam

w gównie umazane.

– Nie jestem kołodziej – wzruszył ramionami Debren. – Los twoich kół mało mnie wzrusza. O niej chcę mówić.

– O pani hrabinie?

– O Curdelii.

– Nie ma o czym gadać. Sam powiedziałeś: ze swoim słownictwem nie nadaję się na zamki.

– Ja nie mogę tu zostać. Mam robotę we Frycfordzie. Drugiej takiej ze świecą szukać. A potrzebuję dobrej posady, bo... no, po prostu przyjmij do wiadomości, że potrzebuję. Nie mogę tu siedzieć i trzymać za rękę przerażonej dziewczyny.

– Oczy przemyj – parsknął Wilband. – To... ona jest... To cyniczna, zepsuta potworzyca. Sama na okrągło to powtarza. Jasna cholera, ludzką kość ma do lustra na stałe przywiązana! Dziecięcą w dodatku! I ręka jej nie drgnie! Na fryzurę jeno popatrz! Balwierz by lepszej...

– Sądząc po kości, chłopak był niewiele niższy niż ja. Sądząc po zachowaniu, ciut starszy. Ja nie dorosłem na tyle, by na zimno do bezbronnych kobiet strzelać.

– Nie broń jej, Debren. Całą rodzinę wytłukła.

– I pół twojej? – dopowiedział cicho czarodziej. Wilband drgnął, posłał mu zaskoczone spojrzenie.

– Czemu o tym nie mówisz? Na odpowiedź trzeba było trochę poczekać. Właściwie to na tyle długo, że żadna odpowiedź nie była już potrzebna. Wilband sam to chyba rozumiał i tylko upór kazał mu próbować.

– Bo... no, to taka oczywistość, że nawet... To chyba naturalne, że nie mógłbym z kimś takim...

– Skąd przepisałeś ten illeński tekst? – zapytał jeszcze ciszej Debren. Pod schodami, jak to w starym zamku, panował półmrok, ale było lato i nagły rumieniec dawał się zauważyć. Zwłaszcza jeśli podkreślono go gniewnym zaciśnięciem ust. – Nie z pewnej legendy o rzeźbiarzu i jego rzeźbie? Gdzie jako skuteczną formułę na ożywianie kamieni go podają?

– Łajno ci do tego! I nie wiem, o czym mówisz!

– W tym sęk, że nie całkiem łajno. Jest moją klientką.

– To nie ona! Ile razy mam mówić, że nigdy... – Wilband ugryzł się w język. Za późno, więc natychmiast podjął próbę naprawiania tego z kolei błędu: – No dobrze: jak zaczynałem rzeźbić, to gówniarz jeszcze byłem i czasem o sławnej Rimelównie myślałem, więc ów młot przy prawej nodze...

– To miał być młot? – zdziwił się Debren. – Myślałem, że kijaszek. Artyści często stylizują rusałki na pasterki.

– Jak ojca mi zabiła – wyjaśnił ponuro Wilband – tom z młota zrezygnował, więc zeleźce poznać trudno. I z niej też zrezygnowałem w charakterze natchnienia. Oczu nie masz? Twarz ma tak delikatniutką, że mnie nawet pytano, czym się na jakimś dziecięcym trupku nie wzorował.

– Ale umięśnienie już nie dziecięce. Nie jestem krytyk, ale ci powiem, że jeśli chciałeś oddać kontrast siły z dziewczęcą wiotkością, to ci cholernie dobrze wyszło. Więc nie kręć. Może i nieświadomie, ale nadal Curdelię kułeś. W tej twojej rusałce jest więcej mocy niż w niejednym konnym posągu sławnego wodza. Przy całej jej kobiecości. To dlatego Boebbels tak łatwo dał się nabrać. Bo jeśli przyjąć, że dobra rzeźba prawdę o rzeźbionym oddaje, to właśnie tak by wyglądała nasza mała krasnoludka z poprawioną urodą.

– Ona nie jest krasnoludka!

– Nie łudź się. Do Oszwicy nikt jej dziś nie pośle, ale to nie znaczy, że ludzie przestaną przodków wytykać. Jest i krasnoludka, i Pazrelitką, i wiedźmą na dodatek. Cud, że w ogóle męża znalazła. No, ale myto z dobrze położonego mostu piechotą nie chodzi. Więc nie dziw się dziewczynie, że realnie na życie patrzy. Bo na swój sposób ma rację: za nic to się dzieci kocha, ale nie obcego. Nawet w miłości do rodziców duszyści się racjonalnych elementów doszukują.

– Czego ty właściwie chcesz? – westchnął Wilband.

– Dobra klientki.

– Do pogrzebu się nająłeś. Dla dobra klientki to mnie możesz o staranne kucie sarkofagu poprosić.

– Nie wiem jak tu, ale w Lelonii prawo nakazuje, by grabarz nawet wtedy o interes klienta zadbał, gdy się ten żywy okaże.

– Bo medyków macie gównianych i wszyscy na okrągło chłacie. Nic dziwnego, że taki zapis uczyniono. A Lelonia słynie z licznych szczytnych przepisów, których nikt nigdy nie przestrzega.

– Prawda – przyznał spokojnie Debren. – Ale założę się, że w wehrleńskich cechach kamieniarzy też obowiązuje zasada, by materiału nie psuć. Czyli, w danym przypadku, Curdelii. A tak, Curdelii, dobrze słyszysz. Mam kaprys użyć do budowy grobowca owej skały, pod którą siedzi, a ona jest teraz jej częścią. Jak źle skałę obrobisz, ta część umrze i ulegnie rozkładowi, co ewidentnie pod psucie materiału podpada. Wzięłeś zlecenie, masz się wywiązać najlepiej jak umiesz.

– Lepiej się nie zakładaj – poradził mu ponury jak noc Wilband. – Bo goły stąd wyjedziesz. Wisisz Zecheniaszowi trzy grosze za wystrzelonego z balisty trupa, talara za odrażającą karlicę, a mnie następnego talara za śmierdzącą hrabinę. O, właśnie – uśmiechnął się kwaśno. – O tym zapomniałem powiedzieć. Z paskudztwami mi się kojarzy. I już do końca życia się owych przykrych skojarzeń nie pozbędę. Więc sam rozumiesz...

– Jest pewna dziewczyna – przerwał mu Debren, unosząc wzrok i udając, że zainteresowało go coś w konstrukcji schodów. – Jak się zegnaliśmy, boso przyszła i z kurzym łajnem na nogach. Nie wiem, czy chciała mnie w ten sposób na ziemię sprowadzić. Nie wiem, czy Curdelii też bardziej o to nie chodziło, niż o upodobnienie się do skały. Może nie. Ale wiem, że w przypadku tamtej skojarzenie akurat w drugą stronę idzie. Jadę, bywa, przez wieś, zobaczę bosą dziewczynę z nie bardzo czystymi nogami i jak głupi staję, gapię się. Raz

i drugi chłopi za widły na wszelki wypadek chwyтали. Więc uważaj, Wilband. Tak też bywa. I potem żałujesz, żeś tych brudnych nóg w porę nie...

Pewnie i tak by nie dokończył, więc skrzypnięcie drewna rozległo się we właściwej chwili. Niby niegłośne, ale w zamku panowała cisza i nawet Wilband uniósł twarz, zerknął w górę. Dźwięk się nie powtórzył. Za to po chwili usłyszeli cieniutki pisk, mysi raczej niż szcurzy, a obok wózka wylądowało parę ziarenek pszenicy.

– Cały spichlerz wyżrą – mruknął gniewnie kamieniarz. – Kota trzeba będzie... To znaczy: lepiej byś się klientce o kota wystarał, a nie...

Szczur, czy co to było, zaskrobał pazurami o kamień. Powoli jak na szczura, ale ostatecznie w zamku nie było żywych kotów, a ludzie, jeśli się trafiali, mieli ważniejsze sprawy na głowie.

– Jej nadzieja potrzebna, nie kot.

– No to ma szczęście. Jak raz duchowny się trafił. Zawodowy głosiciel dobrej nadziei.

– Ojciec jej do kościoła nie puszczał, bo się córki karlicy wstydził. Nie łudź się: ktoś taki nie znajdzie nadziei w modlitwach. Jak się dziecku do głowy nie wbije pewnych rzeczy, to potem już...

– Takie gadanie herezją śmierdzi. Uważaj lepiej.

– Daj mi małego Wezyratczyka, a na Zecheniasza go wychowam. I na odwrót: w wezyrackiej armii nie ma lepszych oddziałów nad janczarów, z których co drugi jasnymi oczyma i jasną czupryną świeci, bo go rodzicom machrusanom razem z kolebką zabrali. Pod Dumayką widziałem dzieciaka, co czekał, bo go po kummońskim najeździe suka wychowała.

– Chcesz powiedzieć, że z hrabiny w dodatku beznadziejna bezbożnica? Jak na dziewczosłeba ciekawych argumentów używasz.

– Nie swatam cię z nią. Tamtą z brudnymi nogami... Też

wspólnej przyszłości żadne z nas nie widziało, więc zostawiłem ją. Może i słusznie. Nie jestem sentymentalna dziewczica, Wilband. Czarodziej jestem i uczony. Wiem, ile można od ludzi wymagać, i nie oczekuję, że własne ograniczenia przeskoczysz. Ale myślę, że mógłbyś... Nie oszukujmy się: jesteśmy, jacy jesteśmy. O chłopach mówię. One uczucia potrzebują, nam wystarczy, że nogi zgrabne, kawałek piersi na żebrach, buzia na którą da się bez bólu popatrzeć. A na Curdelię się da. Ja sam mógłbym... Wiem, że się z taką nie ożenisz. I nie o to proszę. O ten drugi raz dla niej proszę.

– Drugi raz? – Wiesz, o czym mówię. Pewnie nie przetrzyma zabiegu. Rozmawialiśmy o tym. Jak się zgodzisz, to mam zamiar przypieprzyć w tę skałę tak, że zamek zadrży. Tak sobie zażyczyła. Bo jeśli coś takiego przeżyje, to potem już prawie na pewno kurację przetrzyma. Ale może nie przeżyć, więc chyba należy jej się...

– Nie zrobisz tego – warknął Wilband. Zacisnął dłoń na dźwazku napędowym, ale nie próbował podejźdzać do czarodzieja.

– Zrobię – powiedział spokojnie Debren. – Jak odmówisz, to to drugie też spróbuję. Bo ją lubię. Bo mi jej żal. Bo rozumiem, że lepiej spróbować i umrzeć szybko, niż nie próbować i zdechnąć jak pies pod płotem, z zimna, głodu, we własnych odchodach. Bo jest na swój sposób bardzo ładna. Na swój, ale bardzo. I każdy normalny mężczyzna... Nie wiem, czy potrafiłbym jak Bóg przykazał, pewnie nie, bo nóg na karku nie splatam. Ale ręki jej nie odmówię. Tylko wątpię, czy moja ręka wystarczy. Jest zepsuta, mało religijna, ale jest kobietą i czegoś więcej od dudkania oczekuje niż samego tylko dudkania. Więc pewnie ziemia pod nią nie zadrży i jak rąbnę młotem...

– Jeśli ją zabijesz – rzucił przez zęby kamieniarz – to ja zabiję ciebie. Przysięgam.

Przysięga była poważna i Debren miał nieco problemów z przywołaniem bladego uśmiechu.

– Jednak pasujesz do zamku. Jak rycerz potrafisz myśleć. Zarąbać kogoś dla baby, proszę bardzo. Ale pomoc takiej, choćby jeden raz, choć odrobiną czułości? O, co to, to już nie.

– Podniósł się na równe nogi. – Wybacz, Wilband. Pomyliłem się. Widzę, że się ślinisz nie do niej, a do pary zgrabnych nóg i jędrnych cycuszków. Nic w tym złego. Ale faktycznie się do tego zabiegu nie nadajesz. Poszukam kogoś, kto o jej przyjemność zadba, choćby kosztem własnej. To Wschód, macie tu ponoć zamtuzy dla bab, z męskim personelem. Znajdę jej fachowca i...

– Za kogo ty ją masz?! – Wilband szarpnął silnikiem, zaczął manewrować w ciasnej przestrzeni, raz po raz objając się wózkiem o ściany. – Za zwierzę?! Kobyłę, co dla pierwszego lepszego ogiera ogon zadziera?! Ty gruboskórny chamie, z samego wstydu by umarła!!! Won stąd!!! Konie ci leczyć, nie niewiasty!!! Próbował złapać Debrena za pas. Magun uskoczył.

– Nie pij – rzucił z krzywym, trochę złym uśmiechem. – Bo już durny jesteś.

– Zabiję cię!

– Ale umyć się powinienes. – Debren jeszcze raz wymknął się potężnym łapskom, błysnął szyderczo zębami. – Uszy ci brudem zarosły. Nie rozumiałaś, co powiedziała? Że tylko w tobie widzi szansę. Że to na twój widok kolana jej zmiękły. – Wózek znieruchomiał, chyba nie tylko dlatego, że Wilband zapędził się w ślepy zaułek między ścianą a pustym stojakiem na kusze. Debren na wszelki wypadek odsunął się nieco i dokończył ciszej: – Cynicznie, bo cynicznie, ale o kochaniu mówiła.

– Źle ją rozumiałaś – wymruczał Wilband po znamiennej długiej chwili. – To... ogólnie mówiła, o życiu. Słyszałaś: według niej za srebro się kocha, za posag. A ja złamanego

grosza nie mam.

Psiakrew – parsknął. – O czym my w ogóle... Popatrz ma mnie. Niepełnosprawny jestem. Łajno na kółkach. Jaka normalna baba...

– Ona nie jest normalna. Nigdy nie była. A teraz w niepełnosprawności to cię na głowę bije.

– Jak się wieść rozejdzie, że żywa, tłumy rycerzy się tu zjadą. Wystarczy, że to jedno dla niej zrobimy: puścimy w świat wieść, że nie umarła.

– Tłumy sępów i łowców okazji. Jak jej celowo nie zabiją, to przy próbie depetryfikacji już na pewno. Ile razy mam to tłumaczyć? Jedyne sprawdzony sposób to doprowadzić dziewczynę na szczyt rozkoszy i wtedy z wyczuciem trzasnąć młotem. A takiej jak ona byle kto na szczyt nie zabierze. Musi go mieć nie tylko między nogami, ale i w sercu.

– To niech sobie lubczyk kupi.

– Kretynie jeden! – zdenerwował się Debren. – Nie widzisz, że jest tak samo goła jak ty?! Kupi?! Za co?! Jak?! Prohibit z czarnego rynku?! Jednej życzliwej duszy przy sobie nie ma! Od deszczu do deszczu żyje, szczury żre, głównem się smaruje na przyjęcie gości, tacy tu goście trafiają! Sam kaleka jesteś i takie głupoty prawisz?! Nie wiesz, jak ciężko czasem najprostsza rzecz przychodzi?! Wyobraź sobie, że ci zadek do skały przyrósł! I w zadek wsadź takowe rady! Lubczyk, też wymyślił! – Wilband milczał pokornie, więc zakończył już znacznie ciszej: – A poza tym... serce sercem, ale to między nogami też ważne.

Zszedł do piwnicy, znalazł jakiś zakurzony dzban bez ucha, lekko przepłukał winem, napełnił. Chyba niegłupio zrobił: kiedy wrócił do sieni, Wilband nadal tkwił w kącie między ścianą a stojakiem na kusze. Debren łyknął solidnie i podał mu naczynie.

– Zawsze możesz na to inaczej spojrzeć – mruknął. – Jak na okazję. Może i wielkiej przyjemności ci to nie da, ale za to

potem będziesz mógł się chwalić, żeś hrabinę wydudkał. – Wilband pociągnął z dzbana, rzucił mu nijakie, nawet niespecjalnie krzywe spojrzenie. – A jak nie wyjdzie, to nawet, że na śmierć ją... Baby się w kolejce do takiego ogiera ustawiają, a fundatorzy piwa za barwne opowieści... w drugiej.

– Ale chrzaniisz.

Uśmiechnęli się do siebie. Wino było przednie, jedno z tych, którymi słynęła Unirheria, ale aż tak szybko nie mogło zadziałać. Debren pomyślał ze znużeniem, że może przestać się zamartwiać i zacząć się bać.

– Mogę stać obok? – zapytał po chwili.

– Lepiej nie. – Następny łyk. – I bez tego... Machrusie słodki, dobrze że nóg nie mam. Boby mi jak galareta...

– Nie przejmuj się tak. To rozsądna dziewczyna. Na pewno nie oczekuje Bóg wie czego. Słyszałeś, jak z Krutzem... Mądra jest, wyrozumiała.

– Nie jestem w tym dobry – wyznał Wilband po trzecim potężnym łyku. Wypił czwarty i dodał cicho: – Tak naprawdę to wcale nie jestem. Jakoś... do tej pory...

Debren zabrał mu dzban i sam dociągnął do dna. Pomogło. Nie bał się mniej, ale przynajmniej nie zaczął bać się bardziej.

– To nic – wymruczał. – Ważne, że oboje... Najwyżej za pierwszym razem nie wyjdzie. Pomówię z nią i...

Drzwi z dziedzińca otworzyły się gwałtownie, do sieni wkroczył mocno wzburzony Zecheniasz.

– Musisz z nią pomówić, Debren! – rzucił z marszu. – Bo mnie już cierpliwości brakuje! Zdurniała ze szczętem!

Debren odstawił puste naczynie, minął go bez słowa i wyszedł na podwórze.

– Tak będzie dla wszystkich lepiej – uprzedziła jego pytanie Curdelia. – Z czysto praktycznych przesłanek. Dla tego kretyna też, wyjaśnij mu to. Wilband nie jest chciwy. Po swoje przyjechał, a nie z chciwości.

– Nie jest – zgodził się. – Ale może...

– A poza tym najpierw mu prawa do źródła zapiszę, a dopiero potem z Wilbandem... Więc nie ma się czego bać.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Tradycyjnie uklęknął przed dziewczyną. – Po kolei może.

Zmieszała się odrobinę.

– To... nie mówił? – Debren pokręcił głową. – Cholera, żadnego pożytku z takiego... No dobrze, ale chociaż ty obiecaj, że Wilbandowi powtórzysz. To nic przyjemnego takową propozycję samemu składać, choćby i czysto racjonalne względy za nią przemawiały. – W jej spojrzeniu krył się nietajony lęk. – I obiecaj mi coś, dobrze? Jak się roześmieje czy go wykrzywi, czy coś takiego... Nie, nie chcę, żebyś mi relację zdawał, ale po prostu... No, powiesz, żeś niedokładnie księgę czytał, a teraz sprawdziłeś i ci wyszło, że jednak nie zaleca się znieczulania przez dudkanie. Wszyscy z twarzą wyjdziemy. Dobrze, Debren? Zrobisz to dla mnie?

– Dlaczego miałby się śmiać? Co to za propozycja? Odetchnęła, zamknęła oczy.

– Małżeńska. Chcę, by się ze mną ożenił.

Debren ucieszył się, że ukląkł. Gdyby przysiadł na piętach, runąłby teraz na ziemię. Albo i na nią.

– Chcesz... dzuma i... poważnie to mówisz?!

– W tym sądowym wyroku było o zaspokojeniu roszczeń w naturze. W tym strat moralnych. A w wykaz wstawili i bezżenność. Ja pewnie umrę. Gdyby był moim mężem, przynajmniej coś by mu...

Drzwi budynku huknęły o mur, wózek niemal stanął bokiem. Ale wątpliwe, by Wilband to zauważył.

Wyglądał jak ktoś, kto grzmotnął o żelazne wrota nie ramą wehikułu, a własnym czołem.

Omiał nie rozjechał dziewczynie nóg. Nie cofnęła ich w porę, zapomniała. Gdyby wózek dotarł dalej, pewnie zapomniałaby wrzasnąć z bólu. Wpatrywała się w kamieniarza niewiele przytomniejszym wzrokiem.

– To prawda? – wykrztusił. – Zecheniasz... on powiedział, że chcesz...

– Jak zahipnotyzowana kiwnęła głową. – Ale... Curdelio, przecież my... ja...

– Stoją za tym pragmatyczne i racjonalne... – zaczął zaniepokojony Debren. Nie dała mu skończyć.

– Kocham cię. – Wilband zawisł oburącz na poprzeczce silnika, co chyba uchroniło go przed zwałeniem się na twarz. – Mówiłam ci, ostrzegałam... To ta cholerna skaza, po babce. Nic nie poradzę. – Pociągnęła nosem. – Kawał chłopca z ciebie, a nie muszę szyi łamać, by ci w oczy spojrzeć. Cholera, nawet ciut z góry bym mogła, stojąc. A dzieci jak dęby by były. To twoja wina, Wilband. Nie boję się ciebie. Zawszem się bała przy dużych mężczyznach, a znów przy małych to o dzieci. A przy tobie niczego. Na odwrót nawet. Bezpieczna się czuję. Pierwszy raz.

– Głupstwa gadasz. – Wilband, może na widok pierwszych łez, wziął się w garść. Na tyle, na ile potrafił. – To... chwilowe emocje. Osłabiona jesteś.

– Nie na umyśle. – Przetarła kułakiem mokre oko. – Mam wyliczyć, co za tym ogłupieniem stoi? Duszę dawałam za wino, a ty mi je przyniosłeś. O zupie marzyłam... i oto Wilband z zupą się zjawia. O kąpieli. By ktoś powstrzymał, gdy się na własne życie w końcu targnę. By choć raz spojrzął tak, jak ty ciągle, za każdym razem... Żeby mi ta cholerna oschłość minęła. – Poderwała kolana pod brodę, ścisnęła mocno. I uśmiechnęła się niesamowitym, mrocznym jak noc i zmysłowym jak temmozańskie pachnidło uśmiechem, od którego nawet Debrenowi zrobiło się gorąco. – Wygląda na to, że się bez kuchni i mazideł obejdziemy, jeśli... Na kumulacji podmiotowej się znasz, od ośmiu lat nie rozwaliłeś więcej, niż planowałeś rozwalić. Pewnie jesteś jedynym mężczyzną, z którym mogłabym sam na sam przeprowadzić ową złodziejską kurację. Czytasz te same illeńskie mity, co ja.

W sztuce sztukę widzisz, a nie, jak Krutz, lokatę kapitału. – Zmrużyła lekko oczy. – Potrafisz miłować kamienne baby.

– Co? – Posłał jej spłoszone spojrzenie.

– Ten napis... Nie mów, wiem: na trzeźwo byś nigdy... Ale coś w tym musi być. Musisz choć trochę wierzyć, że pokochałbyś taką, gdyby któregoś dnia ożyła. Co mi nadzieję daje, sam przyznasz, bom znacznie mniej kamienna od twojej rusalki.

Wilband musiał użyć obu dłoni, by zetrzeć pot z twarzy. Lało się z niego. Ale, jak zauważył mimochodem Debren, kaftana nie przełożył z ud za plecy. – Curdelko... miła... Ja nie mogę. Nie mogę ci tego zrobić, życia zmarnować... Nie żądaj ode mnie...

– Dlaczego? – przerwała mu na poły twardo, na poły płacziwie. – Dlaczego nie możesz?

– A choćby dlatego – zagrzmiał zza skały młody, męski i całkiem obcy głos – że by nam to do reszty sprawy skomplikowało.

Nieznajomy był odziany na czarno i pewnie dlatego uwagę przyciągały jasne plamy na obu końcach sylwetki: onuce z dołu i niemal biała czupryna u góry. W tej ostatniej było coś znajomego, ale Debren nie zidentyfikował go po włosach barwy świński blond. Zrozumienie, szczerze przyprawione głęboką goryczą, przyszło po pierwszym spojrzeniu na spoczywający w korytku kuszy bełt.

Grot był ze srebra albo przynajmniej posrebrzany.

– Nawet nie myśl o czarowaniu – uprzedził go blondyn.

Ruchem głowy dał znać stojącemu z tyłu Zecheniaszowi, by ustawił się po właściwej stronie kuszy.

Czarodziej łudził się przez chwilę: w grubym na kilka palców, dobrze wypełnionym ciecżą kapaku intruz sprawiał wrażenie nieruchawego i nagły cios łokciem czy barkiem mógł

porządnie nim zachwiać.

Zakonnik przemaszerował jednak grzecznie obok, stanął przy wózku Wilbanda.

– A ty, Krótki, zabieraj łapy z tego drağa. I od narzędzi trzymaj się z daleka. Bo kogoś ustrzelę.

– Jasnowłosy uśmiechnął się lekko, obrócił kuszę, wskazując czubkiem pocisku zastygłą dziewczynę. – Sam jeszcze nie wiem, kogo.

Podziałało. Debren klęczał z dłonią zaciśniętą na tkwiącej w pochwie różdżce i gratulował sobie wstrzemięźliwości. Wyglądało na to, że blondyn wie, co robi.

– Kawbert? – Niedowierzenie Curdelii stopniowo przechodziło w lęk. – Co ty... skąd się tu wziąłeś?

– Oknem włazłem. – Jasnowłosy skinął w kierunku domu.

– Chwalić Boga, mieliście bystrego stajennego. Połowę komnat złodziej opróżnił, ale zrehabilitował się, za porządną sznurową drabinkę.

Inna sprawa, że nie na wiele się zdaje. Siedzę w tym cholernym zamku jak, nie przymierzając, moja przyrośnięta za tyłek kuzynka.

– Jesteś bratem Udebolda – mruknął Debren.

– To on jest moim – poprawił Kawbert. – Z Rimelów zostało na świecie nas troje: ja, Udo i Kurdupelia. W takiej właśnie kolejności trza wyliczać. Podle wieku i płci. Niby drobiazg, a przez ten drobiazg mocno się okolica wyludniła. Stryj, świećcie mu nad kotłem, powinien uszanować kolejność. Dla wszystkich lepiej by było.

– Nie celuj do niej z kuszy – warknął Wilband.

– Moja kusza – błysnął zębami blondyn. – I kuzynka, nawiasem mówiąc, takoz. Senior rodu jestem, więc nie wcinaj się między opiekuna a podopieczną.

– Opiekuna? – Curdelia zmrużyła oczy. Może po to, by ukryć strach. Ale chyba nie tylko strach kryła. – Od jak dawna tu przyłazisz?

– Przyłazisz? – Kawbert uśmiechnął się gorzko. – Gnijesz, chciałaś powiedzieć. Od początku niemal.

Przez tych zasranych Indorów zapomniałem, jak słońce wygląda. A jak coś ciepłego smakuje, to już całkiem.

– Ukrywasz się w domu? – odgadł Debren.

– Nie moja wina, że świat na psy zszedł i nie szanuje się praw naturalnych. Noszę najstarsze jadra w rodzie i to ja powinienem odziedziczyć kopalnię. Przy zamku bym się nie upierał, nie jestem chciwy. Kuratele bym jeno wziął nad Kurdupelką, skoro bidula owdowiała. Sami widzicie, do czego babskie rządy prowadzą: smród, brud i bieda. Ona zre wrony, a ja moczone ziarno, papkę z mąki i cebulę, bo nawet wędzonek w spiżarni nie ma. Jak szczur żyję. Przez co – posłał szydercze spojrzenie Debrenowi – niezgorzej udaję szczura.

– Nie palisz ognia ze względu na mnie? – skrzywiła się dziewczyna. – Zbytek ostrożności. Katar mam, sukinsynu, na okrągło. A od tego smrodu... Ależ z ciebie kanalia, Kawbert. Nic się, cholera, nie zmieniłeś.

– Dawnośmy się nie widzieli – wyjaśnił zebranym blondyn, sięgając do sakwy z bełtami. Debren bez zdziwienia zauważył, że trzymana pod pachą kusza wycelowana jest teraz w jego brzuch. – Karierę wojskową robiłem. Mówię, by nie zaświtały tu komuś głupie pomysły.

– Wszyscyśmy tu rozsądni – zapewnił Zecheniasz. Debren ocenił, że w razie czego nie wpadnie w panikę i nie będzie przeszkadzać. Mała pociecha: walka i tak byłaby krótka. Widać było, że Kawbert faktycznie wie, do czego służy kusza. A kapak, choć z jednej strony krępował nieco ruchy, był wystarczająco skutecznym pancerzem, jeśli mierzyć siłą rażenia rzucanych młotów. Wilband musiałby trafić w głowę. Cios w kończyne oznaczał zaledwie szansę na wyścig, a wózek musiałby taki wyścig przegrać. Blondyn napiąłby lekką kuszę i zakończył sprawę, nie sięgając po masywny, lecz krótki kord czy przewieszony przez plecy młot. To, że Kawbert dysponuje

także młotem mogło trochę dziwić, póki człowiek nie przypomniał sobie o szwagrze Indorów i jego pozornie naturalnych obrażeniach. Kusza i kord nie zapewniały podobnej dyskrecji.

– Miło słyszeć. – Kawbert wyjął z pustawej sakwy dwa kawałki rzemienia i rzucił Debrenowi. – Medycyną się parasz, to pewnie wiesz, jak tego użyć.

Rzemyki przypominały miniaturowe powrozy z pętlą dla wisielca na jednym i niewielkim zapieczętowanym karteluszkim na drugim końcu.

– Na nogi i ręce? – zapytał rzeczowo magun.

– Co to jest? – zmarszczyła brwi Curdelia.

– Opaska samozaciskowa – wyjaśnił uprzejmie jej kuzyn. – Nie żartuj, przyjacielu.

Debren wsunął pętelkę na prawe ramię, trochę ponad łokieć. Zerknął pytająco na Kawberta i nie widząc sprzeciwu, zerwał plombę.

– Czar rzucon – zagdakał karteluszek, rozwijając się i spalając zaraz potem nikłym płomieniem. – Kupuj medykame... firm... warantem doskona... jakoś...

Rzemyk zacisnął się dość łagodnie i ręka niemal od razu zaczęła drętwieć.

– Ciut stare – wyjaśnił Kawbert, widząc, że pozostała trójka gapi się na dymiące resztki plomby i czeka, co będzie dalej. – Widać reklama wywietrzała. Ale bez obaw: samo zakłęcie wytrzymało tuzin lat. Robione dla wojska, to byle co go nie... Tak że daruj sobie stawianie oporu, czarodzieju. I docień gest. Marnuję na ciebie cenne medykamenty, choć mogłem ci po prostu połamać różdżkę. No, nie stercz tak. Zakładaj drugą, póki jeszcze władasz ręką. Debren wciągnął pętelkę nad lewy łokieć, odpalił samoklepkę.

– Temmo inszla Hal! – zagulgotał spalający się na zielono karteluszek.

– Zdobyczny – uśmiechnął się przepraszająco jasnowłosy.

– Na wezyrackich ochotnikach pod Ylkojewem, to i tryska temmozańską propagandą, zamiast, jak Bóg przykazał, wygłosić instruktaż albo reklamę. Ale bez obaw: to też demobil. Janczarski. Solidna robota.

– Czego chcesz? – zapytała dość spokojnie Curdelia.

– Tego, co mi się należy. – Kawbert pokazał Debrenowi, by usiadł. – Kamieniołomu. Wojna miła rzecz, ale mnie, widzisz, zawsze ciągnęło do łupania gładów.

– Bierz sobie kopalnię – wzruszyła ramionami. – Akurat do gładów już mnie nie ciągnie. Rzekłabym nawet, że do nich nabrała wstrętu. Rozumiesz powody.

– Jak rozumiem, podpiszesz stosowny dokument? – upewnił się. – Grzeczna Kurdzia. Braciszku, to w kieszeni to kałamarz, prawda? – Zecheniasz skwapliwie wyciągnął komplet przyborów pisarskich. – Pięknie. Wiem, że zabiegasz usilnie o własny akt darowizny, więc...

– Aż tak głos po zamku niesie? – zapytał od niechcienia Debren. – To dlatego boszo chadzasz? – Lepiej dmuchać na zimne – Kawbert zerknął na stopy w samych onucach. – Ale nie myśl, że się zdałem na przypadek. Tubę mam podsłuchową na górze. Każde wasze słowo... Więc jeszcze raz uprzedzam: żadnych głupich pomysłów. Do ciebie mówię, Krótki. Jak chcesz mi kuzyneczkę wydudkać, to siedź grzecznie na tym swoim siedzielazie i...

– Samołazie – poprawił Debren.

– Samociągu – sprostował Zecheniasz, otwierając kałamarz i maczając gęsie pióro w inkauście.

– Samo... – Curdelia zająknęła się, zerknęła jakby ze skruchą na Wilbanda. Potem, już twardo, na kuzyna. – A ty go nie mieszaj do rodzinnych spraw. Ani mi mąż, ani narzeczony, więc nijakie dudkanie w rachubę nie...

– Nie łzyj, Kurdzia. Mam tubę. I oczy. Na twoje szczęście – dodał z dziwnym uśmiechem. – A tak, dobrze słyszysz. Krewną mi jesteś, tom pomyślał, by się jakoś za ów akt –

skinął na piszącego zawzięcie mnicha – odwdzińczyć. Nie wiedziałbym, jak. Ale podglądałem, podsłuchiwałem, i już wiem. Porządne chędożenie ci zafunduję. – Jej twarz zastygła. Odczekał chwilę i dopiero wtedy dodał łaskawie: – Bez strachu. Z nim. Dobry machrusanin jestem, kazirodztwo mnie brzydzi.

Debren pomyślał, że wygląda na lekko ogłuszoną, ale na przerażoną czy spanikowaną – zdecydowanie nie. Wstyd, w który przerodziło się zaskoczenie, też był jedynie umiarkowany.

– Co chcesz zrobić? – zapytała spokojnie. – Tylko bez kręcenia, Kawbert. Znam cię. Zawsze widziałam, kiedy łziesz. I uprzedzam: niczego nie podpiszę, dopóki...

– Na początek zrobimy to, co proponuje Debren. Dudkanie i zabieg. Mam nadzieję, że to nam rozwiąże wszystkie problemy. – Kawbert stanął nad mnichem, zerknął mu przez ramię. – Hej, co to ma być? – Poważny akt wymaga pergaminu – wyjaśnił spokojnie Zecheniasz, nie przerywając pisania. – A że mam tylko jeden arkusz, tom uznał, że za jednym zamachem...

– Za jednym zamachem to ja ci... – Blondyn zamierzył się kolbą kuszy. – Widzicie go! Od źródelka zaczął! A to klecha chędożony!

– Nie wiesz, co mówisz, chłopcze. Dziękować mi powinieneś. Znaleźć się na jednym akcie darowizny z Kościołem to tak, jakby się ożenić z córką sędziego. Możesz się spokojnie pozwami podcierać, nikt ci dóbr nie wydrze.

– Ale źródło już wydarłeś – mruknął ponuro Kawbert, opuszczając kuszę. – No, trudno. Tylko już skończ to swoje. Mały ten pergamin, a ja potrzebuję więcej miejsca, bo i zapis większy. – Odwrócił się, skinął na Wilbanda. – W jadalni widziałem obrus. Jedź i go przywieź, Krótki.

– Obrus? – Nie będę patrzył, jak machasz zadkiem nad moją kuzynką. Nie uchodzi, o estetyce nie mówiąc.

Kaleka z karlicą... Nie, cholera. Jak tu sprawy załatwię, muszę odwiedzić zamtuż i nadrobić zaległości; nie chcę, by mi wspomnienie przyjemność psuło. No już, rusz się. A narzędzia, jeśli łaska, tam – wskazał szopy przy murze.

Wilband zerknął po twarzach, zaczynając od Curdelii. Potem, jeden po drugim, odrzucił aż pod bramę wszystkie młoty, młotki, dłuta i obcęgi. Zakończył parą bazaltowych ciężarków, wykonał kilka nie bardzo składowych manewrów i odjechał w stronę domu.

– Ty też, kuzyneczko. Lusterko, bełty, kusza... Precz! Widzę, że rozładowana, ale oboje wiemy, że w rzucaniu różnościami wielce jesteś sprawna. Mną nie rzucisz – poklepał z satysfakcją kapak – ale guza na łbie też wolałbym uniknąć.

Bez słowa zaczęła podnosić i odrzucać wszystko, co leżało w zasięgu jej kończyn. Nawet czerwony sznur z sukni i pończoch, choć musiała maksymalnie wyciągnąć bosą nogę, by go najpierw dosięgnąć.

Widowisko było interesujące i dopiero po jakimś czasie Debren uświadomił sobie, że wyekspediowała wszystkie potencjalne pociski w kąt dziedzińca przy pomocy rąk. Cięższą kuszę popchnęła magią, ale już w locie. Dyskretnie.

Ciekawe. Ale sama sytuacja była nieciekawa.

– Póki go nie ma – skinął w stronę domu – może tak byśmy ustalili, co i jak? Popatrzeli na niego z uwagą. Wszyscy, nawet Zecheniasz. W oczach Curdelii było coś więcej niż uwaga.

– Póki go nie ma? – zmrużyła oczy. Debren natychmiast przypomniał sobie, że nie ma ani kapaka, ani nawet władzy w rękach, by móc zamortyzować zderzenie z murem. Od pach w dół praktycznie nic już nie czuł.

– Niewiele mogę zrobić. – Zignorował ją; patrzył wyłącznie na blondyna. – Ale gdybym miał umierać, to co nieco jeszcze mogę. Walczyłeś z temmozanami, to wiesz: jak komu na życiu nie zależy, a trochę magii liznął, to potrafi tak na pożegnanie

przypieprzyć...

– A kto tu mówi o umieraniu? – Ton był niedbały, ale słowa padły zbyt szybko i Debren zrozumiał, że wygrał.

– Chcesz ją zabić. – Nadal nie patrzył na dziewczynę. – Wasza sprawa, dla nas to i lepiej, bo za grzebanie nam płacą. Ale świadkami się staniemy. – Dlaczego miałbym zabijać kuzynkę? – Trzeba przyznać, że Kawbert nie szedł w zaparte: sformułował pytanie jak logiczny problem, nie miało to nic wspólnego z okrzykami oburzenia. – Słyszałeś: będę na jednym pergaminie z Kościołem. Curdelia podpisze akt po dobroci. I nawet sama go nie podważy, jakby co.

– Aktu może nie – zgodził się Debren. – Ale jak przeżyje, nie dostaniecie zamku i majątku Dopschpick. Który się korzystniej klasyfikuje w prawie spadkowym. Prawo zabrania dzielenia manufaktur, więc kopalnię ty jako najstarszy weźmiesz. Udebold goły by został, na twą łaskę zdany. A przy dziedziczeniu włości hrabiowskich już się możecie spadkiem legalnie dzielić. Jeden, dajmy na to, most, drugi resztę. Albo – popatrzył wymownie na Zecheniasza – jeden źródło, drugi resztę. I waśni między braćmi nie będzie.

Pióro znieruchomiało. Zecheniasz zmarszczył czoło, zaczął coś gorączkowo rozważać. Debren dał mu spokój. Same wątpliwości wystarczały, by proporcja trzy do dwóch zmieniła się na trzy do jednego.

– Brawo – uśmiechnął się kwaśno Kawbert. – Szybko kalkulujesz. Ale to i lepiej. Z mądrym dogadać się łatwiej. Jadalnia na parterze, a ta pokraka całkiem sprawnie wózkiem jeździ, więc powiem krótko: wołałbym, byście przeżyli i mile naszą znajomość wspominali. I Zecheniasz, i ty. Jemu do szczęścia woda wystarczy, a że Kościół ma długą tradycję nie wpychania palca między drzwi, rozumiem, że ten problem mamy z głowy. Prawda, bracie? Czym jest jedna wcześniejsza wizyta w niebie wobec groźby, że nie dojdzie do paru tysięcy innych wizyt? Albo i milionów... Ostatecznie źródło będzie

biło przez wieki i może nie dojść do milionów poczęć, jeśli dziś spieprzysz sprawę. – Zecheniasz rozchylił z lekka usta, porażony takim postawieniem sprawy, po czym zanurzył pióro i zaczął pisać dwukrotnie szybciej niż poprzednio. Jasnowłosy uśmiechnął się z satysfakcją. – A co do ciebie, czarodzieju... Po pierwsze podwoję stawkę, za pogrzeb, ma się rozumieć. Po drugie nadam dożywotni przywilej, byś gratis z naszej wody korzystał. Jak ta twoja z brudnymi nogami nie zechce ich szybko i szeroko rozkładać, to jeno napisz: poślę ci antałek po kosztach przesyłki. A po trzecie, podaruję ci mózg Curdelii. Wiem, że czarodzieje za ciężkie dukaty kupują mózgi po konfratrach, bo im to ponoć potrzebne do pogłębiania wiedzy.

Dopiero teraz Debren popatrzył na dziewczynę. Nie mógł dłużej ignorować jej wzroku. Naprawdę mogła cisnąć nim o ścianę.

– Mam swój kodeks cechowy – powiedział cicho, nie wiadomo do kogo. – Nie mogę... Ale chyba da się połączyć jedno z drugim. Hrabino – skłonił się sztywno, oficjalnie. – Mam nadzieję, że nie zmieniłaś zdania w kwestii zabiegu? Przyglądała mu się z uwagą, która dosłownie wyciskała pot ze skóry. Nie z wrogością, rozżaleniem, strachem. Z uwagą. To niby wróżyło dobrze, ale po plecach, mimo gorąca, chodziły mu ciarki.

– Właśnie się zastanawiam – powiedziała powoli.

– Niepotrzebnie – wspomógł Debrena jej kuzyn. – Tak czy siak nie pisane ci długie życie. Do pierwszych mrozów albo pierwszej suszy. Czy wizyty jakichś następnych Indorów. Stajenny wiszący przy drodze nie odstraszy wszystkich chętnych. Trzech jeszcze przy różnych ścieżkach powiesiłem czy na kołki ponabijałem, ale cóż to są cztery trupy na taką dużą górę.

– To ty tego...? – Debren nie dokończył.

– A co, wisi jeszcze? – zainteresował się Kawbert. – No,

proszę. Ale tamtych pewnie zżarły już wilki. A nie ma kiedy zastąpić świeżymi. Zamku muszę strzec, a Udebold, nierób jeden, oczywiście nie raczy pofatygować tyłka. Klątwy zamordowanej kuzynki się boi, kretyn. Że po lesie coś straszy niby, że polezie za nim do samej kopalni, że już łązi... Tchórzliwy szczeniak. Raz się zasadził na szabrowników i napaskudził w portki z powodu głupiego wilkołaka. Macie tu wilkołaka, wiedziałaś, kuzynko? Dwa razy cholernika z okna wypatrzyłem. Więc nie czyn wstrętów. Sam mam wszystko na głowie, znikąd pomocy. Użyj sobie na koniec, umrzyj jak by chciał każdy normalny człek: w chwili najwyższej rozkoszy. Ten połamaniec szczerze cię miłuje, więc jeśli zamkniesz oczy i wyobrazisz sobie, że to rycerz, co to właśnie zeskoczył z konia, rozkosz masz jak w kantorze. Bo inaczej...

– Skąd wiesz? – przerwała mu lekko drżącym głosem.

– Że miłuje? – zgadł. – Podśluchałem. No i widzę. Zadurzył się, kretyn, tak, że ślepy by zauważył.

No, ale dość o głupotach. Alternatywą jest wilkołak. Wolę, by śmierć wyglądała na naturalną, ale jak będziesz wredna, to i ja będę. Tak cię oporzadzę – dotknął kordu – że najokrutniejsze wilkołaki zawyją z podziwu. A zabiję na końcu. Najpierw dużo bólu, potem śmierć. Więc zastanów się. Chyba lepiej umrzeć z rozkoszy.

Zaterkotały koła. Wilband wracał z obrusem. Debren patrzył dziewczynie między zagajniki długachnych rzes, nie wpuszczających światła, ale i nie wypuszczających prawdziwych emocji. Nie miał pojęcia, czy zrozumiała.

– Pewnie łajno z tego wyjdzie – powiedział głośno suchym, oficjalnym tonem. – Ale chcę być w zgodzie z sumieniem. Zgadzam się na twoje warunki, Kawbert. Teraz jednak muszę udzielić wskazówek pacjentce i... no, asystentowi – wskazał rzeźbiarza.

– Wskazówek? – Blondyn posłał mu podejrzliwe spojrzenie. – Co to ona, dziewczica? – Ona nie – mruknął

ogłędnie Debren.

– A – Kawbert bez wielkiego zdziwienia popatrzył na nadjeżdżającego. Curdelia nagle zapomniała o mrużeniu oczu; z rozpędu rozwarła, fakt, że nieznacznie, także usta. – No to najwyżej Kurdzia obejdzie się smakiem.

– Nie bagatelizuj problemu – upomniał go surowo czarodziej. – Zwłoki zostaną zbadane. Szczegółowo. A współczesna magia... Nie mam zamiaru ryzykować. Jak ją do orgazmu doprowadzi, ślad w mózgu zostanie i patolog nie będzie miał wątpliwości, co zgon spowodowało. A rąbnąć młotem trzeba odpowiednio mocno, we właściwym miejscu i czasie. Nie chcę spaprać sobie opinii albo i stracić uprawnień. I nie ucz mnie, jak się takie rzeczy robi. Magunów raz po raz po sądach włóczę, czy to z pozwu, czy jako biegłych. Wiem, jak się dowody preparuje.

– No... – Potrójna stawka jak za pogrzeb i tak zrobię, że nawet nie będą jej kroić. Zgon z przyczyn naturalnych.

– Dwie i pół stawki.

Debren kiwnął głową, wstał nie bez trudu, bo bezwładne ręce tylko przeszkadzały, ukucnął przy dziewczynie.

– Rozbierz się – rzucił szeptem. I głośno, może nawet ciut za głośno, oświadczył: – Miłujecie się oboje, więc nie popsuj tej ostatniej chwili szczęścia. Okryjemy was obrusem, ale stać musimy blisko, rozumiesz chyba.

Zerknęła mu przez ramię.

– Pewnie – posłała krzywy uśmiech kuzynowi. – Ktoś się tu mocno boi. Tak jakbym miała pod ręką tuzin noży.

Kawbert zignorował zaczepkę.

– Złaź. – Przytrzymał stopą nadjeżdżający wehikuł. – Jak kochasz, to się doczołgasz. Nie, Debren. Źle mu z oczu patrzy. Dudkać może, ale młota to mu nie dam. Jakoś inaczej musisz...

Wilband bez słowa opuścił ciało na ziemię, zawahał się, ruszył ku skale, stąpając na kikutach i pięściach. Debren

zyskał szansę na kolejne zbliżenie ust do ucha dziewczyny.

– Mną, obrusem, a potem nim. Wiem – uciał niewypowiedziany sprzeciw, na który była zbyt rozsądna.

– Ale tak trzeba. I suknią po oczach. – Odsunął się, udał, że bada skałę, wybiera najlepsze miejsce. – Zecheniasz! Ty jeden zostałeś. Tutaj uderzysz. Widzisz? Tylko z całej siły, jakbyś diabłu między rogi celował.

Zakonnik skinął w milczeniu głową, zdmuchnął użyty w zastępstwie bibuły piasek, podszedł do dziewczyny z pergaminem i piórem. Podpisała. Debren odnotował w pamięci, że ręka prawie jej nie drżała.

– Brawo – posłał mu uśmiech Kawbert. – Współudział, tak? Widzę, żeś się faktycznie otarł o sądownictwo.

Wilband był już niedaleko. Kawbert skorzystał z pozostawionego wózka, usiadł na kole. Debrena lekko zmroziło. Kierunek się nie zgadzał. Dziewczyna miała go teraz z boku, nawet nie bardzo daleko, ale...

– Pod bramą stańmy – zaproponował, siląc się na lekko zatroskany, choć i podszyty obojętnością ton.

– Nie chcesz im się gapić na... Niewiasty są skromne, niech lepiej nas Curdelia nie ogląda.

– Oczy i tak zamknie – wzruszył ramionami blondyn. – Chyba nie myślisz, że się będzie patrzyła na taką prostacką gębę? Nasza Kurdzia zawsze marzyła o rycerzach, w romansach się zaczytywała. Wiesz: ona piękna, on waleczny, bierze od lubej wstążkę, wiąże do kopii, zwała na turnieju z kulbaki tuzin tęgich rębajłów i ciska pannie pod ciżmy czuby. A potem padają sobie w ramiona. Takowe pierdoły dla dójek i kucharek.

Wilband znieruchomiał kawałek od stóp dziewczyny. Był czerwony jak burak. Na pewno nie z wysiłku.

Na kikutach chodził wolno, ale sprawnie.

I śmiesznie. Debren dałby sobie uciąć rękę, że żałuje teraz podjętej decyzji, pluje w brodę, że nie wybrał pełznienia na

brzuchu. Mężczyźni czasem pełzają. Na wojnie, więc skojarzenia nie muszą być jednoznaczne.

– Kocha cię – powiedział głośno, ruszając w stronę bramy i kiwając na Kawberta. – Miłość może i z podświadomego wyrachowania płynie, ale jak już wypłynie, to ślepie jak kret. Nie bądź głupi, Wilband. Bywa, że jeden raz jest wart więcej niż całe długie a marne życie. Daj jej to, o czym marzy. Pozwól, by ona tobie dała. Kochajcie się, dzuma i syfilis.

Kochali się.

Debren klął. Miał czas, więc wszystkich po kolei. Ale głównie siebie. Popełnił błąd, jakiego nie popełniłby najgłupszy dziesiętnik, i to pospolitego ruszenia: nie wziął pod uwagę czynnika czasu. A powinien, bo ci dwoje...

Kochali się. Cholera. Naprawdę.

Owszem, ciała też miały w tym swój udział. Duży nawet. Jak papier, pióra i inkaust dla dwojga rozdzielonych przestrzenią kochanków. Były narzędziem, niezbędnym do przekazywania myśli i uczuć.

Niezastąpionym. Zaskakująco sprawnym. Ale jednak narzędziem.

Bo kochali się, krzyczeli do siebie bezgłośnie tą nieoczekiwane odkrytą miłością i każdy gest, każdy brak gestu, był tym samym, powtarzanym na sto sposobów wyznaniem.

Sto albo i tysiąc. To, jak się rozbierała, skromnie, pod szczelnym namiotem obrusa. Jak rozbierała jego. Pozwalała otulać przybrudzoną bielą trochę za małego płótna. A potem – jak się pozwalała nie otulać...

Kawbert raz i drugi rzucił półgłosem jakiś zarcik o doświadczonych wdowach i korzyści z miłości w trójkątach, ale szybko i on się zamknął. Zecheniasz milczał od początku, choć odwrócił się tyłem prawie od razu, gdy obrus osłaniał

jeszcze wszystko i niemal się nie poruszał. Debren nie mógł się odwrócić. Bardzo chciał, ale musiał patrzeć, łowić wzrokiem każdy szczegół, i to stojąc najbliżej ze wszystkich.

Próbował tak to widzieć: jako wyuzdany pokaz zaprawionej w łózkowych bojach weteranki. Bo też Curdelia dokonywała cudów, nawet jeśli nie zręczności – bo o te trudniej, gdy człowiek przyrósł do skały pośladkiem i ćwiartką pleców – to z pewnością śmiałości. Debrenowi nigdy nie przyszłoby do głowy takie wykorzystanie telekinezy odźródłowej. Bywały chwile, gdy Wilband wisiał w powietrzu.

Raz chyba głową w dół.

Zapomnieli się. Oboje. Obrus co rusz odsłaniał fragmenty nagich ciał. A oni podnosili go równie niespiesznie, jak obdarzali pieścotami to drugie. Nieczuli na ludzkie spojrzenia, upojeni doznaniem, zupełnie oderwani od świata. Tak nieprzyzwoici, że aż niewinni.

Debren wiedział, że nigdy więcej nie ujrzy czegoś takiego. I nie znajdował pociechy w tej wiedzy, bo ból miał w nim pozostać, wracać każdego wieczoru i na każdej wiejskiej uliczce, którą przejdzie bosonoga dziewczyna. Tych dwoje uświadomiło mu, jak niewiele mógłby mieć i jak mało może mu się od życia dostać, nawet jeśli przeżyje, wróci do Vijuki i przekona Lendę Branggo, że związek z wędrownym czarodziejem to coś lepszego niż stanowisko zarządzającej zamtużem. Nawet jeśli nie będzie musiał za mocno przekonywać, a ona zaraz pierwszej nocy zdecyduje się pokazać mu, czego się nauczyła w „Różowym Króliku”. Była silna i przy pomocy ramion może po – wtórzyłaby ten fragment z męską głową poniżej niewieściego pępka – ale przecież nie o to chodziło.

Chodziło o miłość. Tak ogromną, że trzeba ją było wyrażać właśnie tak: w sposób, który żadnemu z tamtych dwojga jeszcze klepsydrę temu nie przyszedłby do głowy. Znienawidziłby ich, gdyby nie świadomość, że tak naprawdę

ogląda pełne bólu pożegnanie, próbę pomieszczenia całego życia w kilkudziesięciu pacierzach.

Inna sprawa, że z pacierzy zrobiły się całe szóstnice. Kiedy głośny oddech Curdelii przeszedł w jawne pojękiwanie, a przepocony obrus na dobre przylgnął do poruszających się coraz szybciej ciał, Debren zdał sobie sprawę, że przyszło mu czekać niemal klepsydrę. Niewiarygodne.

Nawet nie to, że tak długo wytrzymali. Nie chciało mu się wierzyć, że wytrzymał Kawbert.

No cóż, widocznie nie on jeden rozumiał, że seans jest niepowtarzalny. Ale w końcu przyziemna rzeczywistość dała o sobie znać.

– Kończcie wreszcie – warknął jasnowłosy. – Bo ogień wykrzeszecie.

Był zły. Może, jak Debren, zdał sobie sprawę, czego nie znajdzie w żadnym zamtuzie. A może tylko nagle zaczęło mu się spieszyć do najbliższego. Debren nie próbował zerkać przez ramię i sprawdzać.

– Zecheniasz, przygotuj się – mruknął.

Zakonnik przeżegnał się, sięgnął po młot, ewidentnie kamieniarski, nie rzeźbiarski. Podnosił go, kiedy Curdelia zaczęła krzyczeć. Obrus opadł, odsłaniając obie głowy, i Debren ujrzał jej oczy.

Nie udawała. To był ten moment. Może tylko wyczekała do samego jego końca. A może po prostu miała podzielną uwagę. W każdym razie rozegrała to dobrze.

Zawinił Kawbert – przesuwał się odrobinę wcześniej w bok. Chyba chciał podejść bliżej, popatrzeć, jak i gdzie uderzy Zecheniasz. Instynkt raczej go nie ostrzegł. Gdyby dopatrzył się błysku w oczach dziewczyny, pewnie użyłby kuszy. Tymczasem niósł ją strzemionkiem w dół i nawet nie próbował unieść wyżej. Musiał mieć głupią minę, kiedy stojący trochę przed nim i trochę na lewo czarodziej skoczył nagle w górę, podrywając w locie kolana i wypinając tyłek.

Debren, który zamiast w wiązkę czaru trafił w próżnię, miał oczywiście dużo głupszą.

Zrozumiał dopiero, gdy tuż obok – ale jednak obok – przemknął przepocony obrus.

– Wstydu nie ma...! – Zecheniasz nie dokończył. Dotarło do niego, że to raczej nie mocny akcent, wieńczący sprośne widowisko. Pewnie pomógł mu w tym widok mknącego śladem obrusa Wilbanda.

Rzeźbiarz był w kalesonach, naciągniętych z powrotem chyba pod koniec aktu miłosnego. Dziewczyna nie miała na sobie zupełnie nic. Być może chodziło o zyskanie dodatkowej chwili – Kawbert był mężczyzną i nie mógł nie zmarnować choćby ułamka momentu, by na nią zerknąć – ale jeśli tak, to pomysł wyjątkowo jej nie wyszedł. Debren też był mężczyzną, a tamten z definicji miał się znaleźć po drugiej stronie pocisku. W każdym przypadku dostatecznie dużego, by przesłaniał uroczy widok.

Czarodziej przegapił zmianę we wzajemnym ustawieniu ich trojga i spudłował. Obrus chyba trafił. Ale Wilband już znowu nie.

Zderzyli się z Debrenem, odbili na boki jak para kul. Jedyna korzyść, że magunem obróciło. Zdążył dostrzec, jak biel płótna oblepia starszego z braci Rimel i jak młynkujący rozpaczliwie rzeźbiarz sięga jedną z rąk miejsca, pod którym tamten powinien mieć szyję.

Zabrakło chyba niewiele. Dwa palce miernicze dalej i mocne, zręczne palce Wilbanda wpiłyby się w krtań przeciwnika, wyhamowały pęd. Może zresztą zawinił obrus, deformując cel i utrudniając pewny chwyt. Ale Debren nigdy nie miał powiedzieć złego słowa o tym mocno zużyтым, pełnym starych plam postawie lnianego płótna. Grdyby nie on, bełt przebiłby go pewnie w samym środku.

Kawbert spanikował na rozsądny, godny żołnierza sposób: strzelił do przeciwnika, którego uznał za groźniejszego. Do

czarodzieja. Całkowite oślepienie i efekt zderzających kul sprawiły, że posrebrzany grot przeszedł bokiem. Z grubsza biorąc. Zrywając się z kolan na równe nogi, Debren dostrzegł kątem oka czerwoną plamkę na prawym rękawie. Nieważne. Miał dużo większe zmartwienia.

Wilband, choć udało mu się mocno wyhamować, przemknął obok ramion swej niedoszłej ofiary i upadł daleko z tyłu. Przegrywali.

Pod obrusem Kawbert sięgał po kord. Na szczęście nie przyszło mu do głowy, że zmarnował pocisk i Debren żyje. Zawirował w spóźnionym piruecie, ciął w bok i za plecy, gdzie znajdowałby się Wilband, gdyby Curdelia potrafiła porządnie obchodzić się z telekinezą. Chybił i nie tracąc czasu, skoczył w lewo, w stronę Zecheniasza. Kiedy zerwał płótno z twarzy, Debren ujrzał malujące się na niej zaskoczenie.

To go ocaliło. Kawbert próbował pchnąć, ale był już oko w oko z żywym, a nie ustrzelonym przez siebie z kuszy czarodziejem i nie zdążył odpowiednio ustawić ostrza. W ostatnim momencie ciachnął nim z góry w dół, gładko, efektownie, lecz mało efektywnie rozcinając lewy rękaw czarodzieja.

Debren, równie spóźniony, trzasnął go czołem między brwi i runął na ziemię. Próbował trafić niżej, w nos, co być może zakończyłoby walkę. Nie udało się.

Na szczęście co nieco osiągnął. Kawbertowi mimo wszystko zdrowo się dostało. Zachwiał się, omal nie upadł. Zecheniasz zyskał dostatecznie dużo czasu, by przyskoczyć, przyłożyć młotem. Nie przyskoczył.

– Trzymaj go! – wrzasnął pełznący pośpiesznie Wilband. – Trzymaj! Debren nie miał czym. Nie czuł żadnej z rąk. Opaski były spod Ylkojewa, gdzie korzystając ze ślimaczącego się obleżenia, każdy, kto mógł, testował nowe rodzaje broni i wyposażenia. Trudno powiedzieć, na ile dobrze odcinały dopływ krwi do kończyn, ale trzeba przyznać, że wojskowi

chirurdzy doczekali się w końcu skutecznego znieczulacza do amputacji.

Mógł co najwyżej próbować powtórzyć cios głową. Raczej bez szans powodzenia: tym razem dystans był duży, a on jeszcze nie zdążył wstać. Nim doskoczy...

– Fiknij, Debren! – krzyknęła z tyłu Curdelia. I nawet dała mu na to nieco czasu, ale zanim w ogóle zrozumiał, czego oczekuje, przestała oczekiwać i rąbnęła go tak, jak stał: w pochylone plecy, z głową w przedzie. Jedno, co dobre, że naprawdę potężnie. I niecelnie.

Dopiero zderzając się lewym barkiem z bokiem Kawberta, zdał sobie sprawę, jak mądrze zrobiła.

Rzykowała, że tamten odskoczy, ale gdyby mierzyła w środek sylwetki...

Kark czarodzieja można złamać równie łatwo jak kark zwykłego człowieka, a on nie miał czym zamortyzować zderzenia. Nie byle jakiego: wyraźnie poczuł, jak pęka mu obojczyk. Blondyn też wrzasnął z bólu, ciut za późno, by zagłuszyć trzask łamanej ręki.

Niestety: lewej. Kordu nie wypuścił, nawet gdy potykał się o nadpełzającego Wilbanda i padał na plecy.

Kaleka trzasnął go w nerkę. Powstrzymać nie zdołał. Kawbert obrócił się w locie, ciał kordem. Padli obaj. Wilband poderwał się pierwszy, ale tamten miał nogi, mógł kopać. Nie zatrzymał walącej się z góry furii, spowolnił ją jednak wystarczająco, by zadać kolejny cios. W powietrzu wirował kurz, a obok przelatywała właśnie depholska suknia, więc Debren nie zorientował się, w którym momencie doszło do nieszczęścia. Ale że stało się coś złego, zorientował od razu: na chwilę ośleplął zalany tryskającą nań krwią.

Musiała pochodzić z lewej ręki rzeźbiarza. Prawą Wilband chwycił przeciwnika za gardło. Następny cios sparował łokciem, a przed uderzeniem kordem w plecy na chwilę uchroniła go suknia, w którą obaj się zaplątali. Na więcej nie

mógł jednak liczyć. Obaj mieli po jednej sprawnej ręce. Kawbert wył z bólu, ale to go chyba tylko mobilizowało do dalszej walki.

Debren przeturlał się, wygiął nogę pod dziwacznym kątem, kopnął blondyna pod pachę. Za słabo.

Szarpnął się, zarzucił biodrami, nakrył piętą biceps Kawberta i choć blondyn szybko przełamał zbyt słabą blokadę, zabrakło mu jednak sił, by zrzucić z siebie napierającego nań Wilbanda.

A potem nagle zastygli w bezruchu i tak trwali w chwiejnym, acz stabilnym układzie. Kawbert, miażdżący go swym ciężarem Wilband i zastygły w nienaturalnej pozycji Debren. Wszyscy trzej z napiętymi do granic bólu mięśniami, czekając na osłabnięcie przeciwnika.

Dziwne, ale najszybciej zrozumiała sytuację Curdelia.

– Pomóż im! – krzyknęła łamiącym się ze zdenerwowania głosem. – Nie stój tak! Zecheniasz stał. Debren, wygięty niemal w mostek, widział go dość wyraźnie.

Zakonnik miał na twarzy wyraz zadumy.

– Kościół się do bójk nie miesza – powiedział szokująco powoli, szokująco spokojnie i szokująco nie na temat. – Nie wymagajcie ode mnie, pokornego...

– Rusz dupę!!! – zawyła. – Bo cię o mur rozgniotę!!! Trzeba mu oddać sprawiedliwość: nie przeraził się.

– Wbrew interesowi społecznemu bym postąpił – wyjaśnił.

– Mam już akt darowizny. Wspólny z Kawbertem. Jak go teraz ubijecie, to...

– Transport... gratis – wycharczał mocno przyduszony przez Wilbanda Kawbert. – Po... pomóż.

– Sama słyszysz – podchwycił Zecheniasz, nie ruszając się jednak z miejsca. – Od lat się borykam z dostawami wody, to wiem, jakie to ciężkie przedsięwzięcie. A on chce własnym sumptem...

– Rodakowi nie pomożesz? – stęknął Debren. – Jego dziad

naszych mordował! – Akurat jego dziad tego nie robił – nie dał się podejść zakonnik. – Słyszałeś: w Dolnogadacji służył, w regularnej armii. A dziad Wilbanda był w SiS, i to w samej Oszwicy.

– Ty... skurwysynu – warknął kamieniarz. – Jej życiem... Zabiję cię, jak z tym skończę! – No i wnuka też nie lubię – dodał Zecheniasz. – Sam widzisz, Debren. Niełatwy wybór. Muszę pomyśleć.

– On nas zabije! – jęknął kopnięty w pośladek czarodziej. Było ich dwóch, ale mieli dokładnie tyle samo kończyn co ich przeciwnik: dwie sprawne nogi i jedną sprawną rękę. A Wilband był ranny. Chyba mocno, sądząc po ilości krwi, którą zdążył wszystkich upaprać. – Albo wy jego – zauważył przytomnie zakonnik.

– Zecheniasz!!! – wydartą się Curdelia. – Ostatni raz cię ostrzegam!!! Pieprznij go młotem albo ja ciebie tak pieprzę...!!! – Ba. Ale którego? Wygląda, że sam Bóg powinien rozsądzić...

Stopa, w samej tylko onucy, ale cholernie twarda, trafiła Debrena w szczękę. Omal nie stracił języka, na chwilę znowu oślepl. Nogi spadły z ramienia Kawberta, kord, kiedy go ponownie ujrzał, opierał się o gardło Wilbanda. Oczy blondyna – teraz, gdy twarz nabrzmiała krwią i tępą furia, naprawdę świńskiego – zachodziły już mgiełką, ale widać było, że ostrze wygra wyścig ze stalowym chwytem dłoni kamieniarza.

Dżuma i syfilis. Zaraz potem umrze on sam. I Curdelia. A Lenda skończy jak ta w bramie.

– Ujęcia nie masz! – krzyknął w przyływie paniki i olśnienia zarazem. – Klimat się ociepla przez te wszystkie kuźnie i czary! Za rok źródło może całkiem wyschnąć, a bez zgody Curdelii kopać tu nie będzie można! Pierwsze krople krwi kapnęły na wykrzywiającą się triumfalnie twarz Kawberta.

Debren nigdy by nie uwierzył, że ktoś taki jak Zecheniasz potrafi tak sprawnie posłużyć się ćwierćcietnarowym młotem.

– Widać Bóg tak chciał – powiedział z powagą Zecheniasz, zamykając szkliste oko Kawberta. Tylko jedno: drugie, wraz z połową twarzy, praktycznie znikło, tworząc ohydną, krwawą papkę mięsa, zębów i kości. – Nawet mnie ciężko się czasem połapać, czego od nas oczekuje.

Debren siedział ze skrzyżowanymi nogami, uspokajał oddech i patrzył do góry, na blanki. Wyglądały dziwnie pięknie na tle błękitnego nieba, a świadomość, że cudem przeżył, pozwalała mu pełniej delektować się ich widokiem, ale bardziej chodziło o to, by nie patrzeć na trupy i nagie dziewczyny. Wilband pozbierał się zaskakująco szybko i pierwsze, co zrobił, to powłókł się do Curdelii z obrusem w zębach – ale już u celu zwałił się bez przytomności na bosc nogi ukochanej i pani na zamku Dopschpick zamiast sobą, zajęła się opatrywaniem jego paskudnie rozplątanej dłoni.

Nie za dobrze jej szło: pracę utrudniały lejące się z oczu łzy, dobra jakość obrusu, który musiała rwać zębami, no i fakt, że w przerwach między kolejnymi szarpnięciami korzystała z każdej okazji by całować pacjenta. Debren nie próbował wstawać i proponować pomocy. Z tego, co podejrzwał, z krwotokiem uporała się szybko. Więcej podglądać nie zamierzał. Widok jej piersi i bioder mógł i jego powalić bez przytomności. Była przeraźliwie niebezpiecznym zestawieniem dziecięcej niewinności z aż nadto dojrzałymi kształtami kobiety, ale problem leżał głównie w tym, że Kawbert, wbrew pozorom, trafił. Dwa razy i dobrze.

Strzała przebiła na wylot prawy biceps. Daleko wprawdzie od kości, więc nie powinno być tragedii, ale spora część krwi, wsiąkającej w pobjowisko, należała przedtem do maguna. Niewiele mniej wypłynęło z lewej ręki, rozciętej jeszcze płycej,

za to od ramienia niemal po łokieć. W obu przypadkach zupełnie nie czuł bólu – opaski promieniowały zaskakująco daleko – ale kręciło mu się w głowie i czuł, że balansuje na granicy omdlenia. Zecheniasz, chyba nie bez satysfakcji, odciął kordem rękaw już i tak zakrwawionej depholskiej sukni i przewiązał rany.

W końcu doczekali się.

– Może by tak który podał wózek? – dobiegł go cierpki i szczęśliwy zarazem głos Curdelii. – Nie widzicie, że ranny został? Debren podniósł się, zrobił parę kroków i omal nie upadł. Zawirowało mu w głowie. Ciemne brwi hrabiny ułożyły się w gniewne, spłaszczone „V”.

– Psiamać, Zecheniasz! Przecież on jest cały we krwi! Boże, obie ręce... Chodź tu szybko, Debren, chcę to obejrzeć! Znam się trochę na ranach, w kopalni sporo... No, pomóż mu, kretynie! Nie widzisz? Ledwo się trzyma na nogach.

Nie było tak źle i zakonnik ostatecznie poszedł po wózek, ale Debren z przyjemnością dał się usadzić obok owiniętej resztkami obrusa dziewczyny i zbadać jej delikatnym dłońmi.

– Wszystko przeze mnie – mruzczała, zrywając opaski zaciskowe i kawałki sukni. – Stara a głupia.

Chłopi, dobre sobie... Taki czarodziej, nawet wezyracki, za byle miedziaki nie weźmie podobnej roboty. Dawno się powinnam była zorientować, że to moi kochani kuzyni. Zwłaszcza że przez tyle czasu nikt tu nie zaglądał.

– Chcieli, żeby śmiercią naturalną – powiedział cicho oparty o skałę Wilband. Dziewczyna nie przesadzała, mówiąc, że zna się na ranach: wyglądał zaskakująco dobrze. Może rana nie była aż tak poważna, jak się Debrenowi wydawało. A może po prostu z Wilbanda, pomijając nogi, był chłop na schwał. Magun pomyślał, że tych dwoje tworzy oryginalną parę: on miał biceps jak ona talię. Ale pasowali do siebie. W spojrzeniach, które raz po raz wymieniali, nie było już żaru

głodnych siebie kochanków. Było ciepło pary ludzi, którzy doznali fizycznego zaspokojenia i są pijani odkryciem, że potem też może być aż tak dobrze.

Zazdrościł im.

– Ja też dureń jestem. Szczur z ziarnem na piętrze... A Udebold wyraźnie mówił o nieskromnie wyglądającej kuzynce. Nie, że zgniła leży, że nieskromnie wygląda. Niby skąd wiedział, żeś przerobiła suknię na sznur? No, było, minęło – westchnął. – Ale urządzili nas nieźle. Teraz to naprawdę trzeba posłać Zecheniasza po odsiecz. Hej, braciszku! Siodłaj muła i gnaj do Morbugera.

Niech tu przyjedzie i urzędowo stwierdzi, że hrabina żyje.

Spóźnił się: Zecheniasz już dociągał popręg.

Kiedy gotowy do drogi muł stanął pod kołowrotem, mnich zawrócił i pochylił się nad siedzącą trójką.

Miał zatroskaną twarz.

– To jak będzie z tym ślubem? – zapytał prosto z mostu. Dwa oblicza w mgnieniu oka znacząco pociemniały, sztywniejac zarazem. – Bierzecie czy nie? – A... bo co? – wyręczył tamtych Debren.

– Bo póki jestem, mógłbym dać. Po misjonarce wśród dzikich uprawnienia mi zostały. Raz, dwa i byśmy to mieli z głowy. Curdelia, nagle spłoszona, nie patrzyła na Wilbanda. Wilband, nagle sposepniały, unikał spoglądania w jej stronę. Debren poczuł, jak wraz z czuciem w rękach – i bólem – wraca przygniatająca świadomość własnej odpowiedzialności.

Coś musiał z tym zrobić. Właśnie, cholera, on. Wyraźnie tego oczekiwali.

– Byśmy? – Na początek wziął się za to najłatwiejsze.

– Nie ukrywam – wzruszył ramionami zakonnik. – Dla Kościoła tak byłoby lepiej. Sprawa klarowna: jest mąż, jest zgoda męża, nikt nie zakwestionuje darowizny pod pretekstem, że samotna, omotana przez charyzmatycznego misjonarza wdowa wyzbyła się takiego wielkiego dobra. Bo

trzymam za słowo: ma tu być porządne, wysokowydajne ujęcie wodne, przynajmniej na parę beczek dziennie. Żadne tam ssanie przez rurkę winną. Spory kawałek dziedzinka na to pójdzie. Więc pomyślałem, że jak Wilband się ożeni i podpisze, to już sam diabeł...

– Rozumiem – przerwał mu sucho Debren. – Rozsądne podejście. Gdybyś spotkał Boebbelsa, będziemy mieli dodatkowy argument: nie wypada zabijać żony kościelnemu podwykonawcy. Bo, jak rozumiem, do robót wynajmujesz Wilbanda? I do nadzorowania wydobycia? Zecheniasz zerknął na rzeźbiarza, uśmiechnął się chytrze.

– Życie mu ocaliłem, więc nie zedrze jak inni... Tak, Debren, dobrze zrozumiałeś. A że tu masz i dach nad głową, i wikt z opierunkiem, Wilband, to bądź łaskaw nie wpisywać owych punktów do kosztorysu, jak to mają w zwyczaju twoi konfratrzy.

– Zaraz... – zaczęła Curdelia.

– Chwileczkę... – zaczął Wilband. Debren uciszył oboje, unosząc dłoń. Z trudem, ale już mógł unosić. Tyle że bolało jak diabli.

– Czasu nie ma – warknął. – Sami widzieliście, ile się może zdarzyć, gdy się człek zupełnie nie spodziewa. A Boebbelsa się spodziewamy. Więc krótko: kochacie się? Curdelia pierwsza kiwnęła głową. Zdecydowanie, omal nie powodując opadnięcia owiniętego wokół piersi obrusa. Wilband był bardziej wstrzemięźliwy, ale nikt, kto na niego patrzył, nie pomyliłby owej wstrzemięźliwości z brakiem przekonania.

– No to problem z głowy – ucieszył się Zecheniasz. – Welonów, wianków i inszych dziewiczych rekwizytów, jak rozumiem, nie potrzebujemy; nie po tym, coście właśnie... Załóż portki, Wilband, i możemy zaczynać.

– Zaraz – powstrzymała go dziewczyna. Dużo więcej wysiłku kosztowało ją powstrzymywanie łez. – Ja... nie wiem, chyba się rozmyśliłam.

– Ja też – powiedział szybko Wilband. – To znaczy... na odwrót. Znaczą: podtrzymuję to, com mówił. Że to nie ma sensu. Nie jestem godny Curdelki.

Zecheniaszowi z lekka opadła szczęka. Debrenowi nie. Trochę dlatego, że ugodzona słowami rzeźbiarza dziewczyna pochyliła nisko głowę. I odsłoniła kawałek skały, którego i przedtem nie zasłaniała cały czas, ale który czarodziej jakoś przegapił.

– No to... – pociągnęła nosem – to po sprawie. Może lepiej pomówmy o poważniejszych...

Debren otrząsnął się z krótkotrwałego paraliżu. Zdołał nawet przenieść spojrzenie na jej twarz.

Choć głównie grzywkę dało się obejrzeć.

– O poważniejszych zaraz – mruknął. – Swoje motywy przedstawiłaś, więc tylko jeszcze jedno. O czymś zapomnieliśmy. Kochasz go, są powody. Ale może być tak, że wstaniesz kiedyś spod tej skały. Co wtedy? Uniosła głowę. Debren myślał, że pozazdrościł już kamieniarzowi wszystkiego, co było do pozazdrozczenia. Mylił się. Za takie niezrozumienie w wielkich, zdziwionych oczach oddałby...

– Co wtedy? – Nie była głupia, w końcu się domyśliła. I oblała pąsem. – O Boże, myślisz, że tylko dlatego...? Że jak będę mogła obwozić zadek po świecie i nastawiać go komu zechcę, to Wilbanda jak zużytą onucę, na śmietnik?!

– Tak bym tego nie ujął – uśmiechnął się pod nosem.

– Hrabina to honorowa niewiasta – zaniepokoił się Zecheniasz. – Uczciwość nie pozwoliłaby jej...

– Plwać na uczciwość! – Obrus znów omal nie spłynął z rozfalowanej od gniewu piersi. – Nie rozumiecie?! Kocham go! Jego, a nie jedyne, co się na mnie połakomił! Jego! Tu, na skale, a jak Bóg da, to może kiedyś w łóżku! Na wozie, pod wozem, na dyszlu od tego cholernego wozu...

– Co ty z tym wozem? – wymamrotał porażony siłą jej reakcji Wilband.

– Bo kupię, jeśli będziemy mogli się stąd ruszyć! Najlepszy! Będę cię obwozić po okolicy i pokazywać babom najlepszego męża, jakiego ta okolica widziała! A jak która coś o brakujących nogach piśnie, to tak jej... – urwała, nagle zmieszana. – To znaczy... bym. Mówię, co bym... gdybym za ciebie wyszła. Czego jednak nie...

– ...zrobisz? – dokończył Debren. – No, tu mamy jasność. A ty, Wilband? Też na niepewnego konia stawiasz. Curdelia może umrzeć. Albo żyć długo, ale zrosnięta ze skałą. Zastanów się: potrafisz latami opiekować się kimś takim? Pielęgnować, wynosić nieczystości, może patrzeć, jak powolutku sztywnieje, zmienia się w kamień? To ogromne wyzwanie. Zwłaszcza że bogaci chyba nie będziecie. To praworządny Wehrlen, nikt was z zamku nie wyrzuci czy włości, ale przy takich właścicielach, obojgu kalekich, majątek przyniesie tyle, co na podatki. Może dalej wrony będziesz jej musiał i szczury podawać.

– Ale gotowane – powiedziała Curdelia. – Ugotujesz mi szczura, Wilband? Przełknął z wysiłkiem ślinę. A może łyzy, wylane po męsku, do środka.

– Zawsze chciałem swej wybranej... Dom, kwiaty, na rękach nosić... A jeszcze taka jak ty... Rycerza jesteś godna. Najlepszego, takiego, co już miejsca na kopii nie ma, tyle mu się dam ze wstążkami narzucało... A ja...

– A ty mi ugotujesz szczura, jak będę głodna – powiedziała, kładąc maleńką dłoń na jego wielkiej łapie. – Mam w rzyci rycerzy z kopiami. A pod rzycią kamień, na który w końcu zjedzony szczur trafia i z którego trzeba go własną ręką zeskrobywać. Psią skórę wybranemu mogę oferować, nie pachnącą wstążkę. Nie potrzebuję rycerza, Wilband. Ciebie potrzebuję. Tak bardzo, że aż nie powinienesz zostawać. Bo jeno kłopoty ci wniosę w posagu. Uśmiechnął się. Debren dawno nie widział takiego ładunku ulgi w ludzkim uśmiechu.

– A, chyba że tak. No to niech będzie. Zecheniasz, dawaj ten

ślub.

Pisnęła radośnie, dokładnie tak, jak przystało na niespełna czterostopową istotę płci żeńskiej, przechyliła się, zarzuciła mu ramiona na szyję, przywarła ustami do ust. Obrus w końcu nie wytrzymał. Na szczęście Wilband popisał się reflekssem, osłonił piersi własnym torsem.

Debren odczekał, aż skończą. Nie chrząkał, nie ponaglał, choć całowali się skandalicznie długo. Nie wiedział, jak to powiedzieć. A musiał. Zecheniasz już wracał z egzemplarzem Księgi Świętej i z uroczystą miną.

– Co? – Kiedy wreszcie skończyli, Curdelia natychmiast wyłowiła coś w jego spojrzeniu. – O co chodzi? – Nie dała mu szansy przemówić. – Dzieci, tak? Chcesz powiedzieć, że nie...

– Dzieci? Nie, nie o tym... – Zawahał się, przeprosił Wilbanda wzrokiem i ostrożnie wsunął dłoń pod dolny skraj obrusa. Nawet się nie zarumieniła.

– Hej, a cóż to? – zdziwił się nieprzyjemnie zakonnik. – Pannę młodą macasz, i to w takim miejscu? Następny bezbożny trójkąt się komuś zamarzył?

– Zbożne potomstwo – wyjaśnił szybko Debren. Jeszcze szybciej zabrał rękę spomiędzy rozchylających się dziewczęcych ud. – Przestrzeń jeno sprawdzałem, skoro padło pytanie. Czy w razie czego między skałą a... no, czy jest dość miejsca, by niemowlę wyjąć.

– Planujecie dzieci? – Twarz Zecheniasza rozjaśniła się. – Ha, wiedział Bóg, co czyni, przysyłając mnie na tę górę! Dwa beznadziejne, zda się, przypadki, a tu proszę! Znakomicie, Wilband. Staraj się. To ją postawi na nogi. Że tak powiem – dodał w przyływie realizmu.

Oboje chcieli coś powiedzieć, ale oboje nie wiedzieli właściwie co, więc Debren bez trudu zabrał głos.

– Nie chcę nikomu stwarzać niepotrzebnych złudzeń – zaczął ostrożnie. – To niczego nie dowodzi. Ale w jednym Zecheniasz ma rację: jeśli coś może postawić Curdelię na

nogi, to to właśnie.

– Mam zajść w ciążę? – Pokraśniała, raczej na radosny sposób. – Mówisz poważnie? – Powiedzmy: zachodzić – uśmiechnął się mimowolnie pod nosem. I od razu spoważniał. – Wygląda na to, że uboczne efekty orgazmu... Bo nie udawałaś, mam nadzieję? – Dopiero ten rumieniec był stosowny do okoliczności. Ale w energicznym potrząśnięciu głowy znów objawiła się cała Curdelia, sławetna rozpustnica, co to męża posłała na śmierć wraz z łóżem i nałożnicą. – Wybacz pytanie, ale to z Kawbertem... No, ale to dobrze, że akurat przy Kawbercie. Bo nie mogłaś się na własnych doznaniach skupić, musiałaś na walkę szykować. A mimo to przeżyłaś. I to śpiewająco.

– Śpiewająco? – Nic nie rozumiała.

– Ryczałaś na Zecheniasza, że aż strach było słuchać. Całkiem nie jak umierająca kobieta. – Uśmiechnął się, starając się nie myśleć o odniesionych obrażeniach, a potem uniósł rękę, dotknął kamienia za jej głową. – Ta szczelina... Wilband, ty jesteś fachowiec, masz oko na takie rzeczy. Była, sam nie wiem, ale nie taka, prawda? Pękła, tak? Pękła skała? Wilband nie od razu zrozumiał. Ale kiedy wreszcie zrozumiał, wgryzł się w niepozorną rysę.

Dosłownie. Z początku używał wprawdzie rąk – także tej zranionej – ale skończył zębami. I nimi też wyrwał ułamaną końcówkę tkwiącego w skale bełtu.

Kiedy opadł z powrotem na pośladki, na nosie miał świeże zadrapania. I wyraz oszołomienia w oczach.

– Na pół stopy w głąb – wymamrotał. – Kamieniarz by lepiej nie... Debren, czy to znaczy...? Przedtem to była mała rysa; pękło, po zapachu poznam... Czy to znaczy...?

– Nie wiem – przyznał magun. – Nie na pewno. Ale rokowania są... no, dobre. Nawet bardzo. Tak bardzo, że zalecałbym mały, lekki młotek, przecinak i dużo cierpliwości. Bełt utkwiał tuż przy ciele, najwyżej półtorej stopy od zrostu.

A ona nic, nawet nie jęknęła.

– Zaraz. – Curdelia drgnęła. – Ta strzała...?

– Zastąpiła młot. Nie w sile problem, a w zrywaniu połączeń nerwowych na znacznym obszarze. Skala pękła. Mocno. A ty żyłaś i miałaś dość wigoru, by wygrażać Zecheniaszowi.

– Bóg potrzebuje tego źródła – podał logiczne wyjaśnienie zakonnik.

– Że złodzieje zawsze od drabów miejskich są szybsi i mądrzejsi, tom wiedział – pokręcił głową Debren. – Ale że od medyków... Kto by pomyślał. Wystarczy zwykłe dudkanie i...

– Zwykłe nie wystarczy – uśmiechnęła się leciutko. – Trzeba jeszcze kogoś kochać. Strasznie mocno.

– Popatrzyła z czułością na wciąż oszołomionego Wilbanda, odetchnęła pełną piersią, błysnęła odbitym od oczu blaskiem wieczornego słońca. – Czyli... będę chodzić? Debren? Będę?

– No... zakładów bym o to nie czynił, ale raczej... Słuchaj, nie mogę ci powiedzieć, że tak, bo zaniedbacie ostrożności albo zacznie wam się spieszyć, albo... – urwał, zdając sobie sprawę, że to ostatnie nie wchodzi w rachubę. Patrzył z boku, widział lepiej. Tylko Wilband był na tyle głupi, by blednąć w takiej chwili.

I mówić takie rzeczy.

– To zmienia postać rzeczy. – Wargi mu zdrętwiały, ledwie nimi poruszał. – W takiej sytuacji oczywiście...

– ...dasz nam natychmiast ślub – zwróciła się do Zecheniasza dziewczyna. – Bo, póki co, nie mogę ruszyć zadka spod tej skały, a jestem tylko odpychająca, ani trochę nie pociągająca. Nie zatrzymam go, jak zechce odjechać w siną dal, kretyn jeden. A bez niego tu zdechnę jak bezpański pies. Obojętne: na siedząco czy na stojąco. Nic nie mów, Wilband. To mój zamek, póki co gościem jeno jesteś i masz trzymać gębę na kłódkę, kiedy ci każę milczeć. Powiesz: „Tak”, kiedy

dam znać. Nie chcę słyszeć żadnego słowa więcej. Czy to jasne? Wilband kiwnął głową, że tak. Ale tak naprawdę, to jasne były tylko jego oczy.

– To wąskie drzwi – powiedział niepewnie Wilband.

– Do skutku – przypomniała Curdelia. – Trzy... cztery... pięć...

Bolec pod strzemię kuszy znajdował się przed dźwignią silnika, a Wilband nagle zaczął się spieszyć. Debrena nie zdziwił zbytnio widok lądującej na ziemi kuszy. Wilband zaklął, wychylił się, by ją podnieść. Wózkiem zakolebało, ale na szczęście się nie przewrócił. Curdelia doliczyła do dwudziestu czterech, nim drżący z wysiłku Wilband przeciągnął ciężką nad zapadką i ciche szcęknięcie potwierdziło, że broń jest gotowa do strzału. – Nie tak źle – sapnął kamieniarz.

– Dwadzieścia pięć – rzuciła wiedźma bezlitośnie. – Te drzwi to Boebbels, mężu. Masz go zabić, nie rozśmieszyć. Dwadzieścia sześć...

Drzwi szopy były oddalone zaledwie o kilkanaście sążni, ale i tak wystrzelony w końcu pocisk ledwie się zmieścił w ich świetle, dziurawiąc deskę tuż przy dolnym zawiasie.

– Jakby się rozkraczył, w kostkę byś go trafił – oceniła dziewczyna, nie kryjąc szyderstwa. A raczej, zdaniem Debrena, mocno owo szyderstwo podkreślając. – Dwa pacierze, Wilband. Można powiedzieć, że już wdowa jestem.

Rzucił jej mroczne spojrzenie.

– Dwóch nas będzie – wskazał Debrena.

– Debren w ogóle nie dał rady napiąć – przypomniała.

– Bo nie czarowałem – bąknął magun.

– To podludnik. Nie sugeruj się tym „nad” przed tytułem. Wiedźmę czy Pazrelitę też czasem usiecie, ale żyje z zabijania prawdziwych potworów. Mutację przechodził, może

i niepełną, ale na takich połamańców jak wy i taka wystarczy. Jest szybki, widzi po ciemku i zna się na zaklęciach bojowych. Nie wiem, może nie na tych twoich. Ale musimy liczyć, że magią się nie wspomozesz.

– Jak tak zaczniemy liczyć – powiedział spokojnie Debren – to pozostaje nam wiara w Zecheniasza i szybką odsiecz.

Wilband ze złością rzucił kuszę na ziemię, sięgnął do tyłu, machnął im przed oczyma jednym z lżejszych młotków.

– Tym go poczęstuję – warknął. – Niech ci będzie: z kuszy jedną ręką nie poradzę. Ale młotkiem to z dziesięciu sążni... – Boebbels ma kuszę – przerwała mu. – Z tego, co słyszałam, więcej potworów z niej ustrzelił, niż mieczami usiekl. Owszem: głównie dlatego, że potwory dumne nie są i na widok podludnika zwykle nogę dają. Ale faktem jest, że umie strzelać i nie brzydzi się bełtem spraw rozwiązywać. Zobaczysz was dwóch, w tym czarodzieja, więc przynajmniej pierwszego...

– Myślałem o tym – przerwał teraz on jej. – Masz rację, miła. I właśnie dlatego sam to zrobię. – Obliznął lekko zaschnięte usta, posłał chmurne i trochę wyzywające spojrzenie stojącemu z boku Debrenowi. – Ja go znam. Próżny jest, głodny sławy. Lubi, jak o jego wyczynach po karczmach prawią. I chyba wiem, co zrobić, by o Curdelii zapomniał. Wyjadę mu naprzeciw, pozwę. Sam. Tylko on i ja, pojedynek. Prostak jest, zawsze mu imponowały rycerskie obyczaje, choć publicznie je wyśmiewa.

Mężem hrabiny jestem, więc trochę jakby rycerzem. Panem na zamku. O honor żony go pozwę. Nawet jak mnie zabije, to potem nie będzie mu wypadało Curdelii prześladować.

Debren zmarszczył brwi, zastanawiał się chwilę.

– Od strony psychologicznej – stwierdził w końcu – to ma sens. Rzeczywiście: głupio by było jeszcze i wdowę...

– Miło, że o tym wspominasz – uśmiechnęła się z pozorną słodyczą. – O wdowieństwie.

– A bój będzie ręczny – zdecydował Wilband, wyjmując spośród młotków sakwę na bełty i dorzucając do leżącej na ziemi kuszy. – To szansę wyrówna.

– Nie mam zamiaru być wdową – rzuciła przez zęby.

– Nie będziesz – zapewnił z prawie szczerym przekonaniem. – Może i nie mam nóg, ale sił to mi nie zabraknie.

– Zrobimy to po mojemu: zamkniemy bramę i będziemy się bronić w zamku. Kupą. Kapaka nie ma, jak tylko łeb nad blanki wychyli, to tak mu przywałę... Znalazłeś to zwierciadło, Debren? – Czarodziej kiwnął głową. – No, to jest czym walczyć. Ciężkie, więc na szyi sobie będziesz musiał uwiesić, ale za to będę miała moc jak mały taran. Duża powierzchnia odbicia, lustro gładkie, z Genzy, rozpraszać nie będzie. No i szerokie pole widzenia. – Curdelio – powiedział cicho – jeśli każemy mu szturmować zamek, to przyjdzie nocą. Nie zapominaj, że przesłuchał Indorową. I że twój talent jest powszechnie znany. Gdybym to ja miał... Jeśli baba wytłumaczyła mu dokładnie, gdzie siedzisz, wybierze osłonięte miejsce. – Potoczył wzrokiem po murach. – Za bramą, od wschodu. Albo jak ja, od zachodu. Miałaś lustro, jak Indory tu były? – Nie użyłam – powiedziała szybko. – A jak się dopytywali, po co mi to, to o urodzie zełgałam. Że niby muszę dobrze wyglądać, jak jaki ratownik się zjawi. Więcej nie pytali, więc pewnie...

– Ale piszczel widzieli? – trącił cizmą kościane przedłużenie uchwytu. Zacisnęła ponuro usta. – Słuchaj, Boebbels to podludnik. W tej profesji szczegóły są ważne, każdy o życiu przesądza. On jest uczulony na takie niby drobiazgi. A lustro z ludzką nogą to dziwoląg. Indorową na pewno je zapamiętała i jeśli dokładnie ją wypytywał, to na pewno o nim wspomniała. Może się domyślić, do czego go używasz. Zwłaszcza że to miejski podludnik. W miastach, lochach konkretnie, o bazyliuszki nietrudno. Co drugi bogatszy

kupiec nielegalnie w piwnicy hoduje, by mu dobytku przed złodziejami gadzina strzegła. Nie mówię, że zawodowy podludnik lustrem wykańcza te, które zamiast złodzieja gospodarza pożrą, ale pewne jest, że każdy doskonale zna metodę lustrzaną. Stąd wiedza o bojowym zastosowaniu luster.

– Mógłbyś się skracać?

– Proszę. Boebbels zaatakuje tak, byś go jak najpóźniej ujrzała. Pewnie przez dom. A potem pierwszy bełt pośle tobie właśnie. Bez urazy, ale za słaba jesteś, by wygrać z kimś, kto ma kuszę i wie, jak strzelać. Mnie nie zabiłaś, choć bezbronny byłem i właściwie nie czarowałem.

– Wybij to sobie z głowy – poparł Debrena Wilband.

– Najwyżej razem zginiemy – popatrzyła mu w oczy.

– Jesteś moją żoną – odwzajemnił spojrzenie. – Mam cię bronić, a nie pod ostrzał wystawiać. To męska robota. Krutza sama na turnieje wyprawiałaś. – Zaczerwieniła się, chyba przewidując dalszy ciąg. – Nie upokarzaj mnie. Nie mam nóg, ale mam honor. Milczeli. Oboje jednakowo świadomi, że nie dojdą do porozumienia.

– Jak to sobie wyobrażasz? – zapytał cicho Debren.

– W sieni widziałem kopię – uśmiechnął się blado Wilband. – To nie włócznia, ale... A włócznią w swoim czasie całkiem nieźle robiłem. Pamiętacie, jakem do cechu próbował wstąpić. Krótsza była, fakt, ale w pierścień wiszący to i z postoju, i z ruchu, osiem razy na dziesięć trafiałem. Inni do szóstki ledwie dociągali.

– Miałeś dwie ręce – przypomniała dziewczyna. – Co zrobisz, jak Boebbels stanie pół stopy dalej, niż grot sięga, i zacznie kuszę napinać? Wilband uśmiechnął się dość paskudnie.

– Myślisz, że wyszłaś za idiotę? – Uniósł poowijaną szarpkami rękę. – Gdybym mógł nią silnik obsłużyć, dawno by mnie tu nie było. Wyjechałbym łajdakowi naprzeciw i na

przełęczą go... Ale nie bój się. Pomyślałem o wszystkim. Mam plan.

– Jest nas troje niepełnosprawnych, a Boebbels to zawodowy morderca – powiedział Debren. – Curdelia w jednym ma rację. Kupą musimy to zrobić.

– Udział mojej żony – rzucił hardo Wilband – ograniczy się do przepasania mnie wstążką. Nie sądzę, by po Boebbelsie ktoś się jeszcze trafił, kto ją krzywdzić zechce, a ze mną w szranki stawać. To zapewne pierwsza i ostatnia okazja, by ktoś dla Curdelii rycerski bój stoczył. Nie odbieraj jej więc tej przyjemności. Jest wspaniałą kobietą i zasługuje na porządny pojedynek.

– Nie mam wstążki – zauważyła szybko i przytomnie trochę dumna, bardzo szczęśliwa, ale przede wszystkim mocno przestraszona Curdelia. – Nic, co byś mógł do kopii...

Podjechał bliżej, pochylił się, ujął wykuty przez dziadka krasnoluda medalion, bardziej przypominający trójramienną gwiazdę oprawioną w koło niż symbol męki Zbawiciela.

– Mówiłaś – uśmiechnął się – że szczęście przynosi.

– On... na szyję ci nie wejdzie – rzuciła płacliwie. – Wilband, ja nie chcę... Zginiesz, a ja już nie umiem... Zdjął jej delikatnie srebrne koło, próbował zawiesić na piersi. Bez powodzenia: miała rację odnośnie szyi.

– Lepiej nie – mruknął Debren. I wyjaśnił: – To będzie wyglądało jak amulet. A amulety budzą czujność. Spójrzmy prawdzie w oczy: jak go mamy pokonać, to musi nas trochę zlekceważyć.

– Nie my – poprawił go Wilband. I powiesił trójramienne kółko na bolcu do napinania kuszy, dokładnie przed silnikiem. – Ja. To mój zamek i moja żona.

– A moja przyjaciółka. I nie kocham jej – dodał Debren. – Jak dasz się zabić, nie będzie jej miał kto twej miłości zastąpić. Więc może wysłuchasz mojego planu. Bez obaw: i w nim to ty będziesz walczył. Tyle że ciut ci pomożemy.

Nadjechał jeszcze za dnia. Debren uznał to za dobrą wróżbę, choć nie próbował wyciągać daleko idących wniosków z faktu, że ramiona jeźdźca wciąż połyskują purpurą zachodzącego słońca. Raz i drugi zabłąkany promień odbił się także od klingi trzymanego na udzie miecza, a Boebbels wypatrzył jego widoczną między blankami sylwetkę, ledwie wyjechał zza drzew. Nocą byłoby trudniej, ale i teraz nie będzie łatwo.

Profesjonalny zabójca podludzi i potworów. Prawdziwy, z krwi i kości, i stalowych drutów kolczugi.

Maszyna do zabijania. Jako chłopiec Debren na okrągło bawił się w potwory i ich eksterminatorów, ale choć będąc nie za duży i nie za silny, zwykle zostawał potworem, nigdy nie pomyślał, że tę samą rolę przyjdzie mu odegrać także i w realnym życiu.

A teraz zawodowy zabójca potworów wspinał się powoli górską drogą, by go zabić. Dziwacznie potrafią się układać ludzkie losy. Prawdziwy, żywy podludnik. Z obnażonym, trzymanym w gotowości mieczem, który – jeśli wierzyć ludowym bajaniom – mógł skutecznie zastąpić tarczę; zatrzymać nie tylko strzałę, ale nawet bełt. W bajaniach musiało tkwić jakieś ziarno prawdy, bo choć przed sobą i nad sobą Boebbels miał kamienny zamek z co najmniej tuzinem dogodnych stanowisk strzeleckich, jego własna kusza kołysała się beztrząsowo przy siodle.

Debren wspiął się na palce, wychylając na chwilę niemal po pępek, po czym, udając przestach, odskoczył gwałtownie pod osłonę blanku. Niewidoczny z dołu, szybko ściągnął kaftan, przywiązał do końca leżącej obok linki. W momencie, gdy Curdelia szarpnęła za jej drugi koniec, przepychał już głowę przez lekko przyciasny otwór misiury. Stał w szerokim rozkroku, co odjęło mu dobrą stopę wzrostu, i – już opancerzony – znów pokazał się Boebbelsowi.

– Zawracaj! – zawołał niezbyt głośno, nie siląc się, by ukryć lęk. – Czary znam! Na szczęście tamten był blisko. Od bramy dzieliła go prawie cała pętla wokół zamku, ale od Debrena dużo mniej. Widział, co trzeba, i słyszał, co powinien.

– To trumnę sobie wyczaruj! – błysnął zębami nadpodludnik miasta Kolbanc. – Ostrzegałem cię, Lelończyku! Sam się o to prosiłeś! Boebbelsa się nie okłamuje! Z tyłu zaterkotały koła. Cicho. Wilband zastosował się do poleceń, ruszył bardzo powoli. Wciąż było widno i słuch nie odgrywał takiej roli, jak po zmroku. Boebbels pewnie nie czarował przy uszach, nie bawił się w długotrwałe zabiegi z użyciem eliksirów. Nie miał kiedy. Jego koń pokryty był pianą. Pewnie wolałby dowieźć tu pana o północy, w spokojnym, mniej zabójczym tempie. Chwalić Boga, to nie konie rządzą jeźdźcami.

– Wilband ożenił się z hrabiną.

Nie wiało, las był pusty i cichy, Debren nie musiał krzyczeć, by być słyszany. Tylko stukot kopyt z lekka zagłuszał jego słowa. Ale to dobrze. W postukiwaniu podków gubiła się też informacja, że kół jest więcej niż cztery. W końcu Boebbels się dowie, spiralnie zakręcona droga nawet w wybranym miejscu nie była aż tak krzywa, by dało się liczyć na pełne zaskoczenie, ale każdy moment mógł okazać się cenny. Choćby ze względu na kuszę.

– Wiem. – Podludnik nie patrzył na niego: głowa skierowana była w odpowiednią stronę, ale oczy biegały nieustannie, penetrując ciemne szczeliny wieżowych strzel – nic, okienka na poddaszu pałacu, prześwity między blankami. – Spotkałem braciszka. Przy okazji: nie masz już muła. Musiałem łeb mu rozwalić, bo duchownemu nie wypada, a wy się tu pewnie bronić zamierzacie. Ale zbędna fatyga: jaskinie szturmem brałem, z jednym jedynym wejściem, a cóż dopiero takie gówniane zameczki. Nie łudź się: nim się Zecheniasz pieszo do grodu dowlecze, bramy zamkną. Nawet jak strażę

przebłaga i potem kogo trzeba zmobilizuje, przed świtem pies z kulawą nogą tu nie zajrzy. A nocą bez trudu was...

– Obejdzie się. – Magun zerknął za siebie, sprawdził, jak idzie Curdelii. Ręce jej się trzęsły, ale przynajmniej nie gapiała się na jego głupio wypięty tyłek w pocerowanych, przykusych kalesonach.

Dobrze. Byle tylko Wilband nie spieprzył niczego. Raz jeszcze ocenił kąt, upewnił się, czy nie błysnie gołym torsem nad krawędzią muru. Na szczęście misiura miała wielki kołnierz. – Posłuchaj, Boebbels: dziedzic Wilband na udeptaną ziemię cię pozywa, na honorową walkę białą bronią.

Błąd: tamten aż zatrzymał konia. Nawet się nie roześmiał, tak był zaskoczony.

– Że co? Mnie? To gówienko na wózku? – Boebbels zapomniał na chwilę o konieczności pilnowania strzelnic. Gdyby mieli choć jednego łucznika do pomocy... – Kpisz sobie? Czy może w końcu się zdecydował? – Zdecydował? – Już kiedyś śmierci szukał. Powiedział, że jak mu całkiem ten psi żywot obrzydnie, to mi na ciźmy naszcza. Prosił, bym go wtedy jednym cięciem, żeby nie bolało. A z obeszczaną ciźmą byłbym w prawie, nikt by się nie czepiał, ani o zabójstwo, ani o pomoc w samobójstwie. Na starą znajomość naszych rodzin się powoływał, alem mu odmówił. Aż tak pamięci dziadka nie szanuję, by ciźmy do prania dawać. Liną niech się posłuży, jak mu żywot niemiły.

Było cicho. Za cicho. Curdelia i słyszała, i – co gorsze – słuchała. Znieruchomiła pod trupem Kawberta. Debren pomachał ręką, posłał jej rozpaczliwe spojrzenie. Oprzytomniała, rzuciła się do przepychania bezwładnej ręki trupa przez rękaw kaftana. – Motywów nie znam. – Debren znów patrzył za mur. – Ale zaraz tam do ciebie wyjedzie. A ty masz walczyć uczciwie, bez czarowania i kuszy. Bo mu z pomocą skoczę. Ostrzegam, Boebbels: nieźle lewituję. Jak cię we dwóch dopadniemy, on z dołu, ja z góry... Więc bez

żadnych sztuczek.

Koła terkotały dwa zakręty dalej. Szybko. Cholera, za szybko. Mogą nie zdążyć. Odskoczył za blank, zdarł z głowy misiurę, nie czekając na linę cisnął nią w stronę przyrośniętej do skały dziewczyny, skorygował telekinezą. Omal nie spudłował: w ostatniej chwili poderwała zwierciadło na piszczeli, złapała. Kawbert miał już na sobie zielony kaftan Debrena; spodnie i cizmy miał od początku. Kiedy Wilband mijał północno-zachodni narożnik pałacu, druciany kaptur uzupełnił strój nieboszczyka.

Curdelia, przytrzymując zwłoki za nogi, pchnęła je mocą swego spojrzenia, zawiesiła w powietrzu głową w stronę Debrena. Czarodziej szybko sprawdził kąt, wychylając zza muru ledwie oko i ucho.

Miał nadzieję, że Boebbels przegapi jeśli nie jego samego, to chociaż brak rdzawego drutu wokół twarz. Albo po prostu nie zdąży wyciągnąć wniosków. Czasu zostało tyle co nic.

Źle. Nakreślił cegłą kierunki na odpowiednie odcinki drogi, ćwiczyli też kamieniami. Szybko więc zorientował się, że stoi za bardzo w lewo. Cholera. Powinien znaleźć się w prześwicie między sąsiednimi blankami. Przeskoczył.

Trzask łamanej deski. Dobrze, przynajmniej ona... Pękła pod kołami, dając hasło do ataku. Rąbnął dłonią, pokazując Curdelii, w które miejsce celować. Znieczulił się, ale i tak pociemniało mu z lekka przed oczyma.

Nagle zwątpił w sens planu. Dziewczyna nie trafi. Miała problem z kamieniami, a przecież na kamieniach poćwiczyła. Na trupie nie. Kawbert i tak wyglądał niedobrze, gdyby go jeszcze raz i drugi przerzucili przez mur... Nie trafi, nie ma cudów. Rzut na oślep, daleko, droga wąziutka. A jeśli, uchowaj Boże, jednak trafi w drogę – trochę powyżej Boebbelsa, między nim a mknącym z góry wózkiem? Machrusie słodki... Jak mogli zaplanować coś równie idiotycznego?! Ale było za późno.

Kątem oka dostrzegł wypadającą z za drzew beczkomobilę. Krzywiąc się z bólu, podniósł wielkie ściennie lustro. Skoczył biegiem, zgięty w pół.

Z prawej, na dziedzińcu, Kawbert wylatywał stromym łukiem w niebo. Z lewej Boebbels przecierał pewnie oczy ze zdumienia.

Kiedy go ujrzał ponownie, trup w zielonym stroju i rudej od rdzy misiurze przemykał właśnie nad murem, a Wilband przerzucał rękę z silnika na sterzącą w prowizorycznym uchwycie włócznię. Debren nie widział oczywiście szczegółów: nadal musiał się kryć, przynajmniej na tyle, by podludnik nie zidentyfikował go w kawałku migającej między blankami głowy. Zbyt wiele zależało od wiary w lewitujących, zielono odzianych czarodziei.

W końcu jednak musiał wyprostować się, pokazać trochę większy kawałek siebie i – przede wszystkim – lustro. Oparł je o mur, uwiesił się oburącz na przeciwnym końcu, ale i tak omal nie zawył z bólu: rama ważyła tyle co obłączniczy puklerz, a płyn z kapaka, pewnie z racji na cieniutką warstwę, tylko symbolicznie zneutralizował pchnięcie. Gdyby nie fakt, że czar, podobnie jak światło czy spojrzenie bazyliuszka, w większości odbijał się od szkła, wyfrunęliby za mur – on i zwierciadło – niewiele wolniej od Kawberta.

Ale warto było: dziewczyna na moment ujrzała i pocisk, i cel; mogła poprawić. Nieznacznie chybiła zeskakującego z konia Boebbelsa, nie wpakowała jednak trupa między niego a Wilbanda i to już było sukcesem.

Kopia zatoczyła łuk, opadła, stuknęła drzewcem o deski beczkomobili. Dzięki przeciągniętej przez środek osi i solidnej porcji mazidla sama beczka nie obracała się w trakcie najszybszej nawet jazdy i stanowiła znakomitą, nieporównywalną z końskim karkiem podporę, przy pomocy której nawet nowicjusz miał szansę wyprowadzić dobre pchnięcie. Boebbels raczej nie z myślą o takowym zeskoczył

na ziemię – biesiarze preferują walkę pieszą – ale teraz pewnie gratulował sobie wyboru.

Bułanek podludnika popisał się rozważą i na widok pędzących z góry, szepionych pojazdów czmychnął w dół. Jego pan nawet nie próbował. Z godnym swej profesji refleksem ocenił sytuację, zawirował w piruecie, tnąc nadlatujące ciało i umykając spod deszczu krwi i kiszek na skraj drogi. Była w tym miejscu wąska, ale nawet tam pozostało trochę miejsca dla zwinnego człowieka, który wie, co robi.

On wiedział.

Rozplątany trup Kawberta plasnął o krawędź drogi, stoczył się niżej, runął w dół stromego zbocza, tłukąc o pnie drzew. Boebbels nie patrzył już na niego, błyskawicznie przerzucił całą uwagę na Wilbanda. W porę dostrzegł coś, czego – gdyby plan się powiódł – nie powinien dostrzec tak wcześnie: ucieczkę dłoni kamieniarza z drzewca kopii i jej gwałtowny skok nad prawe ramię.

Odległość dzieląca przeciwników była jeszcze spora, wyraźnie większa niż długość wspartej o beczkomobilę kopii. Widok proporca łopocącego dwa sążnie nad ziemią nie powinien dziwić: zostało jeszcze dość czasu, by atakujący opuścił grot niżej. Właśnie tak, celując w ostatnim momencie, wygrywali pojedynki doświadczeni rycerze i choć sztuczka do łatwych nie należała, w teorii znał ją każdy czytelnik kronik sportowych. A także biesiarz. Biesiarze znani byli z tego, że częściej plują rycerzom na ciżmy niż ustępują z drogi, więc w dobrze pojętym własnym interesie powinni orientować się w tajnikach walki z tego rodzaju przeciwnikiem. Debren liczył na rutynę. I przeliczył się.

Nie pomógł ani zadziwiająco pewny chwyt okaleczonej lewej ręki, którą Wilband przytrzymał koniec kopii pod prawą pachą, ani fakt, że cały manewr kamieniarz wykonał w skłonie, pod osłoną beczki.

Kieszeń, naszyta na kaftan Wilbanda w miejscu, gdzie kończyły się standardowe kołczany, też spełniła swoje zadanie i oba połączone tasiemką młotki wyskoczyły z niej z szybkością, o jakiej nie mógł zamarzyć najszybszy łucznik świata – ale Boebbels nie dał się zaskoczyć.

Jeden z młotków odbił się od klingi miecza tuż przed nosem podludnika. Drugi musnął prawy łokieć, odłupał któryś ze srebrnych guzów zdobiących kolczugę. Boebbels odskoczył, znieruchomiał na samym skraju skarpy. Pół stopy dalej – i połamałby sobie kark, lecąc śladem Kawberta. Ale między nim a koleiną, która jak szyna kopalnianego wózka prowadziła lewe koło beczkomobili, zrobiło się przeraźliwie dużo miejsca i Debren błyskawicznie zrozumiał, że połowa atutów wzięła w łeb.

Na szczęście była jeszcze kopia. Krutz, jak na rycerza teoretyka przystało, kupił sobie najdłuższą z dostępnych na rynku. Operowanie tak masywną bronią wymagało nie lada kunsztu, lecz w tym szczególnym przypadku długie i ciężkie drzewce mogło faktycznie przysłużyć się nowicjuszowi.

Wilband nie musiał go dźwigać: beczka nie tylko przejmowała cały ciężar, ale – dzięki środkowej obejmie i uchwytowi na uprząż – uniemożliwiała odbicie ostrza z prawa na lewo. Boebbels mógł tylko ciąć w odwrotnym kierunku, co groziło wypadnięciem poza krawędź drogi, zwłaszcza gdyby odbite drzewce uderzyło w tułów.

Boebbels był podludnikiem, miał koci refleks i chyba na to liczył. Albo po prostu nie mieściło mu się w głowie, że takie żalotne gówienko na wózku...

Tak czy inaczej nie próbował odskakiwać.

Opadł na kolana i pięknym, potężnym cięciem z przykłąku odbił kopię, obcinając przy okazji zbyt krótki grot. Dostał co prawda w skroń bokiem drzewca, lecz cios nie miał wielkiego znaczenia i jedynie lekko zachwiał podludnikiem. Bezżyteczna kopia poleciała na ziemię.

Pozostała beczkomobila i przywiązany do niej...

Debrenowi przemknęło przez głowę słowo: "karawan".

Przeegrali. Boebbels nie da się tak po prostu rozjechać czy choćby wytrącić z równowagi. Gdyby miał rycerskie nawyki, pozostał w siodle... Ale nie, on walczył pieszo. Pomysł był dobry, ale to był podludnik. Biesiarz, mówiąc wprost. Debren starał się unikać tego słowa. Zbyt łatwo niszczyło nadzieję.

Curdelia próbowała coś zrobić, ale kąt był niedobry i kiedy po krótkiej szarpaninie z Debrenem obróciła lustro, było już za późno.

Wilband niemal zrównał się z przeciwnikiem. Nie mogli mu już pomóc.

– Teraz! – pisnęła. Debren uświadomił sobie, że przynajmniej wzrokiem zdążyła sięgnąć.

Wózek – w tej chwili w pełni zasługujący na miano samognaja – pędził stromą drogą tuż za osadzoną na kołach beczką. Koła były od fury, wysokie, ale...

Boebbels ciął dobrze, na tyle z góry, na ile mógł. Nie bardzo jednak mógł. Poprzednie cięcie wyprowadził niemal znad samej cizmy i jeszcze nie zdążył się całkiem wyprostować. Z drugiej strony: Wilband stracił broń, nie miał czym sięgnąć oddzielonego beczką i kołami przeciwnika. Runął więc na plecy.

Ostrze miecza zagwizdało mu tuż nad twarzą, odłupało spory kawałek tylnego kółka wózka, jakieś resztki połamanego wcześniej stojaka na narzędzia. Zdążyło wrócić. Wzniesiony młot podrywającego się zza osłony beczki rzeźbiarza trafił w zastawę, nie w bezbronną pierś. Trudno powiedzieć, że Boebbels popełnił jakiś błąd z punktu widzenia sztuki szermierczej. Stał trochę niepewnie, ale i ten, który uderzał, nie zdążył jeszcze usiąść. Po prostu...

Po prostu to był największy i najcięższy z młotów Wilbanda. Lżejszy młotek osłabił wcześniej ramię, trafiając w łokieć. A Wilband gnał niczym chart i był dodatkowo

umotywowany: bronił kobiety swego życia.

Debren aż wzdrygnął się od odgłosu miażdżonych kości. Mostek i połowa żeber – co najmniej. Gdyby to był berdysz, nie tępy młot, czarodziej byłby świadkiem pierwszego w dziejach przebicia opancerzonego człowieka na wylot ciosem topora. Boebbels nie miał aż tyle szczęścia i nie przeszedł na trwale do historii broni białej. Ale trochę szczęścia miał.

Umarł błyskawicznie.

Zaraz potem Wilband zderzył się ze stojącą dęba beczkomobilą.

– Zostań – powiedziała patrząc mu w oczy. – Wiele nie mamy, ale to, co mamy, jest i twoje. Nikt mi nigdy...

Uśmiechnął się, uniósł rękę, musnął jej policzek.

– Nie mogę. To Wehrlen, praworządny kraj. Pewnie będę jeszcze musiał złożyć zeznania, a barka lada dzień odpływa. No i do Kolbancu muszę na piechotę...

– To następną popłyniesz.

– Chciałbym zostać. Ale ta posada we Frycfurdzie... W końcu jakaś popłatna robota.

Od strony pałacu toczył się chwiejnie okulawiony wózek Wilbanda. Kamieniarz nadal był w mokrym kaftanie, nie zdążył się przebrać. Ale z plackami zdążył.

– Na drogę masz w węzélku – wcisnął Debrenowi ciepłe zawiniątko i miskę. – A te na teraz.

– Nie będę was z mąki objadał. – Czarodziej nie sięgnął po miskę. – Żarna ciężkie, a ty ledwie się ruszasz po tym upadku. Psiakrew, myślałem, że już po tobie. Paskudnie to wyglądało. Zecheniasz mnie zabije za tę beczkę. Cała w drzazgach.

– I pięćset denarów błota – wyszczerzył zęby Wilband. Twarz miał w strupach, na czole guza jak co mniejsze z placków, a spod koszuli wychylały się białe pasma

ściskającego pęknięte żebro bandaża. – Muszę szybko samopych naprawić i kopię, bo pewnie nasz braciszek, niczym Boebbels, z mordem w oczach tu wpadnie.

– Bez obawy – uśmiechnął się blado Debren. – Dostał swoje cudowne źródło. Zyskał to, o czym marzył.

– Ja też. – Wilband przestał szczerzyć zęby, popatrzył na dziewczynę wzrokiem, od którego ona poczerwieniała, a czarodziejowi zrobiło się i cieplej, i smutniej. – Choć nigdy nawet nie marzyłem, by aż tyle... – Z trudem oderwał wzrok od drobnej, pełnej powagi i czułości twarzyczki. – Z nas trzech ty jeden marny interes z Udeboldem zrobiłeś. Jak tylko włości pierwszego talara zysku przyniosą, to ci go pošlemy – Curdelia energicznie pokiwała głową – ale to pewnie nieprędko, a teraz...

– Ani się waż. – Sięgnął po placek, ugryzł. – Masz chorą żonę, musisz ją na nogi postawić. Książ ci nie przyślę, ale spis tych, które powinniście kupić... Karm ją dobrze, dom zbuduj, no i w ogóle.

Nie próbujcie słać mi pieniędzy. Wam bardziej będą potrzebne. A poza tym nic mi nie jesteś winien, Wilband. Nie z tobą się umawiałem, i nie na ratowanie Curdelii. Grzebać ją mieliśmy.

– Ale nie będziemy? – Wilband spoważniał. – Co, Debren? Już nic złego...?

– Jeśli wytrwasz. – Powiódł spojrzeniem po ich twarzach. – Proszę was: nie spieszcie się. Co najmniej rok. Mała jest, silna, no i niewiasta, a one ponoć dłużej rozkosz przeżywają, ale jak dasz radę... – zerknął na dziewczynę i poprawił się: – Jak oboje wytrzymacie...

– Trzy lata – powiedział Wilband. – Chcę mieć pewność.

– Trzy? – jęknęła. – Serce mam z kamienia, w pół roku byśmy mogli...

– Trzy lata – powtórzył twardo. – A jak nas Bóg dzieckiem obdaruje, to nawet dłużej. Skała, na szczęście, mało krucha.

Można po trochu, nie pęknie zniecka. Za cenna dla mnie jesteś, bym miał ryzykować. A i ze mnie nie uwodziciel Cassamnoga. Nie mogę po parę razy dziennie... A nie będę zawsze miłości z młotem łączył. Nie chcę, by ci się jeno z bólem kojarzyła. Przeplatać będziemy. Nie spieszy nam się.

Zamknął jej usta. Może tym dzieckiem. Może obietnicą przeplatania.

– Na siebie też uważaj – uśmiechnął się Debren, unosząc się z kolan i wieszając na ramieniu sakwę z plackami. – I konia kup, koniecznie. Ten twój wózek... Nie powiem, sprawił się. Ale wołałbym się na miecze z Boebbelsem potykać, niż czymś takim z góry... Zabijesz się.

– Dopracujemy go – powiedziała Curdelia, głaszcząc pokiereszowane Boebbelsową klingą koło niczym ranną nogę wiernego wierzchowca. – Mam parę pomysłów na lepszą przekładnię, no i żeby lepiej skręcał.

Debren obrzucił wehikuł sceptycznym spojrzeniem.

– Dajcie sobie spokój. Czytałem o nowych protezach, przegubowych. Trochę ćwiczeń, laska i z daleka nie poznasz, że nie na własnych nogach człek idzie. A to? – Pokręcił głową. – Konie kupcie, mówię wam. To ślepy zaułek transportu. Pojazd z silnikiem, skrzynią biegową? I jeszcze to kółko – wskazał połyskujący z przodu medalion, trójramienną gwiazdę wykutą przez dzikiego krasnoluda z lełońskich gór. – Świat ze śmiechu pęknie, jak takowe cudo zobaczy. No i ta nazwa: samochód. Nie, kochani. To się nie przyjmie. Założę się.

Księga szósta

W połowie drogi

– Mamy mały problem – oświadczył Piekmoth ode Herselbruker, gładząc długą siwą brodę. – Nie ściągałbym cię z grodu w taki ziąb, zwłaszcza że ten ciemny motłoch wciąż sterczy przy bramie, ale przypadkiem zerknął w okno i zauważył coś zielonego pośród śniegu. Choinka, pomyślałem. Potem jednak przypomniałem sobie, że mistrz Debren z Dayumki wciąż na okresie próbnym bieduje, czeladnicze pieniądze biorąc, więc go na strój porządny pewnie nie stać.

Teleportniczy Piekmoth ode Herselbruker był jedynym znanym Debrenowi mistrzem magii paradującym na co dzień w wysokiej na trzy stopy, stożkowej czapie zwanej merlinką i całej reszcie tradycyjnego ciemnogramatowego ubioru obszywanego srebrnymi gwiazdami wielkości spodków oraz autentycznym, liniejącym na potęgę futrem z czarnych nietoperzy. Jego peleryna, gdy nie siedział, wlokła się za nim po posadzce ku ucieście przepracowanych sprzątaczek portniskowych, a czubki ciżem sterczały na pół stopy przed palce nogi i prawie stopę ponad podłogę. Już w akademickich czasach Debrena żaden szanujący się czarnoksiężnik, od kursanta poczynając, a na rektorze kończąc, nie pokazywał się na ulicy w czymś takim. Merlinki i długie płaszcze widywało się wyłącznie przy okazji oficjalnych, głównie wewnętrzcechowych uroczystości, przy czym i wtedy czapy

mierzyły stopę lub co najwyżej łokieć, zaś peleryny nie sięgały niżej kolan.

– Z Dumayki – poprawił Debren. – A co do stroju, to kupiłem już granatowy w gwiazdy srebrzyste, zgodnie z waszym poleceniem, by jak uczciwy czarodziej, a nie leśniczy lub Bobin Czapa, zbój leśny, w robocie wyglądać. Noszę go, gdy pracuję. Do miasta wracani jednak po cywilnemu, co wielce trafnie z kwestią finansów powiązaliście. Tu, we Frycfurdzie, od czarodzieja w brokatach i gwiazdach oczekują w gospodach Bóg wie jakich napiwków, a za kurze udko każą płacić jak za bażanta w przybraniu z piór. Strasznie zawyża ceny to nasze teleportnisko.

Piekmuth ode Herselbruker, nie ruszając się z przepastnego fotela obitego skórą jednoroźca, spojrział w ogromne, sięgające stropu okno. Było nie tylko szklone, ale w dodatku szklone wielkimi na dwa łokcie taflami o idealnie gładkiej powierzchni. Debren bał się zgadywać, ile to cudo kosztowało. A okien miał gabinet równo pół tuzina.

– Jest największe na świecie – zamruczał Herselbruker, patrząc na ciągnącą się milami równinę, idealnie gładką i pustą niczym tafla jeziora. – Sześćdziesiąt cztery łany urodzajnej ziemi, blisko rzeki i tuż pod miastem. Majątek poszedł na wykup tych gruntów, ale to tylko kropla w morzu wydatków. Trzy pasy, sześć wież naprowadzania, dwanaście hal dla personelu, cztery czerpnie mocy, dwie stajnie wrzecion, dwie stajnie dla koni, kuźnie, warsztaty, karczmozajazd na dwieście dusz, filie kantorów, wypożyczalnia wozów i lektyk, łaźnia, zamtuż, trzy kaplice i dwa kościoły, gabinet medyka, skład celny, targowisko... Cholera, nawet cmentarz własny mamy. W Tamburku mogą gadać, co chcą, ale tak im do naszego teleportniska, jak chałupie do katedry. Więc nie dziw się, chłopcze, że zapach złota, i to w sztabach, a nie monecie, unosi się wokół tego miejsca.

– Nie dziwię się – zapewnił Debren.

– To figura retoryczna była. – Piekmoth wskazał mu mniejszy fotel po przeciwnej stronie dużego, zawałonego księgamii sekretarzyka. – Siadaj. Zawrócić cię kazałem w połowie drogi do domu. Po całym dniu wydajnej pracy zmęczony pewnie jesteś.

– Nie bardzo – powiedział Debren i usiadł.

– Udam, że nie słyszałem – stwierdził łaskawie teleportniczy. – Pracownik, który wraca z szycoty mało zmęczony, jest jak dzwon na trwoę bijący. Trzeba mu się dokładnie przyjrzeć i albo na pysk wywalić, albo dołożyć roboty. Zakarbuji to sobie w pamięci. Bez tego nigdy nie będziesz dobrze rządził najmniejszą nawet drużyną.

– Zakarbuję. A co do rządu... Jestem magunem, nie dziesiętnikiem. Nigdy nie miałem ambicji...

– No to zacznij mieć, od swoich ludzi wymagam ambicji. Drapanie się w góre po szczeblach drabiny cechuje osobników wartościowych. Na dole zostają głupki i nicponie. Ta zasada rozciąga się na każdą sferę ludzkiej aktywności.

– Wyjąwszy szturmowanie twierdz – uśmiechnął się lekko Debren. – Tam na drabiny posyła się właśnie głupków i nicponi.

– Już wiem, czemuś nie zrobił kariery w wojsku. Od podobnych, rozkładających morale uwag gorzej jest tam widziany tylko okrzyk: „Ratuj się kto może!” – Herselbruker zerknął na szczerozłotą, napełnioną srebrnymi okruchami klepsydrę z wygrawerowanym po wehrleńsku hasłem: „Czas to pieniądz”.

Debren nie miał pewności, ale odniósł wrażenie, że teraz teleportniczy zaczął mówić odrobinę szybciej. – Rozumiem też twój brak doświadczenia w pracy zespołowej. Jak się nie jest księciem krwi, to zawsze zaczyna się od słuchania poleceń mistrza. I brania w ucho za podważanie jego opinii o charakterze ogólnym poprzez wytykanie mu jakichś mało istotnych wyjątków.

– Macie świętą rację, panie ode Herselbrucker.

– Rządę tu, więc z definicji ją mam – rozparł się w fotelu teleportniczy. – Ale zawsze miło słyszeć. Brawo, Debren. Mimo paskudnego charakteru masz pewne cechy, które budzą moje uznanie. Uczysz się szybko. Może nawet kiedyś zaciągną cię do wojska, kto wie.

Debren podziękował zdawkowym uśmiechem. Piekmoth ode Herselbrucker otworzył usta, ale błysk za oknem sprawił, że rozmyślił się i powrócił do oczyszczania bujnej brody z resztek jedzenia. Oznaczało to, że miał do wygłoszenia dłuższą kwestię. Krótsza zmieściłaby się swobodnie między sygnałem ostrzegawczym a pojawieniem się pierwszych dźwięków. Portnisko we Frycfurdzie miało najczulsze systemy wczesnego wykrywania i najlepszych operatorów tychże systemów. Rozbłysk magicznego ognia na wieży poprzedzał gwizd nadlatującego wrzeciona o dobry pacierz, a ponieważ hamownice też reprezentowały szczyt technicznych możliwości, przez kolejny pacierz było jeszcze względnie cicho i spokojnie.

– Zielone – uśmiechnął się Herselbrucker. Chyba z ulgą, co zastanowiło Debrena. Był tu już niemal pół roku i tylko kilka razy widział innej barwy rozbłysk ostrzegawczy. Poza jednym wyjątkiem była to niezmiennie barwa żółta. We wrześniu na wieży południowej zapaliło się światło czerwone, ale okazało się to pomyłką jakiegoś czarodzieja kursanta, przebywającego we Frycfurdzie na praktyce i nie bardzo radzącego sobie ze spisanyymi po wehrleńsku instrukcjami obsługi. Kursanta odesłano błyskawicznie do macierzystej Akademii z zaleceniem pogłębienia wiadomości i odciskiem nosatej ciżmy Piekmutha na zadku.

Żółte światło oznaczało lekkie zejście wrzeciona z założonego kursu, odchylenie od normy głównie w przestrzeni, rzadziej w czasie. Po mieście krążyły plotki o jakimś transferze z Madrelli sprzed paru lat, kiedy to ponoć

jelito zakorkowało się na trzy miesiące i poślubiona pół roku wcześniej księżniczka Patalonii tuż po wyjściu z wrzeciona powiła hercogowi Frycfurdu zdrowego, pełnowymiarowego i prawidłowo donoszonego syna. Ponieważ jednak przed ślubem zastanawiająco szeroko i głośno zachwalano cnotliwy i pobożny styl życia narzeczonej tutejszego suwerena, a akcja ratunkowa, prowadzona pod osobistym zwierzchnictwem teleportniczego, przebiegała w nadzwyczaj spokojnej atmosferze, eksperci zgodnie zawiesili kurtynę milczenia nad tym nieszczęśliwym incydentem. Żółty rozbłysk zapowiadał niewielkie problemy, też zresztą niekoniecznie, bo czasem poprzedzone nim wrzeciono poprawiało kurs na ostatnim odcinku jelita i wpadało w przestrzeń rzeczywistą dokładnie tam, gdzie trzeba, szybko jak trzeba i w przewidzianej planem transferów porze. Piekmoth ode Herselbruker nie miał powodu odczuwać ulgi na widok skrzącego się zielonymi odblaskami śniegu za oknem. Na dobrą sprawę w ogóle nie powinien odrywać swej cennej uwagi od procesu zarządzania ogromnym, największym na świecie teleportniskiem i sześćdziesięcioma czterema łanami przesiąkniętej magią ziemi. Zwłaszcza siedząc tu, w wielkim jak pałacowa kaplica gabinecie przełożonego portniska.

Gmach zarządu stał w południowej części ogrodzonego płotem terenu, niedaleko głównej bramy. Do zmroku zostało jeszcze sporo czasu, a leżący na murawie śnieg nie chłonał szarego zimowego światła, Debren mógł więc, podostrzając lekko wzrok, zaobserwować reakcję zgromadzonych przy szlabanie ludzi i zwierząt. Pachółkowie z ochrony portniska w pośpiechu ściągali obszyte futerkiem czapy i nasadzali na głowy głębokie hełmy z wykładziną przy osłonach uszu. Ich psy wyły lub zanosły się wściekłym szczekaniem. Zaskoczony między wjazdem a stajnią koń jakiegoś przyszłego pasażera stanął dęba i zwałił pana, lecz nie zdołał wyrwać się doświadczonym i oswojonym z takimi incydentami

stajennym. Z pastwiska za płotem pierzchały w popłochu zające i wrony, między krzakami mignął nawet grzbiet zmykającego ku lasowi dzika. Zaś pyskacze, zwani przez niektórych demonstrantami, zaczęli na wyścigi pyskować.

Krzyków nie było oczywiście słyhać. Stali za daleko, gabinet miał specjalne okna o podwyższonej wytrzymałości na hałas, no i przede wszystkim wrzeczono weszło już w końcowy, wąski odcinek jelita.

Gwizd przeszedł we wściekły łomot wzbogacony hukami wyładowań, ale jeszcze nie dudniło. Pyskacze pikietujący szlaban musieli być starymi praktykami i chyba naprawdę przedstawicielami tutejszej społeczności, bo zamiast wpaść w podziw lub panikę, dziarsko potrząsali tyczkami, do których przybili deski z postulatami.

„Więcej lasu, mniej hałasu!” – głosił największy z napisów. Debren zaczynał swą karierę w Teleporthanzie od praktyki w rocie ochrony i z raportów tamtejszej komórki rozpoznawczej wiedział, że transparent sklecono z kradzionego w pobliskim borze drewna, a dźwigali go zagrożeni redukcją czeladnicy gajowego. Teleportnisko wciąż się rozrastało, a z powodu przeraźliwych dźwięków – efektów ubocznych towarzyszących transferom – pogłowie zwierzyny w nie wyciętych jeszcze lasach niepokojąco spadało.

„Chcemy mleka, nie serwatki” – pisali farmerzy. „Nie płoszta krowów i kurów, bo im się mleko rozfazowuje. Krowom znaczy się”. „Transfer magiczny zgóbowi Rolnictwa”. „Chceta zryć, pszestańta wyć”. „Zaorać teleportnisko!” „Więć wehrleńska umiera, ratujta jom”. „Czy chcesz jeść czaroaktywne, napromieniowane jaja?” „Precz z dotowaną spyżą marimalską!” I wreszcie: „Herselbrucker, daj chłopię żyć”, co niekiedy w chwilach goryczy uzupełniano deską z ostrzeżeniem: „Albo weźmiesz kopa w rzyć”.

Przedstawiciele potężnego cechu wozaków wymachiwali bogatymi w symbolikę połamanymi kołami i płótnem do

krycia wozów rozciągniętym między tyczki z wozowych dyszli. Domagali się, by nie transferować w ogóle, a jeśli już, to nisko i powoli; by nie zbijać cen, nie uprawiać kłamliwej antyfurmańskiej reklamy, nie rozpowszechniać stereotypu woźnicy moczymordy, szanować prawa boskie i pamiętać, że aniołowie w niebie, jako ptacy pierzaści, jako ptacy boją się huk, który czyni jelito transferowe. Grozili stosem i apelowali do Inkwizycji. Prorokowali upadek komunikacji, głód, chaos i koniec Wolnego Świata.

„Choroba marimalaska przyleciała wrzecionem” – informowały frycfurdzkie ladacznice, rozgoryczone przechwytywaniem przez portnisko co bogatszych podróżnych, którzy niegdyś stawali w mieście na parodniowy odpoczynek, a teraz, jeśli mieli w ogóle czas i ochotę grzeszyć w trakcie przesiadki z jednego wrzeciona na drugie, to zostawiali swe talary i dukaty niemal wyłącznie w teleportniskowym domu uciech. „Miłość w polu magicznym grzeszna jest i niezdrowa”. „Grzescie w mieście, jak Bóg przykazał”.

Protestowali też kupcy, separatyści widzący w funkcjonowaniu portniska zagrożenie dla suwerenności księstwa i całego Wehrlenu, zwolennicy integracji Yiplanu, którzy dla odmiany biadolili nad fatalnym wpływem transferów na proces wzajemnego poznawania się, przełamywania barier psychologicznych i w efekcie łączenia się machrusańskich narodów, no i oczywiście dewoci.

– Debren – podniósł głos zagłuszany hałasem Piekmoth – rozumiem, że się nudzisz, czekając na – przeszedł do krzyku, bo zaczynało dudnić – chwilę ciszy! Ale bądź łaskaw! Nie używać magii! W moim ga...! Reszty nie dało się zrozumieć. Wrzeciono było spore i transferowało z Draklenu, a więc hamowało długo i ciężko, zaś siadało na pasie północ-południe. Skalisty, lesisty i zimny Półwysep Drakleński był słabo zaludniony i dość ubogi, łatwo było tam dopłynąć

morzem, a Draklenowie nieźle dawali się we znaki księstwom północno-wehrleńskim, szukając sposobu na lepsze życie w łupiestwie i wojennym awanturnictwie. Z tego powodu transfery na tym kierunku były rzadkie i niewielkie masowo i dlatego gmach zarządu stał właśnie pośrodku południowego skraju portniska. Szansa, że jakieś masywne wrzeciono, wykorzystujące całą trzymilową długość pasa, nie mówiąc o sieciach, dotrze tak daleko, była znikoma i mistrzowie magii mogli pracować spokojnie w swych zacisznych gabinetach ze szklanymi oknami wielkości miejskich bram.

Debren przeprosił uśmiechem za nietakt. Wciąż nie mógł przyzwyczać się do pracy w budynku, w którym za każdymi drzwiami, łącznie z tymi do wbudowanego w gmach wychodka, urzędował jakiś czarodziej. Nawet babcia klozetowa częściej machała różdżką niż ścierką, popychając czarami przez rury to, co członkowie wyższego i średniego personelu wydalili w nieprawdopodobnym luksusie, czyli bez wychodzenia na dwór. Niższy personel biegał oczywiście w krzaki.

Wrzeciono z Draklenu plunęło długą na milę błyskawicą, wychodząc z jelita w przestrzeń realną, śmignęło nad północną wieżą i dudniąc, aż zęby dzwoniły, zaczęło zwalniać, lecąc po krzywej hiperbolicznej nad pasem. Pas był w całości pokryty żelazem i pochłonął więcej blach, niż potrzebowałyby ich parę armii pancernych, ale też był największym i najcięższym zarówno we Frycfordzie, jak i na świecie. To właśnie z tego pasa obsługiwano linię do Żuli, a tłumy bogatych pielgrzymów wymagały specjalnego traktowania. W pozostałych kierunkach ludzie latali, bo musieli – by prowadzić politykę, szpiegostwo, handel czy działalność relacjonatorską. Nie było ich wielu, nie przeciążali wrzecion, a brak luksusu i element ryzyka nie budziły sprzeciwu. Zarabianie dużych pieniędzy z reguły jest męczące – choć nie aż tak, jak zarabianie małych – i nie całkiem bezpieczne.

Co innego, gdy ktoś chce duże pieniądze wydawać.

Metal pasa przekazał siłę hamującą na metal wrzeciona i bardzo ułatwił zadanie zespołowi telekinetyków z południowej wieży. Ale zespół był szczupły liczebnie i – jak to na trzeciorzędnym kierunku – nie bardzo kompetentny. W rezultacie przyziemienie wypadło fatalnie i Piekmoth ode Herselbrucker po raz pierwszy w swej karierze ujrzał lądujące wrzeciono, nie wstając z fotela i nie podchodząc do okna w ścianie szczytowej. Transfer z Draklenu nie tylko przemierzył całą długość słabo lub nieumiejętnie zasilanego magią pasa i nie tylko wbił się w rozpięte na końcu sieci awaryjne, ale przebił się przez nie, rozorał śnieg i ziemię na południe od gmachu zarządu, by znieruchomić wreszcie wśród desek rozwalonego płotu. Debren, nawet bez podostrzania wzroku czarami, dostrzegł jakąś odzianą w lisią szubę postać gnającą na miejsce wypadku od strony gromady pyskaczy. Demonstranci nie przyłączyli się. Śniegu leżało pod płotem na trzy stopy, sam płot potrafił uderzyć intruza lekkim piorunem, a przede wszystkim zmartwienia personelu portniska nie były zmartwieniami pikietujących.

– Wypieprzę! – wrzasnął Piekmoth ode Herselbrucker, waląc pięścią w blat sekretarzyka. – Ośle uszy na stałe do łba przyczaruję! Durnie! Nieuki! Świńskie psy! Widziałeś to, Debren?! Przez dwie sieci przeleciał! Piętnastostopowiec, kurwa ich mać! Kursant by go z palcem w zadku w połowie pasa zatrzymał, a te głąby płot nim rozwaliły! Na Machrusa, dokąd ten świat zmierza?! Byłoby cicho, gdyby nie brać pod uwagę dzwonienia beczkowitzu gnającego z kopyta ku dymiącym resztkom wrzeciona. Debren mógł sobie pozwolić na znaczące chrząknięcie.

– Co? – burknął teleportniczy. Broda, może ze złości, ale raczej od rozproszonej i zamienionej w elektryczność magii, rozpaczyła mu się na wszystkie strony.

– Tam biegnie jakiś dobrze odziany nierób – wskazał

palcem Debren. Pokazywanie palcem uchodziło w kręgach czarodziejskich za mało eleganckie, bo od czegoś są świetlne punkty generowane na przedmiocie zainteresowania, szybie czy po prostu w przestrzeni między patrzącym a oglądanym, ale Debren chciał udowodnić, że faktycznie potrafi szybko się uczyć. Bez magii w gabinecie? Proszę bardzo.

– No i co z tego?

– To w jego ręku to chyba nie laska. Raczej pochodnia.

– Może jakiś dobry machrusanin chce oświetlić drogę ratownikom? – zademonstrował urzędowy optymizm Piekmoth. Chociaż mógł to być także żart. Debren nie miał pewności. Był małym i mało ważnym trybikiem w skomplikowanej maszynie teleportniska i wielkiego Piekmutha ode Herselbrukera widywał głównie z daleka.

– Dobrzy machrusanie, poświęcający się dla bliźnich, nie chodzą w szubach z lisa. Nie dam głowy, ale ta pochodnia to może być utrwalacz pamięci.

– Co? Tym razem Debren naprawdę żałował, że tak słabo zna przełożonego teleportniska. Wyjaśnianie czarodziejowi czegoś, o czym czarodziej wiedział, niejednego wysoko postawionego czarodzieja doprowadziło do niebezpiecznej dla objaśniającego pasji. No cóż, kto nie ryzykuje, nie pnie się po drabinie kariery.

– Marimalczycy wypuścili na rynek pochodnię pod nazwą: „Błyskacz-utrwalacz”. Przypala się to jak zwyczajne łuczywo i liczy do dziesięciu, patrząc na to, co chce się zapamiętać. Potem następuje błysk. Widok zostaje zapamiętany.

– Ależ durny wynalazek – prychnął w brodę stary czarodziej. – Widać, że marimalski. Do czego to niby ma służyć? Do leczenia sklerozy? Już sto lat temu sławny uczony sovrojski Leźniew udowodnił, że skleroza jest nieuleczalna. Co prawda jego notatki zaginęły, bo odłożył je gdzieś i zapomniał gdzie, ale samego wywodu nikt nie podważa.

– Błyskacz sprawia, że osoba patrząca zakodowuje na

siatkówce oka każdy szczegół obrazu. Jeśli potem połączyć ją poprzez medium z dobrym rysownikiem, to artysta potrafi nanieść na papier wszystko, nawet mrówkę wśród traw, choć patrzący w ogóle jej nie widział. To się zdjęcie siatkówkowe nazywa albo okografia. Wiernie oddaje rzeczywistość. Relacjonatorzy z co lepszych kronik już się bez asystenta błyskoroba nigdzie nie wybierają. Kroniki ilustrowane realistyczną grafiką bardzo się modne zrobiły.

– Co? – Piekmoth zerwał się z fotela. – Relacjonatorzy?! Jasny grom! Tylko nie to! Te ścierwojady obsmarują nas w swoich szmatławcach! I jeszcze okografię rozwalonego wrzeciona dołożą! – Rąbnięciem pięści uruchomił wielką kryształową kulę ustawioną na sekretarzyku. Kula była spolaryzowana, więc Debren ze swego miejsca po drugiej stronie nie widział, na kogo teleportniczy pokrzykuje. – Ruszcie tyłki i złapcie tego łajdaka, co pod płótem w zaspach kica! Ale już! Róbcie, co chcecie! Co? Pikieta? Nie zawracaj mi głowy tą hołotą! Rozgonić! Sikawką ich, cholera! I łapać lisa rudego, gryzipióra wścibskiego! Bo z roboty wywalę! Ochroniarze, łącznie z tym, który obsługiwał drugą kulę, wkroczyli bezzwłocznie do akcji, więc Piekmoth z braku rozmówcy wyłączył swoją kulę. Za oknem widać było rudą postać przedzierającą się przez zasy i wysypujące się z wartowni figurki, daleko z tyłu. Wyglądało na to, że relacjonator nie tylko zdąży dopaść roztrzaskanego wrzeciona i gramolących się z niego pasażerów, ale spokojnie doliczy do dziesięciu i błysnie utrwalaczem.

– Dawaj różdżkę – warknął ode Herselbruker. – Nie, zaczekaj... Różdżką nie sięgnie tak daleko. Tam nad kominkiem kusza wisi. Kopnij się, Debren. Cholera, gdzie ja bełty położyłem?

– To marny pomysł. – Debren wstał, ale po kuszę nie pobiegł. – Kroniki to potęga w dzisiejszych czasach. Niektórzy mówią, że to szósta władza. Po ustawodawczej, wykonawczej,

sądowniczej, kościelnej i boskiej. Strzelanie do relacjonatora może cholernie zaszkodzić firmie. Zwłaszcza jeśli nie trafimy.

Piekmuth szarpnął parę razy brodę, zaklął, splunął aż w kominek, pomagając ślinie magią. I usiadł.

– Nalej piwa – mruknął, wskazując baryłkę z kurkiem, stojącą na krzyżulcach pod oknem. – Sobie też.

Zaszczycił Debrena, stukając się z nim kuflem. Piwo było zimne, choć w komnacie było prawie gorąco mimo ogromnych okien i kamiennych ścian. No cóż, czary.

– To mi się w tobie podoba. – Teleportniczy wytarł pianę z nosa. – Widzisz różne aspekty sprawy i umiesz wybierać mniejsze zło.

– Jestem magunem – przypomniał Debren.

– Tak, tak... Staromodnym mądrałą omnibusem, co to ma ambicję znać się na wszystkim po trochu, a w efekcie nie zna się na niczym.

– Niestety – czarokrążca uśmiechnął się smętnie. – Już nie staromodnym. Czasy genialnych speców od magii czarnej, białej, medycznej, alchemicznej i każdej innej to przeszłość. Nawet wśród magunów. Chciałoby się powiedzieć: zwłaszcza wśród magunów. Bo tak na chłopski rozum to właśnie magun, przecieracz ścieżek, powinien nastawiać się na specjalizację. I przerąbywać się przez gąszcz niewiedzy, nie patrząc na boki, nie interesując się, co robią inni penetratorzy mrocznej kniei zwanej magią. A tymczasem to wy, czarodzieje praktycy, wybraliście metodę trzymania się własnej ścieżki.

– Bo wiedzy jest coraz więcej, a mózgi ludziom nie urosły od pionierskich czasów. Dziś, żeby coś robić dobrze, trzeba skupić się na jednej dziedzinie.

– Prawda – przyznał Debren. – Nie zrozumcie mnie źle, panie Herselbrucker. Jak powiedziałem, staromodnym omnibusem nie jestem. I nikogo nie namawiam do bycia omnibusem. Dzisiaj magun, chcąc dobrze żyć, musi wybrać specjalizację, jak czarodziej. Coraz trudniej wymyślać nowe

zakłęcia z paru odległych dziedzin. Jak ktoś ma talent i lubi dziką harówkę, wybiera na Akademii Magunów kierunek pod przewrotną nazwą Specjalizacja Ogólna Rozpoznawcza. Za moich żakowskich czasów pakowano tam też tych z najgorszymi wynikami, marnym WZ, chudą sakiewką, łobuzów, nieślubne dzieci skąpej szlachty, dziwaków, niedoinformowanych prowincjuszy i, jak mimo wszystko chętnych brakowało, dziewczyny. Dziś ponoć z łapanki biorą. Bo człowiek natyra się, głowę wiedzą naładuje, a potem roboty porządnej znaleźć nie może.

– Mag po SOR-ze marnie orze – pochwalił się obyciem Piekmoth. – Tak gadają. A ty jaki wydział kończyłeś?

– SOR.

Teleportniczy milczał przez chwilę. Patrzył w okno z kwaśną miną. Wyglądało na to, że żałuje pochopnie zadanego pytania. Debren poczuł niepokój. Ode Herselbrucker był równie subtelny jak trzonek od berdysza i tylko w jednym przypadku mógł się zmartwić podejrzeniem, że sprawił komuś przykrość. Gdyby mianowicie wpadł do studni, a ten ktoś przechodził akurat obok z liną.

– Skromność za daleko posunięta z zalety w wadę się zmienia – stwierdził w końcu teleportniczy. – Jeśli wszyscy sorowcy tak jak ty się reklamują, to i nie dziwota, że na was pracodawcy krzywo patrzą. Wiem, że sporo nieudaczników ten sam, co ty kierunek skończyło, a że usługi domokrażne świadczyacie, to i przebierańców-oszukańców, co się magunami wędrownymi głoszą, namnożyło się od cholery. Ale to grzech pierworodny waszej profesji, Debren, a nie wina selekcji negatywnej. Bo co robi czarokrażca? On, w potocznym rozumieniu, nic nie robi. I w tym problem. Prosty kmieć, a i rycerz czy książę niejeden, nie rozumie, że jak mu zboże w polu gnije i przychodzi magun, skanuje, analizuje, a na koniec tłumaczy, dlaczego gnije, to jest to kawał ciężkiej, trudnej i ważnej pracy.

Durny rolnik zapisuje sobie lub proboszcza o zapisanie prosi, kogo mu magun do odczynienia uroku wynając poleci, a potem rzuca magunowi trzy grosze i zrzędzi, że tak drogo. We łbie ciemnym, choć niekiedy koronowanym, nie zaświta myśl, że najmując wąsko wyspecjalizowanych czarodziejów, zapłaciliby każdemu dziesięć razy więcej i musiałby przepuścić przez swe pole z tuzin, zanim trafiłby we właściwą specjalność i czar uporałby się z gniciem. Bo zwykle czar się udaje, a zboże dalej gnije.

– Widzę – uśmiechnął się pod nosem Debren – że znakomicie orientujecie się w specyfice mojej profesji.

– Byłej profesji – poprawił Herselbrucker. – Bo teraz, chłopcze, złapałeś Pana Boga za palec. Po roku praktyki zostaniesz pełnoprawnym mistrzem Teleporthanzy. A TH nie tylko wysoko lata. Ona, Debren, wysoko winduje swoich ludzi. Najmłodszy już nie jesteś, ale ręczę ci, że zanim dobrze siwieć zaczniesz, zarobisz u nas na kamienicę w mieście, i to bliżej rynku niż wałów, dworek na wsi i chesne w najlepszych szkołach dla potomków, choćbyś ich namachał jak królik. My tu mistrzom srebrem nie płacimy, boby nieboracy skrzywienia kręgosłupa dostali. Złoto żonie nosić będziesz regularnie w każdą pierwszą sobotę miesiąca. Firma zapewnia stabilność i świetlane perspektywy... Ha! – wskazał nagle okno palcem. – Mówiłem, że nic nie warta ta marimalaska zabawka! Widziałeś? Krzeszał, krzeszał i nie zdążył zapalić tej durnej pochodni! No, już go nasi mają. Dobrześ radził, by kuszę zostawić w spokoju.

Stojąca na sekretarzyku kryształowa kula rozjarzyła się nagle.

– Mamy zamiar – odezwał się trochę nosowy głos. Debren rozpoznał Yuhamma Kleihunsa, pierwszego zastępcę teleportniczego. – Nie wygląda to dobrze.

– Gdzie? – warknął Herselbrucker.

– Nie przez kulę – rzuciła ostrzegawczo kula. – Ktoś może

podśłuchać. Konkurencja nie śpi. Przyjść do ciebie, czy...?

– Ja przyjdę. – Teleportniczy zgasił kulę, wstał, zatknął za pasek kunsztownie zdobioną, wysadzaną perełkami i brylantami różdżkę. – Idziemy, Debren. Mam dla ciebie wielce interesującą propozycję.

Debren odwrócił się ku drzwiom, ale Piekmuth kłaśnięciem w dłoń uruchomił sekretne przejście za przeszkloną szafą z księgami. Za boazerią był ciasny korytarzyk oświetlony świecami. Ruszyli jeden za drugim, stąpając bezgłośnie po grubym czerwonym chodniku. Od czasu do czasu mijali osłonięte klapkami judasze, które razily trochę Debrena swym prymitywizmem, póki nie przypomniał sobie, kogo chciano przez nie podglądać. Przeciwno czarodziejom wciąż najskuteczniejsze były mało wyszukane, całkowicie niemagiczne metody.

– Jesteś w połowie drogi – zaczął Herselbruker.

– Już? – zdziwił się magun. – Myślałem, że idziemy do nawigatorni.

– Jesteś w połowie drogi do osiągnięcia tytułu mianowanego mistrza Teleporthanzy. Nawet gdybyś później zgłupiał i postanowił odejść, zostanie ci nasz patent, a to najlepszy list referencyjny, o jakim czarokrążca może marzyć. Tylko praca na królewskim dworze lub uczestnictwo w radzie programowej „Różdżki” stawiają maga wyżej. Już nikt nigdy nie zaproponuje ci honorarium liczonego w groszach. Bo zgodnie z prawem będziesz mógł dać takiemu bezczelnemu chamowi w pysk. Pięścią prostakowi, otwartą dłonią, jeśli będzie herbowy. Koronowanej głowie możesz splunąć śliną w ilości ośmiu setnych kwarty na odległość dwóch stóp anwaskich od stopy albo tronu, a gdy jest konno lub w lektyce, to na kopyto lub nogę tragarza, byle nie wyżej kolana. I włos ci za to nie spadnie ze łba.

– Wiem.

– I wiesz też zapewne, że mianowanie poprzedzone jest

majstersztykiem? Obronionym w nienagannym wehrleńskim?

– Podobno poczyniłem znaczne postępy – pochwalił się po wehrleńsku Debren. – Rozmawiamy w staromowie, bo...

– Wiem, dlaczego. Posłuchaj, chłopcze. Pochodzisz z Zachodu i to bardzo odległego z wehrleńskiego punktu widzenia. Nasze wojska nigdy nie oblegały tej twojej Dumayki, nie miały więc okazji splugawić i zapłodnić szlachetnym nasieniem rasy północnej żadnej twojej prababki. Gdybyś pochodził z Domorza, Lonska czy wschodniej Lelonii, to co innego. Członkowie komisji majsterstycznej patrzyliby na ciebie dużo przychylniej. Oczy masz jasne, włosy też bardziej blond niż czarne albo brązowe. Typowy reprezentant rasy Północników z kresów zachodnich, swój chłop. Wiem, że to głupie, ale tu, w Rzeszy Wehrleńskiej, liczą się takie rzeczy. I boję się, że jak się któremuś z konfratrów nie spodoba twój akcent, to sięgnie po mapę, sprawdzi, gdzie ta cała Dumayka leży i zacznie wybrzydzać. Takim pytaniem ci w łeb przywali, że zapomnisz, jak się czaruje. Wiem, żeś nigdy adeptów nie egzaminował i możesz mieć złudzenia w tej kwestii, więc ze smutkiem je niniejszym rozwiewam. Nie ma takiego genialnego żaka, co by egzaminatorowi podskoczył. Każdego da się oblać.

– Wiem.

– To dobrze, że wiesz. Tym lepiej wagę mojej propozycji pojmiesz. Zdajesz sobie sprawę, że będąc w połowie drogi do rozpoczęcia świetnej kariery, możesz nigdy tejże nie rozpocząć, więc skoczysz pewnie na sążeń wysoko z radości.

– Spróbuję nad sobą zapanować – obiecał Debren. Korytarz skończył się. Piekmoth otworzył okute drzwi, odsunął jakąś kotarę i wszedł na skrytą w dyskretnym cieniu galeryjkę. Na jej przeciwległym końcu, oparty o dębową balustradę, stał czterdziestoletni otyły mężczyzna w granatowym kaftanie z pojedynczą gwiazdką wyhaftowaną na piersi, różowych

rajtuzach i cizmach z dwóch różnych par, choć na pierwszy rzut oka podobnych. Yuhamm Kleihuns, powszechnie uważany za geniusza i mózg teleportniska, był typowym naukowcem z dowcipów i skompletowanie przyzwoitego ubioru przekraczało zdecydowanie jego możliwości.

– Chyba wiem, jak wyekspediować człowieka na Księżyc – powiedział ze zdziwieniem, raczej do siebie niż zbliżającego się teleportniczego. – Mój Boże.

– Nie teraz – warknął Piekmoth. – Gdzie to jest? – Gdzie? – Kleihuns zamrugał oczami.

– Chodzi ci... chcesz znać dokładne koordynaty czy tylko...?

– Najlepiej co do łokcia. – Palec przełożonego portniska oskarżycielsko skierował się w dół, ku dużej, pełnej ludzi, stołów i map sali nawigacyjnej. – I nie mów mi, jakie to trudne i pracochłonne. Nie widać, by te nieroby spływały potem z przepracowania. O, ten przy kolumnie przykładowo. Żre frycfurdera z musztardą zamiast namierzać. A ten chudy nie atlas wertuje, jeno jakąś brukową kronikę. Może nawet z gołymi babami. Albo wynikami turniejów rycerskich.

– Właśnie skończyliśmy.

– Yuhamm, chłopcze, to najgorszy dzień w historii Teleporthanzy! Mamy kłopoty finansowe, kantory i banki nas cisną, Anvashe o nowym modelu wrzeczona trąbią, szerokokadłubowym, do którego, zasrańcy jedni, konia ponoć zdołali upchać, a tu jeszcze ta historia! I to w grudniu, tuż przed świętami! Wiesz, jak nas to może po sakiewce trzasnąć? Macie harować do upadłego!

– Ale Piekmoth, na tym sprzęcie...

– Nie chcę słyszeć jednego słowa o przestarzałym sprzęcie. Chcę usłyszeć koordynaty. Dokładne. – Herselbrucker przestał słać ponure spojrzenia w dół, ku dwóm tuzinom krzątających się między mapami i kryształowymi kulami czarodziejów, odwrócił się i postukał Kleihunsa w środek gwiazdy. – Bo jak nie, to ci zawieszę mecenat i własne pieniądze będziesz topił

w tym kretyńskim projekcie. „Badanie natury spadania jabłek z drzewa”! – prychnął. – Że też ktoś skądinąd niegłupi mógł wpaść na taki kretyński pomysł! Jabłko spada, bo to ma w naturze i tyle!

– Nie zrobisz tego... – Kleihuns pobladł. – Ja... ja właśnie kupiłem sad. Ogrodnika nająłem, instrumenty pomiarowe zamówiłem, zaliczki poszły...

– Łajno mnie to obchodzi. Obchodzą mnie trzy liczby. Długość geograficzna. Szerokość. I wysokość nad poziomem morza. Jak tego szybko nie usłyszę...

– Już dobrze, Piekmoth, dobrze! Ja zaraz... – Yuhamm Kleihuns przechylił się przez balustradę, zaczął machać rękami, by zwrócić uwagę tych na dole. – Hej, panowie mistrzowie! Proszę o uwagę! Pan ode Herselbruker ma dla was nowe zadanie. Potrzebne mu są pilnie aktualne koordynaty Księżyca.

Piekmoth poczerwieniał, ale nie zabił swego zastępcy. Przyparł go tylko do ściany i to nie magią, zwyczajnie, ręką.

– Yuhamm, do ciężkiej dzumy, zejdź wreszcie na ziemię – wycharczał przez zaciśnięte zęby. – Roztargnienie uczonego roztargnieniem uczonego, ale wszystko ma swoje granice. Naprawdę nie dociera do ciebie, co się stało? Nasze pieprzone wrzeczono wyleciało z pieprzonego jelita i pieprznięło gdzieś w pieprzoną ziemię. Jak zaraz nie ustalicie, gdzie to się stało...

– To nie mówiłem? – zdziwił się Kleihuns. – Jelito pękło niedaleko stacji przekaźnej na Czarnusze.

– Co? Gdzie?

– Góra Czarnucha w Lonsku. Dokładniej: w Księstwie Belnickim, a jeszcze dokładniej: tuż przy granicy tego księstwa z Morvacem. Prawie co do mili w połowie drogi ze Żbikowa do Frycfurdu.

– Jesteś pewien? – Teleportniczy puścił swego czołowego eksperta.

– Pewnie, zem pewien. Stacje przekaźne zawsze buduje się

w połowie drogi, bo z bilansu energetycznego w prosty sposób wynika...

– Yuhamm, ja nie jestem twój czeladnik czy inny kursant – zasapał Piekmoth. – Wiem, wystaw sobie jak działa ten cholerny transfer. Pytam, czy pewien jesteś miejsca katastrofy.

– Aha... wybacz. Tak, jestem pewien. Dwa razy przeanalizowaliśmy wszystkie dane. A potem porównaliśmy z odczytem Czarnej Skrzynki. Zgadza się idealnie.

– Maja już odczyt? – ucieszył się Herselbrucker. – Ha! Więc nie jest tak źle! Kleihuns podrapał się za uchem z niewyraźną miną.

– Pozostańmy przy stwierdzeniu, że mamy odczyty – chrząknął.

Piekmoth sposepniał. Machnięciem ręki pokazał, by iść za nim. Zeszli z galerii, skręcili w boczny korytarz. Dalej była mała komnata z podwójnymi drzwiami, ciężkimi jak siedem nieszczęść, bo obłożonymi ołowiem. Szerokimi kamiennymi schodami zeszli dwa piętra niżej, pod ziemię. Śmierdziało tu dymem, bo do oświetlenia użyto najprymitywniejszych, nie uszlachetnionych w żaden sposób łuczyw.

Mimo potężnych gładów, z których zbudowano ściany, i następnej pary ołowianych drzwi, instrukcje nakazywały dmuchać na zimne. Uszlachetniacze, nawet te naturalne, wytwarzano przy bezpośrednim lub przynajmniej pośrednim udziale magii. A ta zakłócałaby odczyty.

– Zostawcie różdżki i co tam jeszcze macie, w tym kufrze – polecił Kleihuns. – Wybacz niedyskrecję, Piekmoth, ale jak tam twoje hemoroidy? Nie kurowałeś się aby w ciągu ostatnich dwunastu klepsydr za pomocą...?

– Nie – rzucił krótko teleportniczy, kładąc różdżkę obok rządka innych. W kufrze, ekranowanym złotem wysokiej próby, leżały też amulety, dewocjonalia, czyjaś sztuczna szczeka, szklane oko oraz parę innych przedmiotów

wstydliwie poowijanych w płótno. Wszystko mocno promieniowało magią.

– A... z drugiej strony? Podobno żona namówiła cię...

– Też nie. Pomyśl, zanim coś powiesz, Yuhamm. Moja stara ma sześćdziesiąt lat, a jak wygląda, doskonale wiesz. Żaden afrodyzjak, nawet magiczny, jej nie pomoże.

– No tak. Wybacz, Piekmoth. Po prostu nie chciałem wprowadzić cię w zakłopotanie, pytając o... hmm... wizytacje w naszym... hmm...

– Domu uciech? A niby dlaczego miałbym się czuć zakłopotany? Przecież do bab tam chadzam, a nie do owiec. A zamtuż mamy na najwyższym poziomie. Na tak wysokim, że czuję się urażony twoim pytaniem. Do obłapki z naszymi dziewczętami żadne czarodziejskie afrodyzjaki nie są nikomu potrzebne. Nawet takim jak ja mężom w sile wieku. Zapytaj Debrena, bo o tobie, daruj niedyskrecję, wiem, że spódnic się brzydzisz.

– Kobiety i dzieci tylko rozpraszają twórcę – wzruszył ramionami Kleihuns. – Czego dowodem, że mistrz Debren także z naszego zamtuża nie korzysta, choć upust spory mu przysługuje.

– Hę? – Herselbrucker rzucił Debrenowi podejrzliwe spojrzenie. – Prawda to?

– Nauka wehrleńskiego pochłaniania wiele czasu – odparł z kamienną twarzą magun.

– No to tym bardziej powinieneś z upustów firmowych korzystać. Niewiasty wielce gadatliwe są, miałbyś zapewniony stały potok słów, dzień i sporą część nocy. A że zwykle w kółko o tym samym plotą, to nawet lepiej. Powtarzanie jest matką nauki.

– Przy moich zarobkach – czarokrążca uśmiechnął się bez radości – nie ma szans na całonocne lekcje. Nawet przy upustach.

– To się ozeń. – Herselbrucker przyłożył dłoń do

kryształowej płytki magicznego odźwiernego. – He, he, żartowałem. Droga kurtyzana jest tańsza od taniej żony. Coś o tym, psiakrew, wiem.

Magiczny odźwierny sprawdził aurę osoby i odblokował zamek. Trochę to potrwało. Urządzenie nie zakłócało żadnego z pól, bo działało pasywnie i na wyjątkowo nieekonomicznym paśmie, zarzuconym już w epoce szamańskiej. Ale też czarowało w tempie mało rozgarniętego kursanta pierwszego roku.

Za drzwiami była nieduża, obita czarnym aksamitem komnata z ustawionymi pod ścianami leżankami.

Było ich dwanaście, po parze na każdy obsługiwany przez portnisko kierunek świata. Nie wszystkie były zajęte. Sektor północno-zachodni odgrodzono tyczkami z przeciągniętym sznurem, a leżanki, przykryte pokrowcami, pokrywała gruba warstwa kurzu. Był to efekt sankcji nałożonych na Wielkie Księstwo Żmutawilu i skutek solidaryzowania się z zakonem rycerzy kołowych, po cichu wojującym z księstwem i po cichu przez Wehrlen wspieranym. Co prawda, ta sama trasa prowadziła do włości zakonnych, ale z powodu notorycznego uchylania się wielkiego mistrza od regulowania opłat zaprzestano także transferów do Marygatu, stolicy państwa zakonnego. Kierunkiem północnym zajmowało się jedno medium: staruszek, który najwyraźniej przysnął, co być może tłumaczyło kłopoty wrzeczona z Draklenu. Linia wschodnia, na Eileff w Marimalu i Tamburk, stołeczny gród Anvashu, też miała jednoosobową obsadę, co z kolei wynikało z ostrej konkurencji na wschodniowiślańskim rynku transferów. Teleportnisko we Frycfurdzie, choć wpisane do Księgi Gupissa jako największe we wschodnim, a więc i całym świecie, jedynym przecież nie było.

Pośrodku komnaty, z racji kolorystyki, słabiutkiego oświetlenia i niewielkiej powierzchni zwanej Czarną Skrzynką, stał duży stół. Ze środka stołu wyrastał powlekany

złotem i miedzią słup, który przenikał strop i, osłonięty wyżej wieżą, strzelał na dwadzieścia sążni ponad ziemię. Słup nie był bynajmniej szczerozłoty, tylko stalowy i pusty w środku, ale taniej by wypadło odlanie go jako pełnoprzekrojowej sztaby, jeśli nie ze złota, to przynajmniej ze srebra. Wewnątrz obustronnie ekranowanej rury biegły najgrubsze czarowody, z jakimi Debren się zetknął. Część z nich wyprowadzono tuż nad blatem stołu, choć te akurat były cieńsze od bootalyiskich klusek nazywanych mafiaroni. To wystarczało. Czarowody nie przenosiły mocy zasilającej jelito, a jedynie przekazywały sygnały. Część z nich na srebrne zwierciadła wypromieniowujące energię ku leżankom mediów, część do rozmaitych urządzeń pomiarowych, a dwanaście na pióra gęsie. Sześciu przeszkolonych magów zapisywało nimi oburącz przesyłane samoczynnie parametry transferu i meldunki wrzecionowych.

– Można iść na piwo – zdecydował Herselbrucker. – Zostaje sekcja zachodnia. Popatrzmy, co my tu mamy.

Rejestry sporządzone były na pergaminie – Teleporthanza nie miała w zwyczaju oszczędzać na sprzęcie. Piekmoth przez dłuższy czas wpatrywał się w zygzakowate wykresy. Z coraz mniej wyraźną miną.

– Rozumiesz coś z tego, Yuhamm? Bo ja za cholere.

– Tu widać wartość ujemną – pokazał palcem Kleihuns. – Na wysokości Starohucka w Lelonii.

– Widzę, że widać. Ale to sensu nie ma. Na wznoszącej nie ma prawa pojawić się żaden minus.

Wrzeciono gna do góry, ssie moc jak lancknecht piwsko. Niby po co...?

– No, coś się popsulo.

– W naszych transferach nic się nie psuje. A minusów nie ma.

Debren chrząknął.

– Spójrzcie na zapis akustyczny, mistrzu – podsunął

Herselbrukerowi inny arkusz.

– „O kurwa, Machrusie – odczytał Piekmoth. – Coś się psuje. Wykrzyknik. Zadek. Wykrzyknik. Minusa mamy. Bardzo duży wykrzyknik”. Hmm. Co znaczy to o zadku? – Tak się nieformalnie nazywa tylnych wrzecionowych – wyjaśnił Kleihuns.

– Co?! W moich liniach?! Takie plugastwa po wrzecionie pełnym pasażerów z dzioba na rufę latają?! Aż się boję spytać, jakie z rufy na dziób wracają!

– Spokojnie, mistrzu Piekmoth – wtrącił się Debren. – Przestrzeń w jelicie pozarealna jest, a wrzeciono mknie szybciej niż dźwięk. Jeśli wierzyć wyliczeniom, o szybkość konia szybciej. Porozumiewanie się głosem jest niemożliwe. To zapis rozmów wrzecionowych, a ci są telepatami.

– A jak się między pasażerami jakiś czytający w myślach trafi?

– Wrzecionowi szyfrem myślą – poparł Debrena Kleihuns. – A na portniskach ochrona sprawdza pasażerów i jak się telepata trafi, to go grzecznie pouczają, by trzecie ucho trzymał na wodzy. Jeśli nie umie, to mu hełm ekranowany na łeb nasadzają. A jak mówi, że umie, a potem podsłuchiwać próbuje, to karę płaci i w ucho może oberwać. To zwyczajne, do głowy przyrośnięte.

Teleportniczy nie słuchał już. Mamrocząc coś pod nosem, sprawdzał połączenia lutowane ołowiem, brał do ręki samopiszące pióra i upewniał się, czy nie zatraciły swych właściwości.

– Może medium? – zerknął podejrzliwie na pogrążonych w transie. – Debren, ty nos masz lepszy.

Powąchaj no tych dwóch, zobacz, czy nie popili.

– Sprawdzaliśmy media – zapewnił Kleihuns. – Jak się kłopoty zaczęły, to szybko dorzuciliśmy do tej dwójki jeszcze trzech innych. Pomóc nie pomogli, ale przynajmniej przetestowaliśmy zachodni zespół. Wszystko jest jak trzeba.

Po prostu z przekaźnej stacji przyszedł apel o ujemne pchnięcie mocy. O tu, widzisz? – postukał w wykres. – Moc poszła, wrzecziono wyhamowało, jelito puściło, no i bęc.

– Tyle to i ja wiem. Powiedz lepiej, skąd się ten apel wziął. Yuhamm Kleihuns myślał przez dłuższy czas, marszcząc chmurnie czoło. Potem odpowiedział. Z godną genialnego uczonego precyzją.

– Zielonego pojęcia nie mam.

– Ale z zewnątrz raczej nie? – upewnił się Piekmath. – I apel to był, a nie, przykładowo, strzała jakiegoś Lelończyka, co do kaczek z łuku strzelał, a w jelito trafił?

– Cztery mile nad ziemią? Nie żartuj. Nawet gdyby korytarz zaprzestrzenny, znaczy jelito, na chwilę cały w realność wszedł, a nie blask jeno puścił, co ślady jego po niebie kreśli, to na taką wysokość żaden pocisk nie doniesie. Choćby i z katapulty, magią wspomagany. A jeszcze utrafić, a ścianę jelita przebić, a w polu energetycznym nie spłonąć... Nie, Piekmath. Zestrzelić lecące wrzecziono to nie w kij dmuchał, a na takich wysokościach to już w ogóle. Coś się musiało w stacji przekaźnej stać. Wygląda, jakby to nasi sami...

– Łączności nie ma? – zapytał dla formalności Debren.

– To pięćset mil z okładem – westchnął Kleihuns. – Dobry telepatograf działa na dwieście, a i to przy idealnej pogodzie. Normalnie, jak coś pilnego jest, to przez wrzecziono sygnały idą. Przy chyżości okołodźwiękowej wrzecziono jest prawie osiem pacierzy w zasięgu telepatografu stacji.

– A jak coś się stanie? Telepatę stacyjnego, powiedzmy, natchnienie opuści? Albo im drewno zamoknie i energii nie będzie skąd zaczerpnąć?

– Jest system awaryjny. Cholernie nowoczesny, tyle że nie tak szybki. Do pióra-samopisa papier-samozwij przyłożony jest, na pół stopy długi. Jak się coś bardzo złego z transferem dzieje, to maszyneria, w ośmiu ledwie kufrach się mieszcząca, uruchamia pióro. Po pacierzu zapis gotowy jest, papier się

zwija i nośnik może go zabrać do Frycfurdu. Tylko pamiętaj, Debren: morda o tym w kubel. Anvashe tego jeszcze nie mają.

– A nośnik jaki?

– Gołąb.

Debren liczył chwilę w pamięci.

– Jak silny i będzie leciał bez przerwy – mruknął w końcu – to siedem i pół klepsydry mu zejdzie. Przy dobrej pogodzie i bez sokolników w drodze.

– Więcej – westchnął Herselbrucker. – Korytarze łączności powietrznej po łamanych biegną. Nie wszędzie dało się wytyczyć strefy bez polowań; właściciele ziemscy słono sobie niekiedy liczą. A na tej trasie w dodatku gór od czorta, dzikich ptaków drapieżnych pełno. Jak na rano zaleci, dobrze będzie.

– To za długo – powiedział cicho Debren. – Latem można by od biedy czekać. Ale zima jest. Ci, co przeżyli, pewnie są ranni. A nawet jak nie, to nie wiedzą, gdzie się znajdują, gdzie ratunku szukać. Znam trochę belnickie księstwo. Sama Belnica w kotlinie leży i osad tam sporo, ale dookoła jeno góry i lasy. Zimą śniegu po pas i znikąd pomocy. Nie, nie można czekać.

– Nie można – zgodził się teleportniczy. – Konkurencja nie śpi. I wywiady wojskowe też nie.

– Miałem na myśli pośpiech dla ratowania ludzi – posłał mu trochę urażone spojrzenie Debren.

– Ja też. A że racjonalista jestem i całej ludzkości zbawiać nie zwykłem, to zacznę skromnie. Od naszych.

– Pasażerów? – wołał się upewnić magun.

– Debren, nie bądź dzieckiem. To wrzeczono runęło z wysokości czterech mil. Na skały i las górski, sosnowy pewnikiem. Rodzaj lasu o tyle istotny jest, że sosna nie przypadkiem na pale i palisady bywa ścinana, tudzież inne przedmioty do szpikulca podobne. W jej naturze jest rosnąć pojedynczym sztywnym pniem prosto ku górze. Cieszę się, że nie będę musiał oglądać ludzi, co z nieba na takowe szpile

pozlatywali.

– Martwi na szczęście – pocieszył zebranych Kleihuns. – Ze wstępnych badań nad jabłkami wiem, że im dłuższa droga spadania, tym szybciej ciało spadające leci. A przy szybkości stu mil na klepsydrę każda istota żywa śmierć nieuchronnie ponosi. To dlatego ptaki duże, orzeł przykładowo, szybciej od małych nie fruują, choć teoretycznie, jako większe nawet kilkadziesiąt razy, mogłyby. Ale orły mądre są i wiedzą, że przy setce na klepsydrę powietrze w dziób wpadające rozerwałoby je na kawałki jak pęczek, gdy go z całych sił dmuchać. – Pasażerowie trupy są, to pewne – podsumował Herselbrucker. – Im już nie pomożemy. Za to naszym ludziom można.

– Myślicie, że ze stacją przekaźną też coś się złego stało? – zmarszczył brwi Debren.

– To też. Ale o tych mniejsza. O firmę mi idzie. Wiesz co będzie, Debren, jak w świat pójdzie wieść, że cztery mile nad ziemią pasażerów zgubiliśmy? Że w locie im płuca rozdęło, rozszarpało nieboraków jak żaby, co to je urwisy przez słomki nadmuchują, a potem trupy na sosny ponawlekało albo o skały roztrzaskało? Teleporthanza straty ogromne poniesie, może nawet zbankrutuje. Setki czarodziejów wysoko wyspecjalizowanych robotę stracą. I innej nie znajdą, bo każdy z osobna niewiele znaczy, jak zębátka pojedyncza z wieżowego zegara. Szlag trafi ich kariery. Ich rodziny w nędzę popadną. Córkę na ulicę pójdą, a synowie stróżami nocnymi zostaną, jak im się poszczęści. Rozpacz i ruina. Nie możemy do tego dopuścić.

– Nie zbadam natury spadania jabłek – dorzucił poblady Kleihuns. – O Machrusie, co za nieszczęście! Piekmath, wymyśl coś!

– Za późno – uśmiechnął się nieoczekiwanie teleportniczy. Uśmiech był chytry.

– Za późno?! Więc mamy wszyscy z torbami pójść?!

– Na wymyślanie za późno – wzruszył ramionami Herselbruker. – Gdybym czekał na problem, a dopiero potem brał się za kombinowanie, jak mu zaradzić, to dupa bym był, a nie przełożony pierwszego w świecie teleportniska. Myślisz, że po co tu Debrena przywiodłem?

– No... nie wiem.

Debren też nie wiedział. Ale stracił już nadzieję, że uda mu się pozostać w tej błogiej nieświadomości.

– Gdzie coś złego się dzieje, a nie wiadomo co, kogo posłać najmądrzej? – Piekmoth uśmiechnął się chytrze. – Kto szlaki przez las niewiedzy najlepiej przeciera?

– Mistrzu – Debren popatrzył mu w oczy. – To pięćset mil z okładem. Zanim na miejsce dotrę... Najszybszą konną sztafetą to będzie...

– Kto uczy się na tyle szybko, by w pół klepsydry sztukę prowadzenia wrzeciona opanować? – Debren pobladł. – Kto zna się na transferach w dostatecznym stopniu, by nie bredzić o samobójczym wyskoku z jelita, tylko zgodzić się z tezą, że to odrobinę ryzykowna, niekonwencjonalna i nie praktykowana dotąd forma szybkiego docierania na miejsce?

– O Boże – stęknął Kleihuns.

– Nie patrz tak na mnie, magunie. Dobrze wiesz, że nie chcę cię zabić w tak pokrętny i wyrefinowany sposób. Nie wiem, czy jest ktoś, kto cię kocha na zabój, ale dam głowę, że nawet ten ktoś nie modliłby się tak żarliwie o całość twoich kości, jak ja będę się modlił. Boś mi potrzebny żywy i zdrowy na tej górze.

– To szaleństwo – nazwał rzeczy po imieniu Debren.

– To jedyny sposób, by wyprzedzić innych.

– Nie przesadzajcie, mistrzu. Konkurencja może i nie śpi, ale nawet my potrzebowaliśmy odczytów z Czarnej Skrzynki, by dowiedzieć się, że wrzeczono w ogóle spadło, nie mówiąc o miejscu katastrofy.

Ta Czarnucha to pewnie najwyższa w okolicy góra, bo na

takich stawia się stacje przekaźne. Jest zima, nikt zdrowy na umyśle nie łązi po górach. Założę się, że do wiosny żaden tubylec nie znajdzie ani wraku wrzeciona, ani ciał pasażerów.

– Tak? – skrzywił się Herselbrucker. – To fatalnie. Pamiętasz, jak cię przyjmowaliśmy? Nasz duszysta, a zarazem mój doradca do spraw personalnych, zaproponował ci rutynowe sondowanie mózgu.

Odwzajemniłeś mu się wielce nieuprzejmą kontrpropozycją i pogroźkami, nie przyjmując do wiadomości, że werbunek ludzi wymaga w dzisiejszych czasach wysoce specjalistycznych metod. No bo jak, przykładowo, do operowania pracą jelita posadzi się nie sprawdzonego maga, a ten się perwersem okaże? Z tych, co miłość poprzez tył uprawiają, i to niekoniecznie z człowiekiem? Nie rób głupiej miny, był taki przypadek. Nie wolno mi mówić, jak się rzecz skończyła, ale ci powiem, że dość tragicznie. I to nie tylko dla operatora. Więc trzymamy się zasady: „Ufaj i kontroluj”. Przy całym zaufaniu, jakim cię darzę, nie mogłem powstrzymać roty ochrony przed zastosowaniem wobec ciebie rutynowych środków inwigilacji.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Debren mało życzliwym głosem.

– Żeby nie przedłużać: sporo o tobie wiemy. Na przykład, że jak się tylko o coś założysz, to z miejsca przegrywasz. Za antywyrocznie mógłbyś służyć. Aż trudno uwierzyć.

– Bzdury jakieś mi tu...

– Co, nie zauważyłeś? Bywa i tak. Ale twoja podświadomość zauważyła.

– Grzebaliście mi w podświadomości?! – Magun pociemniał na twarzy. – Kiedy?!

– Metod operacyjnych ci zdradzać nie będę. Powiem tylko, że jak na dyskretne, to całkiem skuteczne owe sondowania były.

– We snach grzebaliście – pokiwał głową Debren. – Niech

cię szlag, Piekmoth. Tegom się po tobie nie spodziewał. Za grosz etyki, cholera.

– Jak mówią w Wezyracie: „Nie przyszła góra do Temmo, podreptał Temmo do góry”. Jak mówią na dworze w Żuli: „Cel uświęca środki”. A ja, chłopcze, chcę czy nie, muszę wiedzieć, kto dla mnie pracuje. Choćby po to, by takich jak ta rozmów niepotrzebnie nie przedłużać. Tam ludzie może czekają, Debren. A ty się zgodzisz. Więc nie traćmy czasu. Powiedz: „Tak” i idźmy dalej.

– Nie.

– To idźmy dalej, omijając chwilowo bezrozumny sprzeciw. W raporcie nasz duszysta napisał, bez urazy, cytuję tylko, żeś ckliwy mięczak, niezdolny tonącemu brzytwy odmówić... czy jakoś tak. No, w każdym razie o to mu szło, że jak ktoś do ratowania się obok pojawi, to go mistrz Debren zaraz leci ratować. Osobliwie baby i dzieciaki.

– Tak o każdym dobrym machrusaninie powiedzieć można – mruknął Debren z ponurą miną.

– Powiedzieć można. Gorzej, gdyby przyszło takiego szukać. Nałaziłby się człek, oj, nałaził. I całe szczęście, bo głupota szkodliwą jest, gdy zbyt rozpowszechniona. No, ale nie o tym... Pastwienie się nad trupami też cię ponoć razi?

– Zależy – warknął magun. – Jakby tak duszysta sondolub się trafił...

– We wrzecionie duszysty nie było – przerwał mu teleportniczy. – Dwóch wrzecionowych je prowadziło, jedynych żywicieli obfitujących w dzieci rodzin. Wieźli tuzin podróżnych, w tym trójkę nieletnich. I dwie niewiasty.

Jedna ciężarna była.

– Po co mi to mówisz? – Bo jest mała szansa. Mała, ale jest, że jelito w dół poszło, nim pękło. I że ktoś przeżył. A ty, jak się pospieszysz, to kogoś uratować zdążysz. To raz. A dwa, że coś szybko ze zwłokami zrobić trzeba. Konkurencja, Debren, się nie patyczkuje. Jak dwa lata temu nazad jednej znanej

kompanii przewozowej pijany pasażer z wrzeciona wypadł, to go inna znana kompania, trupa znaczy, za równowartość wagi ciała w miedziakach od chłopca wykupiła, któremu tenże nieszczęśnik strzechę przebił. Wyszło tego z górą dwadzieścia trzy tysiące denarów, przeszło czterdzieści dwa talary, cholera. No, a potem owa nie nazwana firma zwłoki uwędziła i solą natarła, by nie zgniły, i po miastach obwoziła, ludności gratis demonstrując. Nie muszę dodawać, że obroty tych głupków, co pasażera zgubili, znacząco spadły.

– A nasze wzrosły – pochwalił się Kleihuns. – Warto było zapła...

– Zamknij się – uciszył go łagodnie Piekmoth ode Herselbruker. – Mówię to, by uświadomić Debrenowi, że walka o klienta rozmaite oblicza przybiera, nie zawsze szlachetne.

– Cel osiągnąłeś – oznajmił wstrzemięźliwie magun.

– Pewnie niepodobałyby ci się krążące po Frycfurdzie wozy pełne wędzonych niewiast, dzieci i wrzecionowych Teleporthanzy? Spleśniałych, robaczywych?

– Przykry byłby widok – wycedził przez zęby. – Ale nie aż tak, by dla jego uniknięcia samobójstwo popełniać.

– Ale do Księgi Gupissa byś trafił – poparł przełożonego Kleihuns. – Nie odnotowano dotąd ani transferu w ciemno, ani świadomego wyskoku pasażera z wrzeciona, ani udanego przebiccia ścianki jelita. Mój Boże, aż trudno zliczyć, ile rekordów byś za jednym zamachem ustanowił.

– Jeden na pewno. Bezmyślności.

– Szybkości awansu – poprawił Debrena Herselbruker. – Nie okłamujmy się, waćpanowie. Wszyscy wiemy, że transfer inny niż z jednego portniska na drugie jest jak rzut porcelanową wazą. Jeśli nikt nie łapie, to cholernie źle może waza skończyć. Ale gdy wiadomo, że nie będzie komu łapać, to i rzucać można w specjalny sposób, i wazę odpowiednio trwałą dobrać, i miejsce upadku. Zaś wazie obiecać, że już

nigdy w życiu skorupy narażać nie będzie musiała, bo się ją po udanej akcji w pawim puchu trzymać będzie. Mówiłem ci, Debren, że w połowie drogi jesteś, lecz to nie całkiem tak. Stałeś, chłopcze, w punkcie, z którego robi się skok i trafia na samiutki szczyt. Albo nie robi się i zaprzepaszcza życiową okazję. Bez rozwodzenia się, bo wiesz, co to oznacza: zrobię cię moim zastępcą. Do spraw operacyjnych. Dwóch mam zastępców, ty trzeci będziesz. A przy twojej płytkiej, bo płytkiej, ale wszechstronności, będziesz miał największe spośród całej firmy szansę stanowisko po mnie objąć. Yuhamm to uczony; do zarządzania firmą ani się nie nadaje, ani nie garnie. Po cholere mu to? Żony i dzieciaków nie ma, czasu wolnego na badania dużo... A tego drugiego, jurysty chędożonego, nigdy rada nie wybierze. Miałbyś nominację jak w kieszeni.

– Mistrzu Piekmoth...

– Czekał, Debren, pozwól skończyć. Sondowanie podświadomości w czasie snu nie tylko jest nieetyczne. Gorzej, że mało skuteczne bywa. Ale przynajmniej daje poznać marzenia badanego.

Debren patrzył w obitą na czarno ścianę. Milczał.

– Niewiasty potrzebują stabilności – powiedział cicho Herselbrucker. – Chcą być bezpieczne. I za to nas kochają, a przynajmniej do łóżka wpuszczają. Za dawane im poczucie bezpieczeństwa. Za pieniądze, Debren. Te, które już są, a co ważniejsze, te które będą w przyszłości. Za duży, ciepły, jasny dom, kwiaty w ogródku, za dzieci, które nie wiedzą, co to jest głód. Za pieniądze – powtórzył. – Takie już są te baby.

Yuhamm Kleihuns odchrząknął.

– Wybacz, że ci przerywam, ale o czym właściwie...?

– On wie. – Teleportniczy uśmiechnął się pod brodą. – Prawda, Debren? Włóczęgo urodzony? Kocurze, samopas łązący? Zdeklarowany przeciwniku pracy zespołowej?

– Niech cię cholera – uśmiechnął się blado magun. – To co

konkretnie miałbym zrobić?

Debren wypluł przemieszany z sadzą śnieg i na wszelki wypadek sprawdził, czy nie splunął żadnym zębem. Chyba nie. Pewności jednak nie miał. Kręciło mu się w głowie i praktycznie nie czuł ciała.

Do tego stopnia, że przez chwilę zastanawiał się nawet, czy to białe i puszyste pod spodem to aby nie chmura. Czy nie umarł i nie trafił do nieba.

Ale nie. Magunów nie wpuszczają do nieba. Różnej rangi duchowni powtarzali to dostatecznie często i z dostatecznie dużym przekonaniem, by traktować to z równą powagą, jak ich wyjaśnienia na temat pośmiertnego życia wysoko w górze. Szkoda. Być może szkoda. Być może byłoby lepiej znaleźć się już teraz tam, wśród obłoków.

Nie czuł nóg. Nie czuł też chłodu. Czar ochronny i wypadochron działały lepiej, niżby chciał. To było pewne. Ale pewności, czy zdoła wstać, gdy przestaną działać, już nie miał.

W ślinie nie było krwi. Czyli płuca są w porządku. Z tego powodu nie umrze. Nie ma też wielkich szans na śmierć w wyniku zapalenia płuc. Albo wstanie i ucieknie przed choróbskiem, albo nie da rady wstać. I zamarznie.

Przed wytransferowaniem Piekmoth ode Herselbrucker zmarnował sporo swego cennego czasu, tłumacząc mu jak dziecku, że strój podróżny nie ma najmniejszego znaczenia. A dokładniej – że nie ma go brak stroju. Zamiast się sprzeczać i unosić honorem, trzeba było położyć uszy po sobie i od razu usłuchać starego mistrza. Może i kompromitował cech czarodziejów tą swoją cudaczną merlinką, ale wiedział, co mówi.

Jeżeli to kręgosłup, to najgrubszy kozuch nie ocali mnie przed zamarzeniem, skonstratował. A dokładniej – nie ocaliłby. Gdyby dało się zabrać ze sobą kozuch, wyskakując

z pędzącego wrzeciona.

Na szczęście nie zgłupiał aż tak, by próbować.

Ta sadza pokrywająca śnieg szarawym nalotem to resztki zwęglonych w krótkiej eksplozji kalesonów i włosów. Naskórka chyba nie. Przynajmniej ten na lewej dłoni wyglądał na prawie nietknięty. Ręka pobielała od zimna i być może nie dałoby się zauważyć lekkich oparzeń, ale drobne włosy w okolicy nadgarstka nie całkiem spłonęły, co oznaczało, że ze skórą nic złego się nie stało. O ile jej nie odmroził, leżąc bez przytomności czort wie jak długo.

Ślizg, zeskok, upadek czy jakkolwiek to zwać, zakończył twarzą ku ziemi, chyba dość głęboko w śnieżnej zaspie, bo zezując do góry nie potrafił dostrzec czegokolwiek oprócz śniegu. Było szaro.

Kiedy jelito pękało pod jego ciężarem, też zdążył odnotować szarość zimowego popołudnia. Gdyby nad Czarnuchą świeciło słońce, mógłby odwrócić się na plecy, sprawdzić jego położenie w stosunku do okolicznych szczytów i zorientować się z grubsza, ile czasu był nieprzytomny.

Łatwiej skapitulować, wiedząc, że już się przegrało. A jeśli leżał tu dłużej niż klepsydrę, to praktycznie przegrał. Odmrożenie kończyn, dogłębne wychłodzenie organów wewnętrznych. Nie byłoby sensu walczyć o przetrwanie. Nie po to, by jakiś wiejski chirurg amputował mu tępą piłą obie nogi i ręce.

Wiedział, że powinien zebrać siły i zrzucić blokady z systemu nerwowego. Ze zdalnie sterowanej i niewrażliwej na ból marionetki na powrót stać się sobą, człowiekiem z krwi, kości, ścięgien i kompletu zmysłów. Ale bał się. Bał się chwili, gdy stwierdzi, że krew ma nie w żyłach, a w jamie brzusznej, kości są w kawałkach, ścięgna pozrywane, a zmysły nie sięgają dalej niż do pasa. Albo i do karku. Niby czemu nie? Przelatywał między jakimiś drzewami, potem chyba o włos mijał sterczące spod zasp czarne plamy, może głazów, może

kikutów pni. Było sporo okazji, by trzasnąć o coś głową i złamać kręgosłup na najdelikatniejszym, szyjnym odcinku.

To by akurat nie było najgorsze. Śmierć bez bólu, łagodne odejście. Nie trzeba było się zgadzać. Po kiego czorta wlaź do tego wrzeciona? Coś się poruszyło. Potrzebował chwili, by zrozumieć, że to palce. Palce jego dłoni. Poruszały się.

I chyba nawet zaczynał je czuć. A więc nici z łagodnego odejścia. Wcześniej czy później czucie wróci samo. Wszędzie, jeśli nie nadwerężył kręgosłupa gdzieś niżej.

Mimo wspomagania przez portniskowych magów i praktycznego przejęcia przez nich kontroli nad żywym dodatkiem do wrzeciona pod nazwą Debren, ostatnią fazę lądowania odbył w zasadzie samodzielnie.

Pięćset mil, cholera. I tak cud, że doprowadzili go aż tak daleko po krzywej, która już w połowie Lonska przestała przypominać balistyczną. Udało im się wygiąć jelito, puścić wrzeciono pod górę bez zasilania i wymierzyć z mocą tak, że zapas pędu skończył się prawie idealnie nad Czarnuchą. Ale czary to tylko czary, jeszcze długo nie będą się nadawać do robienia cudów. Żeby wybrać właściwy moment, wyskoczyć jak należy i kiedy należy, uaktywnić wypadochron, a potem, już poza jelitem, pokierować ślizgiem tak, by nie grzmotnąć w pierwsze drzewo, zużył prawie cały zapas swojej własnej wewnętrznej energii.

Tym, co zostało, musiał gospodarować bardzo oszczędnie. Nie na wiele było go stać. Na pewno nie na przewyciężenie skutków długotrwałego leżenia w śniegu. Gdyby czekał na samorzutne cofnięcie się blokady czuciowej, w momencie odzyskania pełnej kontroli nad nogami byłby w praktyce żywym trupem.

Pełnym goryczy z powodu źle dokonanego wyboru. Chociaż – i tu tkwił hak – z zapasem mocy pozwalającym nałożyć sobie znieczulenie i odejść bez bólu.

Zdejmując blokadę teraz, zakłębem, pozbawiłby się szansy

na bezbolesną śmierć. Ale zyskałby szansę przeżycia. O ile niczego ważnego sobie nie zламаł.

Dżuma i syfilis. Teraz już wiedział, że to pod policzkiem to nie obłok, a cichy świst w uchu nie pochodzi od wiatru zabłąkanego między strunami przydzielonej mu harfy. To była ziemia i życie. Z cholernym przymusem dokonywania wyborów i ponoszenia ryzyka. Wybrał zło, które uznał za niniejsze.

Zdjął blokadę.

I wrzasnął. Na chwilę stanęło mu serce. Jak przy skoku do lodowato zimnej rzeki.

Rzuciło nim na trzy stopy w górę. Samo, bez udziału świadomości. Spadł na kolana i zwinął się w kłębek jak przy skoku do rzeki, porażony bólem, który sprawiło wdzierające się w głąb tkanek zimno.

Miał je już w sobie, sączyło się pod skórę powoli, jak to z powietrza i suchego śniegu, ale dopiero teraz je poczuł. Jak cios młota. Przede wszystkim tam, gdzie najboleśniej uderza lodowato zimna rzeka. W podbrzusze.

Zerwał się i pobiegł w poprzek porośniętego rzadkimi zaroślami zbocza. Zgięty w pół, zaciskając obie dłonie tam, gdzie najbardziej bolało i gdzie rodził się, wbrew prawom anatomii, gardłowy krzyk.

Gnał jak szalenciec i wrzeszczał ile sił w płucach. Przebiegł w ten sposób prawie ćwierć mili, nim przestał się wydzierać. Na szczęście okolica była bezludna i nikt w zdrowo pojętym odruchu samoobrony nie próbował zastrzelić go z łuku lub trafić oszczepem. A miałby święte prawo. Widok nagiego, niemal bezwłosego mężczyzny, biegającego z krzykiem po ośnieżonym górskim stoku i przeskakującego niczym jeleni dwustopowe krzaki, kłody i wykroty, nie mógł nie budzić panicznego lęku.

Biegł, już w ciszy, jeszcze ze trzy pacierze. Potem zwolnił kroku. Szedł przez rzadki las, rozgarniając bosymi stopami

sięgający do pół łydki śnieg i dysząc z wysiłku. Wewnątrz czuł ciepło.

Drogo okupione, ale wystarczające i do myślenia, i do czarowania. A nawet do snucia marzeń.

Kości były całe, a wariacki bieg w pogoni za ciepłem przyniósł tylko parę zadrapań i mało dokuczliwych stłuczeń. Mikstura wtarta w skórę stóp spowodowała, zgodnie z zapewnieniami portniskowego medyka, przyspieszone rogowacenie podbicia i Debren mógł poruszać się po śniegu prawie bezboleśnie, jak człowiek w miękkich cizmach. Przed utratą ciepła specyfik chronił wprawdzie dużo gorzej od butów, ale w trakcie szybkiego marszu specjalnie to nie przeszkadzało.

Debren nie miał problemów z krążeniem i przy intensywnym wysiłku nie marzył ani w nogi, ani w ręce.

Gorzej dokuczał mu brak większej części włosów, których mimo nasączenia wypadochronem zostało może na ćwierć palca, jak ogolonej w śledztwie czarownicy albo choremu na tyfus leczonemu nowoczesnymi metodami. No i brak kalesonów. Ten był naprawdę dokuczliwy.

Szedł przez las, rozglądał się i myślał o dużym, ciepłym, jasnym domu z kwiatkami za oknem. Teraz, kiedy uświadomił sobie, że przeżył, podobna wizja była czymś więcej niż senną mrzonką. Była zdumiewająco realną przyszłością. Jego, Debrena, przyszłością oddzieloną od chwili obecnej kilkoma dniami konnej jazdy i jakimiś trzema klepsydrami krążenia po lesie. Wystarczyło zmieścić się w tych trzech klepsydrach i znaleźć stację, nim zrobi się całkiem ciemno, a wychłodzenie organizmu pozbawi go możliwości przemieszczania się. Cokolwiek stanie się na miejscu, dopełni swojej części umowy. A wówczas Piekmuth ode Herselbrucker uczyni go swoim zastępcą.

Trudno uwierzyć, ale tak się rzeczy miały.

Wszystko było proste, dopóki nie natknął się na pierwszego

trupa.

Zwłoki były nieduże, ich wymiary nie przesądzały jednak o niczym. Człowiek, kimkolwiek był, nie wykupił kosztującej czterdzieści pięć groszy porcji wypadochronu i w rezultacie stanął w płomieniach, gdy rzuciło nim na ściankę jelita. Był zapewne, mimo swego skąpstwa, dostatnio, a więc grubo odziany. Nie należał też chyba do pozbawionych tkanki tłuszczowej chudzielców, bo czasy robiły się coraz cięższe i nadwyżka sadła równie skutecznie jak brokaty i hafty wyróżniała klasy wyższe od pospólstwa. Efekt był taki, że podróżny spalił się na brunatno-czarny wiór niczym pieczeń roztargnionej kucharki i nie sposób było ustalić po wielkości zwłok, czy były niegdyś niedużym mężczyzną, niewiastą czy wyrosniętym nastolatkiem. Może z bliska. Ale Debren, choć podszedł bardzo blisko, nie patrzył.

Powłócząc ustawioną bokiem stopą, narobił śladów i szybko czmychnął między jodełki gęstego zagajnika. Czarnucha nie była ani bardzo stroma, ani bardzo wysoka. Ale była górą i wiatr śmigał tu wszędzie, gdzie drzewa i zarośla nie rosły w liczniejszej gromadzie. Był lodowaty, zabójczy dla nagiego człowieka i dużo groźniejszy od słabego, suchego mrozu.

Debren podostrzył wzrok i nie bez trudu wypatrzył skryte za ołowiem nieba słońce. Było na prawo od szczytu. Dobrze. Wylądował gdzieś na południowych stokach Czarnuchy, tych łagodniejszych, z drogą i stacją przekaźna. Pod tym względem nawigatorzy z Frycfurdu nie zawiedli.

Ale przebiegł prawie milę, a drogi nie było. Choć stok południowy zdawał się wyraźnie przechodzić w zachodni. Niedobrze. Jeszcze gorzej, że nie miał pewności, czy zmiana kierunku spadku ma charakter trwały. Cholerna Czarnucha, miejscami gęsto, miejscami rzadko, ale cała porośnięta była jak nie lasem, to przynajmniej wysoką kosodrzewiną, a kształt miała wysoce nieregularny. Idąc po warstwiczy, szedł coraz bardziej ku północy, ale to mogła być tylko któraś z głębszych

dolin południowego zbocza i równie dobrze za pacierz lub dwa mogła go poprowadzić z powrotem ku zachodowi albo nawet na południe. Mnogość niewysokich, bujnie rozgałęzionych choinek bardzo ograniczała widoczność i utrudniała orientację.

Spalone zwłoki też nie pomagały. Żbików leżał na zachodzie, a stacja dokładnie pośrodku linii łączącej ten gród z Frycfurdem. Jeżeli wszystko szło jak trzeba, wrzeczono przelatywało prawie idealnie nad dachem wieży. Teraz, jak widać, nie wszystko poszło jak należy. Ale jeśli błąd dotyczył tylko napędu, nie naprowadzania, to resztki wrzeczona powinny runąć wzdłuż linii Żbików-Frycfurd. O ile był teraz na południowo-zachodnim zboczu, stacja, ciągnąc odpowiednio niewidzialną linię, musiała znajdować się...

Niech to szlag. Z tyłu.

Z położenia zwłok niczego nie dało się wywnioskować. A jeżeli już, to błędnie, bo zwały się w śnieg głową w tę samą co Debren stronę, choć przyleciały z przeciwnej. A więc? Iść dalej czy zawrócić? Transfer miał go przenieść na wschodnią, choć bliską środkowej, część południowego stoku.

Idąc na zachód po warstwicy, powinien trafić na drogę, wykonać w lewo zwrot i pognać nią w górę, do stacji. Piękny plan. Szkoda, że od miejsca upadku do drogi miało być trzysta, najwyżej czterysta kroków. Szkoda, bo Debren przebiegł z tysiąc, a choć teren nie sprzyjał bieganiu, i tak były to kroki dłuższe od tych marszowych.

Chyba powinien był zawrócić.

Ale jeśli to jeszcze nie zachodnie, a wciąż południowe zbocze? Jeśli transfer był za krótki, a nie za długi? Z tym słońcem sprawa też nie jest do końca pewna. To jaśniejsze nad horyzontem może być tylko dziurą w chmurach, a nie samym słońcem. Chmury są z pary, para jest z wody, a woda, jak wiadomo, odbija i załamuje światło. Co znaczy, że zachód wcale nie musi być tam, gdzie go Debren wstępnie

umiejszczył. Mniej więcej – owszem. Ale tylko z dokładnością do rumba czy dwóch. No i jeszcze odwieczny problem kulistości globu. Wydawać by się mogło, że w epoce dalekosiężnych telepatografów, a zwłaszcza przesyłania sygnałów przez jelito, spór między zwolennikami teorii okrągłości świata a tradycjonalistami, gotowymi przystać co najwyżej na jego lekką wypukłość, powinien zostać rozstrzygnięty. Nie został jednak. Z przyczyn natury politycznej, militarnej i ekonomicznej ci, co mieli możliwość zbadać rzecz doświadczalnie, albo milczeli, albo publikowali bardzo różne wyniki. A efekt był taki, że on, wysłannik przodującej w świecie kompanii transferowej, nie miał pewności, która klepsydra jest teraz w miejscu, gdzie wyładował. We Frycfurdzie była trzecia po południu, kiedy wsiadał do wrzeciona. Nad Czarnuchą miał być o osiemdziesiąt pacierzy później, z grubsza pół klepsydry po trzeciej. Podróżował na zachód, więc jeśli świat był kulą, wirującą wokół osi, mógł zyskać na czasie. Trzecia osiemdziesiąt we Frycfurdzie nie byłaby trzecią osiemdziesiąt w Księstwie Belnickim. To by wyjaśniało, dlaczego jest jeszcze tak widno.

Ale i tak za cholere nie wiedział, która tu jest klepsydrą, a co za tym idzie – gdzie słońce zajdzie, kiedy to zrobi, no i gdzie szukać stacji.

Nic, tylko rzucać monetą. A jeszcze lepiej kością. Bo kierunków poszukiwań było więcej niż dwa.

Musiał też zdecydować, czy piąć się wyżej, schodzić, czy trzymać uparcie warstwicy.

Wybrał powrót i łagodny marsz pod górę. Cofając się po własnych śladach prawie od razu trafił na linię transferu.

Najpierw znalazł kil wrzeciona. Sztaba była stalowa, gruba na trzy palce i szeroka na pół stopy.

Taka też z grubsza pozostała, bo żelazo nie spala się w ogniu, za to kształtem zadziwiająco upodobniła się do

marimalskiego wynalazku zwanego korkociągiem spiralnym. Waląc się z nieba, poskręcana, rozżarzona zapewne do czerwoności belka podkadłubowa ścieła kilkunastoletnią limbę i spaliła to, co ścieła, topiąc także śnieg w promieniu dwóch stóp.

Debren poświęcił dwa pacierze na oględziny. Chciał sprawdzić, do jakiego stopnia kontakt z energetyczną otoczką jelita uszkodził metal i wyciągnąć stąd wnioski odnośnie innych, mniejszych przedmiotów. Chciał też upewnić się, że metal ostygł, a wśród popiołów spalonego drzewa nie przetrwała jakaś isierka żaru. Oddałby połowę duszy za odrobinę ciepła.

Oczywiście wszystko było lodowato zimne. A pokryty bąblami i żuzłem metal, stopione łąby nitów i zalane wytopionym żelazem otwory po nitach wyrwanych wraz z poszyciem wrzeczona ostatecznie rozwiały nadzieję na odnalezienie czegoś użytecznego. Kil zachował się w miarę dobrze, bo był ogromnym kawałem porządnej stali, a kształtem przypominał pocisk, z natury łatwo przebijający się przez przeszkody. Wszystko, co lżejsze i delikatniejsze, musiało spłonąć w mgnieniu oka jak kalesony Debrena czy jego drewniane wrzeczono albo stopić się, rozlecić na drobne okruchy, zdeformować i rozsypać po lesie w tysiącach maleńkich, do niczego niepodobnych bryłek.

Na nieszczęście materia ożywiona przenikała przez ścianki jelita w dużo lepszym stanie. Zwłaszcza materia wchodząca w skład ciał ludzi zamożnych, nie oszczędzających na bezpieczeństwie. Ci kupowali wypadochron i – chcąc być konsekwentnymi – wsiadali do wrzeczona w lekkich i obcisłych strojach.

Młody człowiek, którego Debren znalazł kilkadziesiąt kroków za wrzeczionem, należał do tej właśnie kategorii. Spaliły mu się tylko włosy i te części bielizny, które, rozdęte wiatrem, oddaliły się zbytnio od skóry. Na nieszczęście

koszulę przecięło żarem z góry na dół i tam, gdzie nie zaszkodził jej upadek, była zwęglona. O wykorzystaniu kalesonów nie myślał ani przez chwilę. Były pełne nie tylko krwi. Dysponując nożem, wyciąłby może to i owo z rękawów i nogawek, ale ponieważ nie miał niczego ostrego i nie miał też czasu, pobiegł dalej lekkim truchtem.

Trzej następni, sami mężczyźni, byli mocno nadpaleni, a że spadali głowami do przodu, to i całkowicie nierozpoznawalni. Trochę dalej leżało dziecko, mniej więcej dziesięcioletnie. Debren nie podszedł, by mu się przyjrzeć. Było na pewno martwe, choć spadło na zagajnik i głęboki śnieg. Ciało leżało na plecach, a twarz była nietknięta. Na szczęście magun nie był pierwszym, który się na nie natknął. Znad rozszarpanego brzucha i uda wymieniły się z nim uważnymi spojrzzeniami trzy wilki.

Odszedł, nie próbując rozglądać się za jakimś kamieniem czy maczugopodobną gałęzią. Nie bał się wilków. Bał się, że będzie musiał je zastąpić. Wyglądały na zdrowe i nie miały zapadniętych boków, było ich też za mało jak na hordeę. Znaczyło to, że są najedzone, że zwierzyny w masywie Czarnuchy nie brakuje, a wilki nie muszą zbierać się w liczne watahy i rozpaczliwie walczyć o przetrwanie. To z kolei oznaczało myśliwych i kłusowników w lesie, może nawet starowinki zbierające chrust. Za mało amatorów padliny i zbyt wiele ciekawskich oczu. Piekmoth miał rację. Zakład, że nikt aż do wiosny nie natknie się na zwłoki pasażerów, był z góry przegrany.

A do jutra? Biegł ciężkim truchtem, rozcierając uszy, ramiona i krocze. Błagał los, by to, co znalazł, było ostatnimi ogniwami upiornego łańcucha śmierci. Dwieście kroków dalej dostrzegł zwłoki kobiety. Na pewno nie ciężarnej. Była za stara na rodzenie dzieci. Ogień obszedł się z nią dziwnie łagodnie i choć z ubrania pozostały tylko strzępy, ocalała większość siwych włosów. I tym razem los ulitował się nad

Debrenem: kobieta runęła pod ostrym kątem na skalny grzebień i co najmniej ćwiartka jej ciała została rozsmarowana na przestrzeni dobrych pięciu sążni. W tej ćwiartce była dostatecznie duża część twarzy.

Nie do rozpoznania był także wrzecionowy Teleporthanzy, który trafił okrakiem na sosnę i został rozcięty na dwie symetryczne części wzdłuż kręgosłupa. Debren ustalił, z kim ma do czynienia, tylko dzięki ozdobnym haftom na kaftanie czarodzieja. Kaftan spłonął, ale srebrna nić wypaliła wyraźne piętno w kształcie gwiazdy na lekko tylko przyrumienionej piersi mężczyzny.

Wrzecionowy miał pecha. Zaraz za sosną kończył się wysoki las i skały. Na skrytej pod śniegiem łączce stały bardzo chyba stare stogi siana i resztki spalonego szałas pasterskiego. Wśród kikutów zwęglonych belek, przykryte wiechciami suchych traw i śniegiem, leżały duże kości. Może i niekoniecznie ludzkie, ale jeśli ktoś nie próbował grzebać kijem w porastającym ruiny zielsku, brał je raczej za ludzkie. To tłumaczyło obecność stogów. Takie miejsca, odległe od ludzkich siedzib, dzikie i naznaczone piętnem nagłej i przedwczesnej śmierci, omijano zwykle z daleka.

Debren wyszedł na środek łąki, bo choć wiało tam zdrowo, miejsce otoczone było niższymi drzewami i jakby wypukłe w stosunku do reszty stoku. Wzrok powinien sięgać stamtąd daleko.

I rzeczywiście: sięgał. W prześwitach między czubkami ośnieżonych drzew po raz pierwszy udało mu się dostrzec wierzchołek Czarnuchy. Nie porastający go las, ale kilka widocznych między sosnami skalnych zębów, za którymi było już tylko niebo. Wydawały się bardzo bliskie, ale Debren bywał już w niejednych górach i wiedział, jak złudne mogą się okazać podobne odczucia.

Za to bez wątpienia bliski był zakręt drogi, widoczny na wschodzie. Choć oddzielona jęzorem lasu i chyba jakimś

wąwozem, musiała przebiegać niedaleko. Inaczej nie dostrzegłby tego, co odróżniało szlak od reszty upstrzonego garbami, głazami i roślinnością stoku. Nie rozpoznałby śladu płóz.

Omam się nie uśmiechnął. Było coraz ciemniej, a on, choć tarł się, kiedy tylko mógł, zaczynał tracić czucie tam, gdzie żaden mężczyzna tracić go nie powinien. Droga oznaczała wybawienie. Miał ochotę pognać ku niej na złamanie karku. Zamiast tego zastygł w miejscu.

Na skraju łąki, dokładnie między nim a zakrętem drogi leżał człowiek.

Tak właśnie pomyślał: człowiek. We wszystkich innych od pierwszego spojrzenia widział trupy. Nie od razu zrozumiał, że to coś więcej niż przecucie. W nieruchomej, oblepionej śniegiem postaci nie było przecież niczego, co mogłoby...

Było.

Żaden z tych, co spadli z nieba, nie miał na sobie śniegu. Pod sobą, obok – tak, ale nie na sobie.

Zginęli równocześnie, praktycznie w tym samym miejscu, jeśli mierzyć skalą śniegonośnych chmur. Nie było powodu, dla którego ten jeden miałby zostać obsypany z góry białym puchem.

Już idąc, zauważył długą bruzdę w śniegu. Była zbyt wąska jak na pełznącego człowieka. Zbyt równa.

Może jakaś fałda? Podłużna zaspą uformowana przez wiatr? Tylko dlaczego to coś białego leży akurat na końcu wyżłobienia? Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł ślady stóp. Widział je już przedtem, tyle że oglądane z daleka kojarzyły się ze wszystkim, ale nie z tropem idącego człowieka. Pewnie dlatego, że ten ktoś częściej się czołgał, zataczał, kuśtykał, przewracał i znów wstawał, niż szedł. Pozostawił, prócz odcisków bosych stóp, kolan i dłoni, także trochę krwi. Niewiele. Po parę kropel. Głównie tam, gdzie dotykał śniegu lewym kolanem.

Debren obejrzał się. Nie chciało mu się wierzyć. Nie po tym, jak oglądał rozłupanego na pół wrzecionowego. Ktoś, kto runął ledwie sto kilkadziesiąt kroków dalej, nie miał prawa przeżyć. Co prawda, wysypywani z wrzeciona pasażerowie zachowywali się zupełnie nie jak pociski z katapult, które im dalej padają, tym słabiej biją o przeszkodę. Pierwszy z odnalezionych upadł najbliżej Żbikowa, skąd przylecieli, ale wcale nie grzmotnął o ziemię z największym spośród wszystkich zapasem prędkości. No cóż, wpływu przebijania się przez otoczkę jelita na dalszy lot ludzkiego ciała nikt dotąd dokładnie nie badał, bo i po co. Było w tym zbyt dużo magii, by patrzeć na sprawę poprzez pryzmat katapulty. Jelito to nie machina obłętnicza, a nasączony wypadochronem człowiek – nie kamienna kula. Ale wrzecionowy, do ciężkiej dzumy, był profesjonalistą. Wiedział, co daje wypadochron, a co najważniejsze – miał go za darmo, jak każdy członek personelu latającego. I dał się rozkroić sośnie grubości stopy. Wzdłuż. Jakim cudem przeżył ten tutaj? W gruncie rzeczy nie było to aż takie ważne z punktu widzenia firmy. Przeżył i już, cuda się zdarzają, choć rzadko. Debren skręcił w połowie drogi i potruchtał wzdłuż skropionego krwią tropu.

Nie dlatego, że tego wymagał interes Teleporthanzy. Było w tym trochę ciekawości. A przede wszystkim odraza. Brzydził się tego, co będzie musiał zrobić. Nie odbiegł daleko. Trop, wbrew temu, co sądził, nie wyłonił się z lasu. Utykający i zakrwawiony człowiek wyszedł na łąkę z samego środka wielkiego, długiego na trzydzieści stóp stogu siana. A właściwie czegoś, co parę lat temu było sianem narzuconym dla wysuszenia na rusztowanie z tyczek i gałęzi. Z biegiem czasu trójkątna, dachopodobna konstrukcja zapadła się, a ostatniej jesieni przesiąkła wodą, która zamarzła, gdy nadeszły mrozy. Zimowe wiatry dołożyły do tego grubą poduchę naniesionego śniegu. To, co powstało – mieszanka stwardniałych traw, zgniłych liści i śniegu – było dostatecznie

miękkie, by nie roztrzaskać kruchych przedmiotów, którymi ciskano w stóg, a zarazem wystarczająco twarde, mocne i obfite, by zastopować nawet bardzo ciężkie i bardzo rozpędzone ciało. Na przykład człowieka. O ile, rzecz jasna, mknął niemal idealnie wzdłuż osi podłużnej stogu i prawie dokładnie poziomo. No i trafił w coś tak małego jak boczna ścianka tej przegniłej kupy kompostu.

Cóż, słowo „cud” było tu jak najbardziej na miejscu.

Debren zawrócił i zbadał pierwszą zauważoną bruzdę. Tak jak podejrzewał, nie wyłobił jej w śniegu pełną człowieka. Miała szerokość ludzkiego tułowia. Ciągniętego przez kogoś za ręce plecami po ziemi. Przy uważnej obserwacji dały się zauważyć odciski pięt ciągnącego. Musiał zapierać się z całych sił, bo ciężar był znaczny. Stąd pewnie śnieg oblepiający ciało ze wszystkich stron. Bezsens tej czynności bosonogi uświadomił sobie dopiero po przejściu prawie dwustu kroków.

Debren pochylił się nad oblepionymi śniegiem zwłokami młodego mężczyzny, pociągnął na próbę i, chuchając czym prędzej w dłonie, stwierdził, że dwieście kroków to w tych warunkach naprawdę dużo.

Zwłoki należały do rycerza. Bardzo konserwatywnego i nie bardzo mądrego, podróżował bowiem w pełnej zbroi, tyle że na głowie zamiast hełmu miał kolczy kaptur. To, co nosił pod blachami, w większości się wypaliło, ale sama zbroja przetrwała w zadziwiająco dobrym stanie. Była tylko trochę pogięta, choć nie bardziej niż po średnio zaciętej bitwie.

Rycerz nie żył. Nie był jednak martwy w sposób równie oczywisty jak wszyscy odnalezieni poprzednio.

Stąd te dwieście kroków. Kiedy go wleczono, może nawet...

Nie. Nie mógł żyć. Tam, gdzie zaczynała się bruzda, nie było wprawdzie krwi, ale za to dziura w śniegu sięgała aż do samej ziemi, zamrażniętej na kamień. A śniegu było tyle co nic. Nikt nie miał szansy przeżyć zderzenia z czymś takim. Bosonogi ze

stogu niepotrzebnie tracił czas.

Debren nie mógł sobie na to pozwolić. Trzy klepsydry? Był głupcem, oceniając swój zapas sił na taką wieczność. Może wytrzymałby tyle na mrozie i wietrze, gdyby cały czas rozgrzewał się biegiem. Ale już teraz z trudem zmuszał się do ciężkiego, powolnego truchtu. Mięśnie miał sztywne, zimne i obolałe, a w przemarzniętych płucach brakowało tchu. Zaczynał umierać. To pomagało. Może nawet bardziej niż nadzieja.

Przysypał twarz martwego rycerza paroma garściami śniegu. Na szczęście ten ze stogu już przedtem zamknął mu powieki i Debren nie musiał patrzeć w szkliste, pełne milczącego wyrzutu oczy.

Na łące leżało trochę połamanych gałęzi i parę kamieni, ale stracił kilka pacierzy i sporo sił, by obejść okoliczne zarośla i znaleźć naprawdę duży głaz. Czuł, że nie potrafi uderzyć więcej niż raz.

Pomyślał o dużym, ciepłym, jasnym domu z kwiatami w ogrodzie. O kimś, dla kogo mógłby te kwiaty zrywać. A potem zamknął oczy, poderwał do góry wielki jak koński łeb kamień i opuścił go gwałtownie, wprost na ukrytą pod śniegiem twarz rycerza.

Najpierw poczuł dym, a dopiero później dostrzegł wieżę. Bosonogi ze stoku też ją musiał dostrzec.

To dlatego, a nie w przyływie naglej desperacji, rozpacz czy też z powodu utraty orientacji, zszedł ze ścieżki i polazł na przełaj, zapadając się po uda w zaspach.

Za pasmem zarośli było trochę wolnej, względnie płaskiej przestrzeni, skalny wypust, na którym wzniesiono wieżę i dwa budynki. Ten bliżej wieży, mniejszy, służył chyba jako dom i pracownia czteroosobowej załozdy stacji. Miał spore, osłonięte okiennicami okna, małe drzwi i komin. Większa

budowla, rozmiarami zbliżona do stajni czy stodoły, pełniła zapewne funkcję magazynu i czerpni mocy. Albo i nie. Trudno było to stwierdzić, bo poza kupą zwęglonych belek pozostała z niej tylko kamienna podmurówka, no i rozlany po całej okolicy zapach spalenizny.

Debren, idąc trochę wolniej po gęsto poprzecinanym śladami butów placyku, pomyślał w pierwszym odruchu o pożarze. Ale to nie był pożar. W każdym razie nie typowy, spowodowany nieuwagą i zaciekle gaszony. Pod ścianą chałupy stały, lekko przyprószone śniegiem, dwa drewniane kubły, a ścieżka do zbudowanego na strumyku zbiornika nie wzbogaciła się o nową odnogę, prowadzącą najkrótszą trasą ku stodole. W ogóle większość śladów sprawiała wrażenie starych, rozmazanych wiatrem, dziennymi roztopami i opadami śniegu. Wyglądało na to, że czwórka rezydujących tu czarodziejów biernie przyglądała się, jak majątek firmy idzie z dymem.

Dopiero kiedy podszedł bliżej i zyskał możliwość obejrzenia domu pod innym kątem, zrewidował opinię dotyczącą rezydentów. Może nie ratowali stodoły dlatego, że musieli ratować coś ważniejszego. A może po prostu nie było komu ratować.

Z domem coś było nie tak. Brakowało mu ćwierci dachu. Komin pękł na pół i upodobił się do nadłamanego zęba. Jedną okiennicę wyrwało z zawiasów i rzuciło w krzaki jeżyn, inna miała kilka dziur, niektórych wielkich jak pięści. Jak na przedstawicielstwo sławnej z rozrzutności i zadawania szyku Teleporthanzy, wyglądało to dość podejrzanie.

Debren zatrzymał się w połowie drogi między domem a wieżą. Rozcierał ramiona i krocze, próbując zrozumieć, dlaczego nigdzie nie pali się ani jedno łuczywo i co złego się stało. Starał się nie dopuszczać do siebie myśli, że nie znajdzie tu ani ludzi, ani ratunku. Byłoby to równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Ten roztrzaskany dach... Co to, do cholery, mogło być? Bardzo duży onager załadowany którymś z tych nowomodnych, grzybkujących pocisków albo śrutem z tłuczni mógł spowodować podobne zniszczenia.

Ale tylko skończony kretyn, w dodatku zupełnie nie liczący się z groszem, mógłby taszczyć bardzo duży onager na tę górę. Bo niby po co? Więc może smok? Nisko lecący smok, gdyby zawadził o kalenicę, mógł też nieźle narozrabiać. Ale latający smok zimą? Nie, bzdura. Zimą, żeby polecieć, smok też musiałby sprawić sobie bardzo duży onager i się z niego wystrzelić. W dodatku te wybite na zewnątrz okna...

– Hej, ty! – Okrzyk, choć mocno stłumiony, był tak zaskakujący, że Debren prawie podskoczył z wrażenia. – Paszoł won, zbroczeni! Bo cię ustrzele! Głos był młody. Nadrabiał groźbami strach i dobiegał od strony wieży. Konkretnie: z judasza w jej okutych sztabami drzwiach. Wołał wyrosnięty chłopak albo bardzo niedawno dojrzały mężczyzna, ale Debrenowi było po prostu zimno, więc idąc w jego stronę, wciąż trzymał dłonie nisko.

– Jestem z Frycfurdu, od Herselbrukera – zawołał. – Otwieraj szybko, bo mi zaraz do reszty klejnoty odmarzną.

– Z Frycfurdu? A gdzie twój koń? Było ciemno, drzwi tkwiły w głębokiej niszy, a Debrena od zimna bolała głowa. Nie próbował grzebać czarami przy oczach i sprawdzać, czy za czarnym prostokątem judasza nie połyskuje grot bełtu lub strzały. Teraz, gdy przyspieszył sobie tętno i podniósł magią ciśnienie krwi, ratując się przed odmrożeniami, mogło go od takich sztuczek zdrowo łupnąć. Pierwsza Zasada: minimum wysiłku. Z bełtami różnie bywa, a wylew zabiłby go na pewno.

– Myślisz, że jechałbym tu konno całkiem goły? Pomyśl chwilę, nim coś powiesz! Za myślenie ci płacą, do ciężkiej cholery!

– Od myślenia to tu jest mistrz Hanus. Ja jeno zwierciadła ustawiam. Stój, perwersie! Po co tu leziesz? Won,

powiedziałem! Wracaj do puszczy, ale duchem! Bo cię tak kamykiem poczęstuję, że ci rzycią wyleci!

– Czym? – Toć mówię wyraźnie, nie? Kamieniem. Z procy. Jak pięść wielkim.

– Ty durny kmiecie! – Debren stracił w końcu cierpliwość.

– Z procy chcesz we mnie głazami miotać?! Przez tę szparę w drzwiach?! Kto cię do roboty najął?!

– A bo co?! – odszczeknął się, trochę niepewnie, spec od zwierciadeł.

– Boś głupi jak zbutwiały pień! Otwieraj te drzwi, zaraz! Nie widzisz, żem goły?

– Właśnie że widzę! I dlatego ani mi się śni was do środka puszczać, panie perwers! Jeszcze mi zadek miły! – To otwieraj – warknął magun. – Bo jak mnie na tym pieprzonym mrozie jeszcze choć pacierz bez potrzeby przetrzymasz, to ci tak przykopie, że najlepszy układacz mozaik dupy do kupy nie złoży. Wiesz, z kim mówisz, smarkaczu? Debren z Dumayki jestem, zastępca Piekmatha ode Herselbrukera, starszego nad całą Teleporthaną!

– Tere-fere, srutu-tutu – zaszydziła dziura w drzwiach. – Widzicie go, gołodupca wielmożnego. Myślisz, że jakieś się razem z głową na łyso wygolił, to magika szkolnego zwiedziesz? A takiego! Coś stuknęło o deski, widocznie zwierciadłowy źle wymierzył z wulgarnym gestem i grzmotnął dłonią o rygiel. Kiedy przemówił ponownie, trochę posykiwał i był bardziej rozeźlony.

– Won, powiedziałem! Pókim dobry! Wiem, co z ciebie za ziółko! Nie żaden wiejski ćwok jestem, tylko czeladnik w sławnej Hanzie Teleportnej! Jak mi tu podskakiwać będziesz, to cię wyteleporcę, słyszysz? Huzia do boru, poczwaro obleśna! Dzika se złap i wydupcz, wilkołacza mordo! Otwór w drzwiach, nie dość że wążutki jak strzelnica, był w dodatku poszatowany kratą. Dłoń by przeszła, ale pięść już nie. Debren, trochę wściekły, a trochę rozbawiony, poczuł

pierwsze ukłucie strachu. Drzwi, rzecz jasna, były zabezpieczone magicznie. Chodziło o ochronę zamka, ale co z tego, skoro użyto standardowego czaru chłonnego i każde zaklęcie, obojętnie po co rzucone, rozlażiło się po deskach, tracąc atut zaskoczenia. Smarkacz był głupi jak but, ale musiał mieć niezły WZ, skoro tu trafił. Na pewno zdążyłby wyczuć magiczny atak i zwać na górę. A rygla zamkniętego od środka nie da się otworzyć zza progu. Zamek tak, ale nie zasuwę.

– Nie jestem żadnym... – urwał. Dopiero teraz, stanąwszy na wprost drzwi, zauważył coś dziwnego.

Między klamką a progiem tkwiło grube, długie na cztery stopy polano. – A cóż to? Ktoś cię zamknął? Czyżby mistrz Hanus? Karząc za bezmyślność?

– Dobrze wiesz, kto ten kolek podstawił. – Zza kraty błysnęły wrogo rozszerzone emocją oczy. – Suka twoja to była. Potworzyca plugawa.

– Kto? – zdziwił się Debren.

– Samica twoja, a żeś wilkołak, psiego rodu krewniak, tom w prawie ją chyba suką nazywać, nie uważasz?

– Nie jestem... Samica? O czym ty bredzisz? – O tej dziwce, co Krblika i Bamborza ubiła, a mistrza Hanusa do boru pognęła.

– Przyleciałem transferem sam – zapewnił Debren. – Nie mam pojęcia, o kim i o czym mówisz. I broni też nie mam, co chyba widać. Otwórz te cholerne drzwi i pozwól się ogrzać. Nic złego ci nie zrobię.

– Jużci – parsknął zwierciadłowy. – Za to dobrze mi zrobicie. Wielkie dzięki. Mówiłem: tam jest las. W lesie dziki, niedźwiedzie, sarny i co tylko dusza zapragnie. U nich se szukaj ciepła, zboczona pokrako. A jeszcze lepiej u swojej baby.

– Jak cię wołają, przyjacielu?

– Olryk, a bo co?

– Nie jestem ogolonym wilkołakiem, konfratrze Olryk.

Pracując na tej wysuniętej, otoczonej głuszą placówce, powinieneś trochę lepiej znać się na wilkołakach i innych leśnych straszidłach. Prędzej karp własną płetwą z łuski się oskrobie, niż wilkołak ze szczeciny ogoli. Bo niby po co? I tak po mordzie i szponach na ćwierć mili go poznać. Nic by nie zyskał, uczulenia i krost by się nabawił, a pobratymcy pazurami by go wytykali.

– Gadaj zdrów – burknął Olryk. – Wilkołak może i nie jesteś, ale ja cię za próg i tak nie puszczę. Nikt porządny w grudniu goło po puszczy nie lata, tyle ci rzeknę.

– Chyba że w łaźni popije za dużo i pobłądzi w drodze do przerębla.

– O tym zem nie pomyślał – przyznał czeladnik.

– Albo z wypadochronem z lecącego wrzeciona wyskoczy.

– Z czym? Debren zaklął w duchu. Oto, dzuma i syfilis, do czego wie dzie specjalizacja.

– Nie wiesz, co to wypadochron? Przecież w Hanzie służyysz!

– Ja pod mistrzem Hanusem służę – oznajmił z godnością Olryk. – Lustra jak trza ustawiam i łajno mnie reszta obchodzi. Ale tyle wiem, że wrzeciona cztery mile nad ziemią śmigają, ledwie smugi widać. I nikt mi nie wmówi, że z tego samiuteńkiego nieba gołe łysole zeskakują, a potem jakby nigdy nic po lesie biegają, caluśkie i zdrowiuśkie. Zawróć tą drogą, Dumayczyku. Przed północą, jak szlaku nie zgubisz, we wiosce staniesz. Mała jest, ale paru wsiowych głuptaków się uzbiera, co chętnie takich bajań posłuchają. Tylko bacz, by na księżących kordoniarzy pogranicznych nie trafić, co podle wioski stanicę mają. Ci się nie patyczkują. Morvackich szpiegów z miejsca wieszają.

– Już ci mówiłem, że z Frycfurdu tu przybyłem. Transferem. Prosto jak strześli.

– No to cię do rozpoznania powietrznego zaliczą i trochę wyżej powieszają. Jeszcze, nie daj Boże, tu u nas, pod nosem.

Bo to i najwyższa góra w okolicy. Będziesz psuł powietrze spokojnym ludziom, co w niczym ci nie zawinili. Godzi się to tak?

– A godzi się potrzebującego pomocy za drzwiami na mrozie trzymać? Gołego?

– Gołego się godzi – odparł rzeczowo czeladnik. – Posłuchaj, Debren czy jak ci tam naprawdę. Z posterunku tum do ciebie zlął, bo uprzejmy ze mnie człek i dobre maniere znam. Doceń gest i idź sobie już. Stację rozwalilo, ale mnie za myślenie nie płacą. Mam siedzieć na górze i zwierciadeł pilnować, bo z roboty wylecę. Więc pozwól, że cię pożegnam i pójdę trwać niewzruszenie na posterunku pracy. Bo a nuż stacja tak całkiem rozpieprzona nie jest i trzeba będzie w niebo przycelować, siłę przez zwierciadło puścić? Kto wie?

– Co tu się właściwie stało? – zapytał Debren, podskakując dla rozgrzewki.

– A bo ja wiem? Szedł transfer, to we wieży siedziałem, przy celowniku. A potem Bamborz przez tubę się wydarł, by baczenie mieć, bo kurs będą korgy... kogry... no, poprawiać będą. Tom uważał. No i tak, cholera, pokogyrowali, że lustro mi się rozgrzało, aż utrzymać korby nie szło, przez szmatę chyba że. Coś walnęło w dach, a w izbie dyspozytora jak nie pieprznięło! Wszystkie okna poszły, a z mebli sieczka istna. Mistrz Hanuś drzwi plecami wybił, aż na koniec sypialni nim rzuciło. Mówię ci, Debren, straszne to było. Cud, że nikt nie zginął.

– Ale co się stało?

– Nie wiem. Bamborz gadać nie chciał, z Królikiem to ja nie gadam, bo chłopofil jest zboczony, a mistrza Hamsa srodze poturbowało. Głową o cosik uderzył i chyba tak jakby zgłupiał od tego. A nim do siebie doszedł, wpadła tu ta twoja.

– Jestem z Teleporthanzy, Olryk. Ktokolwiek tu wpadł, ze mną, założę się, nie ma nic wspólnego. – Debren przerwał na chwilę, popatrzył do tyłu, ku zaroślom, poszukał śladu bosych

stóp. Ale śnieg był tu zbyt twardy, rozdeptany, jak to na podwórzu przed obejściem. I było za ciemno. – Jak tu szedłem, widziałem ludzki trop. Duże nogi, bez butów. To znaczy: jak na niewiastę duże. Kto to był, Olryk?

– Mnie pytasz?

– Ciebie pytam.

Chłopak splunął. Marnie, prosto w kratę.

– Syrena – mruknął po chwili wahania.

– Sy... Co?!

– Teraz, jakem ochłonął, to widzę wyraźnie, że rację miałeś. Żadna z niej wilkołaczka. Gębę całkiem ludzką miała, chociaż straszną taką jakąś. Ale bez klów. I cycata była, że ho, ho.

Wilkołaczki nie są cycate, prawda?

– N... nnie. Czeka, Olryk... Syrena? Powiedziałeś: syrena?

– Wypisz, wymaluj – zapewnił zwierciadłowy. – Pół baba, pół ryba. Znaczy się od góry baba, a ryba...

– Wiem, jak syrena wygląda – przerwał mu dość łagodnie Debren. – Jedną nawet na własne oczy widziałem. Na morzu to było. A ci, co ze mną galerą płynęli, stare wilki morskie, zapewniali, że wielce rzadki to widok. Na morzu. Nie chcę twych słów negować, chłopcze, ale szansa spotkania w górskim lesie żywej...

– A weźże i mnie cmoknij! – wrzasnął urażony Olryk. I zatrzasnął z furią klapę w drzwiach.

Debren zawołał go raz i drugi. Nie zdzierał gardła. Wiedział, że tylko czas zdoła ostudzić młodzieńczy gniew. Nie mógł dać Olrykowi wiele tego czasu, ale trochę mógł. Zwłaszcza że źle zaczął wizytę w stacji. Wieża to tylko wieża, sposób na umieszczenie zwierciadeł gdzieś, gdzie nic nie przesłania widoku. Sercem stacji była izba dyspozytora. Cokolwiek przydarzyło się głównemu budynkowi, było poważniejsze, niż początkowo sądził. Drzwi nie dały się otworzyć, choć nikt ich nie zamknął. Żadne drzwi nie ustąpią, jeżeli obejmująca je futryna wypaczy się o dobre pół łokcia. Trudno w to uwierzyć,

ale wyglądało na to, że cały dom, porządny, murowany z górskich głazów dom o urodzie małej fortecy, przekrzywił się i popękał.

Jasny gwint. Co tu się stało? Okiennice też zamówiono u jakiegoś budowniczego twierdzą. Gdyby nie ta wyszarpanięta z muru, pewnie nigdy nie dostałby się do środka.

Przełazi na czworakach przez nadpalony drewniany parapet i ostrożnie opuścił stopy na podłogę.

Chłopak ani trochę nie przesadził. To, co tu zaszło, naprawdę było straszne.

Izby, wszystkie bez wyjątku, wyglądały jak po przejściu huraganowej burzy z piorunami. Właściwie nie było po co brodzić wśród pokruszonych garnków, rozlupanych stołów i stołków, rozsypanych gwoździ i szkła, którego było tu mnóstwo, choć nie wiadomo skąd. Mógł sobie paskudnie poharatać nogi, i to bez cienia szansy na znalezienie czegokolwiek pożytecznego. Wszystkie dostępne pomieszczenia były doszczętnie spustoszone. Wszystkie niedostępne takimi pozostały. Bez wytrycha nie próbował nawet mierzyć się z zatrzaśniętymi na głucho drzwiami. Budynek doskonale zabezpieczono; nawet dobrze wyposażeni agenci konkurencji nie mieliby tu raczej czego szukać.

Zaczynał rozumieć, co się stało później. Po katastrofie, którą system ochronny zinterpretował jako atak, budynek zatrzasnął wszystko, co mógł. I podpalił resztę. Magicznym, stopniowo się rozpalającym ogniem, który pozwalał wycofać się ludziom, ale nieuchronnie niszczył wszystkie przedmioty przeznaczone do unicestwienia na wypadek ataku szpiegów. Debren wiedział, że są metody pozwalające przerobić na popiół nie tylko tajne księgi, różdżki, amulety i czarowody, ale choćby i sztaby metalu. Tu na szczęście nie było potrzeby znęcać się nad żadnymi sztabami. Wystarczył zwykły, chłodny ogień, który nie wypalił do cna nawet szczap drewna. Dzięki temu ocalał dom. I ciepło.

Nie było go wiele, ale i tak cudownie chodziło się wśród smużek dymu i kupek świeżego popiołu.

Debren przestał zamarzać. Dygotał i szczekał zębami, ale nie zamarzał.

Potem znalazł kociołek. Nieduży, wielkości hełmu. Naczynie wpadło do otworu w supernowoczesnym kaflowym piecu krytym blachą, dzięki czemu zawartość nie wylała się, a podmuch eksplozji nie wydmuchał żaru z pieca. Pod pokrywką była pełna skwarków i mięsa, ciepła kasza.

Debren pożarł ze trzy kwaterki, zanim w ogóle zdał sobie sprawę, co robi. Gdyby w garnku bulgotał płynny ołów, to wypiłby płynny ołów. Zrobiłby wszystko, by poczuć coś ciepłego w żołądku.

Piec wciąż trzymał ciepło. Debren wepchnął kociołek do środka, wlał na blachę i zwinął się w kłębek. Miał ochotę mruzczyć z rozkoszy.

Przeżył. Chłonał ciepło i wracał do świata żywych.

Trup był przebity na wylot trzonkiem od grabi. Chyba. Leżał w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się wrota od stodoły, więc spalił się dość mocno, i on, i trzonek. Ale nie na tyle mocno, by pozostawić Debrenowi wiele złudzeń. To, co wylazło obok kręgosłupa, nie było ani ułamane, ani dobrze opalone.

Wyglądało prawie dokładnie tak jak w chwili, gdy wbijało się w kiszki ofiary. Żadnego grotu; obły, nie zastrugany na ostro koniec. Ktoś musiał mieć nie lada krzepę, żeby tak...

Mając pełen brzuch, Debren pozwolił sobie na lekki czar rozgrzewający. Teraz jednak zrobiło mu się zimno. Wolalby nie spotkać istoty, która ot tak, po prostu, przebija dorosłego mężczyznę tępym kołkiem.

Rozejrzał się. Słońce skryło się już ostatecznie za górami, i to tak głęboko, że na śniegu widać było rzucane przez księżyc cienie. Kiepska sprawa. Chmury wyniosły się na zachód

razem ze słońcem, odsłoniły rozgwieżdzone niebo. Noc będzie zimna; może i bezwietrzna, ale mroźna jak w Sovro.

Niedobrze. Jeżeli nie uda mu się rozpaść w piecu, to nie doczeka północy, nie mówiąc o świcie. To było mało realne zagrożenie, bo kasza dodała mu sił, a mając siłę, tak czy inaczej wykrzesze w końcu ogień. Ale rozpalenie w piecu, a w miarę znośne przespanie się choć parę klepsydr, to jednak nie to samo. Za stodołą znalazł tylko parę szczap suchego drewna, reszta spaliła się razem z budynkiem. Za mało tego było na wielkie palenie w piecu. Nie mając niczego do okrycia, musiał wleźć na górę i spać na blasze. Twardo będzie, lecz nie w twardości problem. Żelazo ma ten fatalny zwyczaj, że błyskawicznie się nagrzewa i równie szybko stygnie. Przeczuwał, a raczej wiedział, że na przemian będzie go przypiekać i ziębić. Nie znał żadnego zaklęcia, którym dałoby się utrzymać jednakową szybkość spalania włożonego do pieca drewna. No cóż, trudno.

Wrzucił drewno przez okno do domu i przeskanował otoczenie. Tak jak podejrzewał, była to niepotrzebna strata energii. Dookoła stacji wszystko aż wibrowało od magii jak na teleportnisku. W krzakach mogło się aż kłębić od wrogo usposobionych czarodziejów, potworów i obwieszonych amuletami zbirów, a on nie miałby o tym pojęcia. Już mądrzej byłoby cisnąć na oślep kamieniem. Tylko że tu, jak na złość, kamieni akurat nie było.

A właśnie.

– Olryk!

– Czego? – Zza parapetu wieńczącego wieżę pomostu wychyliła się rozdęta futrzaną czapą głowa. – Jeszcze tu jesteś? Wynoś się! Tu teren prywatny jest, postronnym wstęp wzbroniony!

– Rzuciłbyś jaką derkę!

– Ja ci rzucę.

– To chociaż krzesiwo! – Żebyś mnie z wieżą razem spalił?

A takiego! No cóż, dla spokoju sumienia należało spróbować. Właściwie mógł już wracać na swój piec kuchenny.

Ale nie potrafił zapomnieć o tym, co znalazł przy stodole.

– Olryk, tam leży przebity kijem człowiek!

– Myślisz, że nie wiem? Stąd wszystko widać! Bamborza też. Fakt, wieża do niskich nie należała.

– Co mu się stało?

– Dowiedział się, jaki wielki pan wizytować nas leci, więc pobiegł śnieg odgarnąć, upadł i o trzonek się zabił! Po co takie durne pytania stawiasz? Oczu nie masz?! Zamordowała go syrena, to chyba widać, nie?

– Tak po prostu? – Nie, nie po prostu! Najpierw się tłukli, aż stodoła drżała. Krblik już stamtąd nie wylazł. A potem Bamborz się z syreną przed wrotami fechtował. I pewnie by ją ubił, bo kulą mocno, a Bamborz zręcznie siekierką wywijał, ale jej więzy puściły. No i tak go dziabnęła, że strach gadać.

– Więzy? Co za więzy?

– Zwykłe, ze sznurka. Jak tu przylazła, tośmy ją sprytnie zagadali, a Krblik podskoczył od tylca... no, w tym to dobry był, paskudnik... no i w łeb łysy deską zdzielił. Aż pękła. Deska, znaczy się. Zgłuszył potworzycę, ani zipnęła.

– Gościnnie z was ludek, psiakrew. Czym chata bogata, tym głuszy i wiąże.

– Monstra jeno. Ale związali ją marnie. Bo raz, że sznurek w końcu zerwała, a dwa, że z przodu ręce skrępowane mając, wyrwała im się tam w stodole i za trzonek chwyciła.

– Można wiedzieć, dlaczego w stodole?

– O tom samo Bamborza zapytał. To mnie najprzód zrugął od ostatnich, a potem kazał na wieżę rzyć zabierać. Za co go słusznie, choć może nazbyt surowo, Bóg z miejsca pokarał. Jakby mnie ze sobą wzięli, tobyśmy we trzech syrenie dali radę.

– Rozumiem, że mistrza Hanusa z nimi też nie było?

– Bystry jesteś jak na dziwostwora, co ani gaci uszyć, ani

ognia skrzesać nie umie. Mistrzowi we łbie się kręciło i mocno od wypadku ogłupiał. Z czym też się syrenie poszczęściło. Normalnie z miejsca by babę taką kłutwą obłożył, że ani by palcem nie kiwnęła. Wielki to czarodziej, że ho, ho.

Marnieje tu u nas ze swoim talentem. No, ale dzisiaj niedyspozycji ciężkiej się nabawił. Źle o nieboszczykach gadać nie chcę, to nie powiem, że Bamborza to obciąża. Po mojemu jednak wszystko to jego wina. Najsamprzód coś przy transferze pokręcił. Od tego chyba chałupa w drobiazgi poszła, a mistrz Hanuś zgłupiał był.

– Skąd wiesz, że to Bamborz transfer schrzanił?

– Bom słyszał, jak się potem z Krblikiem kłócili. Krblik od sabotażowników go wyzwał i ścierw sprzedajnych. I głupków. Bo skąd, darł mordę, pewnośc, że była na pokładzie?

– Ona? Jaka ona? – A skąd ja mam to wiedzieć? Jak mistrzowie pewnośc nie mieli? Tyłem wywnioskował, że tą ona to jakowymś sposobem magicznym i sekretnym książęcy wykryć i ściągnąć mieli. Znaczy się belnickiego książątka agenci specjalni. A Bamborz, łapówkarz obesrany, jakoś im pomagał.

Debren przestał przestępować z nogi na nogę i zastanawiać się połową mózgu nad zapewnieniem sobie znośnego noclegu. Wzmianka o tajnych służbach prawie go rozgrzała. Prawie. Bo władca Belnicy był faktycznie tylko prowincjonalnym książątkiem i agenturę musiał mieć proporcjonalnie marną.

– Widzę, że bystry z ciebie chłopak, Olryk – zełgał bezwstydnie. – Jak wrócę do Frycfurdu, szepnę komu trzeba, że czas cię awansować. Coś więcej ci w ucho nie wpadło?

– Mnie na te plewy nie weźmiecie, mości perwersie. Gładkie gadki to se zachowajcie dla belnickich kordoniarzy granicznych. Bo tylko ich patrzeć.

– A czego by tu po nocy straż graniczna szukała?

– A choćby i syreny. Myślisz, że po co ją Bamborz tak

z miejsca do stodoły powłókl, choć ciężka była, a w stodole ziąb?

– Debren rozłożył ręce na znak, że nie wie. – Bo do chałupy, jak kto postronny wlezie, to już wyleźć nie ma prawa, chyba że Frycfurd zezwoli. Ochrona sekretów firmowych, rozumiesz. A potworzycę jak nie dziś, to jutro ksiązęcy zabrać mieli. Bamborz pewnie by ją sobie ku uciezce zostawił, bo straszny był z niego pies na baby, ale chyba się bał. Jak gołębia z informacją ku Belnicy puszczał, to tłumaczył Krblikowi, że inaczej się nie da. Bo tamci i tak już wiedzą, a jak potwierdzenia nie dostaną, to nam się tu wszystkim paskudny wypadek przytrafić może. Z sekretnymi służbami nie ma żartów.

Debren zaklął w duchu, używając słów wyjątkowo nieprzyzwoitych. Coraz mniej mu się to wszystko podobało. W prowincjonalnych księstewkach nic nigdy nie działa jak należy, ale mają one jedną paskudną cechę. Są cholernie małe. Po krótkich trasach gołębie, gońcy i grupy pościgowe nieprzyjemnie szybko docierają do celu.

– Chcesz powiedzieć, że Bamborz od ksiązęcych srebro brał, by coś z wrzeciona dla nich przechwycić? A potem się szykował oddać syrenę? Czy to znaczy, że syrena leciała wrzecionem?

– Nie mam pojęcia. To ty tu ponoć wrzecionem przybyłeś. W co, muszę to mocno zaznaczyć, ani trochę nie wierzę. Każdy głupi wie, że transferować się można jeno z jednego portniska na drugie.

Debren nie zamierzał wdawać się w fachowe dyskusje i wprowadzać nowych elementów do wiedzy każdego głupiego.

– Opowiedz mi o tej syrenie, Olryk.

– A wyniesiesz się? Spać mi się chce, a z takim odmieńcem pod bokiem... Sam rozumiesz. Skąd mogę wiedzieć, czy po ścianach nie łazisz jak pajak? Albo jadem nie strzykasz, co

drzwi przepali? Mało to mutantów po lesie się włóczy?

Podobno obietnica złożona pod przymusem nie jest zobowiązująca. Debren czytał gdzieś o tym. Ale raczej w drugim obiegu. No i dobrze, że w drugim. Ładnie by wyglądał ten świat, gdyby wcielić w życie taką karkołomną zasadę.

– Jeśli dasz buty i coś na grzbiet. – Decyzja przyszła mu dość łatwo. – Goły stąd nie pójde, to chyba oczywiste.

– Oczywiste?! – oburzył się Olryk. – Oczywiste jest to, żeś szantażysta, ot co! Widzicie go, mądralę! Goły przylazł, ale żeby łaskawie odszedł, to mu trzeba ciżmy zafundować i ubranie, i pewnie jeszcze trzosik ze srebrem, he? O żeż ty wydrwigroszu bezwstydnym! Won mi do lasu, ale już!

– Jak mi opowiesz o syrenie, to może sobie pójde. Co się z nią stało?

– A, to tu cię boli... Że też od razu nie zgadłem. Pewnikiem się pogubiliście, jakowąś odrażającą grę wstępną po zaroślach uprawiając. Prawdę ludzie gadają, że od syreniego śpiewu chłop głupieje, rozum mu wymięka, a członek twardnieje. Z tobą też tak było, co?

– Nie.

– Ty się tak pochopnie nie wypieraj, Debren. Bo męską słabość do potworzycy uroki rzucającej jeszcze zrozumieć i wybaczyć mogę. Ale jak człek otumaniony przez syrenią samiczkę nie jesteś, to za kogo niby mam cię brać? Za ichtiologa? Czy może raczej za syreniego samca? He?

– Wśród syren nie ma samców.

– Ty mnie tu w ryboznawcze dysputy nie wciągaj, tylko rękę na sercu połów i przysięgnij na życie, żeś nigdy łusek nie miał. No, proszę.

Debren omal nie zakrył dłonią zziębniętego sutka. Ale w ostatniej chwili przedłużył ruch i zaczął rozcierać lewe ucho. Czuł, że głupio to wygląda. Miał ochotę skopać się po sinych z zimna kostkach.

Takie przysięgi nic nie znaczą. Wystarczy popatrzeć w życiorysy sławnych mężów stanu. Im większy łgarz, oszust, krętacz i hipokryta, tym dłużej nie tylko władzę sprawował, ale i plugawił świat swoją obecnością.

Nie potrafił jednak przełamać wewnętrznego oporu. Nikt nie udowodnił dotychczas, że można umrzeć, łamiąc taką przysięgę. Lecz co z tego, skoro nie udowodniono też tezy przeciwnej?

– No, pięknie – odezwał się trochę stłumionym głosem Olryk po dłuższej chwili znaczącego milczenia. – Przyznam, że się tego mimo wszystko nie spodziewałem.

Debren zastanawiał się jakiś czas. Potem podjął decyzję.

– Chcę wiedzieć, jak to się odbyło – powiedział, rozcierając ramiona. Inne części ciała dużo bardziej domagały się przywracającego krążenie masażu, ale większości z nich nie da się trzeć i miętosić w dłoniach, nie gubiąc przy tym powagi. A teraz, gdy w oczach chłopaka przestał być człowiekiem i stał się przedstawicielem obcej formy życia, musiał budzić co najmniej ostrożny respekt. Chociaż lepsze byłoby umiarkowane przerażenie. – Albo mi powiesz, albo do końca życia nie zbliżysz się do żadnego większego zbiornika wodnego. Od rynsztoka wzwyż. My, syreny, potrafimy się skutecznie przyczaić w byle kałuży. To dlatego tak mało się o nas słyszy. Sztukę kamuflażu wysysamy z ikrą matki. I mściwość też.

Było za ciemno i za daleko, by stwierdzić, jakie zrobił wrażenie.

Omali nie zamarzył na kamień, czekając na reakcję tego głupka z wieży.

– Po co od razu straszyć? – Debren odetchnął z ulgą: głos brzmiał przyjemnie płacząco. – Nie gadałem za wiele, bo skąd miałem wiedzieć... Znaczy się owszem – poprawił się szybko Olryk. – Wasza szanowna sami... żona znaczy... no, mówiła coś o tym, ale Bamborzowi głównie i mistrzowi

Hanusowi.

Wszystkiego więc dokładnie nie słyszałem. A i co do waszej szlachetnej osoby miałem wątpliwości.

Boście przecie w całkiem ludzkiej postaci tu przyszli, a że bez włosów, to i cóż z tego? Mało to łysych wśród dwunożnych? A i w tych... no... innych miejscach, że tak rzeknę... Ponoć w stołecznych domach uciech połowa dziewczek takież brzytwy używa, więc czemu chłop miałby nie móc. Moda to jest moda, nie przeskoczysz jej.

– Zamknijmy ten balwierczy wątek – zaproponował chłodno Debren.

– Racja – zgodził się z ulgą czeladnik. – No więc, krótko mówiąc, wołałem gęby nie strzępić, by tej zacnej niewieście kłopotów na głowę nie ściągać. Mało to krzywdy od tych plugawców, majstrów moich, zaznała? Jak wspomnę, to jeszcze zębami zgrzytam.

– Rozumiem, żeś tylko dlatego jej na pomoc nie skoczył, że...

– ...z posterunku mi zleźć nie wolno – skorzystał z podpowiedzi Olryk. – Życie wielu ludzi od nastawiacza zwierciadeł zależy. Ale w końcu bym nie zdzierzył i zlazł na dół porządek z tymi zbereźnikami zrobić, słowo uczciwe daję. Tyle że niewiasta wasza całkiem pomocy nie potrzebowała. Bitna z niej baba, pogratulować. Na koniec to już się zwyczajnie Bamborzem bawiła jak kot myszą.

A mądra jaka! Inna toby nie wpadła na to, że saniami, choć bez konia, bo zdechło się naszemu, szybko do wsi, ku pogranicznikom zjechać można. A ona od razu. No to wzięła i sanie razem ze stodołą podpaliła. Pogra...

– Nie lżyj, Olryk. Smarkacz jesteś i na służbie, to ci wiele daruję. Ale nie łgarstwo.

– Eee... Znaczy się... Trochę też o szaty szło. I buty. No i spyżę. Pani Debrenowa zażądała różnych rzeczy w drodze przydatnych. Że niby jak nie dam, to stację z dymem puści.

Albo nawet... – Olryk zaciął się, tym razem na dobre.

– Nawet co? – zniecierpliwił się Debren.

– Mistrza Hanusa ubije.

Tym razem milczał magun. Długo.

– Daleś? – zapytał w końcu.

– Mam we wieży ino to, co na sobie. A ziąb tu taki, że aż...

No i od razu poznałem, że tak tylko... no, droczy się. Wiedziałem, że nie ubije starca. Szlachetna z niej pani, Debren.

Szczęśliwy być musisz.

– Powiedziałaś, że mówiła o mnie – przypomniał Debren. Trochę bał się poruszać ten wątek. Chłopak do bystrych nie należał, ale zmuszony do mówienia o faktach, mógł z tych faktów wyciągnąć dość oczywisty wniosek. I zapomnieć o strachu. A to byłoby fatalne. Cokolwiek się stanie, lęk Olryka i jego wiara w syreniego samca będą albo zbawienne, albo przynajmniej użyteczne. Co go do cholery podkusiło, żeby o to pytać?

– Na drodze ją wypatrzyłem, bo jak się tu siedzi, to z nudów człek się dookoła gapi. Pani wasza, wieżę ujrzawszy, zaraz w chaszczę skoczyła i potem bardzo ostrożnie się podkradała, długo na obejście z krzaków zerkąła. Aż się wreszcie na odwagę wzięła, wylazła, gałęzią świerka pierś skromnie kryjąc.

– Pierś tylko? – To pytanie, uczciwie mówiąc, też nie było mu do niczego potrzebne. Dżuma i syfilis. Stary chłop, siwizny tylko patrzeć, a od byle gadania o gołej babie głupieje. To pewnie z zimna. Tak, na pewno z zimna.

– Bo dołem łuski sobie trochę... znaczy całkiem sporo, rzecz chciałem, zostawiła. Nie myślcie, że... No, wstydu wam nie przysporzyła. To znaczy... Nie w tym sensie, że dobry gust macie, jeno... Skromnie wielce się tu...

– Olryk, nie lawiruj językiem, tylko mów rzeczowo, coś widział i słyszał. Za rzeczowość, choćby i brutalnie szczerą, po mordzie nie dają. Ani tym, co relacjonują, ani żonie. Sam tu

goły z przyczyn ode mnie niezależnych przyszedłem, to i innych z goliżny rozliczać nie zamierzam.

– Bardzo rozsądne to podejście – przytaknął skwapliwie Olryk. – No więc na czym to ja... Aha. Wysła wasza małżonka z krzaków, kolaniem o kolano z zimna pociera, a może i z nieśmiałości, bo i zwykłej babie nogę od końca do końca wstyd obcemu ukazać, a cóż dopiero syrenie. No i pyta mistrzów, czy to aby portnisko Teleporthanzy nie jest. Zauważcie, panie Debren, że śmiać się z naiwności pytania nie zamierzam. Ostatecznie syreny na teleporthanskach znać się nie muszą; ich żywioł to wody przecie.

– Krócej proszę. Zimno tu.

– Prawda. Więc słowo po słowie się ugadali, że wprowadzie to belnicka dziedzina, ale stacja wehrleńskiej Teleporthanzy podlega. Na to pani ucieszyła się i dalej tłumaczyć, że jej mąż też dla firmy naszej pracuje, we Frycfurdzie samym, choć cudzoziemcem jest, a ona do niego aż z Dumayki leci i...

– Z Dumayki? Tak powiedziała? – Sam słyszałem. Choć z bokum stał, daleko dość.

– A jak się mąż nazywa, nie mówiła?

– No jak to: jak? Przecie...

– Tak, wiem – rzucił szybko Debren. – Chodzi mi o to, czy imię moje w rozmowie padło.

Olryk zastanawiał się przez chwilę. Magun miał nadzieję, że nad odpowiedzią, a nie powodami stawiania dziwnych pytań. On sam wciąż nie rozumiał, po co draży ten śliski temat.

– Prawdę rzekłszy to chyba nie. Tę Dumaykę zapamiętałem, bo mi kiedyś znajomek jeden powiedział, że od tego miasta poczynając, ludzie czarne podniebienia mają.

– Nie powtarzaj tego, w okolicach Dumayki będąc. A ona sama, żona moja, nie przedstawiła się wam?

– No... coś chyba... Nie, nie wiem. Nie wszystko usłyszeć mi się udało, bo mi Bamborz bliżej lasu stać kazał, by w razie czego drogę uciekającej zagrozić. A zresztą długo wtedy nie

gadali. On zaraz szczerzyć zęby zaczął i wołać: „Znam, znam, a jakże, druh to mój serdeczny ten wasz ślubny”, a wtedy Krblik, jako wcześniej rzekłem, zdradziecko z tyłu zdzielił panią... panią... Debren udał, że nie zrozumiał.

– Potem ją związali i do stodoły zawlekli – powiedział. – A w stodole? Jak sądzisz?

– Nie byłem – oznajmił pospiesznie Olryk. – Przysięgam.

– Pytam, co sądzisz, a nie czy byłeś. Jak długo to trwało? Zdążyli...?

– Na pewno nie. Tylko co weszli, a już krzyki słychać, odgłosy walki na narzędzia wszelakie... No i zaraz przed stodołę wypadli, Bamborz z siekierą, co ją wasza potem do lasu ukra... wzięła, rzecz chciałem... a wasza z tym trzonkiem. Mówię wam, panie syren: śliczna walka to była. Na turnieju takiej nie obejrzyć. Aż migało... eee... różnościami.

– Wyobrażam sobie. I co dalej?

– Dalej pani syrena Bamborza na kij nabiła, jako węgorza dajmy na to, portki zeń zdarła i... tego... do stodoły się... no, wycofała.

– Tylko nie kręć, Olryk. I nie wmawiaj mi, że to dlatego, bo fetyszystką jest i gacie tego sukinsyna tak ją zafascynowały.

– Nie wmawiam – powiedział cicho i pokornie chłopak. – Jeno mi wstyd wyznać. Bo widzicie, z tej niewiedzy i emocji młodzieńczej... no, strzeliłem parę... eee... naście...

– Z procy? – Futrzana czapa kiwnęła potakująco.

– Trafiłeś?

– A bo to ja strzelec wyborowy jestem? Jakbym tak łatwo trafiał, tobym dziesięć razy się zastanowił, nim w człeka kamyk cisnę. Ale że nie trafiam zwykle, to i ręka sama rzemień rozkręca. Wiecie, jak to jest. Młodzież lubi sobie postrzelać.

– Dzięki za szczerość. I za to, żeś nie trafił, też dzięki. Co dalej było?

– Pani syrena koryto stare znalazła, bośmy tu kiedyś świnki

hodowali... No i obłączniczą albo żółwią modą, pod tym korytem się kryjąc, chałupy zaatakowała i mistrza Hanusa w jasyr wzięła. A że nic pożytecznego tam więcej nie znalazła, to najpierw mi groziła, że go porąbie na moich oczach, a jakem nie ustąpił, Nabrała, co z ubrań było, wzięła Hanusa, siekierę, ogień pod stodołę podłożyła i umknęła w las. Ku wschodowi.

– W stronę Belnicy? Pewny jesteś? – Całkiem pewny. Jeszcze za Sarnią Łączką było ją z wieży widać, a to prawie mila będzie, nawet po prostej licząc.

– Dobre masz oczy.

– W moim fachu to podstawa. A ich łatwo poznać z daleka, bo grubo razem wyglądają. Jak pijacy ciasno szli objęci.

– Ona i Hanus? – zdziwił się Debren. – Tak sobie do serca przypadli? Czy może na krótkim powrozie go wiodła?

– Tom nie powiedział? Kulawą była mocno, ledwie co na nogę stawała. W bitce jeszcze, jeszcze, ale potem, jak gorączka bojowa opadła, to się siekierką podpierać musiała, by nie paść. Po mojemu to dlatego Hanusa zabrała. Bo po pomoc i tak by pewnie nie pobiegł, a i tego kołka, co mnie nim we wieży uwięziła, też by raczej nie wyciągnął. Kiepsko z jego głową, oj, kiepsko. Ale chodzi, więc podporą może być lepszą niż siekiera.

– I poszli na wschód, do Kotliny Belnickiej? – upewnił się magun. – A ta droga... Nie byłoby szybciej drogą?

– Ludziom by było – stwierdził bez wahania Olryk. – Ale czy syrenie, tego nie wiem. Może chciała wasza żona z powrotem nogi na rybi ogon odmienić i na rzyci jak na saniach po stoku zjechać.

– Pewnie tak. Powiedz mi jeszcze...

– Jada! – krzyknął nagle Olryk. Skoczył ku południowo-wschodniemu narożnikowi wiecowego tarasu i w przypływie entuzjazmu zdarł z głowy czapę. – Jada, panie Debren! Pochodnie przy strudze widać! To kordoniarze!

Debren zastanawiał się jakiś czas. Po raz drugi tego dnia żałował, że technika transferowa nie pozwala zabrać ze sobą kości do gry lub monety. Niektóre problemy najlepiej rozstrzyga się za pomocą orła i reszki.

– Daleko ta struga?

– Za dziesięć pacierzy tu będą! – cieszył się Olryk. Ale gnają! Aż się ogień pochodni całkiem płasko ciągnie. Różowy płomień, magią ulepszony. To pograniczna straż, ani chybi. Nikt inny takich tu pochodni nie używa.

Nie było monety. Wyboru mniejszego zła musiał dokonać sam. Jak zawsze. Dżuma i syfilis, to po co zaciągał się do wielkiej zhierarchizowanej firmy, gdzie najwyższą cnotą jest robić, co mu każą, i nie myśleć za wiele? Firma. No właśnie. Jeśli nie wiesz, co robić, rób to, co dobre dla firmy. Duży, ciepły, jasny dom z kwiatkami za oknem, Debren. Przeszedłeś już pół drogi, skromnie licząc. Ten dom jest już blisko.

Nie, to na nic. Był zziębnięty, wyczerpany i nieszczęśliwy, ale nie brakowało mu jeszcze dobrych chęci. Nie potrzebował takich podniet. Potrzebował informacji. Tak jak Piekmoth. Bo w gruncie rzeczy o to chodziło. Nie o skandal. Skandale można zatuszować. I wcześniej, i później. Później tylko trochę więcej to kosztuje. Ale naprawdę bezcenna jest wiedza. Piekmoth to nerwus, czasem reaguje zbyt żywiołowo, ale na pewno zgodziłby się z takim postawieniem sprawy.

I co z tego wynika? Dokładnie nic. Wielka niewiadoma za i wielka niewiadoma przeciw. Zostać albo pójść. Na obu szalach wagi mogła leżeć śmierć. Coś złego działo się w tej stacji. Przybył tu, by poznać prawdę, ale Piekmoth, posyłając go w tę mocno karkołomną podróż, dużo więcej mówił o zacieraniu prawdy. Bo wiedza nie jest jednak bezcenna. Trochę wyżej notowana była zawsze niewiedza strony przeciwnej.

Kordoniarze belniccy gnali tu nocą po oblodzonej górskiej drodze. Nie byli z pewnością czarodziejami, a to oznaczało, że

ryzykują niewiele mniej, niż on ryzykował, wsiadając do wrzeczona jednorazowego użytku. Strażnicy graniczni. Na co dzień obcujący z celnikami. Najmniej skłonne do poświęceń, najbardziej skorumpowane, dobrze sobie żyjące, a więc i ceniące to swoje życie, wojsko. Które gnało teraz co koń wyskoczy, by...

No właśnie. By co? Bo przecież nie z ochoty niesienia pomocy potrzebującym. Śpieszyli się jak Debren. Dlaczego nie pójść ze snuciem analogii dalej? I nie założyć, że cele mieli też podobne? Ale to nie była jeszcze odpowiedź. Bo on wciąż był w stanie robić swoje, prowadząc pertraktacje, obiecując, płacąc i nie przelewając kropli krwi. A oni? Ludzie rozsądni, gardzący bezkompromisowością i nie gardzący srebrem? Mało kto jest z definicji tak otwarty na rozsądne propozycje, elastyczny i wybiórczo ślepy jak funkcjonariusz służb granicznych. Prawie na pewno dogadałby się z nimi. I prawie na pewno nie wyjdzie z lasu, jeżeli zrezygnuje z dogadywania się.

Prosty się zrobił ten wybór. Oto jak logika pokonuje monetę z orłem i reszką.

Co go, do czorta, obchodzi jakaś okulawiona syrena śródlądowa?

– Olryk! Mistrz Hanuś mocno zgłupiał? – Co? A... no, mocno. Ślinił się bardziej niżli mój dziadziuś. A dziadziuś ostatnie zęby se powyłamywał, drewniaki z chlebem notorycznie myłac. Po mojemu to nic już z Hanusa nie będzie.

Teraz już praktycznie nie było wyboru. Piekmoth nie wahałby się ani przez moment.

Przebiła tęym kołkiem dużego mężczyznę. Na wylot w walce, co jeszcze podnosi rangę wyczynu, bo w walce prawie nigdy nie ma się sposobności, by pchnąć z całej siły. Jest więc potworem z gatunku tych groźnych. Rannym potworem. Obdarzonym przynajmniej szczątkowym talentem magicznym, bo zmiana płetwy ogonowej w sprawnie

funkcjonujące nogi to nie w kij dmuchał.

Cholera. Powinien dokładniej przyjrzeć się temu rozwalonemu stogowi. Szukał śladów spadającego z nieba, to znalazł. Ale kto wie, co by znalazł, gdyby rozglądał się za gniazdem, kryjówką? Może po prostu wylazła stamtąd skuszona wizją lecącego z nieba posiłku? Kto wie, czym żywią się syreny śródlądowe, zdolne do biegania po lesie? Byłby idiotą, gdyby w ogóle zastanawiał się nad wyborem.

Tutaj miał piec i kaszę. A za parę pacierzy pewnie i jakaś szuba się znajdzie. Pies trącał śliniącego się Hanusa i syrenę z Dumayki.

Pod Dumayką, w rzece Lejcz, nigdy nie było syren. Niewielka strata, jeśli dalej nie będzie.

Obejdzie się. Wystarczą utopce i wodniki; ryb i raków coraz mniej w rzece i bez syren. Nic go nie obchodzi żadna...

Ale czuł, że nawet teraz, trzęsąc się z zimna i zaczynając podzwaniać zębami, nie potrafi okłamać sam siebie. Nawet teraz. A co będzie później, gdy wbije tyłek w fotel zastępcy teleportniczego, będzie siedział w ciepłym gabinecie, zbijał bąki, jak to rozkazodawca, i z braku ciekawszego zajęcia wspominał szaleństwa młodości? W którą dziurę pamięci upchnie tajemniczą syrenę z Czarnuchy? I czym ową dziurę zawali? Bo chyba będzie musiał.

Kilka pacierzy. Powinien wykorzystać ten czas, oczyścić się z łoju i sadzy, które oblepiły go podczas drzemki na kuchennej blasze. Dobry wygląd to połowa sukcesu w negocjacjach.

Po co tu przyszła? Dlaczego kryła się po zaroślach przed ludźmi z belnickiego księstwa, a cieszyła, widząc pracowników Teleporthanzy? Co to za gadanie o mężu we Frycfurdzie i lataniu do niego? Syreny nie latają. I piersi gałęziami świerka nie osłaniają. Może te z temmozańskich krajów, gdzie niewiastom poganie zboczeni wszystko, co tylko się da, zakryć by radzi. O ile w tych piaskach jakoweś syreny żyją. Ale tu był Yiplan. Mocno środkowy. O rzut beretem

sąsiadujący z Morvacem, jedynym w miarę dużym królestwem kontynentu, które żadnego dostępu do morza ani teraz, ani nigdy przedtem nie posiadało. Sama obecność wodnej panny w takim miejscu mogła zatruć dociekliwy umysł do końca życia.

No i ta Dumayka Urodził się tam i choć dość wcześnie w świat wywędrował, to przecież wracał co jakiś czas. Ostatnio częściej nocami i w głębokim kapturze, ale to tylko pogarszało sprawę.

Zakazany owoc pachnie bardziej słodko. I dzieli się tym zapachem z każdym, kto się on choćby otrze. Mógłby ją zapytać o...

Machrusie słodki. Co się dzieje w tej nieszczęsnej, opalonej jak u wieprza głowie? Sentymentalne pogwarki z wielkstopą babą-potworzycą? Goło, nocą, na mrozie? W lesie pełnym wilków i cholera wie czego jeszcze? To tylko gorączka czy już coś gorszego? Nie rób tego, Debren. Ta droga nie prowadzi do dużego, jasnego, ciepłego domu z widokiem na ukwiecony ogród. A tamtej, dobrej, połowę już przebyłeś. Dom już blisko, a w domu może... może mimo wszystko...

– Olryk! Słyszysz mnie dobrze?

– A co mam nie słyszeć? Toć w miejscu stoicie, choć podskakując z zimna.

– Powiedz, że szukać tamtych poszedłem. Bo Hanza za swoich ludzi odpowiada. I za pasażerów takż.

– Czy ja was dobrze słyszę, panie Debren?! W las chcecie iść?! Teraz?! Rozum wam zamarzał?!

– I powiedz też, że posiłki z Frycfurdu w drodze już są. Bo my naszych w biedzie nie zostawiamy. Mogą więc księżęcy kordoniarze do domu wracać. Nic tu po nich.

– Naprawdę z Frycfurdu jesteś, Debren? Nie żartowałeś? – Debren odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę chaty. – Zostań, nie rób głupstw! Zginiesz tam! Był tylko nastawiaczem zwierciadeł, nie telepatą. Ale chyba czytał

magunowi w myślach.

Dziura była dużo głębsza, niż sądził. Noga zapadła się w śniegu po pachwinę, a Debren grzmotnął najpierw kociołkiem o oblodzoną ziemię, potem zaś czołem o kociołek. Pociemniało mu w oczach.

Trochę od fatalnie amortyzowanego upadku, trochę od utraty świetlnej kuli, która zgodnie z zaklęciem trzymała się stopę wyżej brwi i sążeń z przodu. Stopę wyżej i sążeń w przód miał teraz, dzuma i syfilis, albo litą skałę, albo zmrożoną ziemię. Cholera. I jeszcze jedna cholera. Diabli wzięli całą robotę. Aż go łupnęło między uszami i w górze kręgosłupa, gdy zakleszczony w podświadomości czar próbował się utrzymać w przypisanym mu miejscu. Ale jeszcze się taki nie urodził, co by skałę od środka blaskiem wypełnił. Debren rzygnął całą zjedzoną kaszą, a przynajmniej tym, czego nie zdążył strawić. Na szczęście wiele tego nie zostało. Albo raczej na nieszczęście. Strasznie dużo energii przeleciało przez jego skostniałe ciało. Prawie bez pożytku, jak woda przez sito. A jeszcze nawet nie północ.

Boże, jak zimno. Nie miał nawet siły chwycić ustami trochę śniegu i oczyścić przełyk z kwaśnego smaku wymiocin. Bo śnieg był zimny. A on nienawidził zimna.

Trzeba wstać i iść dalej. Chyba będzie mógł. Chyba nie złamał nogi. Chyba ból złamanej nogi przebiłby się przez odrętwienie? A może zostać tu? Zagrzebać się w śniegu jak te karły z północnego Draklenu, co ponoć rodzą się, żyją i umierają ze starości w chatkach z lodowych brył? Coś o tym czytał. Z nudów. Na galerze „Aramizanopolisańczyk” rozpalonej jak piec w skwarze południowego słońca. Marząc o kawałku północnodrakleńskiej chatki, którą mógłby wrzucić do ciepłej jak zupa, stęchłej wody skąpo przyprawionej winem. Aż trudno uwierzyć. Czy to naprawdę on, Debren,

pławił się w takim luksusie? We własnym pocie? Trzeba wstać. Jama w śniegu jest dobra, jeśli ma się cokolwiek na grzbiecie. Nagiemu wiele nie pomoże. No, Debren, rusz się.

– Nie ruszaj się! Bo łeb rozwalę! Okrzyk nie był głośny. Raczej zawołanie niż okrzyk. Wołała bez wątpienia kobieta. Głos miała schrypnięty i rzeczowy. Wymagający poważnego i najlepiej dosłownego potraktowania ostrzeżenia.

Debren zastygł nieruchomo w wypełnionym głębokim śniegiem wykrocie. Próbował przypomnieć sobie, jak wyglądało otoczenie, nim trzasnął czołem o wbity w zaspę kociołek i zgasił tym samym kulę. Nie było to łatwe, bo posługiwał się światłem ukierunkowanym, trudnym do wyczarowania, ale czerpiącym mniej mocy i nie rażącym w oczy. Blask padał na ziemię i dobrze wskazywał drogę, którą się szło. Z poboczami jednak było dużo gorzej, a z górą zupełnie marnie. A głos dobiegał chyba z góry, i to nie dlatego, że wpakował się w ten wykrot. Po lewej ciągnęła się zakrzaczona skarpa albo skała, wzdłuż której wędrował, wpatrzony w ślady uciekinierów. To stamtąd mu grożono. Niedobrze, uskok był wysoki i długi; nawet przy świetle dziennym musiałyby rozglądać się przez dłuższą chwilę, by dostrzec syrenę. Bo to ani chybi musiała być ona. Wątpił, by po stokach Czarnuchy włóczyła się tej nocy inna wojowniczo usposobiona niewiasta, w której głosie nie sposób odnaleźć śladów lęku. Dotyczyło to pewnie równie dobrze całego Lonska, a kto wie, czy i nie paru sąsiednich krajów. W środku grudniowej nocy górskie lasy Yiplanu były zapewne równie bezludne jak budzący grozę yougoński Suchar.

– Jeśli jesteś tą, której szukam – powiedział powoli – to nie strzelisz. Po pierwsze nie masz z czego...

– Cicho.

Znajdowała się dość daleko, co najmniej o dziesięć kroków. Tylko dlatego nie mówiła szeptem. Debren od razu domyślił się, w czym rzecz.

– Jestem sam – powiedział. Cicho.

– Nie widzę pochodni. A widziałam światło. Gdzie ten drugi? Gadaj albo...

– Nie ma drugiego. To było światełko magiczne, nie pochodnia.

Trochę ryzykował, ale też z nadzieją na zysk. Ludzi posługujących się magią lepiej zabić szybko, jeśli uznani zostaną za wroga. Lecz z drugiej strony czarodziej, którego nie zabito z miejsca, mógł się potem czuć coraz bezpieczniej.

Coś zaszeleściło w górze, trochę z tyłu. Stuknęła cicho osuwający się ze skarpy kamień, który od razu miękko pacnął w śnieg.

– Gdzie masz... Jesteś goły?! A więc dopiero teraz go zobaczyła. Czyli kłamczucha. Rozwalanie łbów nie wchodziło dotychczas w rachubę.

– Nie da się ukryć – powiedział z goryczą, podzwaniając z lekka zębami. Choć była gdzieś wysoko i z tyłu, mocno przyciskał kociołek do brzucha. Do jego niższych partii. Nie tylko dlatego, że kasza dobrze trzymała ciepło i naczynie wciąż jeszcze trochę grzało. – Chociaż bym wołał. Wybacz mi ten strój, pani.

– Połóż się twarzą do ziemi. Ręce w bok. Na górze nie brakowało pewnie kamieni. Może jednak nie miała jak nimi rzucać, może nie była pewna trafienia człowieka osłoniętego gałęziami drzew i krzewów, jakimiś skałkami, wyrzyszeniami skarpy. Może.

Wolał nie sprawdzać. Ani tego, ani umiejętności syren w dziedzinie szybkiej produkcji łuków i strzał z podręcznych materiałów. Miała siekiere, ubrania na cięciwy i mnóstwo drewna dookoła.

Bojowej broni w takich warunkach się nie sporządzi, ale lekki łuk, skuteczny przeciw drobnej zwierzynie na kilkanaście kroków – już tak. A nagi czy choćby nie bardzo grubo odziany człowiek to niezły odpowiednik drobnej

zwierzyny. Jeśli ma się szczęście i nie trafi w kość, to można go zabić jedną strzałą. Nie od razu, ale tym gorzej dla trafionego.

Położył się, odstawiwszy ostrożnie kociołek, i rozłożył ramiona. Był tak zziębnięty, że zetknięcie ze śniegiem prawie nie bolało.

Słyszał, jak schodziła, ostrożnie wybierając drogę na stromiźnie. Długo to trwało, choć była w niezłych butach z obcasami. Idąc tropem syreny i mistrza Hanusa, nie miał początkowo pewności, które z nich ma na sobie te ciężkie, wzorowane na żołnierskich buty, a które miękkie cizmy. Oboje mieli jednakowo duże stopy, a syrena najwyraźniej próbowała zmylić ewentualny pościg, wybierając najmniej zaśnieżone miejsca, skalne grzbiety czy złodowacenia, ale w końcu stało się jasne, że ten w butach mocno utyka i to raczej on używa towarzysza w charakterze żywej laski, niż na odwrót.

Mimo wszystko chodziła, i to dość szybko. Powtórzył to sobie w duchu, gdy stanęła nad nim i ostrzegawczo wsparła lewy obcas o jego plecy. Ta noga była tylko w połowie sprawna, lecz ciężar ciała spoczywał na prawej. Mogła szybko odskoczyć. Rąbnięcie jej łokciem w goleń...

O Boże. Ten głos... Noga na karku...

– Pewnikiem tak sobie leżysz i dumasz: „A co mi tam, to jeno dziewczucha, dech zła...” – zachrypnięty głos urwał nagle, jak ucięty brzytwą.

O Boże... To niemożliwe. Takie rzeczy się po prostu nie...

– Co... – Słyszał, że musiała przełknąć ślinę. – Co ci się... To na tyłku, te blizny... To... to nie widły, prawda? Wystarczyło odwrócić głowę. Księżyc świecił jasno, a drzewa, jak to na stromiźnie, rosły rzadko.

Nie brakowało światła, nie przy odległościach równych niewieściej nodze. Choćby i tak długiej.

– Nie – powiedział, po raz pierwszy od całych wieków

dygocząc z innych niż zimno powodów. Widział kątem oka zarysowany na śniegu cień długiej siekiery, ale nie ciosu siekierą się bał. Nagle zaczął się bać rozczarowania.

– To kula. Magiczna. Wybuchła i odłamki... no, widać, co odłamki...

– Machrusie słodki. – Z przejęcia zabalgotało jej w zakatarzonym nosie. – Debren?! To ty?! Noga z magunowego grzbietu cofnęła się szybko. Dziewczyna też. Cień, który Debren widział, sprawiał wrażenie porażonego piorunem.

Uklęknął, ale nie odwrócił się do niej twarzą. Ręce trzymał blisko brzucha. Chociaż po raz pierwszy bez bardzo konkretnej potrzeby. Po raz pierwszy nie było mu zimno. Nie tam.

– Skąd się tu wzięłeś? Obejrzał się przez ramię. W końcu musiał to zrobić.

Nie bolało. Choć klęczał nago na śniegu, łysy i oblepiony całym paskudztwem, jakie pozostaje na mytym raz w roku kuchennym piecu. Choć była większa, niż ją zapamiętał, zdeformowana baranicą i portkami do męskiej postaci, a palce, zamiast na jego ramionach i twarzy, zaciskała na trzonku siekiery. Choć głęboki kaptur rzucał mnóstwo cienia, a ubranie cuchnęło jak z kozła zdarte.

Patrzenie jej w oczy nie bolało jednak. Bo lśniły swym ogromem mimo otulającego oblicze cienia. A przez odór przepoconych tkanin i skór przebijał się ulotny zapach mięty.

– Witaj – powiedział, bezskutecznie próbując powstrzymać uśmiech. – Witaj, Lenda. Nie masz pojęcia, jak... – Nie dokończył, bo ziąb robił swoje; przypominał nachalnie, że są rzeczy nieskończenie ważniejsze od jakichś tam ulotnych uczuć. – Dobrze, że jesteś. Nie masz czasem zbędnego kożucha? Jeszcze z pół klepsydry, a zamarznę.

Nie poruszyła się, nie pognała do obozowiska po ogień, wrzątek i ciepłe szaty. Chyba nie tylko z braku obozowiska.

Właściwie nie widział jej twarzy. Nie powinien wiedzieć takich rzeczy. Ale wiedział.

– Wybacz, że się powtarzam – powiedziała bardzo cicho. – Ale co tu robisz? Skąd się wziąłeś w Belnicy?

– Gdzie? A... tak. Belnica, faktycznie. Przyleciałem. Transferem z Frycfurdu. Pisałem ci, że dostałem, pracę we Frycfurdzie. Otrzymałaś ponoć mój list.

Miał nadzieję, że zaprzeczy. Oddałby za to zaprzeczenie, za jej zdziwione spojrzenie ten nieszczęsny kroczuch, którego nie miał i tak bardzo chciał mieć. „List, Debren? Jaki list? Wysłałeś do mnie list? Naprawdę? Jejku”

– Owszem – stwierdziła krótko. – Tyle że nie o Frycfurd pytam i o twoje tamtejsze życie. Twoja obecność tutaj mnie interesuje.

Oczywiście. Trzeba być skończonym durniem, by – łudzić się prawie pół roku. Po trzech solennych zapewnieniach, że adresat odebrał wiadomość. I po znajomości, co góra dwadzieścia klepsydr trwała, i to z przerwami. Znał mnóstwo ludzi, z którymi przebywał dłużej, całe dni i tygodnie, a których nie rozpoznałby ani po głosie, ani po wyglądzie. Ją pamiętał, ale ona jego pewnie... No, powiedzmy, że te blizny z tyłu z czymś jej się skojarzyły. Imię też w pamięci pozostało. Pod „Różowym Królikiem” niecodzienne się rzeczy działy, więc może nawet nie minęłaby go obojętnie na ulicy. Ale to wszystko. Nic więcej.

– Tropię kogoś... Tropię niewiastę. Może syrenę.

– A, prawda – pokiwała kapturem. – Na galere się zaciągałeś, jakeśmy się rozstawali. Rybacką, jak rozumiem. Wyspecjalizowaną w odławianiu dziwadeł wodnych. Nic dziwnego, że do takiej roboty maguna najęli. Syrenę przewrotnicę pochwyć, co się przed sieciami mil pięćset od morza chowa, po lasach i górach, to rzecz nieprosta. Pewnie dużo ci od głowy płacą, mistrzu. Och, wybacz... od płetwy.

– Nie kpij, księżniczko. Za nagą niewiastą szedłem, która

być może... – Aha, naga niewiasta – przerwała mu z tą samą pozorną powagą, pozorną chęcią brania za dobrą monetę wszystkiego, co powie, i pozornym szacunkiem. – To mi wystarczy. Oboje trzynaście lat pokończyliśmy, to i tłumaczyć się nie musimy. Pojmuję i o powody biegania goło po puszczy nie pytam.

– Zdejmij kaptur – warknął.

Cofnęła się o pół kroku. Kaptura oczywiście nie zdjęła.

– Dudkaj się – rzuciła ze złością.

– Za zimno na przyjemności – uśmiechnął się krzywo. – A wracając do tej, com za nią szedł... Możliwe, że z naszego wrzeczona wypadła. Dwie nim kobiety podróżowały. Jedną martwą znalazłem, a ta druga...

Tym razem sam urwał. Coś sobie przypomniał. Dobrze, że teraz. Wolalby nigdy nie wiedzieć, ale...dobrze, że teraz.

– Drugiej nie udało się znaleźć martwej? – zapytała z przekąsem, gdy milczenie zaczęło się przedłużać. – Więc musiałeś machnąć ręką na wygody i po lesie biegać za nieznośną babą? Same utrapienia z tymi babami, co?

– To ciebie szukam? – zapytał spokojnie.

– Wyglądam na syrenę, twoim zdaniem?

– Jedyne świadek, który po jej wizycie żywy w stacji pozostał, o syrenie mówił. Pijany nie był. – Milczeli chwilę. – Lenda... dlaczego tak rozmawiamy?

– Że niby przez ramię do mnie gadasz, jak jedna baba do drugiej w kolejce do studni miejskiej? Pewnie dlatego, żeś nie baba, choć z naczyniem tu przylazłeś. Jak ci niewygodnie, to się odwróć. Przypominam, że w „Różowym Króliku” się poznaliśmy. Widok jakoś zniosę. Ciemno zresztą. A ty czarodziej jesteś. Możesz sobie zawsze jakiś duży liść, łopianu dajmy na to, wyczarować.

– Dlaczego zła jesteś – wyjaśnił Debren. – O to pytam.

– A dlaczego ty łeb zgolileś? Nie była ciekawa. Odgryzała się. Nie rozumiał tego, ale jedno rozumiał. Tracił czas

i pieniądze, pisząc i posyłając jej ten list.

– Jeżeli to ciebie szukam, to wiesz, co się stało z moimi włosami. A jeżeli nie...

– Ty nadal masz włosy, Debren. – Włożyła sporo wysiłku, by do tego nie dopuścić, ale głos jej trochę zadrżał.

– I brwi, i rzęsy...

Chciałby się zerwać, skoczyć, przytulić do ramienia jej twarz. Ale siekierą między oczy oberwać nie chciał. Ani, tym bardziej, przełykać upokorzenia. To nie musiało być to, co mu się wydawało. Jest po prostu zła. Nie dlatego, że trafiło akurat na kobietę. Każdy miałby prawo być wściekły.

– No to mamy odpowiedź – mruknął. – Lenda, z tego, co słyszałem, to i tobie wiele na grzbiecie nie zostało, gdy z jelita wypadłaś. Wiesz, jaka to przyjemność goło po mrozie i śniegu biegać. Więc nie przeciągajmy tych pogwarek. Daj mi jakieś okrycie, bo zaraz zdechnę z zimna.

– Połóż się – powiedziała, tym razem już beznamiętnie.

– Co?! Mam się...

– Twarzą do ziemi. Wiesz jak. I żadnych nagłych ruchów.

– Oszalałaś?!

– Niech będzie, że oszalałam. Straszne głupoty ostatnio robię. W porównaniu z nimi wbicie ci tej siekiery w głowę to małe piwo. Więc lepiej nie sprawdzaj, jak dalece rozum mi odjęło. Bez bicia wyznaję, że dalece.

Nie żartowała. Debren, gorączkowo skanując, położył się krzyżem na śniegu. Szukał wyjaśnienia.

Uroku, narkotyku, nawet czaru kamuflującego, choć nie bardzo chciało mu się wierzyć, że ktoś mógłby tak doskonale podszyć się pod Lendę Branggo, z podwójnym „g”.

Sprawnie, nie dając wielkiej szansy bywałemu wojakowi, a żadnej takiemu jak on, przygniotła go do ziemi kolanem i skrępowwała ręce za plecami. Zbędnego bólu nie sprawiła. Nie, nie miał już wątpliwości – to była Lenda.

Z rozpoznawaniem magii poszło dużo gorzej. Podwójnie źle.

Bo po pierwsze coś wyczuł. A po drugie – nie wiedział co. Ślad był tak słaby, tak ulotny... Właściwie nie było o czym mówić. Taką mocą kota by się spłoszyć nie dało, choć wiadomo, jak wyczulone potrafią być rasowe koty. Ale pasmo nie podobało się Debrenowi. Są różne pasma przepływu energii magicznej: te łatwo dostępne; takie do których dobrać się mogą tylko arcy mistrzowie; dostępne teoretycznie, które badacze póki co bezskutecznie szturmują, no i takie, których w myśl teorii nikt nigdy nie ma prawa nadgryźć.

To, co wyczuł, było dziwnie bliskie trzeciej kategorii. Albo czwartej.

Cholera. Oto co robi mróz z gołą i pozbawioną włosów głową.

– Jak trzydniowy zarost – powiedziała Lenda. I przejechała lekko dłonią po czaszce Debrena.

Zesztywniał z wrażenia.

– Za krótko jak na cięcie nożycami. Ogolili cię? Ale dlaczego tak dawno? Trzy dni temu nie wiedziałam jeszcze...

Nie dokończyła. Wstała. Debren leżał z twarzą w śniegu, dygotał i zastanawiał się, jak dźwignąć się z ziemi, zachowując przy tym resztki godności.

Nie było takiego sposobu. Niezależnie od tego, gdzie skrępowała mu ręce. Może nawet lepiej, że stało się tak, jak się stało. Nie wiedziałby, co robić z rękoma, a używanie ich w wiadomy sposób tylko by go do reszty ośmieszyło. Ostatecznie nie w kościele się poznali.

– Dlaczego to robisz? – uznał, że rzeczowość będzie najlepszą tarczą. – Boisz się mnie?

– Nie. Tylko nie chcę, byś mnie ubił znieczeka. Albo, co gorsza, jakimś czarem obezwładnił. Po starej znajomości, Debren: jak okazję znajdziesz i zdążysz, to lepiej zabij. Ja ci bólu bez potrzeby nie zadam, więc i ty mnie na męki nie skazuj. Zgoda?

– O jakich mękach mówisz? – Tak sobie gadam, na wszelki

wypadek. No, wstawaj, bo ci do ziemi przymarznie i w rodzie dziewczki jeno... – umilkła nagle.

– W rodzie? – powtórzył. Przewrócił się na bok, by spojrzeć jej w twarz. Wcześniej czy później i tak musiała obejrzeć go z przodu, nie było sensu tego przeciągać. To była Lenda. Obca, wroga, odmieniona... ale Lenda. – Ciekawe, skąd to wiesz. Jakoś nie pamiętam, byśmy o swoich krewnych gadali. Odwrócić się na bok było mimo wszystko dużo łatwiej niż wstać. Nie przewidział, że ze związanymi nad tyłkiem rękoma zrobi się taki bezradny. Dżuma i syfilis. Nie było o co zaczepić nogi. A bez zaczepienia nogi nie dało się wstać w sposób godny. Po prostu się nie dało. Rozkład masy w ludzkim ciele nie jest pod tym względem najlepiej pomyślany.

– W ogóle mało gadaliśmy. – Ujęła siekiere za ostrze podpierając się nią, przeszła nad biodrami Debrena. Schyliła się, wolną ręką złapała go pod ramię. Było tego zdecydowanie za mało, bo wciąż wzbraniał się przed wstawaniem mało honorowym, ale, o dziwo, wywindowała go do pionu prawie bez jego pomocy. Cholera. Niedźwiedź nie dziewczka.

– Policzyłam to sobie – ciągnęła. – Jak do „Królika” trafiłeś, po północy było. Potem spałeś do szóstej chyba, ale niech będzie, że i to się liczy. Potem z młodym Suswokiem pospołu kule czarami w drobny mak rozpieprzyliście i ze dwie klepsydry cię nie było, boś u cyrulika na wyjęcie szkła z rzyci czekał. Potem ja ze dwie klepsydry po grodzie ganiałam, szukając ci miejsca na łodzi i tłumacząc się drabom, co w zamtuzie zaszło. Jak wsiadałeś na barkę, to piąta dochodziła.

– Pamiętam – uśmiechnął się mimo woli. – Ruda byłaś od zachodzącego słońca.

Puściła go już dawno, stali teraz twarzą w twarz. Blisko. Ale tak jak wtedy. Teraz też światło miała z tyłu. Księżycowe, zimne. Zbyt słabe, by wedrzeć się pod okap kaptura.

– Teraz mi to nie grozi. – Ucieszył się, że nie widzi

towarzyszącego słowom uśmiechu. – Teraz w słońcu błyszczyć co najwyżej będę.

– Lenda... – Nie wiedział, co powiedzieć.

– Tylko mnie przepraszać nie zaczynaj. Już ci kiedyś powiedziałam: nie urodą na chleb zarabiam. Obejdzie się. Przynajmniej się człowiekowi kudły pod hełmem nie pokażą, a pchły mniej gryzą. Dawno trza było łeb na zero zgolić. A do chronologii wracając... Trzyście klepsydr wypada. W tym dwa wspólne posiłki i dwie bójki. Pierwsza mało istotna, bo świnia jeno poległa. Krótka ta nasza znajomość, nie uważasz? Z całej twarzy widział tylko jej oczy. Odbijał się w nich chłód księżycowej poświaty, i to odbitej od śniegu. Ale zimne nie były. Ani okrutne. Nie patrzyły w dół.

– Zależy jak liczyć – powiedział, wpatrując się w te oczy.

– A jak ty liczysz?

– To już rok i trzy miesiące. Bliżej czterech niż trzech. Tak liczę.

– Idź przodem – mruknęła. – Tamtędy.

Ziemianka miała sześć stóp długości i ze trzy szerokości. Pod ścianą dało się usiąść, ale albo ze zgiętym karkiem, albo na poły leżąc. Otwór wejściowy nie był wiele większy niż w psiej budzie, a na domiar złego do środka wtłoczono dobry łaśzt chrustu, kamieni i gałęzi, o które Debren z miejsca podrapał wszelkie możliwe członki.

Ale warto było. Bo kamienie tworzyły krąg, w kręgu leżały pokruszone na małe kawałki patyki, a po patykach pełzały płomienie.

W ziemiance było ciepło. Śmierdziało dymem z wilgotnego opału, butwiejącym drewnem i onucami. Nad ogniskiem, zatknięte na kije, suszyły się barwione na czerwono cizmy. Jeszcze niedawno były zapewne dość cenne, ale wędrówka po oblodzonych i kamienistych stokach Czarnuchy pozbawiła je

połowy koloru i ćwierci zbyt delikatnego podbicia. Debrena nie zaskoczył widok podrapanych stóp siedzącego przy ogniu siwego mężczyzny. Był tylko trochę zdziwiony zasięgiem krwawych pręg, wdzierających się aż powyżej kostek.

Potem spojrzał wyżej, na twarz grzejącego dłonie starca i przestał się dziwić czemukolwiek. Trzeba choć odrobiny myśli, by wyjąć z dziurawego buta patyk albo kamień, który wciska się między obuwie a stopę i zdziera stopniowo skórę. Oczy mistrza Hanusa były idealnie bezmyślne.

– Usadowiłeś się? – dobiegł zza szczytowej ścianki głos Lendy. – Bo chcę wejść. A nie chcę, by ktoś wylądował w ogniu albo, co gorsza, szalas podpałił. Odsuń się. I kopać nie próbuj.

Krzywiąc się z bólu, Debren przeszedł na kolanach w przeciwległy kąt szalasu i odwrócił się, siadając przy ścianie. Kolana, zadarte aż pod brodę, trzymał razem. Było to równie niewygodne, co żałosne. Ale w istnej powodzi światła, jaką ognisko zalewało wnętrze, nie potrafił zdobyć się na więcej swobody.

– Rozwiąż mnie – rzucił przez zęby w kierunku wciskającego się przez dziurę kaptura. Lenda wpełzła do wnętrza, unikając patrzenia w jego stronę.

– To mała ziemianka. – Udowodniła to, zajmując całą resztę wolnego miejsca. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami tuż obok ognia, ścian i Debrena. Nie dało się inaczej.

– Tym bardziej. I bez tego będzie nam niewygodnie.

– Nie za daleko myślami w przód wybiegasz? – mruknęła, balansując ciałem w przysiadzie i próbując nie wpaść w ogień przy okazji zdejmowania baranicy. – A skąd wiesz, że cię za drzwi nie wyproszę? Panna jestem, a tyś ani brat mój, ani mnich. Hańbą się okryję, jak pod jednym dachem nocować się z tobą zgodzę. Zwłaszcza żeś goły.

– Co ci zrobiłem, że taka wredna jesteś? Pod kosmatą kamizelą bez rękawów miała tylko cieką lnianą koszulę.

Kaptur, krzywo oberżnięty, a raczej oddarty, pochodził zapewne z kaftana świętej pamięci Bamborza. To, co odwinęła z szyi, a co Debren brał dotąd za szal, okazało się parą sukiennych rękawów. Też komuś wydartych.

– O tym właśnie pogadamy – ukłękła, wciąż omijając go wzrokiem. – Hanuś do niczego jest, więc...

Jak chcesz, to ci z tych szmat... hmm... zrobię ci pod... opaskę znaczy. Jeden rękaw zwiąże się wokół brzucha, a drugi pójdzie... eee... dołem. No wiesz, jak u niemowlaka, co w kółko pod się sika.

– Rozwiąż mnie – wycedził. – Sam sobie jakoś poradzę, choć w przewijaniu pieluch wielkiej praktyki nie mam. Rzadko pod siebie sikając.

– O rozwiązywaniu zapomnij. Mówiłam: ziemianka jest mała. Łatwo i skoczyć, i zaskoczyć. A ja cię lekce nie ważę, Debren. Widziałam, do czego jesteś zdolny.

– Nie do bicia się z tobą. Cholera jasna, Lenda, myślałem, żeśmy są...

Poczekala, pozwoliła mu się zastanowić, znaleźć odpowiednie słowo. Ale Debren ani nie szukał, ani tym bardziej nie kwapił się do końca.

– Śmiać się będziesz. – Nadal patrzyła przed siebie, w ogień, nie dając Debrenowi szansy zajrzenia pod kaptur. – Ale ja też myślałam, żeśmy. Takie to u tych durnych bab myślenie. No i wylądowałam w śniegu. Goła, bez jednego włosa na ciele, jak kura oparzona we wrzątku i do nabicia na rożen gotowa. Ale kurą, wbrew pozorom, nie jestem i być nie zamierzam. Nawet gdy taki kucharz jak wielki mistrz Debren się trafi.

– O czym ty właściwie mówisz? – zapytał, ostrożnie przysuwając stopy trochę bliżej ognia.

Najchętniej ukłęknałby nad kręgiem kamieni, by chłonać siną skórą możliwie wiele ciepła w możliwie krótkim czasie. Ale przy niej nie potrafił.

– O zwabieniu mnie tutaj.

– A co to ma wspólnego ze mną?! – Że baby durne są, tośmy już ustalili. – Nadgryzła, a potem rozpruła wzdłuż pierwszy rękaw, uzyskując szeroki na stopę pas sukna. – Ale nie przesadzaj. Dwa do dwóch dodać umiem i to bez wspomagania się palcami. Przyczynę ze skutkiem też jako tako potrafię powiązać.

– Jeszcze jedno ustalmy – rzucił sucho. – Za głupią cię nigdy nie miałem. Nawet teraz, choć ci się w sposób ewidentny w głowie poprzestawiało. Nie tak, jak temu nieszczęśnikowi – zerknął na sztywnego niczym kołek Hanusa – ale pewnie z podobnych powodów. Mózg silnie przy upadku wstrząśnięty częstokroć...

– Są dwie możliwości, Debren – przerwała mu bez szczególnej emocji. – Albo przekonasz mnie, że choć łajdacko intrygowałeś, toś godny minimalnego zaufania, jakim się podwójnych agentów darzy. Albo dalej naiwną dziewicę udawać będziesz. W pierwszym przypadku Hanusa mi zastąpisz, a może i konia, boś od niego silniejszy. Przemkniemy się przez granicę, nim następna noc zapadnie, i tak rozstaniemy, byśmy oboje żywi pozostali. Wolałabym, by tak sprawy się ułożyły. Bo drugi przypadek, wariant dziewicy naiwnej, nie sprawi mi radości. Lubiałam cię kiedyś, ale chyba nie polubię w postaci pieczystego.

Debren na chwilę zapomniał i o zimnie, i o ogniu, i o skrępowaniu. Nogi rozjechały mu się z wrażenia, a prawa pięta wjechała aż w popiół.

– Co?! Oszalałaś?! Pieczystego?!

Mistrz Hanuś, spłoszony podniesionym głosem, zagulgotał, zakrył głowę rękami i wpełzł pod stertę gałęzi. Dopiero teraz Debren zwrócił uwagę na szczupłość jego stroju. Spodnie, równie lekka koszula i wcale nie zimowa tunika z rękawami do łokci. Ubiór równie drogi i elegancki, co niepraktyczny poza domem. Gdyby nie ziemianka i ognisko, starzec już teraz

byłby zapewne martwy.

– Nie, Debren, nie oszalałam. Po prostu po męsku do rzeczy podchodzę, skoro okoliczności, nie bez pomocy paru skurwysynów, zmusiły mnie do wbicia się w portki. Z przyczyn jak poprzednio, chodzić szybko nie mogę, a po prawdzie to prawie w ogóle. Więc nie zdążę do Morvaca w dzień ani nawet w dwa, choć to tuż obok. Muszę jakoś przetrwać te dwa dni. Albo i więcej. Nawet jak Hanusowi całe ubranie zabiorę i gołego do domu pognam, to w tym zimnie nie przeżyję. Ognia za dnia palić nie mogę. Następnej nocy też już nie, bo szukać zaczną rano i nie przestaną, a psy pewnie wezmą. Więc co pozostaje? Dużo jeść i zagrzebać się w śniegu. A co jeść? Ty mi pozostajesz.

– Nie podoba mi się to, co mówisz. – Debren wziął się już w garść. – Kanibalizm mogę zaakceptować. W Marimalu, przykładowo, nawet jak z głodu nie mrą, to ślimaki, żaby i ostrygi żrą. Co kto lubi, wolna wola. Ale żeś z miejsca mnie, a nie Hanusa na pieczeń wybrała, to już grzechem zalatuje. Lenistwa, księżniczko. Starego, łykowatego mięsiwa żuć ci się nie chce, ot co.

– Łajno prawda. – Rozgryzła drugi rękaw, splunęła nićmi, rozdarła. – Jego palcem nie tknę, bo jak i ja ofiarą w tej intrydze jest, nie katem.

– W jakiej intrydze?

– Gadaj tak dalej – prychnęła. – A jak już kończyć będziesz, to nie zapomnij życzyć smacznego. Może dobre słowo sól zastąpi, choć wątpię.

– A udław się, wiedzmo... To ja najpierw karku nadstawiam, żeby się tu w ogóle dostać, potem zamarzam, nocą cię po lesie szukając, a ty mnie zeżreć chcesz? A żeby ci w gardle stanęło!

– Wiedzma?! Ja?! – Odwróciła się w końcu w jego stronę. Cienia pod kapturem było sporo, ale nie tyle, by do końca ukryć dziwaczny widok bezwłosych łuków brwiowych i powiek pozbawionych rzęs. – Uważaj, co mówisz,

uwodzicielu z bożej łaski, bo jak mnie rozwścieczysz, to na każdy posiłek świeże mięso sobie zafunduję! Po kawałku od żywego odkrawać będę! Od jęzora kłamliwego poczynając! Już teraz musiała być wściekła, bo dopiero wykrzyczawszy się, spostrzegła pełne zmieszania spojrzenie Debrena. Szybko odwróciła twarz.

– Lenda...

– Dudkaj się – rzuciła drżącym głosem. – Ty... ty załgany, wszawy, śmierdzący, pogański, zboczony, kłamliwy...

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę. – Nie przyszło mu to łatwo, choć może odrobinę łatwiej, niż rezygnacja z nadrywania połowy mięśni. Mógł jeszcze długo chować się za tarczą przyjacielskiej pogawędki i zadartych do góry kolan. Ale już nie chciał. Trochę dlatego, że ani jedno, ani drugie wiele nie pomagało. Lecz nie tylko dlatego.

– Bo ktoś ci prawdę w te fałszywe ślepie wygarnął?

– Nie. Bo cię widzę.

Powoli, bardzo wolno, kaptur odwrócił się w jego stronę. Debren siedział teraz dużo swobodniej, ze skrzyżowanymi po wezyracku nogami, brudny, pokryty gęsią skórą i lekko uśmiechnięty. Uśmiechnął się nieco szerzej, gdy ich oczy spotkały się ze sobą.

– Ten list, co go do ciebie posłałem... Mało serdecznie mi się udał, wiem. Ale...

– Mało serdecznie? – Chęć ukrycia twarzy w jak najgłębszym cieniu walczyła w niej z potrzebą patrzenia Debrenowi w oczy. Podejrzliwie i nieufnie.

– Chłodno, beznamiętnie. Nie tak, jak chciałem. Odniosłaś zapewne wrażenie, że z nudów piórem po papierze skrobię.

– Kpisz ze mnie? – upewniła się.

– Kpię? – Zostawmy to, Debren – powiedziała, lekko zaciskając zęby. – Twój list to przeszłość. Martwa. Zajmijmy się lepiej tym, co będzie. Ciepło ci? Zaskoczyła go tym pytaniem. Szorstkością głosu – już nie.

– Teraz to ty kpisz – uśmiechnął się boleśnie.

– Myślałam, że czarami się rozgrzewasz.

– Owszem. Tak jak ty koszulą. Albo pijany gorzałką.

– Chcesz powiedzieć: mało skutecznie i nie na długo. – Skinął głową. – To czemu bez niczego po lesie łazisz? – Bo tak jak ty z wrzeciona wypadłem i wszystko, com na sobie miał, na popiół się spaliło.

– Łzesz, Debren. Brwi masz całe, rzęsy... To z próżności, by się nie oszpecić, czy po prostu zapomniałeś? – Ta mikstura, którą cię przed lotem nacierali, wypadochron, tylko na żywą tkankę działa.

Paznokcie grube są i trudnopalne, więc zetknięcie ze ścianką jelita nie szkodzi im zanadto. Ale z owłosieniem jest jak z odzieżą. Dobry wypadochron i w dużej dawce zabezpiecza na dwie, trzy linie od naskórka. Mnie dali dobry. Tobie na jakości lub ilości ktoś pożalował. Co ponad skórę wystawało, spaliło się.

Przyglądała mu się nieufnie i raczej wrogo.

– Nie poparzyło cię? – zapytał cicho.

– A co, pachnę smakowicie? – wykrzywiła nieładnie usta. – Pieczenia? Jak Boszko? – Kto to jest Boszko? Kuchmistrz jakiś sławny? – Nie. Rycerz. Młody, urodziwy i bardzo miły. Twarz mu dziś głazem zmiażdżyłeś. Pewnie nie pamiętasz. Jeden trup więcej, jeden...

– Pamiętam – mruknął.

Milczeli jakiś czas. Lenda patrzyła w ogień, grzała dłoń, trzymając ją blisko płomienia. Hanuś przewrócił się na wznak, chrapnął raz i drugi. Ze stropu, który tylko dzięki obfitej czapie śniegu nie świecił setką dziur, coraz gęściej kapały krople wody.

– To dlatego? – zapytał w końcu Debren. – Przeraziło cię to, co zobaczyłaś, i teraz już mi nie ufasz?

– Wsiadł do tego zasranego wrzeciona, bo ja nim leciałam – powiedziała cicho. – Trzydzieści talarów wydał, by mi

towarzystwa dotrzymać. A wy żywcem go usmażyliście, potem o ziemię grzmotnął i pól kości połamał, na koniec zaś ty przybyłeś i ochoczo twarz mu zmasakrowałeś. To chyba dobry powód, by nieco ufności zatracić? Trzymała dłoń niemal w ogniu, siedziała też blisko. Debren odetchnął w duchu, bo dowodziło to skuteczności wypadochronu. Skórze dziewczyny nic złego się nie stało. Oczywiście pozostawała kwestia łusek, ale to można było odłożyć na później. Najważniejsze, że nie rozmawiał z żywym trupem. Nie mówiło się o tym głośno w firmie, lecz przy okazji paru wypadków odkryto dość ponurą prawidłowość: że nie tyle głębokość poparzeń przesądza o śmierci ofiary, co ich rozległość. Nawet pozornie lekkie uszkodzenia skóry potrafiły zabić, jeśli obejmowały większość ciała. A katastrofy transferowe miały to do siebie, że albo nic złego się z pasażerem nie działo, albo zaczynał płonąć na całej powierzchni ciała równocześnie. Niekiedy trwało to bardzo krótko i po wszystkim ofiara wychodziła z opresji tylko lekko zaróżowiona. Przy wystawieniu takiej poparzonej skóry na mróz mogło to nawet niespecjalnie boleć. Jeśli ktoś był przy tym silny, zdrowy, jeśli walczył o przetrwanie i nawykł do twardego życia...

Na szczęście to nie ten przypadek. Nie usiadłaby tak blisko ognia, gdyby ją bolało coś więcej niż kolano. Dzięki ci, Machrusie. Dzięki za tę kanibalkę.

– Może powiem ci, dlaczego tu jestem – zaproponował beznamiętnie. – Zgoda?

– Czemu nie? – wzruszyła ramionami. – Bajka na dobranoc rzecz dobra. Mów, Debren. Jak elokwencją mnie olśnisz, to kto wie... może i nie skończysz jako okrasa do tej tu kaszy, coś ją taki kawał dźwigał. A skoro o kaszy mowa... Pozwolisz, że się poczęstuję? – Pewnie. Jeśli wolno radą służyć, to podgrzej najpierw.

– Debren, mieczem na życie zarabiam, portki noszę, a teraz i z urody mocno chłopą przypominam, ale możesz mi wierzyć:

jeszcze ociupina babskości we mnie pozostała. Wiem, jak się kaszę do stołu podaje. – Wybacz.

– Wybaczam. – Ostrożnie, uważając na stłuczoną nogę, ustawiła kociołek w żarze. – Nie wyciągniesz pochopnych wniosków, jeśli cię baranicą okryję? Zębami wciąż podzwaniaasz, a to rytm narracji psuje.

– Lenda, przypominam ci, że jestem magunem. W naszym fachu wszystko płazem człowiekowi uchodzi, tylko nie wyciąganie pochopnych wniosków. Nie obawiaj się. Rozumiem, że to dbałość o właściwy stan bydła rzeźnego tobą powoduje, względnie wierzchowca, a nie niewieścia cikliwość.

– Zgadza się. – Ponieważ siedziała bokiem, nie był pewien, czy naprawdę dodała błysk zębów do tych słów. – W ziemiance gorąco nie jest i nie będzie, ale miałabym kłopot, gdybyś mi tu zmarł z wycieńczenia. A znowu trzymać trupa na dworze nie sposób, bo raz dwa się wilcy zlecą. Albo i co gorszego.

– Zrobię, co w mojej mocy, by nie wyzionąć ducha i nie sprawiać ci kłopotu.

– Dzięki. – Posykując lekko i starając się nie zginać za mocno lewej nogi, obróciła się ku Debrenowi. Było ciasno, nic więc dziwnego, że musnęła jego czoło rąbkiem kaptura. Co innego go zaskoczyło. Trochę nerwowym ruchem sięgnęła nie po włochatą baranicę, a po rozprute wzdłuż rękawy.

– Wolałbym... Jeżeli to nie na dodatkowe więzy, to wolałbym sam...

– Ja też – mruknęła. Nie patrzyła w dół, choć teraz, gdy prawie dotykali się nosami, byłoby to dla niej dużo łatwiejsze. Za to ręce operowały nisko, bez śladu wahania. Owinęły talię Debrena pierwszym pasem sukna i zacisnęły mocno węzeł, prawie nie dotykając ciała. – Możesz mi wierzyć.

– Wierzę ci – wymamrotał. Zaciągnął się, jak mógł najgłębiej, odorem jej ubioru. Jego poprzedni użytkownik nie słyszał chyba nigdy o takich wynalazkach jak łaźnia czy mydło

i spocona podczas marszu, a teraz podgrzewana ogniskiem Lenda cuchnęła dość paskudnie. Znali się trzynaście klepsydr z przerwą na sen, nie odpisywała na listy, każde spotkanie zaczynała od deptania mu po karku i grożenia śmiercią, a teraz jeszcze chciała uzupełnić nim jadłospis. Dżuma, syfilis i trąd! To powinno wystarczyć i to z nawiązką! Machrusie, zbawco świata, błagam: zrób coś z tym! Machrus nie zdążył. Za dużo było do zrobienia.

– Debren! – Ani nie podskoczyła z wrażenia, ani ręki nie cofnęła jak najszybciej i jak najdalej, a i okrzyk wypadł dość cicho. Ale skurczu gardła i mięśni było w tym chyba więcej niż braku emocji.

Oczy zrobiły się jej dwa razy większe.

– Przepraszam...

– Jak śmiesz?!

– Przepraszam, Lenda. To...

– Przestań natychmiast! – syknęła. Może z bólu, bo cofając się, dość nieopatrzenie stąpnęła na pokiereszowanej lewej nodze.

– Przepraszam, księżniczko... To... to z zimna. O... odrętwiałem.

– Byś się wstydził!

– A myślisz, że co robię? – stęknął zza kolana, o które oparł czoło. – Jasny gwint, ten cholerny mróz... Krew człowiekowi w żyłach zamarza.

– Świnia – rzuciła z urazą. – I kłamca w dodatku. Pot ci ze łba cieknie. Masz natychmiast przestać, słyszysz? Natych...

Więcej nie usłyszał.

W pierwszej chwili pomyślał, że oślepl. Ciemność była doskonała, najczarniejsza z czarnych. Nieprzenikniona dla rozwartych na całą szerokość oczu, choć te długo odpoczywały chyba od światła, sądząc z suchości pod powiekami.

Potem odnotował, że jest mu ciepło. Zdziwił się takim właśnie spostrzeżeniem. I, na koniec, przypomniał sobie.

Spróbował wstać. Bezskutecznie. Skrzyżowane na piersi ręce, choć pozostawiono im sporo swobody, obwiązane były w nadgarstkach sznurem, który puszczono za plecy. Na prawej kostce też wyczuł sznur.

Pod ciasną cholewą buta.

Leżał na posłaniu z sosnowych i jodłowych gałązek. W butach, spodniach i zapiętej na wszystkie kolki baranicy, z jakąś szmatą na głowie i drugą owiniętą wokół szyi. Nie czując zimna. Przywiązany za nogę do kogoś, kto spał po prawej, posapując cicho przez nos. Ale to nie ten z prawej uniemożliwił mu podźwignięcie się z legowiska. Bardziej przeszkadzał ucisk na lewy bok. Leżało tam coś dużego i miękkiego. Coś, co albo grzało, albo przynajmniej zatrzymywało ciepło uciekające w tę stronę z jego ciała.

Ostrożnie, jeszcze nie do końca przytomny dotknął dłonią tego czegoś.

– Auuuaaa... – Pomruk był mocno stłumiony, raczej senny niż gniewny.

– Lenda? – szepnął. Nie bał się już. Powietrze było gęste, mocno zużyte, z niewielką domieszką dymu. To nie ślepotą. Po prostu dobrze odizolowali się od świata zewnętrznego.

– Ano, Lenda – usłyszał daleki od radości, trochę schrypnięty głos. – Niestety. Przykro mi, że ci zawód sprawiam. Tak błogo przez sen mruczałeś, że ci się pewnikiem dużo miłsze towarzystwo śniło. I zabierz tę rękę, jeśli łaska.

– To twoja noga? – Cofnął dłoń, choć nie od razu.

– Nie bądź taki rycerski – rzuciła nieco opryskliwie. – Onuc nie zdjęłam. Łatwo poznać, co się maca.

– Nie zauważyłem – skłamał. – Za to spodnie, jak czuję, zdjęłaś. – Nie doczekał się żadnego komentarza, więc uśmiechnął się do ciemności. – Dzięki. Ciepłe są. I baranica też.

– Nie szastaj podziękowaniami. – Mówiła cicho, chyba nie unosząc głowy. – Już ci mówiłam, że trup mi tu niepotrzebny. A ty wyglądałeś, jakbyś miał zaraz ducha wyzionąć. Lodowaty się zrobiłeś, a serce ledwo co stukało. – Odczekała chwilę. – Dobrze księża prawią, że od chuci próżnej i grzesznej zemrzeć można.

Nie widział jej, ona nie widziała jego. To znaczy: teraz. Bo przedtem, gdy zemdłał i gdy ubierała go w swoje rzeczy, zdążyła się pewnie napatrzeć. I bardzo dobrze. Mieli to za sobą. Nawet bez spodni, oblepiających biodra miłą szorstkością, potrafiłby już teraz rozmawiać z nią swobodnie. Ale ciemność, co naturalne, do reszty przełamała opory. No i sen. Było nie było, spali ze sobą.

– To twoja wina – wyszczerzył zęby do mroku. – Kazałaś natychmiast przestać, no to przestałem.

Mały czar na spadek ciśnienia krwi. Ciut przedobrzyłem, jak rozumiem? Prychnęła tylko. Po swojemu, przez nos. No i doigrała się. Debren, nie wiadomo czemu uśmiechnięty, słuchał jak pociąga później tym nosem, wyciera go gniewnie wierzchem dłoni. Było bardzo cicho, a on, mimowolnie chyba, podostrzył trochę słuch, więc mógł słyszeć takie dźwięki. Kosztem węchu, ale to mu akurat nie przeszkadzało w tej chwili.

– Oboje się wygłupiliśmy – mruknęła po jakimś czasie. – Ja... no, ja chyba mocniej. Więc nie chwal się, z łaski swojej, tą przygodą.

– Za kogo mnie masz – powiedział z wyrzutem.

– Sama nie wiem. Wrażenie na ogół robisz dobre. Ale Boszko tam, w dole, bez twarzy leży. Z daleka patrzyłam, to i na myśl mi nie przyszło, że to ty go tak... Pomyślałam, że mutanta jakiegoś wściekłego za nami posłali.

– Dlaczego? – zapytał łagodnie, bez nacisku.

– Naprawdę nie wiesz? – Nie wiem.

– A co wiesz? – Nawet jeżeli mu nie wierzyła, to nie złościło

jej już, że kłamie. Może dlatego, że oboje nie całkiem otrząsnęli się ze snu. Że było ciepło, miękko i dobrze, a ciemność odrealniała to, co podsuwała pamięć. – Miałeś powiedzieć, skąd się tu wziąłeś.

Debren, nie spiesząc się, zaczął mówić.

Tym razem przebudzenie powinno być przyjemniejsze. Ale nie było. Powrócił ze świata snu z głębokim, trudnym do wyjaśnienia przekonaniem, że dzieje się coś złego. Uniósł powieki i leżał w bezruchu, próbując wychwycić to coś. Świtało. Przez jakiś maleńki otwór, którego nawet teraz nie potrafił dostrzec, sączyła się do wnętrza ziemianki odrobina szarości. Nie przez drzwi, czy jak tam zwać tę wiązkę przegniłych gałęzi, przetkanych mchem i śniegiem.

Było zimno, choć w nocy czuł i słyszał przez sen, jak Lenda podrzuca chrust do żarzącego się ogniska. Fachowo to robiła, płomienia było tyle co nic, dymu nie za dużo, kolejne porcje zawilgoconego opału schły wokół rozgrzanych kamieni, a w ziemiance dało się spać. Ale nic za darmo.

Dziewczyna wiele tej nocy nie pospała. No i teraz ją zmogło.

Przywarła do jego boku całym ciałem, nawet głowę trzymała przy butach Debrena, choć były to naprawdę solidne buty z grubej skóry i trudno się było przez nie dzielić ciepłem. Pod łokciem czuł jej kolano, to zdrowe, bo leżała teraz na brzuchu. Przykryła się wprawdzie naręczem jodłowych gałęzi, ale gałęzi było za mało i mimo głębokiego półmroku Debren widział wyraźnie, gdzie kończy się szara koszula, a zaczyna białe, pełne udo. Na szczęście Krblik, poprzedni właściciel koszuli, był wysoki i płótno zakrywało całkiem sporo. Dobrze. To znaczy, że mniej marzła.

Dziwna myśl. Nie zdjęła kaptura; jeśliby nie brać pod uwagę koszuli i niegodnych wzmianki onuc, była zapewne naga. Nie takie myśli powinny go nawiedzać rankiem przy boku prawie

nagiej Lendy Branggo. Choćby i zdjęła ten kaptur. Bez włosów na pewno była brzydsza. Ale bez brwi i rzęs już ją oglądał. I tylko za pomocą czaru udało mu się, jak to ujęła, natychmiast przestać. A przecież brwi i rzęsy są ważniejsze. Tworzą oprawę oczu.

Dlaczego martwi go za krótka koszula Lendy? Takie koszule na takich dziewczynach od zarania dziejów rażą nadmierną długością. A ona, dzuma i syfilis, nie jest mu ani matką, ani siostrą.

Najostrożniej, jak umiał, dotknął koniuszkami palców tego, czego mógł sięgnąć. Wolałby, by była to stopa, ale bał się poruszać. Miał pod ręką łydkę, więc niech będzie łydka. Niedaleko stąd do końca ciała. Chociaż, szczerze mówiąc, nie pamiętał, by kiedykolwiek zmarzył akurat w łydki. Nie było to więc raczej idealne miejsce do sprawdzania, czy ktoś wkroczył na prostą drogę ku zapaleniu płuc.

Albo nawet odmrożeniom.

Przeraziło go to, co poczuł. Miękki, pokryty gęsią skórą lód.

– Nic z tego nie będzie – usłyszał jej stłumiony głos. Drgnął, ale palców nie cofnął.

– Obudziłem cię? Wybacz. Masz strasznie zimne nogi.

– W ogóle zimna jestem. – Nie poruszyła się, nie próbowała się odsuwać. – Nie ogrzejesz się przy mnie, Debren. Więc lepiej zabierz tę rękę. Ciepło tylko tracisz bez pożytku.

– Zgadza się, bez pożytku. – Nie zabrał ręki, choć i nie próbował robić niczego więcej poza trzymaniem jej tam, gdzie była. – Źle leżymy, księżniczko. Nie zrozum mnie niewłaściwie, ale powinniśmy trzymać się bliżej. W kupie cieplej jest.

– I weselej, co? – Chyba się uśmiechnęła, choć w sposób wyraźnie wskazujący, iż nie leży w kupie.

– Tam masz Hanusa. Jego obłapiaj, jeśli taka wola.

– On co nieco ma na sobie, a i sadła więcej niż ty. Ale masz

rację. Połóż się między nami.

Hanusowi też tulenie nie zaszkodzi.

– Między dwóch chłopów leżeć? Ze wstydu bym umarła. Nawet u Mamy Dunne mało która dziewczka się na takie coś godziła, choć opłaty słone były.

– Lenda, to nie żarty. Jak rozumiem, chcesz tu jeszcze trochę posiedzieć, a ognia palić już nie zamierzasz. Teraz jeszcze ciepło jest, ale będzie coraz zimniej. W tym, co na sobie masz, południa nie doczekasz.

– Martwi cię to? Wolny będziesz. Do Frycfurdu wrócisz, na ciepłą posadkę.

– Razem możemy do Frycfurdu wrócić – powiedział, patrząc w górę, na oblodzone gałęzie zadaszenia.

Potem czekał. Długo. Na koniec myślał nawet, że zasnęła. Ale nie, nie spała.

– Nie wiem, czy mam ci wierzyć. Ale nawet jeśli tak, jeśli przyjacielem jesteś, a nie wrogiem, to zapamiętaj raz na zawsze: nic więcej poza przyjaźnią nie mogę ci ofiarować. Rozumiesz? Nic więcej.

Teraz ona musiała chwilę poczekać. Krócej. Ostatecznie od dawna wiedział, że usłyszy coś podobnego.

Starął się nie myśleć o tym, fakt, ale ta wiedza przecież w nim była.

– Rozumiem. Nic więcej. Dobrze, Lenda. Dzięki, że sprawę otwarcie stawiasz. Pozwól, że i ja postawię. Jak już się umówiliśmy na przyjaźń, to przestań leżeć głową do drzwi. Wejdzie kto jeszcze i ci rozum rozdepcze. A i pomyśli w dodatku, że do gniazda dupków żołądnych trafił czy innych waletów. Kładź się po ludzku, przyjaciółko. Ja ci krzywdy w wiadomy sposób nie zrobię, a Hanuś już raczej nie da rady.

Parsknęła i uniosła się na łokciach, by rzucić mu gniewne spojrzenie.

– Ty zarozumiała głupku, myślisz, że ze strachu przed twoim przyrodzeniem tak leżę?! Rozejrzyj się lepiej! Bark

w bark we trójkę za cholere się w tej norze nie pomieścimy!
Miała rację. Ale nie całą.

– Jak baba myślisz – posłał jej wyzywający uśmiech. – Wychodzisz z fałszywego założenia, że śpi się jeno na plecach.

– A co płeć ma do... – nie dokończyła. – Psiakrew, nie mów. Wolę nie słyszeć. Bo cię jeszcze w zęby kopnę i drugą nogę sobie popsuję.

– Nie kop. Ta koszula za krótka jest, by przyjaciela w niej kopać. To co, układamy się po nowemu?

– Dudkaj się!

– Nie mam jak. – Westchnął, pomyślał chwilę. – Ognia palić nie będziemy?

– Żeby nas wywęszyli? Ani mi się śni.

– To właż w środek. To, co o zamieszkiwaniu z trupem mówiłaś, ciebie też dotyczy. Jak mi tu zemrzesz, to będę miał problemy.

– Nie zemrę.

– Możesz jak teraz leżeć, psią modą nogi nam wachając, nic mi do tego. Ale w środku. – ty mnie od suk nie wyzywaj, dobrze? Bo wstanę i się rozgrzeję, ucząc cię dobrych manier trzonkiem od siekiery.

– O psach mówiłem, a nie sukach. W przyjaciółach męską jeno naturę zwykłem postrzegać, a że się na przyjaźń umówiliśmy...

– Na nic się nie umawialiśmy! – zawołała rozzłoszczona. – Powiedziałam „Jeśli”. Jeśli nie wrogiem mi jesteś, kłamcą i zdrajcą podłym, to może kiedyś, w najlepszym razie, dojdziemy do przyjaźni. I nigdzie dalej. To „nigdzie dalej” było sensem wypowiedzi, nie zaś przyjaźń. Do zaprzyjaźnienia się ze mną to nawet w połowie drogi nie jesteś, czarokrążco zarozumiały.

– Twój niezrozumiały upór zmusza mnie do postawienia niezręcznego pytania. Na wstępie chcę zaznaczyć, że odpowiedź, jaka by nie była, nic raczej między nami nie

zmieni. Tak sędzę. Bo cię lubię za to, jaka jesteś i co robisz, a nie za to, kto cię płodził i rodził.

– Hę? – Znowu się uniosła, by podejrzliwie zerknąć mu w twarz. Debren doszukał się jeszcze jednej zalety w koszuli Krblika. Choć długa, nie była zanadto obszerna i ślicznie się układała na sterczącej w bok dziewczęcej piersi. Widok trochę bolał, ale był to przyjemny ból.

– Jesteś syreną, Lenda? Półkrwi choćby? Albo po którejś z babek? Liczył się z kopnięciem owiniętą w brudną onucę stopą. Ale zamiast kopać, zastanawiała się. Chyba.

Mimo wszystko było ciemno i przez ten kaptur na głowie właściwie nie widział jej twarzy.

– Nie – powiedziała wreszcie. – Coś jeszcze cię interesuje?

– To nie pusta ciekawość – wyjaśnił. – Są rzeczy, o które pytam, choć nawet w połowie drogi nie jestem. Ale żeby tę drugą, większą połowę przejść, oboje żywi musimy pozostać. Stąd moje zainteresowanie. Gdybyś miała w sobie zimną syrenią krew, nie musiałbym się martwić o to, że nerki sobie przeziębisz i płuca. I dziecko.

– Że co?!

– Nie chciałem tego tematu poruszać, bo wprawianie w zakłopotanie przyjaciela, choćby połowicznego, mnie nie bawi. A ty z zachodniej części świata się wywodzisz, wartości tradycyjne ceniącej, gdzie na pannę już nie to, że z dzieckiem, ale bez wianka choćby, wylewają z lubością nocniki.

– Wiesz o dziecku? – zapytała dość nijakim tonem. – Jakim cudem?

– Piekmoth wspomniał, że z dwóch pasażerek jedna jest przy nadziei. Pierwszą znalazłem i ta nie była. – Przerwał. – To... ten Boszko? To z nim...? – Milczała, przyglądając mu się zza maski cienia.

Powoli, dopiero teraz, cofnął palce z jej łydki. Zdobył się też na uśmiech. – Miłą miał twarz. Nawet jak po ojcu dziecko rysy odziedziczy, nie po tobie, to urodziwe będzie. Więc dbaj

o nie, nie wystawiaj bez potrzeby tyłka na mróz.

– Dzielnie to zniosłeś – powiedziała cicho. Debren uśmiechnął się głupio, nie mając pojęcia, jak skomentować tę uwagę. Na szczęście nie oczekiwała komentarza. Dźwignęła się, ostrożnie używając lewej nogi, poprawiła gałęzie pod ścianą i stanęła okrakiem nad nogami Debrena. – No to się posuń, mądralo.

Ze związanymi rękoma nie było to najłatwiejsze, lecz i tak niemal natychmiast poczuł za plecami obłożoną igliwem ziemię bocznej ściany. Lenda miała rację. Miejsca tu było tyle, co kot napłakał.

– Ale karciany system nadal obowiązuje – zastrzegła się. – Co najwyżej onuce mogę zdjąć. Sama czuję, jak śmierdzą, choć wzrostu mi Bóg nie poskąpił. Ten łajdak, co mu je zabrałam, chyba na chrzciny je dostał, a od chrzcin ani nie zdjął, ani nóg nie umył. Sztywniejsze od kolczugi, psiakrew.

– Boisz się twarzą w twarz leżeć?

– Z czarodziejem, co może hipnozy liznął? Owszem, boję się.

– Zapomniałaś jeszcze o jednym. Gardło ci mogę przegryźć. Z magikiem nigdy nie wiadomo, czy gęby sobie czarami nie rozszerzy i zębów nie podostrzy.

– Z ust mi wyjąłeś. A o czarokrążcach toś mi jedną mądrą rzecz jeszcze w Yijuce powiedział. Że ich przyjaźń bardziej się od nieprzyjaźni opląca. Łeb w łeb to byśmy musieli na boku leżeć, a ja tak długo nie potrafię. Obracać bym się musiała co chwilę, a ty ze mną, o Hanusie nie mówiąc. Kołowacizny byś dostał, snu nie zaznał, a mnie znienawidził.

Debren skinął głową i ułożył się pod ścianą.

– Ta baranica luźna jest – powiedział, nie patrząc na Lendę.

– Wetknij stopy do środka. Jak się rozgrzeją, to i mnie cieplej będzie.

– Kpisz sobie? – zapytała stłumionym głosem.

– Przez kozuch mniej będzie czuć onuce – stwierdził

z lekkim przekąsem.

– Mówiłam, że mogę zdjąć, jak ci przesz...

– Dżuma i syfilis, Lenda, z burdelu tu trafiłaś! Nie kryguj się jak dziewica zakonna! Przeżyć mamy, babo durna! A do tego tyle ciepła, ile się da, każde z nas musi w sobie utrzymać! Więc nie pieprz mi tu o zdejmowaniu czegokolwiek, pchaj nogi pod baranicę i zamknij się! Przez gębę kłapiącą bezmyślnie też ciepło ucieka! A ja pospać jeszcze zamierzam! Tak jak przypuszczał, mimo onuc, mocno zresztą dziurawych, stopy miała lodowato zimne. Były też duże. Ale zmieściły się. Ani Debrenowi ani Lendzie nie było z tym najwygodniej, ale nie narzekali.

Ziemianka stygła i każda odrobina ciepła warta była daleko większych niewygód.

Pomógł sobie magią i zasnął.

Obudził się na siedząco. Siedział dzięki temu, że Lenda klęczała naprzeciwko, trzymając go jedną dłonią za kark, a przebudzenie zawdzięczał drugiej dłoni, którą – fakt, że dość delikatnie – klepała go po policzkach.

– Machrusie, ależ mnie nastraszyłeś... W życiu z tobą więcej spać nie pójdę.

– Co się stało? – zamrugnął szorstkimi od snu powiekami.

– Myślałam, że pomór na was jakiś padł. Dobudzić się, psiakrew, nie mogę jednego z drugim. Bez urazy, Debren, ale czy aby matki twojej niedźwiedź nie dopadł? Tak z dziewięć miesięcy przed tym, jak na świat przyszedłeś? Bo sen masz, że daj Boże każdemu. A może to od tych onuc?

– Od czarów. – Było dużo jaśniej niż poprzednio, więc posłał pierwszy tego dnia uśmiech nie plamie pod kapturem, a trochę złej i trochę wystraszonej dziewczęcej twarzy. Nie, poprawka: teraz już niewieściej.

Na szczęście zmarł. To dokuczało bardziej niż uczucie

straty.

– Z Hanusem źle chyba jest. Dziwnie jakoś oddycha i obudzić się nie daje.

Debren obrócił się, zerknął na zagrzebaną w igliwiu postać.

– Jak chcesz, bym go zbadał, to mi ręce musisz rozwiązać. Chociaż jedną.

– Aha. A ty mnie uraczysz tym, co Dunne i Ksemi.

– Gangarinem? Jeszcze czego. Po tym prawie każdy rzyga jak po baryłce piwa. Wielkie dzięki. Bez urazy, ale już teraz cuchnie tu jak w koziej zagrodzie.

– Nie wierzę ci.

– Bo katar masz. Nos aż ci napuchł.

– Nie gap się na mój nos, jeno na tego dziadka! A nie wierzę w twoje obiecanki. W smród owszem. Aż takiego kataru to nie mam.

– Słuchaj, Lenda, gangarinem, gdybym chciał, to już dawno cię mogłem uraczyć. I leżącej łeb z karku skopać.

– Akurat.

– Ratować cię przyszedłem, a nie zdradziecko napadać. Co prawda nie wiedziałem, że to ty akurat ową syreną jesteś, ale...

– Każdy tak gadać może. A dowodów brak. Umiesz to udowodnić? – He? Że niby... Poważnie mówisz? Cofnęła się pod szczytową ściankę, przykłęka przy wejściu, podniosła siekiere. Debren przyglądał się jej z niedowierzaniem. Chociaż, prawdę mówiąc, głównie nogom. Było na co patrzeć; takiego bogactwa niewieścich nóg w życiu nie widział.

– Umówmy się tak: ty mnie zaatakujesz tym swoim gangarinem, czy jak mu tam, ale lekko. I zostaniesz, gdzie jesteś. A ja ci nic nie zrobię. Chyba że łeb z karku skopywać zaczniesz. Tego elementu test prawdomówności nie obejmuje.

– Zgłupiałaś? Mam cię do mdłości doprowadzić? W ciąży jesteś, to się jeszcze zdążysz bez pomocy magii narzygać.

– Łajno cię moje mdłości obchodzą. Czaruj.

– Kasza się zmarnuje, co się nią częstowałaś.

– Dawno było i mało. I dalej poszło, psiakrew. Czuję, że z tej twojej kaszy jeszcze kłopoty będą, ale mniejsza z tym. Żołądek mam pusty. Czaruj. Chyba że na jelita też ten twój gangarin działa. W takim przypadku próbę będzie trzeba odłożyć.

– Niewiastą jesteś...

– Nie kręć, dobrze? To nie zakłęcie na podnoszenie wiadomo czego, tylko na rzyganie. A to niewiasta nie gorzej od chłopca potrafi. Lepiej nawet, bo bez chlania. Wystarczy, że brzucha się dorobi. A ty, jak powiesz teraz, że na baby ten twój czar nie działa, to się dorobisz guza.

– Chodziło mi o to, że to bojowa magia. A ja z kobietami nie walczę. W ogóle staram się...

– Dunne to powiedz. A co do walczenia, to lepiej zacznij. Bo liczę do dziesięciu, a potem ci przyłożę. Nie po babsku, na to nie licz. Licz się raczej z nakryciem się nogami i utratą paru zębów.

– Lenda, w życiu nie słyszałem równie...

– Jeden, dwa, trzy.

– A jak dziecku coś się...? – ...cztery, pięć...

Dżuma i syfilis. Nie żartowała. A Hanuś naprawdę źle wyglądał. Więc trudno. Niech i tak będzie.

Odwrócił się i wyartykułował zakłęcie. Lekkie. Bał się, że przedobrzy, ale bał się niepotrzebnie.

Był tak słaby, że równie dobrze mógłby się obawiać, iż mało delikatną obsługą uszkodzi taran.

To pewnie z braku sił Lenda skwitowała czar pogardliwym uśmiechem.

– Osiem. Pospiesz się, magiku, bo ci guza na łbie wyczaruję. Dziewięć.

A niech tam. Sama się o to prosiła.

– Dzie...

Nie dokończyła. Zamiast tego złapała się oburącz za brzuch. Nie tam, gdzie był żołądek. Niżej. O cholera... – Lenda?! Nic ci nie jest?! Na szczęście było w miarę jasno i widział jej twarz. Była zdziwiona, może trochę zaniepokojona. Ale ani bólu, ani przerażenia kobiety tracącej dziecko w jej rysach nie znalazł. Bo i niby czemu? Gangarin to gangarin, bije po błędniku.

No dobrze. Ale ona pochodziła z konserwatywnego Zachodu, była panną i mogła zapatrywać się na kwestię poronienia nie całkiem tak, jak większość przyszłych matek.

– Jak to zrobiłeś? – zamrugła bezrzęsyimi powiekami.

– Mdli cię? Połóż się. I oddychaj głęboko. A jak musisz, to...

– Mdli? To miał być ten czar na mdłości? Nie rozumiał. I bał się coraz bardziej.

– Boli cię tam? Kto... który to miesiąc? Przyglądała mu się coraz bardziej podejrzliwie. Siekierę oparła o udo, chyba po to, by przyciskać dłonie do podołka, ale wcale nie wyglądała przez to mniej groźnie. Sytuacja tak, ale nie ona.

Debren w nagłym przebłysku intuicji zdał sobie sprawę, że boi się zupełnie nie tego, czego należy się naprawdę bać. Pewności jednak nie miał.

– Debren, umowa była jasna – powiedziała ostrzegawczym głosem. – Miało mi się w głowie zakręcić i to dobrze. Tak, żebym wiedziała, że na łaskę twoją cały czas zdana byłam, a tyś z tego nie skorzystał, boś przyjaźnie usposobiony. Tak sobie dowód uczciwych intencji wyobrażam. Grzaniem mi tyłka i jego antypodów nic nie zyskasz, choć to owszem, przyjemne.

– Grzaniem ci... O czym ty gadasz?!

– Dobrze wiesz.

– Nie, dzuma i syfilis, w ogóle nie wiem, a nie tylko dobrze! W tyłek ci cieplej? To czemu za żywot się trzymasz?

– Dobrze wiesz.

– Łajno wiem – sapnął. – Dość tego, panienko. Niech ci będzie, że syreną nie jesteś. Ale coś cholernie dziwnego

w tobie siedzi, teraz już pewien jestem. Tak na gangarina nie tylko człowiek żaden, ale i zwierz nie reaguje. Kto ty jesteś, Lenda? Rusalka zmutowana? Nimfa? Dlaczego Olryk cię widział łuską obrośniętą i to dokładnie tam, gdzie się teraz trzymasz? – Bo ze strachu zgłupiał – warknęła. – A i gapił się, główniarz bezwstydnym, na to, co odsłonięte pozostało. Skończmy tę zabawę, Debren. Dobrze wiesz, co to za łuska i skąd się wzięła.

– W uszach też ją masz?! Ile razy powtarzać muszę, że nic nie wiem?!

– Kłamca obesrany! Nic a nic ci nie wierzę! I ani przez chwilę nie wierzyłam! Myślisz, że do ciebie, do twojego zakichanego Frycfurdu leciałam?! Łajno! Na twój koszt, gadzie podstępny, ale nie do ciebie! Trafiła się darmocho, to świata kawałek zobaczyć chciałam! Świata, pało łysa, i a nie twojej fałszywej gęby!

– Na mój koszt? – zdziwił się Debren.

– A żebyś wiedział! – rzuciła ze złością. I odwróciła wzrok. Nie dość szybko jednak, dzięki czemu zdążył zauważyć pierwsze oznaki zakłopotania.

Na pół pacierza w ziemiance zalegało ciężkie milczenie. Stać było niewygodnie, więc klęczeli naprzeciw siebie.

– Jak rozumiem – Debren odezwał się pierwszy – ukrywamy się tu. Więc może nie krzyczmy na siebie. – Skinęła głową, nie patrząc w jego stronę. – Właśnie się dowiedziałem, że wiem mniej, niż mi się wydawało, że wiem. Chociaż wiedziałem, że wiem niewiele. Nadążasz?

– Naiwna może jestem, ale nie umysłowo ociążała. O ten koszt pytasz? – Teraz Debren skinął głową.

– Twoich rodziców na te ćwierć setki talarów naciągnęłam.

– Co?

– Pstro. Nie gap się tak. Mógłby ktoś pomyśleć, że z nas dwojga to ja większa przechera jestem. Jakbyś nie nałgał w liście, tobym od nich srebra nie brała. Sameś sobie winien.

– Nałgał? W liście? O jakim liście mówisz, jeśli wolno spytać? – A ile ich do mnie słałeś, żeś rachubę zatracił? – warknęła.

Debren zmieszał się trochę. – No... faktycznie, jeden aby. Ale nie wiem, w którym to niby miejscu tak się z prawdą minąłem.

– W tym o kochaniu chociażby.

– O czym?

– I o pieniądzach, coś je niby na mą podróż przelał. Założę się, że w Yijuce ani o owych talarach słyszeli, oszucie jeden.

– Na... podróż? – I nie we Frycfurdzie na mnie czekałeś z pieniędzmi dużymi, a tutaj, w Belnicy, z bandą lubieżnych zbirów i głazem do miażdżenia ludziom głów. Więc nie wytykaj mi tych paru groszy, fortelem od twych rodziców zdobytych. Gdybyś uczciwe zamiary miał, tobym nie musiała łgać nikomu w żywe oczy.

– Lenda – powiedział cicho. – Ktoś tu najwyraźniej rozum postradał. Bo całkiem nie wiem, o czym mówisz.

Sapnęła raz i drugi. Potem dźwignęła się, krzywiąc z bólu twarz.

– Odwróć się. No już, plecami do mnie. Miała siekierę w ręku.

– Debren! Mutantka. Takie, jak ona, zwykle na stosach kończą. Te szczęściem większym obdarzone. Ale jej nikt rozsądny z dymem nie puści. Łuska na biodrach, odporność na katastrofy wrzecion, zdolność przebijania czarodziejów – jaki Bamborz był, taki był, ale WZ musiał mieć nie byle jakie – tępym kołkiem. I czort wie co jeszcze. Nie, nie pali się takich. Zbyt cenna była. Pod nóż pójdzie.

Czort z jej oczami. To nie szaleństwo, więc nie miał czego szukać w jej oczach. Wiedziała, co robi.

Pewnie nie pierwszy raz to robiła. Za ładna na to była, pewnie już wcześniej niejeden musiał szczęścia próbować.

Dżuma i syfilis. Nie ma co myśleć, sytuacja jest do bólu klarowna.

Odwrócił się, odbił nagle obunóż i z bliska, prawie z palcami w jej brzuchu, posłał zakłęcie.

Najmocniejsze, na jakie go było stać. Po czym zderzył się plecami z piersią Lendy i wylądował w popiele ogniska. Ogłuszony, na pół ślepy od czarnych płatów, wirujących przed oczyma. Odnotował jeszcze trzask łamanych gałęzi i podmuch zimna, ale potem na dłuższy czas stracił kontakt z otaczającym go światem.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Pacierz? Kwadrans? Klepsydrę? Siedział w całkiem już wystygłym popiele jeszcze jakiś czas, a potem uniósł się chwiejnie i na kolanach ruszył śladem Lendy. Bo w ziemiance Lendy nie było. Najpierw pomyślał, że to impet czaru wyrzucił ją na zewnątrz razem z wiązką gałęzi służącą za drzwi, ale to był oczywiście poroniony pomysł. Przez otwór jak w psiej budzie nie da się wypaść.

I rzeczywiście: na dworze widać było, że pomogła magii przy wylatywaniu z ziemianki. Dziwne odciski rąk, nóg i przede wszystkim tułowia były i z lewej, i z prawej, i nawet na frontowej ścianie zagrzebanego w gruncie domku. Wyglądało to trochę tak, jakby dziewczyną ciskało na wszystkie strony niczym kością po kubku od gry.

No proszę, a więc jednak! Błądźnik. Nic, tylko przebił się gangarinem przez tę budzącą grozę barierę i sięgnął tam, gdzie mierzył. Nic dziwnego, że tak się miotła. Po dobrze rzuconym gangarinie coś takiego jak kierunki, góra, dół czy równowaga to całkiem martwe pojęcia. Tylko dlaczego po ziemiance tak nią nie miotła? Teraz musiał ją znaleźć. Jak najszybciej. Człowiek po takiej dawce turlałby się i przez pół dnia, ale ona chyba nie całkiem jest człowiekiem.

Mutantka. Dżuma i syfilis, gdzieś ty miał oczy, kretynie? Podniósł się i rozejrzał. Wczoraj to ona prowadziła,

przynaglając do pośpiechu poszturchiwaniem i każąc patrzeć pod nogi, więc wiele nie zapamiętał. A to, co zapamiętał, było już nieaktualne. Bo w nocy spadł śnieg.

Nie było go dużo, może na palec lub dwa, lecz zmienił wszystko. Był wilgotny, więc oblepiał to, na co spłynął miliardami grubych, ciężkich płatków, a całkowity bezruch powietrza jeszcze potęgował ten efekt. Cały świat wyglądał jak obsypany mąką; nawet wśród pni drzew trudno się było dopatrzeć czerni i brązów. Tam, gdzie wczoraj połyskiwały pasma lodu i ubitego wiatrem, podtopionego słońcem śniegu – leżał puch. Na skałach, skarpach, wykrotach i samotnych kamieniach – leżał puch. Na gałęziach, pniach, paprociach, badyłach, wiechciach trawy, na mchu i plackach gołej ziemi – wszędzie leżał świeży, idealnie biały puch.

Także na ziemiance i wejściu do niej. Oraz na ścieżce, którą tu wczoraj przywędrowali, najpierw Lenda z Hanusem, a potem on.

Lenda leżała za ścieżką, w zaspie. Ze trzy piętra niżej. Dość daleko, bo stok był nie taki znowu stromy i w poziomie przeleciała więcej niż z góry na dół, ale Debren nie miał problemów z jej odszukaniem. Na tym draństwie, przy mało jaskrawym oświetleniu, każdy odcisk stopy był widoczny z pół mili. A ona nie na stopach przemierzyła ten pas stromizny.

Sądząc po szerokości wyoranego w śniegu pasa, trochę się turlała, trochę ślizgała na tyłku i koziołkowała, bijąc na wszystkie strony wszystkimi możliwymi kończynami. Cholera. To nie wyglądało dobrze. Po drodze było parę kamieni, jakieś kikuty pni... Dżuma i syfilis. I ten lód pod spodem. To południowy stok, najniebezpieczniejszy. Rozmarza i zamarza na przemian; jedno złe stąpienie i można pomknąć w dół jak wrzeczono po pasie portniskowym. Jeśli choć raz obróciło ją głową w dół...

Usiadł na krawędzi urwiska, potem położył się, a potem zaczął zjeżdżać, klnąc w duchu swą głupotę.

Powinien iść dookoła, jak w nocy. A raczej: w ogóle nie powinien chodzić. Nie tam. Stacja znajdowała się na wschodzie, w tamtą stronę należało iść. Jak najszybciej. Bo ktoś tak odporny na czary równie dobrze może się okazać odporny na łamanie karku. A po tym, co jej zafundował, nie ma co liczyć na litościwy cios w potylicę.

Debren, jesteś głupi. Oto cała prawda.

Dzięki butom i rzadkim w tym roku odwilżom zjechał na ścieżkę nie za bardzo szybko i nie za bardzo poturbowany. Wstał i przedzierając się przez jakieś kolczaste pnącza, zauważył zagrzebaną w śniegu siekiere. Cudnie.

Głupia smarkula. Nie mogła poszukać jakiegoś noża w resztkach tego, co zostało ze stacji? Siekiery jej się, kretynce, zachciało. Przedał się przez zaspę i zamarł z wrażenia.

Już na samym końcu urwiska zleciał jej kaptur i leżała teraz z oblepioną śniegiem gładką, pozbawioną jednego choćby włosa czaszką. To nic, właśnie tak ją sobie z grubsza wyobrażał. Skóra na czubku głowy pękła i trochę krwi utworzyło w połączeniu ze śniegiem różową papkę. Też nic, już nie krwawiła. Lewe kolano wyglądało paskudnie, ale tego siniaka i opuchliznę miała już przedtem, a krew pochodziła ze zdartych strupów. Rozerwany rękaw, bok koszuli i chyba cały tył? Mała strata, i tak ścierka to, a nie ubranie, zaś pręgi pod rozdarciami nie krwawiły. Ale to pośrodku...

Na prawym biodrze koszula zawinęła się wysoko i Debren doczekał się spełnienia jednego ze swych cichych marzeń. Zajrzał Lendzie Branggo pod kieckę.

Stał, nie czując zimna, i patrzył. Próbował zrozumieć i nie próbował zapamiętywać. Ale nie zrozumiał i zapamiętał. Wiedział, że na całe życie.

Uklęknął obok dziewczyny i trzymając w dłoni ostrze siekiery, zaczął pocierać nim o linkę łączącą poprzez plecy oba nadgarstki. Zanosilo się na długie tarcie. Żeleźce miało nie

taki jak trzeba kształt i było tępe, a trzonek, długi i ciężki, przeszkadzał tylko, męczył dłoń. W dodatku baranica była głęboko wcięta pod pachami i każde nie całkiem idealne pociągnięcie kaleczyło delikatną w tym miejscu skórę. Całkiem idealne pociągnięcia udawały mu się z grubsza raz na pięć razy.

Kiedy ręka zaczęła omdlewać, a pierwsze strużki krwi wsiąkły w spodnie, zrobił sobie przerwę.

Przyłożył ucho do piersi Lendy, słuchał bicia serca. Chyba dobrze. Jakieś dwadzieścia uderzeń na pacierz, regularnych. Czy mocnych – nie był pewien. Tego, co wypełniało koszulę, było więcej, niż sądził. Istna syrena ze starej mapy Yensuallego. Nic dziwnego, że Olryk nie łuskom się przyglądał.

– Tylko mi nie umrzyj, słyszysz? Nie słyszała. Leżała z zamkniętymi powiekami, dziwaczna, bezwłosa, nieruchoma. Brzydsza niż kiedykolwiek. Podrapana, pooblepiana śniegiem i strzępami suchych traw. Cudza. Z cudzym dzieckiem tam, pod tym czymś, czego obraz wciąż miał przed oczami, choć skwapliwie omijał wzrokiem wszystko od pasa w dół. Za duża, za silna, subtelna jak topór bojowy i uwodzicielska jak dziesiętnik przed szeregiem rekrutów. Trzeba by na głowę upaść...

Tym razem zdołał się powstrzymać. Schylił się; używając kości policzkowych, czoła i nosa zaczął obmacywać kawałek po kawałku czaszkę Lendy. Szukał pęknięć. Nie znalazł. To dobrze, ale to o niczym nie świadczy. Tam, wewnątrz, mózg mógł pływać we krwi. Była duża, miała mocne kości. To, że jej czaszka była cała, niczego dowodzić nie mogło.

Pomyślał, że może nigdy się nie obudzi.

Dopiero wtedy ją pocałował. W ostatniej chwili próbował trafić w policzek, ale nawet na tyle nie było go stać, więc zetknęli się ustami.

Podniósł się. Czuł się... dziwnie. Nie potrafił określić, na

czym to polega.

Potem popatrzył na sosnowy zagajnik i pomyślał z żalem, że pewnie nigdy się tego nie dowie. Zza przykrytych białymi czapami choinek wysunęły się nieforemne, bure czapy idących przez las ludzi.

Dwóch mężczyzn wyszło z zagajnika. Poruszali się powoli, ostrożnie, i przez cały czas zerkali na boki, więc prawie od razu dostrzegli i wyłobione w świeżym śniegu ślady, i Debrena, przycupniętego na ich końcu. To, czy zauważyli na pół zakopaną w zaspie dziewczynę, nie było do końca pewne.

Dookoła rosło sporo wysokich traw, jakieś drobne krzaczki... Nadzieja była niewielka, ale była, więc Debren poderwał się natychmiast, przeskoczył nad Lendą i szybkim krokiem ruszył tamtym naprzeciw.

Siekierę niósł pod pachą. Przemknęło mu przez myśl, by puścić ją dyskretnie i pójść na spotkanie bez broni, ale chyba za późno o tym pomyślał. Raczej widzieli, że klęcząc trzymał jakiś kij.

Pozbycie się go mogli uznać albo za podstęp, albo, co gorsza, za oznakę tchórzostwa. Broń rzuca słabszy. Ze słabszym się nie pertraktuje. Z nim tak czy tak pertraktować pewnie nie zechcą, lecz póki istniał choć cień szansy, należało się go chwycić. Ten z tyłu zrobił dwa kroki w bok, chcąc wyrzeć zza ramienia wyższego i grubszego towarzysza. Dopiero wtedy Debren zrozumiał, dlaczego w sposobie poruszania się tego pierwszego było coś dziwnego. Obaj mężczyźni mieli przewieszane przez plecy jakieś kije, które uznał za drzewca oszczepów, ale to nie pasek z bronią podtrzymywał ten z przodu. Uniesiona na wysokość barku, wbita w rękawicę dłoń wielkości bochenka asekurowała spory drąg, którego drugi koniec dźwigał na ramieniu towarzysza dryblas. Z drąga zwisał, przywiązany za nogi, spory koziołek.

Debren zwolnił. Dałby wiele za trzecie oko w obwiązanej rozprutym rękawem potylicy i szansę sprawdzenia, co widać

z tyłu. Wybór całej taktyki od tego zależał. Nie, cholera, nie taktyki – strategii. Czuł, był właściwie pewny, że na szali zawieszono nie sukces lub porażkę w jakiejś drugorzędnej potyczce, ale całe życie. Być może uciekłby tym dwóm. Ucieczka była najlepiej rokującym ze sposobów wygrzebania się z tej pułapki. Ale uciekać mógł tylko mając pewność, że nie zauważą Lendy. Bo gdyby zamiast za nim pobiegli w jej stronę...

Nie. Za duże ryzyko, nawet z trzecim okiem. Szedł z przyklepionym do ust, drętym uśmiechem i z całych sił tarł sznur ostrzem siekiery. Drzewce kolebało się jak maszt sztormującego okrętu, w dodatku maszt mocno poluzowany, ale nie było na to rady. Mając wolne ręce, mógłby pokusić się i o skuteczne czary, i o skuteczne straszenie. Z dłońmi uwięzionymi pod pachami był skazany na rolę ofiary.

– Pochwalony Machrus Wybawiciel – rzucił półgłosem ten duży. Musiał być smolarzem, bo cały jego ubiór połyskiwał tłustymi, czarnymi plamami, a w krótkiej brodzie spora część włosów posklejała się w sztywne, grube strąki. Oczy, małe, ukryte w fałdach przekrwionych powiek, biegały nerwowo na boki, szukały, węszyły. Robił to samo, co Debren: sprawdzał, czy obcych jest więcej, czy las nie wypluje nagle gromady zbrojnych, czających się gdzieś wśród ośnieżonych zarośli.

– Pochwalony. Witajcie, dobrzy ludzie. – Debren zatrzymał się, uznawszy, że dalszy marsz Lendzie nie pomoże, a jemu już tylko zaszkodzi. – Dokąd ta droga prowadzi?

– Tu nijakiej drogi nie ma – zauważył z lekkim zdziwieniem ten z tyłu. Nie wyglądał na wioskowego mędrca, choć ze wsi niewątpliwie pochodził. Podobnie jak wysoki smolarz odziany był w mnóstwo łąt naszytych na wyświechtane portki, z których pierwotnej warstwy niewiele już zostało, w workowatą kurtkę, też mocno połataną, i ogromne łapcie zamiast butów. Debren nie zdziwił się, widząc że dolne końce przewieszonych przez plecy kijów są

równie gołe jak górne. Za grot oszczepu można było kupić ze trzy komplety takich nędznych łańców.

Nie wiedział, czy powinno go to cieszyć, czy martwić.

– Ładny koziołek. – Mówił głośno, nie tylko dlatego, że dzieliło ich kilkanaście kroków.

Podniesiony głos kojarzono z pewnością siebie, siłą i władzą.

– Jaki koziołek? – zapytał dużo ciszej smolarz. Debren przekonał się, że wcale nie trzeba pokrzykiwać, ubierać się w kuny i pobrzękiwać rycerskim rynsztunkiem, by zdrowo kogoś nastraszyć.

– Widzisz tu jakiego kozła, Mućko?

– Toć na drągu niesiem – zdziwił się chłop.

– Ciężki ten drąg, choć pusty – popisał się lepszym refleksem Debren. Wciąż tarł siekierą o bok, choć trochę mniej energicznie. Teraz, gdy stał, trudno byłoby wytłumaczyć sobie dziwaczny taniec trzonka. – Męczycie się pewnie, stojąc tak tu i dźwigając go bez pożytku. Nie zatrzymuję więc. Idźcie swoją drogą, nim wam ramiona omdleją.

Używał tonu na poły niefrasobliwego, na poły ostrzegawczego. Człek bywały zrozumiałby, w czym rzecz, ale co do obycia tych tutaj istniały spore wątpliwości.

– A mówiłem, by na miejscu wypatroszyć – oświadczył gderliwie Mućko, mniejszy, chudszy i zapewne gorzej znoszący taszczenie zwierzyny po wertepach. – Iście ręki nie czuję.

– No to odpocznijmy chwilkę – mruknął smolarz i zręcznie pozbył się ciężaru, kładąc kozła na śniegu. Już nie myszkował wzrokiem po okolicy. Światowcem raczej nie był, ale znał i górskie lasy, i panujące w nich zwyczaje. Wiedział, czego się bać, wędrując bezdrożem z martwym, ale nie zakrwawionym zwierzem, z którego szyi wciąż zwisała drucziana pętla. Znał taktykę gajowych i rozumiał już chyba, że ktoś taki jak Debren zupełnie do owej taktyki nie przystaje. – Nie

zaszkodzi. Pogwarzyć też nie zaszkodzi. A wam się spieszy?

– Mnie? Nie, nie spieszy się – odparł zgodnie z prawdą magun. Koncentrował się, gromadząc energię do czarowania, tarł ostrzem więzy i szukał argumentów. Gra na zwłokę bardzo mu odpowiadała.

– Nie? To dziwne. Goli pod tą baranicą jesteście, trzęsie wami, aż ten trzonek niczym psi chwost lata... Głowę bym dał, że przemarzliście i do domu wam spieszo.

– Pozory mylą, panie smolarz.

– Znasz mnie? – dryblas zmrużył i bez tego wąskie oczy. Debren westchnął w duchu z rezygnacją. Ten też do okolicznych mędrców nie należał. Był za to po chłopsku chytry, chytrą nieskomplikowaną jak dębowa pała i, mimo owej prostoty, w wielu sytuacjach równie jak pała skuteczną. Niedobrze. Z amatorami prostych rozwiązań zazwyczaj trudniej się dogadać.

– A niby skąd? – wzruszył niedbale ramionami. – Obcy tu jestem. A i do twarzy nie mam pamięci. Dziesięć razy człowieka spotkam, a jeszcze przy jedenastym nie poznaję. Aż wstyd czasami.

– Ale smolarzem mnie nazwałś – powiedział z ponurą miną wysoki. – A tu w okolicy smolarni mało.

Księżę pan wszędy parków narodowych naustanawiał, kurdesz. Przyrodę chroni, by ta księstwa przed Moravcem chroniła.

– Z ekologami same utrapienia dla porządnego rzemieślnika – stwierdził z udawanym współczuciem Debren. W tej chwili nie miałby nic przeciw temu, by na belnickim tronie zasiadał ekolog ekstremista, który w obronie lasów powywieszałby wszystkich smolarzy i kazał wystrzelać z kusz wszystkich kłusowników, nim w ogóle wejdą między drzewa.

– Założę się, że nie kochacie za to swego władcy.

– A o co się założysz? – podchwycił chytrze smolarz. – Co tam pod pachą chowasz? – Nic – rzucił chłodno Debren. –

Dłonie grzeję.

– A ten trzonek to od siekiery może?

– Może.

– Rad bym obejrzyć. – Dryblas, drapiąc się w kroku, powoli ruszył w jego stronę. – W tym fachu, miarkujecie, człek interesuje się wszelkimi narzędziami w lesie użytecznymi.

Ten drugi, gapowaty, wciąż stał obok kozła. Ale nie tylko dlatego Debren podjął decyzję, by się nie cofać. Jeżeli już miało dojść do starcia, to oczywiście lepiej będzie mieć przeciwników w dwóch różnych miejscach, przede wszystkim jednak trzeba było się postarać, by do tego starcia nie doszło.

A cofając się, nikt nigdy nie zniechęcił napastnika.

Mimo wszystko nie była to łatwa decyzja. Bok spływał krwią pod baranicą, ostrze zdawało się zgrzytać o żebra. Bolało jak diabli, mimo lekkiej blokady, ale też lada chwila powinien puścić ten cholerny sznur. Cofając się, miałby trochę więcej czasu, a to mogło przesądzić o życiu.

– Zostańcie tam, gdzie stoicie, panie smolarz – powiedział głośno i oschle. – A jeszcze lepiej weźcie wasz pusty drąg i idźcie do domu. Tak dla wszystkich lepiej będzie.

Ręka dryblasa była już wyżej, przy pasie i pochwie noża. W myśl pierwotnych planów tak zapewne miało pozostać, ale teraz smolarzowi zaświtało, że stylisko siekiery jest dłuższe od klingi jego noża, a jej właściciel nie bardzo naiwny. Smolarz zatrzymał się, zawahał.

– Patrzaj! – zawołał nagle podniecony Mućko. – Po portkach krew mu cieknie! Ranny być musi! Debrena zemdliło, bardziej z poczucia beznadziejności niż z bólu czy osłabienia. Teoretycznie wciąż mógł negocjować. Ale w tych łachmanach, z wyglądem co najwyżej średnio zamożnego chłopca, szansę miał niewielkie. Dostatnio odzianych brano często w niewolę z nadzieją na okup, choć i bogaci marnie zwykle kończyli, gdy zamiast w ręce zawodowych zbójów albo maruderów wpadli w zgrubiałe od sochy i wideł chamskie

łapy Wieśniacy byli amatorami, nie mieli wyobraźni ani praktyki, więc zadowalali się z reguły tym, co zdarli z trupa. Co świątlejsi mogliby wpaść na pomysł, że kupiec, szlachcic czy rzemieślnik może być wart dla rodziny więcej niż to, co nosi na grzbiecie, ale nawet oni nie snuliby dalekosiężnych planów związanych z osobą golca bez koszuli, pasa i sakiewki.

Smolarz zostawił nóż w spokoju, sięgnął wyżej i ściągnął z pleców długą na pięć stóp pałkę. Może i nie miała grotu, za to ciężarem dorównywała oszczepowi, nawet dobrze okutemu. Była grubsza niż trzonek siekiery Debrena i na pewno groźna w mocnych dłoniach. Nawet niekoniecznie sprawnych.

– Nic to – rzucił radośnie smolarz. – Krew się spierze Dawaj tu z pałą, Mućko. Osaczym go z dwóch stron.

Mućko był zbyt głupi, by nie posłuchać. Na to, by zdjąć kij z pleców, wprawdzie nie wpadł, ale za to z psią gorliwością podbiegł do kompana.

– Mógłbym wam ewentualnie oddać kozuch – zaproponował Debren.

– Jak wszystko na ziemi złożysz i się cofniesz, to cię wolno puścimy – wysunął kontrpropozycję duży.

– Na koło przysięgniesz? – zapytał Debren. Tylko po to, by zyskać na czasie, bo brodata gęba aż kapiała prostacką chytrnością i chęcią oszukania.

– Z domu nie wzięłem, a ty, widzę, nie nosisz.

– A ja mam – pochwalił się Mućko. – Z chałupy bez znaku świętego nie wychodzę, odkąd nam wilkołak, ścierwo, najmłodszą razem z kołyską porwał. Jak chceta, pożyczyć mogę. A za to buty wezmę, dobrze?

– Cicho, jełopie! W dupę se to koło wetknij – rozzłościł się zbity z pantalą smolarz. – Nie będziemy do byle czego znaku świętego mieszać. Moje ci słowo musi wystarczyć, cudaku bez koszuli, a jak nie, to i lepiej. Rad parę ciosów na tobie przećwiczyć. Tu ludzi mało i sami swojacy, rzadko się okazja trafia, by kogoś pałą zdzielić. No i człek sztuki

samoobrony zapomina.

– To bronić się będziem? – zdziwił się nieprzyjemnie Mućko. – To może lepiej chwyćmy kozła i w krzaki? He?

– Zdejmuj pałę, durna pało, i od boku go zachodź. Że też mnie los takim durnym szwagrem pokarał... To co, cudaku? Rozbierasz się po dobroci? Debren był nadal związany, więc nie miał wyboru. Wątpił też, by tłumaczenie, dlaczego z propozycji nie korzysta, przyniosło cokolwiek dobrego. Trzymali się wciąż jeszcze z daleka tylko dlatego, że nie zauważyli sznura na plecach i nadgarstkach.

– Nie chcę cię straszyć, wiejski ćwoku – oznajmił pełnym wyższości tonem. – Bo nie przemyślałem jeszcze sprawy twoich portek. Może je sobie wezmę, więc lepiej niech nie będą niczym zapaskudzone. Ale widzę, że czas nadszedł, by się przedstawić. Czarodziejem jestem, kmiotki. Niech was ten strój nie zmyli.

– A gdzie masz czapę wielgachną i płaszcz do ziemi, w granatowe gwiazdy? – zainteresował się Mućko.

– To sto lat temu z mody wyszło, prostaku.

– Tak? A jakżem był w Belnicy na jarmarku, to żem widział nadwornego czarnoksiężnika jaśnie pana w takim akuratnie stroju.

– Nie moja wina, że na zadupiu żyjecie.

– Toć w Belnicy, nie tu! W grodzie stołecznym!

– Całe to księstwko to zadupie, krzywymi dechami zabite – szarżował Debren. Nie miał już nic do stracenia.

– No nie – rzucił przez zęby smolarz. – Teraz to żeś mnie w partjojotyzm ugodził. Mój dziadek nie po to legł, Rodę forsując pod sztandarem starego księcia, by sobie teraz jakiś gnojek gębę Belnicą wycierał. Jużeś trup, przybłędo.

– Gdzie Roda płynie, a gdzie Belnica stoi, chامية niedouczony? Twój dziadek ryby sobą nakarmił, bo pod agresorem służył, w cudze się granice pchającym. Bacz, byś i ty jego losu nie powtórzył.

– Że jak? – nie zrozumiał smolarz.

– Zatlukę – wyjaśnił Debren. – Podejdź trochę bliżej, a tak ci przypieprzę, że rodzoną matkę za utratę cnoty przeklniesz.

Smolarz, z pałką wysuniętą do przodu, zachodził go niespiesznie od lewej. Po łuku na razie, nie skracając dystansu. Okazało się, że nie musi.

– Tam cosik leży! – zawołał nagle Mućko. – Tam, skąd przyszedł! Worek pewnie z dobytkiem! Hura!

Geniuszem może nie był, ale hierarchię wartości miał prawidłową. Najpierw zysk, a potem ewentualnie rozrywki, zwłaszcza tak wątpliwe, jak okładanie ludzi drągami. W innych okolicznościach Debren tylko by mu przyklasnął. Ale to nie był worek.

– Wróć, Mućko! – zawołał władcym tonem. Chłop, wystraszony, zatrzymał się po przebiegnięciu paru sążni. – Zabiję, jak który tam polezie! Nie od razu uświadomił sobie, że popełnił błąd. Należało krzyczeć, nie spuszczać wzroku ze smolarza. A przede wszystkim nie ustawiać się do niego bokiem.

– On jest związany? – Smolarz nie był pewien, czy dobrze widzi, ale zło już się dokonało. Debren odwrócił się szybko pierśią w jego stronę. Gdyby nie ten gamoń z tyłu... Ba, gdyby. Ale był tam.

– Ostatnią szansę wam daję – rzucił z mieszaniną wściekłości i rozpacz. – Bierzcie kozła i won stąd.

– Mućko? Ma sznury? Dobrze widziałem?

– Ma!

Smolarz na nic więcej nie czekał. Poderwał pałkę nad głowę, jak cep, i pognął prosto na Debrena.

Nie było szansy na unik. No, może na pierwszy. Ale Debren nawet nie pomyślał o tym pierwszym. Unik ma sens, gdy poprzedza kontratak albo ucieczkę. Odraczenie tą metodą śmierci o jedno czy dwa uderzenia serca to nie sposób na ratowanie Lendy.

Był tylko jeden taki sposób. Być może był. Debren nie miał pewności. Trzonek siekiery to ani ręka, ani tym bardziej różdżka. Mógł w ogóle nie przenieść czaru. Albo rozproszyć. Albo zdeformować w nie wiadomo co. Sam czar też mógł nie wyjść.

Cóż, nie miał wyboru.

Odczekał do samego końca. Smolarz, wykrzywiony od nadmiaru adrenaliny, był tuż. Dopiero wtedy Debren spuścił moc ze smyczy.

Chciał odskoczyć, lecz trudno to było nazwać skokiem. Coś, na pewno nie obuch siekiery, uderzyło go w bok i pachę, szarpnęło ramieniem, cisnęło w śnieg, zerwało nadwyprężony sznur. Miał wrażenie, że jakiś smok okrutnik wydrążył mu dziurę w klatce piersiowej, a potem zionął ogniem do środka. Fala gorąca dotarła aż do paznokci stóp, zjeżyła włosy, załopotowała spodniami.

Ale warto było. Smolarz stanął w płomieniach. Cały. Od przeżartych mazią łapci poczynając, a na upaprannej smołą czapce kończąc. Wył i palił się, palił się i wył. Był silny, więc zdołał odbiec kilkanaście kroków, paść na oklejone śniegiem choinki, przetoczyć się raz i drugi. Płomienia jednak nie zdusił, nie zdążył. Nie miał szans. Za dużo smoły i żywicy, zbyt wiele ognia w zbyt wielu miejscach od razu, za mało śniegu. No i magia. Chyba wszystko, co Debren puścił w trzonek, przeszło bez strat aż do końca i zmieniło się w mgiełkę białego ognia. A było tego dużo.

Udało mu się usiąść, lecz na tym poprzestał. Za dużo mocy poszło w ogień, praktycznie wszystko, co zmagazynował. Serce wpadło w łopot, w głowie wirowało. Źle wymierzył, cholera, przedobrzył jak żółtodziób. A ta siekiera... Szlag by ją trafił, sukę podstępna. Niejedna różdżka daje większy opór, na jednostkę przekroju ma się rozumieć.

To była najgorzej rozegrana walka jego życia. Byłaby ostatnią. Gdyby Mućko miał trzecie oko z tyłu i stalowe

nerwy. Dysponując tym pierwszym mógłby odnotować, że magun, choć uwolniony z więzów, przewraca się to na lewy, to na prawy łokieć, nie mogąc skoordynować współpracy wszystkich kończyn.

A tyłu Debren potrzebował, by choć podjąć próbę pozbierania się z ziemi. Stalowe nerwy byłyby potrzebne do wmówienia sobie, że w grę nie wchodzi podstępna sztuczka czarodzieja, do powrotu i poradzenia sobie z przeciwnikiem za pomocą jednej ręki. Druga nie byłaby Mućkowi potrzebna.

Na szczęście Mućko miał pod powiekami obraz płonącego szwagra i pomknął w las z szybkością dostępną tylko najdroższym chartom.

Debren odetchnął z ulgą. Padł twarzą w śnieg i leżał, czekając, aż serce przestanie miotać się po piersi i zacznie po prostu stukać, choćby i szybko. Nie usłyszał kroków. Zorientował się, że coś jest nie tak, dopiero gdy ujrzał nad sobą szare niebo. Coś odwróciło go na plecy. Nie, nie coś.

Ktoś.

– Siekierę mi zniszczyłeś – stwierdziła trochę bardziej chmurna od zimowego nieba dziewczyna.

– Lenda – uśmiechnął się słabo.

– Nic ci nie jest, prawda? – Chyba nie była tego pewna. Gdyby była, toby nie biegła. A raczej biegła, bo dopiero teraz, z widocznym pośpiechem, wciągała na bezwłosą głowę pełen śniegu kaptur. – Debren?

– Żyjesz – powiedział. Skrzywiła się, sięgnęła dłonią pod kaptur, wygarnęła sporo bieli.

Wykrzywiła się jeszcze mocniej i uklękła na prawym kolanie. Lewą nogę, wyprostowaną, pozostawiła z boku. Może dlatego wsparła dłoń o pierś Debrena. Trudno wytrzymać w takiej pozycji używając samych nóg.

– Co to miało znaczyć? – rzuciła przez zęby.

– Nie ja zacząłem. To kłusownicy. Zabiliby nas. Kłusownictwo gardłem karzą, a ja ich widziałem.

– Nie o nich mówię. Pytam, co ze mną zrobiłeś.

No tak. On zdążył zapomnieć, ale z punktu widzenia Lendy przed chwilą próbowali się nawzajem pozabijać.

– Nie wiem – stwierdził dziwnie niedbale. – To miał być gangarin. Ale wyszło cholera wie co. Nie chcesz się przyznać, że mutantka jesteś, to nie, bez łaski. Pytaniami cię nękał nie będę. Tylko proszę: nie rób ze mnie głupka. Pozory szlag trafił. Taka z ciebie normalna dziewczka, jak ze mnie smok trzygłowy.

– Nie o tym mówię – powiedziała cicho.

– A o czym? – Robiłeś coś z moją głową? Debren usiadł. Był jeszcze słaby, ale w tej słabości dała się także wyczuć jakaś dziwna lekkość.

Przeżyli. Oboje. To pewnie dlatego. Jeszcze nigdy ulga nie smakowała tak słodko. Ciekawe.

– Bałem się o ciebie – wyjaśnił. – Patrzyłem, czy się gdzieś nie połamiałaś.

– W zęby zagładałeś? – przesunęła sobie kciukiem po wargach. Zrozumiał. Zdziwił się trochę, ale strachu zostało mu w zapasie tyle co i sił. Więc zrobił to, czego nie miałby odwagi zrobić jeszcze parę pacierzy temu. Odpowiedział.

– A, to... Nie, tu to cię całowałem.

Nie była wtedy całkiem nieprzytomna, skoro coś zapamiętała, ale też do pełnej świadomości dużo jej musiało brakować. Inaczej jej niebieskie oczy nie zrobiłyby się teraz o tyle większe.

– Coś zrobił?! – Cofnęła rękę z jego piersi i od razu nią zakolebało. Debren, konsekwentnie zuchwały, złapał ją nad łokciem, przytrzymał. – Zgłupiałeś?!

– Właśnie.

– Zboczony chyba jesteś. – Przyglądała mu się z niedowierzaniem.

– Zaraz tam zboczony... Suswok, ten to dopiero miłość niekonwencjonalnie uprawiał.

– Debren... – zawahała się, lecz tylko na moment. – Ja jak

potwór wyglądam.

– Zaraz tam potwór... Coś z niego w sobie masz, nie przeczę, ale nie wygląd. Choć nie będę cię okłamywał: jakeśmy się poznawali, to ładniejsza byłaś. Tyle że tak zawsze było, jest i chyba już będzie. Niewiasta z wiekiem nie pięknieje, a brzydnie. No i co z tego? Stare żony też się niektórym mężom ślicznymi widzą.

– A już zaczynałam ci wierzyć – powiedziała z wyrzutem. – W co ty grasz, krętaczu zaszran? Że zabić mnie nie chcesz, to widać – zerknęła na wciąż płonące zwłoki smolarza. – Więc co? Za żywą tylko płacą? Czy może jak kot myszą się bawisz?

– Lenda, pomyśl chwilę, nim co powiesz. W połowie drogi jestem do fotela zastępcy teleportniczego. Wiesz, ile taki zastępca rocznie wyciąga? A za ciebie, bez urazy, więcej jak parę talarów nikt nie zapłaci. Bo kto ty jesteś? Żołnierka najemna, wykidajło w marnym zamtuzie, a nawet jak następczyni Mamy Dunne, to i co z tego? Choćbyś i mocno komuś za skórę zalazła, to wielkiej nagrody za ciebie nie da, boś prostytutka, a prawo zabrania złotem za banitów plebejuszy płacić. I w ogóle nagród wygórowanych wyznaczać. – Za zbója Yenoszczyka wór srebra obiecują, wagą zbójowi równy. Bo Yenoszczyk bardziej wywrotowiec jest, niżli uczciwy zbój, i przeciw systemowi feudalnemu pyskuje. Polityczny to więc przestępca, a tych całkiem inaczej traktują. Nie wspomnę, że to mężczyzna, bo do reszty w kompleksy popadniesz.

– Dudkaj się – warknęła i wstała.

Debren posiedział jakiś czas. Patrzył, jak dziewczyna, kuśtykając mocniej niż przedtem, obchodzi pobojuwisko, podnosi siekiere, całą czarną, okopconą i z trzonkiem na tyle nadżartym przez ogień, że żeleźce jeździ po nim z końca na koniec. Przyglądał się, jak za pomocą ostrza zręcznie zdziera skórę z koziołka i wykrawa płat mięsa z obnażonego udźca. Świadomie omijała go wzrokiem, no i spieszyła się. Oblepiona

śniegiem koszula raz po raz kleiła się do ciała; musiało jej być bardzo zimno, ale zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na niedostatki swego stroju. Póki nie zgubiła onucy.

Usiadła, by ją ponownie zawinąć, i dopiero wtedy zahaczyła gniewnym spojrzeniem o Debrena. Coś drgnęło nagle w jej twarzy.

– Bożycu... Cały bok masz we krwi. – Zaczęła się podnosić.

– Głupstwo – powstrzymał ją gestem i sam dźwignął się na nogi. – Trochę się podrapałem, tnąc więzy. Już nie cieknie.

– Rozciąłabym – powiedziała z lekkim wyrzutem. – Tam, w ziemiance, jak mnie czarem ugodziłeś, chciałam właśnie... Myślałeś, że w łeb cię siekierą palnę? To dlatego? Uśmiechnął się krzywo, kiwnął głową.

– Same nieszczęścia z tego braku ufności. Mało się nie pozabijaliśmy. A tobie – wskazał ślady Mućka – buty i kapota uciekły. Jak byś mnie nie wiązała, tobym i palić nikogo żywcem nie musiał, i ubrań mielibyśmy trzy razy tyle co teraz.

– Dwa – poprawiła, zaciskając supeł na brudnej, a teraz jeszcze całkiem rozmięklej od wilgoci szmacie. – Hanusowego stroju nie policzyłeś. Wstała, pomagając sobie nadpalonym trzonkiem. Podeszła do dopalających się, skwierczących własnym tłuszczem zwłok smolarza. I lekko zmroziła Debrena, rzucając płat sarniny w największy ogień.

– Co? – błysnęła wilczym uśmiechem. – Zaszokowany? Sztuką kucharską mistrzyni Branggo czy rachunkami?

– Rachunkami – powiedział po namyśle. – Mimo wszystko. Zabilibyśmy Hanusa, zabierając mu ubranie. To stary człowiek.

– Nie widziałeś, co ten stary człowiek z młodymi zrobił, wrzecionem lecącym. Raz dwa nas rozsypało, ale zdążyłam się naoglądać. Dziewczyńce, co przede mną siedziały, oczy się wytopiły. Ot tak – pstryknęła palcami. – Patrzę, a ona leci, wyje, a po policzkach cieknie jakaś skwiercząca galareta.

– Myślę, że on o niczym nie wiedział – mruknął Debren. –

To Bamborz w jakieś konszachty z Belniczanami wszedł. Hanuś to mistrz magii, nie byle klepacz zaklęć. Nie przyrznąłby wrzecionem w dach własnej pracowni, gdyby was z premedytacją zabić próbował. Nie darmo go mianowali stacyjnym.

Lenda, posługując się trzonkiem, wyciągnęła z ognia nóż smolarza. Wepchnęła go w śnieg, by ostygł.

– Nie darmo – zgodziła się, spluwając. – Taki stacyjny duże pieniądze bierze. Za to, by pasażerom włos z głowy nie spadł. A mnie spadły wszystkie, nie tylko z głowy. Ćwierć setki talarów zapłaciłam, mój dwuletni zarobek u Dunne. A co za to kupiłam, to widzisz. Ludzie na mój widok rzygać będą i dzieci pokraką straszyć. Więc nie oczekuj ode mnie, że dla tego dziada ubranie zostawię i w jednej koszuli uciekać będę. Zwłaszcza ty nie oczekuj. Bo to obdarte ze śniegu zbocze – wskazała ciągnące się aż do ziemianki ślady – to twoja robota. Chciałam przeczekać w ukryciu. Pod ziemią, nawet we trójkę, jakoś byśmy przebiedowali. Ale teraz muszę iść, bo tego tropu i ślepy nie przegapi. Wybór zaś mam prosty: albo zamarznę w drodze, albo Hanusowi ubiór zabiorę. Pomsty nie szukam i nie podoba mi się to, ale z nas dwojga on więcej tu zawinił. Gdyby robił dobrze, co do niego należy...

– Aż Hanusem co?

Przewróciła plaster sarniny na drugą stronę. Spod czerni i płomieni zaczynały już wyglądać żółtawe żebra trupa. Debren starał się nie patrzeć na coś, co było do niedawna twarzą smolarza.

– Rozsądek nakazywałby zabrać go ze sobą. Goły nie goły, na parę klepsydr zastąpiłby chorą nogę. A jako potworzyca, krwi cieplej mogłabym się jeszcze napić, gdy już padnie.

– Można jeszcze skórę zedrzeć i bieliznę sobie zrobić – odpowiedział Debren. – Znam te wojackie bajania. Ale nie o teorię sztuki przetrwania cię pytam, jeno o praktykę twoich planów. Co chcesz zrobić?

Nie od razu odpowiedziała.

– Doszedłbyś goły do stacji? – zapytała, przesuwając kotlet z brzucha ku udom. Przepalone jelita pękały, a to co się z nich wydobywało, głównie pod postacią pary, mogło mocno popsuć smak. Mimo wszystko żadne z nich nie odsunęło się od zwłok ani o pół palca. Lenda stanęła nawet okrakiem nad mniej otłuszczonej piersią, wpuszczając pod koszulę tyle ciepła, ile się dało. Była sina, przemoczona i aż szorstka od gęsiej skórki. Debren grzał dłonie i ani myślał jej potępić.

– Z Hanusem? – Skinęła potakująco. – Bez problemu. To blisko. Gdybyś nie kluczyła, myśląc ślady... Chcesz, bym go odprowadził? Puścisz nas żywych?

– Jak dasz słowo, że więcej za mną chodzić nie będziesz.

– Jesteś po babsku niekonsekwentna. – Rozpiął baranicę. – Przecież ani trochę mi nie wierzysz. Zastrany łgarz jestem.

– Dudkaj się.

Zdjął baranicę, zerknął pod pachę, na poharatany bok, a potem zniechęta okrył kożuszką ramiona Lendy. Nie uchyliła się. Miała w twarzy niepewność, trochę gniewu, trochę kpiny i – gdzieś bardzo głęboko w oczach – smutek.

– Zamiast słowa – mruknął, nagle zakłopotany.

– Co znaczy: zamiast słowa? – Starła się mówić szorstko, lecz nie do końca jej wyszło. – Chyba nie zrozumiałeś.

– Zrozumiałem, księżniczko. Nie chwając się, do inteligentnych należę. A że prostotę sobie cenię, to ci to w najprostszymi słowami wyłożę. Otóż nie mogę przyrzec ci, że się od ciebie raz na zawsze odczepię. Nie na tym etapie. Bobym skłamać musiał. Może kiedyś. Wiem... Myślę, że zmutowana jesteś, wiem, że cudze dziecko nosisz. Ale męża przy tobie nie widzę. A jak zobaczę, to mu w mordę dam za to, co ci pod spódnicą dźwigać kazał. – Lenda pociemniała aż po dekolt, ale udało jej się nie zmienić wyrazu twarzy. – Za te blachy rdzą nadżerane i za ciasne, za uda poharatane, odleżyny i wiecznie jątrzące się rany. Rozumiem, że serce nie

sługa i że możesz na zabój kochać bydlaka, co się tak z niewiastami obchodzi. Może nawet za takowe obchodzenie się właśnie, w myśl zasady: „Leje i pilnuje, znaczy się miłuje”. Bywa, nic na to nie poradzę. Ale póki tego miłowania tysięcy razy na własne oczy nie zobaczę, niczego ci obiecywać nie będę.

– Miłowanie? Tysiąc razy? O czym ty bredzisz? Chcesz mi może pod pierzyną siedzieć i podglądać, jak się chędożę? Po stu razach by ci się znudziło.

– Nie bądź wulgarna, Lenda.

– Wulgarność mam w naturze – uśmiechnęła się krzywo. – Widzisz? Na trupie sobie befsztyk smażę. To szczyt prostactwa, chyba przyznasz. Więc zabieraj się, pókim dobra, i wynoś stąd. Nie po drodze zastępcy teleportniczego z taką grubianką.

– W tym problem, że właśnie po drodze. Sama mili nie przejdiesz.

– Co cię cudza baba obchodzi?

– Jeżeli to rycerza Boszka sobą uszczęśliwiłaś, to już cudza nie jesteś.

– Trudno naszą znajomość szczęśliwą nazwać – stwierdziła oschle. – Zginął przeze mnie.

– Ale... to on? Jego potomka nosisz? – Lenda zacisnęła usta. – Nie chcesz, to nie mów. Ja tam swoje wiem. Widziałem, jaki kawał go wlokłaś, choć trup już był. To zamięłowanie do podróżowania w blachach też mi się z czymś mocno kojarzy. Chciał solidarność z lubą zademonstrować, co? Szkoda tylko, że na goliznę pancierza nie założył, mądrala.

– Debren – powiedziała przez zęby – ci, co mi bez pytania pod kieckę zaglądały, cholernie źle na tym wychodzą. Paru ziemię gryzie, inni jeno chleb dobrze rozmoczony, bo nie mają czym gryźć. A mniej podle od ciebie szczęścia próbowali, uczciwiej. Czy to na chama, czy to kąpiącą się podglądając... A ty...

– Palcem cię nie tknąłem, jak tam leżałaś. Nie moja wina, że ta koszula taka krótka.

– Ja się na ciebie nie gapiłam, jak golizną świeciłeś. Choć prostaczka jestem, a nie taki jak ty rycerz szlachetny. Cały strop w tej cholernej ziemiance na pamięć znam.

– Zauważyłem – przyznał. – I dziękuję. Ale rycerz nie jestem, refleksu wojackiego nie mam, a i do widoku żon tak okrutnie traktowanych nie przywykłem, bo się wśród panów baronów nie obracam. Więc chcąc nie chcąc, zatrzymałem wzrok na chwilę. – Milczał jakiś czas. Oboje milczeli, nie patrząc na siebie. – Zabiję skurwysyna, co ci to wykuł. Nigdy nikogo nie szukałem, by zabić; wiesz, że mieczem się brzydzę... Ale dla niego zrobię wyjątek. – Splunął. – A Boszko... Ożenił się chociaż?

– Nic nie rozumiesz.

– Rozumiem, księżniczko, aż za dobrze rozumiem. Gładysz był, ten twój Boszko. Taki ani się żenić nie musi, ani płacić, ani nawet wiele obiecywać. Nie dziwię się, że ci w głowie zawrócił. To jego robota, co, Lenda? Schyliła się, podniosła nóż. Poszła po kozią skórę, wróciła do ognia, stanęła w szerokim rozkroku, by grzbietu nie nadwerężyć. Szybko, sprawnie i mało finezyjnie zaczęła ciąć futro na duże płyty i wąskie, za to długie rzemienie.

– Na buty? – upewnił się Debren. – To znaczy... mogę z tobą iść?

– Nic takiego nie powiedziałam. Skąd ten pomysł?

– Bo gdybyś sama miała wędrować przez góry, to te byś wzięła – uniósł nogę.

– Te są za ciasne – powiedziała znacznie ciszej.

– Żartujesz... Nic a nic nie cisną.

– Debren, sama wiem, że kobiecości mam w sobie tyle co tamten pniak. Nie musisz mi dodatkowo stóp wielkości czółen wytykać. Bo cię naprawdę za jakiegoś perwersa uznam. Normalny chłop toby już dawno ze zgrozą w oczach ode mnie

uciekł.

– Czekaaj, za wąsko tniesz. – Przykucnął na skórze, wyjął jej nóż z nie stawiającej oporu dłoni. – Szewc to cię chyba nie spłodził. Stań prosto. Do kolan skroję, dobrze?

– Sama bym sobie poradziła.

– Ale gryząc usta z bólu. A szkoda takich ust. Oszczędzaj resztki urody.

– Świnia.

– Nie powiesz mi, przed kim i dlaczego tak uciekasz? Zważ, że zdrajca i oszust jestem. I tak wiem; tylko udaję, że tu w interesach Teleporthanzy przybył. A tak to się sytuacja wyklaruje.

– Dopuszczam myśl, że możesz prawdę mówić. W Vijuce zrobiłeś na mnie wrażenie dobrodusznego głupka i poczciwca. A jeśli podstępna gadziną nie jesteś, to lepiej, byś nie wiedział. Mniej wiesz, dłużej żyjesz.

– Pewien admirał mi to samo całkiem niedawno powiedział.

– Mądry człowiek. Nie dziwota, że go admirałem zrobili.

– Parę klepsydr później już admirałem nie był. Z braku podwładnych. A wiesz, co ich pozabijało? Niedobór wiedzy. Daj drugą nogę.

– No, nieźle. Gdyby twoja matka taką miłą niewiastą nie była, to rzekłabym, że ją nocami jakiś szewc odwiedzał. Auuu.

– To nie z zemsty – wyjaśnił, opuszczając dłoń poniżej ogromnego sińca na lewym kolanie Lendy. – Sprawdzam, gdzie podwiązać, by najmniej bolało.

– Nie pieść się ze mną, nie z takimi ranami w bój chodziłam. A z tą wiedzą, Debren, to nie całkiem tak. Mówiłeś, że ten Hersel... jakiś tam obiecał ci awans, jak zrobisz, co w twojej mocy. Mogłeś uznać, że mocy ci starczy na pójście do oberży i chłanie na koszt firmy przez trzy dni. Zamiast tego, choć cię to mierziło, Boszkowi twarz gładem zmasakrowałeś, a potem omal nie zamarzłeś, szukając nas

nocą. Dlaczego? Bo wiesz, że prawdę z człeka zawsze da się wyciągnąć. Wcale nie torturami. Wystarczy wykrywacz kłamstw.

– To jedna strona medalu. A druga jest taka, że wiedząc, kto jest wrogiem, można go albo pokonać, albo unikać. Zaś co do wykrywaczy kłamstw, to drogo biorą i żadnych gwarancji nie dają. Żaden sąd ich ekspertyzy jako dowodu nie dopuści. Kata zeznanie dopuszczając bez problemu. A i zwykli ludzie konserwatywni są, wolą oprawcę do rozwiania wątpliwości nająć zamiast takiego czytacza myślowego.

Więc jeśli wrogów masz, a dla mnie trochę przyjaźni, to powiedz. Bo złapią mnie, zakatują, a ja nie będę nawet wiedział za co. Tu może być zawiązane?

– A nie zjedzie? Na Belniczan uważaj.

– Nie zjedzie. Łydka krągła jest jak się patrzy, zatrzyma. Na wszystkich Belniczan?

– Gruba, chciałeś rzec. Rzemienie obwijaj na nodze, a nie słowa w bawełnę. Owszem, na wszystkich. W paranoję nie popadniesz, bez obawy. To księstwko ludne nie jest, a i ludzie rzadko stąd w świat jeżdżą. Jak tu nie będziesz wracać, to nic ci się złego nie powinno stać. Tylko się ode mnie odczep.

– Wszystko o tobie powiedzieć można, ale nie, że grubego coś masz. No, może słownictwo. Czym się tak tubylcom naraziłaś?

– A tego ci już nie powiem. Dzięki za... hmm... buty. Mogę cię na pożegnanie pieczeńią poczęstować, chcesz?

– Wsadź sobie tę pieczeń, wiesz gdzie. Idę z tobą.

– O jednym zapomniałeś, mądralo. Twoja kariera, tak świetnie się zapowiadająca, w ziemiance leży i obudzić się nie chce. Jeśli zamierzasz do fortuny dojść, to Hanusem się zajmij. Ja cię oficjalnie z obowiązków wobec pasażera zwalnię. Kłopotów twojej firmie robić nie zamierzam, pies was trącał. Wracaj do stacji, sprzątnij trupy i zrób co się da, by

wizerunek Hanzy ratować. Jak się dobrze spiszesz, wielka przyszłość przed tobą.

Podniósł się, popatrzył jej w oczy.

– Nie przejdziesz bez pomocy.

– Może tak, może nie; różnie może być. A z tobą nie ma albo-albo. Jak się w durnego rycerzyka zechcesz bawić i za mną poleziesz, to cię z Teleporthanzy wyrzucą. A druga taka okazja już ci się w życiu nie trafi. Pomyśl o swoich przyszłych dzieciach i nie rób im takiego świństwa.

Nie potrafił odpowiedzieć. Miała świętą i całkowitą rację.

Lenda ściągnęła mięso z dogasających zwłok; drąc zębami na pół surowe włókna, zaczęła zbierać dobytek. Kij smolarza, skrawki kozłej skóry, nóż, ostrze siekiery. Nie przerywając zucia, wskazała Debrenowi spodnie. Potem odwróciła się, by nie patrzeć. Wiedziała, że pod spodem nic nie ma, rozprute rękawy służyły mu za szal i chustę na głowę.

– Odprowadzę go i dogonię cię – powiedział bez przekonania. Zdjął buty, ściągnął spodnie. Lenda pokiwała kapturem, że tak, oczywiście. Na pewno była głodna, ale nagle uświadomił sobie, że być może nie tylko dlatego rzuciła się tak łapczywie na pieczeń.

Zerwał szal i chustę, wepchnął do buta. Położył wszystko razem na śniegu. Potem odwrócił się i pobiegł ku skarpie. Najszybciej jak mógł. Nie czuł zimna. Wolałby czuć, ale nie czuł.

Za łagodnie pochylonym gołoborzem stok załamywał się gwałtownie, opadał w dół. Niewysoka skarpa wyglądała jednak paskudnie, była prawie pionowa i oblodzona, a u podnóża zasłana piargami.

Debrenowi mocno waliło serce, kiedy zbiegał ku krawędzi, rzykancko skacząc z głazu na głaz.

Rozsądek podpowiadał, że popełnia ten sam błąd, za który

z tuzin razy sklął po drodze Lendę.

Przecenia własne siły i lekceważy niebezpieczeństwo szczerzące zęby zza każdego kamienia. Całe gołoborze mogło runąć wraz z nim, zmiażdżyć go na papkę milionem cetnarów rozdrobnionej skały.

Albo, co dużo prawdopodobniejsze, odmówić oparcia źle postawionej stopie. Obalić, rzucić o przeraźliwie twardą i zimną masę lodowych i kamiennych okruchów, połamać kości. Nie powinien w ogóle wchodzić na to osypisko. Każdy fałszywy krok to niemal pewne zwichnięcie. Czyli klęska.

Śmierć. Może nie jego, ostatecznie był czarodziejem i miał już jakie takie ubranie. Ale Lendy by nie dogonił. A musiał. Nie trzeba było być mistrzem w czytaniu śladów, by odczytać nieuchronny wyrok w tych, które pozostawiła. To dlatego poszła na skróty, wprost na urwisko. Nie miała już sił kluczyć.

Był prawie pewien, że po raz drugi tego dnia ujrzy ją leżącą daleko w dole, nieruchomą i zakrwawioną. Te fragmenty urwiska, które widział jeszcze z drugiej strony zagajnika, wyglądały na całkowicie niedostępne. Zdrowy i wypoczęty mężczyzna miałby jedną szansę na dwie opuścić się na dół nie łamiąc karku. A ona, licząc od zagajnika, upadła aż cztery razy. Jeszcze przed gołoborzem.

Głupia, uparta dziewczka.

Przed samą krawędzią rozciął sobie stopę. Lenda nie kłamała chyba w kwestii ciasnoty butów i nie z litości dla niego zamieniła je na koźle skóry, ale miała dość rozsądku, by zabrać je ze sobą. Do marszu się nie nadawały, ale w czasie wypoczynku zapewniłyby stopom dużo więcej ciepła. W efekcie tego Debren wędrował w cizmach Hanusa. Ich spody puściły już dawno, a teraz przetały się wkładki z resztek koźlej skóry, które poupychał do środka. Prawie nie zwrócił uwagi na ból. Zatrzymał się i z radosnym niedowierzaniem popatrzył na ciągnące się wzdłuż krawędzi zagłębienia w śniegu.

Nie zaryzykowała schodzenia. Machrusie, dzięki za tę odrobinę rozsądku. Poszła ku zachodowi, choć przedtem z wolim uporem podążała na północny zachód. Najkrótszą drogą do granicy. Dzięki, Machrusie. To nie było pewnie łatwe, nawet dla ciebie. Lenda to Lenda, a ten las za wzgórzem to już chyba Morvac, sądząc po rządku kopczyków granicznych na wzgórzu. Ratunek wydawał się być na wyciągnięcie ręki, choć Debren zdawał sobie sprawę, że to efekt patrzenia z góry i obfitości śniegów, skracających perspektywę. Mapy Yuhamma Kleihunsa mówiły, że od podnóża Czarnuchy są jeszcze dwie mile do granicy, a tu przecież Czarnucha wcale się nie kończyła. Trzeba dodać przynajmniej trzecią milę do tych dwóch. Klepsydra marszu, jeśli iść prosto przed siebie i na zdrowych nogach. Latem mniej, ale teraz, przy takim śniegu klepsydrę trzeba liczyć. Po prostej i dla zdrowego.

Ruszył ostrożnie śladem dwóch stóp i jednego kija. A raczej: prawej stopy i kija. Lewą nogę już tylko ciągnęła za sobą. Za pokrzywioną wiatrem sosenką musiała upaść. Nie pierwszy raz, ale Debren poczuł serce aż w gardle, bo po raz pierwszy czołgała się ze dwadzieścia łokci, zamiast wstać.

Potem wprawdzie pozbierała się jakoś, jednak znak był bardzo zły.

Urwisko po lewej przez cały czas wyglądało równie paskudnie. Gdziekolwiek czerniła się świeża wyrwa dowodząca, że i latem, gdy skały nie są ani oblodzone, ani mokre, opuszczanie się po nich lepiej poprzedzić gruntowną spowiedzią. Debren błagał w duchu Lendę, by nie zmieniała decyzji i nie stawiała wszystkiego na jedną kartę. A teraz, gdy okazało się, że goni resztkami sił, byłoby to nie tylko ryzykanckie, ale i niestety rozsądne. Chłodna kalkulacja czasu, sił i przestrzeni dawała jednoznaczny wynik. Na szczęście dziewczyna nie była już zdolna do snucia chłodnych kalkulacji.

Debren wspiął się na lekkie wzniesienie i odetchnął z ulgą. Dalej teren opadał, urwisko kończyło się stopniowo, a ślady stóp prowadziły do lasu. Dotarła między drzewa. Zbocze nachylało się tam pod sporym kątem, a marsz był na pewno dużo trudniejszy, ale przynajmniej nie było z czego spaść.

Przyspieszył kroku, potem pobiegł. Ale do drzew nie dotarł. W połowie drogi dostrzegł coś, co kazało mu stanąć, a później przykucnąć pod osłoną jakiegoś głazu.

Pod urwiskiem na rozległej przestrzeni leżał dziewiczy, gładki śnieg, za to dalej zakrzaczoną halę przecinał ludzki trop. Debren nauczył się dziś co nieco o śladach, więc bez wahania stwierdził, że pozostawił go ktoś biegnący. Szybko i sprawnie. Najpóźniej rano.

Na pewno nie Lenda. Lenda nie była w stanie biegać, a gdyby była, obrałaby inny kierunek. Tam, dokąd podążył biegacz, na północy, znajdowały się uprawne poletka i – co najważniejsze – droga.

Ślepa, zimą praktycznie nie uczęszczana, ale bardzo istotna z punktu widzenia kogoś, kto chciałby organizować obławę w masywie Czarnuchy. Idąc tu, Debren widział z daleka sunące drogą sanie, ślady innych sań i końskich kopyt. Wszystkie świeże, ostro zakreślone w śniegu.

Zastanawiał się, co oznacza prowadzący w tamtym kierunku trop. Biegacza. To ważne, że biegacza.

Nikt bez ważnego powodu nie biega zimą po górach. Poszukiwań też nie prowadzi się biegiem.

Cholera. Biegają gońcy. Gońcy przenoszą wiadomości. Ci, co niosą złe, zbyt szybko się nie spieszą, zwłaszcza w mocno prowincjonalnych i zacofanych rejonach świata, gdzie nadal za niedobre wieści jako pierwszy obrywa będący pod ręką kurier. A ten tam mknął jak zając. Cholera.

Los oszczędził mu długich rozważań i coraz czarniejszych przeczuć. Nie minęły dwa pacierze, a zza krawędzi lasu wyłonili się ludzie.

Dwaj mężczyźni w zielonych tunikach, granatowych spodniach i kapturach, z mieczami u boku i kuszami na plecach wyglądali zbyt jednakowo, by choć przez chwilę brać ich za cywilów. Dwaj pozostali, szaroburzy, choć też prezentowali się podobnie, do żadnej formacji zbrojnej nie należeli. Armia biedaków, których nie stać na barwione sukna i skóry, to nie to samo co formacja zbrojna. Choć ci akurat jakąś broń dźwigali przy paskach.

Przede wszystkim jednak, całą czwórką, dźwigali kiepsko oczyszczoną z gałęzi sosenkę. Na sosence, uwiązana za ręce i nogi, wisiała Lenda Branggo.

Debren, przeraźliwie spokojny, zaczął obmacywać śnieg i odrywać od podłoża przymarznięte do innych, nie za duże kamienie. Znalazł cztery. Więcej nie szukał. Musiałby wyleźć zza głazu, a poza tym więcej niż po dwa nie zmieściłyby się w kieszeni spodni.

Potem wstał i nie spiesząc się, nie myśląc o odsłoniętych, całkiem bezbronnych plecach, zaczął schodzić z urwiska. Miało tu już tylko ze dwadzieścia stóp, ale gdyby miało dwieście, nie wykonałby inaczej ani jednego ruchu. Nie chciał spaść, bo przy tym rumowisku w dole nawet upadek z wysokości trzech stóp oznaczał zwichnięcie lub złamanie nogi i koniec nadziei. Tylko dlatego. Różnica wysokości, mogąca przesądzić o jego życiu lub śmierci, ani trochę go nie obchodziła. Przeżycie nie było teraz najważniejsze.

Może ten brak pośpiechu go uratował, a może tunika Hanusa, dość staroświecka i haftowana w spore gwiazdy, po brzegach zaś obrębiona barwami Teleporthanzy. Ale najprawdopodobniej przesądził fakt, że był całkiem sam. Samotnemu, bezbronnemu człowiekowi nie strzela się z daleka w plecy bez wyraźnego powodu.

U podnóża skarpy odwrócił się i zobaczył, że tamci stoją. Zanim opuścili drąg ze zdobyczą, zdążył dostrzec ogromną plamę krwi, ciągnącą się wzdłuż całej nogawki spodni Lendy.

Prawa noga. Nic dziwnego, że cię dopadli, księżniczko.

– Hej, coś za jeden? – zawołał niższy z żołnierzy, jedyny, którego ubiór nie dorobił się jeszcze lat. Wyszedł parę kroków przed szereg, ale nie próbował sięgać po wiszącą na plecach kuszę.

Debren przywołał na twarz drętwy uśmiech i ruszył w jego stronę z prawą ręką w kieszeni.

Sześćdziesiąt kroków. Strasznie daleko. Gdyby było czterdzieści, pozostałby na górze. Czuł, że postępuje głupio.

Ale sześćdziesiąt kroków to za dużo.

Lenda żyła i była przytomna. Głowa, z której zsunął się kaptur, wisiała nisko, kiedy ją jeszcze widział, ale bez pomocy mięśni karku kołysałaby się jeszcze niżej. Teraz jej nie widział. Za dużo oszronionych wrzosów, zbyt wielu mężczyzn między nimi. To niesprawiedliwe. Powinien móc jeszcze raz spojrzeć jej w oczy.

– Ze stacji po drugiej stronie musi być – podpowiedział dowódcy bardziej obszarpany z żołnierzy. A dokładniej: granicznych kordoniarzy. Na piersiach obaj mieli, oprócz książęcego herbu, wyhaftowane nieduże pasiaste szlabaniki, oznakę ich profesji. – Po barwach poznać. Teleporthanzowy.

– Sam widzę – splunął niski. – Znowu wszystko popieprzyli służbiści specjali, pies ich dudkał.

Nie miało być więcej żadnych Wehrleńczyków. Jak z tą dziewczką byli równie dobrze poinformowani, to może się zdarzyć, że nie pochłamy, a awanse bokiem przejdą. O dźwiganiu ciężarów nadaremnie już nie wspomnę.

– A nasze srebro? – zaniepokoił się jeden z chłopskich pomocników, ten z zasmarkanymi wąsiskami. – Obiecane było! – W rzyci mam wasze srebro. Ściągnij no kuszę, Boleszek. Upił się teleporthanzysta albo zgłupiał od łażenia z gołym łbem w taki ziąb, ale kto wie, czy mu rozum nie wróci. A mnie już nogi w zadek wlażyły, ganiać nikogo nie mam ochoty. Jakby uciekać chciał, to go bełtem uracz.

Debren szedł przed siebie z uśmiechem na ustach i dłonią w kieszeni. Bez pośpiechu, nie patrząc w twarz nikomu.

– Po nogach mierzyć, jak do dziewczki? – upewnił się Boleszek, równie niespiesznie zdejmując broń z pleców, przydeptując stopą strzemię na końcu łoża i gołymi dłońmi napinając cięciwę. Kusza była lekka, ledwo co od łuku mocniejsza.

– Zdurniałeś? Jeszcze i jego chcesz na grzbiecie targać? Mało ci? – Dowódca obejrzał się i strzyknął gniewnie śliną, celując w Lendę. – Od tej wywłoki kark mnie już boli, a ty mi magika jeszcze dokładasz. Nie, młody. Jak uciekać zechce, znaczy przestępca i nie ma co dochodzić, w którym miejscu prawo złamał. Z tych zakichanych śledztw i procesów tylko złodzieje jurysty żyją, a przypominam ci, że myśmy z tą bandą nierobów w jednym resorcie spraw wewnętrznych. Z jednej szkatuły nam płacą. Więc sukinsynom roboty nie dokładaj, bo sobie od żołdu odejmiesz. W kark celuj, jakby co.

– A z nami co będzie? – przypomniał o sobie wąsaty wieśniak. – Panie dziesiętniku? – A wy go zwiążcie – wskazał Debrena dowódca. – Może premia ekstra za tego nadliczbowego się trafi.

Chłop bezwąsy, młody jeszcze, ale o nalanym obliczu, w niczym dziecięcego nie przypominającym, ruszył w stronę maguna. Okutej pałki, tkwiącej za paskiem, nie wyjął.

Debren szedł ani nie zwalniając, ani nie przyspieszając. Do wojaków miał jeszcze dwadzieścia kroków. – Nie lepiej by ubić i samą głowę do idę... inde... eee... fiksacji ponieść? – popisał się chytrą wąsaty. – Rozpoznania, znaczy się.

– Ja łeb dźwigał będę, uczony, więc cięższy pewnie, a i z braku włosów nieporęczny, a ty, kmiecie sprytny, szaty sobie weźmiesz, tak? A takiego wała! – zgiął rękę w łokciu dziesiętnik. – Sam on łeb służbistom specjalnym jak na tacy poniesie, a przy okazji mnie przy drağu zastąpi. Bóg mi go chyba zesłał, bo mnie coś w karku strzyka.

Debren był już na tyle blisko, że zauważył kawałek czoła i ucha Lendy. Nie był pewny, czy podniosła głowę, czy patrzy w jego stronę, a jeśli nawet, to czy widzi i rozumie, co się dzieje. Nieważne.

Była nagrodą w tej grze, lecz nie uczestnikiem samej gry. Wolałby, by leżała bez przytomności. Bo w zamieszaniu któryś mógł ją pchnąć ostrzem, doszukując się zagrożenia w ruchu lub nawet spojrzeniu.

Piętnaście kroków. Bezwąsy był zaledwie o pięć. Kiedy wszedł między kusznika a Debrena, ten wyszarpnął rękę z kieszeni i cisnął kamień. Nie mierzył. Ważniejszy był balans ciałem, wychwycenie właściwego momentu i wyciągnięcie różdżki.

Chłop zatrzymał się, wykonał lekki przysiad, czysto symboliczny i mocno spóźniony. Nie unikałby kamienia w taki sposób. Debren nie miał jednak najmniejszego zamiaru trafić w niego. Z dwojga złego wolałby ugodzić Lendę. Ten człowiek był mu bardzo potrzebny w charakterze żywej tarczy.

– Uważaj, Boleszek! – Dziesiętnik nie został przesłonięty, zauważył, co się dzieje i próbował ostrzec kompana.

Debren uznał, że to już, skoczył w lewo i poderwał różdżkę. Nie był pewien, na ile ją stać, więc starał się celować możliwie blisko wirującego w locie kamienia. Popęłnił błąd. Telekineza nie pchnęła pocisku, dodając prędkości i mocy obalającej, a tylko skorygowała tor lotu. W dodatku za późno. Nie było już kiedy poprawić poprawki i skalny okruch wielkości jabłka zamiast w głowę, uderzył Boleszka w lewy łokieć. Kusza wylądowała w śniegu, lecz żołnierz, choć odrzucony o dwa kroki, utrzymał się na nogach. – Brać go! – wyszarpnął miecz dziesiętnik. Wąsaty rozdziawił gębę, nie sięgnął na razie po zatknięty za pasek tasak. Bezwąsy też nie próbował chwycić za broń.

Zaryczał i podjął próbę schwytania Debrena.

Nie było to głupie, bo miał blisko. Prawie zdążył. Magun

miał jednak trochę bliżej do kieszeni.

Wyszarpnął kamień i cisnął nim z całej siły. Różdżki użyć już nie dał rady. Po przeleceniu trzech kroków kamień, ani trochę nie kierowany magią, grzmotnął chłopą w prawą stronę czoła, zrykoszetował i umknął gdzieś w bok.

Bezwąsy padł natychmiast. Biegł jednak szybko i wałąc się głową w przód, zdzielił nią Debrena w udo. Debrenowi udało się utrzymać równowagę, ale stracił trochę cennego czasu. Boleszek, czerwony z wściekłości i bólu, gnał już na niego, szamocząc się w biegu z zaplątaną między nogami pochwą.

Debren złapał różdżkę w zęby, uwolnioną dłonią sięgnął do lewej kieszeni. Za plecami szarżującego kordoniarza wąsaty skoczył skwapliwie ku porzuconej kuszy. Dziesiętnik, z mieczem w dłoni, stał tam, gdzie przedtem. Może wciąż lekcewał przeciwnika i nie chciał psuć podwładnym radości zemsty, a może na odwrót – zaczęło mu świtać, że dzieje się coś złego.

Boleszek był już blisko, więc Debren cisnął kamieniem natychmiast, lewą ręką. W prawą złapał różdżkę, zdążył też poprawić trajektorię pocisku. Mimo zręcznego uniku żołnierza, kamień jak i on odskoczył w lewo i trzasnął Boleszka między brwi. Piękny rzut. Tyle że za słaby.

Wojak padł na kolana. I prawie od razu wbił miecz w ziemię, by wsparłszy się na nim, podnieść się jak najszybciej.

Ostatni, czwarty kamień zaplątał się w fałdach kieszeni. Debren szarpał się rozpaczliwie, ale wiedział już, że nie zdąży. Wieśniak dopadł kuszy i podnosił ją właśnie, odgarniając śnieg z łoża, a dziesiętnik, wysunąwszy ramię z mieczem, ruszył truchtem do ataku. Trzech naraz. A na domiar złego każdy mógł być tym najgroźniejszym, celem najbardziej godnym kamienia. Boleszek, bo był najbliżej i robił wrażenie niezniszczalnego. Wieśniak ze względu na kuszę. No i dziesiętnik.

Najbardziej doświadczony i sprawiający wrażenie jedyne-
go mającego pojęcie o szermierce.

Wąsaty podniósł kuszę do ramienia. Nie spieszył się
zanadto. Wolał porządnie wycelować, jak każdy nowicjusz.
Może by spudłował, jak duża część amatorów, całymi
pacierzami składających się do strzału. Debrenowi nie było
dane sprawdzić jego umiejętności. Najpierw kiepsko
oczyszczona z gałęzi sosenka trzasnęła chłopca pod kolana,
a potem, gdy runął, coś dużego i mocno ośnieżonego
przyduśliło go do ziemi.

Boleszek, półoślepiiony krwią, dopatrywał się Debrena
w kawałku pustej przestrzeni, rzucił się szczupakiem
z wystawionym mieczem i grzmotnął brzuchem o ziemię.

Wybór dokonał się sam. Nagle wszystko stało się nie tylko
jasne, ale i proste. Dziesiętnik nie dość, że był daleko, to
jeszcze zwolnił, obejrzał się za siebie, przystanął. Było dość
czasu, by przełożyć kamień do prawej dłoni, wycelować
różdżką i zamachnąć się potężnie. Dziecinnie łatwy rzut. O ile
dziecko urodziło się ze zdolnościami magicznymi, rzecz jasna,
no i liznęło telekinezy.

Inna sprawa, że i bez magicznego wspomagania kamień
pomknął prościutko do celu. Debren podbił go w locie tylko
odrobinę wyżej, by zyskać pewność, że ugodzi w środek głowy.
Wyglądało na to, że dziesiętnik zainkasuje cios w prawą kość
policzkową: oglądał się właśnie do tyłu, na wierzgającego
nogami wieśniaka. Chyba uznał, że mimo wszystko
podstawowym zagrożeniem jest czarodziej, bo zaczął właśnie
odwracać głowę. Ale było już za późno na unik.

Debrena lekko sparaliżowało, kiedy kamień, jak pchnięta
wiatrem kula zgniecionego papieru, skręcił nagle w lewo
i łagodnym, lecz coraz bardziej wyginającym się łukiem minął
cel o dobre dwie stopy.

– Mam amulet – zaśmiał się triumfalnie dziesiętnik.

I ruszył dużo wolniej niż przedtem, szczerząc radośnie zęby

i sycąc się poczuciem własnej przewagi.

– I strzały nie puści, co dopiero kamienia.

Boleszek dźwignął się już na kolana. Lewa ręka zwisała mu bezwładnie, więc prawą, tę z mieczem, uniósł do twarzy, przetarł krew z oczu, zaczął widzieć. Zdażył zobaczyć but Debrena. Magun, znów z różdżką w zębach, kopnął go od góry piętą w nos i oburącz uczeplił się ściskającej rękojeści prawicy.

Udało mu się wyszarpnąć broń zaskoczonemu kordoniarzowi, ale Boleszek raz jeszcze okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Nie tylko nie, padł, lecz na domiar złego zawisł całym ciężarem na lewej ręce Debrena.

– Puść go – zawołał bynajmniej nie spieszący się dziesiętnik. – Mój jest. Łapska mu zbrodnicze odrąbię, to go na dokończenie dostaniesz.

Boleszek, zaślepiony rządzą odwetu, względnie poczuciem obowiązku, nie usłuchał. Zaczął wstawać, drapiąc się w górę po ręce Debrena. Debren trzasnął go w kaptur głowicą miecza. Kaptur opadł niżej.

Magun obrócił miecz ostrzem w dół. I zawahał się. Na moment. Ale moment to jedna dwudziesta pacierza, szmat czasu w zapasach o życie. Boleszek wykorzystał nieumiejętność dokonywania egzekucji na rannych i bezbronnych. I udowodnił, że bezbronność to pojęcie względne, łapiąc zębami lewą dłoń przeciwnika.

Ból niemal oślepił Debrena. Do tego stopnia, że chybił i zamiast w styk szyi z ramieniem trafił żołnierza nad łopatką. Miecz przebił tunikę i rozorał całe plecy, ślizgając się po żebrach. Zanim magunowi udało się go wyciągnąć, Boleszek niemal odgryzł mu mały i serdeczny palec. A dziesiętnik, w końcu tknięty odruchem solidarności, zaczął biec.

Nie zdażył. Debren, rzuciwszy całą magiczną moc na blokadę przeciwbólową, zdołał odzyskać kontrolę nad sytuacją oraz oczyścić pole widzenia z czarno-purpurowych plam. Trzasnął głowicą miecza w miejsce, gdzie zuchwa schodzi się

z górną szczęką, a gdy żołnierz rozdziawił gębę, poprawił w odskoku cięciem klingi. Z braku czasu, miejsca i zamachu bardziej kroił niż ciął, ale trafił dobrze, w przednią część boku szyi. Krew prysnęła obficie; może nie z tętnicy, lecz obficie.

Boleszek w końcu udowodnił swą ludzką naturę i zwał się plecami w śnieg. Zaraz potem Debren cudem odbił pchnięcie dziesiętnika. Odskoczył, sparował dwa lekkie cięcia i dzięki następnemu cudowi wywinął się ciosowi, który powinien rozplatać mu czaszkę na dwie symetryczne części.

Potem uderzył gangarinem. A dokładniej – próbował.

Impuls nie przeszedł przez blokadę. Lewa ręka od barku w dół była tylko bezużytecznym balastem.

Nawet do utrzymywania równowagi zupełnie się nie nadawała; po prostu zwisała swobodnie przy ramieniu, majtając się to tu, to tam w rytmie narzuconych walką podskoków.

Debren zaczął się cofać. Szybko. Trudno jest trafić mieczem szybko cofającego się przeciwnika, nawet dysponując znaczną przewagą techniczną. Miecz dziesiętnika zrobił się nagle za krótki do zaskakujących sztychów i za lekki, by przełamać zastawę. Ale każda taktyka ma swoje słabe strony.

Cofając się, Debren nie kontrolował tego, co ma za sobą. Wcześniej czy później musiał albo na coś wpaść, albo się potknąć, albo przynajmniej zmienić rytm kroków z uwagi na zmianę podłoża. Nie wiedział, kiedy przyjdzie ten moment. Jego przeciwnik otrzyma tę bezcenną informację dużo wcześniej. I wykorzysta. To nie ulegało wątpliwości.

Tylko magia mogła go uratować. Zdawał sobie sprawę, że jako szermierz tamten przerasta go co najmniej o klasę. Musiał zdjąć blokadę. I to szybko.

Nie dał rady. Ani szybko, ani nawet stopniowo. Coś zakleszczyło się w mózgu i musiałby mocno się skoncentrować, by zdjąć zakłęcie. W dodatku byłaby to teraz operacja porównywalna z nastawianiem wybitej ze stawu

kończyny: ogłuszające uderzenie bólem, ciemność, wata w kolanach. Równie dobrze mógłby odłożyć na chwilę miecz.

Uświadomił sobie, że nie wygra tej walki. Jako czarodziej miał spore szansę, ale właśnie przestał być czarodziejem. Pozostał mu jedynie miecz. Czyli... koniec. Nigdy w życiu nie pokonał nikogo za pomocą miecza.

Odbicie, krok wstecz, odbicie, uskok, żałosna, bez trudu sparowana próba pchnięcia i jeszcze jeden odskok, w ostatniej chwili unoszący go spod ostrza. Ból i wiotkość w prawej ręce. Odbicie, krok, drugi krok, odbicie... Jak długo jeszcze? Coś poruszyło się z tyłu, za ramieniem dziesiętnika. Ten z kuszą? Nie potrafił dojrzeć.

– Debren! – To Lenda krzyczy? – Legnij! Zastawił się przed cięciem w prawy bok. I padł, wykorzystując impet ciosu. Dopiero waląc ramieniem o ziemię, poczuł strach. To przecież była śmierć. Stojąc, mógł się od biedy bronić. Powalony, nie miał żadnych szans. Co ona...? Poderwał miecz. Nie trafił w ostrze. Miecz dziesiętnika minął się z jego bronią. Powoli, prawie lekceważąco. Żołnierz przydeptał stopą brzuch Debrena, pochylił się, błysnął zębami.

I runął. Bezgłośnie, łagodząc upadek łamiącymi się kolanami.

Dopiero gdy znieruchomiał, Debren dostrzegł sterczący jego pleców bełt.

– Machasz mieczem jak krowa ogonem – powiedziała Lenda, robiąc coś dziwnego z ustami. To był chyba śmiech, ale Debren nie miał pewności. Od czubka nosa w dół cała twarz dziewczyny lśniła świeżą krwią.

Siedziała obok kuszy, oparta o zwłoki wąsatego chłopca, nogami wyciągniętymi daleko w przód. Prawa noga, ta przestrzelona w udzie, też krwawiła, choć wyżej założono opaskę uciskową. Zryty na rozległej przestrzeni śnieg,

rozchełstana koszula i wyżłobione paznokciami pręgi na jej niemałej głowie świadczyły, że wąsaty drogo sprzedał roje życie.

Debren osunął się na kolana, jedyną sprawną ręką dotknął policzka dziewczyny. Czuł, że to głupie, ale musiał tknąć, upewnić się.

– Żyjesz.

– Ano żyję. – Jak na tyle krwi, głos miała zadziwiająco mocny. – Co tu robisz? Powinieneś być w stacji. Zaczął wycierać krew z jej twarzy. Bardzo ostrożnie, wciąż nie miał pewności, czyja to krew.

– Nie poszedłem tam. Hanuś umarł. To jego rzeczy, różdżkę pod koszulą miał. Żal, że wcześniej nie sprawdziliśmy.

– Widzę, że jego – powiedziała spokojnie. – Umarł, mówisz?

To z nosa? – Wytarł dłoń o śnieg, potem o spodnie. – Połóż się lepiej.

– Nie z nosa. – Przechyliła się lekko, odsłaniając mu widok na popiersie wąsatego. – Przegryzłam mu gardło. Mutancką modą. Mam nadzieję, żeś wstrząśnięty.

Dopiero teraz uświadomił sobie, jak dużo miała czasu, by doprowadzić się do porządku. Kaptur wisiał na plecach, wystarczyło sięgnąć. Do twarzy miała jeszcze bliżej.

– Do czego ci ta nadzieja potrzebna? – zapytał, nie cofając ręki.

– Nie pojmuję, o czym mówisz.

– Chcesz się mnie pozbyć – odpowiedział sam sobie. – Odpychający wygląd, odpychające maniery. Sposób równie prosty, co skuteczny. Lenda jest brzydka i zła, więc Debren zostawi Lendę i sobie pójdzie.

– Lenda bije w mordę za czytanie w myślach.

– Już ci wyjaśniłem, że nie czytuję ludziom w myślach. Ale skoro tak mówisz, to znaczy, że zgadłem.

– Dudkaj się. I słuchaj uważniej. Jakbyś zgadł, tobyś

oberwał w pysk. I zabierz tę łapę. Nie jestem niemowlę, sama sobie gębę wytrę, jak będę chciała.

– Co zrobisz, jak nie zabiorę? – uśmiechnął się i zaczął wycierać drugi policzek Lendy. – Przegryziesz mi nadgarstek? Mutancką modą?

– Po coś tu przylazł? – Głos miała chłodny i jakby urażony, ale nie cofała głowy, biernie poddawała się zabiegom. – Czego ty ode mnie chcesz, Debren? Dlaczego się przyczepiłeś jak rzep do psiego chwostu? Nie widzisz, że ja kawałka sierści nawet nie mam? Skończył z twarzą, zaczął poprawiać opatrunek na nodze. Powoli cofał blokadę z lewej ręki. Do zwiększenia ucisku nie była mu potrzebna, ale tę opaskę trzeba będzie możliwie szybko zastąpić szarpiami nałożonymi bezpośrednio na ranę. A tego już jedną ręką nie dokona.

– A jaki wybór ma rzep, jeśli się już zrządem losu ogona dotknął? – Noga była lepsza od twarzy. Mógł nie patrzeć dziewczynie w oczy. – Wierzysz w przeznaczenie?

– Rzepie? Nie, nie wierzę. Rzep ma prawo psich zębów unikać. Skamleć o przeznaczeniu i mącić głupiej sobace w głowie pochwałami futra, że niby od sobolowego cudniejsze, to i odczepić się nie sposób. Psy łase są na takie komplementy, niejeden gotów uwierzyć. Ale ja w tej dobrej sytuacji jestem, że swoje futro całkiem straciłam. Nie muszę się głowić, czy rzep szczerzy jest, czy łże.

Debren odciął mieczem kawałek owijacza podtrzymującego łapę wąsatego. Płótno nie było szczególnie czyste, ale na całym pobojuwisku nie znalazłby raczej niczego lepszego. A noga Lendy wciąż powolutku krwawiła.

– Skoro o psach mowa – mruknął, nie podnosząc głowy – to ponoć najwierniejsze są te przygarnięte w biedzie. Głodne, chore, z poprzetrącanymi łapami, żywcem żarte przez robaki. Okaż takiemu serce, a tym samym odpłaci. Nie przyszło ci do głowy, że...

– Przyszło – przerwała mu spokojnie. – I zaraz odeszło. Bo

to, co opisujesz, to nie twój przypadek, Debren. Jesteś czarodziejem. Będziesz bogaty. Nie wiem, jakim cudem jeszcze nie jesteś, lecz to bez znaczenia. Włóczyki z ciebie, to pewnie dlatego. Ale że do majątku i zaszczytów dojdiesz to pewne. Jesteś mądry, masz talent i budzisz zaufanie. Jeśli o wygląd chodzi, to Boszkowi, niech mu ziemia lekką będzie, może i nie dorównujesz, ale więcej szpetniejszych od ciebie w portkach chodzi niż urodziwszych. Przez co lepszym kandydatem na męża jesteś, bo wiadomo, że do zanadto gładkiego wszystkie baby lgną i na pokuszenie chłopą wodzą. Jak się to wszystko doda, to co nam wychodzi? – Debren zamienił miecz na nóż i ostrożnie rozciął nogawkę jej spodni. – Wypisz, wymaluj: księżę z bajki. Ubierz takiego jeszcze w porządny kaftan, na białą klaczkę posadź, a wszystkie dziewczki po nogach sikać będą. Marząc, by w miejsce klaczki trafić.

– Jak się będę zenić, to cię w swaty poślę – mruknął, nie podnosząc wzroku. – Zaczynam wierzyć w to, co złośliwi o niewiastach prawią: że im cały rozum we włosy idzie. To by tłumaczyło, dlaczego takie bzdury pleciesz.

– Pieniądzy nie mam – zaczęła liczyć na palcach. – Uroda, jeśli nawet trochę jej było, razem z włosami poszła. Profesja, o ile w ogóle jest, łajno warta. Kłopoty ciągną się za mną jak smród za wojskiem. Prostaczka jestem. – Zabrakło dłoni, więc przeszła na drugą. – Mutancica do wszystkiego zdolna. A teraz jeszcze durna baba bez szans na powrót rozumu. Może mi wytłumaczysz... Debren uniósł wzrok.

– O czym ty mówisz?

– Że przerastasz mnie pod każdym względem i że nigdy nie uwierzę...

– Bez szans? – wszedł jej w słowo. – Chodziło ci o... o włosy? – Była zbyt dumna, by odpowiedzieć, ale nie dość twarda. Odwróciła twarz, udając zainteresowanie czymś odległym. – O Boże, przepraszam... Do głowy mi nie

przyszło...

– Nie traćmy czasu na głupoty – mruknęła, spoglądając w dal. – Powinieneś...

– One odrosną. – Dał spokój nodze, przysunął się bliżej i zrobił coś najbardziej karkołomnego od chwili, gdy pozwolił Piekmothowi wpakować się do wrzeciona jednorazowego użytku. Ujął w obie dłonie twarz Lendy. – Odrosną wszystkie. Myślałem, że wiesz. Ależ ze mnie głupi kmiot... Wybacz, księżniczko.

Przez chwilę zaglądał w największe, najbardziej błękitne, choć ze złotymi okruchami, oczy świata.

Potem błękit drgnął, rozplynał się w czymś wilgotnym. I zniknął.

Spod powiek nie wypuściła już ani jednej, najmniejszej choćby łzy. Ale oboje zdawali sobie sprawę, jak wiele ich jest tam, pod spodem.

– Boli mnie noga – powiedziała stłumionym głosem. I siąpnęła nosem. Głośno, rozpaczliwie, po dziecięcemu. – To cholernie boli i trochę... To dlatego. Nie myśl sobie...

Nie chciał, żeby kłamała. Dlatego zaczął od ust. Właściwie trudno to było nazwać pocałunkiem; nie da się dobrze pocałować dziewczyny, która akurat mówi i nie wie, na co się zanosz. Ale uciszył ją skutecznie. Nawet nie pisnęła, kiedy przeniósł usta wyżej, na zimny i wilgotny niczym u psiaka nos.

Nie odepchnęła go, gdy całował drżące powieki. Może dlatego, że nie trwało to długo.

Tylko tyle, ile trzeba, by przenieść się do innego świata. Nie bardzo odległego, bo zadziwiająco podobnego. W tym nowym też była góra Czarnucha, szare niebo i trupy na zdeptanym śniegu. Krew i odór brudnych szmat Zimno i ból. Ale ten świat...

Nie umiał tego nazwać. Klęczał obok Lendy Branggo, tuląc twarz do jej ramienia i czując jej czoło na swoim ramieniu,

obejmował ją oburącz i nie chciał myśleć, dlaczego jest aż tak inaczej. Chciał tylko, by tak pozostało.

– Debren... proszę cię...

Cofnął się, zajrzał w mokre od łez oczy. Nie potrafił nazwać tego, co w nich znalazł.

– Nie proś rzepa – powiedział cicho. – Rzep nie wybiera.

– Czego ty ode mnie chcesz? – zapytała płacząco. – Po co to robisz?

– Lenda, prawie wszystko, coś o sobie mówiła, to prawda. Ani piękna nadzwyczaj, ani bogata, a dziwaczka, że aż mózg wykrzywia. Ale głupia nie jesteś. – Ostrożnie musnął palcami jej skroń, kość policzkową, podbródek. – Nie zadawaj głupich pytań.

– Nic z tego nie będzie. Zostaw mnie. – Zebrała się w sobie i odepchnęła jego rękę od twarzy. – Nawet nie wiem, czy ci wierzę. Słyszysz? Nie ufam ci!

– No to szczęśliwa jesteś. Bo ja tobie i wierzę, i ufam, chociaż czuję, że ani kawałka prawdy o sobie nie wyjawiaś. Ale nie mam wyboru.

– Łziesz. Myślisz, że jak się z nimi o mnie biłeś – zatoczyła dłońią krąg po uślanym trupami poboju – to już ci we wszystkim wierzę? To pionki. W szachach nie bije się własnych pionków, ale w życiu nader często.

– Nie, Lenda. Nie w życiu. W polityce. – Zacisnęła gniewnie usta, nie skomentowała. – Wiem, że nie za ukatrupienie jakiegoś tubylca tak cię po tych górach ganiają. Nikt nie zadarłby z Teleporthaną dla schwytania pospolitego przestępcy, a już na pewno nie służby specjalne takiego głównianego księstwa jak Belnica. Więc rozumiem twój brak zaufania. Naraziłaś się czymś władzy, a władza zdolna jest do każdej intrygi, choćby najbardziej przewrotnej. Ale jednego władza nie potrafi: dobrze zainscenizować takiej jatki jak ta tutaj. Tu nie było udawania, księżniczko. Ci ludzie nie żyją. Gdybyś w porę nie przegryzła gardła temu wieśniakowi,

który bez wątpienia szczerze i niczego nie udając, walczył o życie, to dziesiętnik by mnie zarąbał. Tego oczywiście nie mogę udowodnić.

Teoretycznie mogę być arcymistrzem szermierki; mogłem udawać łajzę, co mieczem jak krowa ogonem wywija. Ale ty na mieczu się znasz. Powiedz; ile ciosów odeprze arcymistrz, broniąc się na leżąco? A ja padłem na twój pierwszy okrzyk. Gdybyś chybiła albo po prostu poczekała chwilę, sprawdziła, na co naprawdę stać tego krętacza Debrena...

– Może trzeba było – przyznała.

– Nie. On zabiłby mnie, ty jego. I zostałabyś tu sama, na pewną śmierć. – Zaciągnął ostatni supełek na opatrunku, osłonił udo nogawką, przewiązał ją pozostałym kawałkiem owijacza. – Trzech kroków nie zrobisz na tych nogach.

– I tak oto dotarliśmy do sedna. – Dopiero teraz naciągnęła kaptur na nagę, podrapaną głowę. – Jeśli szachista jesteś, toś się właśnie zapatował zbyt pokrętną grą. Widzisz te ślady? Jak mnie chwycili, to gońca do swoich posłali. Miał sanie albo konie sprowadzić. Wkrótce będą tu ludzie. I grę ci popsują.

Debren wiedział o tym od samego początku, od momentu, gdy spoglądając z urwiska, dojrzał odciski stóp biegacza. Potem nie miał czasu zamartwiać się tak odległym w czasie zagrożeniem. Teraz już mógł. Ale wciąż nie był to największy z problemów. Największy siedział przed nim, przymierzając ściągnięte z trupa rękawice.

– A jeśli nie kłamię? – zapytał spokojnie, siadając na cieplejszym od śniegu udzie zabitego i manipulując różdżką przy pokieraszowanej zębami dłoni. Miejscowe znieczulenie wymagało większego kunsztu i skupienia niż blokada, za to na dłuższą metę biło ją efektywnością na głowę. Ręka będzie trochę boleć, ale przynajmniej znów stanie się ręką, a nie kawałkiem przyrośniętego do barku mięsa.

– Łzesz czy nie, jednak odejść musisz. Bo ja, jak słusznie zauważyłeś, trzech kroków nie zrobię.

Konia nie mamy, sanek też nie. Muszę tu zostać, a książęcy muszą mnie znaleźć. Jak ciebie ze mną znajdą, to albo zabiją, jeśli uczciwy jesteś, albo wstydu się najesz, odszczekując tu na moich oczach wszystko, coś mi naopowiadał. Mało to by pewnie było przyjemne, choć to tylko marne pacholki będą, a ja trup żywy. Więc idź już. Jak się pospieszysz, to może uznam, że porządny jesteś. I pościg trochę przytrzymam. Kusze tu są, bełtów sporo. Masz niemałe szansę uciec za kordon. To niedaleko dla zdrowych nóg, a ja, nie chwaląc się, nie najgorzej strzelam.

– Co ci zrobią, jak w ich ręce wpadniesz? – zapytał, nie patrząc ani na nią, ani na północny wschód, skąd miała przyjechać saniami śmierć.

– Nie wpadnę – stwierdziła spokojnie. – Trupa dostaną, ale mnie nie. Postrzelam, póki się da, a jak bliżej podejda, z noża skorzystam. Więc bądź tak dobry i zabieraj się stąd. Wiara, że osłaniam odwrót przyjaciela, bardzo uprzyjemni mi umieranie. Nada mu głębokiego sensu. I do nieba może łatwiej trafię, bo szlachetny uczynek to będzie.

– Żywy trup – pokiwał w zadumie głową. – No cóż, to dobrze, że tak rzeczy widzisz. Bo żywe trupy niewiele mają do stracenia. – Podniósł się, schował różdżkę za pas. – Zbieraj się, Lenda. Musimy iść.

– Chyba ci te czary na głowę zaszkoziły. Ja trzech kroków...

– Konia nie mamy i sanek też, ale ja mam grzbiet. Poniosę cię.

Rzuciła mu niemal wrogie spojrzenie. Rozumiał ją. Nadzieja boli. I wtedy, gdy odchodzi, i wtedy, gdy powraca.

– Posrasz się, a nie poniesiesz – warknęła. – Kawał baby jestem, a ty byle miecza nie udźwigniesz.

– Ciebie udźwignę.

Odwrócił się i poszedł w kierunku żołnierskich trupów. Ściągnął kołczan z pasa Boleszka i uzupełnił go odebranymi

dziesiątnikowi bełtami. Ten tkwiący w plecach zostawił. Wrócił do Lendy i rzucił jej futerał na uda.

– Możesz zabrać. To i jedną kuszę. Jakby co, zdążysz obie postrzelać.

– Nigdzie z tobą nie pójdę – zacisnęła wargi w bladą kreskę.

– Nie pójdziesz – zgodził się i wyjął różdżkę. – Poniosę cię. Albo taszczył będę rzycią po śniegu. Przytomną albo nie. Obezwładnioną czarami albo nie. Nie wiem, jak to będzie wyglądać. Ale zabiorę cię stąd, durna kozo, czy ci się to podoba, czy nie.

– Dudkaj się. – Debren cofnął się, wycelował różdżkę w jej twarz.

– Czekaj, głupku. Nie rozumiesz, że oni nie odpuszczą? Za daleko się posunęli, by teraz odstąpić tylko dlatego, że im zza granicznych kopców wała ukazują.

– To nie ukazuj. W twoim wykonaniu zaiste paskudny to musi być widok. Sam bym nie zdzierzył i suwerenność sąsiedniego państwa pogwałcił.

– To cię bawi?!

– Rozmowa z tobą? – Zatknął różdżkę za pas. – A jak myślisz? Co mnie przy tobie trzyma? Cudowny widok tego opalonego łba, poobijanego tak, że w portowej tawernie by się za tobą oglądali? Ubiór kobiecym wdziękiem przepojony? Aromaty? Posąg w sto kufców zapakowany? – Lenda pobladła z urazy. – Nie, dzuma i syfilis. Nawet wyobrazić sobie siebie pod postacią damy nie potrafię. Więc nie rób wielkich oczu i nie dziw się, że z rozmowy z tobą czerpię przyjemność. Z czegoś, cholera, muszę czerpać.

– Widywałam takich – sapnęła. – Przyłazili do „Różowego Królika” i się po gołym zadku biczykami siec kazali albo w dyby kuć. Nie myślałam, żeś jest perwers masochiczny.

– No to już wiesz. A że zamiast w dybach i biczykach, w dużych dziewczkach się lubuję, co mnie jak konia ujeżdżają, zamknij gębę i włącz mi na plecy. Powinnaś wiedzieć, że

niezdrowo jest drażnić rozochoczonego odchyleńca. Suswoków wspomnij.

Przewiesił jej przez plecy kuszę, wepchnął kołczan pod baranicę. Nie bronila się. Może wyczuła, że nie obyłyby się bez szarpaniny.

– Za tobą do Morvacu nie poleżą – spróbowała jeszcze raz.

– Sam masz szansę. Przy mnie żadnej. Mnie będą ścigać i po tamtej stronie. Tu nijakich strażnic nie ma, a do najbliższej wsi od granicy z sześć mil będzie. Nie doniesiesz. Serce ci pęknie.

– To pęknie. – Poprawił jej szal z rozprutego rękawa. – No i dobrze. Zawsze marzyłem, by tak właśnie ducha wyzionąć. Pod dziewczką, co mnie na śmierć zajeździ.

– W miłosnym uścisku – dopowiedziała cicho, z goryczą. – A to...

– Właśnie – przerwał łagodnie. – W miłosnym uścisku.

Uciekli od siebie oczami. Zabrakło odwagi, by kończyć, zabrakło, by dokończenia się domagać. Debren ujął dziewczynę pod pachami, pomógł wstać. Potem odwrócił się, klęknął na jedno kolano, cofnął się, wpychając plecy między rozchylone uda. Przełożył jedno ramię i zaklął.

– Chyba o czymś zapomnieliśmy.

Usiadła obok niego na śniegu. Twarz miała lekko zaczerwienioną, to wszystko.

– Moja wina – stwierdziła z doskonale odegraną beznamietnością. – Na nie osiodłanego konia nigdy nie wsiadam, ale teraz tak mi we łbie namieszaleś... Może to i lepiej. I tak nic by z tego nie wyszło. Ważę tyle co ty albo i więcej. A z tym świństwem – dotknęła krocza – to na pewno więcej. Nie pożałowali mi blachy.

Debren wyjął nóż i zaczął obdzierać najbliższe zwłoki z sukiennej kapoty. Nie patrzył na dziewczynę.

– Wiem, że nie mam prawa pytać – mruknął. – Ale w tej sytuacji... Pas na kłódkę jest, czy tylko opieczętowany?

Wybacz, że...

– Nie ma czego wybaczają. – W jej głosie było trochę goryczy, ale chyba mówiła prawdę. – Twój kark to cholera by do kości obdarło. Pytanie jest usprawiedliwione i na miejscu. Ale odpowiedź powinnaś znać. Czy naprawdę sądzisz, że dałabym sobie opieczetować zadek i pokornie dźwigała piętnaście funtów jakiegoś zas... – zacięła się na moment, ale prawie natychmiast, odrobinę ciemniejsza na twarzy, dokończyła odważnie: – ...zasranego żelastwa? Debren nie skomentował pauzy najlżejszym drgnieniem powieki.

– Gdyby o wierność prosił ktoś, kogo mocno... – niedokończył. – Nie, cholera, masz rację. To nie w twoim stylu. Głupie pytanie postawiłem. Wybacz. Kłódka, to oczywiste.

– Gorzej – stwierdziła spokojnie. – Zakłęcie.

– Każda porządna kłódka podrasowana magią bywa. A już te na pas cnoty, to obowiązkowo. Bez urazy, księżniczko, ale byle czym baby w ryzach nie utrzymasz. Czasu mając dużo, a ochoty często jeszcze więcej, no i różnych szpilek pod ręką...

– Mój pas nie ma kłódki, Debren. Uprzedzając pytanie: zamka też nie. Po co ci te szmaty?

– Na siodło. – Owijał pasami płótna zrolowaną kapotę, przymierzał, próbował, jak leży na karku. – Głupstwa gadasz, księżniczko. Nie da się bez nijakiego zamka, śrub czy kłódek panny w blachy zakuć. Wybacz; chciałem rzec: niewiasty.

– Ale dobrze ci się rzekło – mruknęła. – Nie zrozum mnie źle, nie po to mówię, by ci przed oczami dumnie cnotą powiewać.

Przerwał na chwilę. Siodło było ważne, mogło przesądzić o życiu. Ale inne sprawy, choć nie do tego stopnia i bezpośrednio, też mogły.

– Lenda, wiem, że na Zachodzie dewocja i ciemnogród królują – powiedział, przyglądając się jej uważnie. – Ale chyba

twej matce przez gardło przeszło jakoś, że nie da się w ciążę zająć i panieństwo zachować, to uprawniające do dumnego powiewania cnotą. Więc nie bardzo wiem, o czym mówisz.

– Mówię, że tak samo w ciąży jestem jak i ty.

– To znaczy... Nie... nie jesteś?

– Zełgałam twojej matce – uprzedziła kolejne pytanie. – Matce wnuka prędzej się srebro pożyczy niż babie nie wiadomo skąd, co synowi w głowie zawróciła. Odkochać się łatwo, a dziecko to dziecko. No i pani Zanuta wieść w świat puściła. Choć po prawdzie nie bez mojej winy.

– No, myślę – sapnął Debren.

– Ale nie o tym co trzeba. Przed podróżą opadli nas portniskowi medycy, badać zaczęli, do nacierania wypadochronem się pchali. Nie chciałam palców sobie ponadweręzać waleniem po łapach, a głównie z tych blach na zadku się tłumaczyć, więc im rzekłam, że dziecko noszę i nikomu pod spódnicą macać się nie dam, bo mi jeszcze ciąża miła.

Debren zamocował zwój sukna na ramionach, pomógł Lendzie wstać i przykucnął, by wsunąć się między nogi dziewczyny. Złapała go za rękę, powstrzymała.

– Czekaaj, Debren, najważniejszego jeszcze nie słyszałeś.

– Dziewięć mil mamy na rozmowy – posłał w górę uśmiech. – Nie zaciskaj mi nóg na uszach, a zdążymy się do znudzenia nagadać.

– Mnie nawet dziewięć kroków nie warto dźwigać. – Choć to bolało, cofnęła dłonie wsparte o jego barki i stanęła na samych tylko mocno pokiereszowanych nogach. – Bo ze mnie żaden mężczyzna pożytku mieć nie będzie. Ten pas... To długa historia, ale streścić ją można krótko. Nie da się go zdjąć.

Patrzył jej w oczy, więc nic nie powiedział. Nie roześmiał się, nie pytał, nie próbował się sprzeczać i tłumaczyć, że plecie bzdury. Może i plotła, ale wierzyła w to, co mówi.

– Idziemy – mruknął. – Trzymaj się prosto. – Nie

zrozumiałeś, co...

– Zrozumiałem. Idziemy Lenda.

Padł w połowie drogi do najbliższego z granicznych kopczyków, choć przedtem przecenił odległość i nie było tego aż półtorej mili. Mimo to padł. Po wiekach męki i bólu. I ciszy. Nie odezwali się do siebie jednym słowem.

Leżał, dysząc z wysiłku i nie czując zimna wsypującego się pod ubranie śniegu. Nie miał siły protestować, gdy układała sobie na udzie jego głowę i odrętwiały, pulsujący bólem kark. Walczył z mdłościami.

– Wolałabym, żebyś był kłamcą – powiedziała szeptem.

– Odpocznę chwi... chwilę – wycharczał. – Za... zaraz pójdziemy.

– Nieśliśmy kiedyś we trójkę jednego rannego. Mniejszy był niż ja, a nas troje wojaków, chłop w chłopca i baba w babę. Nie takie jak ty chuchra. I troje nas było. – Ostrożnie starła pot z jego twarzy. – Po dwóch klepsydrach zostawiliśmy nosze. Kummoński zagon z tyłu szedł, prawie na pewno biedaka opadli i dobrze, jak od razu, bez męczenia, ubili. Wiedzieliśmy, że tak będzie, i on też wiedział. Ale o nic nie prosił. Bo porządny był chłop i rozumiał, że lepiej, jak jeden po męczarniach umrze, a nie czworo. A my byśmy pozdychali, jak konie zajeżdżone.

– Nie zostawię cię. – Zamknął oczy, obrócił głowę, by czuć na policzku ciepło ukrytego pod płótnem uda. – Tracisz czas.

– Tyle we mnie kobiety zostało, co mężczyzny w eunuchu. To ty czas tracisz. Od dziesięciu lat każdą sztukę złota na czarodziejów wydaję. A zdarzały się łupy na wojnie takie, że oko by ci zbiełało. Zdziwiłbyś się, jak łatwo pogańskiego rycerza trupem położyć, gdy w napastniku dziewczkę rozpozna. Głupieją zwykle i nie wiedzą, co z szablą począć. Więc było czym za konsultacje płacić. I nie żadnym wydrwigroszom czy

takim jak ty łążęgom bez ustalonej marki. Do najlepszych jeździłam. Od Tymburka po Hangelskar w Sovro. Mistrzowie z brodami do pasa tylko ręce bezradnie rozkładali.

Mówili, że pasmo za niskie jest. Dużo uczoności się nasłuchałam, a z wszystkich jedno tylko wynika. Pas zaczarowany jest jak ciężka cholera i nikt poza tym, co mi go zakładał, blach po dobroci nie zdejmie. A i z nim pewności by nie było, bo co drugi mag o wielostopniowej nieusuwalności głądził.

Zaś siłą się nie da. Nie przeżyłabym tego.

– Niskie pasmo? – Debren przypomniał sobie nocne skanowanie. I zemdlilo go trochę mocniej. – Mówili: niskie pasmo? – Babski eunuch jestem, tak prawda wygląda. Nie będziesz miał ze mnie żadnego pożytku.

Debren leżał z zamkniętymi oczami. Odpoczywał. Cieszył się, że aż tak bardzo łąknie odpoczynku, że tak głośno krzyczą wszystkie mięśnie, ścięгна i kości. Człowiek może przyjąć tylko określoną dawkę bólu. A ciało potrafi cierpieć bardziej niż dusza. Kłamią i bredzą wszyscy twierdzący inaczej.

– A jest ktoś, kto ma z ciebie pożytek? – zapytał cicho.

– Chodzi ci o rodzinę? – Wiesz, o kogo mi chodzi.

Nie wahała się. To nie było wahanie. Do pewnych rzeczy trudno się po prostu przyznać.

– Nikogo nie ma. – Jej głos nieco ochłódl. – I rodziny też nie mam. Nikt po mnie płakał nie będzie. Nie warto dźwigać.

Noga musiała ją boleć. Nie ruszała się jednak, godziła się na ten ból.

– Lenda... po co leciałaś do Frycfurdu?

– Właśnie po to – uśmiechnęła się.

– Potrzytać mi głowę na kolanach? – Też się uśmiechnął.

– Słodka jesteś.

– Powiedzcie ci, że nic z tego nie będzie. O tym pasie i innych sprawach.

– Naprawdę słodka jesteś. Inna by po prostu napisała.

Krótką, tania wiadomość.”Odpieprz się, Debren”.

– Debren... powiedz, ale tak szczerze: trzeźwy byłeś, jak ten list pisałeś?

– Mniej więcej. A bo co?

– I uważasz, że mało serdecznie pisałeś? Tak w ziemiance powiedziałeś: że mało...

– Pamiętam – przerwał. – Nie wiem, co u was, w wojskowych kręgach, za brak serdeczności się uznaje. Pewnie dopiero plucie w kufel dużą ilością śliny. Przy takiej normie to byłby zaiste wylewny i ocierający się o czułość list. Ale jak się do niewiasty pisze, cywil do cywila...

– Chyba faktycznie żołdak się ostatni ze mnie zrobił. Zbyt dosłownie traktuję to, co napisane.

Wybacz.

Debren otworzył oczy, spojrział w górę.

– O co właściwie chodzi? – zapytał zdziwiony.

– Próbuję zrozumieć, dlaczego tu jestem.

– A co ma do tego mój list? – Jak to co? Nie zadawaj głupich pytań! Albo przynajmniej używaj prostych i jednoznacznych słów, kiedy do prostej dziewczuchy piszesz.

– A nie użyłem? – zmieszał się trochę. – Czego nie rozumiałaś?

– Sama już nie wiem – wycedziła.

– Wydawało mi się, że rozumiem. Ale może w twoich kręgach towarzyskich te same słowa i zwroty co innego niż w moich znaczą.

– Możemy przeanalizować te moje wypociny – westchnął.

– Uczyłem się wtedy wehrleńskiego, wspomagając pamięć eliksirami i magią, to przy okazji i to w mózgu zakodowałem. Czekał, zaczynało się tak...

– Obejdzie się – sięgnęła za pazuchę i jeszcze głębiej, chyba pod koszulę. – Mam twój list ze sobą.

– Co? Niemożliwe... – Chciał wstać, ale zaprotestowały

i plecy, i Lenda, która przytrzymała go za ramiona. – Jakim cudem się nie spalił? Pas: rozumiem. Blacha to jest, cała magią nasączona. Ale papier?! Wszystko co ponad skórę wystaje...

– List nie wystawał – oświadczyła sucho.

– Nie? – Zmarszczył czoło. – Aż się boję zapytać, gdzieś go... hmm... wetknęła.

– Nie tam, gdzie myślisz – warknęła. – Chociaż trzeba było, jak widzę. W rękę go trzymałam.

– Lecąc wrzecionem?

– A ty w podróży lekturom się nie oddajesz? Ochota mnie naszła, żeby coś przeczytać, więc wyjęłam te twoje łągarstwa. I akurat spadać zaczęliśmy. Musiałam dłoń zacisnąć, to i ocalały, ciałem ze wszystkich stron osłonięte. Co, nie wierzysz? – No... nie. To znaczy: wierzę. Skoro tak mówisz... Tylko się trochę dziwię. Z naukowego punktu widzenia, to wyjątkowy przypadek. Musiałś cholernie mocno dłoń zaciskać. Też o tym myślałem, ale zdaniem ekspertów taka sztuczka nie powinna się udać.

– Wolno spytać, co tak w rękę ścisnąć chciałeś. Może różdżkę składaną? Albo pierścień magiczny?

– Pamiątkę – mruknął.

– Ciekawe jaką.

– Srebrną kulę – powiedział jeszcze ciszej. – Trochę spłaszczoną.

– Jeszcze jej nie przepiłeś? – zapytała zmieszana.

– Przejadłem.

– Słucham?

– Nie miej mnie za sentymentalnego głupca – zastrzegł się.

– Po prostu... chyba przynosi mi szczęście. Więc ją... no... wziąłem. Skąd miałem wiedzieć, że cię spotkam?

– Wziąłeś – powtórzyła. – Wolno zapytać...?

– Nie tam, gdzie myślisz – próbował się uśmiechnąć. – To znaczy... No, jeszcze nie. Z grubsza.

– Machrusie słodki... Chcesz powiedzieć... Połknąłeś żelazo?! – Srebro – poprawił skwapliwie. – Masz mnie za durnia? Po co miałbym żelazo łykać?

Parsknęła przez nos. Z umiarem, bo katar miała jak się patrzy.

– Ciekawy sposób na zdobywanie zaufania – zauważyła. – Albo agent nad agenty jesteś i się tu marnujesz, taką marną ofiarę podchodząc, albo...

– Zostawmy w spokoju tę kulkę, dobrze? – rzucił trochę rozpaczliwie. – Przynajmniej na razie.

– Z mojej strony nic jej nie grozi – zapewniła ze śmiertelną powagą. – Przynajmniej na razie.

Wszystko w twoich... hmm... powiedzmy, że rękach.

– Dudkaj się! Chichotała dobry pacierz. Pod koniec już w towarzystwie.

Potem milczeli przez jakiś czas. Debren odpoczywał, a Lenda ostrożnie poprawiała ułożenie jego, siebie i służących za siodło szmat, starając się nie dopuścić, by przemarzł. Inna sprawa, że robiła to dyskretnie i równie dobrze można było nazwać te zabiegi zwyczajnym wierceniem się. Debren nie miał pewności.

– Poleżę jeszcze trochę i pójdziemy – mruknął. – A póki co, przeczytaj ten list i powiedz, co ci się niejednoznaczne wydało.

– W samym liście może i nic. – Rozłożyła niedużą kartkę i położyła mu na piersi. – Tylko jak na ciebie i to pismo patrzę, to jedno mi do drugiego nie do końca pasuje. Więc może sam rzuć okiem i rozwiej moje, pewnie z prostoduszności zrodzone, wątpliwości.

Debren chuchnął dla rozgrzewki w dłoń i podniósł pismo. Było dużo mniejsze od listu, który złożył w stacji kurierskiej w widłach Minny i Nirhy. Ale też tekst przepisano dużo mniejszymi bukwami, więc nie od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Zwłaszcza że właściwą treść uzupełniono firmowym komentarzem.

Nie trać czasu i pieniędzy – postulowała poczta. – Ślij wieści telegrafią bezślupową. Szybko, tanio, bezpiecznie. Tylko u nas podwójne kodowanie telepatyczne. Metoda interpolacji i ekstrapolacji empatycznej gwarancją maksymalnej wierności tekstu niezależnie od odległości i zakłóceń. Uwaga! Inter – i ekstrapolacja gratis! Uwaga! W przypadku wystąpienia zakłóceń (wola boska, dywersja pogan, niekorzystny układ planet, wiatr itp.) zagubione znaki podaje się ujęte w nawiasy () z 95% nadzieją matematyczną zgodności. Niższe prawdopodobieństwo oznaczono (?).

– No, popatrzcie – pokręcił z uznaniem głową. – Odbite, nie ręką spisane. I do Yijuki druk w końcu dotarł. Do tej pory wszystko jasne? – Do tej tak. Omiń nagłówek. To, co piórem naskrobane, czytaj.

– „Do mej miłości. Lendy Bran...” – Debren utknął. Po czym usiadł z wrażenia. – Co to do cholery ma być?!

– Tak myślałam – stwierdziła Lenda z gorzką satysfakcją. – Po pijaku za pióro chwyciłeś. Wszyscy wy po paru kwaterkach miód z serca i gęby toczycie. Psiamać, tyle się tego pod „Królikiem” naoglądałam, a jak głupia wątpliwości miałam.

– Po pijaku?! Ja?! To mnie nie wierzysz, a tym złodziejom z poczty bez zastrzeżeń, tak?! Piękne dzięki!

– Przeczytaj do końca – zaproponowała ze smętnym uśmiechem. – Może ci się przypomni.

Debren, ciągle nie dowierzając oczom, zaczął przebiegać wzrokiem po tekście. Nie było tego wiele.

Do mej miłości Lendy Branggo. Pragnę Cię gorąco. Marzę o (tym by?) być nago (obok) Ciebie, spać i oglądać Twoją (Ustawa o zakazie inter – i ekstrapolacji plugastw) ulkę. Żałuję, że wcześniej nie (da)łem znaku (życia?). Grot (w) duszy (mam?, mej tkwi?), serce (me) rozszczepione. Nie mogę rzyć (błąd ortog.) bez Ciebie. Nie sposób (pokonać) uczucia, prawda? Wspominam piękne, czarne włosy Twoje. Oczekują (Cię) moja droga. Dłuży (mi) się nieznośnie (bez)

Ciebie. Rozchoruję się, jeśli nie ujrzę (Ciebie). Znajdziesz – wybaczyć obcesowość – zimne, paskudne, cuchnące zwłoki. Oplaciłem przelewem na Bank (?) w Yijuce pełen koszt podróży mojej Lendy Branggo. Czekam w mieście Frycfurd na teleportnisku. Kocham. Ścisk(am). Będą duże pieniądze.

Twój Debren.

Przeczytał trzy razy od początku do końca i omal się nie wziął do czytania wspaniale. Na szczęście Lendzie sprzykrzyło się bierne czekanie.

– Pewnie myślisz, że to przez to ostatnie zdanie na łeb na szyję do ciebie pogałałam tym zakichanym teleportem zamiast końmi, jak Bóg przykazał...

– Przez „twojego Debrena”? – upewnił się Debren.

– Nie, mój ty Debrenie – uśmiechnęła się słodko i jadowicie zarazem. – Przez „duże pieniądze”. I racji trochę masz, bo istotnie owo zdanie mocno po głowie mi się kołatało. Zastanawiałam się mianowicie, z jakiegoż to powodu za zdziwę mnie bierzesz. I w którą stronę mordy ci za to najpierw przyłożyć.

– A ja się zastanawiał nie będę! – obiecał. – Tylko każdego napotkanego telegrafistę bezślupowego tak między ślepią palną, że się nogami łajdak nakryje! A potem do Yenderka opp Gremka napiszę! Już ten ich hurtem z torbami puści, całą tę zasraną firmę! Kozy łachudrom pasać, a nie wiadomości przesyłać! Dżuma i syfilis! Chyba nie myślisz, że ja te głupoty pisałem?!

– Nie, Debren – powiedziała z dziwnym, łagodnym uśmiechem. – Oczywiście, że nie myślę.

Debrenowi zrobiło się głupio. Trochę za późno uświadomił sobie, do jakiego stopnia odstaje od tego fikcyjnego Debrena, który podpisał się pod listem.

Potem zaczął myśleć. Tym razem trzeźwo, chłodno i logicznie. Przy takim podejściu wystarczyło parę chwil, by dokopać się prawdy.

– Cofam, co powiedziałem – oświadczył.

– Znaczący... ten list przekreślasz? – upewniła się. – Czy może walenie bezszupowców między ślepią?

– Ja te słowa pisałem, w każdym razie wszystko, co w nawiasy nie trafiło. Ale...

– Pijany byłeś – odpowiedziała cicho. Miała smutek w oczach i bardzo starała się tego nie okazywać.

– Nie, księżniczko. No, może troszeczkę. Całkiem na trzeźwo nie zabrałbym się do pisania. Ileś tam naliczyła? Trzydzieści klepsydr znajomości, z przerwą na sen. A potem nic, cisza przez dziesięć miesięcy. Nie mogłem tak po prostu...

– Szesnaście.

– He? – Mówię, że szesnaście miesięcy minęło. Grudzień się kończy. Z Yijuki we wrześniu odpływałeś.

Przyglądał jej się przez chwilę z całkowitym brakiem zrozumienia.

– Poczekaj... poczekaj no...

– Poczekam – uśmiechnęła się samymi kącikami ust. – Szesnaście miesięcy czekałam, to i teraz mogę. Ale chyba nie warto. Rozumiem, Debren. Trochę za dużo piwa, człek się rzewny robi i głupstwa plecie. Sama raz tak pochlałam, że żebrakowi talara w czapkę cisnęłam. Miarkujesz? Talara! To co dopiero mówić o paru słowach nabazgranych...

– Kiedy ten list dostałaś? – przerwał jej gwałtownie.

– We wtorek. Pod wieczór – dodała, widząc jak dalece mało usatysfakcjonowała Debren naga informacja o wtorku. – Bram jeszcze nie zamykali, mogła być z grubsza...

– Lenda – rzucił przez zęby – ja o miesiąc pytam.

– Kpisz sobie? – najeżyła się z lekka. – Niby jaki miesiąc miał być w Dumayce dwa dni temu nazad? Obiło mi się o uszy, że ci, co w świecie dopatrują się wielkiej kuli, wymyślili konsekwentnie, że w różnych miejscach owej kuli różne klepsydry są w tym samym czasie, ale jak pamiętam, to właśnie w klepsydrach różnice się liczyły, a nie w miesiącach.

– Ten list w czerwcu pisałem.

Zamilkła na dłuższą chwilę. Wpatrywała się w niego tępo, próbując zrozumieć, co właściwie wynika z tych słów. Debren też mocno się nad tym zastanawiał.

– We wtorek pod wieczór – mruknął. – Nie rozumiem, jakim cudem dotarłaś tu w dwa dni. W Yijuce nie ma portniska. Żeby dostać się do Żbikowa, musiałybyś...

– W Dumayce mnie list znalazł – powiedziała trochę pobladłymi wargami.

– Dziewięćdziesiąt mil – zmarszczył czoło Debren. – No, to już teoretycznie... Nie, poczekaj... Ze Żbikowa wytransferowali was w południe. Nijak się zdążyć nie dało.

– Jak widzisz, zdążyłam.

– Trzeba by gnać nocą, na złamanie karku... konia zajeździć.

– Prawie zajeździłam – przyznała.

Debren pamiętał trakt z Dumayki do Żbikowa. Jak na Lelonię był to całkiem porządny trakt, ale też lełońskie drogi nie miały sobie równych, jeśli mierzyć liczbą dziur, błotnistych pułapek, głazów ni z tego, ni z owego łamiących koło, błędnie oznakowanych rozstajów, brodów, w których utonęłyby żyrafa i temu podobnych niespodzianek, czyhających na podróżnych. Zimą nawet główne szlaki stawały się niemal nieprzejezdne. Nigdy by nie uwierzył, że komukolwiek uda się wyjechać wieczorem z Dumayki i zdążyć do Żbikowa na południowy transfer. Ale Lendzie uwierzył. Bo chciał.

– Nie gap się tak – wzruszyła ramionami, wyraźnie zmieszana. – Raz w tygodniu chodzą wrzeciona do tego twojego Frycfurdu. Jakbym nie zdążyła, trzeba by do twoich wracać i u nich się zatrzymać, bo grosza przy duszy nie miałam, a w grudniu pod gołym niebem... Pewnie by się przez tyle dni wydało, jaka ze mnie matka twoich dzieci.

– Ale dlaczego w ogóle...?

– Nie chciałam, byś skończył jako zimne, cuchnące

i paskudne zwłoki. – Uśmiechnęła się lekko, z zakłopotaniem. – Nie myśl, że w to wszystko... Ale lepiej na zimne dmuchać, niż żeby się ktoś przez ciebie poparzył. Prawda?

– Prawda – przyznał. – Słuchaj... Do Dumayki trafiłaś nie w związku z...? – Przejeżdżałam obok, to wstąpiłam. Ot, tak sobie, jak do starego... znajomego. Pomyślałam: do karczmy zajdziemy, piwa grzanego wypijemy, pogawędzimy o starych dziejach. Co mi tam szkodzi. No i jak zaczęłam o Debrena czarodzieja pytać, to mnie z miejsca do wieży kasztelańscy wpakowali. Tydzień, cholera, w lochu gniłam, bo się kasztelan gdziesik na łowach zawieruszył i nikt nie wiedział, co ze mną zrobić.

Burdel tam u was, bez urazy, większy niż pod „Różowym Królikiem”. No, ale przynajmniej uprzejmie mnie drabowie traktowali, w kaszę żaden strażnik płuć nie próbował, a jak wyłuszczyłam, kto jestem i skąd, to nawet zapytanie do Yijuki posłali, by sprawdzić, czy nie lżę i czy wypuścić mnie można.

Potem kasztelan z łowów wrócił, drabów obsobaczył i mnie z lochów uwolnił. Wyszłam, a w oberży, gdzie koń stał, już pocztowiec czekał. Pochwalił się, że w trzy pacierze list tu do mnie z Yijuki trafił, oddał pismo, napiwek wziął i sobie poszedł. Przeczytałam, no i... Święta idą – dodała ciszej. – A ty sam w dalekim świecie, o chorobie piszesz, o umieraniu... Przestraszyłam się trochę.

Widywałam już wojaków starych, co się tą porą wieszali, i jedną dziewczkę zamtużną, co żyły sobie podcięła... Ciężko samemu przy świątecznym stole usiedzieć. A jeszcze mi pani Zanuta takich rzeczy o tobie nagadała...

– Wyobrażam sobie – mruknął Debren. – Słuchaj, Lenda, coś złego z pocztą vijucką musiało się stać.

Bo nie dość, że zamiast w czerwcu...

– Chyba wiem – powiedziała bez zapału. – Latem wojska sovrojskie gród oblegały. Pewnie czarodzieje coś z łącznością zrobili. Teraz każde oblężenie od tego się zaczyna. Wojna

informatyczna się to nazywa.

– Wojna była? – zaniepokoił się. – A ty... ty też...? – Ja już w Yijuce nie mieszkam. Rzuciłam robotę w „Różowym Króliku”. Już z Suswokową nie szło się dogadać, a jak jeszcze ten pryszczaty szczeniak wydobrzył i matce w interesach zaczął pomagać, to do reszty nam się stanowiska rozeszły. Szkoda, żeś go wtedy do końca nie utłukł. Co dziewczek od tej pory swoją polityką namarnowali, to zliczyć trudno. Więc powiedziałam im, co o nich myślę, w siodło skoczyłam, no i...

– To z czego teraz żyjesz?

Lenda nie odpowiedziała. Zamiast tego wysmarkała nos w luźny koniec szalika. Unikała wzroku Debrena. Magun zastanawiał się, czy nie zakończyć tej rozmowy i nie pójść dalej. Ale lata uczenia się swego organizmu nie poszły na marne. Potrafił dość dokładnie ocenić, na co go stać przy takiej albo innej gospodarce naturalną siłą mięśni, czarodziejskim wspomaganie i adrenaliną. Wiedział, jak najlepiej rozkładać proporcje między wysiłkiem a odpoczynkiem. Teraz był jeszcze czas odpoczynku.

– Nie po złoto do ciebie leciałam – przemówiła w końcu, wciąż nie patrząc na Debrena.

– Przecież wiem.

Odlupał krótką drzazgę od leżącej obok gałązki, podostrzył nożem. Potem przesunął się bliżej prawej nogi Lendy, splunął w palce i roztarł delikatnie ślinę na wciąż czerwonej plamie krwi, którą nasiąknęła rozcięta nogawka.

– Urok będziesz odczyniał? – zapytała niepewnie, nie cofając jednak nogi.

– W pewnym sensie. – Ostrożnie dotknął końcem drzazgi różowej kropli na jej udzie, po czym rozłożył list na własnym, zapisaną stroną do dołu. – Chyba pora, byś się zapoznała z wersją pierwotną.

Pisał szybko, dwukrotnie wzbogacając porcjami śliny skromny zapas sporządzonego z krwi inkaustu.

Niektóre fragmenty podkreślał, zaglądając na drugą stronę i porównując odpowiednie partie. Lenda, by nie łamać reguł grzeczności i nie gapić się piszącemu przez ramię, oglądała jeden po drugim bełty, sprawdzając kształt drzewca i opierzenie.

– No, gotowe – stwierdził wreszcie Debren. – Daruj niegrzeczne pytanie, ale muszę je zadać. Z czytaniem u ciebie jak jest? Bez słowa wyjęła mu kartkę z ręki i zaczęła szybko przebiegać wzrokiem po papierze. Debren, trochę zdziwiony, pomyślał, że rzuciła się na list jak głodny na pęto świeżo upieczonej kiełbasy.

Różowy Królik, dom płatnej miłości. Do rąk Lendy Branggo.

Na początek pragnę Cię pozdrowić. Płyniemy Nirhą na południe, jest czerwiec, gorąco jak w łaźni.

Marzę o kuflu zimnego piwa i by już być na miejscu. Załoga barki łązi na pół nago, choć nie w ten sposób jak dziewczki u Ciebie w pracy. Ja też często zdejmuję koszulę nie tylko po ciemku, chodząc spać, i dlatego miewam okazje oglądać Twoją srebrną kulkę. Żałuję, że wcześniej nie zauważyłem wyrytego na niej znaku. Wygląda jak grot ale pewien duszysta twierdzi, że może to być serce, rozszczepione w dodatku. Nie mogę uwierzyć w jego niewątpliwie bezpodstawne insynuacje w stosunku do Ciebie. Powiedział mianowicie, że to niewieści sposób na zdobycie uczucia wbrew woli mężczyzny.

Śmieszne, prawda? Wspominam o tym tylko dlatego, że przypadkiem znalazłem w wiadomej Ci poduszce w piękne falbany czarne kobiece włosy, Twoje chyba. Nie oczekuję wyjaśnień, nie moja to sprawa. Droga wszelako dłuży się nieznośnie, więc z nudów piszę do Ciebie o byle czym. Nie rozchoruję się jeśli nie odpiszesz, ostatecznie kimże dla Ciebie jestem, ale z radością ujrzę Twój list, jeśli znajdziesz wolną chwilę i – wybacz obcesowość – kogoś, kto Ci

w pisaniu pomoże. Taka prosta dziewczka z ludu, która fundując mi zimne pożegnanie, bosą stopą wdeptywała w każde paskudne, cuchnące błoto i nawóz kurzy, pewnie sama pisać nie potrafi.

Chcąc uniknąć zwłoki, wysyłam ten list telegrafią bezślupową. Na wypadek, gdybyś zechciała odpisać, opłaciłem przelewem na Bank Lusenbluków w Vijuće pełen koszt przesyłki zwrotnej. Tanio biorą, więc co mi tam. W podróży zarobiłem trochę grosza, więc stać mnie na parę słów do i od mojej starej znajomej Lendy Branggo. Na odpowiedź, jeśli będzie, czekam w mieście Frycfurd, gdzie zaoferowano mi pracę na teleportmsku. Nie kocham zbytnio pracy w ścisku, ale będą z tego przynajmniej duże pieniądze. Pozdrowienia.

Twój znajomy magun Debren.

– Podkreśliłem to, co do ciebie doszło – wyjaśnił, chyba niepotrzebnie.

– Dużo, trzeba przyznać, od siebie nie dodali. Ale ujęli sporo. Kto by pomyślał, że tak można sens wypowiedzi wypaczyć.

Lenda złożyła powoli papier.

– Masz rację – powiedziała, chowając list. – Wygłupiłam się jak nigdy w życiu. Wybacz. Jak przeżyję, to co do grosza spłacę twoim rodzicom te...

– Czekaj. – Lekko, trochę niepewnie ujął ją za rękę. – Co napisałem, to widziałaś czerwono na białym. Ale to po drugiej stronie, to, co przez sovrojskie zakłócenia przeszło... Nie darmo przy inter – i ekstrapolacji empatią się bezślupowcy wspomagają. To nie sama jeno autoreklama; z uczuć piszącego naprawdę sporo...

Zakryła mu usta wolną dłonią. Właściwie rękawicą, zdobytą na wąsatym, ale Debrenowi i tak zrobiło się ciepłej.

– Nic nie mów – poprosiła. – Nie chcę tego słuchać. Kula skąd się wzięła, to wiesz, a znak na niej ryty miał trafienie

w serce potwora ułatwić. Nigdy nie wiadomo, gdzie taki potwór ma serce i gdzie celować trzeba. Więc z tym nic wspólnego nie mam. Ale poduszka... Masz rację, to moje włosy między pierze wetknięte były. Nie wiem, co mnie naszło. Nikomu nigdy takiego świństwa nie zrobiłam, a tobie, akurat tobie...

– Lenda, to nie było żadne...

– Było, Debren, było. Najpodlejsze, o jakim słyszałam. W zamtuzie mnie spotkałeś i przez całe miesiące aż mnie skręcało ze złości, że akurat tam, że ci się do końca życia ze zdzirami sprzedajnymi kojarzyć będę. Ale teraz już wiem, że największa kurwa z najpodlejszych kurew czegoś takiego by mężczyźnie nie zrobiła, jak ja tobie próbowałam. Żeby jeszcze po pijanemu... Ale całkiem trzeźwa byłam, suka durna. I napchałam do tej cholernej poduszki wszystkiego, co pod brzytwę wpadło.

– To nie ma żadnego znaczenia – oświadczył Debren z prawie pełnym przekonaniem. – Nie wierz w te przesady o puklach na sercu i takie tam... Serce to pompa i nic więcej. To tylko trubadurzy, strunociągi pustogłowe, serce z miłością cholera wie czemu powiązali, ludzi ogłupiając. Od miłowania zbyt męczącego serce może pęknąć... Ot i cały związek. Od rąbania drew też pęka.

– Debren – powiedziała cicho – nie serce miałeś na tej poduszce trzymać. I nie samą głowę, która związek jaki taki z miłowaniem posiada. Pamiętaj, gdzie ranny byłeś.

Przez dłuższą chwilę magunowi brakowało słów. Pewnie z braku myśli.

– Nie ma magii w garści ściętych ze łba kudłów – oświadczył wreszcie. – Nikt nigdy o tym nie...

– A... jak nie ze łba samego tylko ścinano? – Odwróciła wstydliwie wzrok.

Debrena ponownie zamurowało. Może nawet na dłużej.

Chyba pomogło mu to, że wciąż trzymał ją za rękę. I że

Lenda wyteęzała wszystkie potrzebne mięśnie, by owa ręka nie wykonała najlżejszego choćby drgnienia i nie dała mu pretekstu do zabrania palców.

Lecz możliwe także, iż zadecydowało krótkie spojrzenie, które zaryzykowała.

W oczach, szybko uciekających za tarcze powiek, było wszystko, o czym mówiła: i skrucha, i wyrzuty sumienia, i pogarda dla samej siebie. Ale nie tylko. Gdzieś bardzo głęboko, skrzętnie zagrzebana na samym dnie, wciąż paliła się niemal niedostrzegalna, słabiutka iskierka nadziei.

– Lenda – powiedział bardzo cicho – ja z Yijuki już wtedy nie chciałem wyjeżdżać. Poduszka i włosy nic do tego nie mają.

– Nie mów tak.

– Zresztą to już teraz nie ma żadnego znaczenia. Najmniejszego. Stało się, a dlaczego się stało, łajno mnie obchodzi. Ważne, że to, co ci poczta dostarczyła, dużo bliższe prawdy jest od tego, co miała dostarczyć.

– Debren, proszę...

– Powiniennem wtedy faktycznie wypić i przestać kręcić, tylko napisać to, co naprawdę po łbie mi chodzi. A chodzi tak, że po nocach spać nie mogę. Od samej Yijuki. Raz mocniej, raz słabiej. Znika na chwilę i zaraz wraca. Jak mi na poczcie powiedzieli, że list dotarł, a odpowiadać nikt nie zamierza...

– Proszę...

– Wiesz, co poczułem? Ulgę. Bom myślał, że to konieczność wyboru tak mnie męczy. Że szansa jest, a ja się boję zaryzykować, nie mam odwagi po tę szansę sięgnąć. A tu proszę: mam jasną, jednoznaczną odpowiedź. Brak odpowiedzi znaczy. Wszystko jasne. Kula jest przeciw potworom ryta, a włosów panna Lenda do poduszki napchała, bo pierza mało jej było i deski w kark pannę gniotły. Nic jej nie obchodzi, dawno o mnie zapomniała, więc jak w ogóle o babach myśleć mam ochotę, to o innych. Tych, co pod ręką

są, najlepiej. I z miejsca poszedłem do najbliższego domu uciech, tak na początek, by ciało czymś zająć, póki na jakąś niewiastę nie trafię, co serce zajmie.

– Nie masz obowiązku mi się spowiadać.

– W zamtuzie pracowałaś, to wiesz, ile taka uciecha trwa. Więcej było łażenia po schodach, odliczania reszty, rozbierania, ubierania i proszenia dziewczki, by się przed dostarczaniem uciechy choć trochę obmyła.

– Po co mi to opowiadasz? – zapytała, siląc się na obojętność.

– Bo już słyszę, jak mówisz, że choroby ciała leczy się skutecznie puszczaniem krwi, a takie jak moja bardzo podobnie, choć inny z organicznych płynów w grę wchodzi. Sam tak myślałem. Otóż sprawdziłem i wiem, że nie. Chłop to jest chłop i pod pierzynę z byle kim polezie. Ale wyleżeć z tym byle kim pod pierzyną... Próbowałem, możesz mi wierzyć. To męka.

– I bardzo dobrze, żeś próbował – powiedziała, prosząc spojrzeniem, by uwierzył, że mówi prawdę. – Ja tylko dlatego nie próbuję, że nie mam jak. Słyszysz, Debren? Tylko dlatego. Jeśli za porządną i cnotliwą panienkę mnie masz, której serce strzałą przebite u stóp składać warto, to wiedz, żeś trafił jak bełtem w płot. Moja cnota na pancernym pasie się trzyma i niczym więcej. Wredna jestem, ludzi zabijam, łzę i się wyrażam. Więc najlepiej będzie, jak jeszcze trochę popróbujesz. W końcu trafisz pod pierzynę, co ci ciążyć nie będzie.

– Mówię z tobą o tych sprawach – uśmiechnął się blado – bo dużo więcej szans mamy zginąć jeszcze dzisiaj, niż wygrzebać się z tego bagna. Walka nas czeka, a w walce trzeba wiedzieć, jaki plan jest, o co się człowiek bije, kiedy skapitulować wolno, a kiedy umrzeć tylko można. Czy warto się dla druha poświęcić, czy też krzywdę mu się tym poświęceniem zrobi. Nie jesteś krucha dziewczeczka, zniesiesz

tyle co dobry wól, więc w bawełnę niczego nie owijam. Pewnie nas dopadną, a jak dopadną, to pewnie rady im nie damy, bo ja dupa jestem, nie szermierz. Więc to chyba ostatni czas, by sobie powiedzieć, na czym stoimy.

– Ostatni czas jest na to, byś dał mi spokój i ku Morvacowi sam poszedł.

– To akurat w grę nie wchodzi. Co mogę, to ci dam, księżniczko, ale nie spokój.

– Durny jesteś.

– Oko za oko, Lenda. Ty mi spokoju od szesnastu miesięcy nie dajesz. Na czterysta z górą nocy wiesz, ile razy szczęśliwy się budziłem? Zadowolony z tego, jak nocą było? Raz, dzuma i syfilis. Dzisiaj w tej ziemiance.

Milczała jakiś czas. Głowę trzymała nisko, nie sięgał wzrokiem pod kaptur.

– Nic ci nie mogę dać – mruknęła w końcu. – Kłopoty jeno, zgryzoty i śmierć. Nie rób mi tego, Debren. Nie każ mi krzywdzić jedyne... jedynego przyjaciela. Cholera, czarodziej jesteś, człowiek mądry, uczony, nieszablonowy! Nie baw się w rycerza, nie umieraj tu patetycznie ze mną, jakiegoś wydumanego szanca broniąc. Ja nie chcę. Nie życzę sobie. Myślisz, że jak się będę czuła, jak cię tu dziurawić bełtami albo rąbać zaczną? Jeśli sobie wyobrażasz, że raźniej mi będzie, to nic, kurwa, o kobietach nie wiesz! Nic, słyszysz?!

Debren podniósł się, otrzepał portki ze śniegu. Zerknął ku wschodowi, skąd przyszli, potem ku granicy, a dopiero na końcu na Lendę.

– Idzie matka z dzieckiem przez pole – powiedział gawędziarskim tonem, wyciągając dłonie i pomagając wstać zaskoczonej dziewczynie. – Patrzy: wilki na nich gnają. Obok drzewo. Matka niewiasta młoda jeszcze, ale nie za młoda. Sama na drzewo wleźć da radę, ale dzieciaka nie wciągnie. Następne może urodzi, ale może i nie urodzi. Założmy, że mądra jest, uczona i nieszablonowa, a rycerskie cnoty w rzyci

ma, jak większość populacji. Co, twoim zdaniem, robi taka matka?

Lekki pchnięciem stopy ustawił ją w rozkroku, włożył między uda. Dźwignął z wysiłkiem, postępując, siebie i Lendę. W krzyżu nic nie strzeliło. Potem było już łatwiej: wystarczyło iść.

– Ja nigdy takiego wyboru podejmować nie będę – rzuciła gniewnie. Ale w jej ruchach nie było gniewu. Była opłacana wysiłkiem i bólem walka o utrzymanie idealnej równowagi. Debren przytrzymał dłońmi jej uda, siodło ze zrolowanej kapoty też mocno pomagało, jednak bez ciągłej współpracy balansującej jak linoskoczek dziewczyny nie przeszedłby nawet połowy drogi. Była tak ciężka, a zbocze śliskie i zasypane głębokim śniegiem, że każdy nieostrożny, nieprzemyślany czy choćby tylko spóźniony ruch Lendy mógł ich przewrócić.

Przeszli sto kroków, dwieście, pół tysiąca. Teren podnosił się, marsz stawał się coraz trudniejszy.

– Debren – zaniepokoiła się nagle. – A jak w robocie nieprzyjemności przeze mnie będziesz miał? Stację wam wrzeczono zburzyło, ja resztę spaliłam, a załoga wybita. Nie powinieneś aby...?

– Pies dudkał firmę.

– Awans ci mogą wstrzymać!

– Łajno mi mogą – stęknął, przebijając się przez pas zarośli, niskich, ale złośliwie splątanych. – Nie rozumiesz? Firma jest jak wojsko, a czasem gorsza od wojska. Jak prywatę przed jej interes choć raz postawisz, to skończony jesteś. A już za skok w bok z dziewczką to z miejsca na bruk wywalają. Ja już roboty nie mam.

Jakiś czas było cicho. Cieszył się, że nie widzi jej twarzy.

– Mogłeś być bogaty. Ale z ciebie ciężki idiota... Nigdy bym za ciebie nie wyszła. I żadnej nie życzę.

– Ja też.

– Mężczyzna ręki może nie mieć, honoru, jąder nawet. Ale jak pieniędzy nie ma i widać po nim, że nie będzie...

– No to już wiesz, co mnie tak ku tobie ciągnie.

– He?

– Taki ze mnie chłop, jak z ciebie baba. Normalna niewiasta nawet na mnie nie spojrzy. Tom sobie znalazł dziwadło syrenopodobne.

– Możesz w górę spojrzeć? W pysk ci chcę napluć. – Debren pokręcił głową, bo też na nic więcej nie było go stać. – Nie? No to sobie napluję. Wychodzi na to, że po szesnastu miesiącach donikąd nie zaszedłeś. Równie goły jesteś jak wtedy, gdy cię kołatką w łeb grzmotnęłam. Przeze mnie. Szmat życia ci zmarnowałam.

– Nieprawda.

– Prawda. Co masz teraz, czegoś wtedy nie miał? Złoto w jakimś banku solidnym? Skarb w lesie zakopany? Posadę dochodową? Włości jakieś nowe? Sławę chociaż? Debren włókł się pod górę, próbował nie myśleć o dręczącym go bólu i zastanawiał się.

– Paru przyjaciół – mruknął w końcu.

– Przyjaciół – prychnęła. – Od kufła pewnikiem. Znam ja takie przyjaźnie. Dużo ci przyjdzie z tych twoich kuflowych druhów.

– Ciebie mam.

– Ja poważnie mówię – stwierdziła surowo. – O poważnych rzeczach, co korzyści wymierne przynoszą. Młodzieniaszek już nie jesteś. Nie stać cię na marnowanie szesnastu miesięcy. Co przez ten czas osiągnęłaś? Nic!

– Zmądrzałem trochę. – Lenda, o dziwo, nie skwitowała tego parsknięciem. – Choćby w kwestii miecza. Już wiem, że lepiej umieć się nim posłużyć. Parę osób zginęło, bo nie umiałem. Podszkolisz mnie? – zapytał zniecacka. – Roboty nie masz, a ja od dawna za instruktorem się rozglądam. Oboje byśmy skorzystali. Co, Lenda? Póki ci się nogi nie zagoją i tak

zajęcia nie znajdziesz, a mnie możesz śmiało najpierw teorii uczyć. I fechtunku, i sztuki wojennej w ogóle. Zawsze mnie wojsko ciekawiło.

– Chyba nie. – Dziwnie łagodnie to powiedziała.

– Ale... Słuchaj, to cię do niczego nie...

– Debren – miękka, uwolniona od rękawicy dłoń, jeszcze łagodniejsza od głosu, musnęła jego policzek – nie będzie kiedy. Już są. Jak na szyderstwo, po chmurnym przedpołudniu przejaśniło się akurat teraz i ośnieżony krajobraz rozjarzył się odblaskami słońca. Wzrok sięgał daleko. Debren dostrzegł pościg natychmiast, gdy tylko się odwrócił. Bo też Belniczanie nie silili się na jakąś wyszukaną taktykę łowiecką. Jechali prościutko po śladach i patrząc wzdłuż śladów nie sposób ich było przeoczyć.

– Widać, że się z Kummonami nigdy nie zetknęli. – To coś, miękkie i ciepłe, znikło bez śladu. Głos Lendy stał się opanowany, rzeczowy, nieco szorstki. – Czambuł jeno półksiężycem chodzi, by z boku zdobycz ogarniać, drogę odcinać.

Słońce, jak to w grudniu, nisko na niebie wisiało i Debren, zerkając w bok na dziwaczny, długi cień, widział, że dziewczyna ściąga kuszę z pleców. Gdyby nie widział, toby wyczuł. Mimo pokierszowanych nóg utrzymywała równowagę z bliską kociej zręcznością.

– Nie zdążymy do kopców – ocenił odległość. – Jeszcze z tysiąc kroków. A do nich z pięćset będzie.. I szybko jadą.

Kordoniarzy i zwerbowanych do pomocy wieśniaków było około tuzina. Dwoje sań zaprzęgniętych w parę małych koników i czterech jeźdźców w księżących barwach. Mimo widocznego pośpiechu i gorliwego wymachiwania batami przez obu woźniców, grupa nie gnała na łeb na szyję, trzymała podróżny szyk.

Nikt, ani drugie sanie, ani jezdni, nie próbował wysuwać się przed przyozdobiony proporcem pojazd prowadzącego.

Oznaczało to, że dowodzący Belniczanami myślami jest już przy odbieraniu pochwał i nagród. Osobiste schwytnie ważnego zbiega to znakomita odskocznia do kariery i żaden ambitny oficer nie zrezygnuje łatwo z szansy mocnego podkreślenia tej okoliczności w składanym zwierzchności raporcie.

– Jak cię sztuka wojenna interesuje – strzyknęła śliną Lenda – to ci pokażę, co taktycznym odwrotem nazywają. Z punktu widzenia szkapy strzelca konnego manewr ów prześledzisz. W tył zwrot, szkapo. Idziemy ku granicy, a jak powiem, to stajesz, zwracasz się głową ku północy i ani drgniesz. Pojąłeś?

Debren odwrócił się bez słowa i ruszył pod górę. Starał się iść szybko, ale udało mu się nie przesadzić z tymi staraniami. Nogi miał miękkie, a Lenda robiła się coraz cięższa. Gdyby jednak przeszedł w trucht, bez wątpienia upadliby po kilkunastu pierwszych krokach. Nie miał pewności, czy zdołałby potem podnieść się z dziewczyną na barkach.

– Za co cię tak ganiają? Następcę tronu im zdeprawowałaś?

Chyba drgnęła. Czy raczej: zrobiłaby to, gdyby nie kołysała się w rytm jego kroków, pilnując nieustannie, by środek ciężkości obojga znajdował się tam, gdzie należy.

– Ile ty o mnie wiesz, Debren?

– To, co wiesz, że wiem. I właściwie nic więcej. A co, zbyt blisko trafiłem?

Nie od razu odpowiedziała.

– Całkiem niedaleko... w pewnym sensie.

Następne dwadzieścia kroków. Każdy bolesny, każdy pełen cichej prośby, by przestać, dać za wygraną.

– To za co cię w te blachy zakuli? Za karę? – Zbyła go milczeniem. – Taki pas, czarami spojony i nieusuwalny, krocie musiał kosztować. Nie byle komu się naraziłaś.

– Za dużo gadasz jak na konia.

– Zaraz do nas strzelać zaczną. Myślałem...

– A ja myślałam, że więcej ich się zwali – przerwała mu bez gniewu. – I że łuków albo kusz więcej będą mieli. Ale tuzin ich za nami jedzie, z tego ledwie co drugi wojak, a z tej połowy co drugi jeno z białą bronią. Wiesz, co to znaczy? – Że nas sulicami, a nie bełtami podziurawia? – Że jeszcze żywy z tego możesz wyjść. Jak konno zaszarżują, to może uda się jeźdźca ubić, a wierzchowca chwycić. A jak nie konno, to w biegu będziesz miał takie same jak goniący szansę.

– Nie zostawię cię.

– To już słyszałam. Ale wciąż nadzieję żywię, że twoja głupota ma jednak jakieś granice. Że deklaracja, szlachetnością i pozerstwem ociekająca, co sama w sobie magunowi nie przystoi, dotyczy wyłącznie żywych osób. Bo jeśli się upierasz przy trupie moim z psią wiernością warować, to lepiej stań od razu i pozwól mi zleźć. Nie chcę, by potem ludzie gadali, że w ostatni bój Lenda Branggo na sobace pojechała. Osła upartego zniosę, ale nie psa.

– Jak zginiesz, to cię zostawię – warknęła. – To chciałaś usłyszeć? Proszę. Zwłoki twoje nic mnie nie interesują.

– Rozciągnij tę obietnicę na ciężką i nie rokującą nadziei ranę.

– A ty rozciągniesz? Konia częściej niż jeźdźca trafiają. Może być, że to ja ze strzałą w zadku legnę. Rzucisz się wtedy do ucieczki?

– Ja to co innego – zaprotestowała. – Z tymi nogami...

– Ja też co innego jestem. Więc się odczep.

– Wól tępy!

– A ty gęś głupia.

Jakiś czas szli w milczeniu. Potem cień Lendy sięgnął za pazuchę, wetknął cień bełtu w cień łoża kuszy.

– No to zaczniemy chyba. Stań, dobrze? Zatrzymał się i ustawił twarzą bardziej ku północy niż ku ścigającym. Tak, by Lenda mogła celować w swobodnej postawie, bez skręcania tułowia i zbędnego napinania rozmaitych mięśni. Nawet

oddychać starał się powoli. Do pierwszych sań było jeszcze ze trzysta kroków. Z takiej odległości dobrzy strzelcy trafiali wprawdzie w głębokie na kilkanaście szeregów hufce nacierającej piechoty, ale bynajmniej nie każdym pociskiem. A sanie, choć stanowiły porównywalnie wysoki cel, poruszały się szybciej, no i były znacznie węższe.

Zapadka szczęknęła metalicznie i czerwono opierzony myśliwski bełt pomknął wyraźnym łukiem w niebo.

Debren wyliczył szybko, że przyjmując standardową dla takich kusz moc i odpowiadające jej prędkości, bełt doleci w pobliże celu w trzy momenty. Policzył w myślach do trzech i metodą skokową podostrzył wzrok.

– Pół chłopa za wysoko – poinformował Lendę. – I dwie stopy w prawo. O ile w woźnicę mierzyłaś.

Dobry strzał.

– Widziałeś, którędy poszło? – zdziwiła się. – Czy tylko kpisz sobie?

– Uważasz, że to dobra pora na żarty? Magią gałki oczne odkształciłem na chwilę. Ten, co dowodzi, kolczugę pod tuniką nosi, jeśli cię to interesuje. I pryszcz ma na lewo od nosa. Młody jest.

– I głupi – mruknęła. – Widzisz? Ani trochę nie zwolnili. No to zobaczmy.

Debren, obserwując z niedowierzaniem cień, zobaczył, jak przykłada kolbę do barku, mierząc niemal pionowo w niebo, sięga oburącz po cięciwę i jednym zdecydowanym ruchem napina masywne, klejone z kilku warstw drewna łączysko. Nie był to wprawdzie żaden nadludzki wyczyn, jeśli mierzyć siłą – może ze sto dwadzieścia wehrleńskich funtów pod koniec – ale Debren nastawiał kiedyś złamany nos pewnemu strzelcowi konnemu, którego przy bliźniaczo podobnym manipulowaniu bronią potrafił inny strzelec, naturalnie niechcący. Nie przypadkiem Kummonowie, choć coraz częściej przychodziło im walczyć z ciężkozbrojnym

rycerstwem, uparcie gardzili kuszą i przedkładali nad nią swój krótki, refleksyjny łuk. Napięcie kuszy bez schodzenia z konia wymagało nie lada zręczności, nawet gdy wierzchowiec akurat stał.

– Pół chłopa, powiadasz – mruknęła Lenda. Nie pozwoliła kuszy ześlizgnąć się z ramienia, pokonała opór łączyska, a teraz układała w korytku wyciągnięty z za pazuchy baranicy bełt. – No, zobaczymy.

Sanie były już gdzie indziej, jechały pod nieco odmiennym kątem, lawirując łagodnie dla ominięcia kamieni i krzaków; kusza, jak każda, miała spory rozrzut; wiało trochę, zaś Lenda, strzelając na tak znaczną odległość, trzymała broń nie przy ramieniu, a pod pachą. Inaczej mówiąc: już poprzedni strzał należało uznać za cudownie precyzyjny. Raz się udało, a jak wiadomo, cuda nie lubią się powtarzać. Nawet solidnie zamocowany onager czy inna balista, ciężka jak siedem nieszczęść i wycelowana za pomocą celownika, za cholerę nie chce dwa razy trafić w to samo miejsce. Przy takim dystansie żadne robienie poprawek nie ma większego znaczenia.

Gniady konik na lewo od dyszla szarpnął się i padł. Ot tak, po prostu. Debren nie wierzył własnym oczom.

– Jedziemy – rzuciła spokojnym głosem Lenda. – No, rusz się.

– Trafiłaś! – Nie rzyj, ogierze. Zabierajmy się stąd. Teraz oni próbują szczęścia.

Miała rację, choć na potwierdzenie tej racji przyszło trochę poczekać. Dopiero kilkadziesiąt kroków dalej minął ich pierwszy bełt. Zagwizdał, ale leciał bardzo wysoko, z dużą szansą trafienia w Morvac.

Lendzie udało się napiąć kuszę, choć z uwagi na kołysanie przymierzała się do tego aż trzykrotnie.

– Za krótko – poinformowała Debrena, oglądając się raz po raz. – I twoich sokolich oczu nie mają.

Jak poprawek nie zaczną większych brać...

– Jadą za nami?

– Nie. Ten w kolczudze się miota, chyba chce, żeby konią odciąć i dalej gnać. Głupi ówok. Na mordę bym go ze służby wywaliła. Sam nie może, to innych wstrzymuje. Istny kapłan.

– Zamknij gębę – wystękał. – Jeszcze nam boskiego gniewu tylko trzeba.

– Nie do Boga go przyrównuję, jeno do klechy. Jak różnicy nie dostrzegasz, to sam lepiej milcz, bo nam tu zaraz ktoś nie strzalała, a piorunem przywali.

Byli o pół mili od granicznego kopca, kiedy Lenda sięgnęła po następny pocisk.

– Gdybyś teraz przykucnął... podniesiesz się potem? Tylko szczerze, bez męskiego samochwalstwa!

– Chyba nie.

Strzalała, tym razem długa, wypuszczona z łuku, przemknęła pięć stóp z prawej i wyżej niż sięgała głowa Lendy.

– Sądzą strzelców na drugie sanie. Pewnie podjadą bliżej i tak nam sypną... Byłbyś mniejszym celem. Ale jak się nie da, to trudno. Dzięki za szczerotę.

– Daleko są? – Szkoda jeszcze bełtu. Jak na dwieście kroków podjadą, to im konie spróbuję utłuc. Z dwustu kroków raz na trzy razy w człeka trafiam.

– No to Bobin Czapa nie jesteś. Ten ponoć strzalała strzalała rozłupuje.

– W krasnoludki też pewnikiem wierzysz, co? A zresztą na turnieju to co innego. Tarcza o splunięcie, odległość znana, łuk przestrzelany, wiatru mało. Widziałam już takich, co na treningu, do hełmu rycerskiego szyjąc, połową strzał w szczelinę na oczy trafiali. A potem, jak do bitwy przyszło, to ze stu kroków w chorągiew konną, co sto chłopów liczyła, ani razu.

Belniczanie byli albo wyjątkowo nieudolni, albo mało bojowi, albo dowodzeni gorzej, niż Debren przypuszczał, bo dopiero ćwierć mili od granicy Lenda trąciła go lekko w ramię,

dając znak, by stanął.

Odwrócił się i, zadzierając głowę, zaczął zezować zza uda dziewczyny. Chyba mieli podobne wycucie odległości. Jego zdaniem, sunący kłusem zaprzęg był właśnie o dwie setki kroków, kiedy zapadka zwolniła cięciwę.

Tym razem nie musiał czarować, by śledzić lot pocisku. Może i przegapiłby końcówkę, ale trudno było nie skojarzyć przelotu bełtu z kozłem przez plecy, którego nagle wywinął sąsiad woźnicy.

– Psiamać! – zakląła Lenda. Chyba nie o to jej chodziło. Trafiony w pierś wieśniak zwałił się na siedzącego z tyłu kusznika, a jego broń wyleciała z sań, ale same sanie ani odrobinę przez to nie zwolniły.

Zza pleców woźnicy uniósł się brodaty kordoniarz. W rękę ścisnął ozdobiony króliczymi chwostami łuk.

Już pierwsza strzała przeszła o dwie stopy od głowy maguna.

– Dawaj strzemię! – krzyknął Debren, wyciągając przed siebie wyprostowane na ile się da, złączone dłońmi ręce. – Szybciej będzie!

– Nie utrzymasz! – Pewnie nawet w to wierzyła, ale zakończone stalową pętlą łożę już opadało.

– Ciągnij! Kolba oparła się gdzieś wysoko, o pierś chyba. Nie trzeba było zaprzętać sobie nią głowy, więc Lenda szarpnęła tak, że Debrenowi aż strzeliło w łokciach. Ale nie puścił. Trochę dzięki temu, że na chwilę ścisnęła uda, zabierając do przodu łydki i pozwalając mu prawie całkowicie wyprostować ręce, ale głównie dlatego, że nie mieli innego wyjścia. Chcąc przeżyć, musieli strzelać jak najszybciej. Druga strzała przemknęła wyżej, ale na szczęście przeszła bokiem.

Bełt trafił. W sanie. Były o trzydzieści kroków bliżej, więc Debren dostrzegł bez trudu tkwiące w ławce drzewce.

– Następny – warknął. Żałował, że nie widzi twarzy Lendy. Być może tracił bezcenne chwile, być może popełniał

potworny błąd, powierzając swe życie zdruzgotanej porażką dziewczynie. Zwycięstwo, będące już w zasięgu ręki, wymknęło się nagle, śmierć zajrzała w oczy. Miała prawo stracić głowę. Była twarda, ale przychodzi taki moment, kiedy nawet najtwardszy...

Strzemię spadło z góry, omal nie wybiło mu kciuka. Chwycił. Mocne, wbite w śmierzące portki uda zgmiotły jego szyję, odebrały dech. Tuż obok, prawie obcierając się o żebra, przemknęła długa na dwa łokcie strzała. Szarpnięcie. Wytrzymał. Szczęk zapadki, potem następny, towarzyszący wbijaniu bełtu w prowadnicę. Nie puściła, uda nadal gmiotły go z siłą imadła. To strach. Bała się. Wszyscy się bali, ci w saniach też. Nie ma nic złego w lęku. Dopóki nie paraliżuje, nie ogłupia, nie przyprawia ciała o drzenie. Lenda nie drżała. Ale te spięte jak mokre postronki mięśnie...

Patrząc na mknącą prosto między oczy strzałę pomyślał, że trzeba było paść i zabrać jej kuszę. Może by zdążył. Ona nie zdążyła.

Strzała – tak to odebrał – skrzyła w ostatniej chwili i zahaczywszy o jego lewe ucho, ugodziła całym impetem w biodro Lendy.

Przed policzkiem przemknęła mu iskra, druga sparzyła kark. Usłyszał trzask zapadki. Drzewce strzały przekrzywiło się, pacnęło go w czubek nosa i zastygło w takim położeniu, stercząc z lewej w prawą.

Bełt mignął czerwienią lotek, przemknął przez rozwianą grzywę jednego z koni i przybił do deski kozła nogę woźnicy. Mężczyzna upadł na łokieć, pociągając lejce. Sanie skrzyły gwałtownie, zakolebały się, błysnęły okuciem płozy i już, już miały odzyskać równowagę, gdy nagle przed opadającą płozą wyrósł jakiś nieduży garb. Ktoś wrzasnął, pękła z hukiem solidna, sądząc po odgłosie, belka i pojazd, obracając się leniwie, pokazał Debrenowi brzuch.

– Chodu! – zawołała Lenda. Głośno i mocno. Co dowodziło,

że kuty jak pancerz pas cnoty zachował się jak na pancerz przystało i nie uległ grotowi. Strzała tkwiła nie w miednicy i jelitach, a po prostu między blachą a spodniami.

Debren ruszył biegiem. Ciężkim, stale balansując na granicy upadku, ale jednak biegiem. Przez te wszystkie strzeleckokonne manewry udająca siodło kapota czy to rozwinęła się częściowo, czy to zsunęła i schowany pod cienkimi portkami łuskowaty pancerz zaczął drzeć mu kark.

Bolało, i to coraz mocniej, bo Lenda, instynktownie oszczędzając poranionych nóg, nie umiała tak dobrze jak w marszu dostosować się do rytmu skoków. O ile w ogóle próbowała. Chyba raczej nie: zbyt wiele kłopotów przysparzała jej kusza, którą bezskutecznie usiłowała napiąć.

Brodaty nie miał takich problemów. Trochę potrwało, nim się pozbierał, za to gdy już zaczął strzelać, cięciwa ani przez chwilę nie pozostawała w bezruchu. Musiał chyba opróżnić na samym początku kołczan, układając strzały na dnie przewróconych sań, bo zakrawało na niemożliwość tak szybkie wyciąganie ich z za pleców, napinanie łuku i pobieżne choćby celowanie. Kordoniarz osiągnął tempo przynajmniej czterech strzałów na pacierz, ale bliższy był raczej pięciu niż czterech. Pod koniec, gdy odległość wzrosła, następna strzała wylatywała w powietrze, nim poprzednia kończyła lot. Był to prawdziwy grad pocisków.

Nie trafił ani jeden. Gdyby Debren i Lenda tworzyli cel wielkości drzwi stajennych, z kilkunastu strzał może trzy dopadłyby ich, zamiast grzęznąć w śniegu, wyżej, niżej i po bokach. Na szczęście byli dużo mniejsi i jedyna rozlana krew pochodziła z karku maguna.

Mimo wszystko ból był znacznie mniej dokuczliwy od zmęczenia. Chwilami prawie chciał, by łucznik wreszcie trafił, raz a dobrze, kończąc tę mękę.

– Stój!

Usłuchał natychmiast. I, o dziwo, wykonał rozkaz Lendy

dosłownie, choć jeszcze przed chwilą dałby sobie uciąć dłoń, że jeśli tylko przestanie biec, od razu zwali się na twarz. Tymczasem nie tylko stał na galaretowatych nogach, ale nawet, mimo szybkiego jak u zziąjanego psa oddechu, słyszał.

– Co... co to... było? – wydyszał. Lenda nie zdążyła odpowiedzieć.

Rozlewający się szeroko po całym stoku dźwięk rogu nie pozostawiał cienia wątpliwości. Poza jedną.

Debren nie potrafił wskazać kierunku, z którego dochodzi. Pomyślał, że ten, co dmie, musi mieć płuca wielkości sporej baryłki. Nappełnił basowym, ponuro brzmiącym dudnieniem całą okolicę.

– Z drogi – mruknęła Lenda. Trochę chyba zdziwiona, bez pośpiechu wkładała bełt w rowek kuszy.

– He?

– Ten sygnał. – Zaczęła obracać głowę, rozglądać się, czort wie po co, bo uwolnione od końskiego trupa sanie i czwórkę flankujących je jeźdźców mieli wprost przed sobą. Szeroko rozrzucona i z każdą chwilą coraz szersza tyraliera parła galopem pod górę, błyskając ostrzami sulic i obnażonych mieczy. – Gdy tak dmą, to mówią: „Z drogi”. Jak się dwóch rycerzy na wąskim gościńcu spotyka, to zwykle od tego bijatykę zaczynają.

Debren przebiegł wzrokiem po szeregu Belniczan. Nieco dłużej zatrzymał się przy przewróconych saniach, ale i tam nie znalazł nikogo, komu dałoby się przypisać dęcie w róg.

– Który to? – zapytał bezradnie. – Przez te echa...

– Żaden – powiedziała cicho. – To koniec, Debren. Otoczyli nas.

Popatrzył w prawo, ku pomocy, i w duchu przyznał jej rację. Od strony sąsiedniego kopca, jeszcze belnicką stroną, nadjeżdżali dwaj jeźdźcy. Nie spieszyli się i ten brak pośpiechu był dużo bardziej przerażający od galopady grupy nadciągającej od wschodu. Połyskiwali opancerzeniem

i sprawiali wrażenie profesjonalistów.

– Zsadź mnie – zażądała dziewczyna. Głos trochę jej drżał.

Debren osunął się na kolana, potem skłonił, dotykając czołem ziemi. Zeszła i od razu usiadła.

Szybko wyciągnęła garść bełtów i powtykała je w śnieg. Będą tuż pod ręką, jeden ruch i pocisk trafi na cięciwę. Ale oboje wiedzieli, że z tych siedmiu krótkich strzał około połowy może pozostać tam, gdzie jest. Strzelanie z daleka nie miało sensu, a jeśli tyraliera po zrównaniu się z rozwalonymi saniami pogna dalej, przechodząc do szarży, dziewczyna zdąży w najlepszym razie czterokrotnie napiąć kuszę.

– Jak udam, żeś mój zakładnik... Jest nadzieja, że przeżyjesz? – Zapanowała już nad głosem, a dłonie nie drżały jej ani teraz, ani przedtem. Patrząc w jej pociemniałe oczy, Debren uświadomił sobie, że cokolwiek tu zajdzie, nikt nie nazwie tego egzekucją. Lenda umrze, ale na tym wszelkie skojarzenia z szafotem trzeba zakończyć. Bo katów padnie więcej niż ofiar. Nie mogła już uciekać, na skuteczne zabijanie było ją jednak stać. Teraz, gdy pogodziła się z losem, nawet bardziej niż poprzednio.

Jadący z północy zatrzymali konie. Ten z przodu, niewiele cieńszy w brzuchu i piersi od swego konia, odchylił nieco okrytą kapalinem głowę, uniósł róg i zadał z mocą stada rozgniewanych żubrów.

Dopiero teraz Debren przyjrzał się uważniej i odnotował obecność trzeciego konia. Towarzysz trębacza przesłaniał go ogromnym, przewieszonym przez plecy pawężem, nie na tyle jednak, by ukryć fakt, że zwierzę nie dźwiga jeźdźca. Koń niósł juki i chyba baryłkę.

– Nie ma – mruknął, nie spuszczać wzroku z połyskującej blachami dwójki. – Jak się wyda, że belnickie służby specjalne maczały palce w strąceniu wrzeczona, to księciu tron się mocno pod rzycią zatrzęsie. Nie wiem, czy tych tam – wskazał atakujących – przy życiu się ostawi, ale nas na pewno nie.

– Szkoda.

– Nie zostawiłbym cię – uśmiechnął się lekko. Sanie wiozące dowódcę kordoniarzy minęły właśnie drugie, rozbite. I pomknęły dalej, nie zwalniając.

– Łajno ci z tego przyjdzie – odwróciła się, siadając twarzą ku napastnikom i prawym uchem do Debrena – ale chyba powinieneś wiedzieć. Żeby nie ten zasrany pas, tobyś się ode mnie nie odczepił. Już wtedy, w Yijuće.

Poza miskowatymi hełmami i pancerzami, lśnącymi spod futer, ci dwaj z trzema końmi mieli też kusze. Wielkie, bojowe, z tych napinanych korbą. Jadąc, trzymali je w poprzek kulbaki, przez co nie rzucały się w oczy. Ale teraz, kiedy obaj zeskoczyli z koni, Debrenowi zaświtało, że walki może jednak nie być. Sprawny kusznik posługujący się taką machiną strzela wprawdzie rzadko, za to z budzącą grozę precyzją. A tych dwóch z daleka czuć było starymi wygami.

– Wyjechałem z Vijuki – powiedział stłumionym głosem – bo nędzarza nie stać na miłość. Tylko dlatego.

Nie widział jej twarzy, nie był nawet pewien, czy go usłyszała i zrozumiała. Zaraz potem uniosła kuszę i posłała w niebo pierwszy bełt.

Chybiła o kilka łokci. Niewiele, biorąc pod uwagę, że pocisk musiał szukać celu w odległości przeszło trzystu kroków, a wszystkie cele gnały co sił w koniach. Kuszę napięła też bardzo sprawnie, choć dla służącej za zaczep lewej stopy było to na pewno znacznie boleśniejsze od maszerowania.

Debren klęknął między dziewczyną a opancerzonymi strzelcami, którzy nadjechali z północy. Gdyby w grę wchodziły łuki, ustawiłby się za nią i czarując przy gąłkach ocznych próbował śledzić lot strzały. Nawet przy tak niewielkiej odległości istniała spora szansa odpowiednio wczesnego ustalenia, czy pocisk minie się z celem i wykonania uniku, gdyby się okazało, że nie. Ale w przypadku przeciwpancernych bełtów ani oczy, ani mięśnie nie

nadałyby po prostu i wszystko, co mógł zrobić, to ustawić się obok Lendy w charakterze żywej tarczy.

Trzask. Drugi bełt miał o prawie sto kroków mniej do pokonania, mógł lecieć bardziej płasko, krócej. Ale też chybił. Niewiele, na tyle mało, że jeździec instynktownie ściągnął popręg, skręcił, odbił w lewo. Chociaż w tej kwestii nie było akurat pewności. Wyglądało na to, że dowódca kordoniarzy nadal myśli kategoriami dobrze wyglądającego raportu i tylko on jeden gna saniami wprost do celu. Czterej galopujący po bokach jeźdźcy, choć zaczynali wyprzedzać pojazd, wcale nie zawężali szyku. Raczej na odwrót: zwiększyli odstępy, puszczając przodem skrzydłowych i najwyraźniej przymierzając się do manewru okrążającego. Biorąc pod uwagę, że atakowali nie byle jakiego strzelca, była to najgorsza z możliwych taktyka. Oczywiście jeśli pominąć tę zupełnie samobójczą, czyli wchodzenia w drogę ambitnemu i żadnemu awansu dowódcy.

– Strzelaj w sanie – warknął Debren. – Do konia. Czterech odpadnie.

Sto kilkanaście kroków. Tu już nie trzeba było cyrkowych umiejętności Bobina Czapy. Aż stęknął z wrażenia, kiedy bełt zanurkował w zaspie kilka sążni przed kopytami jedyne go ciągnącego sanie konia.

– Głupia dziewczka! – zawołała na poły płaczkliwie, na poły wściekle Lenda. – Tak spieprzyć!

– Napinaj! – Debren wyszarpnął różdżkę, ale było jeszcze o wiele za daleko, więc szybko obejrzał się w prawo, by sprawdzić, dlaczego opancerzeni nie strzelają.

Nie zdążył. Ten grubszy, w żółtym kozuszk, tak imponująco dmący przedtem w róg, właśnie w tym momencie zwolnił spust. Kuszę podrzuciło. Pękaty, nie tracąc ani chwili, wyciągnął rękę za siebie, nie patrząc, chwycił drugą kuszę, wepchniętą mu w dłoń przez towarzysza. Tarczownik, pozbywszy się broni, od razu przydeptał nogą odebraną od

żółtego kuszę, wbił kołowrót na koniec łoża, zahaczył cięciwę, zaczął napinać. Wszystko to wyglądało jak na pokazie jakiejś latami szkolonej gwardii pieszej, i to raczej królewskiej czy cesarskiej niż książęcej, więc Debren mocno się zdziwił, nie czując bólu dziurawionej stałą piersi lub przynajmniej podmuchu na twarzy.

Potem spojrział w lewo i przestał się dziwić. Przynajmniej temu.

Pierwszy bełt zdmuchnął woźnicę z kozła, rzucił nim na skulonego z tyłu chłopca z sulicą, a potem oboma za burtę pędzących sań, w śnieg. Ponieważ jednak tym razem nikt nie szarpał lejcam i koń, choć nie poganiany, gnał ochoczo dalej, drugi pocisk ugodził zwierzę prosto w pierś. I tym razem efekt nie dorównał temu, jaki los podarował Lendzie. Koń po prostu padł dwa kroki dalej, a sanie zatrzymały się, wjechawszy zdychającemu zwierzęciu na grzbiet. Dowódcę kordoniarzy wyrzuciło z pojazdu.

W chwilę później Lenda trafiła drugiego, licząc od lewej, jeźdźca. Pogranicznik zwałił się głową do przodu pod tylne kopyta swego konia, oberwał dodatkowo podkutą nogą i więcej się nie poruszył.

Pierwszy z lewej, rozjuszony tym, co przytrafiło się jego kamratowi, zdecydował się szybko. Debren też. Nie był pewien ani swoich sił, ani właściwości różdżki mistrza Hanusa i początkowo chciał dopuścić napastnika jak najbliżej, teraz jednak nie pozostawiono mu wyboru. Mógł popробować zakłęć na żołnierzu albo na jego sulicy, lecz nie na obojgu równocześnie. A Lendy, nawet gdyby nie napinała akurat kuszy, nie stać było na uniki.

Posłał błyskawicę. Wyszła marnie, może z braku sił, może z braku zgrania ręki z cudzą różdżką. Ale trafił dobrze, w koński łeb. Jak zawsze przy miotaniu piorunami więcej było huku, iskier i dymu niż realnych szkód, zwłaszcza że nie wzbogacił zakłęcia o element telekinezy. W gorączce bitewnej

niejeden gnany zapalem wojak nawet nie zauważał, że potraktowano go czymś tak subtelnym, lecz na koniach tego typu czar zawsze robił wrażenie.

Przerażone zwierzę najpierw wyskoczyło na szań w górę, a potem, wierzgając co parę skoków, rżąc i miotając się na boki, pocwałowało w stronę porastającego Czarnuchę lasu. Jeździec, chyba niezgorszy, sądząc z tego, że nie dał się rzucić, miał dość rozsądku, by nie próbować czegokolwiek poza trzymaniem się oburącz końskiego karku. Sulicę oczywiście zgubił.

Sto kroków dalej lewe skrzydło Belniczan dopadło zakutych w blachy kuszników. Jeździec z prawej, uzbrojony tylko w miecz, ciał brzuchatego, trafił w zastawę ze stalowego łuku i przejechał kładąc się natychmiast, ściągając wodze i próbując zatrzymać wierzchowca. Jeździec z lewej w pełnym pędzie pchnął kopią tarczownika. Tarczownik, kończący napinanie kuszy, po prostu obrócił się tyłem i przyjął cios na solidnie okuty obłęzniczy pawęż. Trochę zlekceważył przeciwnika i rzuciło nim na czworaki, ale nie ucierpiał zbyt. Zanim się podniósł, rzucił towarzyszowi napiętą kuszę.

– Pomóż im – warknęła Lenda. – Tamtych sama zatrzymam.

Tamci, w liczbie trzech, gnali pieszo w poprzek ośnieżonej łąki. Dowódca i jakiś wieśniak z toporkiem mieli przed sobą jeszcze ze sto kroków, brodaty łucznik, goniący kompanów aż od roztrzaskanych sań, o połowę więcej. Debren zawahał się. Łucznik się nie liczył, zwłaszcza że po wystrzelaniu wszystkich strzał pozbył się łuku i ruszył w pościg z mieczem. Ale oprócz niego było jeszcze dwóch. I raczej nie więcej niż dwie szanse posłania im bełtów. Jeśli Lenda choć raz chybi albo źle oceni czas...

– No już! Poradzę sobie! Ruszył biegiem. Nie za szybko. Uznał, że jeśli zbliży się do kuszników na jakieś pięćdziesiąt

kroków, może ciut bliżej, będzie w stanie i sięgnąć błyskawicą konia, i zawrócić na czas, gdyby Lendzie nie wyszło.

Obejrzał się w połowie drogi i oczywiście akurat wtedy musiał mu wyrosnąć pod nogami jakiś zdradziecko zagrzebany w śniegu pień. Poprzez świeczki w oczach, waląc się szczupakiem na ziemię, zdążył dostrzec, że Lendzie wyszło. Dowódca kordoniarzy, może nie tak gwałtownie jak on, ale za to z bełtem w obojczyku, przewracał się właśnie na plecy.

– Won, chamy, z morvackiej ziemi! – zahuczał nagle jakiś dudniący, z beczką się kojarzący głos. – A ty kuszy nie tykaj, zafajdańcu! Debren podniósł się, stanął na czworakach. Nie wierzył uszom. I to wcale nie dlatego, że obaj jeźdźcy zdołali wstrzymać konie i zręcznie zawrócić na dobre dwa rzuty kamienia przed kopczykiem granicznym.

– Już po tobie! – ryknął uzbrojony w miecz Belniczanin. Wciąż trzymał ów wyszczerbiony od nieudanego cięcia oręż, ale porażka rozwścieczyła go chyba nie na żarty, bo ostrze trafiło pod udo, a uwolnione ręce pakowały bełt do zdartej z pleców kuszy. Debren najpierw pomyślał, że żołnierz zgłupiał i dopiero po chwili uświadomił sobie, iż odwrócenie plecami jezdni przegapili jeden z najważniejszych w całej potyczce momentów.

– On ma napiętą kuszę! – zawołał. Miał już dość widoku krwi i trupów. – Rzuć to, durniu!

– Ja? – zawołali niemal jednym głosem obaj posiadacze napiętych kusz, i ten konny, i ten pieszy.

Ale tylko spod nasuniętego na oczy kapalina buchnęło parą oddechu i następnym, dużo głośniejszym okrzykiem:

– Łajno i kał! Debren, to ty?! Debren nie zdążył odpowiedzieć. Jeździec, ignorując dobrą radę i korzystając z faktu, że żółto odziany spuścił go na chwilę z oczu, złożył się błyskawicznie do strzału.

– Zbrhl! – wrzasnął ostrzegawczo tarczownik. Drugi

jeździec, drąc się dla dodania sobie animuszu, runął do ataku z wysuniętą daleko w przód sulicą. Coś zagwizdało.

Debren machnął różdżką i osłupiał, w połowie z niedowierzania, w połowie z poczucia nieodwracalnej klęski. Piorun, piękny, kulisty, mknący z prędkością strzały piorun, przeleciał między lewym łokciem Belniczanina a grzywą jego konia, skręcił łagodnie i palnął drugiego pogranicznika po krzyżu tak, że aż z grotu sulicy sypnęło iskrami. Runęli błyskawicznie, i jeździec, i koń. Ale było już za późno.

Zbrhl odwrócił głowę, poderwał kuszę. Też za późno. Belniczanin był o mrugnięcie oka szybszy. I nie mógł chybić z tej odległości. Gdyby strzelił.

Bełt Lendy był szybszy o dwa mrugnięcia. Żołnierz zwolnił spust mając już kawał stali i drewna między żebrami, głęboko w żołądku. Pocisk wyprysnął z korytka, trzasnął w kapalin, zdarł hełm z głowy rotmistrza, skrzesał snop iskiei. Zbrhl zachwiał się, zatoczył. Karczownik przyskoczył, wepchnął się między towarzysza a Belniczan, po czym powoli opuścił obnażony miecz. Obaj pogranicznicy leżeli nieruchomo.

– Zbrhl?! Nic ci nie jest?! – Debren przebiegł kilka kroków, po czym zatrzymał się równie gwałtownie, tknięty obawą o Lendę.

– Co nic, jakie nic?! – obruszył się rotmistrz, obmacując czoło i zlizując krew z palców. – Na trzy szwy mnie drasnął! Od trzech dodatek za rany się liczy!

– Zbrhl – wybełkotał pawężnik – toć nie w służbie jesteśmy. Prywatnie w łeb wzięłeś. Debren sprawdził, co z Lendą. Wyglądało na to, że wszystko w porządku. Atak załamał się; po stracie dowódcy wszyscy trzymający się na nogach Belniczanie czmychali gdzie popadnie, nie troszcząc się ani o rannych, ani o porzuconą broń.

– W służbie nie w służbie! – zaryczał nagle Zbrhl. – Sram na to! Jak mój rodzinny kraj płądrować gnają, to własnego bełta od ust sobie odejmę, a bydłakom w rzyć wpakuję!

Napinaj kuszę, Henza! Wystrzelam śmierdzieli! W czynie społecznym, niech stracę! Górą Morvac! Bić belnickich kundłów! Lenda dźwignęła się i zgarnęła pozostałe bełty.

– Nie chcę się wtrącać! – zawołał Debren, wciąż kręcąc się w miejscu i nie potrafiąc zdecydować, w którą stronę iść. – Ale to przeciwpancerne bełty, drogie jak diabli. Poniechaj tych biedaków, rotmistrzu. Już im własny książe tak do tyłka nakopie...

– Agresję na mą ojczyznę czynią – wyciągnął oskarżycielsko ramię Zbrhl. – Znam ja ich, lonskich zbójów, plemię plugawe i podstępne. Do wsi wpadną, kur nakradną i owiec, dziewczek napsują i owiec. Nie honor żołnierzowi z kuszą u nogi stać, jak ludność cywilna od barbarzyńskiego najazdu cierpi.

– A honor po pijaku do ludzi strzelać? Odwrócili się obaj, i Zbrhl, i Debren, jednakowo zaskoczeni tonem pytania. Lenda, przed chwilą zaledwie cudem ocalona, nie sprawiała wrażenia rozpływającej się z wdzięczności, omdlewającej od nagłej ulgi czy choćby w widoczny sposób zadowolonej.

– To dziewczka? – zdziwił się Zbrhl. – Babą jesteście, pani dziewczko?

– Dobre pytanie – posłała Debrenowi wyzywające spojrzenie. – Na potrzeby tej rozmowy przyjmijmy, że jestem. Pewnie przyjemniej wam będzie, szlachetny wojaku, słowa wdzięczności z niewieścich ust przyjąć. A słowa krytyki łatwiej.

– He? – zdziwił się jeszcze bardziej Zbrhl. – Krytyki?

– Zaraz... – próbował ratować sytuację Debren.

– Dzięki za życie – ciągnęła Lenda. – Choć wiele warte nie jest, jak to u belnickiej kundlicy, a piwem od was aż tutaj czuć i domniemywać mogę, żeście bardziej z pijackiej fantazji postrzelać sobie chcieli niż dla...

– Lenda! – Dziewczyna umilkła, ale Debren na wszelki wypadek wykorzystał fakt, że przechodziła obok, i chwycił ją za łokieć. – Zamknij gębę! A ty, Zbrhl, nie obrażaj się

i wniosków pochopnych nie wyciągaj. Wiele ostatnio przeszliśmy, ona zwłaszcza. Więc wybacz jej. Dopiero co wrogom szyje przegryzała, więc trudno jej tak od razu zwrot o szesnaście rumbów wykonać i na twojej się uwiesić, szczebiocąc słodko, całusami obsypując i wdzięczność okazując.

Lenda parsknęła, ale choć Debren wciąż wciął jej rękę w ostrzegawczym uścisku, nie posunęła się dalej i nie wyszarpnęła jej. A Zbrhl, idący lekkim wężykiem w ich stronę, był jeszcze zbyt daleko, by usłyszeć.

– Białogłowa po przejściach – pokiwał głową ze zrozumieniem. – Znam to, znam. Zabijanie rzecz paskudna, sam tego nienawidzę, chyba że w pracy. A wybaczać nie ma czego, bo prawdę panienka rzekła. Wypiliśmy, i owszem. Ćwierć baryłki w belnickim grodzie, ociupinę w drodze. Ci, co z nami przy pierwszej połowce ścigać się próbowali, legli co do jednego i jeszcze teraz pewnikiem kury po nich łążą, więc można rzec, że trzeźwiśmy nie są. Ale nie chwaląc się, bełty jak po sznurku szły, co, Debren? Pijany nie pijany, trafiam, gdzie mierzę. I z kuszy, i moczem nawet.

– Bełtem może i trafiacie – przyznała Lenda – ale sobą to chyba nie całkiem. Wasz Morvac, co go własnym kosztem bronić chcecie, po tamtej stronie jest kopca, nie po tej.

– Że jak? Że co? – zdziwił się po raz trzeci Zbrhl.

– Co prawda, to prawda – poparł dziewczynę Debren. – Chyba pobłądziliście na którymś rozstaju dróg. Za co Bogu podziękować wypada. Bo utłukliby nas tu, gdyby nie wy.

– A nie mówiłem? – zapytał na poły triumfalnie, na poły gorzko tarczownik Henza. – W lewo trza nam było za tą wioską skręcić! Aleś się uparł jak ten kozioł!

– Cicho, głupku. Słyszałeś, co mistrz Debren powiedział? Bóg nas w tę stronę skierował. Nie pyskuj Bogu, bo cię nagła krzywda zaraz spotka. Konie lepiej do kupy zbierz. Jak to faktycznie belnickie ziemie, to mądrze uczynimy, wynosząc

się stąd szybko i daleko.

Debren rozluźnił palce, cofnął rękę. Wciąż stali po kostki w śniegu pokrywającym belnicką ziemię, wciąż ociekali krwią, oddychali z wysiłkiem i poruszali się z trudem. Ale coś się zmieniło. Nie tylko ludzie umierali na tym łagodnym, bezleśnym stoku. Umarły też powody trzymania Lendy za rękę, dotykania jej, pojękiwania z bólu pod jej ciężarem.

Zbrhl był już blisko. Trudno było przegapić jego wędrujące ku górze brwi, lekkie zmieszanie w oczach. Debren chciał coś powiedzieć, złagodzić wrażenie. Nie znalazł odpowiednich słów.

– To moda nowa, czy coś ci się stało? – popisał się subtelnością rotmistrz.

– Zbrhl – syknął magun, miażdżąc go spojrzeniem.

– Gładsza być chciałam – rzuciła trochę wyzywająco, ale i bez złości Lenda. – Czego to baba nie zrobi dla urody większej.

– Włosy jej odrosną – zapewnił szybko Debren. – Ani się obejrzymy, a...

– Ty się oglądać będziesz? – przerwał mu Zbrhl.

– A... bo co?

– Bo jak nie ty – rotmistrz skłonił się z gracją niedźwiedzia – to serdecznie panienkę do siebie proszę. Tak zgrabnie tego pogranicznika z kulbaki zdmuchnęła, że aż mi szczeka opadła. Czy od śmierci was wybawiliśmy, to kwestia dyskusyjna, bo ciebie już w walce widziałem i wiem, że niełatwo cię utłuc, ale że ja panience Lendzie życie zawdzięczam, to pewne. Więc pomyślałem sobie, że jeśli sama jest, sierota może, bez grosza przy duszy i widoków na przyszłość, jeśli boi się światu twarz oszpeconą ukazać i łzy pod zuchwałą miną kryje...

– Zbrhl!

– Co, za blisko trafiłem? – Rotmistrz nie przejął się ani purpurą na obliczu Debren, ani bladością dziewczyny. – Nic to. Przyjacielem mi jesteś, a ona tobie pewnie też, jak ją na

plecach pod obstrzałem targaleś. Więc i ja ją do grona przyjaciół dopisuję. I szczerze, jak z przyjacielem, gadam. Nie myśl, Lenda, że bzdury plotę, bośmy z Henzą we dwóch tę baryłkę podsuszyli. Bez urazy, ale cienkusza tu u was warzą, choć Morvac przez miedzę i jest skąd wzory czerpać. Całkiem świadomie propozycję ci składałam: jak nie masz dokąd, to do mnie, pod Prawel jedź.

– Po co? – zapytała cicho. Debren przysunął się trochę bliżej. Bał się, że bladość jej twarzy jest wstępem do omdlenia. Obie nogawki miała aż sztywne od krwi.

– Dom mam. Całkiem duży jest, ciepły, jasny, ze spiżarnią pełną i łaźnią... Wszystko ma, co niewieście potrzebne, by się bezpiecznie i jak u siebie czuła. Nawet kwiatów za oknami trochę zostało, co je jeszcze moja Zdrenka sadziła.

– Zbrhl – odezwał się bardzo chłodnym głosem Debren. – Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale taka propozycja to dla przyzwoitej niewiasty wyjątkowo ciężka obelga.

– Lepiej od ciebie zdaję – wyprowadził go z błędu rotmistrz – bo starszej daty jestem, a i nie czarodziej. Życie mi panienka Lenda ocaliła, to i ja jej ani życia swego, ani srebra nie pożałuję. Konkretnie – odchrząknął – konkretnie to rzecz chciałem, że jeśli zaproszenie przyjmie, to albo się z nią ożenie, albo przyzwoitkę najmę. A co mi tam, łajno i kał.

Przez chwilę słyhać było tylko ciche parskanie koni, zbieranych do kupy przez Henzę. Debren bał się odwrócić głowę i zerknąć w twarz dziewczyny. Jeszcze bardziej bał się zgadywać, dlaczego brak mu tej odwagi.

– Zaszczyt to dla mnie wielki – usłyszał doskonale nijaki głos Lendy – nawet po wzięciu poprawki na to, że po baryłce piwa nie ma szpetnych niewiast. Dziękuję, panie Zbrhl, dobry z was człowiek, choć Morvac. Ale odmówić muszę w kwestii ręki. Moja ręka otóż nic warta nie jest. Debren wam to wytłumaczy.

– Nie widzę powodów, dla których miałbym to

komukolwiek kiedykolwiek...

– Jest jeden – przerwała mu cicho, kuśtykając w stronę stojącego najbliżej konia. – Panu Zbrhlowi należy się wyjaśnienie. Nie powinien odnieść wrażenia, że wzgardziła nim taka pokraka. Jeszcze by bez powodu w kompleksy popadł. – Ujęła uzdę, poklepała gniadosza po szyi i omal nie zwała mu się pod brzuch, kiedy postrzelona noga odmówiła nagle posłuszeństwa. Zdążyła jednak chwycić się siodła i wstrzymać gestem ruszającego z pomocą Debrena. – Obejdzie się, poradzę sobie sama. Ostańcie z Bogiem.

Debren miał jeszcze nadzieję, że przeliczy się z siłami, grzmotnie zdrowo o ziemię i trochę od tego zmądrzeje. Ale spotkał go zawód. Lendzie udało się nie upaść, wkładając lewą stopę w strzemię, a reszta, za sprawą silnych i zdrowych ramion, poszła już łatwo.

– To mi wygląda na pożegnanie – stwierdził trochę zbyt cichym głosem. – Nie tylko z panami Zbrhlem i Henzą, także ze mną.

– Bo się i żegnamy – mruknęła, poprawiając coś przy uździe i unikając jego spojrzenia. Koń kręcił się niespokojnie, obracał łbem i nieufnie obwąchiwał nogę nowej pani. Chyba nie podobał mu się zapach zakrwawionej nogawki.

– Tak po prostu?

– Prostaczka jestem, to i żegnam się...

– Lenda – rzucił przez zęby – nie rozmawiaj ze mną w ten sposób. Taka z ciebie prosta dziewczka, jak ze mnie garbus. – Odetchnął głęboko, ale nie wykorzystał tego do wyraźnego podniesienia głosu. Mówił równie cicho, jak przedtem. – Po tym wszystkim, cośmy sobie powiedzieli...

– Chyba nie zrozumiałeś. – Drapała uspokajająco koński kark, nie patrząc na nikogo. – Nie mogę ci dać tego, na co... czego byś...

– Więc wsiadasz na konia i odjeżdżasz w siną dal. – Ruszył w jej stronę. – Jakież to mądre. Jakie dojrzałe. Zamiast tracić

czas na ustalanie, na co to ja i czego bym, po prostu hop w siodło i hajda w step.

– W step? – zdziwił się Henza. – Gdzie wy tu jakiś...?

– Nie kłap paszczą – zgromił go Zbrhl. – Łupy lepiej zbierz. O, tamte buty choćby. Widzą mi się w sam raz na panienki Lendy nóż... eee... nogi, znaczy – poprawił się przytomnie.

– Dzięki, panie Zbrhl – powiedziała Lenda głosem nie zanadto ociekającym wdzięcznością. – Ale, jeśli prosić wolno, panienką mnie nie nazywajcie.

– Wdowa jesteś? – nie zrozumiał rotmistrz. – No, to wiele wyjaśnia. Dziewicy nie wypada po odludziu na męskim karku hasać, ale...

– Zbrhl – mruknął bez złości Debren – ty też nie kłap paszczą. Za drzwi cię nie wypraszam, i to nie tylko z braku takowych, ale mamy sobie z panienką Lendą do powiedzenia parę ważnych rzeczy.

– Ty też nie nazywaj mnie panienką. – Był już zbyt blisko, by w sposób naturalny omijać go spojrzeniem. To, które mu posłała, było lekko wyzywające i nieco kpiarskie. Może dałby się nawet nabrać, gdyby lepiej zgrała wyraz twarzy ze słowami. – Tatko poważne sumy wydał, by syn mu się urodził. Magią się wspomagał na wszystkich etapach, modlitwą i innymi metodami, o których panience mówić nie wypada. I choć efektu pożądanego nie uzyskał, całkiem w błoto tego złota nie wyrzucił.

Jestem otóż...

– Złota? – podchwycił niepoprawny Zbrhl. – Wolno spytać, kim szanowny ojciec panienki jest? Bo wnioskując po...

– Nie wolno – prawie warknęła. Ale nie w stronę rotmistrza pomknęło złe, chyba trochę spłoszone spojrzenie. – I skończcie z tą panienką, psiakrew. Właśnie staram się wam wytłumaczyć, że tym zasranym szarlatanom, co przy mnie modły i czary odprawiali, nim na świat przyszłam, co nieco osiągnąć się udało. Nie tylko wzrostem chłopaka zawsze

przypominałam. Także... – zawahała się, ale, jak na niedosłego mężczyznę przystało, dokończyła odważnie: – Także skłonnościami. – Odchrząknęła, przywołała na usta krzywy uśmiezek. – Rozumiecie, o czym mówię.

– Mówisz – oznajmił chłodno magun – że zboczona jesteś i ślinisz się na widok dziewczek. To się babofilstwo nazywa w naukowym żargonie. Zbrhl wyszczerzył zęby. Trochę niepewnie. Lenda też wyszczerzyła. W sposób nie wróżący dobrze nikomu, kto odważyłby się trzymać gardło zbyt blisko.

Debren odnotował z dumą, że udało mu się ją rozwścieczyć.

– Dudkaj się! – krzyknęła. – Ty... ty...

– O to właśnie chodzi – powiedział spokojnie Debren. – Ubierz myśli w słowa. I uczucia. Bo nie mam ochoty przez następny rok męczyć się po nocach, zadręczać pytaniami i tak dalej. Ani następnej dobrej posady w błoto z twego powodu wdeptywać. Muszę wiedzieć, na czym stoję. Czy kawał blachy nas dzieli, czy coś gorszego.

– Zejdz mi z drogi – wycedziła. Koń, jak gdyby wyczuwając, że mogą go zmuszać do tratowania czarodzieja, czego rozsądne konie unikają jak ognia, zarżał ostrzegawczo, zatańczył w miejscu.

Lendą zakolebało w siodle, lecz daleko było od tego do upadku. Debren sklął się w duchu za skok i pospieszny chwyt za uzdę. Może dla zatarcia wrażenia szybko przeniósł dłoń na pałąk strzemienia.

Ale może i nie dlatego. Stopy Lendy w każdym razie nie dotknął.

– Nie stoję ci na drodze – zauważył. – Chyba że się do belnickiego grodu wybierasz. Co aż tak bardzo by mnie w tej sytuacji nie zdziwiło. Ktoś tu, dzuma i syfilis, śmierci najwyraźniej szuka. Wiesz, jak daleko zajedziesz z takimi ranami, sama, bez pomocy? Ile dni przeżyjesz, jeśli jakoś ci się uda dostatecznie daleko zajechać? Z czego zamierzasz dalej żyć, idiotko? Z machania mieczem? Z tymi nogami? –

Lenda rzuciła mu wściekle spojrzenie.

– Ciałem handlować raczej nie dasz rady, utrzymywanie się z hafciarstwa i innych kobiecych zajęć też, zdaje się, w rachubę nie wchodzi. Więc mam prawo zapytać, co jeść do wiosny zamierzasz, o dachu nad głową nie wspominając. Tylko nie mów, że konia sprzedasz.

– Konia sprzedam – rzuciła przez zęby. – A co do twoich praw... Nie masz żadnych. Łącznie z trzymaniem tego strzemienia. To mój koń, zdobyłam go prawem łupu wojennego i...

– Zbrhl – czarokrążca podniósł głos, nie oglądając się za siebie. – Ile taki koń może kosztować? Uwzględniając pochodzenie i fakt, że sprzedawać będzie obszarpana dziewczka o takim jak ona wyglądzie?

– No więc... uczciwie mówiąc...

– Jakby nie liczyć – ulitował się nad nim Debren – dużo mniej niż dwadzieścia pięć talarów. Co znaczy, że koń jest mój. Ten i jeszcze ze dwa następne, których się panienska Lenda dorobi. Długi to paskudna rzecz.

Lenda zacisnęła wargi, ale nie odezwała się. Zbrhl, chyba zakłopotany, odchrząknął.

– Może lepiej... eee... pomogę Henzie. Widzę, że o poważnych sumach tu mowa; pewnie wam niezręcznie przy...

– Panie Zbrhl – odezwała się dziewczyna nienaturalnie gładkim głosem – chyba przyjmę waszą szlachetną propozycję. Bo pieszo faktycznie daleko nie zajdę, a mistrz Debren, jak to w czarokrążców zwyczaj, nikomu złamanego grosza nie przepuści.

Debren aż do pobielenia zacisnął palce na strzemieniu.

– Możemy mówić o srebrze – wycedził – ale możemy też o włosach do poduszek potajemnie upychanych.

– Sam powiedziałaś, że we włosach żadnej magii nie ma – zaprotestowała bez przekonania.

– Tych z głowy – sparował błyskawicznie. Lenda poczerwieniała. Zbrhl na szczęście dotrzymał słowa i poszedł obdzierać trupy.

– Głupia byłam, nie musisz mi tego przypominać – trudem nadrabiała miną. – A dług splecę, nie martw się. Te ćwierć setki...

Łatwo było ją uciszyć. Wystarczyło przenieść dłoń na owiniętą w kozle skóry stopę.

– Księżniczko – powiedział zupełnie innym głosem. Głosem, którego brzmienia nie znał, bo nigdy przedtem nie dane mu było przemawiać do nikogo w ten sposób. – Len – i, dziewczyno... Jak my, dzuma i syfilis, rozmawiamy ze sobą? I o czym? O pieniądzach?! Nie obchodzą mnie pieniądze. Ty mnie obchodzisz. O ciebie się martwię, o tobie myślę, o tobie... – zaczerpnął powietrza jak przed skokiem do wody – o tobie marzę. Tak, jak podejrzewasz, zgoda. Ale nie tylko tak. Naprawdę. Nie tylko w łóżu cię widzę, jak mnie błogie myśli nawiedzają. Teraz boli mnie wszystko, co boleć może, zimno mi jak cholera, boję się, co jutro będzie i aż mnie mdli, kiedy myślę, że za nas dwoje odtąd się muszę bać. Ale wyboru już nie mam. Nieważne, jak do tego doszło, kto zawinił i czy w ogóle można mówić o winie. Stało się. Czasem dziewczyna zapomni się, nie pomyśli i brzuch jej wyrośnie. Bywa. Nic wtedy innego nie pozostaje, tylko pokochać to, co się przytrafiło, i nauczyć się z tym żyć.

– Skoro już posłużyłeś się tym przykładem – nie patrzyła mu w twarz – to zauważ, że są jeszcze inne... drogi. Nie każdy brzuch musi do końca urosnąć. Wiem, że są sposoby...

– Nie – powiedział bez gniewu. – Nie, Lenda.

– To pewnie śmiesznie brzmi – przyznała uczciwie. – Ale co tam, od dawna niewiele w sobie z baby mam... Ja zawiniłam i ja cię w kłopoty wpędziłam, więc ja zabieg opłacę.

– Nie wiesz, o czym mówisz. – Nie kopąła go, więc przeniósł dłoń wyżej, na kolano. Koń odwrócił łeb, spojrzał

nieufnie, ale wziął przykład z Lendy i nic nie zrobił.

– Wiem. Mówiłam ci, że zdążyłam niejednego magika poznać. Współczesna magia nie takie cuda...

– Na włosy w poduszce i medaliony z sercem rozszczepionym faktycznie nowoczesne zaklęcia bywają skuteczne. Ale uczuć pochodzenia naturalnego tą metodą się nie ruszy. Nie za pieniądze, które jesteś w stanie zdobyć. Przy czym to tylko pierwszy z powodów, dla których nie pożegnamy się teraz łatwo i zgodnie.

– Naturalnego pochodzenia? – Chyba przeoczyła spore fragmenty jego wypowiedzi. – Chcesz mi wmówić, że...?

– Niczego ci nie wmawiam. Bo nie wiem. Może bez poduszki pod gojącym się tyłkiem zapomniałbym o tobie, nim do ujścia Pirrendu dopłynęliśmy. Istnieje taka możliwość. I to jest drugi z powodów. Jeżeli to po prostu zauroczenie o podłożu magicznym, a ty upierasz się, że nie chcesz mnie znać, to proszę bardzo: zróbmy to na sposób kochanków, którzy popadli w wiadome kłopoty. Zachowaj się jak na uczciwego kawalera przystało, weź mnie za rękę, zaprowadź gdzie trzeba, pocieszaj, podtrzymuj na duchu, bądź łagodna, czuła, opiekuńcza, przemawiaj do rozsądku, no i przede wszystkim płac. Tak się podobne sprawy załatwia, jeśli sprawca łachudrą nie jest i odrobinę przyzwoitości posiada.

Odjeżdżanie w siną dal z ranami i stanem sakiewki nie rokującymi przeżycia to dość tchórzliwy sposób. Ucieczka. Może i w śmierć, ale ucieczka. Podłość. Zdrada zaufania.

– Kpisz ze mnie – powiedziała nie całkiem pewnie. – Żartujesz, prawda?

– Trzeci powód to te dwadzieścia pięć talarów – zignorował pytanie. – Mam obowiązek dopilnować, byś je zwróciła mojej rodzinie. Mama szybko i łatwo dała ci te pieniądze, więc możesz mniemać, że to dla niej błahostka, że rodzice na worach srebra siedzą. Ale tak nie jest. Brak troski o pieniądze wynika z nadmiaru troski o syna, a nie nadmiaru pieniędzy.

Musimy im to oddać co do denara, ty i ja, wspólnie. Czwarty powód jest taki, że, abstrahując od przyczyn, za sprawą magii być może, kocham cię w tej chwili i nie mam zamiaru patrzeć spokojnie, jak sobie samej krzywdę wyrządzasz.

– Coś powiedział? – zapytała niewyraźnie, jak ktoś mający równocześnie problemy i z gardłem, i z ustami, o nagłej zmianie tętna nie wspominając.

– Po piąte wplątałaś mnie w coś poważnego, co może ciągnąć się za mną i poza tymi kopcami – wskazał granicę. – Dopóki nie dowiem się, dlaczego polowano na nas, nie wahając się zdrzeć nawet z Teleporthaną, nie mam zamiaru ot tak, po prostu, zapomnieć o wszystkim i dalej robić swoje. Nie z tajnymi służbami na karku. Ktoś jest na tyle silny lub zdesperowany, by strącać cię razem z wrzecionem. Może nie wiesz, ale to precedens, bo jak dotąd głucho o celowym i skutecznym strącaniu wrzecion. Już sami kronikarze gotowi będą rozerwać nas na strzępy dla poznania okoliczności, o uczonych i agentach nie wspominając. Trzymając się razem, łatwiej się z tego wykaraskamy. Po... do ilu doszedłem? – Po szóste – rozległ się z tyłu głos Zbrhla. O dziwo, Lenda, choć w jej przypadku było to i łatwe, i oczekiwane, nie podniosła twarzy i nie zgromiła rotmistrza spojrzeniem. Szeroko rozwarte, szarobłękitne oczy wpatrywały się wyłącznie w Debrena.

– Po szóste jestem magunem i trochę lepiej od ciebie potrafię dogadywać się z czarodziejami. Odróżnić takich, którzy próbują sensownie i z szansami na sukces zdejmować zaklęcia z wiadomych ci wyrobów kowalskich, od takich, którzy sensownie i z szansami na sukces opróżniać ci będą sakiewkę.

Znam też paru niegłupich magunów, którzy w przeciwieństwie do mnie zajęli się badaniami i pracą w zaciszu dobrze wyposażonych pracowni. Wąsko wyspecjalizowanych fachowców, którzy jednakże w swych

wąskich specjalnościach do zadziwiająco głębokiej wiedzy doszli. Wiem o paru, którzy być może potrafiliby nam pomóc, w dodatku grosza nie biorąc. Mistrzów magii zbyt poważnych, by wysłuchiwać skarg i błagań zwariowanych dziewczek, którym się pożycie nie układa z przyczyn, musisz to przyznać, dość humorystycznych dla osób postronnych. – Ani jeden mięsień nie drgnął w jej twarzy, ale też w pozbawionych rzęs oczach nie było urazy. – Ja potrafię przedstawić im to jako problem naukowy, wyzwanie, szansę na ciekawy eksperyment. A w ostateczności sam się za to zabrac, jeśli lepszych fachowców nie znajdziemy. Inaczej mówiąc: ze mną masz znacznie większe szansę niż beze mnie. Nawet jeśli się okaże, że nic nas poza przyjaźnią nie łączy i nigdy nie łączyło. Bo przyjaciółce też pomogę.

Lenda zerknęła w dół, na udo. Dopiero wtedy spostrzegł, że jego dłoń zawędrowała aż tak wysoko. Nie cofnął jej jednak. W spojrzeniu dziewczyny nie było nagany.

– To wszystko? – zapytała prawie szeptem. Chyba nie była pewna brzmienia swego głosu.

– Nie, jeszcze jedna sprawa, o której muszę wspomnieć, jeśli mamy być ze sobą szczerzy. Tak jak teraz, z tą miłością... – zawahał się. – No, krótko mówiąc... jest lepiej niż bez niej. Więc nie bądź zaskoczona, jeśli więcej serca będę wkładał w zdejmowanie czarów z ciebie niż w pranie własnej duszy. Chociaż nie ukrywam, że to boli.

Milczała dłuższą chwilę. Szukała słów.

– Mnie też boli – odezwała się w końcu. – Właśnie dlatego powinniśmy się rozstać. Tylko się ranimy nawzajem. Za daleko to zaszło. Wkroczyłeś na drogę, która wiedzie ku przepaści, i spory kawał nią przeszedłeś, przyznaję. Ale wciąż możesz zawrócić. A ja nie mam zamiaru przyglądać się, jak bezmyślnie dalej leziesz. Ze złej drogi trzeba zawracać, choćby się i połowę już przeszło, tę trudniejszą nawet, krwią, łzami i srebrem okupioną. Jesteś w połowie drogi. Można

powiedzieć, że już, ale mądry człowiek powie, że dopiero. I zawróci. Bezpiecznie. Bo stąd, gdzie stoisz, wbrew pozorom jeszcze można. Spełniałeś swoje obowiązki, szukałeś zagubionej pasażerki. Może zbyt gorliwie, ale tyle ci w firmie darują, jak się afera po kościach rozejdzie. A rozejdzie się, zobaczysz. Nikt nie jest zainteresowany w jej rozdmuchiowaniu. Belniczanie z oczywistych powodów, Hanza z obawy o swe dobre imię, a ja... – Wyraz jej twarzy powiedział Debrenowi, że nieco się zagalopowała i chętnie cofnęłaby ostatnie słowo.

– No właśnie – mruknął. – Ty.

– Co zamierzałeś przez to powiedzieć? – zmarszczyła to, co pozostało po brwiach.

– Nic.

– Nie łżyj. Na tyle już cię znam, że potrafię poznać, kiedy kłamiesz.

– Bo nie wysilam się przy tobie – posłał w górę lekki uśmiezek. – No dobrze. Zastanowiło mnie, jak łatwo przychodzi ci zestawianie księstwa belnickiego, Teleporthanzy frycfordzkiej i Lendy Branggo. Ale uznałem, że to efekt niefortunnie skonstruowanej wypowiedzi i naprawdę nie zamierzałem tego komentować.

– Wiesz co, Debren? – powiedziała po namyśle. – Dudkaj się.

Pod opuszkami palców wyczuwał już krawędź metalu. Pomyślał, że dłoń zawędrowała zadziwiająco daleko jak na bezmyślną, pozbawioną rozumu i uczuć kończynę. No i jak na osobę, po ciele której urządziła sobie ten przez nikogo nie kontrolowany spacer.

– Tak jak bym chciał, nie mogę – powiedział, łagodząc pozornie niedbałym uśmiechem wymowę słów. – A tak jak mogę, nie chcę. – Połowa drogi to nieprzyjemne miejsce. – Nie próbowała robić niczego z męską dłonią, grzejącą styk uda i biodra. Debren wiedział, że po raz pierwszy od bardzo,

bardzo dawna. Był pewien, że poprzednie dłonie łamała albo cięła mieczem. Miał świadomość, że może to być fałszywa, wywołana czarami pewność, lecz nie zmieniało to faktu, że dawała mu sporo radości.

– Kiedy zawrócisz, z każdym krokiem będzie ci lżej. Zobaczysz.

– Może zobaczę. – Zabrakło mu już siły na podtrzymywanie uśmiechu. – To tylko od ciebie zależy. Bo przemocą cię mimo wszystko nie zatrzymam. Nie tak sobie związek z kobietą wyobrażam. Czy to włosiem w poduszce, czy siłami natury zapoczątkowany. Jeżeli nie możesz mnie ścierpieć przy boku, to jedź. – Dłoń powoli spłynęła na udo, potem w stronę kolana. – Wolna droga, księżniczko. Takie jak ty nie do niewoli są stworzone, nie służy im klatka. Nawet wygodna. A ja ci przecież wygody nie dam. Zabawnie się to ułożyło – mruknął bez cienia rozbawienia. – Mam we Frycfurdzie spore szanse na ciepły, jasny dom z kwiatami za oknem. Wydawało mi się, że to wystarczy, by...

Dała mu czas, by dokończył. Nie dokończył. Dłoń dotarła do kolana, palce, jeden po drugim, odrywały się od brudnych portek. Bardzo powoli, z wyraźnym wysiłkiem. No cóż, do nogawki nietrudno się było przykleić.

– Wystarczy – powiedziała cicho. – Aż nadto. Każda dziewczyna, na którą tylko skiniesz... Każda.

– Pewnie – zgodził się. Ostatni, środkowy pałac zawisł w pustce. I opadł bezsilnie wraz z całą ręką. – Jeden mądry człowiek wyjaśnił mi to całkiem niedawno. Powiedział, że co białogłowa mężczyznę miłością obdarza.

– No widzisz – zdobyła się na całkiem pogodny uśmiech. – Mądrych ludzi warto słuchać.

Czyjś cień zlał się z cieniem Debrena. Henza. Bez słowa przewiesił przed łęk siodła związane razem buty i wycofał się, chrzęszcząc rynsztunkiem. Dopiero teraz magun zauważył, że i Zbrhl oddalił się dyskretnie.

– Dlaczego nie chcesz spróbować? – zapytał, chowając pod pachy zziębnięte dłonie. Nagle zrobiło się przeraźliwie zimno. Pewnie dlatego, że wylany podczas ucieczki pot zaczynał zamarzać. Tak, na pewno dlatego.

Miała dość odwagi, by odpowiedzieć prawie od razu.

– Boję się. – Powoli, ruchem pasującym bardziej do starca niż młodej, silnej dziewczyny, zawróciła konia. – Żegnaj, Debren.

Gniadosz ruszył stępa, ostrożnie. Był stąd i wiedział zapewne, że po górach się nie kłusuje. Ale też nikt go nie próbował poganiać. Starym, zmęczonym życiem ludziom donikąd się już nie spieszy.

Debren powtórzył sobie trzy razy, że tak będzie lepiej. Dopiero potem krzyknął:

– Podałem ci siedem powodów! – Nie oddaliła się jeszcze zbyt daleko i na dobrą sprawę nie musiał aż tak podnosić głosu. – Przysięgam, że nie zapytam, dla którego zostajesz! Słyszysz, Lenda? Słowo honoru! Zawsze możesz powiedzieć, że po prostu dług spłacasz! Albo z okazji korzystasz, by się blach pozbyć! Siedem powodów, dzuma i syfilis! Naprawdę ani jeden do ciebie nie trafia?

Gniady koń kroczył spokojnie poprzez dziewiczą biel ośnieżonej łąki. Ku koślawemu kopczykowi granicznemu wyznaczającemu miejsce, w którym kończyła się Belnica. I nadzieja.

Debren nie wiedział, co zrodziło pewność, że te kilkadziesiąt zlepionych gliną kamieni wyznacza dziś coś więcej niż granicę między Belnica i Morvacem. Ale była to bardzo pewna pewność.

Pomyślał o czarach, lecz nie znalazł żadnego stosownego na taką okazję, więc po prostu stał, trząsł się z zimna i patrzył, jak gniady koń nieubłaganie sunie w stronę granicznego kopca.

A potem zawraca. W połowie drogi.

super
NOWA

Spis treści

Strona tytułowa	2
Strona redakcyjna	3
Księga piąta	5
Księga szósta	271